

B R A N D O N
S A N D E R S O N
B E Z K R E S
M A G I



Wydawnictwo
MAG

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Podziękowania

Przedmowa

UKŁAD SEL

Dusza Cesarza

Nadzieja Elantris

UKŁAD SCADRIAL

Jedenasty Metal

Allomanta Jak i Czeluście Eltanii

Z Mgły Zrodzony: Tajna historia

UKŁAD TALDAIN

Biały Piasek

UKŁAD TRENU

Cienie dla ciszy w Lasach Piekła

UKŁAD DROMINAD

Szósty ze Zmierzchu

UKŁAD ROSHARU

Tancerka Krawędzi

B R A N D O N
S A N D E R S O N
B E Z K R E S
M A G I I



PRZEŁOŻYŁA ANNA STUDNIAREK

WYDAWNICTWO MAG
WARSZAWA 2017

Tytuł oryginału: *Arcanum Unbounded. The Cosmere Collection*

Copyright © 2017 by Dragonsteel Entertainment, LLC
Copyright for the Polish translation © 2016 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Urszula Okrzeja
Korekta: Magdalena Górnicka
Ilustracja na okładce: Dominik Broniek
Opracowanie graficzne okładki: Dark Crayon
Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-7480-763-0
Wydanie II

Wydawca: Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa
tel./fax 228 134 743
e-mail: kurz@mag.com.pl
www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor: Firma Księgarska Olesiejuk
spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
tel. 227 213 000

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

*Nathanowi Hatfieldowi,
Który pomógł stworzyć cosmere.*



PODZIĘKOWANIA

Gdybym miał podziękować indywidualnie każdej osobie, która pomogła mi przy każdym z zawartych w tym zbiorze tekstów, ten fragment miałby długość jednego z opowiadań! Dlatego zamierzam skupić się na ludziach, którzy pomogli w stworzeniu całego zbioru. (Jak również tych, którzy pracowali nad *Tancerką Krawędzi*, jedynym nowym opowiadaniem w zbiorze).

Chciałbym jednak poświęcić chwilę, by z całego serca podziękować tym, którzy przez lata współpracowali ze mną przy tworzeniu krótszych tekstów. Na początku kariery nie odważyłbym siebie nazwać autorem opowiadań – ale dziesięć lat ćwiczeń się opłaciło, a ich efektem są teksty w tym zbiorze. (Choć musicie pamiętać, że słowa „krótkie” używam dość swobodnie. Większość z nich jest dość długa).

Przez lata pomagało mi wielu wspaniałych ludzi, większość ich nazwisk spotykacie regularnie na początku moich powieści. Jestem szczęściarzem, że przez lata kariery pisarskiej otrzymałem tyle wsparcia, informacji zwrotnych i pomocy.

Jeśli chodzi o *Bezkres magii*, mój wieloletni współpracownik Isaac Stewart odpowiada za piękne wyklejki, schematy układów gwiazdnych i większość symboli, na jakie natraficie w książce. Ben McSweeney przygotował ilustracje do opowiadań, Dave Palumbo okładkę, a Greg Collins zaprojektował układ graficzny.

Moshe Feder, redaktor wszystkich moich powieści fantasy, był redaktorem tego projektu – i choć oficjalnie nie zajmował się dużą częścią tych tekstów, kiedy się ukazywały, ma zwyczaj wtrącania się i robienia redakcji, za darmo, każdego opowiadania, które napisałem. (W rzeczy samej, wścieka się, jeśli mu ich nie przysyłam, i odmawia wystawienia faktury, kiedy próbuję mu zapłacić). Innymi słowy, przez lata wykonał dużo darmowej pracy, pomagając mi zostać autorem opowiadań. Zasluguje za to na dodatkowe podziękowania.

Peter Ahlstrom jak zawsze zajmował się wewnętrzną redakcją. („Wewnętrzną” należy traktować dosłownie – kierował nią ode mnie z domu). Peter jest odpowiedzialny za zebranie uwag od wszystkich ludzi pracujących nad tekstami, dodanie swoich własnych szczegółowych komentarzy, a później wygładzenie wszystkiego po tym, jak zasiadłem do tekstów z piłą.

Za korektę odpowiada Terry McGarry. Na podziękowania zasługują również Tom Doherty, Marco Palmieri, Patti Garcia, Karl Gold, Rafal Gibek i Robert Davis z wydawnictwa Tor.

Moim agentem w Stanach był Joshua Bilmes, a w Wielkiej Brytanii John Berlyne. Dziękuję wszystkim w ich agencjach.

Do czytelników alfa i gamma *Tancerki Krawędzi* zaliczają się: Alice Arneson, Ben Oldsen, Bob Kluttz, Brandon Cole, Brian T. Hill, Darci Cole, David Behrens, Eric James Stone, Eric Lake, Gary Singer, Ian McNatt, Karen Ahlstrom, Kellyn Neumann, Kristina Kugler, Lyndsey Luther, Mark Lindberg, Matt Wiens, Megan Kanne, Nikki Ramsay, Paige Vest, Ross Newberry i Trae Cooper.

Zgodnie z tradycją serdecznie dziękuję rodzinie: Joelowi, Dallinowi, Oliverowi i Emily. Jesteście wspaniali!

PRZEDMOWA

Cosmere zawsze miało wiele tajemnic.

Mogę cofnąć się pamięcią do kilku kluczowych momentów, dzięki którym narodził się ten wielki plan. Pierwszym jest pojawienie się Hoida. Kiedy jeszcze byłem nastolatkiem, wymyśliłem mężczyznę, który łączył różnorodne światy, wzajemnie nieświadome swojego istnienia. Człowieka znającego tajemnicę, której nikt inny nie pojmował. Czytając książki innych autorów, w myślach umieszczałem go w tle, wyobrażając go sobie jako przypadkową osobę opisaną w tłumie, i marzyłem o opowieści kryjącej się za opowieścią, której był częścią.

Drugim momentem, który pomógł mi złożyć wszystko w jedną całość, było przeczytanie dalszych powieści Isaaka Asimova z cyklu *Fundacja*. Oszło mi sposób, w jaki udało mu się połączyć cykl o robotach z *Fundacją* w jedną wielką opowieść. Wiedziałem, że chcę stworzyć coś takiego, epopeję większą od epopei. Opowieść obejmującą światy i epoki.

Trzecim momentem było pierwsze pojawienie się Hoida w powieści. Umieściłem go z niepewnością, martwiłem się, czy wszystko będzie do siebie pasować. Wtedy jeszcze nie stworzyłem swojego wielkiego planu cosmere, miałem jedynie niejasną wizję tego, co chciałem osiągnąć.

Tą powieścią było *Elantris*. Moja następna książka, *Dragonsteel*, nie została nigdy opublikowana (nie jest zbyt dobra). Ale na jej potrzeby wymyśliłem historię Hoida, a wraz z nią historię całego uniwersum, które nazwałem cosmere. *Elantris* zostało wydane dopiero wiele lat później – a kiedy do tego doszło, miałem już gotów cały wielki plan. Jego sednem stały się *Z Mgły Zrodzony*, *Burzowe Światło* i *Elantris*. (W tym zbiorze znajdziecie opowiadania związane z nimi wszystkimi).

Podejrzewam, że duża część czytelników nie wie, iż większość moich książek jest ze sobą powiązana, a w opowieści kryje się inna opowieść. To mnie cieszy. Często powtarzałem, że nie chcę, by czytelnicy czuli, że muszą znać na pamięć całą moją twórczość, by cieszyć się jedną historią. Jak na razie *Z Mgły Zrodzony* jest tylko *Z Mgły Zrodzonym*, a *Burzowe Światło* jest tylko *Burzowym Światłem*. Opowieści z tych światów są na pierwszym miejscu.

Co nie znaczy, że nie ma wskazówek. Mnóstwa. Pierwotnie zakładałem, że te drobne sugestie istnienia różnych światów będą o wiele mniejsze, zwłaszcza z początku. Wielu czytelników je jednak pokochało – a ja uświadomiłem sobie, że nie muszę tak skąpo wydzielać ukrytej opowieści.

Wciąż balansuję na cienkiej linii. Każda z opowieści, którą czytacie, ma być samodzielna, przynajmniej w kontekście świata, w którym się dzieje. Jednak jeśli sięgnąć głębiej, można dowiedzieć się o wiele więcej. Kolejna tajemnica, jak powiedziałaby Kelsier.

Ten zbiór robi krok w stronę połączonej natury cosmere. Każde opowiadanie poprzedza przedmowa autorstwa Khriss, kobiety tworzącej dodatki *Ars Arcanum* na końcu każdej powieści. Znajdziecie też mapy każdego układu gwiazdnego. Dzięki temu zbiór bardziej niż kiedykolwiek łączy światy. Sugeruje również to, co w końcu nadejdzie – pełne połączenia w obrębie cosmere.

Czas na to jeszcze nie nadszedł. Jeśli czujecie się przytłoczeni, wiedźcie, że większość opowiadań można czytać niezależnie. Akcja kilku toczy się po wydarzeniach opisanych w już opublikowanych powieściach – co zaznaczamy wcześniej, żebyście wiedzieli, jak ewentualnie unikać spoilerów.

Żadne z opowiadań nie wymaga znajomości cosmere jako całości. Tak naprawdę większość wydarzeń w cosmere nie została jeszcze ujawniona, nie mogliśmy się więc spodziewać, że jesteście ich świadomi.

Mimo wszystko obiecuję, że ten zbiór dostarczy nie tylko pytań, ale nareszcie również odpowiedzi.

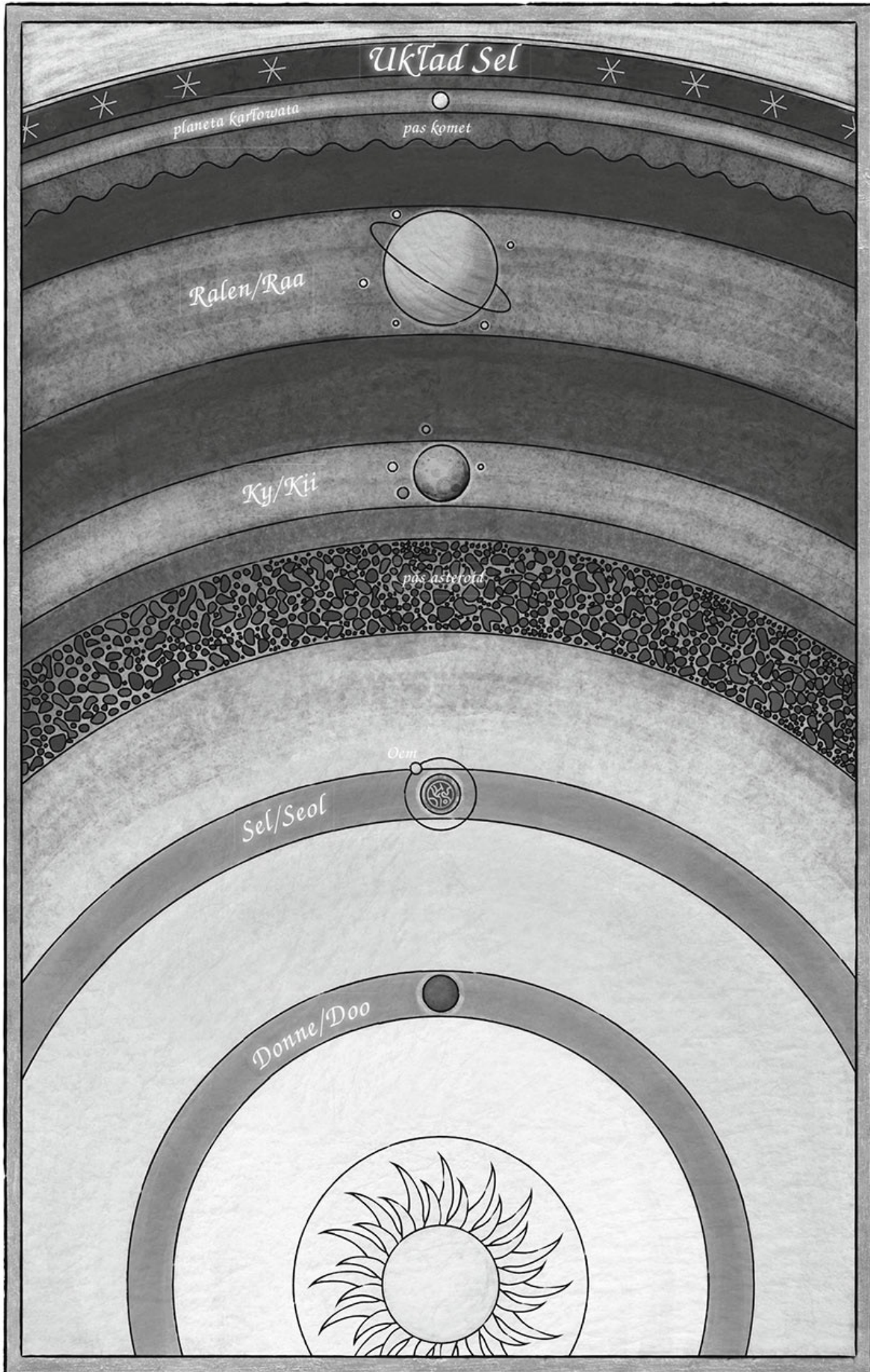
BEZKRES MAGII

ZBIÓR OPOWIADAŃ Z COSMERE



UKŁAD SEL





UKŁAD SEL

Sercem tego układu jest planeta Sel – ojczyzna wielu imperiów, które, co niezwykle, pozostają nie do końca świadome swojej obecności. Jest to celowa ignorancja, gdyż każda z trzech wielkich krain udaje, że pozostałe są jedynie niegodnymi zainteresowania plamami na mapie.

Sama planeta to ułatwia, jest bowiem większa niż przeciętnie, o średnicy równej 1,5 standardu cosmere, a ciężeniu 1,2. Ogromne kontynenty i potężne oceany tworzą różnorodny krajobraz, wyjątkowo zróżnicowany jak na jedną planetę. Znajdziecie na niej zarówno śnieżne równiny, jak i olbrzymie pustynie, co w czasie pierwszych odwiedzin uznałabym za wyjątkowe, gdybym nie odkryła, że jest to naturalne dla wielu planet cosmere.

Sel jest wyjątkowa również ze względu na dwuodpryskowość, to znaczy jako jedna z niewielu planet w cosmere przyciągnęła dwa Odpryski Adonalsium: Dominację i Oddanie. Te Odpryski wywarły ogromny wpływ na rozwój ludzkiego społeczeństwa na planecie, wywodzi się od nich większość tradycji i religii. Co wyjątkowe, również języki i alfabety wykorzystywane po dziś dzień na całej planecie powstały pod bezpośrednim wpływem dwóch Odprysków.

Wierzę, że z początku Odpryski nie interesowały się ludzkością – a społeczeństwo kształtowało powolne, spokojne odkrywanie mocy, które przepelniały świat. Trudno jednak być pewnym, gdyż w dalekiej przeszłości zarówno Dominację, jak i Oddanie zniszczono. Ich Napełnienie – ich moc – zostały Rozszczepione, ich umysły zniszczone, a dusze odesłane Poza. Nie mam pewności, czy ich nieokiełznana moc przez jakiś czas niszczyła świat, czy też została natychmiast powstrzymana. Wszystko to wydarzyło się w czasach ludzkiej prehistorii na Sel.

Obecnie większość Napełnienia, tworzącego moce Dominacji i Oddania, jest uwięziona w Krainie Umysłu. Zbiorowo moce te – które są sobie przeciwstawne – zwane są Dor. Uwięzione razem, zamknięte i pragnące się wyzwolić zasilają rozliczne rodzaje magii na Sel.

Ponieważ Kraina Umysłu (w przeciwieństwie do Krainy Ducha, gdzie przebywa większość rodzajów Napełnienia) ma wyraźnie rozdzielone lokalizacje, magia na Sel jest w dużym stopniu uzależniona od miejsca przebywania. Ponadto zasady percepcji i intencji są znacznie wzmocnione, do tego stopnia, że język – lub podobne elementy – bezpośrednio kształtuje magię podczas jej czerpania z Krainy Umysłu i wykorzystywania.

To nakładanie się języka, miejsca i magii na planecie stało się tak integralną częścią systemu, że drobne zmiany w jednym z nich mogą mieć ogromny wpływ na dostęp do Dor. W rzeczy samej, wierzę, że sam krajobraz został Napełniony, do takiego stopnia, że zaczyna zyskiwać samoświadomość, co jest niespotykane na innych planetach cosmere. Nie wiem, jak do tego doszło ani jakie będą konsekwencje.

Zaczęłam się zastanawiać, czy na Sel dzieje się coś większego, niż przypuszczaliśmy na uniwersytetach Srebrnoświatła. Coś, czego początki nikną w pomrokach dziejów. Może Ire wiedzą coś więcej, ale nie rozmawiają na ten temat i wielokrotnie odrzucali moje prośby o współpracę.

Należy również wspomnieć o istotach zwanych seonami i skaze, Drzazgach samoświadomego

Napełnienia, które zachowują się niemal jak ludzie. Wierzę, że istnieje związek między nimi a zagadką natury Sel.

Reszta układu nie ma większego znaczenia. Choć krąży w nim kilka planet, to tylko jedna w strefie zdatnej do zamieszkania – choć ledwie. Jest jałowa, niegościnna i często szaleją na niej burze piaskowe. Jej bliskość do słońca, Mashe, sprawia, że jest na niej nieprzyjemnie gorąco, nawet komuś, kto spędził sporą część życia na Stronie Dnia Taldainu.

DUSZA CESARZA







PROLOG

Gaotona przeciągnął palcami po grubym płótnie i uważnie przyjrzał się jednemu z najwspanialszych dzieł sztuki, jakie widział w życiu. Niestety, było falsyfikatem.

Zza jego pleców dobiegały szepty.

– Ta kobieta jest niebezpieczna. To, co robi, jest odrażające.

Gaotona pochylił płótno w stronę czerwonopomarańczowego światła padającego z kominka i zmrużył oczy. Na starość wzrok mu się pogorszył. Cóż za precyzja, pomyślał, wpatrując się w ślady pociągnięcia pędzlem i macając warstwy gęstej olejnej farby. Dokładnie takie jak w oryginale.

Sam by nigdy nie zauważył pomyłek. Kwiat odrobinę przesunięty na bok. Księżyc nieco zbyt nisko na niebie. Ich znalezienie wymagało od ekspertów wielu dni starannych badań.

– To jedna z najlepszych Falszerzy w całym cesarstwie. – Głosy należały do innych arbitrów, najważniejszych urzędników cesarstwa. – Jej reputacja jest znana bardzo szeroko. Musimy ją skazać na śmierć, by dać przykład innym.

– Nie. – Frava, przywódczyni arbitrów, miała ostry, nosowy głos. – Ta kobieta jest cennym narzędziem. Może nas ocalić. Musimy ją wykorzystać.

Dlaczego? – pomyślał znów Gaotona. Dlaczego ktoś zdolny do takiego aryzmu, takiej wspaniałości, zwrócił się ku fałszerstwu? Dlaczego nie tworzy oryginalnych obrazów? Dlaczego nie została prawdziwą artystką?

Muszę zrozumieć.

– Tak – kontynuowała Frava – kobieta jest złodziejką i uprawia ohydłą sztukę. Ale ja nad nią zapanuję, a z pomocą jej talentów możemy uprzętać ten bałagan, w którym wyładowaliśmy.

Pozostali mamrotali, wyrażając sprzeciw i troskę. Kobieta, o której mówili, Wan ShaiLu, była kimś więcej niż tylko zwyczajną oszustką. O wiele więcej. Umiała zmieniać naturę rzeczywistości. I tu pojawiała się kolejna wątpliwość. Dlaczego w ogóle nauczyła się malować? Przecież jej umiejętności malarskie były całkiem przyziemne w porównaniu z bardziej mistycznymi talentami?

Tak wiele pytań. Gaotona podniósł wzrok ze swojego miejsca przy kominku. Inni stali skupieni wokół biurka Fravy, a ich długie, barwne szaty migotały w blasku ognia.

– Zgadzam się z Fravą – powiedział Gaotona.

Pozostali popatrzyli na niego. Ich miny sugerowały, że nie przejmują się jego zdaniem, ale postawa świadczyła o czymś zupełnie innym. Ich szacunek pozostawał głęboko ukryty, ale nie zniknął.

– Poślijcie po Falszerza – powiedział Gaotona, podnosząc się. – Chcę wysłuchać, co ma do powiedzenia. Podejrzewam, że będzie nad nią trudniej zapanować, niż utrzymuje Frava, ale nie mamy

wyboru. Albo wykorzystamy zdolności tej kobiety, albo zrezygnujemy z panowania nad cesarstwem.

Szepty ucichły. Ile lat minęło od czasu, kiedy Frava i Gaotona po raz ostatni zgodzili się w jakiegokolwiek kwestii, nie wspominając już o czymś tak kontrowersyjnym jak wykorzystanie Fałszerza?

Jedno po drugim, pozostała trójka arbitrów pokiwała głowami.

– Niech tak się stanie – powiedziała cicho Frava.



DZIEŃ DRUGI

Shai wbiła paznokiec w jeden z kamiennych bloków stanowiących ściany jej więziennej celi. Kamień ustąpił nieco. Roztarła pył między palcami. Wapień. Dziwny materiał jak na mur więzienia, ale nie cała ściana była z wapienia, jedynie ta pojedyncza żyła w bloku.

Uśmiechnęła się. Wapień. Tę małą żyłę łatwo było przegapić, ale jeśli się nie myliła, w końcu zidentyfikowała wszystkie czterdzieści cztery typy kamienia tworzące ściany jej okrągłej, przypominającej studnię celi. Uklękła obok posłania i za pomocą widelca – odgięła do tyłu wszystkie zęby poza jednym – zaczęła wydrapywać notatki na jednej z drewnianych nóg łóżka. Bez okularów musiała mrużyć oczy, kiedy pisała.

Aby coś Sfalszować, trzeba było znać jego przeszłość, jego naturę. Była niemal gotowa. Jej zadowolenie zniknęło jednak, kiedy w migoczącym blasku świecy zauważyła inny zestaw znaków na nodze łóżka. Dzięki nim odliczała dni uwięzienia.

Tak mało czasu, pomyślała. Jeśli dobrze liczyła, pozostał tylko jeden dzień do wyznaczonej daty jej publicznej egzekucji.

W głębi czuła nerwy napięte jak struny instrumentu. Jeden dzień. Jeden dzień, by stworzyć pieczęć duszy i uciec. Ale nie miała kamienia duszy, jedynie prymitywny kawał drewna, a jej jedynym narzędziem rytowniczym był widelec.

Zadanie było niewiarygodnie trudne. I o to właśnie chodziło. Celę wybudowano dla ludzi takich jak ona, z kamieni przecinanych różnymi żyłami, by utrudnić ich Sfalszowanie. Pochodziły z różnych kamieniołomów i każdy miał wyjątkową historię. A ponieważ wiedziała o nich tak niewiele, Sfalszowanie było niemal niemożliwe. Zresztą nawet gdyby udało jej się przeobrazić kamień, pewnie istniały jeszcze inne zabezpieczenia, by ją powstrzymać.

Na Noce! Ale się wpakowała w tarapaty.

Zakończywszy robienie notatek, wpatrzyła się w wygięty widelec. Po oderwaniu metalowej części, zaczęła rzeźbić drewnianą rączkę, by stworzyć z niej prymitywną pieczęć duszy. Nie wydostaniesz się w taki sposób, Shai, powiedziała sobie. Potrzebujesz innej metody.

Czekała sześć dni, szukając innej drogi wyjścia. Strażników, których mogłaby wykorzystać, kogoś, kogo mogłaby przekupić, wskazówek związanych z naturą jej celi. Jak na razie nic...

Gdzieś wysoko ktoś otworzył drzwi do lochów.

Shai poderwała się na równe nogi i wcisnęła rączkę widelca za pasek na plecach. Przesunęli datę jej egzekucji?

Na stopniach prowadzących do lochów rozległy się ciężkie kroki. Zmrużyła oczy, wpatrując się

w ludzi, którzy pojawili się nad jej celą. Czterech było strażnikami, towarzyszyli mężczyźnie o pociągłej twarzy i długich palcach. Wielki, członek rasy, która rządziła cesarstwem. Niebieskozielona szata oznaczała urzędnika niższej rangi, który zdał egzaminy kwalifikujące do służby w administracji, ale nie awansował zbyt wysoko.

Shai czekała z napięciem.

Wielki pochylił się i spojrzął na nią przez kratę. Zawahał się, po czym gestem kazał strażnikom ją otworzyć.

– Arbitrzy pragną cię przesłuchać, Falszerzu.

Shai cofnęła się, kiedy otworzyli sufit jej celi, a później opuścili drabinę. Ostrożnie wspięła się na górę. Gdyby to ona zamierzała zaprowadzić kogoś na przyspieszoną egzekucję, pozwoliłaby więźniowi myśleć, że chodzi o coś innego, żeby nie stawiał oporu. Jednak strażnicy nie zakuli jej w kajdany, gdy wyprowadzali ją z więzienia.

Wydawało się, że rzeczywiście prowadzili ją do gabinetu arbitrów. Shai zapanowała nad sobą. W takim razie nowe wyzwanie? Czy odważy się mieć nadzieję na okazję? Nie powinna dać się złapać, ale na to nic już nie mogła poradzić. Została pokonana, zdradzona przez cesarskiego błazna, choć założyła, że może mu zaufać. Zabrał jej kopię Księżykowego Berła i podłożył ją w miejsce oryginału, a później uciekł.

Wuj Won nauczył Shai, że porażka jest częścią życia. Niezależnie od tego, jak dobrym się było, zawsze był ktoś jeszcze lepszy. Jeśli człowiek postępował w życiu zgodnie z tą wiedzą, nigdy nie nabierał nadmiernej pewności siebie i nie stawał się niedbały.

Ostatnio przegrała. Teraz wygra. Odepchnęła od siebie wszelką frustrację związaną z faktem, że została pojmana, i stała się osobą, która mogła wykorzystać tę nową szansę, czymkolwiek miała się okazać. Wykorzysta ją i rozkwitnie.

Tym razem grała nie o bogactwo, ale o życie.

Strażnicy byli Uderzającymi – a w każdym razie tak nazywali ich Wielcy. Oni sami niegdyś nazywali się Mulla'dil, ale ich naród został wchłonięty przez cesarstwo przed tak wielu laty, że niewielu używało tej nazwy. Uderzający byli wysocy, szczupli i bladzi. Włosy mieli niemal równie ciemne jak włosy Shai, ale kręcone, podczas gdy jej włosy były długie i proste. Z niejakim sukcesem spróbowała nie czuć się przez nich przytłoczona. Jej lud, MaiPon, nie sływał z wysokiego wzrostu.

– Ty – powiedziała do pierwszego Uderzającego, kiedy znalazła się na przedzie grupki. – Pamiętam cię.

Starannie uczesane włosy świadczyły o tym, że młody kapitan rzadko nosił hełm. Uderzający cieszyli się sympatią Wielkich, zdarzało im się nawet Wyniesienie. Stojący przed nią młodzieniec wydawał się przejęty. Ten wypolerowany pancerz, staranny ubiór. Tak, wierzył, że w przyszłości czekają go ważne zadania.

– Ten koń – powiedziała Shai. – Po tym, jak zostałam pojmana, przerzuciłeś mnie przez grzbiet swojego konia. Wysokie zwierzę, całkiem białe, z Gurish. Dobry wierzchowiec. Znacicie się na koniach.

Uderzający patrzył przed siebie, ale mruknął pod nosem:

– Zabicie cię sprawi mi wielką przyjemność, kobieto.

Cudownie, pomyślała Shai, gdy wkroczyli do cesarskiego skrzydła pałacu. Zdobila je wspinała kamieniarka w starożytnym stylu Lamio, wysokie marmurowe kolumny pokryte płaskorzeźbami. Te

wielkie urny między kolumnami stworzono, by naśladowały ceramikę Lamio sprzed wielu lat.

Właściwie, przypomniała sobie, Stronnictwo Dziedzictwa wciąż rządzi, więc...

Cesarz należał do tego stronnictwa, podobnie jak rada pięciu arbitrów, która w rzeczywistości sprawowała rządy. Ich stronnictwo uważało za chwalebne poznawanie dawnych kultur, posunęli się nawet tak daleko, że przebudowali swoje skrzydło pałacu na podobieństwo starożytnej budowli. Shai podejrzewała, że na dnie tych „starożytnych” urn znajdowały się pieczęcie duszy, które przeobrażały je w doskonałą imitację słynnych zabytków.

Tak, Wielcy nazywali moce Shai ohydny, ale jedynym ich aspektem, który był oficjalnie zakazany, było stworzenie Fałszerstwa, które zmieniało człowieka. Uprawiane po cichu Fałszowanie przedmiotów było w cesarstwie dopuszczone, nawet wykorzystywane, jeśli tylko Fałszerz był starannie kontrolowany. Gdyby ktoś odwrócił jedną z tych urn i usunął pieczęć z dna, zmieniłaby się w prostą, niczym nieozdobioną ceramikę.

Uderzający zaprowadzili ją do drzwi inkrustowanych złotem. Kiedy się otworzyły, Shai zauważyła czerwoną pieczęć duszy na dolnej krawędzi skrzydła, która zmieniała drzwi w imitację jakiegoś dzieła z przeszłości. Strażnicy wprowadzili ją do przytulnego pomieszczenia z ogniem płonącym na kominku, grubymi dywanami i meblami z ciemnego drewna. Chatka myśliwska z piątego wieku, domyśliła się Shai.

Cała piątka arbitrów ze Stronnictwa Dziedzictwa czekała na nią w środku. Troje – dwie kobiety, jeden mężczyzna – siedziało na krzesłach z wysokimi oparciami przy kominku. Za stojącym tuż przy drzwiach biurkiem siedziała jeszcze jedna kobieta. Frava, najwyższy rangą arbiter ze Stronnictwa Dziedzictwa, była najprawdopodobniej najpotężniejszą osobą w całym cesarstwie poza samym cesarzem Ashravanem. Siwiejące włosy zaplotła w długi warkocz ozdobiony złotymi i czerwonymi wstążkami, który opadał na złotą szatę. Shai od dawna zastanawiała się, jak obrabować tę kobietę, gdyż jednym z jej licznych obowiązków było nadzorowanie Cesarskiej Galerii, a jej biura znajdowały się tuż obok.

Frava najwyraźniej kłóciła się z Gaotoną, starszym Wielkim, który stał obok biurka – wyprostowany, z rękami splecionymi za plecami, w pozie pełnej namysłu. Gaotona był najstarszym z rządzących arbitrów. Powiadano, że jest też najmniej wpływowy, gdyż wypadł z łask cesarza.

Oboje umilkli, kiedy Shai weszła do środka. Patrzyli na nią, jakby była kotem, który właśnie zrzucił cenny wazon. Shai brakowało okularów, ale starała się nie mrużyć oczu, kiedy podeszła bliżej, by stawić czoło tym ludziom. Musiała robić wrażenie jak najsilniejszej.

– Wan ShaiLu – powiedziała Frava, podnosząc z biurka arkusz papieru. – Przypisuje ci się długą listę zbrodni.

Sposób, w jaki to mówisz... W co gra ta kobieta? Chce czegoś ode mnie, uznała Shai. To jedyny powód, by mnie w ten sposób przyjąć.

Pojawiły się nowe możliwości.

– Podszywanie się pod wysoko postawioną arystokratkę – mówiła dalej Frava – włamanie do Cesarskiej Galerii w pałacu, Sfałszowanie własnej duszy i oczywiście usiłowanie kradzieży Księżycowego Berła. Naprawdę zakładałaś, że nie rozpoznamy prostego fałszyfikatu tak cennej cesarskiej własności?

Wygląda na to, pomyślała Shai, że właśnie tak się stało, jeśli błaznowi udało się uciec z oryginałem.

Przeszedł ją przyjemny dreszczyk na myśl, że sfalszowany przez nią przedmiot zajmował teraz honorowe miejsce Księżycowego Berła w Cesarskiej Galerii.

– A to?

Frava zamachała długimi palcami w stronę jednego z Uderzających, by przyniósł coś z rogu pomieszczenia. Obraz, który strażnik umieścił na biurku. Mistrzowskie dzieło Hana ShuXena, Lilia na wiosennym stawie.

– Znaleźliśmy to w twoim pokoju w gospodzie – powiedziała Frava, stukając palcami w obraz. – To kopia dzieła, które należy do mnie, jednego z najsłynniejszych w cesarstwie. Oddaliśmy je naszym rzeczoznawcom, którzy oceniają, że to fałszerstwo jest w najlepszym przypadku dziełem amatora.

Shai spojrzała kobiecie w oczy.

– Powiedz mi, dlaczego stworzyłaś to fałszerstwo? – Frava pochyliła się. – Wyraźnie zamierzałaś zastąpić nim obraz w moim biurze obok Cesarskiej Galerii. A jednocześnie chciałaś zdobyć samo Księżycowe Berło. Dlaczego planowałaś ukraść również obraz? Chciwość?

– Wuj Won powtarzał, że zawsze powinnam mieć plan awaryjny. Nie mogłam mieć pewności, że berło w ogóle będzie wystawiane.

– Ach... – powiedziała Frava. Jej twarz przybrała niemal matczyzny wyraz, choć jednocześnie kryły się w niej kiepsko ukrywana odraza i protekcyjność. – Poprosiłaś, by twoją sprawę rozpatrzyli arbitrzy, jak większość więźniów. Pod wpływem kaprysu zgodziłam się spełnić twoją prośbę, gdyż byłam ciekawa, dlaczego stworzyłaś ten obraz. – Pokręciła głową. – Ale, dziecko, nie możesz chyba wierzyć, że cię wypuścimy. Z takimi grzechami na sumieniu? Twoja sytuacja jest ogromnie trudna, a nasze miłosierdzie ma swoje ograniczenia...

Shai posłała spojrzenie pozostałym arbitrom. Wydawało się, że ci siedzący przy kominku nie zwracają na nią uwagi, ale nie rozmawiali między sobą. Słuchali. Coś się stało, pomyślała Shai. Martwią się.

Gaotona stał nieco z boku. Wpatrywał się w Shai oczyma, które nie zdradzały żadnych uczuć.

Frava zachowywała się jak dorosły besztający małe dziecko. Jej ostatnie słowa miały na celu wzbudzenie w Shai nadziei na uwolnienie. Całość miała ją zmiękczyć, skłonić do zgody na wszystko w nadziei, że zostanie uwolniona.

To rzeczywiście okazja...

Nadszedł czas, by przejąć inicjatywę.

– Czegoś ode mnie chcecie – powiedziała Shai. – Jestem gotowa omówić wynagrodzenie.

– Wynagrodzenie? – powtórzyła Frava. – Dziewczyno, jutro masz zostać stracona! Gdybyśmy rzeczywiście czegoś od ciebie chcieli, wynagrodzeniem byłoby twoje życie.

– Moje życie należy do mnie – stwierdziła Shai. – I to już od kilku dni.

– Daj spokój. Zostałaś zamknięta w celi Fałszerza, ze ścianami z trzydziestu różnych rodzajów kamienia.

– A dokładniej: czterdziestu czterech.

Gaotona uniósł z podziwem brew.

Na noce! Cieszę się, że mi się udało...

Shai popatrzyła na Gaotone.

– Myśleliście, że nie rozpoznam kamienia szlifierskiego, prawda? Bez żartów. Jestem Fałszerzem.

Poznałam rodzaje skał w pierwszym roku szkolenia. Tamten blok bez wątpienia pochodził z kamieniołomu Laio.

Frava otworzyła usta, by się odezwać, a na jej wargach pojawił się delikatny uśmiech.

– Tak, wiem o płytach z ralkalestu, metalu, który nie poddaje się Fałszerstwu, ukrytych za kamiennym murem mojej celi – domyśliła się Shai. – Mur był zagadką, która miała mnie rozproszyć. Nie wybudowalibyście celi ze skał takich jak wapień, na wypadek gdyby więzień zrezygnował z Fałszerstwa i postanowił wykuć sobie drogę na wolność. Wybudowaliście mur, a później zabezpieczyliście go z tyłu płytą z ralkalestu, żeby odciąć drogę ucieczki.

Frava zamknęła usta.

– Problem z ralkalestem – mówiła dalej Shai – polega na tym, że nie jest zbyt wytrzymały. Owszem, krata na górze mojej celi była dość masywna i tamtędy bym się nie wydostała. Ale cienka płyta? Bez żartów. Słyszeliście o antracycie?

Frava zmarszczyła czoło.

– To skała, która się pali – powiedział Gaotona.

– Daliście mi świecę – stwierdziła Shai i sięgnęła za plecy. Rzuciła na biurko prowizoryczną drewnianą pieczęć duszy. – Musiałam tylko Sfalszować ścianę i przekonać kamienie, że są antracytem... co nie byłoby trudne, kiedy już poznałam czterdzieści cztery rodzaje kamienia. Mogłabym je spalić, a one stopiłyby płytę za nimi.

Shai przyciągnęła sobie krzesło i usiadła przy biurku. Odchyliła się do tyłu. Za jej plecami kapitan Uderzających warknął cicho, ale Frava zacisnęła wargi i nic nie powiedziała. Shai rozluźniła mięśnie i bezgłośnie wyszeptała modlitwę do Nieznanego Boga.

Na Noce! Wydawało się, że rzeczywiście to kupili. Martwiła się, że mogli wiedzieć dość o Fałszowaniu, by przejrzeć jej kłamstwa.

– Zamierzałam uciec dziś w nocy – powiedziała Shai – ale czymkolwiek jest to, czego ode mnie chcecie, musi być ważne, skoro szukacie pomocy takiego szubrawca jak ja. I tak oto przechodzimy do kwestii mojego wynagrodzenia.

– Wciąż mogłabym nakazać cię stracić – zauważyła Frava. – Tu i teraz.

– Ale nie zrobisz tego, prawda?

Frava zacisnęła zęby.

– Ostrzegałem cię, że nie będzie łatwo nią manipulować – powiedział Gaotona do Fravy.

Shai widziała, że zrobiła na nim wrażenie, ale jednocześnie jego oczy wydawały się... smutne? Czy to było właściwe uczucie? Odkryła, że odczytanie tego mężczyzny jest równie trudne jak lektura książki napisanej po svordyjsku.

Frava uniosła palec, a później przesunęła go w bok. Podeszedł do niej służący z niewielką, obitą tkaniną szkatułką. Na jej widok Shai zadrżało serce.

Mężczyzna otworzył zamek z przodu i uniół wieko. Szkatułka była wyłożona miękką tkaniną z pięcioma wgłębieniami, w których znajdowały się pieczęcie duszy. Każda cylindryczna kamienna pieczęć miała długość palca i grubość męskiego kciuka. Spoczywający na nich oprawiony w skórę notatnik był zużyty – Shai wciągnęła nozdrzami jego znajomą woń.

Nazywane Znakami Esencji były najpotężniejszym rodzajem pieczęci duszy. Każdy Znak Esencji należało dostroić do określonej jednostki, co pozwalało na krótki czas na nowo stworzyć ich historię,

osobowość i duszę. Te pięć dostrojono do Shai.

– Pięć pieczęci, by na nowo stworzyć duszę – powiedziała Frava. – Każda z nich jest plugawa i nielegalna. Te Znaki Esencji miały zostać zniszczone tego popołudnia. Nawet gdybyś uciekła, utraciłabyś je. Ile zajmuje stworzenie jednego z nich?

– Całe lata – szepnęła Shai.

Nie istniały inne kopie. Notatki i diagramy były zbyt niebezpieczne, by je przechowywać, nawet w ukryciu, gdyż dawały innym zbyt wielki wgląd w jej duszę. Nigdy nie spuszczała z oczu Znaków Esencji, pomijając te rzadkie przypadki, gdy zostały jej odebrane.

– Przyjmiesz je jako zapłatę? – spytała Frava.

Wykrzywiła usta, jakby omawiała posiłek składający się ze śluzu i zepsutego mięsa.

– Tak.

Frava pokiwała głową, a służący zatrzasnął szkatułkę.

– W takim razie pozwól, że pokażę ci, co masz zrobić.

* * *

Shai nigdy wcześniej nie spotkała cesarza, nie wspominając już o macaniu jego twarzy.

Cesarz Ashravan Osiemdziesięciu Słońc – czterdziesty dziewiąty władca Różanego Imperium – nie zareagował, gdy Shai trąciła go palcem. Patrzył tępo przed siebie, na jego okrągłych policzkach malował się zdrowy rumieniec, ale twarz pozostawała całkowicie bez wyrazu.

– Co się stało? – spytała Shai, podnosząc się znad cesarskiego łoża.

Wykonano je w stylu starożytnego ludu Lamio, jego wezglowie miało kształt feniksa wznoszącego się do niebios. Kiedyś widziała szkic takiego wezglowia w jakiejś księdze – pewnie Fałszerstwo opierało się na tym właśnie źródle.

– Skrytobójcy – wyjaśnił arbiter Gaotona. Stał po drugiej stronie łoża, obok dwóch chirurgów. Spośród wszystkich Uderzających na wejście zezwolono jedynie ich kapitanowi Zu. – Mordercy włamali się dwie noce temu, zaatakowali cesarza i jego żonę. Ją zamordowali, a cesarza trafili w głowę bełtem z kuszy.

– Trzeba przyznać, że mimo to wygląda doskonale – zauważyła Shai.

– Słyszałaś kiedyś o zamykaniu? – spytał Gaotona.

– Niewiele – przyznała Shai.

Jej lud nazywał je Fałszerstwem Ciała. Z jego pomocą doskonały chirurg mógł wpłynąć na ciało tak, by usunąć rany i blizny. Procedura wymagała wielkiej specjalizacji. Aby uzdrawiać, Fałszerz musiał znać każde ścięgno, każdą żyłę i mięsień.

Zamykanie było jedną z nielicznych gałęzi Fałszerstwa, których Shai nie zgłębiała. Jeśli zrobiło się błąd przy zwykłym fałszowaniu, otrzymywało się kiepskiej jakości dzieło. Pomyłka w Fałszerstwie Ciała mogła kosztować kogoś życie.

– Nasi zamykający są najlepsi na świecie – powiedziała Frava. Założywszy ręce za plecami, obeszła łoże. – Po zamachu szybko zajęli się cesarzem. Rana głowy została uleczona, ale...

– Ale jego umysł nie? – spytała Shai, znów machając ręką przed twarzą mężczyzny. – Nie nazwałabym tego dobrą robotą.

Jeden z chirurgów odchrząknął. Drobnym mężczyzną miał uszy jak okiennice, które zostały szeroko otwarte w słoneczny dzień.

– Zamykanie naprawia ciało i je odnawia. Przypomina to jednak ponowne oprawienie księgi po pożarze. Owszem, może wyglądać zupełnie tak samo i może być całkowicie nieuszkodzona. Słowa jednak... słowa zniknęły. Daliśmy cesarzowi nowy mózg, ale on jest po prostu pusty.

– Aha – mruknęła Shai. – Dowiedzieliście się, kto próbował go zabić?

Piątka arbitrów popatrzyła po sobie. Tak, wiedzieli.

– Nie jesteśmy pewni – stwierdził Gaotona.

– Co znaczy – dokończyła Shai – że wiecie, ale nie macie dość dowodów, by kogokolwiek oskarżyć.

Inne stronnictwo z dworu, tak?

Gaotona westchnął.

– Stronnictwo Chwały.

Shai zagwizdała cicho, ale uznała, że to ma sens. Gdyby cesarz zginął, istniało spore prawdopodobieństwo, że to Stronnictwo Chwały zwyciężyłoby w walce o prawo mianowania jego następcy. Cesarz Ashravan miał czterdzieści lat, czyli jak na Wielkiego był całkiem młody. Spodziewano się, że będzie rządził kolejne pięćdziesiąt lat.

Gdyby zastąpił go ktoś inny, piątka arbitrów w tej komnacie utraciłaby swoje stanowiska – co byłoby ogromnym ciosem dla ich pozycji. Z najpotężniejszych ludzi na świecie staliby się jednym z najmniej liczących się spośród osiemdziesięciu dworskich stronnictw.

– Skrytobójcy nie przeżyli zamachu – powiedziała Frava. – Stronnictwo Chwały nie wie jeszcze, czy ich spisek się powiódł. Ty zastąpisz duszę cesarza... – Odetchnęła głęboko. – Fałszerstwem.

Oszaleli, pomyślała Shai. Sfałszowanie własnej duszy było bardzo trudne, a jej nie trzeba było budować od zera.

Arbitrzy nie mieli pojęcia, o co prosili. Ale to oczywiste. Nienawidzili Fałszerstw, w każdym razie tak utrzymywali. Stąpali po imitacjach płytek posadzki obok kopii starożytnych waz, pozwalali chirurgom naprawiać ciała, ale żadnej z tych procedur nie nazywali w swoim języku „Fałszerstwem”.

Fałszowanie duszy uważali za ohydne. A to znaczyło, że Shai była ich jedyną szansą. Nikt w ich rządzie nie byłby do tego zdolny. Skądinąd ona też pewnie nie.

– Możesz to zrobić? – spytał Gaotona.

Nie mam pojęcia, pomyślała Shai.

– Tak – odpowiedziała.

– Fałszerstwo musi być dokładne – powiedziała surowo Frava. – Jeśli Stronnictwo Chwały domyśli się, co zrobiliśmy, zaatakują. Cesarz nie może się zachowywać niewłaściwie.

– Powiedziałam, że mogę to zrobić – odparła Shai. – Ale nie będzie łatwo. Potrzebuję informacji o Ashravanie i jego życiu, wszystkiego, co tylko uda się zdobyć. Oficjalne kroniki to początek, ale one są zbyt jałowe. Będę musiała dużo rozmawiać i prosić o wypowiedzi pisemne tych, którzy znali go najlepiej. Służbę, przyjaciół, członków rodziny. Czy prowadził dziennik?

– Tak – przyznał Gaotona.

– Doskonale.

– Te dokumenty są zapieczętowane – zauważył jeden z pozostałych arbitrów. – Chciał, żeby zostały zniszczone...

Wszyscy obecni spojrzeli w jego stronę. Mężczyzna przełknął ślinę i spuścił wzrok.

– Dostaniesz wszystko, o co prosisz – powiedziała Frava.

– Potrzebuję też obiektu do prób – dodała Shai. – Kogoś, na kim będę mogła sprawdzać swoje Fałszerstwo. Wielkiego, mężczyznę, kogoś, kto często przebywał w otoczeniu cesarza i dobrze go znał. Muszę się upewnić, że stworzyłam właściwą osobowość. – Na Noce! Właściwa osobowość to kwestia wtórna. Pierwszym krokiem było przygotowanie pieczęci, która rzeczywiście się przyjmie. Nie miała pewności, czy w ogóle jej się to uda. – I oczywiście będę potrzebować kamienia duszy.

Frava patrzyła na nią z założonymi rękami.

– Chyba nie spodziewacie się, że poradzę sobie bez kamienia duszy – rzuciła oschle Shai. – Mogłabym wyrzeźbić pieczęć w drewnie, gdybym musiała, ale to, czego ode mnie oczekujecie, już i tak jest bardzo trudne. Kamień duszy. I to dużo.

– W porządku – zgodziła się Frava. – Ale przez te trzy miesiące będziesz obserwowana. I to uważnie.

– Trzy miesiące? – powtórzyła Shai. – Planowałam, że zajmie to co najmniej dwa lata.

– Masz sto dni – stwierdziła Frava. – A w tej chwili już dziewięćdziesiąt osiem.

Niemożliwe.

– Oficjalnym wyjaśnieniem, dlaczego przez te ostatnie dwa dni nikt nie widział cesarza – wtrąciła inna z arbitrów – jest żałoba po śmierci żony. Stronnictwo Chwały będzie zakładać, że rozpaczliwie próbujemy sobie kupić czas po śmierci cesarza. Po zakończeniu stu dni izolacji zażądają, by Ashravan pokazał się na dworze. Jeśli tego nie zrobi, jesteśmy skończeni.

„I ty też”, sugerował ton jej głosu.

– Będę potrzebować złota – stwierdziła Shai. – Weźcie tyle, ile spodziewacie się, że za to zażądam, i pomnożcie razy dwa. Zamierzam opuścić ten kraj bogata.

– Zgoda – powiedziała Frava.

Za łatwo mi poszło, pomyślała Shai. Cudownie. Zamierzają zabić ją po zakończeniu całej sprawy.

Cóż, to dawało jej dziewięćdziesiąt osiem dni na wymyślenie sposobu, by uciec.

– Dajcie mi te zapiski – powiedziała. – Potrzebuję miejsca do pracy, dobrego zaopatrzenia i wszystkich swoich rzeczy. – Uniosła rękę, nim zdążyli zaprotestować. – Nie chodzi mi o Znaki Esencji, ale całą resztę. Nie zamierzam pracować przez trzy miesiące w tym samym ubraniu, które nosiłam w więzieniu. A, skoro już przy tym jesteśmy, niech przygotują mi też kąpiel.



DZIEŃ TRZECI

Następnego dnia – wykąpana, najedzona i wypoczęta po raz pierwszy od uwięzienia – Shai usłyszała pukanie do drzwi.

Dali jej komnatę. Była malutka, pewnie najbrzydsza w całym pałacu, i nieco śmierdziała stęchlizną. Oczywiście zostawili strażników, którzy pilnowali jej przez całą noc, a do tego – o ile pamiętała rozkład ogromnego pałacu – znajdowała się w najrzadziej uczęszczanym skrzydle, wykorzystywanym głównie jako magazyn.

Ale i tak czuła się lepiej niż w celi. Odrobinę.

Usłyszawszy pukanie do drzwi, Shai podniosła wzrok znad starego stołu z cedrowego drewna. Pewnie ostatni raz przetarto go naoliwioną ściereczką jeszcze przed jej narodzinami. Jeden ze strażników otworzył drzwi, wpuszczając do środka starego arbitra Gaotonę. Niósł skrzynię szeroką na dwie piędzi i głęboką na kilka cali.

Shai podeszła pośpiesznie, ściągając na siebie ponure spojrzenie Zu, który stał obok arbitra.

- Nie zbliżaj się do jego łaskawości – warknął Zu.
- Albo co? – spytała Shai, odbierając skrzynię. – Zadźgasz mnie?
- Pewnego dnia sprawi mi wielką przyjemność...
- Tak, tak – mruknęła Shai.

Podeszła znów do stołu i podniosła wieko skrzyni. Znajdowało się w niej osiemnaście pieczęci duszy, ich główki były gładkie i nietknięte. Shai przeszył dreszcz, gdy wzięła jedną z nich, podniosła i przyjrzała się uważnie.

Odzyskała okulary, więc nie musiała już mrużyć oczu. Miała też na sobie strój, który pasował jej o wiele lepiej niż tamta wyświechtana sukienka – prostą czerwoną spódnicę do pół łydki i zapinaną na guziki bluzkę. Wielcy uznaliby ten strój za niemodny, gdyż obecnie preferowali luźne szaty wzorowane na starożytnych, które Shai wydawały się paskudne. Pod bluzką miała obcisłą bawełnianą koszulkę, a pod spódnicą rajtuzy. Dama zawsze musiała liczyć się z koniecznością zrzucenia zewnętrznej warstwy odzieży, by udawać kogoś innego.

- To dobry kamień – powiedziała Shai, patrząc na trzymaną w palcach pieczęć.

Wyjęła jedno z dłut, którego koniec był cienki jak igła, i zaczęła przesuwając nim po kamieniu. Rzeczywiście dobry kamień duszy. Dawał się rzeźbić łatwo i precyzyjnie. Kamień duszy był miękki jak kreda, ale pod naciskiem dłuta nie odpryskiwał. Można go było bardzo dokładnie wyrzeźbić, a później rozgrzać w płomieniu, co sprawiało, że stawał się niemal równie twardy, jak kwarc. Jedynym sposobem uzyskania lepszej pieczęci było rzeźbienie w kryształach, co jednak było niewiarygodnie

trudne.

Oprócz tego dostała jaskrawoczerwony atrament z kałamarnicy zmieszany z odrobiną wosku. Dowolny świeży atrament pochodzenia organicznego się nadawał, choć atramenty ze zwierząt były lepsze niż roślinne.

– Czy ty... ukradłaś wazę z korytarza na zewnątrz? – spytał Gaotona, spoglądając z ponurą miną w stronę przedmiotu stojącego w kącie jej niewielkiej komnaty.

Shai zabrała jedną z waz, wracając z łaźni. Jeden ze strażników próbował się wtrącić, ale go przekonała. Ten strażnik teraz się zarumienił.

– Ciekawiły mnie umiejętności waszych Falszerzy – wyjaśniła Shai.

Odstawiła narzędzia i przeniosła wazę na stół. Położyła ją na boku, ukazując dno i wyciśniętą w glinie czerwoną pieczęć.

Pieczęć Falszerza była łatwa do zauważenia. Nie tylko znaczyła powierzchnię przedmiotu, ale wręcz wnikała w materiał, tworząc sieć czerwonych zagłębień. Krawędź pieczęci też była czerwona, ale wypukła.

Sposób tworzenia pieczęci dużo mówił o człowieku. Ta na przykład wydawała się pusta. Nie robiła wrażenia prawdziwej sztuki, co wyraźnie kontrastowało z delikatną urodą i skomplikowanym wzorem wazy. Shai słyszała kiedyś, że Stronnictwo Dziedzictwa ma całą gromadę na wpół wyszkolonych Falszerzy, którzy pracowali na akord, tworząc te dzieła sztuki dokładnie tak samo, jak rzędy ludzi szyjących buty w fabryce.

– Nasi pracownicy nie są Falszermi – powiedział Gaotona. – Nie używamy tego słowa. Są Przypominającymi.

– Jedno i to samo.

– Oni nie dotykają dusz – poprawił ją surowo Gaotona. – Poza tym to, co robimy, ma na celu docenienie przeszłości, a nie oszukanie ludzi. Nasze pamiątki pozwalają ludziom lepiej zrozumieć swoje dziedzictwo.

Shai uniosła brew. Wzięła pobijak i dłuto, po czym opuściła je pod kątem do wzniesionej krawędzi pieczęci. Ta stawiała opór – była w niej moc, która próbowała pozostać na swoim miejscu – ale dłuto się przebiło. Reszta pieczęci podskoczyła, zagłębienia zniknęły, a sama pieczęć stała się zwykłym atramentem i straciła moc.

Waza natychmiast zaczęła blaknąć, aż wreszcie stała się jednolicie szara, jej kształt zaś się wypaczył. Pieczęć duszy nie tylko zmieniała wygląd, ale też od nowa pisała historię przedmiotu. Bez pieczęci waza wyglądała okropnie. Ktokolwiek ją stworzył, nie przejmował się efektem. Pewnie wiedział, że będzie częścią Falszerstwa. Shai pokręciła głową i wróciła do pracy nad nieukończoną pieczęcią duszy. Ta nie była dla cesarza – do tego Shai nie była w najmniejszym stopniu przygotowana – ale rzeźbienie pomagało jej myśleć.

Gaotona gestem odesłał wszystkich strażników poza Zu, który pozostał u jego boku.

– Stanowisz pewien problem, Falszerzu – powiedział arbiter w chwili, gdy strażnicy odeszli i zamknęli za sobą drzwi.

Usiadł na jednym z dwóch rozchwierutanych krzeseł. Oprócz nich wyposażenie komnaty stanowiły podniszczone łóżko, stary stół i skrzynia z jej rzeczami. Jedyne okno było wypaczone, przez co w środku hulał wiatr, a w ścianach były pęknięcia.

– Problem? – powtórzyła Shai, unosząc przed sobą pieczęć i wpatrując się uważnie w swoje dzieło. – W jakim sensie?

– Jesteś Fałszerzem. Dlatego też nie można ci pozwolić, byś pracowała bez nadzoru. Spróbujesz uciec w chwili, w której wymyślisz możliwy do zrealizowania plan ucieczki.

– W takim razie zostaw ze mną strażników – odparła Shai i znów zabrała się do rzeźbienia.

– Bez obrazy – powiedział Gaotona – ale sądzę, że w krótkim czasie zdołałabyś ich zastraszyć, przekupić albo zaszantażować.

Stojący obok Zu zeszywniał.

– Nie chciałem cię urazić, kapitanie – powiedział Gaotona. – Darzę twoich ludzi wielkim zaufaniem, ale przed sobą mamy mistrzynię oszustwa, kłamstwa i złodziejstwa. Nawet twoi najlepsi ludzie w końcu staliby się gliną w jej rękach.

– Dziękuję – powiedziała Shai.

– To nie był komplement. Tacy jak ty psują wszystko, czego dotkną. Obawiałem się zostawić cię choć na jeden dzień pod strażą śmiertelnych oczu. To, co o tobie wiem, wskazuje, że byłabyś wręcz zdolna oczarować samych bogów.

Nie przerywała pracy.

– Nie mogę ufać, że powstrzymają cię kajdany – dodał cicho Gaotona – gdyż musimy dać ci kamień duszy, byś mogła pracować nad rozwiązaniem naszego... problemu. Zmieniłabyś kajdany w mydło, a później uciekła, śmiejąc nam się w nos.

To stwierdzenie zdradzało, rzecz jasna, całkowity brak zrozumienia tego, jak działało Fałszerstwo. Fałszerstwo musiało być prawdopodobne – wiarygodne – inaczej by się nie przyjęło. Kto wykułby łańcuch z mydła? Absurd.

Mogłaby jednak odkryć pochodzenie i skład łańcucha, a później napisać od nowa jedno albo drugie. Mogłaby Sfalszować przeszłość łańcucha w taki sposób, by jedno z ogniw zostało wykute w niewłaściwy sposób, i wykorzystać taką wadę. Nawet gdyby nie udało jej się odkryć historii łańcucha, i tak udałoby się jej uciec – niedoskonała pieczęć nie utrzymywała się długo, ale potrzebowałyby jedynie kilku chwil, by strzaskać ogniwo pobijakiem.

Mogliby wykuć łańcuch z ralkalestu, metalu niemożliwego do Sfalszowania, ale to jedynie opóźniłoby jej ucieczkę. Mając dość czasu i kamień duszy, znalazłaby rozwiązanie. Sfalszowałyby ścianę, by pojawiło się w niej osłabiające pęknięcie, i wyrwała z niej łańcuch. Sfalszowałyby sklepienie, by pojawił się w nim obluzowany kamień, który można zrzucić na słabe ralkalestowe ogniwa.

Nie chciała robić nic tak skrajnego, jeśli nie musiała.

– Nie widzę powodu, byście się mną przejmowali – powiedziała, nie przerywając pracy. – Intryguje mnie to, co robimy, a obiecano mi bogactwo. To wystarczy, by mnie tu zatrzymać. Nie zapominajcie, że w każdej chwili mogłam uciec z mojej poprzedniej celi.

– Ach tak – mruknął Gaotona. – Cela, z której mogłaś uciec przez ścianę za pomocą Fałszerstwa. Zaspokoisz moją ciekawość i powiesz mi, czy prowadziłaś badania nad antracytem? Tą skałą, w którą zamierzałaś zmienić ścianę? Jak mi się wydaje, kiedyś słyszałem, że bardzo trudno ją zapalić.

Ten tutaj jest bystrzejszy, niż się ludziom wydaje.

Podpalenie antracytu za pomocą płomienia świecy nie byłoby łatwe – na papierze skała paliła się w odpowiedniej temperaturze, ale odpowiednie podgrzanie całego fragmentu stanowiłoby sporą

trudność.

– Mogłabym stworzyć odpowiednie warunki za pomocą drewna z mojego posłania i kilku kamieni zmienionych w węgiel.

– Bez pieca? – Gaotona wydawał się nieco rozbawiony. – Bez miechów? Ale to bez znaczenia. Powiedz mi, jak zamierzałaś przeżyć w celi, której mury płonęłyby w temperaturze ponad dwóch tysięcy stopni? Czy taki płomień nie pochłoniąłby całego dostępnego powietrza? Ach, oczywiście. Mogłabyś wziąć pościel i przeobrazić ją w jakiś zły przewodnik, na przykład szkło, i ukryć się pod nim.

Shai nie przerywała rzeźbienia, ale czuła się niezręcznie. Sposób, w jaki to powiedział... Tak, wiedział, że nie mogłaby dokonać tego, co opisywał. Większość Wielkich nie miała pojęcia o działaniu Falszerstwa, ten mężczyzna z pewnością też nie wiedział zbyt wiele, ale dosyć, by zrozumieć, że nie mogłaby uciec w sposób, jaki opisała.

Ponadto przemiana całej ściany w inny rodzaj kamienia byłaby trudna. Musiałaby zmienić zbyt wiele rzeczy – przepisać historię w taki sposób, żeby kamieniołomy każdego typu kamienia znajdowały się nieopodal złóż antracytu i żeby w każdym przypadku pałaca się skała została wydobyta przez pomyłkę. To wymagało ogromnego wysiłku, szczególnie bez znajomości poszczególnych kamieniołomów.

Wiarygodność była kluczem do każdego falszerstwa, magicznego czy nie. Ludzie szeptali między sobą o Falszernych zmieniających ołów w złoto, nie uświadamiając sobie, że odwrotny proces był o wiele bardziej prawdopodobny. Wymyślenie historii sztabki złota, do której ktoś gdzieś kiedyś domieszał ołowiu... tak, to było wiarygodne kłamstwo. Odwrotność była tak nieprawdopodobna, że pieczęć niezbędna do takiego przeobrażenia nie utrzymałaby się długo.

– Jestem pod wrażeniem, wasza łaskawość – powiedziała w końcu Shai. – Myślisz jak Falszerny.

Gaotona spochmurniał.

– To miał być komplement – zauważyła.

– Cenię prawdę, młoda damo. Nie Falszerstwa. – Wpatrywał się w nią z miną rozczarowanego dziadka. – Widziałem dzieło twoich rąk. Ta kopia obrazu, którą wykonałaś... była zadziwiająca. Jednak powstała w imię kłamstwa. Jak wiele mogłabyś osiągnąć, gdybyś skupiła się na pracowitości i pięknie zamiast bogactwa i oszustwa?

– To, co robię, jest dziełem sztuki.

– Nie. Kopiujesz dzieła innych. Twoje prace są technicznie wspaniałe, ale brakuje im ducha.

Niemal przerwała rzeźbienie, jej dłonie zeszytywniały. Jak śmiała? Groźba stracenia to jedno, ale ubliżanie jej dziełom? W jego oczach była jak... jak jeden z tych Falszernych przy linii montażowej produkujący wazę za wazą!

Uspokoila się z trudem i przywołała na twarz sztuczny uśmiech. Ciotka Sol powiedziała jej kiedyś, by uśmiechała się, usłyszawszy najgorsze obelgi, a złością reagowała na te pomniejsze. W ten sposób nikt nie mógł poznać, co kryje się w jej sercu.

– Jak w takim razie zamierzacie mnie dopilnować? – spytała. – Już ustaliliśmy, że jestem jednym z najohydniejszych nędzników, jacy pełzali po korytarzach pałacu. Nie możecie mnie związać i nie możecie zaufać własnym żołnierzom, że mnie dopilnują.

– Cóż – powiedział Gaotona – w miarę możliwości będę osobiście doglądał twojej pracy.

Wolałaby Fravę – wydawało się, że łatwiej nią manipulować – ale z tym też sobie poradzi.

– Jak sobie życzysz – powiedziała. – Większość będzie nudna dla kogoś, kto nie ma pojęcia o Falszerstwie.

– Nie interesują mnie rozrywki – powiedział Gaotona i wskazał na kapitana Zu. – W tym czasie zawsze będzie mnie strzec kapitan Zu. Jest jedynym z naszych Uderzających, który ma pojęcie o obrażeniach cesarza, i jedynym, który zna nasz plan związany z tobą. Inni strażnicy będą cię obserwować przez resztę dnia, a tobie nie wolno rozmawiać z nimi o swoim zadaniu. Nie może być żadnych pogłosek na temat tego, co robimy.

– Nie musisz się martwić, że się wygamam – powiedziała Shai, choć raz szczerze. – Im więcej ludzi wie o Falszerstwie, tym większe prawdopodobieństwo, że się nie powiedzie.

Poza tym, pomyślała, gdybym powiedziała strażnikom, to dla zachowania tajemnicy z pewnością byście ich stracili. Nie lubiła Uderzających, ale jeszcze bardziej nie lubiła cesarstwa, a strażnicy byli tylko innym rodzajem niewolników. Shai nie chciała, by ktokolwiek ginął bez powodu.

– Doskonale – stwierdził Gaotona. – Drugi sposób zapewnienia, byś... przyłożyła się do zadania, czeka na zewnątrz. Jeśli można, kapitanie?

Zu otworzył drzwi. Strażnikom towarzyszyła postać otulona płaszczem. Weszła do środka – poruszała się zwinnie, choć jednocześnie jakby nienaturalnie. Kiedy Zu zamknął drzwi, przybysz zdjął kaptur, ukazując mlecznobiałą skórę i czerwone oczy.

Shai syknęła przez zęby.

– I wy nazywacie to, co ja robię, plugawym?

Gaotona zignorował ją i podniósł się z krzesła, by spojrzeć na przybysza.

– Powiedz jej.

Mężczyzna dotknął drzwi długimi białymi palcami i przyjrzał im się.

– Umieszczę runę tutaj – powiedział ze śladami obcego akcentu. – Jeśli z jakiegoś powodu opuści komnatę albo zmieni runę na drzwiach, będę wiedział. Moje zwierzątka po nią przyjdą.

Shai zadrżała. Spiorunowała Gaotonę wzrokiem.

– Pieczętujący Krwią. Zaprosiliście Pieczętującego Krwią do pałacu?

– Ten tutaj okazał się ostatnio użyteczny – stwierdził Gaotona. – Jest lojalny i dyskretny. Jak również bardzo skuteczny. Istnieją... sytuacje, gdy trzeba przyjąć pomoc ciemności, by powstrzymać większą ciemność.

Syknęła cicho, kiedy Pieczętujący Krwią wyjął coś spomiędzy fałdów szaty. Prymitywną pieczęć duszy wyrzeźbioną w kości. Jego „zwierzątka” również powstawały z kości, były Falszerstwami ludzkiego życia stworzonymi ze szkieletów zmarłych.

Pieczętujący Krwią spojrział na nią.

Shai cofnęła się.

– Chyba się nie spodziewasz, że...

Zu chwycił ją za ramiona. Na Noce, był bardzo silny! Spanikowała. Znaki Esencji! Potrzebowała swoich Znaków Esencji! Z ich pomocą mogła walczyć, uciekać...

Zu naciął skórę na jej ramieniu. Ledwie poczuła płytką ranę, ale i tak się szarpała. Pieczętujący Krwią podszedł i pomazał swoje koszarne narzędzie krwią Shai. Następnie odwrócił się i odcisnął pieczęć na środku drzwi.

Kiedy cofnął rękę, na drewnie pozostała świecąca czerwona pieczęć. Miała kształt oka. W chwili gdy

odcisnął znak, Shai poczuła ostry ból w ramieniu, w miejscu rany.

Westchnęła i szeroko otworzyła oczy. Nigdy wcześniej nikt nie odważył się zrobić jej czegoś takiego. Właściwie lepiej, gdyby została stracona! Właściwie lepiej...

Opanuj się, powiedziała sobie z naciskiem. Stań się kimś, kto może sobie z tym poradzić.

Odetchnęła głęboko i pozwoliła sobie stać się kimś innym. Imitacją samej siebie, która była spokojna nawet w takiej sytuacji. To było prymitywne fałszerstwo, sztuczka umysłu, ale i tak zadziałało.

Wyrwała się z uścisku Zu i przyjęła chusteczkę, którą podał jej Gaotona. Ból w ramieniu zaczął słabnąć, a ona piorunowała wzrokiem Pieczętującego Krwią. Uśmiechnął się do niej wargami, które były białe i lekko przezroczyste, jak skóra robaka. Skinął głową Gaotonie, po czym wyszedł z komnaty i zamknął drzwi.

Shai zmusiła się, by oddychać spokojnie, rozluźnić się. W tym, co robił Pieczętujący Krwią, nie było żadnej subtelności – nie w tym się specjalizowali. Zamiast umiejętności i artyzmu wykorzystywali sztuczki i krew. Jednak ich rzemiosło było skuteczne. Mężczyzna dowiedziałby się, gdyby Shai opuściła komnatę, a miał jej świeżą krew na pieczęci, która została do niej dostrojona. Z jej pomocą jego nieumarłe „zwierzątko” wytropiłyby ją, dokądkolwiek by się udała.

Gaotona znów usiadł na krześle.

– Wiesz, co się stanie, gdybyś uciekła?

Spiorunowała go wzrokiem.

– Rozumiesz teraz, jak bardzo jesteśmy zdesperowani – powiedział cicho, splatając palce przed twarzą. – Jeśli uciekniesz, oddamy cię Pieczętującemu Krwią. Z twoich kości stworzy swoje kolejne zwierzątko. Ta obietnica była jedyną zapłatą, jakiej oczekiwał. Możesz zabrać się do pracy, Fałszerzu. Jeśli dobrze ją wykonasz, unikniesz tego losu.



DZIEŃ PIĄTY

Shai zabrała się do pracy.

Zacząła przebijać się przez opisy życia cesarza. Niewielu ludzi rozumiało, jak ważną częścią Fałszerstwa były przygotowania i badania. Tej sztuki mógł się nauczyć każdy, wymagała jedynie pewnej ręki i drobiazgowości.

Oraz gotowości, by poświęcić tygodnie, miesiące, a nawet całe lata na przygotowanie idealnej pieczęci duszy.

Shai nie miała lat. Czująca presję czasu, gdy czytała kolejne biografie, często siedziała po nocach, robiąc notatki. Nie wierzyła, by udało jej się dokonać tego, o co ją prosili. Stworzenie wiarygodnego Fałszerstwa duszy innego człowieka, zwłaszcza w tak krótkim czasie, po prostu nie było możliwe. Niestety, musiała robić dobre wrażenie, jednocześnie planując ucieczkę.

Nie pozwalali jej opuszczać komnaty. Kiedy czuła potrzebę, korzystała z nocnika, a gdy chciała się wykąpać, dostawała balię ciepłej wody i ręczniki. Przez cały czas pozostawała pod nadzorem, nawet jeśli się kąpała.

Pieczętujący Krwią przychodził codziennie rano, by odnowić znak na drzwiach. Za każdym razem potrzebował odrobiny krwi Shai. Jej ramiona wkrótce pokryła sieć płytkich ran.

Przez ten cały czas odwiedzał ją Gaotona. Stary arbiter przypatrywał jej się, kiedy czytała, wpatrywał się w nią oczyma, które ją oceniały... ale w których nie było nienawiści.

Rozmyślając nad planami, doszła do jednego – wydostanie się prawdopodobnie wymagało tego, by w jakiś sposób go zmanipulowała.



DZIEŃ DWUNASTY

Shai przycisnęła pieczęć do blatu stołu.

Jak zawsze główka zagłębiła się nieco. Pieczęć duszy pozostawiała ślad, który dało się wymacać, niezależnie od materiału. Przekręciła pieczęć o pół obrotu, co nie rozmazało atramentu, choć nie wiedziała dlaczego. Jeden z mentorów uczył ją, że to ze względu na to, że w tym momencie pieczęć dotykała duszy przedmiotu, a nie jego fizycznej postaci.

Kiedy cofnęła pieczęć, na drewnie pozostał jaskrawoczerwony znak, jakby w nim wyrzeźbiony. Przeobrażenie rozchodziło się od niego falami. Matowoszare, popękane cedrowe drewno stało się piękne i dobrze utrzymane, a ciepła, lekko wytarta powierzchnia odbijała blask świateł.

Shai oparła palce na nowym stole – teraz gładkim w dotyku. Boki i nogi były pięknie rzeźbione i inkrustowane gdzieś srebrem.

Gaotona wyprostował się i opuścił książkę, którą czytał. Zu na widok Falszerstwa przestąpił z nogi na nogę.

– Co to było? – spytał ostro Gaotona.

– Miałam już dość wbijających się drzazg – powiedziała Shai, odchylając się do tyłu na krześle. Zatrzeszczało.

Ty będziesz następne, pomyślała.

Gaotona wstał i podszedł do stołu. Dotknął go, jakby się spodziewał, że przeobrażenie było jedynie iluzją. Nie było. Piękny stół wydawał się teraz ogromnie nie na miejscu w obskurnym pokoiku.

– Tym się zajmowałaś?

– Rzeźbienie pomaga mi myśleć.

– Powinnaś się skupiać na zadaniu! – powiedział Gaotona. – To marnowanie czasu. Cesarstwo jest w niebezpieczeństwie!

Nie, pomyślała Shai. Nie cesarstwo, tylko wasze nad nim panowanie. Niestety, po jedenastu dniach nadal nie wiedziała, jak podejść Gaotonę, co wykorzystać w tym celu.

– Pracuję nad waszym problemem, Gaotono – powiedziała. – To, o co mnie prosicie, nie jest prostym zadaniem.

– A przeobrażenie stołu było?

– Oczywiście, że tak. Musiałam jedynie przepisać jego przeszłość tak, by był dobrze utrzymany, a nie porzucony i zapomniany. To nie wymagało właściwie żadnej pracy.

Gaotona zawahał się, po czym ukląkł obok stołu.

– Te rzeźby, to inkrustowanie... nie były częścią oryginału.

– Być może dodałam odrobinę od siebie.

Nie była pewna, czy Falszerstwo się przyjmie, czy nie. Pieczęć mogła po kilku minutach wyparować, a stół powrócić do poprzedniego stanu. Mimo wszystko była względnie pewna, że dobrze odgadła jego przeszłość. Niektóre z czytanych przez nią kronik wspominały, skąd pochodziły jakie dary. Jak przypuszczała, ten stół przybył z odległego Svordenu jako dar dla poprzednika cesarza Ashravana. Napięte stosunki ze Svordenem sprawiły, że cesarz zamknął mebel w magazynie i go ignorował.

– Nie rozpoznaję tego dzieła – powiedział Gaotona, wciąż spoglądając na stół.

– A dlaczego miałbyś?

– Prowadziłem rozległe studia nad starożytną sztuką – wyjaśnił. – To z dynastii Vivare?

– Nie.

– Imitacja dzieł Chamrava?

– Nie.

– W takim razie co?

– Nic – odparła z irytacją Shai. – On niczego nie imituje, po prostu stał się lepszą wersją samego siebie.

Taki był sens dobrych Falszerstw – odrobinę ulepszyć oryginał, a wtedy ludzie często akceptowali falsyfikat, bo rzeczywiście był lepszy.

Gaotona wstał. Wydawał się zakłopotany. Znowu myśli, że marnuję swój talent, pomyślała z irytacją Shai, odsuwając na bok stertę relacji z życia cesarza. Zebrane na jej prośbę pochodziły od pałacowej służby. Nie chciała jedynie oficjalnych historii. Potrzebowała autentyzmu, a nie wyjąłowionych deklamacji.

Gaotona wrócił na krzesło.

– Nie rozumiem, jak przeobrażenie tego stołu mogło nie wymagać niemal żadnej pracy, choć bez wątplenia musi być o wiele prostsze od tego, o co cię poprosiliśmy. Obie te rzeczy wydają mi się niewiarygodne.

– Przemiana ludzkiej duszy jest o wiele trudniejsza.

– Rozumowo mogę przyjąć to do wiadomości, ale nie znam szczegółów. Dlaczego tak jest?

Spojrzała na niego. Chce wiedzieć więcej o tym, co robię, pomyślała, żeby zrozumieć, jak przygotowuję się do ucieczki. Oczywiście wiedział, że zamierzała spróbować. Oboje udawali, że żadne z nich o tym nie wie.

– Dobrze – powiedziała, wstała i podeszła do ściany komnaty. – Porozmawiajmy o Falszerstwie. Cella, w której mnie trzymaliście, miała ścianę z czterdziestu czterech rodzajów kamienia, głównie po to, by odwrócić moją uwagę. Gdybym chciała spróbować uciec, musiałabym poznać skład i pochodzenie każdego bloku. Dlaczego?

– Abyś mogła Sfalszować ścianę, rzecz jasna.

– Ale dlaczego wszystkie? – spytała. – Dlaczego nie zmienić tylko jednego bloku albo kilku? Dlaczego nie stworzyć otworu, w który mogłabym się wślizgnąć, tunelu?

– Ja... – Zmarszczył czoło. – Nie mam pojęcia.

Shai oparła dłoń na ścianie swojej komnaty. Została pomalowana, choć farba odpadała w kilku miejscach. Wyczuwała oddzielne kamienie.

– Wszystko istnieje w trzech Krainach, Gaotono. Materii, Umysłu, Ducha. Materia jest tym, co

czujemy, co mamy przed sobą. Umysł jest tym, jak postrzegany jest przedmiot i jak postrzega sam siebie. Kraina Ducha zawiera duszę przedmiotu, jego esencję, jak również sposoby, w jakie jest połączony z otaczającymi go rzeczami i ludźmi.

– Musisz zrozumieć, że nie wierzę w twoje pogańskie przesady.

– Tak, wy oddajecie cześć słońcu – odparła Shai, nie udało jej się przy tym ukryć rozbawienia w głosie. – A raczej osiemdziesięciu słońcom, gdyż wierzycie, że choć wyglądają tak samo, każdego dnia wschodzi inne słońce. Cóż, chciałeś wiedzieć, jak działa Fałszerstwo i dlaczego dusza cesarza będzie tak trudna do odtworzenia. Krainy odgrywają w tym ważną rolę.

– W porządku.

– Chodzi o następującą kwestię. Im dłużej przedmiot istnieje jako całość i im dłużej jest widziany w takiej postaci, tym silniejsze staje się jego poczucie kompletnej tożsamości. Ten stół stworzono z różnych kawałków drewna połączonych ze sobą, ale czy myślimy o nim w ten sposób? Nie. Widzimy całość. Aby Sfałszować stół, musiałam rozumieć go jako całość. Tak samo ścianę. Tamta ściana istniała na tyle długo, by postrzegać się jako osobną jednostkę. Mogłabym pewnie zaatakować każdy z bloków z osobna, być może wciąż pozostało im dość indywidualności, ale byłoby to trudne, gdyż ściana chce działać jako całość.

– Ściana – powtórzył beznamiętnie Gaotona – chce być traktowana jako całość.

– Tak.

– Sugerujesz, że ściana ma duszę.

– Wszystkie rzeczy ją mają – odparła. – Każdy przedmiot postrzega się jako coś. Powiązania i intencje są niezmiernie ważne. Dlatego właśnie, mistrzu arbitrze, nie mogę po prostu napisać osobowości dla waszego cesarza, zapieczętować go i mieć z głowy. Według siedmiu relacji, które czytałam, jego ulubionym kolorem był zielony. Czy wiesz dlaczego?

– Nie – odparł Gaotona. – Dlaczego?

– Jeszcze nie jestem pewna. Wydaje mi się, że to ze względu na to, że zielony był ulubionym kolor jego brata, który zmarł, kiedy Ashravan miał sześć lat. Cesarz go wybrał, ponieważ przypomina mu o niezującym rodzeństwie. Może kryje się w tym również odrobina nacjonalizmu, ponieważ urodził się w Ukurgi, a flaga tej prowincji jest w większości zielona.

Gaotona wydawał się zaniepokojony.

– Musisz znać takie szczegóły?

– Na Noce, tak! I tysiąc innych, równie drobnych elementów. Mogę popełnić kilka błędów. Z pewnością popełnię kilka błędów. Mam nadzieję, że większość z nich pozostanie bez znaczenia... jego osobowość będzie odrobinę odmienna, ale przecież każdy z nas zmienia się z dnia na dzień. Ale jeśli popełnię zbyt wiele błędów, osobowość przestanie się liczyć, bo pieczęć się nie przyjmie. A przynajmniej nie na tyle długo, by cokolwiek nam to dało. Zakładam, że jeśli waszego cesarza trzeba by pieczętować co piętnaście minut, to nie dałoby się utrzymać pozorów.

– Dobrze zakładasz.

Shai usiadła z westchnieniem i spojrzała na notatki.

– Powiedziałaś, że możesz to zrobić.

– Tak.

– Robiłaś to wcześniej, z własną duszą.

– Znam swoją własną duszę – odparła. – Znam swoją historię. Wiem, co mogę zmienić, by uzyskać oczekiwany efekt... a nawet stworzenie własnych Znaków Esencji było trudne. Teraz nie tylko muszę to zrobić dla innej osoby, ale i przeobrażenie jest o wiele większe. A zostało mi na to dziewięćdziesiąt dni.

Gaotona powoli pokiwał głową.

– A teraz – dodała – powiedz mi, co robicie, by utrzymać pozory, że cesarz jest przytomny i czuje się dobrze.

– Robimy wszystko, co konieczne.

– Nie mam co do tego pewności. Myślę, że lepiej sobie radzę z oszukiwaniem innych niż większość.

– Sądzę, że będziesz zaskoczona – odparł. – W końcu jesteśmy politykami.

– W porządku, racja. Ale posyłacie mu jedzenie, prawda?

– Oczywiście. Do komnat cesarza trafiają trzy posiłki dziennie. Do pałacowych kuchni wracają puste talerze, choć oczywiście w tajemnicy karmimy go bulionem. Wypija go, kiedy go do tego skłonimy, ale patrzy przed siebie, jakby był głuchy i niemy.

– A nocnik?

– On nad sobą nie panuje – powiedział Gaotona, krzywiąc się. – Zakładamy mu pieluchy z tkaniny.

– Na Noce, człowieku! I nikt nie opróżnia fałszywego nocnika? Nie sądzisz, że to podejrzane? Pokojówki zaczną plotkować, podobnie jak strażnicy przy drzwiach. Musicie myśleć o takich rzeczach!

Gaotona zachował dość przyzwoitości, by się zarumienić.

– Dopilnuję tego, choć nie podoba mi się myśl, że ktoś jeszcze wejdzie do jego komnat. Zbyt wielu miałoby szansę odkryć, co się z nim stało.

– W takim razie wybierzcie kogoś, komu ufacie – powiedziała Shai. – Właściwie niech taka będzie zasada. Niech nie wpuszczają tam nikogo, kto nie ma kartki z odciskiem twojego osobistego sygnetu. I tak, wiem, dlaczego otwierasz usta, by zaprotestować. Doskonale wiem, jak strzeżone są komnaty cesarza... przestudiowałam tę kwestię, gdy przygotowywałam się do włamania do galerii. Wasze zabezpieczenia nie są wcale tak szczelne, co udowodnili skrytobójcy. Jeśli wieść o tym, co stało się z cesarzem, wydostanie się na zewnątrz, nie wątpię, że powrócę do tamtej celi, by czekać na egzekucję.

Gaotona westchnął, ale pokiwał głową.

– Co jeszcze sugerujesz?



DZIEŃ SIEDEMNASTY

Chłodny wietrzyk niosący aromaty nieznanych przypraw wpadał przez szczeliny w wypaczonej ramie okna Shai. Podobnie jak cichy szmer radosnych okrzyków. Na zewnątrz miasto świętowało. Delbahad, święto, o którym jeszcze dwa lata wcześniej nikt nie wiedział. Stronnictwo Dziedzictwa ciągle wynajdywało i ożywiało starożytnie uroczystości, by zyskać przychylność opinii publicznej.

I tak nic by im to nie dało. Cesarstwo nie było republiką i jedynymi, którzy mieliby głos przy wyborze nowego cesarza, byliby arbitrzy z różnych stronnictw. Shai odcięła się od odgłosów świętowania i wróciła do lektury dziennika cesarza.

W końcu postanowiłem ugiąć się przed żądaniami swojego stronnictwa, czytała. Zaproponuję swoją kandydaturę na stanowisko cesarza, do czego często zachęcał mnie Gaotona. Choroba coraz bardziej osłabia cesarza Yazada i wkrótce zostanie dokonany nowy wybór.

Shai zrobiła notatkę. Gaotona zachęcał Ashravana do walki o tron. A jednak później w dzienniku Ashravan wyrażał się z pogardą o Gaotonie. Skąd ta zmiana? Skończyła notatkę i przeszła do innego wpisu, wiele lat później.

Osobisty dziennik cesarza Ashravana ją fascynował. Władca zapisywał go własnoręcznie i dołączył instrukcje nakazujące, by po jego śmierci dziennik spalono. Arbitrzy bardzo niechętnie dostarczyli jej osobiste notatki cesarza i głośno się przy tym usprawiedliwiali. Ashravan nie umarł. Jego ciało wciąż żyło. Dlatego nie musieli jeszcze spalić jego pism.

Mówili z przekonaniem, ale w ich oczach widziała niepewność. Łatwo było ich odczytać – wszystkich poza Gaotoną, którego wewnętrzne przemyślenia wciąż jej umykały. Nie rozumieli celu tego dziennika. Dlaczego, zastanawiali się, jeśli nie dla potomnych? Dlaczego zapisywać swoje myśli na papierze, jeśli nie po to, by inni je czytali?

Równie dobrze, pomyślała, można spytać Fałszerza, dlaczego czerpie satysfakcję ze stworzenia falsyfikatu i wyeksponowania go, choć przecież żaden z oglądających nie ma pojęcia, że nie podziwia dzieła oryginalnego twórcy.

Dziennik powiedział jej o wiele więcej o cesarzu niż wszystkie oficjalne kroniki, nie tylko ze względu na treść. Karty księgi były wytarte i poplamione od ciągłego przerzucania. Ashravan napisał tę książkę po to, by była czytana – przez niego samego.

Jakich wspomnień poszukiwał Ashravan z takim uporem, że raz za razem odczytywał swoje zapiski? Czy był próżny i cieszył się dreszczykiem wspomnienia dawnych podbojów? A może był niepewny siebie? Czy całymi godzinami szukał pośród tych słów usprawiedliwienia dla swoich błędów? A może istniała inna przyczyna?

Drzwi do jej komnaty się otworzyły. Przestali pukać. A czemu mieliby to robić? I tak pozbawili ją nawet pozorów prywatności. Wciąż była więźniem, choć ważniejszym niż wcześniej.

Do środka weszła arbiter Frava, wysoka i o pociągłej twarzy, okryta szatą w przygaszonym odcieniu fioletu. Tym razem w siwy warkocz wplotła fioletowe i złote wstążki. Strzegł jej kapitan Zu. Shai westchnęła w duchu i poprawiła okulary. Liczyła na noc poświęconą badaniom i planowaniu, bez żadnych przerw, gdyż Gaotona wyszedł, by dołączyć do świętowania.

– Powiedziano mi – odezwała się Frava – że robisz zadziwiające postępy.

Shai odstawiła księgę.

– Właściwie idzie mi całkiem szybko. Jestem już niemal gotowa, by zacząć tworzyć pieczęcie. Jak przypomniałam dziś arbitrowi Gaotonie, będę potrzebowała obiektu do prób, kogoś, kto znał cesarza. Związek między nimi pozwoli mi sprawdzić na nim pieczęcie, a one utrzymają się przez chwilę... dość długo, bym mogła wypróbować kilka rzeczy.

– Dostaniesz go – odparła Frava i podeszła do błyszczącego stołu. Przeciągnęła po nim palcami, zatrzymała się przy czerwonej pieczęci, pomacała ją. – Cóż za przykry widok. Skoro zadałaś sobie tyle trudu, by upiękzyć stół, dlaczego nie umieściłaś pieczęci na spodzie?

– Jestem dumna ze swojego dzieła – odparła Shai. – Jeśli jakiś Falszeryz ujrzy ten stół, będzie mógł się jej przyjrzeć i zobaczyć, czego dokonałam.

Frava pociągnęła nosem.

– Nie powinnaś być dumna z czegoś takiego, złodziejko. Poza tym, czy sednem tego, co robisz, nie jest ukrywanie faktu, że to zrobiłaś?

– Czasami – przyznała Shai. – Kiedy imituję podpis albo podrabiam obraz, podstęp jest częścią pracy. Ale przy Falszerstwie, prawdziwym Falszerstwie, nie da się ukryć tego, co się zrobiło. Pieczęć na zawsze pozostanie na miejscu, pokazując dokładnie, co zostało zrobione. Równie dobrze można być z tego dumnym.

Taka była wielka zagadka jej życia. Bycie Falszeryzem nie wiązało się jedynie z pieczęciami duszy – chodziło o sztukę mimikry we wszystkich jej aspektach. Pismo, sztuka, osobiste sygnety... początkujący Falszeryz – nauczany potajemnie przez jej rodaków – poznawał bardziej przyziemne sposoby fałszerstwa, zanim jeszcze dostał do ręki pieczęcie duszy.

Pieczęcie były czołowym osiągnięciem ich sztuki, ale też najtrudniej się je ukrywało. Owszem, można było umieścić pieczęć w mało widocznym miejscu na przedmiocie, a później ją zasłonić. Shai robiła tak od czasu do czasu. Tyle że, dokąd dało się zobaczyć pieczęć, dotąd Falszerstwo nie było doskonałe.

– Zostawcie nas – powiedziała Frava do Zu i strażników.

– Ale... – Zu zrobił krok do przodu.

– Nie lubię się powtarzać, kapitanie – stwierdziła Frava.

Zu warknął cicho, ale uklonił się posłusznie. Spiorunował Shai wzrokiem – ostatnio było to właściwie jego drugie zajęcie – i odszedł ze swoimi ludźmi. Zamknęli za sobą drzwi.

Krwawa pieczęć wciąż wisiała na drzwiach, odnowiona tego ranka. Pieczętujący Krwią przychodził codziennie niemal o tej samej porze. Shai robiła notatki. Jeśli trochę się spóźnił, jego pieczęć zaczynała blaknąć tuż przed jego przybyciem. Zawsze docierał na czas, by ją odnowić, ale może pewnego dnia...

Frava z namysłem przyjrzała się Shai.

Shai odpowiedziała spokojnym spojrzeniem.

– Zu zakłada, że zrobię ci coś strasznego, skoro zostałeś ze mną.

– Zu jest prostoduszny – powiedziała Frava – choć bardzo użyteczny, kiedy trzeba kogoś zabić.

Miejmy nadzieję, że nigdy nie zaznasz jego skuteczności.

– Nie martwisz się? – spytała Shai. – Zostałeś sam na sam z potworem.

– Zostałam sam na sam z oportunistką. – Frava podeszła do drzwi i wpatrzyła się w płonąca na nich pieczęć. – Nie zrobisz mi krzywdy. Za bardzo interesuje cię, dlaczego odesłałam strażników.

Tak naprawdę, pomyślała Shai, wiem doskonale, dlaczego ich odesłałeś. I dlaczego przyszedłeś do mnie w czasie, gdy wszyscy pozostali arbitrzy są zajęci na uroczystości. Czekala, aż Frava złoży propozycję.

– Czy przyszło ci na myśl – odezwała się Frava – jak dobrze by było mieć cesarza, który słucha głosu rozsądku?

– Z pewnością cesarz Ashravan tak właśnie postępował.

– Czasami. A potrafił też zachowywać się... agresywnie głupio. Czyż nie byłoby wspaniale, gdyby odrodził się pozbawiony tej tendencji?

– Sądziłam, że chcecie, żeby zachowywał się dokładnie tak, jak kiedyś – zauważyła Shai. – Tak blisko oryginału, jak to tylko możliwe.

– Owszem. Ale ty jesteś uważana za największego z Fałszerzy w historii, wiem też z dobrego źródła, że wyspecjalizowałaś się w pieczętowaniu własnej duszy. Z pewnością możesz odtworzyć duszę drogiego Ashravana z wielką autentycznością, a jednocześnie skłonić go do wysłuchiwanie głosu rozsądku... kiedy głos ten należy do określonych jednostek.

Na płonące Noce, pomyślała Shai. Jesteś gotowa wypowiedzieć to zupełnie otwarcie, tak? Chcesz, żebym wybudowała furtkę do duszy cesarza, i nie masz nawet dość przyzwoitości, by okazywać zażenowanie.

– Ja... być może byłabym zdolna do czegoś takiego – powiedziała Shai, jakby nigdy wcześniej nie zastanawiała się nad tą kwestią. – Nie byłoby to proste. Wymagałabym wynagrodzenia motywującego do podjęcia takiego wysiłku.

– Odpowiednie wynagrodzenie byłoby stosowne. – Frava odwróciła się w jej stronę. – Jak sądzę, planowałaś po uwolnieniu opuścić Cesarskie Miasto, ale czemu? Gdyby na tronie zasiadał ktoś patrzący na ciebie życzliwie, otworzyłyby się przed tobą wiele możliwości.

– Mów bardziej otwarcie, arbitrze – powiedziała Shai. – Przede mną długa noc poświęcona badaniom, podczas gdy inni świętują. Nie mam głowy do gier półślówek.

– Podziemny rynek przemytniczy w mieście rozkwita. Od dawna go śledzę. Byłoby dla mnie z korzyścią, gdyby kierował nim ktoś odpowiedni. Oddam ci go, jeśli zrobisz dla mnie to, co ci powiedziałam.

Zawsze popełniali ten błąd – zakładali, że wiedzą, dlaczego Shai robiła to, co robiła. Zakładali, że z radością wykorzystalaby tę szansę, zakładali, że przemytnik i Fałszerz to właściwie jedno i to samo, ponieważ obaj działali wbrew czyimś prawom.

– To brzmi interesująco – powiedziała Shai, uśmiechając się swoim najbardziej szczerym uśmiechem... tym, w którym kryła się nuta jawnego oszustwa.

Frava również odpowiedziała uśmiechem.

– Dam ci czas, byś się nad tym zastanowiła – odpowiedziała, otworzyła drzwi i kłaśnięciem przywołała strażników.

Shai opadła na krzesło. Była przerażona. Nie z powodu propozycji – od kilku dni spodziewała się czegoś takiego – tylko dlatego, że ponieważ dopiero teraz zrozumiała implikacje. Propozycja związana z przemytem była oczywiście fałszywa. Frava być może mogłaby zapewnić jej taką pozycję, ale wcale nie zamierzała. Nawet zakładając, że kobieta wcześniej nie planowała zabić Shai, ta propozycja przypieczętowała jej los.

Chodziło jednak o coś więcej. O wiele więcej.

O ile ona wie, właśnie umieściła w mojej głowie pomysł, by wbudować w cesarza mechanizmy kontrolne. Nie zaufa mojemu Fałszerstwu. Będzie się spodziewać, że umieszczę własne furtki, takie, które dadzą mnie, a nie jej pełną kontrolę nad Ashravanem.

Co to znaczyło?

Znaczyło, że Frava ma pod ręką innego Fałszerza. Pewnie takiego, któremu brakowało talentu lub brawury, by podjąć próbę Sfałszowania cudzej duszy – ale który mógł nadzorować pracę Shai i znaleźć wszelkie furtki, które próbowałaby wbudować. Ten Fałszerz byłby bardziej zaufany i mógłby zmienić dzieło Shai tak, by Frava uzyskała nad nim kontrolę.

Mógłby nawet dokończyć dzieło Shai, gdyby udało jej się zejść odpowiednio daleko. Shai zamierzała wykorzystać całe sto dni na zaplanowanie ucieczki, ale teraz uświadomiła sobie, że w każdej chwili mogła zostać zabita.

A im bardziej zbliżała się do ukończenia projektu, tym bardziej rosło prawdopodobieństwo jej śmierci.



DZIEŃ TRZYDZIESTY

– To coś nowego – powiedział Gaotona, wpatrując się w witrażowe okno.

Dla Shai było źródłem szczególnej satysfakcji. Próby Sfalszowania okna, by stało się lepszą wersją samego siebie, regularnie zawodziły – za każdym razem po jakichś pięciu minutach powracało do swojego popękanego, wypaczonego wcielenia.

Aż wreszcie Shai znalazła wbity w ramę kawałek kolorowego szkła. Jak sobie uświadomiła, okno było niegdyś witrażowe, jak wiele innych w pałacu. Zostało stłuczone, a cokolwiek je uszkodziło, jednocześnie wypaczyło ramę, tworząc szczeliny, przez które wpadał lodowaty podmuch.

Zamiast przywrócić mu wcześniejszą formę, ktoś wprawił w ramy zwykłe szkło i zostawił, by pękało. Pieczęć Shai umieszczona w dolnym prawym rogu przywróciła mu właściwą postać, przepisując jego historię w taki sposób, że jakiś troskliwy rzemieślnik odkrył wybite okno i je odtworzył. Pieczęć przyjęła się od razu. Nawet po tak długim czasie okno postrzegało się jako coś pięknego.

A może po prostu znów popadała w romantyczny nastrój.

– Powiedziałaś, że dziś przyprowadzisz mi obiekt do prób – powiedziała Shai, zdmuchując pył ze świeżo wyrzeźbionej pieczęci duszy.

Na drugim końcu, naprzeciwko starannie wyrzeźbionej główki, zrobiła kilka szybkich nacięć. Znak domykający kończył każdą pieczęć duszy, oznaczając, że rzeźbienie już się zakończyło. Shai zawsze uważała, że wygląda jak zarys MaiPonu, jej ojczyzny.

Następnie uniosła pieczęć nad płomieniem. Taka była cecha charakterystyczna kamienia duszy – ogień go utwardzał, uniemożliwiając odpryskiwanie. Ten krok nie był niezbędny, znaki kotwiczące na górze zupełnie wystarczały, a Shai mogła wyrzeźbić pieczęć w dowolnym materiale, który zapewniał dostateczną precyzję. Jednak kamień duszy ceniono właśnie ze względu na ten proces utwardzania.

Kiedy całość poczerniała od płomienia świecy – najpierw główka, później drugi koniec – Shai uniosła ją i dmuchnęła mocno. Płatki sadzy odpadły, ukazując piękny czerwono-szary żyłkowany kamień pod spodem.

– Tak – potwierdził Gaotona. – Obiekt do prób. Przyprowadziłem go zgodnie z obietnicą.

Gaotona przeszedł niewielką komnatę i znalazł się przy drzwiach, gdzie pełnił straż Zu.

Shai usadowiła się na krześle, które kilka dni wcześniej Sfalszowała, by było o wiele wygodniejsze, i czekała. Założyła się sama ze sobą. Czy obiektem będzie jeden ze strażników cesarza? A może jakiś mało ważny urzędnik pałacowy, na przykład mężczyzna, który robił notatki dla Ashravana? Kogo zmuszą arbitrzy, by znosił bluźnierstwo Shai w imię rzekomo większego dobra?

Gaotona usiadł na krześle przy drzwiach.

– I co? – spytała Shai.

Uniósł rozłożone dłonie.

– Możesz zaczynać.

Shai opuściła stopy na ziemię i wyprostowała się.

– Ty?

– Tak.

– Jesteś jednym z arbitrów! Jednym z najpotężniejszych ludzi w całym cesarstwie!

– Ach tak? Nie zauważyłem. Spełniam warunki, które postawiłaś. Jestem mężczyzną, urodziłem się w tym samym miejscu, co Ashravan, i znałem go bardzo dobrze.

– Ale... – Shai nie dokończyła.

Gaotona pochylił się i splótł dłonie.

– Dyskutowaliśmy na ten temat przez wiele tygodni. Zaproponowano inne rozwiązania, ale doszliśmy do wniosku, że nie możemy z czystym sumieniem zmusić jednego z naszych ludzi, by poddał się temu bluźnierstwu. Doszliśmy do jedyne go możliwego wniosku, że musimy zaproponować ci jednego z nas.

Shai otrząsnęła się z szoku. Frava bez najmniejszego wahania zmusiłaby kogoś innego, by to zrobił, pomyślała. Podobnie pozostali. Sam musiałeś na to nalegać, Gaotono.

Uważali go za rywala, pewnie z wielką radością pozwolili, by poddał się rzekomo ohydny m, wypaczonym dziełom Shai. To, co planowała, było nieszkodliwe, ale nie istniał sposób, by jeden z Wielkich dał się przekonać. Mimo to odkryła, że pragnie uspokoić Gaotonę. Przysunęła do niego krzesło i otworzyła niewielką skrzyneczkę z pieczęciami, które stworzyła w ciągu ostatnich trzech tygodni.

– Te pieczęcie się nie przyjmą – powiedziała, unosząc jedną z nich. – Tak Falszerze określają pieczęcie wprowadzające zmiany zbyt nienaturalne, by były stabilne. Wątpię, by którakolwiek z nich wpływała na ciebie dłużej niż przez minutę... i to zakładając, że wykonałam je poprawnie.

Gaotona zawahał się, po czym pokiwał głową.

– Ludzka dusza różni się od duszy przedmiotu – mówiła dalej Shai. – Człowiek ciągle się zmienia, wzrasta, przeobraża. Przez to pieczęć na człowieku się zużywa, co nie zdarza się z przedmiotami. Nawet w najlepszych przypadkach pieczęć na człowieku wytrzymuje tylko dzień. Moje Znaki Esencji są tu dobrym przykładem. Po mniej więcej dwudziestu sześciu godzinach blakną.

– To znaczy... a cesarz?

– Jeśli dobrze wykonam swoją pracę – odparła Shai – będzie musiał być pieczętowany każdego dnia, podobnie jak każdego dnia Pieczętujący Krwią odnawia znak na moich drzwiach. Ja wyposażę pieczęć w zdolność, by cesarz uczył się, pamiętał i wzrastał... nie będzie każdego ranka powracał do pierwotnego stanu i będzie mógł budować na fundamencie, w który go wyposażę. Jednak podobnie jak ludzkie ciało męczy się i musi spać, pieczęć duszy na jednym z nas trzeba odnawiać. Całe szczęście, gdy pieczęć zostanie przygotowana we właściwy sposób, każdy może to zrobić... sam Ashravan powinien być do tego zdolny.

Podala Gaotonie pieczęć, którą trzymała w ręku, pozwalając, by się jej przyjrzał.

– Każda z pieczęci, które dziś wypróbuję – mówiła dalej – zmieni coś w twojej przeszłości lub

osobowości. Ponieważ nie jesteś Ashravanem, zmiany się nie przyjmą. Jednakże wasza historia jest na tyle podobna, że pieczęcie powinny utrzymać się przez krótką chwilę, jeśli wykonałam je właściwie.

– Chcesz powiedzieć, że to... wzór dla duszy cesarza? – spytał Gaotona, spoglądając na pieczęć.

– Nie. Jedynie Fałszerstwo jej niewielkiej części. Nie jestem nawet pewna, czy ostateczne dzieło zadziała. O ile mi wiadomo, nikt wcześniej nie spróbował dokonać czegoś takiego. Istnieją jednak zapiski na temat Fałszowania duszy drugiej osoby w... nikczemnych celach. Wykorzystuję tę wiedzę. O ile mi wiadomo, jeśli te pieczęcie utrzymają się na tobie choć przez minutę, na cesarzu powinny utrzymać się znacznie dłużej, ponieważ są dostrojone do jego przeszłości.

– Niewielki fragment jego duszy – powiedział Gaotona, oddając jej pieczęć. – Czyli te próby... nie wykorzystasz tych pieczęci w ostatecznym dziele?

– Nie, ale wezmę wzory, które działają, i umieszczę je w większym tworze. Potraktuj te pieczęcie jako pojedyncze litery na większym zwoju; kiedy skończę, będę mogła złożyć je razem i z ich pomocą zapisać opowieść. Opowieść o historii i osobowości człowieka. Niestety, nawet jeśli Fałszerstwo się przyjmie, pojawią się drobne różnice. Sugeruję, żebyście zaczęli rozpuszczać pogłoski, że cesarz został ranny. Niezbyt poważnie, rzecz jasna, ale zasugerujcie mocny cios w głowę. To wyjaśni rozbieżności.

– Już pojawiły się pogłoski na temat jego śmierci – zauważył Gaotona – rozpuszczane przez Stronnictwo Chwały.

– W takim razie wy zasugerujcie, że został ranny.

– Ale...

Uniosła pieczęć.

– Nawet jeśli uda mi się dokonać niemożliwego... co, jak powinieneś wiedzieć, dotychczas zdarzało mi się jedynie z rzadka... Fałszerstwo nie będzie miało wszystkich wspomnień cesarza. Może zawierać tylko te elementy, o których zdołałam przeczytać lub się ich domyśliłam. Ashravan z pewnością przeprowadził wiele prywatnych rozmów, których Fałszerstwo oczywiście sobie nie przypomni. Mogę dać mu doskonałą zdolność udawania, sama świetnie się na tym znam, ale udawanie ma swoje ograniczenia. W końcu ktoś się zorientuje, że cesarz ma duże luki we wspomnieniach. Rozpuśćcie pogłoski, Gaotono. Będą wam potrzebne.

Pokiwał głową, po czym podwinął rękaw, odsłaniając ramię, by mogła je naznaczyć. Shai uniosła pieczęć, a Gaotona westchnął, zacisnął powieki i znów pokiwał głową.

Przycisnęła pieczęć do jego skóry. Jak zawsze w chwili zetknięcia z ciałem miała wrażenie, że przyciska ją do czegoś sztywnego – jakby jego ramię skamieniało. Pieczęć zagłębiła się nieco. Wrażenie było dość niepokojące, gdy pracowała na człowieku. Przekreśliła pieczęć i cofnęła ją, pozostawiając czerwony znak na ramieniu Gaotony. Wyjęła kieszonkowy zegarek i przyglądała się przesuwającej się wskazówce.

Z pieczęci wypływały niewielkie pasma czerwonego dymu – tak działo się jedynie wtedy, gdy pieczętowano istoty żywe. Dusza walczyła przeciwko korekcie. Jednak pieczęć nie zniknęła od razu. Shai wypuściła powietrze. Dobry znak.

Zastanawiała się... Gdyby spróbowała czegoś takiego na cesarzu, czy jego dusza walczyłaby przeciwko napaści? A może przyjąłaby pieczęć, pragnąc naprawić to, co zostało popsute? Podobnie jak okno pragnęło przywrócenia dawnej urody. Nie wiedziała.

Gaotona otworzył oczy.

– Czy... się udało?

– Przyjęła się, na razie – odparła Shai.

– Nie czuję się inaczej.

– I o to właśnie chodzi. Gdyby cesarz czuł wpływ pieczęci, zorientowałby się, że coś jest nie tak.

A teraz odpowiadaj mi bez zastanowienia, instynktownie. Jaki jest twój ulubiony kolor?

– Zielony – odparł od razu.

– Dlaczego?

– Ponieważ... – Umilkł i przechylił głowę. – Bo tak.

– A twój brat?

– Słabo go pamiętam. – Gaotona wzruszył ramionami. – Umarł, kiedy byłem jeszcze dzieckiem.

– I bardzo dobrze – powiedziała Shai. – Byłby z niego nieudolny cesarz, gdyby został wybrany...

Gaotona wstał.

– Nie waż się o nim źle mówić! Każę cię... – Zesztywniał i spojrzał na Zu, który zaniepokojony

sięgnął po miecz. – Ja... Brat...?

Pieczeń znikła.

– Minuta i pięć sekund – stwierdziła Shai. – Wygląda dobrze.

Gaotona uniósł dłoń do czoła.

– Pamiętam, że miałem brata. Ale... nie mam brata i nigdy nie miałem. Pamiętam, że go uwielbiałem, pamiętam cierpienie po jego śmierci. Tak wielkie cierpienie...

– Zniknie – powiedziała Shai. – Wrażenia zatrą się jak wspomnienia sennego koszmaru. Za godzinę nie będziesz już prawie pamiętał, co cię tak zdenerwowało. – Nagryzmoła kilka notatek. – Chyba za mocno zareagowałeś, kiedy ubliżyłam pamięci brata. Ashravan uwielbiał swojego brata, ale bardzo głęboko ukrywał uczucia z poczucia winy, że być może brat byłby lepszym cesarzem od niego.

– Co takiego? Pewna jesteś?

– Tego? Owszem. Muszę nieco poprawić tę pieczęć, ale sądzę, że w większości mi się udało.

Gaotona znów usiadł na krześle i przypatrywał się jej. Odnosiła wrażenie, że jego wzrok ją przeszywa, zagłębia się w niej.

– Wiele wiesz o ludziach.

– To jeden z pierwszych kroków naszego szkolenia – wyjaśniła. – Zanim w ogóle pozwolą nam dotknąć kamienia duszy.

– Taki potencjał... – szepnął Gaotona.

Stłumiła nagły wybuch irytacji. Jak śmiał patrzeć na nią w taki sposób, jakby marnowała swoje życie? Kochała fałszerstwa. Ten dreszczyk utrzymywania się przy życiu dzięki własnej błyskotliwości. Tym właśnie była. Prawda?

Pomyślała o jednym określonym Znakem Esencji, zamkniętym z pozostałymi. Tego Znaku nigdy nie używała, a jednocześnie był najcenniejszy z nich wszystkich.

– Wypróbujmy kolejną – powiedziała, ignorując spojrzenie Gaotony.

Nie mogła sobie pozwolić na odczuwanie urazy. Ciotka Sol zawsze powtarzała, że duma będzie jej największym wrogiem w życiu.

– Dobrze – zgodził się Gaotona – ale jednego nie rozumiem. Po tym, co mi powiedziałaś, nie mogę zrozumieć, dlaczego te pieczęcie w ogóle na mnie podziały. Nie musicie poznać dokładnie historii

przedmiotu, żeby pieczęć na nim zadziałała?

– Żeby się na nim przyjęła, owszem – wyjaśniła Shai. – Jak już powiedziałam, chodzi o wiarygodność.

– Ale to całkowicie niewiarygodne! Nie mam brata.

– Ach. Spróbuję to wyjaśnić. – Usadowiła się wygodniej. – Piszę twoją duszę na nowo, by pasowała do duszy cesarza... podobnie jak napisałam ponownie historię tego okna, by pojawił się w nim nowy witraż. W obu przypadkach udało się dzięki znajomości. Rama okienna wie, jak powinien wyglądać witraż. Kiedyś miała w sobie witraż. A choć nowe okno nie jest takie samo jak to wcześniejsze, pieczęć zadziałała, ponieważ ogólny koncept witraża się zgadza. Ty spędzałeś wiele czasu w otoczeniu cesarza. Twoja dusza jest zaznajomiona z jego duszą, podobnie jak ta rama okienna jest zaznajomiona z witrażem. Dlatego właśnie muszę wypróbować pieczęć na kimś takim jak ty, a nie na sobie. Kiedy cię pieczętuję, jest tak, jakbym... jakbym przedstawiała twojej duszy kawałek czegoś, co powinna znać. To może się udać jedynie wtedy, kiedy fragment jest bardzo mały, ale dopóki tak właśnie się dzieje... i jak długo dusza uważa ten fragment za znajomą część Ashravana, jak mówiłam wcześniej... pieczęć przyjmuje się na krótko, nim zostanie odrzucona.

Gaotona wpatrywał się w nią z konsternacją.

– Jak zakładam, dla ciebie brzmi to jak przesądne bzdury? – spytała Shai.

– To dosyć... mistyczne. – Gaotona rozłożył ręce. – Rama okienna, która zna „koncept” witraża? Dusza, która rozumie koncept innej duszy?

– Te rzeczy istnieją poza nami. – Shai sięgnęła po kolejną pieczęć. – Myślmy o oknach, wiemy o oknach. To, czym okno jest i czym nie jest, nabiera... znaczenia, w Krainie Ducha. W pewnym sensie nabiera życia. Możesz wierzyć w to wyjaśnienie albo nie, pewnie i tak to bez znaczenia. Najważniejsze, że mogę wypróbować te pieczęć na tobie, a jeśli utrzymają się przez co najmniej minutę, oznacza to, że dobrze trafiłam.

– Najlepiej by było, gdybym mogła je wypróbować na samym cesarzu, ale w obecnym stanie nie mógłby mi odpowiedzieć na pytania. A ja nie tylko muszę sprawdzić, czy się trzymają, ale też sprawić, by ze sobą współdziałały... a do tego potrzebuję twoich wyjaśnień, jak się czujesz, bym mogła odpowiednio poprawić wzór. A teraz, czy mogę cię znów prosić?

– Dobrze.

Gaotona usiadł spokojnie, a Shai przycisnęła kolejną pieczęć do jego ramienia. Zamknęła ją, przekręcając o pół obrotu, ale kiedy tylko ją cofnęła, znak zniknął w czerwonej chmurze.

– A niech to – jęknęła.

– Co się stało? – Gaotona uniósł palce do ramienia. Rozmazał zwyczajny atrament. Pieczęć zniknęła tak szybko, że atrament nawet nie został pochłonięty. – Co mi tym razem zrobiłaś?

– Najwyraźniej nic. – Shai przyjrzała się główce pieczęci, szukając skaz, jednak żadnych nie znalazła. – Przy tej się pomyliłam. Bardzo się pomyliłam.

– A co w niej jest?

– Powód, dla którego Ashravan zgodził się zostać cesarzem – wyjaśniła. – Na płonące Noce. Byłam pewna, że mi się udało.

Potrząsnęła głową i odstawiła pieczęć. Najwyraźniej Ashravan nie zgłosił swojej kandydatury na stanowisko cesarza ze względu na głęboko zakorzenione pragnienie, by udowodnić swoją wartość

rodzinie i uciec przed odległym, ale długim cieniem zmarłego brata.

– Mogę ci powiedzieć, dlaczego to zrobił, Fałszerzu – powiedział Gaotona.

Spojrzała na niego. Ten człowiek zachęcał Ashravana do próby zdobycia cesarskiego tronu, pomyślała. Ashravan w końcu go za to znienawidził. Tak sędzę.

– Dobrze – powiedziała w końcu. – Dlaczego?

– Pragnął wprowadzić zmiany. W cesarstwie.

– Nie pisze o tym w swoim dzienniku.

– Ashravan był skromnym człowiekiem.

Shai uniosła brew. To stało w sprzeczności z relacjami, które otrzymała.

– Owszem, bywał porywczy – przyznał Gaotona. – A jeśli zaczęło się z nim kłótnię, zapierał się i trzymał swojego zdania. Ale ten człowiek... człowiek, którym był... W głębi duszy to był skromny człowiek. Musisz to zrozumieć.

– Rozumiem.

Jemu też to robiłeś, prawda? Pomyślała Shai. To rozczarowane spojrzenie, ta sugestia, że powinniśmy być lepszymi ludźmi, niż jesteśmy. Shai nie była jedyną, która odnosiła wrażenie, że Gaotona patrzy na nią z miną niezadowolonego dziadka.

Miała ochotę zlekceważyć tego mężczyznę. Ale... poddał się jej próbom. Uważał to, co robiła, za ohydne, więc upierał się, by przyjąć karę na siebie, zamiast posłać kogoś innego.

Jesteś szczery, prawda, staruszk? – pomyślała Shai, kiedy Gaotona odchylił się do tyłu i wpatrzył w przestrzeń, rozmyślając o cesarzu. Odkryła, że jest niezadowolona.

W jej branży wielu wyśmiewało uczciwych ludzi, nazywając ich łatwymi celami. To było błędne przekonanie. Uczciwość nie równała się naiwności. Nieuczciwego głupca i uczciwego głupca dawało się równie łatwo oszukać, trzeba było jedynie znaleźć odpowiednie podejście.

Jednakże człowieka, który był uczciwy i bystry, zawsze, ale to zawsze oszukiwało się o wiele trudniej niż kogoś, kto był jednocześnie nieuczciwy i bystry.

Szczerść. Z definicji była trudna do sfalszowania.

– Jakie myśli kryją się za tymi twoimi oczyma? – spytał Gaotona, pochylając się do przodu.

– Myślałam właśnie, że musiałeś traktować cesarza tak samo jak mnie, irytować go ciągłym zrzedzeniem na temat tego, co powinien osiągnąć.

Gaotona parsknął.

– Pewne tak właśnie było. Co jednak nie oznacza, że moje uwagi są lub były niewłaściwe. On mógłby... cóż, mógłby stać się kimś większym, niż był. Podobnie jak ty mogłabyś zostać wspaniałą artystką.

– Jestem nią.

– Prawdziwą artystką.

– Jestem nią.

Gaotona pokręcił głową.

– Obraz Fravy... kryje się w nim coś, czego nie zauważyliśmy, prawda? Kazała zbadać falsyfikat, a rzeczoznawcy odkryli kilka małych błędów. Nie zobaczyłbym ich bez pomocy, ale rzeczywiście tam były. Po namyśle wydają mi się dziwne. Pociągnięcia pędzlem są idealne, wręcz mistrzowskie. Styl jest doskonałym naśladownictwem. Jeśli udało ci się to osiągnąć, dlaczego miałabyś popełnić takie

błędy, jak umieszczenie księżycy zbyt nisko? To drobna pomyłka, ale wydaje mi się, że nigdy byś jej nie zrobiła, przynajmniej celowo.

Shai sięgnęła po kolejną pieczęć.

– Obraz, który uważają za oryginał – powiedział Gaotona – ten, który w tej chwili wisi w gabinecie Fravy... on też jest falsyfikatem?

– Tak – przyznała Shai z westchnieniem. – Zamieniłam obrazy kilka dni wcześniej, zanim spróbowałam z berłem. Sprawdziałam wtedy zabezpieczenia w pałacu. Wślizgnęłam się do galerii, weszłam do gabinetu Fravy i na próbę dokonałam podmiany.

– Czyli ten, który uważają za falsyfikat, musi być oryginałem – powiedział Gaotona z uśmiechem. – Namalowałaś te błędy na oryginalne, żeby wydawał się repliką!

– Nie, choć wykorzystywałam tę sztuczkę w przeszłości. Oba są falsyfikatami. Jeden po prostu jest falsyfikatem w sposób oczywisty, podłożyłam go, by został odkryty, gdyby coś poszło nie tak.

– Czyli oryginał wciąż jest gdzieś ukryty... – Gaotona wydawał się zaintrygowany. – Wślizgnęłaś się do pałacu, żeby sprawdzić zabezpieczenia, a później zastąpiłaś oryginalny obraz kopią. Zostawiłaś drugą, odrobinę gorszą kopię w swoim pokoju jako fałszywy trop. Gdybyś została odkryta, kiedy wkradałaś się do pałacu... albo gdyby z jakiegoś powodu zdradził cię sojusznik... przeszukalibyśmy twój pokój, znaleźlibyśmy kiepską kopię i założylibyśmy, że jeszcze nie doszło do podmiany. Urzędnicy wzięliby dobrą kopię i uwierzyli, że jest autentyczna. W ten sposób nikt nie szukałby oryginału.

– Mniej więcej.

– Bardzo sprytnie. W rzeczy samej, gdybyśmy złapali cię, kiedy wkradałaś się do pałacu, by ukraść berło, mogłabyś wyznać, że próbowałaś jedynie ukraść obraz. Przeszukanie ujawniłoby falsyfikat w twoim pokoju, a ty sama zostałabyś oskarżona o próbę okradzenia osoby prywatnej, w tym przypadku Fravy, co jest zdecydowanie mniej poważnym przestępstwem niż próba kradzieży cesarskiego artefaktu. Dostałabyś dziesięć lat ciężkich robót zamiast kary śmierci.

– Niestety – przyznała Shai – zostałam zdradzona w niewłaściwym momencie. Błazen dopilnował, bym została złapana w chwili, gdy będę opuszczać galerię z berłem.

– Ale co z oryginalnym obrazem? Gdzie go ukryłaś? – Zawahał się. – Wciąż jest w pałacu, prawda?

– W pewnym sensie.

Gaotona spojrzał na nią, wciąż z uśmiechem na twarzy.

– Spaliłam go – powiedziała Shai.

Uśmiech od razu zniknął.

– Kłamiesz.

– Nie tym razem, staruszkule. Obraz nie był wart ryzyka, jakie wiązało się z próbą wyniesienia go z galerii. Podmieniłam go, żeby sprawdzić zabezpieczenia. Bez trudu wniosłam do środka falsyfikat, nikt nie sprawdza wchodzących, jedynie wychodzących. Moim prawdziwym celem było berło. Kradzież obrazu była drugorzędna. Kiedy go podmieniłam, wrzuciłam oryginał do jednego z kominków w głównej galerii.

– Okropność! – wykrzyknął Gaotona. – To był oryginalny ShuXen, jego arcydzieło! On sam stracił wzrok i już nie maluje. Czy pojmujesz cenę... – Prychnął. – Nie rozumiem. Dlaczego, dlaczego zrobiłaś coś takiego?

– To bez znaczenia. Nikt nie wie, co zrobiłam. Będą wciąż patrzeć na falsyfikat i odczuwać przyjemność, więc nic się nie stało.

– Ten obraz był bezcennym dziełem sztuki! – Gaotona spiorunował ją wzrokiem. – Twoja podmiana wynikała z dumy i niczego więcej. Nie zamierzałaś sprzedać oryginału. Chciałaś jedynie, by twoja kopia wisiała w galerii. Zniszczyłaś coś cudownego, by wynieść samą siebie!

Shai wzruszyła ramionami. Chodziło o coś więcej, ale rzeczywiście spaliła obraz. Miała swoje powody.

– Na dzisiaj skończyliśmy – powiedział Gaotona. Poczerwieniał. Lekceważąco machnął ręką w jej stronę i wstał. – Zaczynałem już myśleć... Ech!

Wyszedł.



DZIEŃ CZTERDZIESTY DRUGI

Każdy człowiek był układanką.

Tak wyjaśniał jej to Tao, jej pierwszy nauczyciel Fałszerstwa. Fałszerz nie był zwyczajnym oszustem czy kanciarzem. Fałszerz był artystą, który malował ludzką percepcją.

Każdy usmolony ulicznik mógł kogoś nabrać. Fałszerz sięgał wyżej. Zwyczajni oszuści mydlili ludziom oczy, a później uciekali, zanim oszukany się zorientował. Fałszerz musiał stworzyć coś tak doskonałego, tak pięknego, tak prawdziwego, że nikt nigdy nie zadawał pytań.

Człowiek był jak gęsty las, zarośnięty płataniną pnączy, chwastów, poszycia, młodych drzewek i kwiatów. Nikt nie składał się z jednego uczucia, nikt nie miał tylko jednego pragnienia. Mieli ich wiele, a pragnienia te zwykle były ze sobą sprzeczne jak dwa krzaki róży walczące o ten sam spłachetek ziemi.

Szanuj ludzi, których okłamujesz, nauczył ją Tao. Jeśli dość długo będziesz ich okradać, nauczysz się ich rozumieć.

Pracując, Shai pisała księgę, prawdziwą historię życia cesarza Ashravana. Miała się ona stać historią prawdziwszą niż te zapisane przez skrybów, by go wychwalać, prawdziwszą nawet niż ta zapisana jego własną ręką. Shai powoli składała fragmenty układanki, wpełzając w głąb zarośli, które były umysłem Ashravana.

Rzeczywiście był idealistą, jak powiedział Gaotona. Widziała to teraz w ostrożnie wyrażanym niepokoju w jego wczesnych pismach, w sposobie, w jaki traktował służących. Cesarstwo nie było koszmarnie. Nie było też cudowne. Cesarstwo po prostu było. Ludzie znosili jego władzę, ponieważ czuli się komfortowo z jego drobnymi tyraniami. Korupcja była nieunikniona. Dało się z nią żyć. W końcu inaczej trzeba by przyjąć chaos nieznanego.

Pozycja Wielkich była skrajnie uprzywilejowana. Objęcie rządowego stanowiska, czyli najbardziej lukratywnej posady, zależało częściej od łapówek i powiązań niż umiejętności i zdolności. Ponadto część z tych, którzy najlepiej służyli cesarstwu – kupcy i robotnicy – była systematycznie okradana przez setki rąk, które sięgały do ich kieszeni.

Wszyscy to wiedzieli. Ashravan pragnął doprowadzić do zmian. Na początku.

A później... Cóż, nie istniało jedno określone „a później”. Poeci wskazywaliby na jedną określoną wadę charakteru Ashravana, która doprowadziła go do porażki, ale człowiek nie składał się z tylko jednej wady, podobnie jak nie składał się z jednego pragnienia. Gdyby Shai oparła swoje Fałszerstwo na jednej tylko cesze, stworzyłaby karykaturę, nie człowieka.

Ale... czy to najlepsze, na co mogła mieć nadzieję? Może powinna dążyć do autentyczności

w określonych warunkach, tworząc cesarza, który zachowywałby się odpowiednio na dworze, ale nie mógłby oszukać najbliższych. Może to by wystarczyło, jak teatralne rekwizyty. One podczas spektaklu odgrywały swoją rolę, ale nie należało przyglądać im się dokładnie.

Taki cel był do osiągnięcia. Może powinna pójść do arbitrów, wyjaśnić im, co jest możliwe i dać im umniejszonego cesarza – marionetkę, którą mogliby wykorzystać podczas oficjalnych okazji, a później chować, wyjaśniając, że podupadł na zdrowiu.

Mogłaby tak zrobić.

Ale odkryła, że wcale nie ma ochoty.

To żadne wyzwanie. Było raczej kantem w wersji ulicznego złodzieja, nastawionym na krótkoterminowy zysk. Falszerze tworzyli coś trwałego.

W głębi duszy czuła, że wyzwanie napętnia ją dreszczem. Odkryła, że chce, żeby Ashravan żył. A przynajmniej chciała spróbować.

Shai położyła się na łóżku, które zdążyła już sfalszować, by stało się wygodniejsze, miało słupki i grubą koldrę. Nie rozsuwała zasłon. Wieczorni strażnicy grali w karty na jej stole.

A co cię obchodzi, czy Ashravan będzie żył? – zadała sobie w myślach pytanie. Arbitrzy zabiją cię, nim zdążysz zobaczyć, czy ci się udało. Twoim jedynym celem powinna być ucieczka.

A jednak... sam cesarz. Postanowiła ukraść Księżycowe Berło, ponieważ było najsłynniejszym przedmiotem w całym cesarstwie. Chciała, by jedno z jej dzieł pokazywano w wielkiej Cesarskiej Galerii.

Z kolei dzieło, nad którym teraz pracowała... było czymś o wiele większym. Czy jakikolwiek Falszerz dokonał czegoś takiego? Falszerstwo zasiadające na samym Różanym Tronie?

Nie, powiedziała sobie, tym razem z większym naciskiem. Nie daj się skusić. Duma, Shai. Nie pozwól, by kierowała tobą duma.

Otworzyła książkę na ostatnich stronach, gdzie ukryła zaszyfrowane plany ucieczki – na pierwszy rzut oka wyglądały na słowniczek terminów i osób.

Pewnego dnia Pieczętujący Krwią wręcz przybiegł do jej komnaty, jakby się obawiał, że spóźni się z ponownym naniesieniem pieczęci. Jego szaty mocno woniały trunkiem. Korzystał z gościnności pałacu. Gdyby udało jej się sprawić, że jednego dnia przyjdzie wczesnym rankiem, a tego samego wieczoru upije się bardziej niż zwykle...

Góry Uderzających graniczyły z Dzhamarem, gdzie leżały mokradła Pieczętujących Krwią. Ich wzajemna nienawiść była głęboka, być może głębsza od lojalności wobec cesarstwa. Wydawało się, że kilku Uderzających czuje szczególną odrazę, gdy przychodził Pieczętujący Krwią. Shai zaczęła się zaprzyjaźniać z tymi strażnikami. Rzucane mimochodem żarty. Wzmianki o przypadkowym podobieństwie ich pochodzenia. Uderzający nie powinni rozmawiać z Shai, ale minęły całe tygodnie, a ona nie robiła nic poza czytaniem ksiąg i rozmawianiem ze starymi arbitrami. Strażnicy się nudzili, a nuda czyni ludzi podatnymi na manipulację.

Shai miała pod ręką mnóstwo kamienia duszy i zamierzała go użyć. Jednak często bardziej prymitywne sposoby okazywały się przydatniejsze. Ludzie oczekiwali, że Falszerze będą przy każdej okazji używać pieczęci. Wielcy opowiadali historie o mrocznych czarach, o Falszerzach umieszczających pieczęcie na stopach ludzi, kiedy ci spali, i zmieniających ich osobowość. Napadających i gwałcących ich umysły.

Tak naprawdę pieczęć duszy była często ostatnią deską ratunku Fałszerza. Zbyt łatwo dawało się ją odkryć. Chyba oddałabym teraz prawą rękę za swoje Znaki Esencji... – pomyślała.

Niemal czuła pokusę, by spróbować wyrzeźbić nowy Znak i wykorzystać go przy próbie ucieczki. Jednakże tego się spodziewali, a ona miałaby problem z przeprowadzeniem setek prób niezbędnych, by znak zadziałał. Strażnicy natychmiast by donieśli, gdyby wypróbowała go na własnej ręce, a na Gaotonie by się nie przyjął.

Natomiast wykorzystanie Znak Esencji, którego nie sprawdziła... cóż, to mogło pójść bardzo, ale to bardzo źle. Nie, w jej planach ucieczki było miejsce dla pieczęci duszy, ale ich sednem były o wiele bardziej tradycyjne podstępny.



DZIEŃ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

Shai była gotowa, kiedy Frava odwiedziła ją po raz kolejny.

Kobieta zatrzymała się w drzwiach, a strażnicy bez słowa sprzeciwu opuścili komnatę, gdy ich miejsce zajmował kapitan Zu.

– Byłaś bardzo zajęta – zauważyła Frava.

Shai podniosła wzrok znad lektury. Frava nie mówiła o jej postępach, ale o komnacie. Całkiem niedawno Shai poprawiła stan posadzki. Nie było to trudne. W kronikach znalazła wszelkie informacje na temat kamienia użytego do wybudowania pałacu – nazwy kamieniołomów, daty, nazwiska kamieniarzy.

– Podoba ci się? – spytała Shai. – Uważam, że marmur doskonale pasuje do kominka.

Frava odwróciła się i zamrugła.

– Kominek? Skąd... Czy ta komnata nie jest większa niż wcześniej?

– Przylegający do niej składzik nie był używany – mruknęła Shai, wracając do książki. – A ściana działowa między pomieszczeniami powstała niedawno, zaledwie przed kilku laty. Napisałam na nowo historię budowy, by ta komnata była większą z dwóch i by zainstalowano w niej kominek.

Frava wydawała się oszołomiona.

– Nie spodziewałam się... – Kobieta znów odwróciła się do Shai i przywołała na twarz zwyczajową surową minę. – Trudno mi uwierzyć, że poważnie traktujesz swoje zadanie, Falszerzu. Jesteś tutaj, by stworzyć cesarza, nie przebudować pałac.

– Rzeźbienie w kamieniu duszy mnie rozluźnia – powiedziała Shai. – Podobnie jak przestrzeń robocza, która wielkością nie przypomina szafki na buty. Dostaniesz swoją duszę cesarza na czas, Fravo.

Arbiter przeszła przez komnatę i spojrzała na biurko.

– Czy to znaczy, że zaczęłaś już pracę nad kamieniem duszy cesarza?

– Zaczęłam pracę nad wieloma – odparła Shai. – To skomplikowany proces. Wypróbowałam ponad sto pieczęci na Gaotonie...

– Arbitrze Gaotonie.

– Na staruszkę. Każda jest jedynie drobnym fragmentem układanki. Kiedy wszystkie będą już działać, wyrzeźbię je ponownie, ale pomniejszone. To pozwoli mi umieścić około tuzina pieczęci próbnych na jednej ostatecznej pieczęci.

– Ale powiedziałaś, że wypróbowałaś ich ponad sto. – Frava zmarszczyła czoło. – W końcu zamierzasz użyć zaledwie dwunastu?

Shai się roześmiała.

– Dwanaście? By sfalszować całą duszę? Niemożliwe. Ostateczna pieczęć, ta, której będziecie musieli używać każdego ranka, będzie jak... filar albo zwornik w łuku. Ją jako jedyną należy umieścić na jego skórze, ale połączy się z innymi pieczęciami.

Shai sięgnęła po notatnik, w którym znajdowały się również początkowe szkice ostatecznej wersji pieczęci.

– Wezmę je i opieczętuję nimi metalową płytę, a później połączę je z pieczęcią, którą każdego dnia będziecie umieszczać na Ashravanje. Musi zawsze nosić ją przy sobie.

– Ma nosić przy sobie metalową płytę – powiedziała oschle Frava – i być pieczętowany każdego dnia? Nie sądzisz, że to mu nieco utrudni normalne życie?

– Jak sądzę, bycie cesarzem każdemu utrudnia normalne życie. Poradzicie sobie. Zwykle płytę projektuje się tak, by udawała ozdobę. Może duży medalion albo szeroką bransoletę z kwadratowymi bokami. Jeśli spojrzysz na moje Znaki Esencji, zauważysz, że zostały zaprojektowane w podobny sposób, a każdemu z nich towarzyszy w skrzynce odpowiednia płyta. – Shai zawahała się. – Ale tak naprawdę nigdy wcześniej nie robiłam nic podobnego, nikt czegoś takiego nie dokonał. Istnieje szansa... i powiedziałabym, że całkiem spora... że w miarę upływu czasu mózg cesarza zacznie absorbować informacje. Jakby... wyobraź sobie, że przez rok każdego dnia rysujesz dokładnie ten sam obraz na stercie papieru... pod koniec obraz znajdzie się również na dolnych warstwach. Może po kilku latach pieczętowania już go nie będzie potrzebował.

– I tak uważam, że to absurd.

– Gorszy niż bycie martwym? – spytała Shai.

Frava położyła dłoń na notatkach Shai i jej na wpół ukończonych szkicach. Następnie podniosła je.

– Każę skrybom je przepisać.

Shai wstała.

– Potrzebuję ich.

– Z pewnością – przyznała Frava. – I dlatego właśnie powinny zostać przepisane, na wszelki wypadek.

– Przepisywanie ich potrwa zbyt długo.

– Oddam ci je przed upływem dnia – powiedziała lekko Frava i cofnęła się.

Shai wyciągnęła do niej rękę, a wtedy podszedł do niej kapitan Zu, wyjmując miecz z pochwy. Frava odwróciła się do niego.

– Spokojnie, kapitanie. To nie będzie konieczne. Falszeryz chroni swoją pracę. To dobrze. Pokazuje, że jej zależy.

Shai mierzyła Zu wzrokiem. On pragnie mojej śmierci, pomyślała. I to bardzo. Zdażyła już go odczytać. Pilnowanie pałacu było jego obowiązkiem, a Shai naruszyła jego spokój swoją kradzieżą. Zu jej nie pojął, to cesarski błazen ją zdradził. Zu czuł, że z powodu porażki jego pozycja jest niepewna, chciał więc za karę pozbyć się Shai.

W końcu odwróciła wzrok. Choć ją to drażniło, musiała w tej relacji udawać uległość.

– Bądź ostrożna – ostrzegła Fravę. – Nie pozwól, by zgubili chociaż jedną kartkę.

– Będę ich strzegła, jakby... jakby zależało od nich życie cesarza. – Fravę najwyraźniej rozbawił jej własny żart i posłała Shai rzadki uśmiech. – Rozważyłaś tę drugą kwestię, o której rozmawialiśmy?

– Tak.

– I?

– Tak.

Frava uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Wkrótce znów porozmawiamy.

Frava wyszła, unosząc ze sobą efekty prawie dwóch miesięcy pracy. Shai wiedziała doskonale, co planowała arbiter. Kobieta wcale nie zamierzała dać ich do przepisania – chciała pokazać je swojemu drugiemu Falszerzowi i zobaczyć, czy byłby zdolny dokończyć jej pracę.

Gdyby uznał, że tak jest, Shai zostałaby po cichu stracona, zanim pozostali arbitrzy zdążyliby się sprzeciwić. Zu pewnie sam by to zrobił. Wszystko mogło się skończyć w tej chwili.



DZIEŃ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Tej nocy Shai źle spała.

Była pewna, że bardzo starannie się przygotowała. A jednak teraz musiała czekać, jakby miała już pętlę na szyi. Czuła się niepewnie. Co, jeśli źle odczytała sytuację?

Jej notatki były celowo nieprzejrzyste i każda w bardzo dyskretny sposób sugerowała ogrom projektu. Ściśnięte pismo, liczne odniesienia, długie listy rzeczy, które powinna jeszcze zrobić... Każda z nich w połączeniu z grubą księgą jako całością wskazywała, że jej dzieło jest wręcz oszalamiająco skomplikowane.

To było fałszerstwo. Jedna z najtrudniejszych jego odmian – fałszerstwo, które nie naśladowało określonej osoby czy przedmiotu, lecz fałszerstwo tonu.

„Trzymaj się z dala”, mówił ton księgi. „Nie chcesz podjąć próby, by to dokończyć. Chcesz pozwolić, by Shai wciąż zajmowała się trudnymi elementami tego zadania, ponieważ praca niezbędna do jego wykonania jest ogromna. A jeśli... ci się nie uda... na szali spocznie twoja głowa”.

Księga była jednym z najbardziej misternych fałszerstw, jakie stworzyła. Każde zawarte w niej słowo było jednocześnie prawdziwe i kłamliwe. Jedynie mistrz Fałszerstwa mógłby ją przejrzeć, mógłby zauważyć, ile pracy włożyła w przedstawienie niebezpieczeństw i trudności związanych z projektem.

Jak dobry był Fałszerz Fravy?

Czy Shai przed świtem będzie martwa?

Nie spała. Chciała i powinna zasnąć. Przeczekiwanie godzin, minut i sekund było udręką. Ale myśl, że będzie spała w łóżku, kiedy po nią przyjdą... była jeszcze gorsza.

W końcu wstała i sięgnęła po relacje z życia Ashravana. Strażnicy grający w karty przy jej stole popatrywali na nią. Jeden nawet skinął głową ze współczuciem na widok zaczerwienionych oczu i przygarbionej sylwetki Shai.

– Światło jest za jasne? – spytał, wskazując na lampę.

– Nie – odparła. – Po prostu w głowie mam pewną myśl, która nie chce jej opuścić.

Spędziła tę noc w łóżku, zatopiona w historii życia Ashravana. Sfrustrowana brakiem notatek wyjęła w końcu czysty arkusz i zaczęła zapisywać nowe. Zamierzała je dołączyć do księgi, gdy ją odzyska. Jeśli ją odzyska.

Poczuła, że w końcu rozumie, dlaczego Ashravan porzucił młodzieńczy optymizm. A przynajmniej poznała czynniki, które skierowały go na tę ścieżkę. Częściowo chodziło o korupcję, ale nie ona była najważniejsza. Brak pewności siebie również się dołożył, nie był jednak decydującym czynnikiem.

Nie, do upadku Ashravana doprowadziło samo życie. Życie w pałacu, życie jako część cesarstwa, które działało jak zegar. Wszystko działało. Oczywiście nie tak dobrze, jak powinno. Ale działało.

Rzucenie wyzwania wymagało wysiłku, a czasem trudno zebrać siły. Ashravan prowadził próżniacze życie. Nie był leniwy, ale lenistwo nie było konieczne, by zostać porwanym przez cesarską maszynę biurokratyczną – by powtarzać sobie, że w następnym miesiącu pójdzie się i zażąda wprowadzenia zmian. W miarę upływu czasu coraz łatwiej płynęło się z prądem wielkiej rzeki, jaką było Różane Cesarstwo.

W końcu zaczął sobie pobłażać. Skupiał się bardziej na urodzie pałacu niż na życiu swoich poddanych. Pozwalał, by arbitrzy przejmowali coraz więcej z jego funkcji.

Shai westchnęła. Nawet ten jego opis był zbyt uproszczony. Nie wspominał, kim cesarz był i kim się stał. Chronologicznie uporządkowane wydarzenia nic nie mówiły o jego porywczoci, uwielbieniu dla dyskusji, dobrym guście albo zwyczaju pisania naprawdę koszmarnych wierszy, a później oczekiwania, że wszyscy, którzy mu służyli, będą się nimi zachwycać.

Nie mówił też o jego arogancji ani ukrytym żalu, że nie stał się kimś innym. Dlatego właśnie tak często powracał do księgi. Może szukał tego rozwidlenia w życiu, kiedy wstąpił na niewłaściwą ścieżkę.

Nie rozumiał. Rzadko się zdarzało, by w ludzkim życiu istniało takie rozwidlenie. Ludzie zmieniali się powoli, w miarę upływu czasu. Nie robili jednego kroku, po którym nagle znajdowali się w zupełnie nowym miejscu. Najpierw schodzili odrobinę ze ścieżki, by ominąć kamienie. Przez jakiś czas szli wzdłuż niej, ale później odchodzili nieco dalej, by kroczyć po miększej ziemi. A później w ogóle przestawali zwracać uwagę i oddalali się coraz bardziej. Aż wreszcie trafiali do niewłaściwego miasta i zastanawiali się, czemu drogowskazy ich nie ostrzegły.

Drzwi do jej komnaty się otworzyły.

Shai usiadła gwałtownie na łóżku, niemal upuszczając notatki. Przyszli po nią.

Ale... nie, to nadszedł już ranek. Przez witrażowe okno wpadało do środka trochę światła, a strażnicy podnosili się i przeciągali. Tym, kto otworzył drzwi, był Pieczętujący Krwią. Znów męczył go kac, a w ręku jak zwykle trzymał plik papierów.

Dziś jest wcześnie, pomyślała Shai, sprawdzając godzinę na zegarku. Dlaczego dziś jest wcześnie, choć zwykle się spóźnia?

Pięczętujący Krwią naciął jej skórę i bez słowa przybił pieczęć na drzwiach, wywołując ból w ramieniu Shai. Wybiegł z komnaty, jakby gdzieś się śpieszył. Shai odprowadziła go wzrokiem i pokręciła głową.

Po chwili drzwi znów się otworzyły i do środka weszła Frava.

– O, już się obudziłaś – powiedziała, gdy Uderzający jej zasalutowali. Z trzaskiem położyła księgę Shai na stole. Wydawała się zirytowana. – Skrybowie już skończyli. Wracaj do pracy.

Frava wyszła pośpiesznie. Shai znów się położyła i westchnęła z ulgą. Podstęp zadziałał. To powinno jej kupić jeszcze kilka tygodni.



DZIEŃ SIEDEMDZIESIĄTY

– Czyli ten symbol – powiedział Gaotona, wskazując na jeden z jej szkiców większych pieczęci, które miała wkrótce wyrzeźbić – to znak czasu wskazujący na moment dokładnie... siedem lat temu?

– Tak. – Shai otrzepała koniec świeżo wyrzeźbionej pieczęci duszy. – Szybko się uczysz.

– Każdego dnia poddaję się operacji, o ile tak to można określić. Czuję się bardziej komfortowo, wiedząc, jakie noże będą w użytku.

– Zmiany nie są...

– Nie są trwałe – powiedział. – Wiem, ciągle tak powtarzasz. – Wyciągnął rękę, by mogła ją zapieczętować. – Zacząłem się zastanawiać... Można zranić ciało, a ono się zagoi... Jednak, jeśli robi się to raz za razem w tym samym miejscu, w końcu pojawi się blizna. Dusza nie może tak bardzo się różnić.

– Tyle tylko, że oczywiście jest zupełnie inna – stwierdziła Shai, pieczętując jego ramię.

Nigdy tak do końca jej nie wybaczył, że spaliła arcydzieło ShuXena. Widziała to w nim samym i w tym, jak przebiegały ich kontakty. Już nie był jedynie rozczarowany, ale i zły. Złość jednak z czasem przeminęła i znów ze sobą skutecznie współpracowali.

Gaotona przechylił głowę.

– Ja... a to dziwne.

– W jakim sensie dziwne? – spytała Shai, obserwując na zegarku mijające sekundy.

– Pamiętam, jak zachęcałem sam siebie, by zostać cesarzem. I... żywię do siebie urazę. Za... matko światel, czy on naprawdę mnie w taki sposób postrzegał?

Pieczęć pozostała na miejscu przez pięćdziesiąt siedem sekund. Powinno wystarczyć.

– Tak – powiedziała, gdy pieczęć znikła. – Wierzę, że dokładnie tak cię postrzegał.

Poczuła dreszcz. Ta pieczęć w końcu zadziałała!

Zbliżała się. Zbliżała się do zrozumienia cesarza, do ułożenia całej układanki. Kiedykolwiek zbliżała się do końca projektu – obrazu, Fałszerstwa duszy na dużą skalę, rzeźby – nadchodził moment, w którym widziała całość, nawet jeśli do jego zakończenia pozostało jeszcze dużo pracy. Kiedy nadchodziła ta chwila, w duszy wiedziała, że jej dzieło jest kompletne – dokończenie go było już właściwie czystą formalnością.

W tym projekcie prawie dotarła do tego punktu. Dusza cesarza leżała przed nią i tylko niektóre zakamarki kryły się jeszcze w cieniach. Pragnęła doprowadzić dzieło do końca, pragnęła dowiedzieć się, czy uda jej się go ożywić. Po tym, jak tak wiele na jego temat czytała, po tym, jak poczuła, że bardzo dobrze go poznała, musiała skończyć.

Z pewnością jej ucieczka mogła poczekać.

– O to właśnie chodziło, prawda? – spytał Gaotona. – To była ta pieczęć, którą bezskutecznie wypróbowałaś dziesiątki razy, pieczęć oznaczająca powód, dlaczego postanowił zostać cesarzem.

– Tak.

– Jego związek ze mną – powiedział arbiter. – Sprawiałaś, by jego decyzja zależała od jego związku ze mną i... i poczucia winy, które czuł, kiedy ze mną rozmawiał.

– Tak.

– I ona się przyjęła.

– Tak.

Gaotona odchylił się do tyłu na krześle.

– Matko świąteł... – powtórzył szeptem.

Shai wzięła pieczęć i umieściła ją razem z tymi, których działanie potwierdziła.

W ciągu ostatnich kilku tygodni wszyscy pozostali arbitrzy zrobili to samo, co Frava – przychodzili do Shai i składali jej fantastyczne obietnice w zamian za władzę nad cesarzem. Jedyne Gaotona nie próbował jej przekupić. Uczciwy człowiek, i to na najwyższych szczeblach cesarskiej władzy. Zadziwiające. Wykorzystanie go miało być o wiele trudniejsze, niżby chciała.

– Muszę powtórzyć – powiedziała, odwracając się do niego – że jestem pod wrażeniem. Nie sądzę, by wielu Wielkich poświęciło czas na badania nad pieczęciami duszy. Wyrzekają się tego, co uważają za zło, nie próbując nawet go zrozumieć. Zmieniłeś zdanie?

– Nie. Wciąż sądzę, że to, co robisz, jest, jeśli nie złe, to przynajmniej bluźniercze. A jednak, kim jestem, by cię osądzać? Polegam na tobie, byś zachowała nas u władzy z pomocą sztuki, którą tak swobodnie nazywamy plugawą. Nasza żądza władzy przeważa nad naszym sumieniem.

– Zgoda, jeśli chodzi o pozostałych – przyznała Shai – ale to nie jest twój osobisty motyw.

Uniósł brew.

– Ty po prostu chcesz odzyskać Ashravana – stwierdziła. – Nie chcesz zaakceptować, że go utraciłeś. Kochałeś go jak syna, młodzieńca, którego mentorem byłeś, cesarza, w którego zawsze wierzyłeś, nawet kiedy on sam nie wierzył w siebie.

Gaotona odwrócił wzrok z wyraźnym zakłopotaniem.

– To nie będzie on – powiedziała Shai. – Nawet jeśli mi się uda, to naprawdę nie będzie on. Jesteś tego oczywiście świadom.

Przytaknął.

– Ale z drugiej strony... czasem udane fałszerstwo jest równie dobre jak oryginał. Należysz do Stronnictwa Dziedzictwa. Otaczasz się zabytkami, które tak naprawdę nie są zabytkami, obrazami naśladowującymi zaginione przed laty oryginały. Przypuszczam, że fałszywy zabytek w roli cesarza nie będzie się bardzo od nich różnił. A ty... ty chcesz po prostu wiedzieć, że zrobiłeś wszystko, co mogłeś. Dla niego.

– Jak ty to robisz? – spytał cicho Gaotona. – Widziałem, jak rozmawiasz ze strażnikami, uczysz się nawet imion służących. Wydaje się, że znasz ich życie rodzinne, ich namiętności, co robią wieczorami... A jednak spędzasz cały czas zamknięta w tej komnacie. Nie opuszczałaś jej od miesiący. Skąd to wszystko wiesz?

– Ludzie – Shai podniosła się i sięgnęła po kolejną pieczęć – z natury próbują zapanować nad tym,

co ich otacza. Budujemy ściany, by chroniły nas przed wiatrem, dachy, by powstrzymywały deszcz. Ujarzmiamy żywioły, naginamy naturę do naszej woli. Dzięki temu czujemy, że panujemy nad sytuacją.

– Tyle tylko że w ten sposób zastępujemy jeden wpływ innym. Teraz to nie wiatr na nas wpływa, ale ściana. Dzieło ludzkich rąk. Palce ludzkiego wpływu są wszędzie wokół nas i wszystkiego dotykają. Utkane przez ludzi dywany, przygotowane przez ludzi jedzenie. Każda rzecz w mieście, której dotykamy, którą widzimy i odczuwamy, której doświadczamy, jest skutkiem wpływu jakiegoś człowieka.

– Możemy czuć, że mamy władzę, ale to nie jest do końca prawda, o ile nie rozumiemy ludzi. Panowanie nad otoczeniem nie oznacza już ochrony przed wiatrem, ale zrozumienie, dlaczego służąca ostatniej nocy płakała albo dlaczego jeden ze strażników zawsze przegrywa w karty. Albo dlaczego zatrudnił cię twój pracodawca.

Gaotona popatrzył na nią, gdy usiadła, a później wyciągnęła pieczęć w jego stronę. Z wahaniem podał jej rękę.

– Przyszło mi na myśl – powiedział – że mimo wszelkich starań i tak cię nie doceniliśmy, kobieto.

– Dobrze – odparła. – Słuchałeś mnie. – Nałożyła pieczęć. – A teraz powiedz mi, dlaczego właściwie nie znosisz ryb?



DZIEŃ SIEDEMDZIESIĄTY SZÓSTY

Muszę zrobić to dzisiaj, pomyślała Shai, kiedy Pieczętujący Krwią nacinał jej ramię. Dzisiaj. Mogłabym odejść dzisiaj.

W drugim rękawie ukrywała kawałek papieru imitujący te, które Pieczętujący Krwią często przynosił ze sobą w te ranki, kiedy przychodził wcześniej. Dwa dni wcześniej zauważyła na jednym z nich kawałek wosku. To były listy. Shai zaczęła rozumieć. Przez cały czas błędnie oceniała mężczyznę.

– Dobre wieści? – spytała, gdy pokrywał pieczęć jej krwią.

Mężczyzna o białych wargach posłał jej szydercze spojrzenie.

– Z domu – dodała Shai. – Ta kobieta, do której piszesz, a która została w Dzhamarze. Przysłała ci dzisiaj list? Do pałacu poczta dociera rankiem. Pukają do twoich drzwi, przynoszą list... – A to cię budzi, dodała w myślach. Dlatego w te dni przychodzisz wcześniej. – Musisz bardzo za nią tęsknić, skoro nie możesz znieść myśli o pozostawieniu listu od niej w swojej komnacie.

Mężczyzna opuścił rękę i chwycił Shai za koszulę.

– Zostaw ją w spokoju, wiedźmo – wysyczał. – Ty... zostaw ją w spokoju! Żadnych sztuczek i czarów!

Był młodszy, niż zakładała. Częsta pomyłka w przypadku Dzhamarczyków. Ich białe włosy i skóra sprawiały, że obcy nie umieli ocenić ich wieku. Shai powinna się domyślić. Był jeszcze młodzikiem.

Zacisnęła wargi.

– Mówisz o moich sztuczkach i magii, trzymając w rękach pieczęć pokrytą moją krwią? To ty grozisz, że wyślesz moim tropem szkielety, przyjacielu. Ja tylko czasem wyglądam stół.

– Po prostu... po prostu... Ech!

Młodzieniec machnął rękami i zapieczętował drzwi.

Strażnicy przyglądali się temu, z nonszalanckim rozbawieniem i dezaprobatą. Słowa Shai były przemyślnym przypomnieniem, że ona sama jest nieszkodliwa, prawdziwie nienaturalny jest Pieczętujący Krwią. Strażnicy przez prawie trzy miesiące patrzyli na nią jak na przyjaznego uczonego, który czasem majstrował przy różnych przedmiotach, podczas gdy ten mężczyzna rozlewał jej krew i używał jej do tajemniczych okropieństw.

Muszę upuścić papier, pomyślała i opuściła rękaw, by falsyfikat upadł na ziemię, gdy strażnicy byli odwróceny do niej plecami. To by wprowadziło w ruch jej plany, jej ucieczkę...

Prawdziwe Fałszerstwo nie jest jeszcze ukończone. Dusza cesarza.

Zawahała się. Głupio się zawahała.

Drzwi się zamknęły.

Straciła okazję.

Shai podeszła do łóżka i usiadła na jego krawędzi. Podrobiony list wciąż miała w rękawie. Dlaczego się zawahała? Czy jej instynkt samozachowawczy tak bardzo osłabł?

Mogę poczekać jeszcze trochę, powiedziała sobie. Aż Znak Esencji Ashravana będzie gotów.

Powtarzała to sobie od wielu dni. A właściwie tygodni. Każdy kolejny dzień zbliżający ją do terminu był kolejną szansą, by Frava zaatakowała. Kobieta wracała z kolejnymi wymówkami, by zabrać notatki Shai. Szybko zbliżali się do punktu, w którym dokończenie dzieła Shai przez drugiego Falszera nie będzie wymagało od niego wielkiego wysiłku.

A przynajmniej tak będzie sądził. Im dalej docierała, tym lepiej rozumiała, że projekt jest niemożliwy. I tym bardziej pragnęła wprowadzić go w życie.

Wyjęła księgę poświęconą życiu cesarza i wkrótce odkryła, że znów skupia się na jego młodzińskich latach. Myśl, że on jednak nie ożyje, że cała jej praca miałaby być jedynie oszustwem dla odwrócenia uwagi, gdy planowała ucieczkę... te rozważania były fizycznie bolesne.

Na Noce, pomyślała Shai. Polubiłaś go. Zaczynasz patrzeć na niego tak jak Gaotona! Nie powinna tak się czuć. Nigdy go nie poznała. Poza tym był godny pogardy.

Ale nie zawsze tak było. Nie, właściwie to nigdy nie stał się całkowicie godny pogardy. Był o wiele bardziej skomplikowany. Jak każdy człowiek. Mogła go zrozumieć, widziała...

– Na Noce! – powiedziała, podniosła się i odłożyła książkę.

Musiała oczyścić umysł.

Kiedy sześć godzin później Gaotona przyszedł do komnaty, właśnie przyciskała pieczęć do przeciwległej ściany. Starszy mężczyzna otworzył drzwi, wszedł do środka i znieruchomiał, kiedy ścianę zalały barwy.

Wzory przypominające pnącza wyrastały z pieczęci Shai jak strugi farby. Zielone, szkarłatne, bursztynowe. Obraz rozrastał się jak żywa istota, gałęzie wypuszczały liście, pojawiały się na nich kiście soczystych owoców. Wzór zagęszczał się, nagle znikąd pojawiła się złota obwódka, płynąca jak strumienie, otaczająca liście i odbijająca światło.

Fresk pogłębił się, każdy cal wypełniała iluzja ruchu. Wijące się pędy, niespodziewane kolce wyłaniające się zza gałęzi. Gaotona westchnął z zachwyty i podszedł do Shai. Za nim do środka wkroczył Zu, a dwaj pozostali strażnicy wyszli, zamykając za sobą drzwi.

Gaotona wyciągnął rękę i dotknął ściany, ale oczywiście farba była sucha. Ściana była przekonana, że została pomalowana w taki sposób przed laty. Gaotona ukląkł i spojrzał na dwa odciski pieczęci, które Shai zostawiła u podstawy obrazu. Dopiero trzeci, umieszczony nad nimi, zaczął przeobrażenie – wcześniejsze były notatkami na temat tego, jak obraz miał zostać stworzony. Wskazówkami, zmianami w historii, notatkami.

– Jak? – spytał Gaotona.

– Jeden z Uderzających strzegł Atsuko z Jindo podczas jego wizyty w Różanym Pałacu – wyjaśniła Shai. – Atsuko zachorował i przez trzy tygodnie nie opuszczał swojej komnaty. Znajdowała się zaledwie piętro wyżej.

– Twoje Falszerstwo umieściło go w tej komnacie?

– Tak. To było, zanim przed rokiem woda przesączyła się przez sklepienie i je uszkodziła, więc umieszczenie go tutaj jest całkiem wiarygodnie. Ściana pamięta, że Atsuko przez wiele dni był zbyt słaby, by wyjść, ale dość silny, by malować. Każdego dnia niewielki fragment, rosnący wzór pędów,

liści i owoców. Dla zabicia czasu.

– Ono nie powinna się przyjąć – stwierdził Gaotona. – To Fałszerstwo jest naciągane. Zbyt wiele zmieniłaś.

– Wcale nie – sprzeciwiła się Shai. – Ono jest na granicy... tej granicy, na której znajduje się największa sztuka.

Cofnęła pieczęć. Ledwie pamiętała ostatnie sześć godzin. Pogrążyła się w twórczej gorączce.

– Mimo to... – zaczął Gaotona.

– Przyjmie się. Gdybyś był ścianą, jaki wolałbyś być? Ponury i nudny czy ożywiony farbą?

– Ściany nie myślą!

– Ale się przejmują.

Gaotona pokręcił głową i mruknął coś o przesądach.

– Jak długo?

– Zajęło mi stworzenie tej pieczęci duszy? Rzeźbiłam ją po kawałku przez miesiąc. To ostatnia rzecz, jaką chciałam zrobić dla tej komnaty.

– Artysta był Jindo – powiedział. – Może dlatego, że pochodzicie z tego samego ludu... Ale nie! To myślenie przypomina twoje przesady.

Gaotona potrząsnął głową, próbując zrozumieć, dlaczego obraz się przyjął, choć dla Shai było od początku oczywiste, że tak się stanie.

– Tak na marginesie, Jindo i mój lud nie są jednym i tym samym – zauważyła cierpko Shai. – Być może dawno temu byliśmy spokrewnieni, ale teraz całkowicie się od nich różnimy.

Cali Wielcy. Tylko dlatego że ludzie mieli podobne rysy, Wielcy zakładali, że są właściwie identyczni.

Gaotona obrzucił wzrokiem jej komnatę i piękne meble, rzeźbione i wypolerowane. Marmurową posadzkę inkrustowaną srebrem, kominek, na którym trzaskał ogień, i niewielki żyrandol. Na podłodze leżał piękny dywan – kiedyś był dziurawą kapą. Na ścianie po prawej błyszczało witrażowe okno, rzucające światło na fresk.

Jedynym, co zachowało pierwotną postać, były drzwi, grube, ale poza tym zupełnie nijakie. Nie mogła ich Sfałszować ze względu na Pieczęć Krwi.

– Masz pojęcie, że twoja komnata jest teraz najpiękniejsza w pałacu? – odezwał się Gaotona.

– Wątpię. – Shai pociągnęła nosem. – Z pewnością najładniejsze są te należące do cesarza.

– Największe na pewno. Ale nie najładniejsze. – Ukląkł przy obrazie i wpatrzył się w jej pieczęć na dole. – Dołączyłaś dokładne wyjaśnienia, jak to zostało namalowane.

– Aby stworzyć realistyczne Fałszerstwo, trzeba mieć umiejętności niezbędne do stworzenia tego, co się naśladuje, przynajmniej w pewnym stopniu.

– Czyli sama mogłabyś pomalować tę ścianę.

– Nie mam farb.

– Ale mogłabyś. Mogłabyś poprosić o farby. Dałbym ci je. A ty stworzyłaś Fałszerstwo.

– Tym właśnie jestem – powiedziała Shai, po raz kolejny czując narastającą irytację.

– Tym postanowiłaś się stać. Jeśli ściana może pragnąć, by stać się freskiem, ty, Wan ShaiLu, mogłabyś zapragnąć, by stać się wielkim malarzem.

Shai uderzyła pieczęcią w stół, po czym odetchnęła głęboko.

– Jesteś porywcza – zauważył Gaotona. – Podobnie jak on. Właściwie wiem dokładnie, jakie to uczucie, ponieważ kilka razy mnie nim obdarzyłaś. Zastanawiam się, czy to... coś mogłoby pomóc zwiększyć świadomość wśród ludzi. Mogłabyś zapisać swoje uczucia w pieczęci, a później pozwolić, by inni poczuli, jak to jest być tobą...

– Wspaniały pomysł. Gdyby tylko Fałszowanie dusz nie było ohydny zakłóceniem naturalnego porządku.

– Gdyby tylko.

– Jeśli umiesz odczytać te pieczęcie, to jesteś rzeczywiście bardzo dobry – powiedziała Shai, celowo zmieniając temat. – Właściwie zaczynam sądzić, że oszukiwałeś.

– Właściwie...

Shai nadstawiła uszu i stłumiła gniew, który i tak zaczynał dogasać. O co chodziło?

Gaotona nieśmiało sięgnął do głębokiej kieszeni szaty i wyciągnął drewnianą skrzynkę. Tę, w której trzymała swoje skarby, pięć Znaków Esencji. Te korekty jej duszy mogły ją w miarę potrzeby zmienić w kogoś, kim mogłaby się stać.

Shai zrobiła krok do przodu, ale kiedy Gaotona otworzył skrzyneczkę, okazało się, że w środku nie ma pieczęci.

– Przepraszam – powiedział. – Ale sądzę, że oddanie ci ich w tej chwili byłoby dosyć... nierozsądne z mojej strony. Wydaje się, że każda mogłaby w jednej chwili uwolnić cię z uwięzienia.

– W rzeczywistości tylko dwie mogłyby tego dokonać – odparła kwaśno Shai.

Palce jej zadrżały. Te pieczęcie duszy oznaczały ponad osiem lat jej pracy. Zaczęła tworzyć pierwszą w dniu, w którym zakończyła naukę.

– Ach tak – powiedział Gaotona.

Wewnątrz skrzyneczki leżały metalowe płytki z wytłoczonymi mniejszymi pieczęciami, które razem tworzyły schemat korekty jej duszy.

– Jak sądzę, ta? – Uniósł jedną z płytek. – Shaizan. W tłumaczeniu... Shai od Pięści? Gdybyś się naznaczyła, stałabyś się wojowniczką?

– Tak – zgodziła się.

Studiował jej Znaki Esencji – w ten właśnie sposób zaczął tak dobrze odczytywać pieczęcie.

– Rozumiem zaledwie jedną dziesiątą tego, co zostało tu napisane, a może nawet mniej – dodał Gaotona. – A to, co pojmuję, robi wrażenie. Ich stworzenie musiało zaiste zająć wiele lat.

– Są dla mnie... cenne.

Shai zmusiła się, by usiąść przy biurku i nie skupiać się na płytkach. Gdyby udało jej się z nimi uciec, bez trudu stworzyłaby nową pieczęć. Zajęłoby to wiele tygodni, ale większość z jej pracy nie poszłaby na marne. Gdyby te płytki zostały zniszczone...

Gaotona usiadł na tym samym krześle co zwykle i nonszalancko przerzucał płytki. Gdyby robił to ktoś inny, potraktowałaby to jako zawołaną groźbę. „Popatrz, co trzymam w dłoniach, popatrz, co mógłbym ci zrobić”. Gaotonie jednak nie o to chodziło. Był szczerze zaniepokojony.

Naprawdę? Jak zawsze nie umiała stłumić instynktów. Choć była dobra, ktoś inny mógł być jeszcze lepszy. Jak ostrzegał ją wuj Won. Może Gaotona przez cały czas ją oszukiwał? Czuli, że może zaufać swojej ocenie Gaotony. Ale jeśli się myliła, mogło się to skończyć katastrofą.

I tak może do niej dojść, pomyślała. Powinnam uciec przed wieloma dniami.

– Rozumiem, dlaczego chciałabyś zmienić się w żołnierza – powiedział Gaotona, odkładając płytkę.
– Tę też rozumiem. Myśliwy, mistrz sztuki przetrwania. Wydaje się wyjątkowo wszechstronna. Imponujące. Tu zaś mamy uczoną. Ale dlaczego? Już jesteś uczoną.

– Żadna kobieta nie może wiedzieć wszystkiego – wyjaśniła Shai. – Czas na naukę jest ograniczony. Kiedy pieczętuję się tym Znakiem Esencji, nagle umiem posługiwać się tuzinem języków, od fen po mulla'dil, a nawet paroma z Sycli. Znam dziesiątki różnych kultur i wiem, jak się wśród nich poruszać. Mam wiedzę z dziedziny nauk ścisłych i matematyki, znam też główne stronnictwa polityczne świata.

– Ach.

Po prostu mi je oddaj, pomyślała.

– Ale co z tą? – spytał Gaotona. – Żebraczka? Dlaczego chciałabyś być wychudzona i... Czy dobrze widzę, że wypadłaby ci większość włosów, a skórę pokryłyby blizny?

– Zmienia mój wygląd – odparła Shai. – Drastycznie. To użyteczne.

Nie wspomniała, że w tym wcieleniu umiała żyć na ulicy i obracać się w półświatku. Nawet bez tej pieczęci nieźle sobie radziła z włamaniami, ale z jej pomocą była niezrównana.

Z pomocą tej pieczęci mogłaby pewnie wyslizgnąć się przez malutkie okno – Znak przepisywał jej przeszłość, dając wiele lat doświadczenia akrobaty – i zejść pięć kondygnacji w dół.

– Nie pomyślałem – stwierdził Gaotona. Uniósł ostatnią płytkę. – Pozostaje tylko ta jedna, najbardziej zaskakująca.

Shai nie odpowiedziała.

– Praca na roli, szycie. Zakładam, że to kolejna fałszywa tożsamość. Abyś mogła udawać kogoś prostszego?

– Tak.

Gaotona pokiwał głową i odłożył płytkę.

Uczciwość. Musi zobaczyć moją uczciwość. Jej nie da się sfalszować.

– Nie – powiedziała z westchnieniem.

Popatrzył na nią.

– To... moja droga ucieczki. Nigdy jej nie użyję. Po prostu tu jest, na wypadek gdybym zechciała.

– Droga ucieczki?

– Jeśli kiedyś jej użyję – wyjaśniła – nadpisze lata, które przeżyłam jako Fałszerz. Wszystko. Zapomnę, jak tworzyć najprostsze pieczęci, zapomnę, że w ogóle byłam uczennicą Fałszerza. Stanę się kimś zwyczajnym.

– I tego właśnie chcesz?

– Nie.

Chwila wahania.

– Tak. Może. Częściowo.

Uczciwość. Była taka trudna. Czasami była jedyną drogą.

Czasami marzyła o tym prostym życiu. W równie chorobliwy sposób, jak człowiek, który, stojąc na krawędzi urwiska, zastanawia się, jak to by było, gdyby po prostu z niego zeskoczył. Pokusa istnieje, nawet jeśli jest absurdalna.

Normalne życie. Żadnego ukrywania się, żadnych kłamstw. Uwielbiała to, co robiła. Uwielbiała dreszczyk, osiągnięcia, zadziwienie. Ale czasami... kiedy była uwięziona w celi albo uciekała... czasami

marzyła o czymś innym.

– Twoja ciotka i wuj? – spytał. – Wuj Won, ciotka Sol, oboje są częścią tej wersji. Przeczytałem to w tym miejscu.

– Są fałszywi – szepnęła Shai.

– A jednak przez cały czas ich cytujesz.

Zacisnęła powieki.

– Podejrzewam – powiedział Gaotona – że życie pełne kłamstw sprawia, że rzeczywistość i fałszerstwo zaczynają się przeplatać. Ale gdybyś użyła tej pieczęci, z pewnością nie zapomniałabyś wszystkiego. Jak mogłabyś ukryć oszustwo przed sobą?

– To by było największe Fałszerstwo ze wszystkich – powiedziała Shai. – Takie, które oszukałoby nawet mnie samą. Zapisałam w nim przekonanie, że bez tej pieczęci, nakładanej każdego ranka, umarłabym. Historię choroby, odwiedzin u... zamykającego, jak ich nazywacie. Uzdrowiciela wykorzystującego pieczęcie duszy. Od niego moja fałszywa tożsamość dostała lekarstwo, które muszę stosować każdego ranka. Ciotka Sol i wuj Won będą mi wysyłać listy, to ta część oszustwa, która ma oszukać mnie samą. Już je napisałam. Całe setki... a przed użyciem Znak Esencji sporo zapłacę na pocztę, by od czasu do czasu mi je dostarczała.

– Ale gdybyś spróbowała ich odwiedzić? – spytał Gaotona. – Powrócić do miejsc z dzieciństwa?

– Wszystko jest na płytce. Będę się bała podróżować. Kryje się w tym pewna prawda, jako dziecko rzeczywiście bałam się opuszczać swoją wioskę. Kiedy Znak znajdzie się na miejscu, będę się trzymać z dala od miast. Uznam, że podróż w odwiedziny do krewnych jest zbyt niebezpieczna. Ale to nieważne. Nigdy jej nie użyję.

Ta pieczęć byłaby jej końcem. Zapomniałaby ostatnie dwadzieścia lat, wróciła do czasu, kiedy miała osiem lat i po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać nad zostaniem Fałszerzem.

Stałaby się kimś zupełnie innym. Żaden z pozostałych Znaków Esencji tego nie robił – przepisywały na nowo część jej przeszłości, ale pozostawiały jej wiedzę, kim jest naprawdę. Ostatni nie. Ten byłby ostateczny. Przerazał ją.

– Włożyłaś mnóstwo pracy w coś, czego nigdy nie użyjesz – zauważył Gaotona.

– Czasami takie jest życie.

Gaotona pokręcił głową.

– Zostałam zatrudniona, żeby zniszczyć obraz.

Nie była pewna, co właściwie skłoniło ją, żeby to powiedzieć. Musiała być uczciwa wobec Gaotony – to jedyny sposób, by jej plan się powiódł – ale on nie potrzebował tej informacji. A może?

Arbiter uniósł wzrok.

– ShuXen zatrudnił mnie, żebym zniszczyła obraz Fravy – powiedziała. – Dlatego spaliłam arcydzieło, zamiast wykraść je z galerii.

– ShuXen? Ale... on jest autorem oryginału! Dlaczego miałby zatrudnić ciebie, żebyś zniszczyła jedno z jego dzieł?

– Ponieważ nienawidzi cesarstwa. Namalował ten obraz dla kobiety, którą kochał. Jej dzieci oddały go w prezencie cesarstwu. ShuXen jest już stary, ślepy i ledwo się porusza. Nie chciał umrzeć ze świadomością, że jedno z jego dzieł służy, by dodawać chwały Różanemu Imperium. Błagał mnie, bym je spaliła.

Gaotona wydawał się oszołomiony. Patrzył na nią, jakby próbował wzrokiem przebić jej duszę. Shai nie wiedziała, dlaczego się tak męczył – ta rozmowa i tak zupełnie ją obnażyła.

– Mistrza jego klasy trudno naśladować – powiedziała Shai – szczególnie kiedy nie ma się pod ręką oryginału. Jeśli się nad tym zastanowisz, zrozumiesz, że potrzebowałam jego pomocy, by stworzyć te falsyfikaty. Dał mi dostęp do swoich studiów i szkiców, powiedział mi, jak się zabrał do malowania. Uczyl mnie pociągnąć pędzlem.

– Dlaczego nie mogłaś po prostu oddać mu oryginału? – spytał Gaotona.

– On umiera. Posiadanie jest dla niego bezwartościowe. Namalował ten obraz dla kochanki. Ona już nie żyje, uznał więc, że obraz też powinien zniknąć.

– Bezcenny skarb – westchnął Gaotona. – Zniszczony z powodu nierozumnej dumy.

– To było jego dzieło!

– Już nie – sprzeciwił się Gaotona. – Należało do każdego, kto je oglądał. Nie powinnaś się na to zgodzić. Zniszczenie w taki sposób dzieła sztuki nigdy nie jest właściwe. – Zawahał się. – Ale mimo to sądzę, że rozumiem. Twoje postępowanie miało w sobie pewną szlachetność. Twoim celem było Księżycowe Berło. Odślonięcie się, by zniszczyć obraz, było niebezpieczne.

– ShuXen uczył mnie malować, gdy byłam młodsza. Nie mogłam odmówić jego prośbie.

Gaotona nie sprawiał wrażenia, że się zgadza, ale wyglądał na to, że rozumie. Na Noce, Shai czuła się odsłonięta.

To ważne, powiedziała sobie. I może...

Nie oddał jej płytek. Nie spodziewała się, że to zrobi, nie w tej chwili. Dopiero kiedy ich umowa zostanie dopełniona – a ona czuła się coraz bardziej przekonana, że nie dożyje jej końca, o ile nie ucieknie.

Sprawdzili ostatnią grupę nowych pieczęci. Każda trzymała się przez co najmniej minutę, czego Shai była zresztą pewna. Miała teraz wizję, ideę ostatecznej duszy. Kiedy skończyła szóstą pieczęć tego dnia, Gaotona czekał na następną.

– Gotowe – powiedziała Shai.

– Koniec na dziś?

– Koniec na zawsze – odparła Shai, chowając ostatnią z pieczęci.

– Skończyłaś? – Gaotona usiadł prosto. – I to miesiąc przed czasem! To...

– Nie skończyłam – przerwała mu Shai. – Teraz nadszedł najtrudniejszy moment. Muszę wyrzeźbić te kilka setek pieczęci w najmniejszych szczegółach, a później stworzyć pieczęć-zwornik. Można powiedzieć, że na razie przygotowałam wszystkie farby, studium kolorów i postaci. Teraz muszę je złożyć wszystkie razem. Ostatnio zajęło mi to prawie pięć miesięcy.

– A masz jedynie dwadzieścia cztery dni.

– A mam jedynie dwadzieścia cztery dni – powtórzyła Shai, ale od razu poczuła ukłucie winy. Musiała uciekać. Nie mogła czekać na zakończenie projektu.

– W takim razie nie będę ci dłużej przeszkadzał – powiedział Gaotona, wstał i odwinął rękaw.



DZIEŃ OSIEMDZIESIĄTY PIĄTY

Tak, pomyślała Shai, precyzyjnie się obok łóżka i przejrzała leżącą na nim stertę papierów. Stół okazał się za mały. Mocno naciągnęła prześcieradło i zmieniła łóżko w miejsce, na którym mogła gromadzić papiery. Tak, jego pierwsza miłość była postacią z książki. To dlatego... rude włosy Kurshiny... Ale to podświadome. Nie mógł wiedzieć. W takim razie trzeba to ukryć głęboko.

Jak mogła to przegapić? Nie była tak blisko ukończenia pracy, jak zakładała. Brakowało jej czasu!

Dodała to, co odkryła, do pieczęci, nad którą pracowała, łączącej wszystkie elementy romantycznych skłonności i doświadczeń Ashravana. Uwzględniła je wszystkie – żenujące, wstydlive, cudowne. Wszystko, co odkryła, i jeszcze trochę, wykalkulowane ryzyko, by uzupełnić duszę. Flirt z kobietą, której imienia Ashravan nie mógł sobie przypomnieć. Próżne fantazje. Niespełniony romans z kobietą, która już nie żyła.

Najtrudniejsza część duszy do naśladowania, najbardziej prywatna. Niewiele z tego, co robił cesarz, pozostawało naprawdę tajemnicą, ale Ashravan nie zawsze był cesarzem.

Musiała ekstrapolować, gdyż inaczej dusza pozostałaby jałowa, pozbawiona namiętności.

Tak tajemniczy, tak potężny. Odnajdując te szczegóły, czuła się najbliższa Ashravanowi. Nie jak podglądacz – w tej chwili była już częścią jego osoby.

Prowadziła teraz dwie książki. Oficjalne notatki na temat jej działań świadczyły o tym, że ma koszmarnie opóźnienia – ta księga pomijała szczegóły. Druga była prawdziwa – udawała bezużyteczną stertę notatek, przypadkowych i chaotycznych.

Naprawdę miała opóźnienia, ale nie tak wielkie, jak świadczyła oficjalna dokumentacja. Liczyła, że ten podstęp kupi jej kilka dni, zanim Frava uderzy.

Szukając pewnej notatki, natrafiła na jedną z list planów ucieczki. Zawahała się. Po pierwsze, zająć się pieczęcią na drzwiach, brzmiała zaszyfrowana notatka. Po drugie, uciszyć strażników. Po trzecie, odzyskać Znaki Esencji, jeśli to możliwe. Po czwarte, uciec z pałacu. Po piąte, uciec z miasta.

Zrobiła kolejne notatki opisujące przebieg każdego kroku. Nie ignorowała ucieczki, nie całkowicie. Miała dobre plany.

Jednakże uwagę skupiała na gorączkowych próbach ukończenia duszy. Jeszcze tydzień, powiedziała sobie. Jeśli poświęcę jeszcze tydzień, skończę pięć dni przed terminem. Wtedy będę mogła uciec.



DZIEŃ ZIEWIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

– Ej – powiedział Hurli i pochylił się. – A co to?

Hurli był krępy Uderzającym, który udawał głupszego, niż był w rzeczywistości. Dzięki temu wygrywał w karty. Miał dwójkę dzieci – dwie córeczki, żadna nie skończyła jeszcze pięciu lat – ale potajemnie spotykał się z jedną ze strażniczek. Hurli w głębi duszy pragnął zostać cieślą, jak jego ojciec. Byłby również przerażony, gdyby zorientował się, jak wiele Shai wie na jego temat.

Podniósł kartkę, którą znalazł na podłodze. Pieczętujący Krwią właśnie wyszedł. Był ranek dziewięćdziesiątego szóstego dnia uwięzienia Shai w komnacie, a ona postanowiła rozpocząć realizację planu. Musiała się wydostać.

Pieczęć cesarza nie była jeszcze ukończona. Ale już prawie. Jeszcze jedna noc pracy i będzie ją miała. Jej plan i tak wymagał oczekania jeszcze jednej nocy.

– Chwastopalcy musiał ją upuścić – powiedziała Yil, podchodząc. Tego ranka była drugim strażnikiem w komnacie.

– Co to? – spytała Shai ze swojego miejsca przy biurku.

– List – odparł Hurli z chrząknięciem.

Dwójka strażników czytała w milczeniu. Wszyscy Uderzający w pałacu umieli czytać i pisać. Umiejętności tych wymagano od wszystkich cesarskich urzędników z co najmniej drugiej trzciny.

Shai siedziała w milczeniu, popijając cytrynową herbatę i zmuszając się, by oddychać spokojnie. Zmusiła się do rozluźnienia, nawet jeśli rozluźnienie było ostatnią rzeczą, której pragnęła. Znała treść listu na pamięć. W końcu sama go napisała, a później ukradkowo porzuciła za Pieczętującym Krwią, gdy pośpiesznie opuszczał komnatę.

Bracie, brzmiał list. Niemal zakończyłem pracę w tym miejscu, a bogactwo, które zdobyłem, dorównuje temu przywiezionemu przez Azaleca z Południowych Prowincji. Więzień, którego pilnuję, nie wydaje się wart moich wysiłków, ale kim jestem, by kwestionować polecenia ludzi, którzy płacą mi stanowczo za dużo.

Wkrótce do Ciebie powrócę. Z dumą mogę stwierdzić, że odniosłem sukces również w mojej drugiej misji. Znalazłem kilku dobrych wojowników i zebrałem wystarczająco dużo próbek. Włosy, paznokcie i kilka drobnych przedmiotów osobistych, których braku nie zauważą. Jestem pewien, że wkrótce będziemy mieli osobistych strażników.

Aby nie wzbudzać podejrzeń, list był dłuższy, pismo pokrywało obie jego strony. Shai wypełniła go uwagami na temat życia w pałacu, poruszała przy tym kwestie, których Pieczętujący Krwi z pewnością był świadom, natomiast wszyscy uznaliby, że sama Shai nie ma o nich pojęcia.

Martwiła się, że list był nieco zbyt oczywisty. Czy strażnicy uznają go za jawne fałszerstwo?

– Ten KuNuKam – szepnęła Yil, używając słowa z ich ojczystego języka. Tłumaczyło się je w przybliżeniu jako określenie człowieka, który miał odbyć w miejscu ust. – Ten cesarski KuNuKam!

Najwyraźniej uwierzyli, że to on był autorem. Żołnierze często nie zauważali subtelności.

– Mogę go zobaczyć? – spytała Shai.

Hurli podał jej list.

– Czy on pisze to, co mi się wydaje? – spytał. – Zbierał... nasze rzeczy.

– Może nie chodzi o Uderzających – zauważyła Shai, gdy skończyła lekturę. – Nigdzie tego nie napisał.

– Po co mu włosy? – spytała Yil. – I paznokcie?

– Mogą robić różne rzeczy z częściami ciała – stwierdził Hurli i znów zaklął. – Widzisz, co robi każdego dnia z krwią Shai na drzwiach.

– Nie sądzę, by mógł wiele osiągnąć z włosami i paznokciami – powiedziała z namysłem Shai. – Po prostu się chwali. Krew musi być świeża, nie starsza niż dzień, by zadziałała w jego pieczęciach. Przechwala się przed bratem.

– Nie powinien robić takich rzeczy – mruknął Hurli.

– Na waszym miejscu bym się tym nie martwiła.

Pozostała dwójka popatrzyła po sobie. Kilka minut później zmieniła się straż. Hurli i Yil wyszli, szepcząc coś do siebie, Hurli wcisnął list do kieszeni. Nie sądziła, by zrobili Pieczętującemu Krwią wielką krzywdę. Ale mogli go zastraszyć.

Pieczętujący Krwią co wieczór odwiedzał herbaciarnie w tej okolicy. Niemal go pożałowała. Wywnioskowała, że kiedy dostawał wieści z domu, szybko i punktualnie stawiał się u jej drzwi. Czasami wydawał się podekscytowany. Kiedy nie dostawał wieści, pił. Tego ranka robił wrażenie smutnego. Czyli żadnych wieści z domu.

To, co miało mu się przytrafić tego wieczoru, nie poprawi mu nastroju. Tak, Shai prawie go pożałowała, ale później przypomniała sobie pieczęć na drzwiach i bandaż, którym tego ranka opatrzyła rękę.

Kiedy strażnicy się zmienili, Shai odetchnęła głęboko i wróciła do pracy.

Dziś w nocy. Dziś w nocy skończy.



DZIEŃ DZIEWIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

Shai klęczała na podłodze pośród rozrzuconych kartek pokrytych ściśniętym pismem albo rysunkami pieczęci. Za jej plecami świt otwierał oczy, a blask słońca wpadał przez witrażowe okno, zalewając komnatę szkarłatem, błękitem i fioletem.

Pojedyncza pieczęć duszy, wyrzeźbiona w wypolerowanym kamieniu, spoczywała główką w dół na leżącej przed nią metalowej płycie. Kamień duszy sam w sobie przypomina piaskowiec czy inne drobnoziarniste skały, ale z wmieszanymi czerwonymi drobkami. Jakby splamiły go krople krwi.

Shai zamrugnęła. Naprawdę zamierzała spróbować ucieczki? Przespała... ile? Cztery godziny w ciągu ostatnich trzech dni?

Z pewnością ucieczka mogła poczekać. Z pewnością Shai mogła odpocząć, choć jeden dzień. Odpocząć, pomyślała tępo, a już się nie obudzę.

Pozostała na miejscu, klęcząc. Ta pieczęć wydawała się najpiękniejszym, co widziała w życiu. Jej przodkowie oddawali cześć kamieniom, które spadały w nocy z nieba. Nazywali je duszami połamanych bogów. Rzemieślnicy rzeźbili je, by wydobyć ich prawdziwy kształt. Kiedyś Shai uznawała to za głupotę. Po co oddawać cześć czemuś, co się samemu stworzyło?

Klęcząc przed swoim arcydziełem, zrozumiała. Miała wrażenie, że oddała wszystko tej pieczęci. Wcisnęła dwa lata wysiłków w trzy miesiące, a całość ukoronowała nocą desperackiego, gorączkowego rzeźbienia. Tej nocy wprowadziła zmiany w swoich notatkach, w samej duszy. Drastyczne zmiany. Wciąż nie wiedziała, czy zostały sprowokowane przez jej ostateczną, wspaniałą wizję projektu jako całości... czy też były błędnymi koncepcjami zrodzonymi z wyczerpania i urojeń.

Nie dowie się, dopóki nie użyje pieczęci.

– Czy to... gotowe? – spytał jeden ze strażników.

Oboje przenieśli się na drugi koniec komnaty i usiedli przy kominku, żeby zrobić jej miejsce na podłodze. Niewyraźnie przypominała sobie, jak odsuwała meble na boki. Trochę czasu poświęciła na wyciąganie stert papierów spod łóżka, a później wpełzła pod nie, by wydobyć pozostałe.

Gotowe?

Shai pokiwała głową.

– Co to jest? – spytał strażnik.

Na Noce, pomyślała. Racja. Oni nawet nie wiedzą.

Zwyczajni strażnicy wychodzili każdego dnia, gdy prowadziła rozmowy z Gaotoną.

Biedni Uderzający pewnie resztę życia spędzą na jakiejś odległej placówce na krańcach cesarstwa, może będą strzec przełęczy prowadzących na daleki Półwysep Teodzki. Zostaną po cichu zamieceni

pod dywan, by nawet przypadkiem nie zdradzili nic z tego, co się tu wydarzyło.

– Spytajcie Gaotonę, jeśli chcecie wiedzieć – powiedziała cicho. – Mnie nie wolno mówić.

Shai z szacunkiem podniosła pieczęć, po czym umieściła ją razem z płytką w przygotowanej wcześniej skrzyneczce. Pieczęć spoczywała na czerwonym aksamicie, płytka – w kształcie dużego, cienkiego medalionu – we wgłębieniu pokrywy. Shai opuściła wieko, po czym wyjęła drugą, nieco większą skrzynkę. Wewnątrz znajdowało się pięć pieczęci, wyrzeźbionych i przygotowanych, by pomóc jej w ucieczce. Gdyby się jej udało. Dwie już wykorzystała.

Gdyby mogła przespać choć kilka godzin. Tylko kilka...

Nie. I tak nie mogę użyć łóżka.

Jednakże perspektywa zwinięcia się w kłębek na podłodze była taka kusząca.

Drzwi zaczęły się otwierać. Poczowała nagły atak paniki. Czy to Pieczętujący Krwią? Miał wciąż tkwić w łóżku po tym, jak upił się do nieprzytomności po pobiciu przez Uderzających!

Przez chwilę czuła dziwną, połączoną z poczuciem winy ulgę. Jeśli przyszedł Pieczętujący Krwią, nie miałyby dziś szansy uciec. Mogłaby pójść spać. Czy Hurli i Yil go nie sprali? Shai była pewna, że właściwie ich odczytała, i...

...i mimo zmęczenia zorientowała się, że wyciąga pochopne wnioski. Drzwi otworzyły się i ktoś wszedł do środka, ale to nie był Pieczętujący Krwią.

Tylko kapitan Zu.

– Wyjść – warknął do dwójki strażników.

Poderwali się gwałtownie.

– Właściwie – dodał Zu – macie już wolne. Popilnuję jej do czasu zmiany straży.

Dwójka zasalutowała i odeszła. Shai poczuła się jak ranny łoś porzucony przez stado. Drzwi zamknęły się z trzaskiem, a Zu powoli odwrócił się w jej stronę.

– Pieczęć nie jest jeszcze gotowa – skłamała Shai. – Możesz więc...

– Nie musi być gotowa. – Zu uśmiechnął się szeroko. – Jak pamiętam, przed trzema miesiącami coś ci obiecałem, złodziejko. Mamy... rachunki do wyrównania.

W komnacie panował półmrok, gdyż jej lampa dogasała, a poranek dopiero wstawał. Shai cofnęła się, szybko zmieniając swoje plany. To nie tak miało być. Nie mogła walczyć z Zu.

Jej usta się nie zamykały, odwracając jego uwagę, a jednocześnie pomagając jej odegrać rolę, którą wymyśliła w biegu.

– Kiedy Frava się dowie, że tu przyszedłeś – powiedziała – będzie wściekła.

Zu wyciągnął miecz.

– Na Noce! – Shai cofnęła się do łóżka. – Zu, nie musisz tego robić. Nie możesz tego zrobić. Muszę dokończyć pracę!

– Ktoś inny dokończy ją za ciebie – odpowiedział Zu, uśmiechając się złośliwie. – Frava ma innego Fałszerza. Myślisz, że jesteś taka sprytka. Pewnie zaplanowałaś na jutro jakąś cudowną ucieczkę. Tym razem uderzymy jako pierwsi. Tego nie przewidziałaś, co, kłamczucho? Zabicie cię sprawi mi przyjemność. Jakże wielką przyjemność.

Pchnął mieczem, jego sztych zaplątał się w jej bluzkę i rozciął ją z boku. Shai odskoczyła i zaczęła głośno wzywać pomocy. Wciąż odgrywała rolę, jednak nie musiała bardzo udawać. Serce waliło jej w piersi i przepętniała ją panika, gdy pośpiesznie obeszła łóżko, by znalazło się między nią a Zu.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko i rzucił w jej stronę, wskazując na łóżko.

Które się załamało. W nocy, gdy wpełzła pod posłanie, by wyciągnąć swoje notatki, Sfalszowała drewno ramy, by było uszkodzone, przeżarte przez owady i kruche. Nacięła też spodnią część materaca.

Zu nie zdołał nawet krzyknąć, gdy łoże zapadło się w otwór, który otworzyła w podłodze pod nim. Wcześniejsze zalanie – ta stęchlizna, którą czuła, gdy weszła po raz pierwszy – okazało się kluczowe. Wedle raportów drewniane belki sklepienia przegniłyby, a sam sufit by się zawalił, gdyby odpowiednio szybko nie zlokalizowali przecieku. Proste Falszerstwo, całkowicie wiarygodne, sprawiło, że to podłoga się zapadła.

Kapitan wpadł do pustego składu piętro niżej. Shai przez chwilę stała i dyszała, po czym spojrzała w otwór. Mężczyzna leżał wśród połamanych pozostałości łóżka, częściowo na poduszkach i materacu. Powinien przeżyć – planowała tę pułapkę na jednego ze zwykłych strażników, których zdążyła polubić.

Nie do końca tak to zaplanowałam, pomyślała, ale się nada.

Podbiegła do stołu i zebrała swoje rzeczy. Skrzynka pieczęci, dusza cesarza, trochę kamienia duszy i atrament. I dwie księgi dokładnie objaśniające stworzone przez nią pieczęci – tę oficjalną i tę prawdziwą.

Tę oficjalną wrzuciła po drodze do kominka. Następnie zatrzymała się przed drzwiami, odliczając uderzenia serca.

Zadręczała się, patrząc na pulsujący znak Pieczętującego Krwią. Wreszcie po kilku bolesnych minutach pieczęć na drzwiach zablęśla po raz ostatni... i zblakła. Pieczętujący Krwią nie wrócił na czas, by ją odnowić.

Wolność.

Shai wypadła na korytarz, porzucając miejsce, które przez ostatnie trzy miesiące było jej domem, komnatę zdobioną teraz złotem i srebrem. Korytarz na zewnątrz był tak bliski, a mimo to wydawał się zupełnie obcą krainą. Przycisnęła trzecią z przygotowanych pieczęci do zapinanej na guziki bluzki, zmieniając ją tak, by wyglądała jak te noszone przez pałacową służbę, z oficjalnym symbolem wyszytym na lewej piersi.

Nie miała wiele czasu na kolejne posunięcie. Wkrótce Pieczętujący Krwią dotrze do jej komnaty, Zu odzyska przytomność po upadku albo przyjdzie nowa zmiana strażników. Shai pragnęła pobiec korytarzem w stronę pałacowych stajni.

Nie zrobiła tego. Bieg mógł być uzasadniony albo winą albo ważnym zadaniem. Jedno i drugie zwracało uwagę. Dlatego ruszyła energicznym krokiem i przyjęła minę kogoś, kto wie, co robi, i dlatego nie należy mu przeszkadzać.

Wkrótce dotarła do lepiej utrzymanych skrzydeł ogromnego pałacu. Nikt jej nie zatrzymywał. Zatrzymała się na wyłożonym dywanem skrzyżowaniu.

Po prawej stronie, na końcu długiego korytarza, znajdowało się wejście do komnat cesarza. Pieczęć, którą niosła w prawej ręce, ukrytą w skrzynce i otoczoną tkaniną, niemal podskakiwała w jej palcach. Dlaczego nie zostawiła jej w komnacie, by Gaotona mógł ją odnaleźć? Arbitrzy polowaliby na nią z mniejszą wytrwałością, gdyby mieli pieczęć.

Mogła zostawić ją tutaj, w tym korytarzu obwieszonym portretami starożytnych władców i wypełnionym Sfalszowanymi urnami z dawnych epok.

Nie. Nie bez powodu zabrała ją ze sobą. Przygotowała narzędzia, by wejść do komnat cesarza. Od początku wiedziała, że tak właśnie postąpi.

Gdyby teraz odeszła, nigdy by się tak naprawdę nie dowiedziała, czy pieczęć działa. To by było jak wybudowanie domu bez możliwości przekroczenia jego progu. Jak wykucie miecza bez możliwości zamachnięcia się nim. Jak stworzenie arcydzieła, a potem zamknięcie go i ukrycie przed światem.

Shai ruszyła długim korytarzem.

Kiedy nikogo nie było w pobliżu, przekręciła jedną z tych koszmarnych urn do góry dnem i odkuła pieczęć. Naczynie zmieniło się w prostą glinianą wersję siebie.

Miała dość czasu, by dowiedzieć się, gdzie dokładnie były produkowane te urny i przez kogo. Czwarta z przygotowanych przez nią pieczęci zmieniła urnę w replikę zdobnego, połączanego nocnika. Shai przeszła korytarzem do komnat cesarza i z nocnikiem pod pachą skinęła głową strażnikom.

– Nie rozpoznaję cię – powiedział jeden z nich.

Ona też go nie rozpoznawała, mimo charakterystycznej pobliznionej twarzy i zmrużonych oczu. Tego się właśnie spodziewała. Strażników wyznaczonych, by ją strzec, trzymano z dala od pozostałych, by nie mogli plotkować o swoich obowiązkach.

– Och – wymamrotała Shai z wyraźnym zmieszaniem. – Przepraszam, większy. Dopiero dziś rano dostałam to zadanie.

Zarumieniła się i wyciągnęła z kieszeni niewielki kwadrat grubego papieru z podpisem i pieczęcią Gaotony. Oba podrobiła w staroświecki sposób. To było bardzo dogodne, że pozwolił, by mu doradzała w kwestii zabezpieczenia komnat cesarza.

Później nie miała już żadnych problemów. Następne trzy komnaty w ogromnym kompleksie należącym do cesarza były puste. Za nimi znajdowały się zamknięte na klucz drzwi. Musiała sfalszować drewno, zmieniając je w takie, które zostało zniszczone przez owady – za pomocą tej samej pieczęci, którą osłabiła łóżko – by dostać się do środka. Pieczęć nie przyjęła się na długo, ale kilka sekund wystarczyło, by kopnięciem wyważyła drzwi.

Za nimi znajdowała się sypialnia cesarza. To samo miejsce, do którego zaprowadzono ją pierwszego dnia, gdy dostała tę szansę. W pomieszczeniu przebywał tylko leżący na łóżku cesarz. Nie spał, wpatrywał się bezmyślnie w sufit.

W komnacie panował bezruch. Cisza. Pachniała... za czysto. Zbyt biało. Jak puste płótno.

Shai podeszła do łóżka. Ashravan nie spojrzał na nią. Jego oczy się nie poruszyły. Położyła palce na jego ramieniu. Miał przystojną twarz, choć był od niej o jakieś piętnaście lat starszy. Niezbyt dużo jak na Wielkiego – oni żyli dłużej niż większość.

Miał wyraźne rysy twarzy, mimo tak długiego czasu spędzonego w łóżku. Złote włosy, mocno zarysowana szczęka, wydatny nos. Jakże różne od rysów rodaków Shai.

– Znam twoją duszę – powiedziała Shai cicho. – Znam ją lepiej, niż ty ją kiedykolwiek znałeś.

Nikt jeszcze nie podniósł alarmu. Spodziewała się go w każdej chwili. Mimo to uklękła obok łóżka.

– Żałuję, że cię nie poznałam. Nie twoją duszę, ale ciebie. Czytałam o tobie, zajrzałam w głąb twojego serca. Odbudowałam twoją duszę najlepiej, jak umiałam. Ale to nie to samo. Nie poznałam ciebie, prawda? Jedynie twoje życie.

Czy gdzieś w odległym skrzydle pałacu nie rozległ się krzyk?

– Nie proszę cię o wiele – powiedziała cicho. – Tylko o to, żebyś żył. Żebyś był. Zrobiłam, co mogłam. Niech to wystarczy.

Odetchnęła głęboko, otworzyła skrzyneczkę i wyjęła jego Znak Esencji. Posmarowała go atramentem i podciągnęła koszulę, obnażając przedramię.

Zawahała się, po czym przycisnęła pieczęć. Główka dotknęła ciała i przez chwilę pozostała nieruchoma, jak to się zawsze działo. Skóra i mięśnie poddały się dopiero po chwili, kiedy pieczęć zagłębiła się na ułamek cala.

Shai przekręciła pieczęć, blokując ją, i cofnęła. Jaskrawoczerwony znak emanował słabym blaskiem. Ashravan zamrugał.

Shai wstała i cofnęła się, gdy usiadł i rozejrzał się dookoła.

– Moje komnaty – powiedział Ashravan. – Co się stało? Był zamach. Ja... zostałem ranny. Och, matko światel. Kurshina. Ona nie żyje.

Na jego twarzy malował się smutek, jednak mężczyzna po chwili nad nim zapanował. Był cesarzem. Owszem, bywał porywczy, ale dopóki ktoś go nie rozzłościł, potrafił ukrywać emocje. Odwrócił się do Shai i skupił na niej spojrzenie – wzrok żywych oczu.

– Kim jesteś?

To pytanie sprawiło, że poczuła ucisk w żołądku, choć przecież się go spodziewała.

– Swego rodzaju chirurgiem – odparła. – Zostałeś poważnie ranny. Uzdrowiłam cię. Jednak to, czego użyłam w tym celu, jest uważane za... podejrzone przez wielu z twoich rodaków.

– Jesteś zamykającą – powiedział. – Fałszerzem?

– W pewnym sensie – zgodziła się Shai. Wiedziała, że w to uwierzy, bo tego właśnie pragnął. – To było bardzo trudne zamykanie. Będziesz musiał się pieczętować każdego dnia i zawsze musisz mieć przy sobie metalową płytkę... tę w kształcie medalionu w tym pudełku. Bez nich umrzesz, Ashravanie.

– Daj mi ją – powiedział, wyciągając rękę po pieczęć.

Zawahała się. Nie była pewna dlaczego.

– Daj mi ją – powtórzył z większym naciskiem.

Złożyła pieczęć w jego dłoni.

– Nie mów nikomu o tym, co się tu wydarzyło – powiedziała. – Ani strażnikom, ani służbie. Jedyne twoi arbitrzy wiedzą, co zrobiłam.

Krzyki na zewnątrz wydawały się coraz głośniejsze. Ashravan spojrzał w tamtą stronę.

– Jeśli nikt nie powinien wiedzieć – powiedział – musisz odejść. Opuść to miejsce i nigdy nie wracaj.

– Spojrzał na pieczęć. – Poznałeś moją tajemnicę, więc pewnie powinienem cię zabić.

Oto i egoizm, którego nauczył się przez lata życia w pałacu. Tak, dobrze jej wyszedł.

– Ale tego nie zrobisz – powiedziała.

– Nie.

I miłosierdzie, choć głęboko ukryte.

– Odejdź, zanim zmienię zdanie.

Zrobiła krok w stronę wyjścia, po czym spojrzała na zegarek – dobrze ponad minuta. Pieczęć się przyjęła, przynajmniej na razie. Odwróciła się i spojrzała na niego.

– Na co czekasz? – spytał ostro.

– Chciałam spojrzeć po raz ostatni.

Zmarszczył czoło.

Krzyki stały się jeszcze głośniejsze.

– Odejdź – powiedział. – Proszę.

Wydawało się, że wie, jaka jest przyczyna tych odgłosów, a przynajmniej się domyślał.

– Tym razem poradź sobie lepiej – powiedziała. – Proszę.

Przez jakiś czas miała pokusę, by wbudować w niego pragnienie zapewnienia jej bezpieczeństwa.

Ale nie byłoby ku temu żadnego dobrego powodu, przynajmniej w jego oczach, i mogło to zaszkodzić całemu Fałszerstwu. Poza tym nie wierzyła, by mógł ją ocalić. Do zakończenia okresu żałoby nie mógł opuszczać swoich komnat ani rozmawiać z nikim poza arbitrami. W tym czasie to arbitrzy rządzą cesarstwem.

Właściwie i tak nim rządzą. Nie, pośpieszna korekta duszy Ashravana, by ją chronił, nic by nie dała. Przed ostatnimi drzwiami Shai podniosła fałszywy nocnik i wypadła przez drzwi. Głośno westchnęła, słysząc krzyki.

– Czy tu chodzi o mnie?! – wykrzyknęła. – Na Noce! Nie chciałam. Wiem, że nie powinnam go oglądać. Wiem, że przebywa w odosobnieniu, ale otworzyłam niewłaściwe drzwi!

Strażnicy gapili się na nią, później jeden z nich się rozluźnił.

– Nie chodzi o ciebie. Wróć do swojej kwatery i nie ruszaj się z niej.

Shai ukloniła się i odeszła pośpiesznie. Większość strażników jej nie знаła, więc...

Poczuła ostry ból w boku. Sapnęła. Ból był taki jak każdego ranka, kiedy Pieczętujący Krwią znaczył drzwi.

Przerażona Shai pomacała bok. Rozcięcie jej bluzki – kiedy Zu ciął ją mieczem – sięgnęło ciemnej podkoszulki! Kiedy cofnęła rękę, na palcach miała kilka kropli krwi. Draśnięcie, nic poważnego. W zamieszaniu nawet nie zauważyła, że została ranna.

Ale sztych miecza Zu... była na nim jej krew. Świeża krew. Pieczętujący Krwią ją odnalazł i zaczął polowanie. Ten ból oznaczał, że ją lokalizował, dostrajał do niej swoje zwierzątka.

Shai rzuciła urnę na bok i zaczęła biec.

Już nie myślała o tym, by się ukrywać. Pozostawanie niezauważoną nie mało sensu. Jeśli dopadną ją szkielety Pieczętującego Krwią, zginie. I tyle. Musiała szybko znaleźć konia, a później przez dwadzieścia cztery godziny wyprzedzać szkielety, aż jej krew się zestarzeje.

Biegła korytarzami. Służący pokazywali ją palcami, inni krzyczeli. Prawie przewróciła ambasadora z południa w czerwonej kapłańskiej zbroi.

Shai zaklęła i odskoczyła od niego. Wyjścia z pałacu były już zamknięte. Wiedziała to. Poświęciła sporo czasu na badanie zabezpieczeń. Wydostanie się było właściwie niemożliwe.

„Zawsze miej plan awaryjny”, mawiał wuj Won.

I zawsze go miała.

Zatrzymała się w korytarzu i doszła do wniosku – co powinna zrobić już wcześniej – że bieg w stronę wyjścia nie ma sensu. Była spanikowana, a jej tropem podążał Pieczętujący Krwią. Mimo to musiała myśleć jasno.

Plan awaryjny. Był desperacki, ale lepszego nie miała. Znow ruszyła biegiem, poślizgnęła się na rogu i wróciła tam, skąd przybyła.

Noce, niech się okaże, że nie oceniłam go błędnie, myślała. Jeśli w tajemnicy jest mistrzowskim

szarlatanem, którego umiejętności wykraczają poza moje, jestem zgubiona. Nieznany Boże, proszę. Niech tym razem się nie mylę.

Z sercem łomoczącym w piersi, zapomniawszy na chwilę o wyczerpaniu, w końcu zatrzymała się w korytarzu prowadzącym do komnat cesarza.

Tam czekała. Strażnicy wpatrywali się w nią uważnie, ze zmarszczonymi czołami, ale nie ruszali się ze swoich stanowisk na końcu korytarza, jak ich wyszkolono. Wołali do niej. Bezruch przychodził jej z trudem. Ten Pieczętujący Krwią zbliżał się coraz bardziej ze swoimi koszmarnymi zwierzątkami...

– Dlaczego tu jesteś? – spytał ktoś.

Shai odwróciła się, gdy w korytarzu pojawił się Gaotona. Inni wyruszyli na poszukiwanie Shai, ale Gaotona poszedł do cesarza, by się upewnić, że ten jest bezpieczny.

Podeszła do niego niepewnie. To chyba najgorszy plan awaryjny, jaki kiedykolwiek ułożyłam, pomyślała.

– Udało się – powiedziała cicho.

– Wypróbowałaś pieczęć? – spytał Gaotona, chwycił ją za ramię i obejrzał się na strażników, po czym odciągnął ją na bok, by nikt ich nie podsłuchał. – Ze wszystkich pochopnych, szalonych, nierozsądnych...

– Udało się, Gaotono – powtórzyła.

– Dlaczego poszłaś do niego? Dlaczego nie uciekłaś, kiedy miałaś okazję?

– Musiałam wiedzieć. Musiałam.

Spojrzał na nią, prosto w oczy. Patrzył przez nie w głąb jej duszy, jak zawsze. Na Noce, byłby z niego doskonały Falszerm.

– Pieczętujący Krwią jest na twoim tropie – powiedział Gaotona. – Przywołał te... stwory, by cię pochwyciły.

– Wiem.

Gaotona wahał się tylko przez chwilę, po czym z obszernej kieszeni wyjął drewniane pudełko. Serce Shai zabiło szybciej.

Wyciągnął rękę w jej stronę, a ona chwyciła pudełko, ale Gaotona go nie puścił.

– Wiedziałaś, że tu przyjdę – powiedział. – Wiedziałaś, że będę je miał i że ci je oddam. Oszukałaś mnie.

Shai nie odpowiedziała.

– Jak to zrobiłaś? – spytał. – Sądziłem, że uważnie cię obserwuję. Byłem pewien, że nie zostałem zmanipulowany. A jednak pobiegłem tutaj, na wpół przekonany, że cię tu znajdę. Wiedząc, że będziesz ich potrzebować. Aż do tej chwili nie uświadamiałem sobie, że prawdopodobnie zaplanowałaś to wszystko.

– Zmanipulowałam cię, Gaotono – przyznała. – Ale musiałam to zrobić w najtrudniejszy z możliwych sposobów.

– To znaczy?

– Byłam szczerą – odparła.

– Nie można manipulować ludźmi, będąc szczerym.

– Naprawdę? – spytała Shai. – A czy nie na tym opiera się cała twoja kariera? Mówisz szczerze, uczysz ludzi, czego można się po tobie spodziewać, a później oczekujesz, że oni również będą wobec

ciebie szczerzy?

– To nie to samo.

– Owszem – zgodziła się. – Ale nie miałam niczego lepszego w zanadrzu. Wszystko, co ci powiedziałam, było prawdą, Gaotono. Obraz, który zniszczyłam, tajemnice z mojego życia i ukryte pragnienia... Bycie szczerą. Tylko w taki sposób mogłam sprawić, byś stanął po mojej stronie.

– Nie jestem po twojej stronie. – Zawahał się. – Ale nie chcę też, byś została zabita, dziewczyno. A już zwłaszcza przez te stwory. Weź je. Na Dnie! Weź je i odejź, zanim zmienię zdanie.

– Dziękuję – szepnęła i przycisnęła skrzyneczkę do piersi. Sięgnęła do kieszeni spódnicy i wyjęła niedużą, grubą książkę. – Zachowaj to – powiedziała. – Nie pokazuj nikomu.

Wziął ją z wahaniem.

– Co to?

– Prawda – odparła, po czym nachyliła się i pocałowała go w policzek. – Jeśli uda mi się uciec, zmienię swój ostatni Znak Esencji. Ten, którego nigdy nie zamierzam użyć... Dodam do niego i do moich wspomnień kochanego dziadka, który uratował mi życie. Człowieka pełnego mądrości i współczucia, którego bardzo szanowałam.

– Uciekaj, głuptasie – powiedział.

W jego oku pojawiła się łza. Gdyby nie była tak przerażona, pewnie poczułaby dumę. I wstyd z powodu tej dumy. Taka już była.

– Ashravan żyje – powiedziała. – Kiedy będziesz o mnie myślał, pamiętaj o tym. Udało się. Na Noce, udało się.

Zostawiła go i pobiegła korytarzem.

* * *

Gaotona słuchał, jak dziewczyna ucieka, ale nie odprowadził jej wzrokiem. Wpatrywał się w drzwi prowadzące do komnat cesarza. Dwóch zdezorientowanych strażników i przejście do... czego?

Przyszłości Różanego Cesarstwa.

Będzie nami władał ktoś, kto nie jest do końca żywy, pomyślał Gaotona. Owoc naszych plugawych wysiłków.

Odetchnął głęboko, po czym minął strażników i otworzył drzwi, by obejrzeć to, czego dokonał.

Tylko... proszę, by nie okazał się potworem.

* * *

Shai szła pałacowym korytarzem, ściskając skrzyneczkę z pieczęciami. Zerwała zapinaną na guziki białą bluzkę – odsłaniając obcisłą koszulkę z czarnej bawełny, którą nosiła pod spodem – i wcisnęła ją do kieszeni. Zostawiła spódnicę i rajtuzy. Nie różniły się zbyt od stroju, w którym ćwiczyła.

Służący uciekali jej z drogi. Postawa Shai podpowiadała im, że powinni to zrobić. Nagle poczuła się bardziej pewna siebie niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich lat.

Odzyskała swoją duszę. Całą.

Nie zatrzymując się, wyjęła jeden ze Znaków Esencji. Energicznym ruchem pokryła go atramentem

i znów schowała skrzynekę do kieszeni spódnicy. Później mocno przycisnęła pieczęć do prawego ramienia i zablokowała ją, na nowo pisząc swoją historię, wspomnienia i doświadczenia życiowe.

W tym ułamku sekundy pamiętała obie historie. Pamiętała dwa lata spędzone w zamknięciu, gdy planowała i tworzyła ten Znak Esencji. Pamiętała swoje życie jako Fałszerza.

Jednocześnie pamiętała piętnaście lat, które spędziła wśród ludu Teullu. Przyjęli ją i szkolili w sztukach walki.

Dwa miejsca i dwie linie czasu jednocześnie.

Później ta pierwsza odeszła w zapomnienie, a ona stała się Shaizan – to imię nadali jej Teullu. Jej ciało stało się szczuplejsze, twardsze. Zdjęła okulary. Wiele lat wcześniej uzdrowiła wzrok i już ich nie potrzebowała.

Uzyskanie dostępu do nauk Teullu było bardzo trudne – nie lubili obcych. Podczas rocznego szkolenia tuzin razy prawie zginęła. Ale udało jej się.

Utraciła wszelką wiedzę, jak tworzyć pieczęcie, wszelkie uczone skłonności. Wciąż była sobą i pamiętała niedaleką przeszłość – pojmanie, zamknięcie w tamtej celi. Zachowała wiedzę – logicznie – o tym, co właśnie zrobiła z pieczęcią na ramieniu, i wiedziała, że życie, które pamiętała, jest fałszywe.

Ale wcale tak nie czuła. Kiedy pieczęć zapłonęła na jej ramieniu, stała się tą wersją samej siebie, która zaistniałaby, gdyby została przyjęta przez lud surowych wojowników i żyła wśród nich ponad dekadę.

Zrzuciła buty. Jej włosy stały się krótsze, a na twarzy pojawiła się blizna biegnąca od nosa przez prawy policzek. Szła jak wojownik, skradała się, a nie spacerowała.

Dotarła do części pałacu przeznaczonej dla służących, niedaleko stajni, po lewej miała Cesarską Galerię.

Przed nią otworzyły się drzwi. Wyszedł zza nich Zu, wysoki, o mięsistych wargach. Miał rozcięte czoło – krew przesączyła się przez bandaż – i ubranie poszarpane po upadku.

W jego oczach ujrzała burzę. Na jej widok uśmiechnął się szyderczo.

– Już po tobie. Pieczętujący Krwią doprowadził nas prosto do ciebie. Sprawi mi przyjemność...

Przerwał, kiedy Shai błyskawicznie rzuciła się do przodu i uderzyła dłonią o jego nadgarstek, łamiąc go i wrywając mu miecz z palców. Gwałtownie poderwała rękę, wbijając ją kantem w jego gardło. Następnie zacisnęła pięść i mocno uderzyła go w pierś, miażdżąc sześć żeber.

Zu zatoczył się do tyłu i sapnął, a w jego oczach malowało się absolutne zaskoczenie. Miecz uderzył z brzękiem o ziemię. Shaizan minęła go, wyciągnęła nóż zza pasa Zu i rozcięła wiązanie jego płaszcza.

Mężczyzna padł na ziemię, pozostawiając płaszcz w jej dłoniach.

Mogłaby mu może coś powiedzieć. Ale Shaizan nie miała cierpliwości do dowcipnych komentarzy i szyderstw. Wojownik zawsze pozostawał w ruchu, jak rzeka. Bez zatrzymywania się owinęła się płaszczem i weszła w korytarz za plecami Zu.

Mężczyzna z trudem łapał oddech. Przeżyje, ale przez wiele miesięcy nie weźmie miecza do ręki.

Zauważyła ruch na drugim końcu korytarza – istoty o białych kończynach, zbyt chude, by były żywe. Shaizan przygotowała się, przyjmując postawę z ciałem zwróconym w bok, twarzą w stronę korytarza, i lekko ugiętymi nogami. Nieważne, ile potworów miał Pieczętujący Krwią, nieważne, czy zwycięży.

Liczyło się wyzwanie.

Było ich pięciu, przybrali postać mężczyzn z mieczami w rękach. Z grzechotem kości szli

korytarzem, a ich bezokie czaszki przyglądały się jej bez wyrazu, poza tym niezmiennym uśmiechem spiczastych zębów. Niektóre fragmenty szkieletów zostały zastąpione drewnem wyrzeźbionym tak, by naprawić kości zniszczone w walce. Każdy stwór miał na czole świecąca czerwoną pieczęć – krew była niezbędna, by dać im życie.

Nawet Shaizan nigdy wcześniej nie walczyła z takimi potworami. Dźgnięcie ich nic by nie dało. Ale te kawałki, które zostały zastąpione – niektóre były fragmentami żeber lub innymi kośćmi, których szkielet nie powinien potrzebować do walki. Gdyby kości zostały połamane lub usunięte, czy stwór przestałby działać?

Wydawało się, że to jej największa szansa. Nie zastanawiała się dłużej. Shaizan kierowała się instynktem. Kiedy stwory do niej dotarły, zamachnęła się płaszczem Zu i zarzuciła go na głowę pierwszego. Zaczął się szarpać, walcząc z tkaniną, podczas gdy ona zwarła się z drugą istotą.

Przyjęła cios na sztylet, który zabrała Zu, po czym podeszła tak blisko, że poczuła zapach kości, i sięgnęła tuż pod żebrami. Chwyciła kręgosłup i szarpnęła, wrywając kilka kręgów, a krawędź mostka rozcięła jej ramię. Wszystkie kości szkieletu wydawały się zaostrome.

Stwór upadł z grzechotem kości. Miała rację. Po usunięciu kluczowych kości stwór nie dawał się ożywić. Shaizan odrzuciła garść kręgów na bok.

Pozostały cztery. O ile wiedziała, szkielety nie męczyły się i były nieustępliwe. Musiała być szybka, by stwory jej nie obezwładniły.

Trzy z tyłu zaatakowały ją – Shaizan uchyliła się i zbliżyła do pierwszego w chwili, gdy zerwał z siebie płaszcz. Chwyciła jego czaszkę za oczodoły, za co zapłaciła głęboką raną ramienia, gdy trafił ją mieczem. Jej krew zalała ścianę, gdy szarpnięciem oderwała czaszkę – reszta ciała stwora natychmiast padła na ziemię.

Ruszaj się. Nie zwalnij.

Gdyby zwolniła, zginęłaby.

Odwróciła się w stronę pozostałej trójki, czaszką zablokowała jeden cios mieczem, a sztyletem sparowała drugi. Uskoczyła przed trzecim, a ostrze prześlizgnęło się po jej boku.

Nie czuła bólu. Nauczyła się ignorować go w bitwie. I dobrze, bo ta rana by zabolęła.

Wbiła czaszkę w głowę jednego ze szkieletów, miażdżąc je. Upadł, a Shaizan zawirowała między pozostałymi dwoma. Ich miecze z brzękiem zderzyły się ze sobą. Kopniak Shaizan sprawił, że jeden poleciał do tyłu, a ona uderzyła całym ciałem w drugiego, przyszpilając go do ściany. Kości zderzyły się ze sobą. Shai chwyciła za kręgosłup i wyrwała kilka kręgów.

Kości stwora upadły z głośnym grzechotem na ziemię. Shaizan zachwiała się, próbując się wyprostować. Straciła zbyt wiele krwi. Była coraz wolniejsza. Kiedy upuściła sztylet? Musiał wyślizgnąć się z jej palców, gdy rzuciła stworem o ścianę.

Skupić się. Został jeden.

Rzucił się na nią z mieczami w obu rękach. Skoczyła do przodu – znalazła się w jego zasięgu, zanim zdołał się zamachnąć – i chwyciła go za kości ramieniowe. Nie mogła ich wyrwać, nie pod tym kątem. Sapnęła, powstrzymując miecze. Z trudem. Słabła.

Stwór zbliżył się. Shaizan zawarczała, krew płynęła z jej ręki i boku.

Uderzyła istotę czołem.

W rzeczywistości poszło gorzej niż w opowieściach. Shaizan zrobiło się ciemno przed oczami,

osunęła się na kolana, dysząc ciężko. Szkielet upadł przed nią, siła ciosu sprawiła, że jego czaszka popękała i oderwała się od reszty. Krew płynęła po twarzy kobiety. Rozcięła czoło, może nawet uszkodziła własną czaszkę.

Przewróciła się na bok i walczyła o zachowanie przytomności.

Ciemność cofnęła się powoli.

Shaizan odkryła, że leży pośród rozrzuconych kości w pustym kamiennym korytarzu. Jedynym kolorowym elementem były plamy jej krwi.

Zwyciężyła. Kolejne wyzwanie, któremu stawiała czoło. Zawyla pieśń bojową swojej przybranej rodziny, a później znalazła sztylet i pocięła nim bluzkę na kawałki. Opatrzyła nimi rany. Straciła sporo krwi. Nawet ktoś taki jak ona nie zniósłby więcej wyzwań tego dnia. Nie, gdyby wymagały siły.

Udało jej się podnieść i zabrać płaszcz Zu – wciąż unieruchomiony bólem, patrzył na nią w zadziwieniu. Zebrała wszystkie pięć czaszek zwierzątek Pieczętującego Krwią i związała je w płaszczu.

Następnie ruszyła dalej korytarzem, próbując emanować siłą – nie zmęczeniem, oszołomieniem i bólem, które rzeczywiście czuła.

On musi gdzieś tu być...

Gwałtownym ruchem otworzyła drzwi składziku na końcu korytarza i znalazła w nim Pieczętującego Krwią. Leżał na podłodze ze szklistymi oczyma, tak szybkie zniszczenie jego zwierzątek wprowadziło go w szok.

Shaizan szarpnęła go za koszulę i poderwała na nogi. Ten wysiłek niemal sprawił, że znów straciła przytomność. Ostrożnie.

Pieczętujący Krwią zaskomlał.

– Wracaj na swoje bagna – zawarczała cicho Shaizan. – Tej, która na ciebie czeka, nie obchodzi, że jesteś w stolicy, że tak dużo zarobiłeś, że robisz to dla niej. Ona chce, żebyś wrócił do domu. Dlatego właśnie w taki sposób pisze swoje listy.

Shaizan powiedziała to dla Shai, która czułaby się winna, gdyby tego nie zrobiła.

Mężczyzna patrzył na nią zdezorientowany.

– Skąd... Auuuu!

Zawył, kiedy Shaizan wbiła mu sztylet w nogę. Puściła jego koszulę, a on osunął się na ziemię.

– A to – dodała cicho Shaizan, pochylając się nad nim – żebym miała trochę twojej krwi. Nie poluj na mnie. Widziałeś, co zrobiłam z twoimi zwierzątkami. Tobie zrobię coś gorszego. Zabieram czaszki, żebyś nie mógł ich znów wysłać moim śladem. Wracaj. Do. Domu.

Pokiwał słabo głową. Zostawiła go leżącego na ziemi, skulonego i zaciskającego ręce na rannej nodze. Przybycie szkieletów odstraszyło wszystkich innych, w tym strażników. Shaizan ruszyła w stronę stajni, po czym zatrzymała się, gdyż wpadła na pewien pomysł. Nie było zbyt daleko...

Te rany prawie cię zabiły, powiedziała sobie. Nie bądź głupia.

Postanowiła jednak być głupia.

Wkrótce Shaizan weszła do stajni, gdzie natrafiła jedynie na paru przerażonych stajennych. Wybrała najbardziej charakterystycznego wierzchowca. I tak oto – ubrana w płaszcz Zu i pochylona nad szyją jego konia – Shaizan galopem wyjechała przez bramy pałacu i nikt nie próbował jej zatrzymać.

– Czy ona mówiła prawdę, Gaotono? – spytał Ashravan, przeglądając się w lustrze.

Gaotona popatrzył na niego ze swojego miejsca. A mówiła? – pomyślał. Z Shai nigdy nie miał pewności.

Ashravan uparł się, że ubierze się samodzielnie, choć po długim czasie spędzonym w łóżku był osłabiony.

Gaotona siedział obok na zydlu i próbował uporządkować powódź emocji.

– Gaotono? – spytał Ashravan, odwracając się do niego. – Zostałem ranny, jak powiedziała ta kobieta? Zwróciliście się do Fałszerza, by mnie uzdrowił, zamiast do naszych wyszkolonych zamykających?

– Tak, Wasza Wysokość.

Te miny, pomyślał Gaotona. Jak jej się udało? Sposób, w jaki marszczy czoło, nim zada pytanie? Jak przechyla głowę, kiedy nie uzyska natychmiastowej odpowiedzi. Jak stoi, jak porusza palcami, kiedy mówi coś, co uważa za szczególnie ważne...

– Fałszerz z MaiPonu – powiedział cesarz, wkładając złoty płaszcz. – Trudno mi uwierzyć, by to było konieczne.

– Twoje rany były zbyt poważne, by poradzili sobie z nimi nasi zamykający.

– Wydawało mi się, że oni radzą sobie ze wszystkim.

– Nam również.

Cesarz wpatrywał się w czerwoną pieczęć na ramieniu. Spochmurniał.

– To będą kajdany, Gaotono. Obciążenie.

– Zniesiesz je.

Ashravan odwrócił się w jego stronę.

– Widzę, że nawet bliskie spotkanie twego suwerena ze śmiercią nie sprawiło, że traktujesz mnie z większym szacunkiem, starcze.

– Ostatnio jestem zmęczony, Wasza Wysokość.

– Osądzasz mnie – powiedział Ashravan, przeglądając się w lustrze. – Zawsze to robisz. Na płonące Dni! Pewnego dnia pozbędę się ciebie. Jesteś tego świadom, czyż nie? Jeśli trzymam cię jeszcze przy sobie, to jedynie przez wzgląd na twoją dawną służbę.

Niesamowite. To był Ashravan – Fałszerstwo tak wnikliwe, tak doskonałe, że Gaotona nigdy by się nie domyślił, gdyby nie znał prawdy. Chciał uwierzyć, że dusza cesarza cały czas tam była, w jego ciele, a pieczęć jedynie ją... odkryła.

To było wygodne kłamstwo, które mógł sobie opowiadać. Może w końcu sam zacznie w nie wierzyć. Niestety, widział oczy cesarza wcześniej i wiedział... wiedział, co zrobiła Shai.

– Udam się do innych arbitrów, Wasza Wysokość. – Gaotona wstał z zydlu. – Będą chcieli się z tobą zobaczyć.

– Dobrze. Możesz odejść.

Gaotona ruszył w stronę drzwi.

– Gaotono.

Odwrócił się.

– Trzy miesiące w łóżku – powiedział cesarz, przeglądając się w lustrze – i nikomu nie wolno było mnie zobaczyć. Zamykający sobie nie poradzili. Oni umieją wyleczyć każdą zwyczajną ranę. Tu chodziło o coś związanego z moim umysłem, prawda?

Nie powinien się tego domyślić, pomyślał Gaotona. Powiedziała, że czegoś takiego nie zapisze.

Jednakże Ashravan był inteligentnym mężczyzną. Mimo wszelkich pozorów, zawsze był inteligentny. Shai go ożywiła, ale nie mogła powstrzymać go przed myśleniem.

– Tak, Wasza Wysokość – przyznał.

Ashravan chrząknął.

– Masz szczęście, że twój gambit się powiódł. Mogłeś zniszczyć moją zdolność myślenia... mogłeś sprzedać moją duszę. Nie jestem pewien, czy powinienem cię ukarać, czy też nagrodzić za podjęcie takiego ryzyka.

– Zapewniam cię, Wasza Wysokość – powiedział Gaotona, wychodząc – że przez ostatnie miesiące sam wyznaczałem sobie wielkie nagrody i równie wielkie kary.

I wyszedł, zostawiając cesarza wpatrzonego w swoje odbicie w lustrze i rozważającego implikacje tego, co zostało zrobione.

Na dobre czy na złe, dostali cesarza z powrotem.

A przynajmniej jego kopię.



EPILOG: DZIEŃ STO PIERWSZY

– I oto mam nadzieję – powiedział Ashravan do zgromadzonych arbitrów osiemdziesięciu stronnictw – że raz na zawsze położyłem kres pewnym złośliwym pogłoskom. Przesadzony obraz mojej choroby był rzecz jasna jedynie fantazją. Nie wiemy jeszcze, kto wysłał skrytobójców, ale zamordowanie cesarzowej nie jest czymś, co można zignorować. – Spojrzał na arbitrów. – I co może pozostać bezkarne.

Frava zaplotła ręce na piersi, obserwując kopię z satysfakcją, a jednocześnie niezadowoleniem. Jakie furtki umieściłaś w jego umyśle, mała złodziejko? – zastanawiała się Frava. Odnajdziemy je.

Nyen już badał kopie pieczęci. Falszerz utrzymywał, że uda mu się je odszyfrować, choć potrzebował czasu. Może całych lat. Mimo to Frava wiedziała, że w końcu dowie się, jak kontrolować cesarza.

Zniszczenie notatek było błyskotliwym posunięciem ze strony dziewczyny. Czyżby domyśliła się, że Frava jednak nie robiła kopii?

Kobieta potrząsnęła głową i podeszła do Gaotony, który siedział w ich łoży w Teatrze Przemów. Usiadła obok niego i odezwała się bardzo cicho:

– Przyjmują go.

Gaotona pokiwał głową, nie odrywając wzroku od fałszywego cesarza.

– Nie ma najmniejszych podejrzeń. To, co zrobiliśmy... było nie tylko zuchwałe, ale też powszechnie uważane za niemożliwe.

– Ta dziewczyna mogłaby nam przystawić nóż do gardła – zauważyła Frava. – Dowód na to, co zrobiliśmy, jest wypalony na ciele cesarza. W następnych latach musimy zachować ostrożność.

Gaotona pokiwał głową, ale wydawał się rozproszony. Na płonące Dni, jakże Frava pragnęła usunąć go ze stanowiska. Był jedynym arbitrem, który kiedykolwiek się jej sprzeciwił. Tuż przed zamachem Ashravan był już gotów zrobić to zgodnie z jej sugestiami.

Te spotkania odbywały się w tajemnicy. Shai nie mogła o nich wiedzieć, zatem falsyfikat też nie wiedział. Jeśli nie uda jej się znaleźć sposobu zapanowania nad tym duplikatem Ashravana, będzie musiała zacząć od początku. Obie te możliwości ją frustrowały.

– Częściowo nie mogę uwierzyć, że jednak nam się udało – powiedział cicho Gaotona, kiedy fałszywy cesarz przeszedł do kolejnego fragmentu przemówienia, wezwania do jedności.

Frava pociągnęła nosem.

– Plan od początku był dobry.

– Shai uciekła.

– Znajdziemy ją.

– Wątpię – sprzeciwił się. – Mieliśmy szczęście, że złapaliśmy ją za pierwszym razem. Całe szczęście nie sądzę, byśmy musieli się nią martwić.

– Spróbuje nas szantażować – stwierdziła Frava.

Albo spróbuje znaleźć sposób, by pokierować cesarzem.

– Nie – powiedział Gaotona. – Nie, jest zadowolona.

– Zadowolona, że udało jej się ująć z życiem?

– Zadowolona, że umieściła jedno ze swoich dzieł na tronie. Kiedyś odważyła się podjąć próbę oszukania tysięcy... ale teraz ma szansę oszukać miliony. Całe cesarstwo. Ujawnienie tego, co zrobiła, wszystko by zepsuło, przynajmniej w jej oczach.

Stary głupiec naprawdę w to wierzył? Jego naiwność często dawała Fravie okazje do wykorzystania – właśnie z tego powodu zastanawiała się, czy nie zostawić go na stanowisku.

Falszywy cesarz przemawiał dalej. Ashravan rzeczywiście lubił dźwięk swojego głosu. Falszerz trafił w sedno.

– Wykorzystuje zamach jako środek do wzmocnienia naszego stronnictwa – powiedział Gaotona. – Słyszysz? Sugestie, że musimy się zjednoczyć, zebrać razem, przypomnieć sobie nasze dziedzictwo siły... A te pogłoski o jego śmierci, rozprowadane przez Stronnictwo Chwały... odnosząc się do nich, osłabia ich stronnictwo. Postawili na to, że nie wróci, a teraz, gdy to zrobił, wydają się głupi.

– Prawda – zgodziła się Frava. – Ty mu to podsunąłeś?

– Nie. Nie chciałem, bym mu doradzał przy pisaniu tej przemowy. To posunięcie jednak przypomina coś, co mógłby zrobić stary Ashravan, ten sprzed dziesięciu lat.

– W takim razie kopia nie jest doskonała – zauważyła Frava. – Będziemy musieli o tym pamiętać.

– Owszem – zgodził się Gaotona.

Miał coś w ręku, jakąś niedużą, grubą książkę, której Frava nie rozpoznawała.

Z tyłu łoży rozległ się szmer i do środka weszła służąca z Symbolu Fravy. Minęła arbitrowi Stivienta i Ushnakę. Dziewczyna podeszła do Fravy i nachyliła się nad nią.

Frava posłała jej niezadowolone spojrzenie.

– Cóż może być tak ważne, że przeszkadzasz mi w tym miejscu?

– Przepraszam, wasza łaskawość – szepnęła służąca. – Ale prosiliście mnie, żebym przygotowała wasz gabinet na popołudniowe spotkania.

– I co z tego? – spytała Frava.

– Czy wchodziliście wczoraj do swoich komnat, milady?

– Nie. Cała ta sprawa z tym łajdakiem Pieczętującym Krwią i żądaniami cesarza... – Frava spochmurniała jeszcze bardziej. – O co chodzi?

* * *

Shai odwróciła się i spojrzała w stronę Cesarskiego Miasta. Wybudowano je na siedmiu wielkich wzgórzach, na szczycie każdego z zewnętrznych sześciu wznosiła się siedziba jednego z głównych

stronnictw, a na środkowym pałac.

Koń u jej boku niezbyt przypominał tego, którego zabrała z pałacu. Brakowało mu kilku zębów i szedł przygarbiony, z opuszczonym łbem. Wyglądał, jakby od wieków nikt go nie wyczesawał, i był tak niedożywiony, że żebra mu wystawały jak listewki na oparciu krzesła.

Shai spędziła ostatnie dni przyczajona, wykorzystując Znak Esencji żebraczki, żeby ukryć się w półświatku Cesarskiego Miasta. Tak zamaskowana i na przeobrażonym koniu bez trudu opuściła miasto. Kiedy jednak z niego wyjechała, zdjęła pieczęć. Myślenie jak żebrak było... niewygodne.

Poluzowała popręgi, sięgnęła pod siodło i podważyła paznokciem świecąca pieczęć. Z niejakim wysiłkiem naruszyła jej krawędź, niweczając Falszerstwo. Koń natychmiast się przeobraził, wyprostował łeb, a jego boki się wypełniły. Zatańczył nerwowo, poruszając łbem we wszystkie strony i szarpiąc wodze. Rumak Zu był pięknym zwierzęciem, w niektórych częściach cesarstwa wartym więcej niż mały dom.

Wśród zapasów na jego grzbiecie krył się obraz, który Shai ukradła, po raz drugi, z gabinetu arbiter Fravy. Falszerstwo. Shai nigdy wcześniej nie miała powodu, by ukraść jedno ze swoich dzieł. Czuli się... rozbawiona. Wycięła obraz, pozostawiając pustą ramę, a na środku ściany wyryła jedną runę Reo, której znaczenie nie było szczególnie przyjemne.

Poklepała konia po karku. W sumie łup był niezgorszy. Piękny koń i obraz – falsyfikat, ale tak dobry, że nawet jego właścicielka uważała go za oryginał.

On teraz wygłasza przemówienie, pomyślała Shai. Żałuję, że nie mogę go wysłuchać.

Jej klejnot, ukoronowanie jej kariery, okrywał płaszcz cesarskiej władzy. To ją ekscytowało, a ta ekscytacja popychała ją do przodu. Nawet chęć sprawienia, by ożył, nie była przyczyną jej gorączkowej pracy. Nie, pod koniec wysilała się tak bardzo, ponieważ chciała wprowadzić kilka określonych zmian w głębi jego duszy. Może te miesiące, gdy była szczerą wobec Gaotony, ją odmieniły?

Jeśli rysować ten sam obraz, raz za razem, na stercie papieru, pomyślała Shai, w swoim czasie ten obraz znajdzie się odciśnięty również na dolnych kartach. Bardzo głęboko.

Odwróciła się i wyjęła Znak Esencji, który miał przeobrazić ją w mistrza sztuki przetrwania i myśliwego. Frava z pewnością spodziewała się, że Shai będzie trzymać się dróg, więc ona sama postanowiła udać się w głąb pobliskiego Lasu Sogdian. Jego ostępy ją ukryją. Za kilka miesięcy zamierzała ostrożnie opuścić prowincję i zająć się następnym zadaniem – wysledzić cesarskiego błazna, który ją zdradził.

Na razie chciała się znaleźć jak najdalej od murów, pałaców i dworskich kłamstw. Wskoczyła na siodło i pożegnała zarówno Cesarskie Miasto, jak i jego władcę.

Żyj dobrze, Ashravanje, pomyślała. I spraw, bym była z ciebie duma.

* * *

Późnym wieczorem po przemówieniu cesarza Gaotona siedział przy znajomym kominku w swoim osobistym gabinecie i wpatrywał się w książkę, którą dała mu Shai.

I czuł podziw.

Książka była szczegółową kopią pieczęci duszy cesarza, z notatkami. Shai odstłoniła przed nim wszystko, co zrobiła.

Frava nie mogła znaleźć furtki, która pozwoliłaby jej kontrolować cesarza, bo jej nie było. Dusza cesarza była kompletna, zamknięta i należała tylko do niego. Co nie znaczy, że był dokładnie taki sam jak wcześniej.

Jak widzisz, pozwoliłam sobie na pewną swobodę, wyjaśniały notatki Shai. Chciałam jak najbardziej precyzyjnie odtworzyć jego duszę. Takie było zadanie i wyzwanie. Zrobiłam to.

A później pociągnęłam duszę jeszcze kilka kroków dalej, wzmacniając pewne wspomnienia, a osłabiając inne. Głęboko wewnątrz Ashravana ukryłam pewne bodźce, które sprawiają, że w określony sposób zareaguje na zamach i powrót do zdrowia.

Nie zmieniłam jego duszy. Nie uczyniłam go innym człowiekiem. Jedynie popchnęłam lekko w stronę pewnej ścieżki, podobnie jak uliczny oszust skłania swojego klienta do wybrania określonej karty. To on. On taki, jakim mógłby być.

Kto wie? Może nawet taki by się właśnie stał?

Oczywiście Gaotona sam by się nigdy nie domyślił. Jego umiejętności w tym zakresie wciąż były bardzo ograniczone. Nawet gdyby był mistrzem, podejrzewał, że nie zauważyłby wpływu Shai w tym aspekcie. W książce wyjaśniała, że starała się być tak delikatna, tak ostrożna, by nikt nigdy nie rozszyfrował zmian. Ktoś musiałby doskonale znać cesarza, by choć zacząć podejrzewać, co się wydarzyło.

Notatki pozwalały Gaotonie zrozumieć. Otarcie się o śmierć miało wywołać w Ashravanie skłonność do introspekcji. Miał sięgnąć do swojego dziennika i raz za razem czytać wspomnienia ze swojej młodości. Miał zobaczyć, kim kiedyś był i w końcu spróbować to odzyskać.

Shai sugerowała, że przemiana będzie powolna. Po latach Ashravan stanie się takim mężczyzną, jakim kiedyś było mu przeznaczone się stać. Drobne skłonności ukryte głęboko w interakcjach jego pieczęci popchną go w stronę doskonałości zamiast pobłażania sobie. Zacznie myśleć o swoim dziedzictwie zamiast o kolejnej uczcie. Będzie pamiętał o swoich poddanych, a nie proszonych obiadach. W końcu popchnie stronnictwa do zmian, które, co sam zauważył i wielu przed nim, powinny zostać wprowadzone.

Krótko mówiąc, stanie się wojownikiem. Zrobi ten jeden – ale jakże trudny krok – dzielący marzyciela od człowieka czynu. Gaotona widział to na tych kartkach.

Odkrył, że płacze.

Nie z powodu przyszłości czy cesarza. To były łzy człowieka, który widział przed sobą arcydzieło. W prawdziwej sztuce chodziło o coś więcej niż piękno, coś więcej niż technikę. Nie była jedynie imitacją.

Była odwagą, była kontrastem, była subtelnością. W tej książce Gaotona odnalazł rzadkie dzieło dorównujące tym stworzonym przez największych malarzy, rzeźbiarzy i poetów z każdej epoki.

To było największe dzieło sztuki, jakie kiedykolwiek widział.

Gaotona przez większość nocy z szacunkiem trzymał książkę w rękach. Była dziełem miesiący gorączkowej, artystycznej transcendencji – wymuszonej przez zewnętrzny nacisk, ale wypuszczonej jak oddech powstrzymywany aż do granic przytomności. Szorstka, lecz wygładzona. Lekkomyślna, lecz przemyślana.

Oszalamiająca, lecz niewidoczna.

I taka musiała pozostać. Gdyby ktokolwiek dowiedział się, co zrobiła Shai, cesarz musiałby upaść.

W rzeczy samej, całe cesarstwo mogłoby zadrzeć w posadach. Nikt nie mógł wiedzieć, że do decyzji podjętej przez Ashravana, by w końcu zostać wielkim przywódcą, doprowadziły słowa zapisane w jego duszy przez bluźniercę.

Kiedy wstał świt, Gaotona boleśnie powoli podszedł do kominka. Ścisnął książkę, to niezrównane dzieło sztuki, i wyciągnął rękę.

I wrzucił je w płomienie.

POST SCRIPTUM

Na kursach pisarskich często słyszałem „Pisz o tym, na czym się znasz”. Pisarze często słyszą to powiedzenie, jednak mnie zawsze konfundowało. Pisać o tym, na czym się znam? Jak mam to zrobić? Piszę fantasy. Nie mogę wiedzieć, jak to jest używać magii – a skoro już o tym mowa, nie mogę wiedzieć, jak to jest być kobietą, ale chcę w swoich książkach uwzględniać różne punkty widzenia.

W miarę dojrzewania do pisarstwa zacząłem rozumieć, co znaczy ta fraza. Choć w tym gatunku piszemy o rzeczach fantastycznych, opowieści sprawdzają się najlepiej, jeśli mają fundament w naszym świecie. W moim przypadku magia wychodzi najlepiej, jeśli opiera się na naukowych podstawach. Tworzenie świata wychodzi najlepiej, jeśli czerpie ze źródeł w naszym świecie. Postacie wychodzą najlepiej, jeśli opierają się na ludzkich uczuciach i doświadczeniach.

Dlatego też bycie pisarzem opiera się w równej mierze na obserwacji, jak na wyobraźni.

Staram się, by nowe doświadczenia mnie inspirowały. Mam przy tym sporo szczęścia, bo mogę dużo podróżować. Kiedy odwiedzam nowy kraj, staram się, by jego kultura, mieszkańcy i moje doświadczenia z tego miejsca ukształtowały opowieść.

Niedawno odwiedziłem Tajwan i udało mi się zwiedzić tamtejsze National Palace Museum w towarzystwie redaktorki Sherry Wang i tłumaczki Lucie Tuan, które pełniły rolę moich przewodniczek. W ciągu kilku godzin nie da się objąć umysłem tysiący lat chińskiej historii, ale bardzo się staraliśmy. Całe szczęście miałem już pewne pojęcie o historii i kulturze Azji. (Dwa lata mieszkałem w Korei jako mormoński misjonarz, a później uczyłem się koreańskiego na studiach).

Ta wizyta sprawiła, że w mojej głowie pojawiły się zaczątki opowieści. Największą uwagę zwróciłem na pieczęcie, po koreańsku zwane tojang, a po mandaryńsku yinjian. Te misternie rzeźbione kamienne pieczęcie są wykorzystywane zamiast podpisów w wielu różnych kulturach Azji.

Podczas wizyty w muzeum zauważyłem wiele z tych znajomych czerwonych pieczęci. Niektóre były, rzecz jasna, pieczęciami twórców – ale widziałem też inne. Jeden z arkuszy kaligrafii pokrywały niemal w całości. Lucie i Sherry wyjaśniły mi, że starożytni Chińczycy uczeni i arystokraci, jeśli podobało im się jakieś dzieło sztuki, często pieczętowali je również swoją pieczęcią. Jeden z cesarzy szczególnie to sobie upodobał, brał piękne rzeźby albo kawałki jadeitu – często mające kilka setek lat – i kazał na nich wyryć swoją pieczęć, a czasami również fragmenty poezji.

Cóż za fascynująca umysłowość. Wyobraźcie sobie, że jesteście królem, dochodzicie do wniosku, że bardzo się wam podoba Dawid Michała Anioła, więc każecie wyryć na jego piersi swój podpis. To coś w tym rodzaju.

Idea była tak uderzająca, że w myślach zacząłem się bawić magią pieczęci. Pieczęci duszy, zdolne stworzyć na nowo naturę przedmiotu. Nie chciałem za bardzo zbliżyć się do Dusznikowania ze świata Burzowego Światła, więc wykorzystałem inspirację z muzeum – z historii – by wymyślić magię, która pozwalała napisać na nowo przeszłość przedmiotu.

Historia wyrosła z tego punktu. Ponieważ magia dobrze pasowała do systemu, który wymyśliłem dla Sel, świata Elantris, tam właśnie umieściłem jej akcję. (Do tego oparłem kilka z tamtejszych kultur

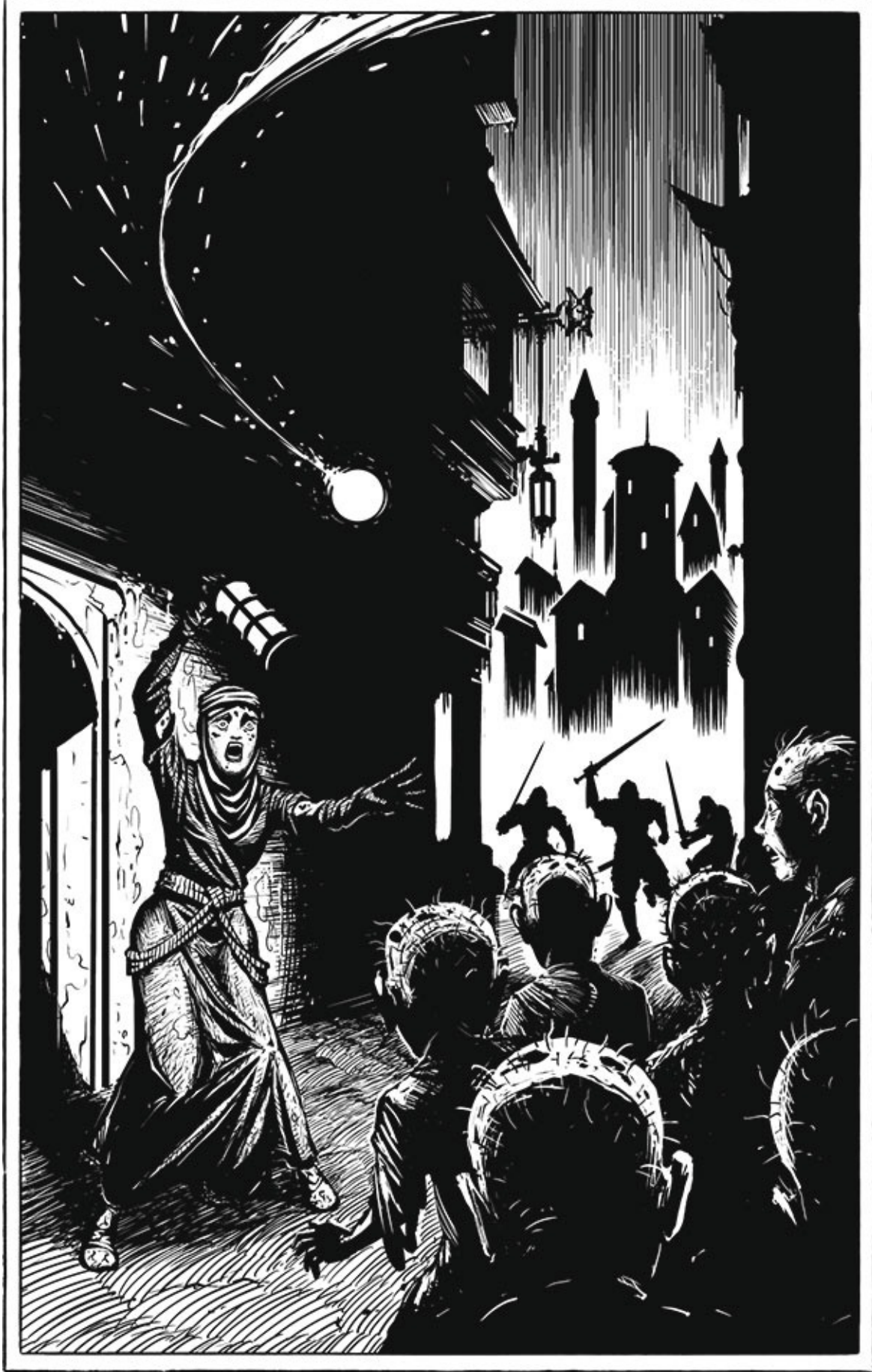
na kulturach naszej Azji, więc pasowała idealnie.)

 Nie zawsze można pisać o tym, na czym się zna – a w każdym razie nie do końca. Można jednak pisać o tym, co się widzi.

NADZIEJA ELANTRIS



Akcja opowiadania toczy się po *Elantris* i zawiera duże spoilery.





Ashe wleciał przez okno.

– Milordzie. Lady Sarene błaga cię o wybaczenie. Odrobinę spóźni się na kolację.

– Odrobinę? – spytał Raoden z rozbawieniem. – Kolacja miała się zacząć przed godziną.

Ashe zapulsował lekko.

– Przepraszam, milordzie. Ale ona... kazała mi obiecać, że jeśli będziesz narzekał, przekażę wiadomość. „Powiedz mu, że jestem w ciąży, i to jego wina, a to znaczy, że musi robić, czego ja zapragnę”.

Raoden się roześmiał.

Ashe znów zapulsował, a wyglądał przy tym na zażenowanego, o ile to w ogóle możliwe u kuli światła.

Raoden westchnął i oparł łokcie o blat stołu. Otaczające go mury elantryjskiego pałacu emanowały słabym blaskiem, dzięki czemu nie potrzebowali pochodni ani latarni. Zawsze go zastanawiał brak kinkietów w Elantris. Galladon wyjaśnił mu kiedyś, że w mieście były płyty, które zaczynały świecić, kiedy się je nacisnęło – ale obaj zapomnieli o tym, jak wiele światła dawały same kamienie.

Spojrzał z góry na pusty talerz. Kiedyś tak bardzo walczyliśmy o odrobinę jedzenia, pomyślał. A teraz jest tak zwyczajne, że możemy zwlekać przez godzinę, nim zaczniemy się posilać.

Żywności nie brakowało. Sam Raoden mógł zmienić odpadki w doskonałej jakości ziarno. Nikt w Arelonie nie musiał już głodować. Mimo to rozmyślanie nad takimi kwestiami sprawiały, że wracał pamięcią do Nowego Elantris i prostego spokoju, który tam panował.

– Ashe... – Raodenowi nagle coś się przypomniało. – Chciałem cię o coś zapytać.

– Oczywiście, Wasza Wysokość.

– Gdzie byłeś przez te ostatnie godziny przed odrodzeniem Elantris? Nie pamiętam, bym cię widział przez większość nocy. Właściwie zobaczyłem cię tylko raz, kiedy przybyłeś, by powiedzieć mi, że Sarene została porwana i zabrana do Teodu.

– Zgadza się, Wasza Wysokość.

– W takim razie gdzie byłeś?

– To długa historia, Wasza Wysokość. – Seon unosił się obok krzesła Raodena. – Wszystko zaczęło się, kiedy lady Sarene posłała mnie do Nowego Elantris, bym ostrzegł Galladona i Karatę, że przesyła im ładunek broni. To było tuż przed atakiem mnichów na Kae, a ja udałem się do Nowego Elantris zupełnie nieświadom tego, co miało się wydarzyć...

Matisse zajmowała się dziećmi.

Takie było jej zadanie w Nowym Elantris. Każdy musiał coś robić, takie zasady ustalił Duch. Dziewczynka nie miała nic do pracy – właściwie całkiem ją lubiła. Zajmowała się nią jeszcze przed przybyciem Ducha. Od chwili, kiedy Dashe ją odnalazł i zabrał do pałacu Karaty, Matisse opiekowała się maleństwami. Zasady Ducha jedynie to sformalizowały.

Tak, lubiła swoje obowiązki. Zazwyczaj.

– Naprawdę musimy się kłaskać, Matisse? – Teor zrobił wielkie oczy. – Nie możemy posiedzieć dłużej, choć raz?

Matisse założyła ręce na piersi i uniosła bezwłosą brew w stronę chłopca.

– Wczoraj musiałeś się położyć o tej porze – zauważyła. – I przedwczoraj, i dzień wcześniej też. Nie wiem, dlaczego dziś miałyby być inaczej.

– Coś się dzieje. – Do Teora podszedł jego przyjaciel Tiil. – Wszyscy dorośli kreślą Aony.

Matisse wyjrzała przez okno. Dzieci – pod jej opieką pozostawało około pięćdziesięciorga – mieszkają w budynku z wieloma oknami. Zwano go Gniazdem ze względu na skomplikowane płaskorzeźby przedstawiające ptaki, które pokrywały większość ścian. Gniazdo znajdowało się w centrum miasta – blisko domu Ducha, korathyjskiej kaplicy, w której odbywała się większość ważnych spotkań. Dorośli chcieli mieć dzieci na oku.

Niestety, znaczyło to również, że dzieci mogły mieć na oku dorosłych. Za oknami setki palców kreśliły w powietrzu Aony, pozostawiając migoczące ślady. Było późno i dzieci już dawno powinny się położyć, ale tej nocy trudno je było zapędzić do łóżek.

Tiil ma rację, pomyślała Matisse. Coś się dzieje. To jednak nie był powód, by pozwolić mu, żeby się nie kładł – zwłaszcza że dopiero kiedy chłopiec się położy, będzie mogła wyjść i sprawdzić, o co chodzi z tym całym zamieszaniem na zewnątrz.

– To nic takiego.

Spojrzała znów na dzieci. Choć część zaczęła się już kłaskać w jaskrawej pościeli, wiele nadstawiło uszu i patrzyło, jak Matisse radzi sobie z dwoma kłopotliwymi chłopcami.

– Dla mnie to nie wygląda jak nic – stwierdził Teor.

Matisse westchnęła.

– Cóż, kreślą Aony. Jeśli tak was to interesuje, pewnie moglibyśmy zrobić wyjątek i pozwolić wam się nie kłaskać... zakładając, że chcecie poćwiczyć pisanie Aonów. Z pewnością dziś wieczorem jest czas na kolejną lekcję.

Teor i Tiil pobladli. Kreślenie Aonów było tym, co robili w szkole – Duch zmusił ich, by znów zaczęli do niej chodzić. Matisse uśmiechnęła się przebiegle, kiedy dwaj chłopcy się cofnęli.

– No dalej. Weźcie pióra i papier. Moglibyście sto razy powtórzyć Aon Ashe.

Chłopcy zrozumieli aluzję i wślizgnęli się do łóżek. Po drugiej stronie sali kilkoro innych pracujących przechodziło między dziećmi i upewniało się, że śpią. Matisse zrobiła podobnie.

– Matisse – odezwał się ktoś. – Nie mogę spać.

Matisse odwróciła się w stronę małej dziewczynki siedzącej na posłaniu.

– Skąd wiesz, Riiko? – Matisse uśmiechnęła się lekko. – Dopiero się położyłaś... nawet nie spróbowałaś usnąć.

– Wiem, że mi się nie uda – odparła z łobuzerską miną dziewczynka. – Mai zawsze opowiada mi

historię, nim zasną. Jeśli tego nie robi, nie mogą usnąć.

Matisse westchnęła. Riika rzadko dobrze spała, szczególnie w te noce, kiedy pytała o seona. On oczywiście oszalał, kiedy Riikę zabrał Shaod.

– Połóż się, kochanie – powiedziała uspokajająco. – Zobacz, czy przyjdzie do ciebie sen.

– Nie przyjdzie – odparła Riika, ale się położyła.

Matisse sprawdziła wszystkie dzieci i przeszła w stronę wejścia do sali. Spojrzała na skulone postacie – z których wiele wciąż się kręciło – i przyznała, że czuje ten sam niepokój. Z tą nocą coś było nie tak. Lord Duch zniknął. I choć Galladon mówił im, że mają się nie martwić, Matisse uznała to za zły znak.

– Co oni tam robią? – szepnął stojący obok niej Idotris.

Matisse wyjrzała na zewnątrz, gdzie wielu dorosłych wciąż otaczało Galladona i kreśliło Aony.

– Aony nie działają – stwierdził Idotris.

Chłopak był od niej może o dwa lata starszy – choć takie rzeczy nie miały większego znaczenia w Elantris, gdzie wszyscy mieli taką samą szarą, plamistą skórę i cienkie włosy albo łysinę. Shaod utrudniał ocenę wieku.

– To nie powód, by nie ćwiczyć Aonów – sprzeciwiła się Matisse. – Jest w nich moc. Widzisz ją.

I w rzeczy samej, w Aonach była moc. Matisse zawsze ją czuła, szalejącą za liniami światła nakreślonymi w powietrzu.

Idotris prychnął i założył ręce na piersi.

– Są bezużyteczne.

Matisse się uśmiechnęła. Nie była pewna, czy chłopak zawsze był taki zrzędlivy, czy tylko kiedy pracował w Gnieździe. Nastolatkowi nie podobało się, że został wysłany do opieki nad dziećmi, zamiast dołączyć do żołnierzy Dashe'a.

– Zostań tutaj – powiedziała i wyszła z Gniazda, kierując się w stronę dziedzińca, na którym ćwiczyli dorośli.

Idotris jedynie chrząknął, jak to miał w zwyczaju, i usiadł, żeby nie pozwolić żadnemu z młodszych dzieci na wyslizgnięcie się z sali sypialnej. Skinął kilku innym nastoletnim chłopcom, którzy skończyli zajmować się swoimi podopiecznymi.

Matisse wędrowała ulicami Nowego Elantris. Noc była chłodna, ale jej to nie przeszkadzało. To stanowiło jedną z zalet bycia Elantryjczykiem.

Wydawało się, że jako jedna z niewielu postrzega sprawy w ten sposób. Inni nie uważali bycia Elantryjczykiem za korzystne, niezależnie od tego, co powtarzał lord Duch. Dla Matisse jednak jego słowa miały sens. Co pewnie wiązało się z jej sytuacją. Na zewnątrz była żebraczką – całe życie pozostawała ignorowana i czuła się bezużyteczna. Wewnątrz Elantris była jednak potrzebna. Ważna. Wśród dzieci cieszyła się autorytetem i nie musiała żebrac ani kraść jedzenia.

Owszem, sprawy miały się kiepsko, zanim Dashe odnalazł ją w pełnej szlamu uliczce. I jeszcze ból. Matisse miała rozcięty policzek – co stało się niedługo po jej przybyciu do Elantris. Rana wciąż piekła tak samo, jak na początku. Jednakże była to niewygórowana cena. W pałacu Karaty Matisse w końcu poczuła się potrzebna. Uczucie to wzmogło się jeszcze, gdy wraz z całą grupą Karaty przeniosła się do Nowego Elantris.

Oczywiście po wrzuceniu do Elantris zyskała coś jeszcze. Ojca.

Dashe odwrócił się i uśmiechnął, kiedy zobaczył ją w blasku latarni. Rzecz jasna, nie był jej prawdziwym ojcem. Zanim zabrał ją Shaod, była już sierotą. A Dashe, podobnie jak Karata, był swego rodzaju ojcem dla wszystkich dzieci, które znaleźli i zabrali do pałacu.

Wydawało się jednak, że Dashe darzy Matisse szczególną sympatią. Surowy wojownik uśmiechał się częściej w jej obecności i to ją wzywał, kiedy trzeba było zrobić coś ważnego. Pewnego dnia po prostu zaczęła się do niego zwracać „ojcze”. Nie zaprotestował.

Kiedy dołączyła do niego na samym krańcu dziedzińca, położył dłoń na jej ramieniu. Przed nimi około stu ludzi niemal jednocześnie poruszało rękami. Ich palce pozostawiały w powietrzu świetliste linie, które niegdyś tworzyły magię AonDor. Galladon stał przed zgromadzonymi i ze swoim charakterystycznym duladelskim akcentem wydawał polecenia.

– Nigdy nie sądziłem, że kiedyś zobaczę Duladelczyka uczącego ludzi Aonów – powiedział cicho Dashe. Jego druga dłoń spoczywała na głowicy miecza.

On też jest napięty, pomyślała Matisse. Podniosła wzrok.

– Nie bądź niemiły, ojcze. Galladon jest dobrym człowiekiem.

– Możliwe, że jest dobrym człowiekiem, ale nie uczonym. Często myślę mu się linie.

Matisse nie wytknęła Dashe’owi, że on sam miał problemy z kreśleniem Aonów. Spojrzała na mężczyznę i zauważyła jego wykrzywione wargi.

– Jesteś zły, że Duch jeszcze nie wrócił.

Dashe przytaknął.

– Powinien być tutaj, ze swoimi ludźmi, a nie gonić za tą kobietą.

– Na zewnątrz może się dowiedzieć ważnych rzeczy – sprzeciwiła się cicho Matisse. – Związanych z innymi narodami i armiami.

– Świat zewnętrzny nas nie obchodzi.

Dashe potrafił być czasem uparty. A właściwie zazwyczaj.

Z przodu odezwał się Galladon.

– Dobrze. To Aon Daa, Aon mocy. Kolo? A teraz musimy poćwiczyć dodawanie linii Rozpadliny. Nie zrobimy tego z Aonem Daa, nie chcemy wybić dziur w waszych ślicznych chodnikach, prawda? Poćwiczymy na Aonie Rao, on zdaje się nie robi niczego ważnego.

Matisse zmarszczyła czoło.

– O czym on mówi, ojcze?

Dashe wzruszył ramionami.

– Duch chyba wierzy, że Aony z jakiegoś powodu mogą teraz działać. Przez cały czas rysowaliśmy je niewłaściwie albo coś w tym rodzaju. Ale nie mam pojęcia, jak uczeni, którzy je wymyślili, mogli zapomnieć o jednej linii w każdym Aonie.

Matisse wątpiła, by uczeni „wymyślili” Aony. Miały w sobie coś zbyt... pierwotnego. Pochodziły z natury. Nie zostały wymyślane... tak samo jak nikt nie wymyślił wiatru.

Nie odezwała się jednak. Dashe był dobrym i zdeterminowanym człowiekiem, ale nie uczonym. Matisse to nie przeszkadzało – to miecz Dashe’a w dużej części uratował Nowe Elantris przed zniszczeniem przez dzikich ludzi. W całym Nowym Elantris nie było lepszego wojownika od jej ojca.

Mimo to słuchała z zainteresowaniem, kiedy Galladon opowiadał o nowej linii. Była dziwna, przecinała dolną część Aonu.

I... dzięki temu Aony zadziałają? – pomyślała. Wydawało się to takie proste. Czy to możliwe?

Zza ich pleców dobiegło chrząknięcie. Oboje się odwrócili, a Dashe niemal sięgnął po miecz.

W powietrzu wisiał seon. Nie jeden z szalonych, które kręciły się bezmyślnie po Elantris, ale zdrowy, emanujący pełnym blaskiem.

– Ashe! – rzuciła z radością Matisse.

Ashe podskoczył w powietrzu.

– Lady Matisse.

– Nie jestem damą! Wiesz o tym.

– Tytuł zawsze wydawał mi się odpowiedni, lady Matisse. Lordzie Dashe, czy lady Karata jest w pobliżu?

Dashe zdjął dłoń z miecza.

– W bibliotece.

Bibliotece? – pomyślała Matisse. Jakiej bibliotece?

– Ach – powiedział Ashe głębokim głosem. – Może w takim razie mógłbym dostarczyć wiadomość tobie, skoro lord Galladon wydaje się zajęty.

– Jeśli sobie życzysz.

– Nadchodzi nowa dostawa, milordzie – powiedział cicho Ashe. – Lady Sarene chciała, byście dowiedzieli się o niej jak najszybciej, ze względu na jej... ważny charakter.

– Jedzenie? – spytała Matisse.

– Nie, milady. Broń.

Dashe nadstawił uszu.

– Naprawdę?

– Tak, lordzie, Dashe.

Matisse zmarszczyła czoło.

– Dlaczego miałyby nam ją dostarczyć?

– Moja pani się martwi – powiedział Ashe. – Wydaje się, że na zewnątrz rośnie napięcie. Powiedziała... cóż, chciała, żeby Nowe Elantris było przygotowane, na wszelki wypadek.

– Od razu zbiorę ludzi – stwierdził Dashe – i pójdę po broń.

Ashe podskoczył, co znaczyło, że uznał to za dobry pomysł. Kiedy ojciec odszedł, Matisse spojrzała na seona i coś przyszło jej na myśl. Może...

– Ashe, mogłabym pożyczyć cię na chwilę?

– Oczywiście, lady Matisse. Czego potrzebujesz?

– Czegoś bardzo prostego. Ale może pomóc...

* * *

Ashe dokończył opowieść, a Matisse uśmiechnęła się pod nosem, spoglądając na śpiącą na posłaniu Riikę. Dziewczynka po raz pierwszy od wielu tygodni wydawała się spokojna.

Sprowadzenie Ashe'a do Gniazda z początku wywołało gwałtowną reakcję dzieci, które nie spały. Jednak kiedy zaczął mówić, przeczucie Matisse się potwierdziło. Głęboki, dźwięczny głos seona uciszył dzieci. Rytm słów Ashe'a działał cudownie uspokajająco. Opowieść skłoniła do zaśnięcia nie tylko

Riikę, ale i całą resztę.

Matisse wstała i skinęła w stronę drzwi wyjściowych. Ashe unosił się za nią, kiedy znów mijała nadąsanego Idotrisa. Chłopak rzucał kamykami w stronę ślimaka, który jakimś cudem dostał się do Elantris.

– Przepraszam, że zajęłam ci tyle czasu, Ashe – powiedziała Matisse cicho, kiedy znaleźli się na tyle daleko, by nie obudzić dzieci.

– Nonsens, lady Matisse. Lady Sarene poradzi sobie przez jakiś czas beze mnie. Poza tym opowiadanie historii sprawiło mi przyjemność. Moja pani od dawna nie jest dzieckiem.

– Przekazano cię lady Sarene, kiedy była mała? – spytała Matisse z zainteresowaniem.

– W dniu jej narodzin, milady.

Dziewczyna uśmiechnęła się smutno.

– Sądzę, że pewnego dnia dostaniesz swojego własnego seona, lady Matisse.

Przechyliła głowę.

– Dlaczego tak mówisz?

– Cóż, w swoim czasie większość Elantryjczyków miała seony. Zaczynam wierzyć, że lordowi Duchowi uda się naprawić to miasto... w końcu naprawił AonDor. Jeśli mu się uda, wkrótce znajdziemy ci seona. Może takiego imieniem Ati. To twój Aon, prawda?

– Tak. Oznacza nadzieję.

– Sądzę, że to właściwy Aon dla ciebie. Teraz, jeśli wypełniłem swoje obowiązki w tym miejscu, może powinienem...

Nagle ktoś zawołał ją po imieniu.

Matisse skrzywiła się i spojrzała na Gniazdo. W mroku podskakiwało światło i to z tamtej strony dochodził krzyk.

– Matisse?

– Cicho, Mareshe! – syknęła i podeszła do mężczyzny. – Dzieci śpią!

– Och.

Mareshe zawahał się. Wyniosły Elantryjczyk nosił standardowy strój Nowego Elantris – jaskrawe spodnie i koszulę – ale dodał do nich kilka szarf, które jego zdaniem nadawały mu bardziej „artystyczny” charakter.

– Gdzie jest ten twój ojciec?

– Ćwicz ze swoimi ludźmi walkę na miecze.

– Co takiego? Jest środek nocy!

Wzruszyła ramionami.

– Znasz Dashe’a. Jak coś sobie wbije do głowy...

– Najpierw Galladon sobie poszedł – mruknął Mareshe – a teraz Dashe macha w nocy mieczem. Gdyby tylko lord Duch wrócił...

Matisse nadstawiała uszu.

– Galladon sobie poszedł?

Mareshe przytaknęła.

– Czasami tak znika. Karata też. Nigdy mi nie mówią, dokąd idą. Zawsze są tacy tajemniczy! „Ty tu rządysz, Mareshe”, mówią, a później idą się naradzać w tajemnicy przede mną. Naprawdę!

Z tymi słowy mężczyzna odszedł, zabierając ze sobą latarnię.

Do jakiegoś tajemniczego miejsca, pomyślała Matisse. Ta biblioteka, o której wspominał Dashe? Spojrzała na Ashe'a, który wciąż unosił się obok niej. Może gdyby namawiała go wystarczająco długo, powiedziałby jej...

W tej chwili rozległy się krzyki.

Były tak nagłe, tak niespodziewane, że Matisse aż podskoczyła. Obróciła się na pięcie, próbując się zorientować, skąd dochodzą dźwięki. Wydawało jej się, że z przodu Nowego Elantris.

– Ashe!

– Już, lady Matisse.

Seon wystrzelił w powietrze jak świetlista iskra.

Krzyki nie cichły. Odległe, odbijające się echem. Matisse zadrżała i cofnęła się odruchowo. Usłyszała coś jeszcze. Brzęk metalu o metal.

Odwróciła się do Gniazda. Z budynku wyszedł Taid, dorosły, który nadzorował dzieci. Miał na sobie koszulę nocną, a Matisse nawet w ciemnościach widziała niepokój na jego twarzy.

– Zaczekajcie tutaj – powiedział.

– Nie zostawiaj nas! – Idotris rozglądał się przerażony.

– Zaraz wracam – rzucił Taid i odbiegł.

* * *

Matisse wymieniła spojrzenia z chłopakiem. Inni nastolatki, którzy zajmowali się dziećmi, już wrócili na noc do domów. Zostali tylko we dwoje.

Idotris ruszył za Taidem.

– Pójdę z nim.

– Nie ma mowy. – Matisse chwyciła go za ramię i pociągnęła z powrotem. Krzyki nie cichły. Popatrzyła na Gniazdo. – Idź obudzić dzieci.

– Co takiego? – spytał z oburzeniem Idotris. – Po tym, jak wiele wysiłku włożyliśmy w ich uśpienie?

– Zrób to – warknęła. – Obudź je i każ im włożyć buty.

Idotris opierał się przez chwilę, później jednak mruknął coś pod nosem i wszedł do środka. Po chwili usłyszała, jak wypełnia jej polecenie i budzi dzieci. Matisse wbiegła do budynku po drugiej stronie ulicy, jednego ze spichlerzy. W środku znalazła dwie latarnie z oliwą, krzemień i krzesiwo.

Zatrzymała się. Co ja robię?

Przygotowuję się, odpowiedziała samej sobie i zadrżała, słysząc krzyki. Odniosła wrażenie, że się zbliżają. Wróciła na drugą stronę ulicy.

– Milady! – odezwał się Ashe.

Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła, że seon opada w jej stronę. Jego Aon był tak przygaszony, że ledwo go widziała.

– Milady! – powtórzył z naciskiem. – Żołnierze zaatakowali Nowe Elantris!

– Co takiego? – spytała wstrząśnięta.

– Noszą czerwien i są wysocy i czarnowłosi jak Fjordeńczycy, milady. Są ich setki. Niektórzy z waszych żołnierzy walczą przy wejściu do miasta, ale jest ich za mało. Nowe Elantris już zostało

zdobyte! Milady, część żołnierzy już idzie w tę stronę i przeszukuje budynki!

Matisse stała oszołomiona. Nie. To się nie może wydarzyć. Nie tutaj. To miejsce jest spokojne. Doskonałe.

Uciekłam przed światem zewnętrznym. Znalazłam miejsce, do którego pasowałam. On nie może po mnie przyjść.

– Milady! – Ashe wydawał się przerażony. – Te krzyki... żołnierze atakują ludzi, na których natrafiają! I idą w tę stronę.

Matisse stała, ściskając latarnie w zdrętwiałych palcach. To już koniec. Bo co mogła zrobić? Sama była dzieckiem, żebraczką bez domu i rodziny. Co mogła zrobić?

Opiekuję się tymi dziećmi. To moje zadanie.

Dał mi je lord Duch.

– Musimy je stąd zabrać. – Matisse pobiegła w stronę Gniazda. – Wiedzą, gdzie szukać, bo oczyściliśmy tę część Elantris. Miasto jest wielkie. Jeśli zabierzemy dzieci do brudnej części, możemy je ukryć.

– Tak, milady.

– Znajdź mojego ojca! Powiedz mu, co robimy.

Po tych słowach weszła do Gniazda, a Ashe odleciał w noc. Idotris wypełnił jej polecenie i dzieci sennie wkładały buty.

– Szybko, dzieci – powiedziała.

– Co się dzieje? – spytał Tiil.

– Musimy iść – wyjaśniła chłopakowi. – Tiilu, Teorze, będę potrzebować waszej pomocy. Waszej i wszystkich starszych dzieci, dobrze? Musicie pomóc tym mniejszym. Niech idą i niech będą cicho.

W porządku?

– Dlaczego? – Tiil zmarszczył czoło. – Co się dzieje?

– Nagła sytuacja. Tylko tyle musicie wiedzieć.

– Dlaczego ty tu rządzisz? – Teor podszedł do przyjaciela i założył ręce na piersi.

– Znacie mojego ojca?

Pokiwali głowami.

– Wiecie, że jest żołnierzem?

Znów przytaknęli.

– To znaczy, że ja też jestem żołnierzem. To rodzinne. On jest kapitanem, więc ja jestem kapitanem. I dlatego mówię wam, co macie robić. Ale jeśli obiecacie, że będziecie robić, co wam powiem, możecie zostać moimi podkapitanami.

Dwaj chłopcy milczeli przez chwilę, po czym Tiil pokiwał głową.

– To ma sens.

– Dobrze. A teraz do roboty!

Chłopcy ruszyli na pomoc młodszym dzieciom. Matisse zaczęła wyprowadzać je na zewnątrz, na ciemne ulice. Wiele z nich jednak bało się ciemności i było zbyt przerażonych, by się ruszyć.

– Matisse! – syknął Idotris, podchodząc bliżej. – Co się dzieje?

– Ashe mówi, że Nowe Elantris zostało zaatakowane. – Matisse uklękła obok latarni. – Żołnierze mordują wszystkich.

Chłopak umilkł.

Zapaliła latarnie i wstała. Jak się spodziewała, dzieci – nawet te malutkie – ruszyły w stronę światła. Podążyła jedną latarnię Idotrisowi, w jej blasku widziała przerażenie na twarzy chłopca.

– Co robimy? – spytał drżącym głosem.

– Uciekamy.

Wybiegła na zewnątrz.

A dzieci podążyły za nimi. Nie chcąc pozostać w ciemnościach, biegly za światłem, Tiil i Teor pomagali młodszemu, a Idotris próbował uciszyć te, które zaczynały płakać. Matisse zdawała sobie sprawę, że blask światła może zdradzić ich obecność, ale wyglądało na to, że to jedyny sposób, by wyprowadzić dzieci. I tak ledwie się poruszały, kiedy prowadzili je najkrótszą drogą z Nowego Elantris – czyli jak najdalej od krzyków, teraz przerażająco bliskich.

To oznaczało również oddalenie się od zamieszkanymi części Nowego Elantris. Matisse miała nadzieję, że wpadną na kogoś, kto mógłby im pomóc. Niestety, ci, którzy nie uczestniczyli w lekcji kreślenia Aonów, byli z jej ojcem i ćwiczili walkę. Jedynymi zamieszkanymi budynkami były te, które według Ashe'a zostały zaatakowane. A ich mieszkańcy...

Nie myśl o tym, powiedziała sobie, kiedy gromadka pięćdziesięciorga dzieci dotarła do granic Nowego Elantris. Byli już prawie wolni. Mogli...

Nagle za ich plecami rozległ się głośny krzyk w szorstkim języku, którego Matisse nie rozumiała. Obróciła się na pięcie i spojrzała ponad głowami przerażonych dzieci. Centrum Nowego Elantris emanowało słabym blaskiem. Płomieni.

Paliło się.

Ogień śmierci rzucał blask na oddział trzech mężczyzn w szkarłatnych mundurach. W dłoniach mieli miecze.

Z pewnością nie zabiją dzieci, pomyślała Matisse. Latarnia w jej dłoni drżała.

I wtedy zobaczyła błysk w oczach żołnierzy. Niebezpieczne, ponure spojrzenia. Zbliżyli się do jej grupy. Tak, byli gotowi zabijać dzieci. A przynajmniej elantryjskie dzieci.

– Biegnijcie – powiedziała Matisse drżącym głosem. Wiedziała jednak, że dzieci nie mogły poruszać się szybciej niż ci mężczyźni. – Uciekajcie! Idźcie i...

Nagle, jakby znikąd, z nieba spadła kula światła. Ashe poruszał się między mężczyznami, krążył wokół ich głów, odwracając ich uwagę. Żołnierze przeklinali, wymachiwali ze złością mieczami i patrzyli na seona.

I dlatego nie zauważyli Dashe'a.

Zaatakował ich z boku, wypadł z ciemnej uliczki Nowego Elantris. Powalił jednego żołnierza, a jego miecz błyszczał, gdy skierował się w stronę pozostałych dwóch, którzy, przeklinając, odwrócili się od seona.

Musimy iść!

– Ruszajcie się! – powtórzyła, zachęcając Idotrisa i dzieci do dalszego marszu.

Grupka cofnęła się i podążyła za światłem Idotrisa. Matisse została z tyłu i spoglądała z troską na ojca.

Nie szło mu dobrze. Był świetnym wojownikiem, ale do żołnierzy dołączyło dwóch kolejnych mężczyzn, a elantryjskie ciało Dashe'a było osłabione. Matisse stała, trzymając latarnię w drżącej ręce,

i nie wiedziała, co robić. W ciemności za jej plecami dzieci pociągały nosami, a ich ucieczka była boleśnie powolna. Dashe walczył dzielnie, zamiast zardzewiałego miecza miał nowy, pewnie jeden z tych, które przysłała Sarene. Parował kolejne ciosy, ale napastnicy go otaczali.

Muszę coś zrobić! – pomyślała Matisse i zrobiła krok do przodu. W tej chwili Dashe się odwrócił, a wtedy zobaczyła rany na jego twarzy i ciele. Przerazenie w jego oczach sprawiło, że zamarła.

– Idź – szepnął. Zgiełk zagłuszył głos Dashe’a, ale Matisse wyczytała słowa z ruchu jego warg. – Uciekaj!

Jeden z żołnierzy wbił miecz w pierś Dashe’a.

– Nie! – krzyknęła Matisse.

To jedynie zwróciło ich uwagę, kiedy Dashe osunął się z drzeniem na ziemię. Ból stał się dla niego zbyt trudny do zniesienia.

Żołnierze spojrzeli na nią i zaczęli się zbliżać. Dashe powalił więcej niż jednego, ale trzech pozostali.

Matisse czuła się odrętwiała.

– Proszę, milady! – Ashe krążył wokół niej. – Musisz uciekać!

Ojciec zginął. Nie, gorzej, został hoedem. Matisse potrząsnęła głową, zmuszając się do zachowania czujności. Jako żebraczka widziała wiele tragedii. Mogła to znieść. Musiała.

Ci mężczyźni znajdą dzieci. Dzieci były zbyt powolne. Chyba że... Spojrzała na seona i zwróciła uwagę na świetlisty Aon w jego wnętrzu. Oznaczał „światło”.

– Ashe – powiedziała z naciskiem. – Znajdź Idotrisa, tam z przodu. Każ mu zgasić latarnię, a później zaprowadź jego i pozostałych w bezpieczne miejsce!

– Bezpieczne miejsce? Nie wiem, czy jakiegokolwiek miejsce jest bezpieczne.

Matisse myślała szybko.

– Ta biblioteka, o której mówiłeś. Gdzie ona jest?

– Na północ stąd, milady. W ukrytej sali pod przysadzistym budynkiem. Oznaczono ją Aonem Rao.

– Są tam Galladon i Karata. Zabierz dzieci do nich... Karata będzie wiedziała, co robić.

– Tak. Tak, to dobry pomysł.

– I nie zapomnij o latarni – dodała, kiedy odlatywał.

Odwróciła się w stronę zbliżających się żołnierzy i drżącym palcem zaczęła rysować.

Za jej dłonią pojawiła się świetlista linia. Zmusiła się do zachowania spokoju i dokończenia Aonu mimo przerażenia. Żołnierze zatrzymali się i patrzyli na nią, później jeden powiedział coś w gardłowym języku, który musiał być fjordeńskim. Znów ruszyli w jej stronę.

Matisse dokończyła kreślenie symbolu – Aon Ashe, ten sam, co we wnętrzu jej przyjaciela. Ale oczywiście ten Aon nie zadziałał. Tylko wisiał w powietrzu, jak wszystkie inne. Żołnierze beztrąsko podeszli do niego.

Lepiej, żeby się udało, pomyślała Matisse, umieściła palec w miejscu pokazanym przez Galladona i nakreśliła ostatnią linię.

Aon – Ashe – natychmiast zaczął emanować potężnym blaskiem tuż przed twarzami żołnierzy. Wrzasnęli, gdy oślepił ich nagły wybuch światła, po czym cofnęli się, przeklinając. Matisse podniosła latarnię i ruszyła biegiem.

Żołnierze zaczęli krzyczeć i ruszyli za nią. Podobnie jak wcześniej dzieci, szli za blaskiem – jej blaskiem. Idotris i pozostali nie oddalili się zbyt daleko – widziała w mroku ich poruszające się cienie – ale

żołnierze zostali zbyt osłepieni, by zauważyć te niewyraźne ruchy, a Idotris zgasił swoje światło. Jedynym, na czym mogli skupić się mężczyźni, była jej latarnia.

Matisse prowadziła ich w mrok nocy, ściskając latarnię w drżących palcach. Gdy wkroczyła do opuszczonej części miasta, słyszała odgłosy ich pogoni. Czyste chodniki Nowego Elantris ustąpiły miejsca szlamowi i ciemności, dziewczyna musiała zwolnić, żeby się nie poślizgnąć i nie przewrócić.

I tak się śpieszyła, ścinała zakręty, próbowała utrzymać dystans do goniących ją żołnierzy. Czuła się taka słaba. Elantryjczykom bieganie sprawiało trudność. Nie miała dość siły, by poruszać się szybko. Już zaczynała czuć potężne zmęczenie. Nie słyszała pogoni. Może...

Wybiegła za róg i wpadła na dwóch żołnierzy stojących w mroku. Zatrzymała się wstrząśnięta, spojrziała na mężczyzn i rozpoznała ich.

To wyszkoleni żołnierze, pomyślała. Oczywiście, że umieją otoczyć wroga! Odwróciła się w stronę ucieczki, ale jeden z mężczyzn chwycił ją za ramię, zaśmiał się i powiedział coś po fjordensku.

Matisse krzyknęła i upuściła latarnię. Żołnierz zatoczył się, ale trzymał ją mocno.

Myśl! – powiedziała sobie. Masz tylko chwilę. Jej stopa poślizgnęła się na szlamie. Po chwili wahania zdecydowała się na upadek i jednocześnie kopnęła trzymającego ją żołnierza w nogę.

Liczyła na jedno – ona mieszkała w Elantris. Umiała poruszać się po błocie i szlamie. Ci żołnierze nie. Jej kopniak trafił w cel, a mężczyzna natychmiast się poślizgnął, zatoczył na towarzysza i przewrócił razem z nim na zabłoconą ulicę, puszczając przy tym Matisse.

Podniosła się, jej śliczne jaskrawe ubranie było poplamione szlamem. W nodze poczuła nowy ból – skręciła kostkę. W przeszłości tak bardzo starała się uchronić przed bólem, ale ten był silniejszy niż cokolwiek wcześniej, o wiele bardziej dojmujący niż rozcięcie policzka. Jej noga promieniowała bólem, w który Matisse nie mogła uwierzyć, i który się nie zmniejszał – pozostawał tak samo dojmujący. Rany Elantryjczyków nigdy się nie goiły.

Mimo to zmusiła się do kuśtykania. Nie myślała, chciała jedynie oddalić się od żołnierzy. Słyszała, jak przeklinają i gramolą się na nogi. Szła dalej, podskakując lekko. Nie uświadamiała sobie, że zatoczyła krąg, aż zobaczyła przed sobą blask płonącego Nowego Elantris. Wróciła tam, skąd wyszła.

Zatrzymała się. Dashe leżał na bruku. Podbiegła do niego, nie przejmując się pogonią. Ojciec leżał z mieczem nadal wbitym w pierś, słyszała jego szept.

– Uciekaj, Matisse. Uciekaj w bezpieczne miejsce...

Mantra hoeda.

Matisse podniosła się. Dzieci były bezpieczne. To wystarczy. Usłyszała za sobą hałas, a kiedy się odwróciła, zobaczyła zbliżającego się żołnierza. Jego towarzysz musiał pójść w inną stronę. Tego mężczyznę pokrywał szlam. Rozpoznała go – to jego kopnęła.

Noga tak bardzo mnie boli! – pomyślała. Odwróciła się, nie puszczając nieruchomego ciała Dashe'a, zbyt zmęczona – i cierpiąca – by uciekać dalej.

Żołnierz chwycił ją za ramię i odciągnął od trupa ojca. Obrócił ją, co sprawiło, że w ramionach poczuła nowy ból.

– Powiedz mi – odezwał się z mocnym akcentem. – Powiedz mi, dokąd poszły dzieci.

Matisse na próżno się szarpała.

– Nie wiem!

Wiedziała. Ashe jej powiedział. Dlaczego spytałam go, gdzie jest biblioteka? Łajała samą siebie.

Gdybym nie wiedziała, nie mogłabym ich zdradzić!

– Powiedz. – Mężczyzna trzymał ją jedną ręką, a drugą sięgnął po nóż u pasa. – Powiedz albo zrobię ci krzywdę. Dużą.

Matisse próbowała się wyrwać. Gdyby w jej elantryjskich oczach mogły pojawić się łzy, rozplakałaby się. Jakby chcąc potwierdzić swoje słowa, żołnierz uniósł nóż do jej twarzy. Dziewczyna nigdy w życiu nie była taka przerażona.

I wtedy ziemia zaczęła się trząść.

Na wschodnim niebie pojawił się brzask, ale jego blask przytłumił nagły wybuch światła wokół miasta. Żołnierz znieruchomiał, spojrzął w niebo.

Nagle Matisse poczuła, że jest jej ciepło.

Nie uświadamiała sobie, jak bardzo brakowało jej tego uczucia, jak bardzo przyzwyczaiła się do chłodu elantryjskiego ciała. Teraz ciepło wypełniało ją, jakby ktoś wlał w jej żyły gorący płyn. Sapnęła, gdy ogarnęło ją to piękne, oszałamiające uczucie.

Coś było w porządku. Coś było cudownie w porządku.

Żołnierz odwrócił się do niej. Przechylił głowę, wyciągnął rękę i przesunął szorstkim palcem po jej policzku, na którym od tak dawna miała ranę.

– Uzdrawiona? – powiedział niepewnym głosem.

Czuła się cudownie. Czuła... bicie serca!

Mężczyzna, choć zdezorientowany, znów uniósł nóż.

– Uzdrawiłaś się, ale ja znów mogę zrobić ci krzywdę.

Jej ciało wydawało się silniejsze. Nadal była jednak dziewczynką, a on wyszkolonym żołnierzem. Szarpała się, powoli docierało do niej, że jej skóra nie jest już płamista, lecz nabrała srebrzystego odcienia. Stało się! Jak przewidział Ashe! Elantris powracało.

A ona i tak miała umrzeć. To niesprawiedliwe! Krzyknęła z frustracją i próbowała się wyrwać. Cóż za doskonała ironia losu. Miasto zostało uzdrowione, ale to nie mogło powstrzymać tego koszmarne go mężczyzny przed...

Nagle usłyszała czyjś głos.

– Chyba o czymś zapomniałeś, przyjacielu.

Fjordeńczyk się zawahał.

– Jeśli światło uzdrowiło ją – powiedział głos – to uzdrowiło również mnie.

Żołnierz krzyknął z bólu, wypuścił Matisse i się zatoczył. Cofnęła się, a kiedy straszny mężczyzna upadł na ziemię, w końcu zobaczyła, kto stał za nim – jej ojciec, emanujący wewnętrznym światłem, oczyszczony ze skażenia. Wyglądał jak bóg, srebrzysty i wspinały.

Jego ubranie było porwane w miejscach, w których odniósł rany, ale skóra się zagoiła. W ręce trzymał ten sam miecz, który jeszcze przed chwilą go przebijał.

Podbiegła do niego z płaczem – w końcu znów mogła płakać! – i objęła go.

– Gdzie są pozostałe dzieci, Matisse? – spytał z naciskiem.

– Zajęłam się nimi, ojczu – szepnęła. – Każdy ma swoje zadanie, a to jest moje. Zajmuję się dziećmi.

– A co się stało z dziećmi? – spytał Raoden.

– Zaprowadziłem je do biblioteki – odparł Ashe. – Galladona i Karaty już nie było, musieliśmy się z nimi minąć, gdy biegli do Nowego Elantris. Ale ukryłem dzieci w środku i zostałem tam, żeby je uspokoić. Tak się martwiłem tym, co działo się w mieście, ale te biedactwa...

– Rozumiem. A Matisse... córeczka Dashe'a. Nie miałem pojęcia, przez co przeszła.

Raoden się uśmiechnął. W podziękowaniu za zasługi dla Nowego Elantris oddał Dashe'owi dwa seony – ich panowie nie żyli, a one, kiedy odzyskały rozum po odrodzeniu Elantris, odkryły, że nie mają komu służyć. Dashe przekazał jednego swojej córce.

– Który seon w końcu dostała? Ati?

– Chyba nie – odparł Ashe. – Sądzę, że to był Aeo.

– Równie stosowne.

Na widok otwierających się drzwi Raoden uśmiechnął się i wstał. Do środka weszła królowa Sarene, dźwigając przed sobą ciężowy brzuch.

– Zgadzam się. – Ashe poleciał w stronę Sarene.

Aeo. Odwaga.

POSTSCRIPTUM

To krótkie opowiadanie ma ciekawą historię.

Jeśli cofniemy się do stycznia 2006 roku, w owym czasie od dwóch miesięcy spotykałem się z Emilią (która w końcu została moją żoną). Na jednej z randek Emilią opowiedziała mi niesamowitą historię. Jedną z jej uczennic z ósmej klasy – imieniem Matisse – przygotowała jako pracę domową recenzję *Elantris*. Nie wiedziała, że jej nauczycielka się ze mną spotyka, to był jedynie dziwny zbieg okoliczności.

Recenzja była niewiarygodna. Matisse nie przedstawiła jedynie fabuły powieści, lecz stworzyła całą książkę na temat Sel, która zawierała szkice i biografie bohaterów, kawałki elantryjskich tkanin przyklejone jako przykłady, jak również kieszonki z materiałami z książki. Emilią mi ją pokazała, a mnie zaparło dech w piersi. Byłem wówczas nowy na rynku wydawniczym, a kiedy zobaczyłem, ile czasu Matisse poświęciła na recenzję, czułem się oszołomiony.

Chciałem w jakiś szczególny sposób podziękować Matisse, która wciąż nie wiedziała, że jej nauczycielka spotyka się z jednym z jej ulubionych autorów. Postanowiłem napisać opowiadanie towarzyszące *Elantris*. W każdej powieści są pewne fragmenty, które się omija, żeby nie spowalniać akcji. Wiedziałem, co się dzieje w mieście w czasie ataku Dakhorów. Wiedziałem również, że dzieci zostały uratowane przez Dashe'a i seona Ashe'a. Nie chciałem, by zginęły, jak pozostali – Karata tak bardzo starała się je ochronić, a dopilnowanie, by dzieci nie musiały cierpieć w czasie rzezi Nowego Elantris, było moim prezentem dla niej.

Postanowiłem napisać opowiadanie na ten temat. A ponieważ Matisse była dla mnie natchnieniem, nazwałem jedną z postaci jej imieniem. Matisse w opowiadaniu nie zachowuje się jak prawdziwa Matisse. Wtedy jeszcze nie znałem prawdziwej Matisse. Później jednak miałem okazję kilka razy ją spotkać – czasami przychodzi, kiedy rozdaje autografy. A oryginalną recenzję *Elantris* podarowała nam w prezencie ślubnym.

Z perspektywy czasu myślę, że to opowiadanie może być odrobinę zbyt sentymentalne. Mam nadzieję, że nie wydaje się za bardzo melodramatyczne. (Sądzę, że gdyby czytać je poza kontekstem *Elantris*, takie by właśnie było). Ale jestem z niego całkiem zadowolony.

UKŁAD SCADRIAL



Układ Scadrial

planeta karłowata

planeta karłowata

pas komet

Aagal Uch

Aagal Nod

Nowa orbita Scadrial

nowy kalendarz

Stara orbita Scadrial

stary kalendarz



UKŁAD SCADRIAL

Ten układ jest zasadniczo pusty, pomijając planetę Scadrial, co jest szczęśliwym zbiegiem okoliczności, jeśli wziąć pod uwagę ogromne zmiany, do jakich doszło w nim pod wpływem Odprysków.

Za godny uwagi należy uznać rozkwit ludzkości na Scadrialu, i to pomimo powtarzających się kataklizmów. Z pewnością inne planety w cosmere przetrwały gorsze katastrofy, ale na żadnej z nich nie znajdzie się tak doskonale prosperującego i rozwiniętego społeczeństwa, jak na Scadrialu.

W rzeczy samej, jestem przekonana, że gdyby Ostatni Imperator przez tysiąc lat nie ograniczał postępu, Scadrial przyćmiłby wszystkich pozostałych stopniem rozwoju nauki i techniki – i to samodzielnie, bez kontaktów między społecznościami, którymi cieszymy się w Srebrnoświecie.

Scadrial, kolejna planeta dwuodpryskowa, ma liczne wyjątkowe cechy. Jest jednym z dwóch miejsc w cosmere, w których przed przybyciem Odprysków nie istniała ludzkość. W rzeczy samej, moje badania wskazują, że przed przybyciem do układu Odprysków, Zniszczenia i Zachowania, nie istniała sama planeta. Wybrali gwiazdę bez znaczących planet właśnie dlatego, że było pusto, mogli więc umieścić tam, co tylko zechcieli.

Tworząc życie, Odpryski bez wątpienia wykorzystały ludzi z Yolenu jako swój model (skądinąd oba Naczynia tych Odprysków przed Wstąpieniem były ludźmi). Z tego powodu flora i fauna Scadrialu jest bardzo podobna do tej, jaką można spotkać na Yolenie (rzecz jasna, pomijając fain). Sama planeta jest również bardzo podobna do Yolenu pod względem wielkości i siły ciężenia, dokładnie takich samych jak 1 standard cosmere.

Choć Odpryski stworzyły planetę razem, wkrótce stała się symbolem ich konfliktu – i łupem. Nie mogę się wypowiadać na temat osobowości Naczyń – w tej kwestii lepiej, byście zwrócili się do jednego z moich kolegów, którzy specjalizują się w historii i biografii z czasów przed Strzaskaniem, nie kogoś zajmującego się magią. Mogę jednak stwierdzić, że ich konflikt objawia się bezpośrednio w sposobie, w jaki na Scadrialu korzysta się z Napełnienia.

To potężna magia, a ludzie często mają dostęp do wielkiej mocy. Wątpię, by na jakiegokolwiek innej planecie, może poza Rosharem, tak silne Napełnienie tak często trafiało do rąk śmiertelników. Co jakiś czas w historii Scadrialu mężczyzna lub kobieta zyskiwali dostęp do ogromnej mocy, a efekty były niewiarygodne. Najbardziej oczywistym dowodem jest fakt, że mapa układu, zamieszczona tu dzięki uprzejmości Guyna, pokazuje dwie orbity Scadrialu. Planeta była dosłownie przenoszona w różnych okresach historii przez jednostki niosące w sobie ogromne Napełnienie. (Na marginesie – to znacznie utrudnia próby zrozumienia historycznych kalendarzy tej planety).

Wiele pisałam o magii tej planety. Mogłabym wypełnić całe tomy rozważaniami na temat Allomancji, Feruchemii i Hemalurgii. Podtrzymuję jednak swoje twierdzenie, że największy potencjalny wpływ na cosmere ma Hemalurgia. Może z niej korzystać każdy, kto posiada odpowiednią wiedzę, a próby wykazały, że ten niebezpieczny twór może wypaczać dusze niezależnie od planety i Napełnienia, tworząc fałszywe Związki, których żaden Odprysk nie stworzył ani nie zaplanował.

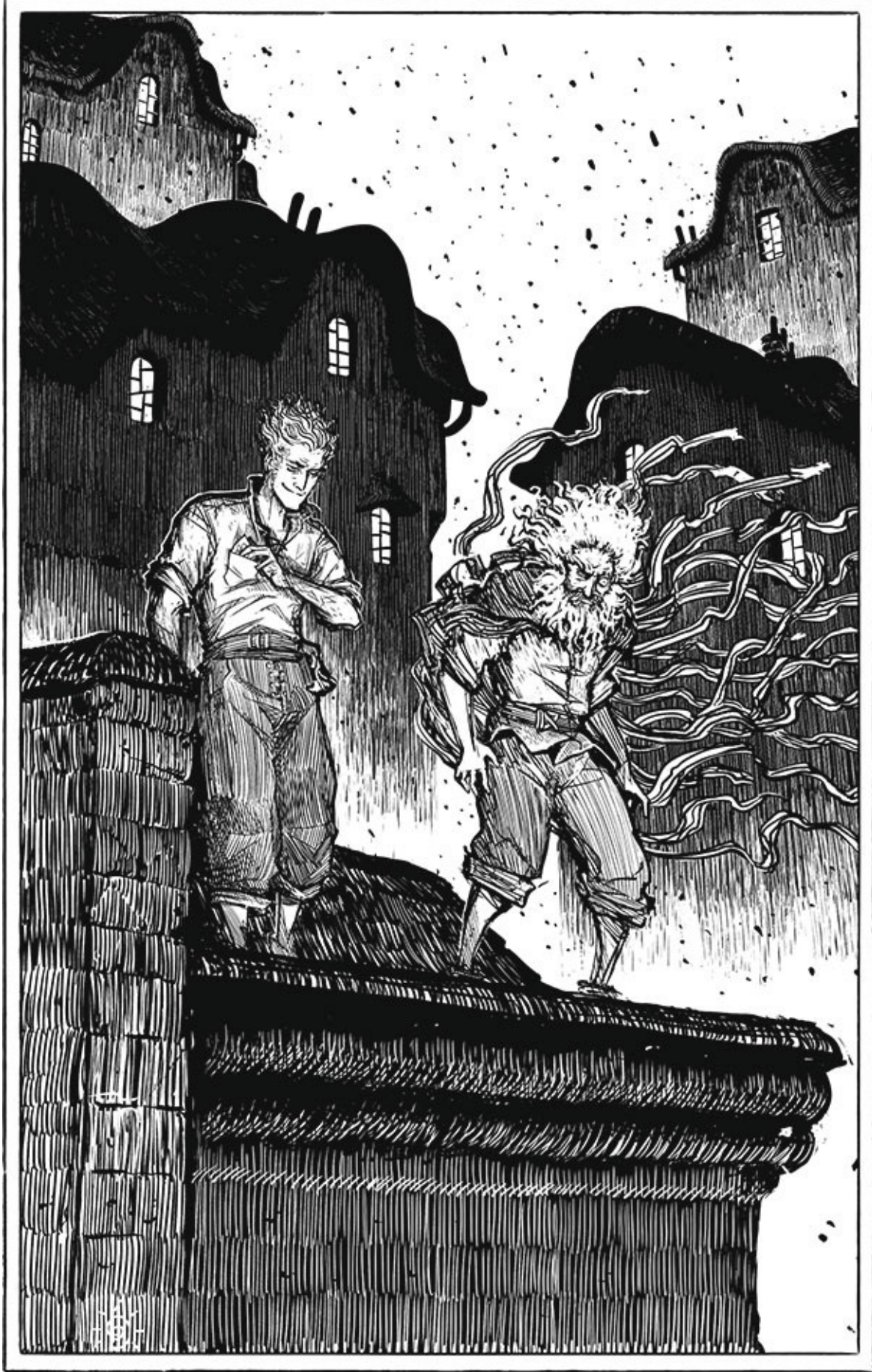
Choć sam układ jest raczej nudny, Scadrial wielokrotnie okazał się intrygujący. I to mimo że ludzie dotychczas zajmowali niewielką część planety. (Co zaczęło się zmieniać, kiedy zniknęły skrajnie trudne środowiska z czasów Ostatniego Imperium).

Poczynając od adaptacji (wymuszonych i niewymuszonych) ludzkich mieszkańców, aż po ogromne przeobrażenia w czasie różnych epok, Scadrial pozostaje moją ulubioną planetą do prowadzenia badań. Interakcje jej magii z naturą są rozliczne, różnorodne i fascynujące.

JEDENASTY METAL



Opowiadanie to można przeczytać przed pierwszą trylogią *Z Mgły Zrodzony*.





Kelsier trzymał w dwóch palcach mały kawałek papieru. Wiatr szarpał papier i próbował mu go wyrwać. Rysunek wyglądał źle.

Próbował już ze dwadzieścia razy nakreślić go właściwie, odtworzyć obrazek, z którym ona się nie rozstawała. Oryginał został zniszczony, tego był pewien. Nie miał niczego, co by mu ją przypominało, niczego, co pomagałoby mu pamiętać. Dlatego próbował odtworzyć obraz, który był dla niej cenny, ale mu nie wychodziło.

Kwiat. Tak się nazywał. Mit, opowieść. Marzenie.

– Musisz przestać – warknął jego towarzysz. – Powinienem powstrzymać cię przed rysowaniem.

– Spróbuj.

Kelsier złożył kawałek papieru i wsunął go do kieszeni koszuli. Zamierzał spróbować później. Płatki miały kształt bardziej przypominający łzę.

Spojrzał spokojnie na Gemmela i uśmiechnął się. Uśmiech wydawał się wymuszony. Jak mógł uśmiechać się w świecie bez niej?

Mimo to nie przestawał. Zamierzał robić to, aż jego uśmiech będzie wyglądał naturalnie. Aż ten wypełniający go kłębek odrętwienia zacznie się rozwijać, a on znów zacznie czuć. Jeśli to w ogóle możliwe.

Jest. Proszę, niech będzie, pomyślał.

– Kiedy tak rysujesz, myślisz o przeszłości – rzucił Gemmel.

Starzejący się mężczyzna miał postrzępioną siwą brodę i włosy tak rozczochrane, że wyglądały na bardziej zadbane, kiedy szarpał je wiatr.

– Owszem. Nie chcę o niej zapomnieć.

– Ona cię zdradziła. Musisz żyć dalej.

Gemmel nie czekał, by zobaczyć, czy Kelsier będzie się kłócić. Odszedł – często to robił w trakcie kłótni.

Kelsier nie zacisnął powiek, na co miał ochotę. Nie krzyknął wyzywająco w stronę zmierzchu, czego pragnął. Odepchnął na bok myśli o zdradzie Mare. Nigdy nie powinien wspominać Gemmelowi o swoich obawach.

Zrobił to. A co się stało, to się nie odstanie.

Uśmiechnął się szerzej. Wymagało to wysiłku.

Gemmel odwrócił się w jego stronę.

– Wyglądasz niepokojąco, kiedy to robisz.

– To dlatego, że ty w życiu nigdy się tak naprawdę nie uśmiechnąłeś, ty stara sterto popiołu.

Kelsier dołączył do Gemmela przy niskim murku na krawędzi dachu. Patrzyli z góry na miasto

Mantiz, niemal tonące w popiele. Ludzie mieszkający daleko na północy Zachodniego Dominium nie radzili sobie z jego uprzątnięciem tak dobrze, jak ci w Luthadelu.

Kelsier zakładał, że w tej okolicy popiołu będzie mniej – w pobliżu znajdowała się tylko jedna popielna góra. I popiół chyba rzeczywiście spadał rzadziej. Ale, ponieważ nikt się nie zajmował jego usuwaniem, wydawało się, że jest go o wiele więcej.

Zacisnął dłoń na zwieńczeniu muru. Nigdy nie lubił tej części Zachodniego Dominium. Tutejsze budynki wydawały się... stopione. Nie, to nieodpowiednie określenie. Wydawały się zbyt zaokrąglone, pozbawione rogów, i rzadko były symetryczne – jedna strona budynku była wyższa albo bardziej nierówna.

Popiół jednak był znajomy. Pokrywał tutejsze budynki tak samo jak wszędzie, nadając wszystkiemu jednolity szaro-czarny odcień. Zasypywał ulice, zbierał się we wgłębieniach budynków i tworzył sterty w bocznych pasażach. Popiół z popielnych gór przypominał sadzę, był o wiele ciemniejszy od zwykłego popiołu z paleniska.

– Która? – spytał Kelsier, spoglądając po kolei na cztery potężne twierdze, które wznosiły się nad miastem.

Jak na standardy tego dominium Mantiz było dużym miastem, choć – rzecz jasna – nie przypominało Luthadelu. Żadne miasto nie mogło równać się z Luthadelem. To jednak było godne szacunku.

Gemmel wskazał w stronę wysokiego, smukłego budynku w pobliżu centrum miasta.

– Twierdza Shezler.

Kelsier przytaknął.

– Shezler. Bez trudu dostanę się do środka. Będę potrzebował kostiumu, eleganckiego ubrania, biżuterii. Musimy znaleźć miejsce, gdzie będę mógł upłynnić bryłkę atium... i krawca, który nie puści pary z ust.

Gemmel prychnął.

– Mam akcent z Luthadelu – stwierdził Kelsier. – Z tego, co mówią, lord Shezler uwielbia arystokratów z Luthadelu. Będzie się kłaniał komuś, kto zaprezentuje mu się we właściwy sposób, bo chce nawiązać kontakty z arystokracją bliższą stolicy...

– Nie myślisz jak Allomanta – przerwał mu szorstko Gemmel.

– Użyję Allomancji wpływającej na uczucia. Skłonię go...

Gemmel nagle ryknął i poruszając się z niezwykłą szybkością, odwrócił się do Kelsiera. Obszarpany mężczyzna chwycił go za koszulę i przewrócił, a później stanął nad nim.

– Jesteś Zrodzonym z Mgły, nie jakimś tam ulicznym Uspokajaczem zarabiającym spinki! Chcesz znów zostać pojmany? Złapany przez jego sługusów i odesłany tam, gdzie twoje miejsce? Tego chcesz?

Kelsier piorunował Gemmela wzrokiem. Wokół nich zaczynały się kłębić mgły. Czasem Gemmel wydawał się bardziej zwierzęciem niż człowiekiem. Zaczął mamrotać pod nosem, jakby rozmawiał z przyjacielem, którego Kelsier nie widział ani nie słyszał.

Gemmel pochylił się jeszcze bardziej, jego oddech śmierdział, a oczy były szeroko otwarte i rozgorączkowane. Nie był do końca zdrów na umyśle. Nie. Duże niedopowiedzenie. Pozostały mu jedynie resztki zdrowych zmysłów, a nawet one zaczynały się rozpadać.

Był jednak jedynym Zrodzonym z Mgły, którego znał Kelsier, i zamierzał się od niego uczyć. Inaczej

musiałby brać lekcje u jakiegoś szlachetnie urodzonego.

– A teraz posłuchaj. – Głos Gemmela brzmiał niemal błagalnie. – Choć raz posłuchaj. Mam cię nauczyć, jak walczyć. Nie: jak mówić. To już umiesz. Nie przybyliśmy tu, żebyś mógł wejść do środka, udając szlachetnie urodzonego, jak to robiłeś w starych czasach. Nie pozwolę ci gadać, nie ma mowy. Jesteś Zrodzonym z Mgły. Walczysz.

– Wykorzystam każde narzędzie, jakie mam do dyspozycji.

– Będziesz walczyć! Chcesz znów być słaby i pozwolić, żeby po raz kolejny cię pojмали?

Kelsier milczał.

– Chcesz się na nich zemścić? Prawda?

– Tak – warknął Kelsier.

W jego wnętrzu poruszyło się coś potężnego i mrocznego, bestia obudzona pytaniami Gemmela. Przecinała nawet jego odrętwienie.

– Chcesz zabijać, prawda? Za to, co zrobili tobie i twoim przyjaciółom? Za to, że ci ją odebrali? Co, chłopcze?

– Tak!

Kelsier rozjarzył metale i odepchnął Gemmela.

Wspomnienia. Ciemny otwór otoczony kryształami ostrymi jak brzytwy. Jej łkanie, gdy umierała. Jego łkanie, gdy go złamali. Zmiażdżyli. Rozerwali na strzępy.

Jego krzyki, gdy się odrodził.

– Tak. – Podniósł się, cyna z ołowiem płonęła w jego wnętrzu. Zmusił się do uśmiechu. – Tak, zemszczę się, Gemmelu. Ale zrobię to na swój sposób.

– To znaczy?

Kelsier zawahał się.

Było to dla niego nowe doświadczenie. Wcześniej zawsze miał plan. Mnóstwo planów. Teraz, bez niej, bez niczego... Iskra zgasła, iskra, która zawsze skłaniała go, by sięgał po to, co inni uważali za nieosiągalne. Prowadziła go od planu do planu, od skoku do skoku, od bogactwa do bogactwa.

Zniknęła zastąpiona węzłem odrętwienia. Ostatnio czuł jedynie wściekłość, a wściekłość nie mogła nim pokierować.

Nie wiedział, co robić. Nie cierpiał tego. Zawsze wiedział, co robić. Ale teraz...

Gemmel prychnął.

– Kiedy z tobą skończę, będziesz umiał zabić stu ludzi jedną monetą. Będziesz umiał Przyciągnąć miecz z rąk mężczyzny i wbić w jego pierś. Będziesz miażdżył ludzi w ich pancerzach i unosił się w powietrzu jak mgły. Będziesz bogiem. Marnuj czas na Allomancję umysłu, kiedy z tobą skończę. Na razie zabijasz.

Brodaty mężczyzna podszedł znów do muru i spojrzął na twierdzę. Kelsier powoli zapanował nad złością, rozmasował pierś w miejscu, w które został uderzony. I... wtedy przyszło mu do głowy coś dziwnego.

– Skąd wiesz, jaki byłem w starych czasach? – szepnął. – Kim jesteś?

W mroku nocy płonęły latarnie i światła wapienne, ich blask wylewał się przez okna i wpadał w kłębiące się mgły. Gemmel kulił się przy murku i znów do siebie szeptał. Jeśli słyszał pytanie Kelsiera, zignorował je.

– Powinieneś nadal palić swoje metale – powiedział, kiedy Kelsier się do niego zbliżył.

Kelsier powstrzymał się przed stwierdzeniem, że nie chce ich marnować. Wcześniej wyjaśnił, że dorastając jako skaa, nauczył się oszczędności. Gemmel jedynie się roześmiał. W tamtym czasie Kelsier założył, że śmiech ten wynikał z nieobliczalności Gemmela.

Ale... jeśli tamten znał prawdę? Że Kelsier nie spędził dzieciństwa na ulicy, jako biedny skaa? Że on i jego brat należeli do uprzywilejowanej warstwy, a ich mieszane pochodzenie było ukrywane przed wszystkimi?

Owszem, nienawidził szlachetnie urodzonych. Ich bali i przyjąć, afektowanego samozadowolenia, poczucia wyższości. Nie mógł jednak zaprzeczyć, nie wobec samego siebie, że jest jednym z nich. Przynajmniej w takim samym stopniu, co jednym ze skaa.

– I jak? – spytał Gemmel.

Kelsier rozpalił część z ośmiu rezerw metali, które miał w sobie. Czasami słyszał, jak Allomanci wspominają o tych rezerwach, ale nigdy nie spodziewał się, że sam je poczuje. Były jak studnie energii, z których mógł zaczerpnąć.

Spalanie metali w swoim wnętrzu. Jakże dziwacznie brzmiało – i jak naturalne było to uczucie. Równie naturalne jak oddychanie powietrzem i czerpanie z niego energii. Każda z tych ośmiu rezerw w jakiś sposób go wzmacniała.

– Wszystkie osiem – stwierdził Gemmel. – Wszystkie.

Spalał brąz, by wyczuć, co spala Kelsier.

Kelsier spalał jedynie cztery metale fizyczne. Niechętnie spalił pozostałe. Gemmel pokiwał głową – teraz, gdy Kelsier spalał miedź, jego towarzysz przestawał wyczuwać Allomancję. Miedź była przydatnym metalem – ukrywała go przed innymi Allomantami i czyniła niewrażliwym na Allomancję wpływającą na uczucia.

Niektórzy mówili o miedzi z pogardą. Nie dało się jej wykorzystać w walce ani niczego za jej pomocą zmienić. Mimo to Kelsier zawsze zazdrościł swojemu przyjacielowi Trapowi, Mglistemu miedzi. On przynajmniej wiedział, że nikt nie manipuluje jego uczuciami.

Oczywiście, kiedy spalał miedź, musiał przyznać, że wszystko, co czuje – ból, złość, a nawet odrętwienie – pochodzi od niego samego.

– Chodźmy – powiedział Gemmel i skoczył w noc.

Mgły już się prawie utworzyły. Pojawiały się każdej nocy, czasem gęste, innym razem delikatne. Ale były zawsze. Poruszały się jak setki strumieni jeden na drugim, kłębiły się i wirowały, gęstsze i bardziej ożywione niż zwykły opar.

Kelsier zawsze kochał mgły z powodów, których nie umiał opisać. Marsh twierdził, że to dlatego, że wszyscy inni się ich bali, a Kelsier był zbyt arogancki, by postępować tak samo jak wszyscy. Oczywiście wydawało się, że Marsh też się ich nie obawiał. Bracia coś czuli, jakies zrozumienie, świadomość. Mgły traktowały niektórych jak swoich.

Zeskoczył z niskiego dachu, paląc cynę z ołowiem, by bezpiecznie wylądować. Później ruszył za Gemmelem, biegł bosy po bruku. W jego żołądku płonęła cyna – sprawiała, że był bardziej świadomy, a jego zmysły bardziej wyostrzone. Mgły wydawały się wilgotniejsze, a rosa na skórze chłodniejsza. Słyszał szczury biegające w odległych uliczkach, wyjące psy, mężczyznę pochrapującego cicho w pobliskim domu. Tysiące dźwięków niedostępnych dla zwykłego człowieka. Czasami, kiedy spalał

cyneń, wydawało się to kakofonią. Nie mógł rozpać jej zbyt mocno, by hałas go nie rozpraszał. Tylko odrobinę, by lepiej widzieć, by mgły wydawały się cieńsze, choć nie wiedział, dlaczego tak jest.

Podążał za Gemmelem, aż dotarli do muru otaczającego Twierdzę Shezler i przyłgnęli do niej plecami. Stojący na szczycie muru strażnicy wołali do siebie w mroku.

Gemmel pokiwał głową i upuścił monetę. Po chwili chudy, brodaty mężczyzna wzniósł się w powietrze. Miał na sobie mgielny płaszcz – szarą pelerynę składającą się z licznych wąskich pasków. Kelsier też o niego poprosił. Gemmel go wyśmiał.

Kelsier podszedł do leżącej monety. Mgły kłębiły się wokół jak owady lecące do płomienia – zawsze się tak zachowywały w obecności Allomantów spalających metale. Widział to u Marsha.

Ukląkł obok monety. Widział delikatną niebieską linię – cienką jak pajęczyna – prowadzącą od jego piersi do monety. Właściwie całe setki cieniutkich linii prowadziły od jego piersi do pobliskich źródeł metali. Tworzyły je żelazo i stal – jedne do Odpychania, drugie do Przyciągania. Gemmel kazał mu palić wszystkie metale, ale jego słowa często nie miały sensu. Nie ma powodu palić jednocześnie stali i żelaza – były przeciwieństwami.

Zgasił żelazo, pozostawiając jedynie stal. Z jej pomocą mógł Odpychać każde źródło metalu, z którym był połączony. Odpychanie miało charakter umysłowy, ale czuł się przy tym tak, jakby naciskał coś rękami.

Ustawił się nad monetą i Odepchnął, jak go nauczył Gemmel. Ponieważ moneta nie mogła spaść niżej, Kelsier poleciał do góry. Wzniósł się w powietrze na wysokość piętnastu stóp i niezgrabnie złapał się zwieńczenia muru nad głową. Podciągnął się z sapnięciem.

Przy jego piersi pojawiła się nowa grupa niebieskich linii, które z każdą chwilą robiły się coraz grubsze. Szybko się zbliżające źródła metalu.

Kelsier zaklął, wyciągnął rękę i Odepchnął. Lecące w jego stronę monety zniknęły we mgle. Ich źródłem był bez wątpienia Gemmel. Czasami atakował Kelsiera – pierwszego wieczoru zrzucił go z urwiska.

Kelsier nadal nie umiał ocenić, czy te ataki były próbami, czy też szalenie rzeczywiście chciał go zamordować.

– Nie – mruknął Gemmel. – Nie, lubię go. Prawie nigdy nie narzeka. Pozostała trójka ciągle narzekała. Ten jest silny. Nie. Nie dość silny. Nie. Jeszcze nie. Nauczy się.

Za Gemmelem na szczycie muru leżały dwa niewyraźne kształty. Martwi strażnicy, ich krew płynęła po kamieniach. W mroku wyglądała na czarną. Wydawało się, że mgły... boją się Gemmela. Nie kłębiły się wokół niego jak wokół innych Allomantów.

Nonsens. Złudzenie. Kelsier wyprostował się i nie wspomniął o ataku. To i tak niczego by nie zmieniło. Musiał zachować czujność i nauczyć się jak najwięcej od tego mężczyzny. I najlepiej nie dać się po drodze zabić.

– Nie potrzebujesz ręki, żeby Odpychać – mruknął Gemmel. – Marnujesz czas. I musisz nauczyć się spalać bez przerwy cynę z ołowiem. Nie powinieneś mieć takich problemów ze wspięciem się na ten mur.

– Ja...

– Tylko się nie usprawiedliwiaj, że oszczędzasz metale. – Gemmel zapatrzył się na twierdzę. – Znałem uliczników. Oni nie oszczędzają. Jeśli zaatakujesz jednego z nich, wykorzystają wszystko, co

mają, resztki sił i wszystkie sztuczki, żeby cię pokonać. Wiedzą, że stąpają po linie. Módl się, byś nigdy nie musiał stawić czoła jednemu z nich, śliczny chłopcze. Rozerwą cię na strzępy, przeżują i zrobią nowe zapasy z tego, co po sobie zostawisz.

– Zamierzałem powiedzieć – odezwał się spokojnie Kelsier – że nie wyjaśniłeś mi nawet, co dziś robimy.

Gemmel zmrużył oczy.

– Przenikamy do tej twierdzy.

– Dlaczego?

– A czy to ma znaczenie?

– Tak.

– Jest tu coś ważnego. Coś, co musimy znaleźć.

– Cóż, to wyjaśnia wszystko. Dziękuję za twoją otwartość. A skoro nagle tak obszernie odpowiadasz na pytania, może oświecisz mnie, jaki jest sens życia?

– Nie wiem. Myślę, że żyjemy, żeby móc umrzeć.

Kelsier stłumił jęk i oparł się o mur. Ja to powiedziałem, uświadomił sobie, i spodziewałem się w odpowiedzi jakiejś oschłej uwagi. Na Ostatniego Imperatora, tęsknię za Doxem i resztą.

Gemmel nie rozumiał żartów, nawet żalonych prób. Muszę wrócić, pomyślał Kelsier. Do ludzi, których obchodzi życie. Do przyjaciół.

Ta myśl sprawiła, że zadrżał. Minęły zaledwie trzy miesiące od... wydarzeń w Czeluściach Hathsin. Rozcięcia na rękach już się w większości zablizniły. I tak je drapał.

Kelsier wiedział, że jego żarty są wymuszone, a uśmiechy bardziej martwe niż żywe. Nie wiedział, dlaczego powstrzymywanie się przed powrotem do Luthadelu było tak ważne, ale czuł to. Odsłonił rany, ziejące otwory w swoim wnętrzu, które się jeszcze nie zagoiły. Musiał trzymać się z dala. Nie chciał, by zobaczyli go w takim stanie. Niepewnego i kulącego się we śnie, raz za razem przeżywającego niedawną grozę. Człowieka bez planów i wizji.

Poza tym musiał się uczyć od Gemmela. Nie mógł wrócić do Luthadelu, dopóki... dopóki znów nie stanie się sobą. A przynajmniej pobliżnioną wersją samego siebie, z zagojonymi ranami i uciszonymi wspomnieniami.

– To do roboty – powiedział.

Gemmel spiorunował go wzrokiem. Stary szaleniec nie lubił, kiedy Kelsier próbował przejąć kontrolę. Ale... Kelsier to właśnie robił. Ktoś musiał.

Twierdza Shezler została wybudowana w tym niezwykłym stylu architektonicznym typowym dla odległych zakątków Zachodniego Dominium. Nie składała się z bloków i iglic, sprawiała wrażenie wręcz organicznej, z czterema stożkowymi wieżami z przodu. Sądził, że tutejsze budynki musiały powstawać z kamiennych szkieletów pokrytych utwardzonym błotem, które rzeźbiono i kształtowano, by powstały te wszystkie guzy i wypukłości. Twierdza, podobnie jak inne budowle, robiła na Kelsierze wrażenie nieukończonej.

– Dokąd? – spytał.

– Na górę. A później w dół.

Gemmel zeskoczył z muru i rzucił monetę. Odepchnął się od niej, a jego ciężar popchnął ją w dół. Kiedy uderzyła w ziemię, Gemmel wzniósł się w górę w stronę budynku.

Kelsier skoczył i Odepchnął się od własnej monety. Obaj wznosili się przez przestrzeń dzielącą rzeźbiony mur i jasno oświetloną twierdzę. Za witrażowymi oknami płonęły mocne wapienne światła – w Zachodnim Dominium okna miały często dziwaczne kształty, a każde było inne. Czy oni nie mieli pojęcia o estetyce?

Blżej budynku Kelsier zaczął Przyciągać, zamiast Odpychać – spalał żelazo zamiast stali i szarpnął niebieską linię prowadzącą do stalowej ramy okiennej, dzięki czemu został Przyciągnięty do góry, jakby wisiał na sznurku. Nie było łatwo – ziemia wciąż ciągnęła go w dół i kiedy się Przyciągał, musiał uważać, żeby z niczym się nie zderzyć.

Przyciąganie pomogło mu wznieść się wyżej, czego potrzebował, gdyż Twierdza Shezler była równie wysoka, jak twierdze w Luthadelu. Dwaj Allomanci wspinali się po kamiennej fasadzie, łapiąc za wybrzuszenia lub z nich zeskakując. Kelsier wylądował na występie, przez chwilę machał rękami, po czym złapał się rzeźby, która z niewiadomego powodu została ustawiona w tym miejscu. Pokrywały ją kawałki szkliska w różnych barwach.

Gemmel przeleciał na prawo od niego, poruszał się z wprawą i zwinnością. Moneta, którą rzucił w bok, trafiła w występ. Odpychając się od niej, drugi Zrodzony z Mgły skierował się we właściwą stronę. Zawirował, przecinając mgły pasmami mgielnego płaszcza, i Przyciągnął się do kolejnego witrażowego okna. Zawisł na nim jak owad, zaciskając dłonie na metalu i kamieniu.

Za oknem płonęło mocne wapienne światło, witraż rozbijał jego blask na różne kolory, przez co Gemmel wyglądał, jakby jego również pokrywały kawałki szkliska. Podniósł wzrok i uśmiechnął się. W tym świetle, otoczony mgielnym płaszczem, wydawał się Kelsierowi bardziej władczy. W niczym nie przypominał obszarpanego szaleńca. Był o wiele potężniejszy.

Gemmel skoczył we mgłę i Przyciągnął się w górę. Kelsier odprowadził go wzrokiem i z zaskoczeniem stwierdził, że mu zazdrości. Nauczę się, powiedział sobie. Będę równie dobry.

Od początku ciągnęło go do cynku i mosiądzu, Allomancji, która pozwalała mu bawić się ludzkimi uczuciami. Wydawała się najbardziej podobna do tego, co w przeszłości robił bez takiej pomocy. Ale był nowym człowiekiem, odrodził się w tych straszliwych czeluściach. Kimkolwiek był wcześniej, to nie wystarczało. Musiał stać się czymś więcej.

Kelsier poderwał się do góry, Przyciągając się do dachu budynku. Gemmel wzniósł się ponad dach i poleciał w stronę czubków czterech iglic zdobiących front budowli. Kelsier rzucił całą torbę monet – im więcej metalu, od którego się Odpychał, tym szybciej i wyżej mógł się wznieść – i rozjarzył stal. Odepchnął się z całej siły i wystrzelił jak pocisk.

Mgły płynęły obok niego. Kolorowe światło z witrażowych okien zniknęło poniżej. Po obu jego bokach wznosiły się iglice. Odepchnął się od cynowej blachy pokrywającej jedną z nich, by skierować się w prawo.

Odepchnąwszy się po raz ostatni, wzniósł się nad iglicę – na jej szczycie osadzono kulę wielkości ludzkiej głowy. Kelsier wylądował na niej i rozjarzył cynę z ołowiem, która zwiększała jego możliwości fizyczne. Czyniła go nie tylko silniejszym, ale i zręczniejszym, dzięki czemu mógł stać setki stóp nad ziemią na jednej nodze na kuli wielkości dłoni. Dokonawszy tego, popatrzył w dół.

– Robisz się coraz pewniejszy siebie – stwierdził Gemmel, który zatrzymał się tuż przed szczytem iglicy poniżej Kelsiera. – To dobrze.

Z tymi słowami podskoczył i podciął Kelsierowi nogę. Młodszy Allomanta krzyknął, stracił

równowagę i spadł w mgłę. Gemmel Odepchnął fiolki pełne płatków metalu, które Kelsier – jak większość Allomantów – nosił u pasa, odrzucając go od budynku.

Kelsier spadał jak kamień i na chwilę stracił zdolność do racjonalnego myślenia. Spadanie wzbudzało pierwotny strach. Gemmel mówił o panowaniu nad tym uczuciem, nauczaniu się, by nie bać się wysokości i nie tracić orientacji podczas spadania.

Te lekcje pojawiły się w umyśle Kelsiera. Ale spadał. Szybko. Przez kłębiące się mgły, zdezorientowany. Za chwilę miał uderzyć w ziemię.

W desperacji Odepchnął fiolki metalu z nadzieją, że robi to we właściwą stronę. Wyrwały się z jego pasa i w coś uderzyły. W ziemię.

Nie było w nich wiele metalu. Ledwie spowolniły upadek Kelsiera. Uderzył w ziemię ułamek sekundy po Odpychaniu, na tyle mocno, że zaparło mu dech w piersi i zrobiło się ciemno przed oczami.

Leżał oszołomiony, kiedy coś łupnęło w ziemię obok niego. Gemmel. Drugi mężczyzna prychnął pogardliwie.

– Głupiec.

Kelsier jęknął i podniósł się na czworaki. Żył. I, co zadziwiające, wydawało się, że niczego nie połamał – choć bok i udo paskudnie go bolały. Będzie miał koszmarne sińce. Cyna z ołowiem utrzymała go przy życiu. Po takim upadku, nawet spowolnionym pod koniec Odpychaniem, zwykły człowiek połamałby kości.

Kelsier spiorunował Gemmela wzrokiem, ale nie narzekał. To pewnie rzeczywiście był najlepszy sposób nauki. A bez wątpienia najszybszy. Myśląc racjonalnie, Kelsier sam by wybrał takie podejście, zmuszające go do nauki na bieżąco. Co nie zmniejszało jego nienawiści do Gemmela.

– Sądziłem, że mamy iść do góry – powiedział tylko.

– A później w dół.

– A później znów do góry, jak zakładam? – Kelsier westchnął.

– Nie. Dalej w dół.

Gemmel ruszył przez ogrody, mijając ozdobne krzewy, które w mroku nocy zmieniły się w osnute mgłą ciemne sylwetki. Kelsier przyspieszył kroku i dołączył do towarzysza cały czas przygotowany na kolejny atak.

– Jest w piwnicy – mruknął Gemmel. – W piwnicy, jeszcze czego. Dlaczego piwnica?

– Co jest w piwnicy?

– Nasz cel. Musieliśmy się wznieść, żeby móc poszukać wejścia. Wydaje mi się, że jedno jest w ogrodzie.

– Zaczekaj, to brzmi nawet rozsądnie. Musiałeś się uderzyć w głowę albo coś.

Gemmel popatrzył na niego ze złością, a później wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął garść monet. Kelsier przygotował metale, by w razie czego się bronić. Gemmel jednak przesunął rękę w bok i zasypał metalem parę strażników, którzy biegli ścieżką, żeby sprawdzić, kto się włóczy nocą po ogrodach.

Mężczyźni upadli, a jeden krzyknął. Gemmel nie przejął się tym, że ten okrzyk mógł zdradzić ich obecność. Ruszył dalej przed siebie.

Kelsier zawahał się i spojrzął na umierających mężczyzn. Zatrudnieni przez wroga. Próbował

poczuć do nich trochę współczucia, ale nie mógł. Ta część jego charakteru została wyrwana przez Czeluście Hathsin, choć inna część była zaniepokojona tym, jak mało czuł.

Pośpieszył za Gemmelem, który odnalazł coś przypominającego szopę ogrodnika. Jednak kiedy otworzył drzwi, w środku nie było narzędzi, lecz schody prowadzące w dół.

– Palisz stal? – spytał Gemmel.

Kelsier przytaknął.

– Pilnuj, czy coś się nie rusza.

Gemmel wyciągnął z sakiewki garść monet. Kelsier uniósł rękę w stronę zabitych strażników i Przyciągnął do siebie monety, którymi zaatakował ich Gemmel. Widział, jak mężczyzna lekko Przyciąga przedmioty, które wtedy nie leciały w jego stronę z pełną szybkością. Sam jednak jeszcze nie opanował tej sztuczki, musiał więc przykucnąć i pozwolić, by monety przeleciały nad jego głową i uderzyły w ścianę szopy. Zebrał je i ruszył za zniecierpliwionym Gemmelem, który przyglądał mu się z niezadowoleniem.

– Byłem nieuzbrojony – wyjaśnił Kelsier. – Zostawiłem sakiewkę na dachu budynku.

– Takie błędy kiedyś cię zabiją.

Kelsier nie odpowiedział. To był błąd. Oczywiście planował zabrać sakiewkę – i zrobiłby to, gdyby Gemmel nie zrzucił go z iglicy.

W miarę, jak schodzili, światła było coraz mniej, aż wreszcie zapanowała niemal całkowita ciemność. Gemmel nie wyjął pochodni ani latarni, lecz gestem kazał Kelsierowi iść przodem. Kolejna próba?

Stal płonąca we wnętrzu Kelsiera pozwalała mu identyfikować źródła metali dzięki prowadzącym do nich niebieskim liniom. Zatrzymał się i upuścił garść monet. Lecząc w dół po schodach i odbijając się, pokazywały mu, gdzie znajdują się stopnie, a kiedy się zatrzymały, obraz był jeszcze dokładniejszy.

Niebieskie linie nie były „widzeniem” i musiał poruszać się ostrożnie. Mimo to monety bardzo mu pomogły, a kiedy dotarł do zasuwy w drzwiach, ją również zobaczył. Z tyłu dobiegło go chrząknięcie Gemmela, które choć raz brzmiało pochlebnie.

– Niezła sztuczka z monetami – mruknął.

Kelsier uśmiechnął się i podszedł do drzwi na dole. Wymacał je i chwycił metalową zasuwę. Otworzył je ostrożnie.

Po drugiej stronie paliło się światło. Kelsier przykucnął – wbrew temu, co mógł sądzić Gemmel, w swoim czasie zdarzało mu się nocami przenikać do budynków i je okradać. Nie był świeżynką. Po prostu wiedział, że aby przetrwać, taki mieszaniec jak on musiał nauczyć się albo gadać, albo skradać – w większości sytuacji otwarta walka byłaby głupotą.

Oczywiście żadna z tych trzech rzeczy – walka, gadanie czy skradanie – nie pomogła mu tamtej nocy. Nocy, kiedy został pojmany i kiedy nie mógł go zdradzić nikt poza nią. Ale w takim razie dlaczego ją też pojмали? Nie mogła...

Przestań, powiedział sobie i skulony wkradł się do pomieszczenia. Wypełniały je długie stoły zastawione różnego rodzaju urządzeniami do wytapiania metali. Nie tymi wielkimi kowalskimi, ale małymi palnikami i delikatnymi instrumentami mistrza metalurgii. Na ścianach paliły się lampy, a w kącie żarzyło się czerwienią palenisko. Kelsier poczuł podmuch świeżego powietrza – po drugiej stronie komnaty znajdowały się wejścia do kilku korytarzy.

Sala wydawała się pusta. Gemmel wszedł do środka, a Kelsier wyciągnął rękę, by znów Przyciągnąć do siebie monety. Niektóre były splamione krwią zabitych strażników. Wciąż skulony minął biurko, na którym leżały narzędzia pisarskie i niewielkie tomiki oprawione w płótno. Spojrzał na Gemmela. Mężczyzna przeszedł przez pomieszczenie, nawet nie próbując się skradać. Oparł dłonie na biodrach i rozejrzał się dookoła.

– To gdzie on jest?

– Kto? – spytał Kelsier.

Gemmel zaczął mamrotać pod nosem i przeszedł przez salę, zrzucając ze stołów niektóre z urządzeń. Z trzaskiem uderzyły o podłogę. Kelsier prześlizgnął się ostrożnie przy ścianie zdecydowany zajrzeć do bocznych korytarzy, by sprawdzić, czy ktoś się nie zbliża. Sprawdził pierwszy i odkrył, że prowadzi on do długiego, wąskiego pomieszczenia. Nie było puste.

Kelsier znieruchomiał i wyprostował się powoli. W środku znajdowało się kilka osób, mężczyzn i kobiet, przywiązanych za ręce do ściany. Nie było cel, ale biedacy wyglądali, jakby zostali pobici prawie na śmierć. Mieli na sobie jedynie zakrwawione łachmany.

Kelsier otrząsnął się z oszołomienia i ostrożnie podszedł do pierwszej kobiety. Zdjął jej knebel. Podłoga była wilgotna – pewnie niedawno ktoś oblał więźniów wodą z wiadra, żeby w laboratorium nie śmierdziało. Pomieszczenie kończyło się kolejnym korytarzem, przez jego otwór wpadł podmuch świeżego powietrza.

Kobieta zeszywniała, kiedy jej dotknął, gwałtownie otworzyła oczy i spojrzała na niego z przerażeniem.

– Proszę, proszę nie... – szepnęła.

– Nie zrobię ci krzywdy. – Kelsier czuł, że odrętwienie w jego wnętrzu zaczyna się... zmieniać. – Kim jesteś? Co tu się dzieje?

Kobieta tylko się na niego gapiała. Skrzywiła się, kiedy Kelsier wyciągnął rękę, by ją rozwiązać. Zawahał się.

Usłyszał stłumiony dźwięk. Spojrzawszy w bok, zobaczył drugą kobietę, starszą i bardziej korpulentną. Jej ciało wyglądało jak jeden wielki siniec, ale spojrzenie nie było tak oszalone jak u młodszej towarzyszki. Kelsier podszedł i zdjął jej knebel.

– Proszę – powiedziała. – Uwolnij nas. Albo zabij.

– Co to za miejsce? – syknął Kelsier, próbując ją rozwiązać.

– On szuka mieszańców. Żeby sprawdzać na nich swoje nowe metale.

– Nowe metale?

– Ja nie wiem. – Po policzkach kobiety płynęły łzy. – Jestem tylko skaa, jak my wszyscy. Nie wiem, dlaczego nas wybiera. Mówi o różnych rzeczach. Metale, nieznanne metale. Chyba nie jest całkiem zdrów na umyśle. Rzeczy, które robi... mówi, że mają uwolnić nasze Allomantyczne zdolności... ale milordzie, w moich żyłach nie ma szlachetnej krwi. Nie mogę...

– Cicho.

Kelsier uwolnił ją. Coś przepalało ten węzeł odrętwienia w jego wnętrzu. Coś, co przypominało złość, ale było inne. Było czymś więcej. Sprawiało, że miał ochotę się rozplakać, ale jednocześnie czuł ciepło.

Po uwolnieniu kobieta zapatrzyła się na swoje ręce, otarte do krwi przez więzy. Kelsier odwrócił się

do pozostałych biedaków. Większość była już przytomna. W oczach nie mieli nadziei. Patrzyli tępo przed siebie.

Tak, czuł to.

Jak możemy znieść taki świat? – pomyślał Kelsier, podchodząc do kolejnego więźnia. W którym dzieją się takie rzeczy? Najbardziej przerażające, że tego rodzaju okropności zdarzyły się często. Skaa byli tani. Nikt ich nie chronił. Nikt się nimi nie przejmował.

Nawet on. Przez większość życia ignorował takie akty brutalności. Och, udawał, że walczy. Ale tak naprawdę chciał się jedynie wzbogacić. Te wszystkie plany, wszystkie skoki, wszystkie wielkie wizje. Zawsze chodziło o niego. I tylko o niego.

Uwolnił kolejnego więźnia, młodą ciemnowłosą kobietę. Przypominała Mare. Po uwolnieniu zwinęła się w kłębek na ziemi. Kelsier stał nad nią i czuł się bezsilny.

Nikt nie walczy, pomyślał. Nikt nie wierzy, że może walczyć. Ale myślą się. Możemy walczyć... Ja mogę walczyć.

Do środka wkroczył Gemmel. Spojrzał na skaa, ale wydawało się, że ich nie zauważa. Wciąż mamrotał pod nosem. Zrobił zaledwie kilka kroków, kiedy w laboratorium rozległ się krzyk.

– Co tu się wyprawia?!

Kelsier rozpoznał ten głos. Oczywiście nie słyszał go nigdy wcześniej – ale rozpoznał tę arogancję i pewność siebie. Pogardę. Odkrył, że się podnosi, przeciska obok Gemmela i wraca do laboratorium.

Stał tam mężczyzna w eleganckim surducie i białej koszuli zapiętej pod szyją. Włosy miał obcięte krótko, w stylu zyskującym ostatnio na popularności, a jego surdut najprawdopodobniej pochodził z Luthadelu – z pewnością został skrojony zgodnie z najnowszą modą.

Spojrzał władczo na Kelsiera. A Kelsier odkrył, że się uśmiecha. Naprawdę się uśmiecha, po raz pierwszy od Czełusci. Od zdrady.

Szlachetnie urodzony prychnął, uniósł monetę i rzucił nią w Kelsiera. Po krótkim zaskoczeniu Kelsier Odepchnął ją dokładnie w chwili, gdy zrobił to lord Shezler. Obaj polecili do tyłu, a arystokrata otworzył szerzej oczy.

Kelsier uderzył o ścianę. Shezler był Zrodzonym z Mgły. Nieważne. Cały czas się uśmiechał i jednocześnie poczuł w sobie nowy gniew. To uczucie płonęło jak metal. Nieznany, wspaniały metal.

Mógł walczyć. Będzie walczyć.

Arystokrata sięgnął do paska i odrzucił go razem z fiolkami metali. Wyciągnął laskę pojedynkową i nienaturalnie szybko skoczył do przodu. Kelsier rozjarzył cynę z ołowiem, a później stał, i Odepchnął urządzenia na jednym ze stołów, rzucając nimi w Shezlera.

Mężczyzna warknął, uniósł rękę i niektóre z nich Odepchnął. Po raz kolejny dwa Odpychania – Kelsiera i jego przeciwnika – uderzyły o siebie i obaj polecili do tyłu. Shezler oparł się o stół, który się zakotłosał. Szkło popękało i metalowe narzędzia poleciały z brzękiem na ziemię.

– Masz pojęcie, ile to wszystko jest warte? – warknął Shezler, opuścił rękę i ruszył naprzód.

– Najwyraźniej twoją duszę – szepnął Kelsier.

Shezler zrobił krok do przodu, zbliżył się i uderzył laską. Kelsier się cofnął. Poczł szarpnięcie w kieszeni i Odepchnął, wyrzucając monety z płaszczu w czasie, gdy Shezler je Odpychał. Jeszcze chwila, a przebiłyby mu żołądek – ale dzięki jego szybkiej reakcji wyrwały się z kieszeni i poleciały w stronę ściany.

Guziki płaszcza zaczęły się trząść, choć były pokryte jedynie cienką warstwą metalu. Zdjął okrycie, usuwając ostatni metal, który miał na sobie. Gemmel powinien mnie ostrzec! – pomyślał. Cienka warstwa metalu była niemal niewidoczna dla jego zmysłów, ale i tak poczuł się jak głupiec. Starszy mężczyzna miał rację – Kelsier nie myślał jak Allomanta. Za bardzo skupiał się na wyglądzie, a za mało na tym, co mogło go zabić.

Nadal się cofał, obserwował swojego przeciwnika zdecydowany nie pozwolić sobie na kolejny błąd. Czasami zdarzało mu się brać udział w ulicznych bójkach, ale niezbyt wielu. Próbował ich unikać – to Dockson lubił się bić. Po raz pierwszy pożałował swojego wyrafinowania w tej kwestii.

Przesuwał się wzdłuż jednego ze stołów, czekając, aż Gemmel wyjdzie z bocznego korytarza. Nie zrobił tego. Pewnie nie zamierzał.

Chodziło o odnalezienie Shezlera, pomyślał Kelsier. Żeby mógł walczyć z innym Zrodzonym z Mgły. Kryło się w tym coś ważnego... Nagle wszystko nabrało sensu.

Kelsier warknął i zaskoczył go dźwięk dobiegający z własnych ust. Ten płonący gniew w jego wnętrzu pragnął zemsty, ale i czegoś jeszcze. Czegoś większego. Nie tylko zemsty na tych, którzy go skrzywdzili, ale na całym społeczeństwie szlachetnie urodzonych.

W tej właśnie chwili Shezler – arogancko kroczący naprzód i bardziej przejmujący się swoim sprzętem niż życiem skaa – znalazł się w centrum jego skupienia.

Kelsier zaatakował.

Nie miał broni. Gemmel wspominał o szklanych nożach, ale nie dał mu żadnego. Dlatego Kelsier podniósł z podłogi odłamek szkła, nie przejmując się, że rozcina sobie palce. Cyna z ołowiem pozwoliła mu zignorować ból, kiedy skoczył na Shezlera i sięgnął do jego gardła.

Nie powinien wygrać. Shezler był bardziej doświadczonym Allomantą – ale nieprzyzwyczajonym do walki z kimś tak silnym. Walił Kelsiera laską pojedynkową, lecz dzięki cynie z ołowiem Kelsier mógł zignorować również i to. Wbił odłamek szkła w szyję mężczyzny – trzy razy.

Po chwili było po wszystkim. Kelsier zatoczył się do tyłu, w końcu zaczął zauważać ból. Shezler mógł mu połamać parę kości, w końcu sam również miał cynę z ołowiem. Szlachetnie urodzony leżał w kałuży krwi wstrząsany drgawkami. Cyna z ołowiem mogła uratować w wielu sytuacjach, ale nie pomagała na poderżnięte gardło.

Mężczyzna krztusił się krwią.

– Nie – wysyczał. – Nie mogę... nie ja... nie mogę umrzeć.

– Każdy może umrzeć. – Kelsier upuścił zakrwawiony odłamek szkła. – Każdy.

W jego umyśle pojawiła się myśl, początek planu.

– Za szybko – stwierdził Gemmel.

Kelsier podniósł wzrok, z jego palców kapłała krew. Shezler złapał ostatni chrapliwy oddech i znieruchomiał.

– Musisz nauczyć się Odpychać i Przyciągać – powiedział Gemmel. – Tańczyć w powietrzu, walczyć jak prawdziwy Zrodzony z Mgły.

– On był prawdziwym Zrodzonym z Mgły.

– Był uczonym. – Gemmel podszedł bliżej i kopnął trupa. – Na początek wybrałem słabego. Następnym razem nie pójdziesz ci tak łatwo.

Kelsier wrócił do pomieszczenia ze skaa. Uwolnił ich jedno po drugim. Nie mógł zrobić wiele

więcej, ale obiecał, że bezpiecznie wyprowadzi ich poza mury twierdzy. Może udałoby mu się pomóc im nawiązać kontakt z miejscowym podziemiem – przebywał w mieście na tyle długo, że poznał kilka osób.

Kiedy uwolnił wszystkich, odkrył, że cała skulona grupka patrzy na niego. W oczach skaa pojawiło się ożywienie, a niektórzy spoglądali w stronę sali z trupem Shezlera. Gemmel przeglądał notatnik leżący na jednym ze stołów.

– Kim jesteś? – spytała korpulentna kobieta, z którą rozmawiał wcześniej.

Kelsier potrząsnął głową, nadal spoglądając na Gemmela.

– Jestem człowiekiem, który wiele przeżył.

– Te blizny...

Kelsier spojrzał z góry na swoje ręce przecięte setkami drobnych blizn z Czeluści. Odstłonił je, kiedy zdjął płaszcz.

– Chodźcie – powiedział do skaa, powstrzymując pragnienie, by zakryć ręce. – Zaprowadzę was w bezpieczne miejsce. Gemmel, co ty robisz, na Ostatniego Imperatora?

Starszy mężczyzna chrząknął i nadal przeglądał książeczkę. Kelsier wbiegł do laboratorium i spojrzał na nią.

„Teorie i przypuszczenia odnośnie do istnienia Jedenastego Metalu”, głosił napis nabazgrany na jednej z kartek. „Prywatne notatki. Antillius Shezler”.

Gemmel wzruszył ramionami i upuścił książkę na stół. Następnie spomiędzy leżących na ziemi narzędzi i resztek wyposażenia laboratorium wybrał widelec. Uśmiechnął się i zachichotał pod nosem.

– Co za porządny widelec.

Wepchnął go do kieszeni.

Kelsier wziął książkę i już po chwili wyprowadzał rannych skaa z twierdzy, podczas gdy żołnierze kręcili się po dziedzińcach i próbowali się zorientować, co się właściwie dzieje.

Kiedy znów znaleźli się na ulicy, Kelsier odwrócił się w stronę rozświetlonego budynku, jego jaskrawych barw i pięknych okien. Nasłuchiwał wśród mgieł, jak krzyki strażników stają się coraz bardziej gorączkowe.

Odrętwienie zniknęło. Znalazł coś, co je zastąpiło. Znów miał się na czym skupić. Iskra powróciła. Wcześniej za bardzo się ograniczał.

Zaczął rodzić się plan, plan, o którym ledwie ważył się myśleć ze względu na jego zuchwałość. Zemsta. I nie tylko.

Wkroczył w mrok, w czekające mgły, i wyruszył na poszukiwanie kogoś, kto mógłby mu uszyć mgielny płaszcz.

POSTSCRIPTUM

To krótkie opowiadanie pierwotnie towarzyszyło grze fabularnej *Mistborn Adventure Game* firmy Crafty Games. Kiedy podpisaliśmy umowę z Crafty, obiecałem im krótki tekst dla fanów.

Wiedziałem, że chcę napisać opowiadanie o Kelsierze, i uznałem za sensowne cofnięcie się do czasów, kiedy dopiero się uczył, jak być Zrodzonym z Mgły. Pokazanie Gemmela (o którym Kelsier wspominał w głównym cyklu) było ważne, gdyż jest to część opowieści o tym, jak Zniszczenie manipulacją skłoniło Kelsiera do zrobienia tego, co zrobił w pierwszym tomie trylogii.

Jednocześnie wiedziałem, że to opowiadanie może przeczytać wiele osób, które nie czytały cyklu. Sam dużo grałem w RPG i wiedziałem, że często jedna albo dwie osoby w drużynie są naprawdę zafascynowane takim czy innym światem – i ciągną za sobą pozostałych, którzy nie mają o nim pojęcia.

Dlatego jednym z celów tego opowiadania było zaprezentowanie świata – chciałem stworzyć coś, co mistrz gry mógł przedstawić tym graczom, którzy nie znają książek. Coś, co pokazałoby nastrój, szybko objaśniło system magii i nadawało się na krótkie wprowadzenie.

Z tego powodu jest bardziej opisowe niż drugi tekst powiązany ze *Zrodzonym z Mgły* w tym zbiorze, który zakłada, że znacie już bohaterów i świat.

ALLOMANTA JAK I CZELUŚCIE ELTANII



Odcinki od dwudziestego ósmego do trzydziestego
wyjątkowy oprawiony zbiór wszystkich trzech odcinków!

Zredagowany i opatrzony przypisami przez Handerwyma, wiernego terrisańskiego sługę Jaka

Opowiadanie to zawiera drobne spoilery do *Stopu prawa*.





Piszę ten list po przebudzeniu z koszmarnym bólem głowy.

Zaiste, moi drodzy czytelnicy, ból ten był niewiarygodny – a jego skutkiem stał się zgiełk w mej głowie przypominający hałas setki wystrzałów. Jęknąłem i podniosłem się na kolana. Wokół panowała ciemność. Wcześniej mój policzek spoczywał na zimnym kamieniu. Kręciło mi się w głowie i minęło trochę czasu, nim wróciłem do siebie.

Co się ze mną stało? Pamiętałem walkę z kolossem, który rzucił mi wyzwanie – bestią wielką jak lokomotywa i równie silną. Pokonałem go, strzelając mu w oko, czyż nie? I czyż w ten sposób nie zachowałem lojalności całego klanu kolosów?[1]

Podniosłem się i ostrożnie obmacałem tył głowy. Tam natrafiłem na zaschłą krew. Nie lękajcie się, rana nie była poważna. Bez wątplenia znajdowałem się w trudniejszych sytuacjach. Nie było aż tak źle, jak wtedy, kiedy tonąłem w oceanie z nogami przywiązanymi do metalowego popiersia Ocalałego[2].

Suche powietrze i świst wiatru wśród spękanych skał wskazywały, że wciąż znajduję się w Dzikim, co mnie ucieszyło. Te krainy przygody i niebezpieczeństwa są moim naturalnym środowiskiem, a dzięki ich wyzwaniom rozkwitam. Gdybym miał spędzić zbyt wiele czasu w bezpiecznym i przyziemnym otoczeniu łagodnego Elendel, obawiam się, że opadłbym z sił.

Pomieszczenie, w którym się znajdowałem, było naturalną jaskinią o nierównych kamiennych ścianach i stalaktytach zwieszających się ze sklepienia. Pieczara okazała się płytka i odkryłem, że kończy się zaledwie kilka stóp od miejsca, w którym pierwotnie się znajdowałem. Co oznaczało, że tamtędy nie ucieknę[3].

Z uwagi na możliwy ostrzał prześlizgnąłem się ostrożnie do otworu jaskini i wyjrzałem na zewnątrz. Jak przypuszczałem, czując chłód powietrza, znalazłem się dość wysoko. Moja jaskinia wznosiła się w ścianie niedużego kanionu, a przez otwór widziałem strome zbocze i obłe głązy daleko w dole.

Naprzeciwko mnie, na szczycie grani po drugiej stronie kanionu, dostrzegłem grupę niebieskich postaci. Masywne kolosy należały do tych starszych, miały naprężoną i popękaną skórę, a ich ciała pokrywały tatuaże i stroje z wygarbowanych skór ludzi, których zamordowały i zjadły[4].

– Dlaczego mnie tu porzuciłyście, straszliwe bestie?! – krzyknąłem w ich stronę, a mój głos odbijał się echem od ścian kanionu. – I co zrobiłyście ze szlachetną Elizandrą Dramali?! Jeśli spadł choć jeden włos z jej zawsze pięknej głowy, poznacie, co to furia rozwścieczonego Allomanty!

Dzikusy nie odpowiedziały. Siedziały wokół dymiącego ogniska i nawet nie odwróciły się w moją stronę.

Może moja sytuacja nie była tak idealna, jak to z początku oceniłem. Ściana kanionu, w której tkwiłem, była gładka jak szkło i wysoka jak ceny whiskey w knajpie Marliego. Z pewnością nie

przeżyłbym próby zejścia na dół, zwłaszcza że wciąż miałem zawroty głowy.

Nie mogłem też po prostu poczekać. Panna Dramali, moja droga Elizandra, z pewnością mogła znaleźć się w niebezpieczeństwie. Przekłeta uparta kobieta, powinna była zostać w obozie, co jej poradziłem. Nie miałem pojęcia, co się mogło stać z nią i z wiernym Handerwymem[5]. Kolosy nie odważyłyby się zrobić mu krzywdy ze względu na przysięgę złożoną Terrisanom[6], ale z pewnością obawiał się o moje bezpieczeństwo.

Nie zastanawiałem się, jak dotarłem do tego koszmarnego miejsca. Potrzebowałem metalu. Mój organizm był zupełnie czysty – spaliłem resztkę, by uspokoić rękę i oko, kiedy oddawałem ten doskonały strzał do kolossa, który rzucił mi wyzwanie. Niestety, moi prześladowcy ukradli Błyska – choć kolosy są bestiami, mają dość rozsądku, by odbierać ludziom broń palną, szczególnie po tym, jak zobaczyły, z jakim mistrzostwem posługują się swoim wiernym rewolwerem. Zabrały również moje fiolki metalu. Może chciały sprawdzić, czy jest w nich whiskey. Niektórzy Allomanci z Dzikiej wolały przechowywać metale w takim roztworze, ale ja zachowywałem wstrzeźliwość. Umysł dzentelmena poszukiwacza przygód musi zachować jasność w każdej sytuacji[7].

Ale przecież mogłem skorzystać z woreczka cyny ukrytego w obcasie buta. Niestety, wydawało się, że ukryta komora w obcasie otworzyła się przypadkiem podczas mojej początkowej przepychanki z kolossem. Zgubiłem woreczek! Postanowiłem porozmawiać z Ranette o przerobionym przez nią obcasie i jego tendencji do otwierania się w nieprzewidzianych momentach.

Katastrofa! Allomanta bez metalu. Moim jedynym narzędziem pozostał rozum. A on – choć bynajmniej nie marny – mógł nie wystarczyć. Któż wiedział, w jakich tarapatach znajdowała się w tej chwili uroczą Elizandra?

Zacząłem z determinacją obmacywać ściany jaskini. Było to mało prawdopodobne, ale znajdowaliśmy się w górach cenionych właśnie ze względu na bogactwo minerałów. I rzeczywiście, Tego dnia Ocalały ulitował się nade mną, gdyż na przeciwległej ścianie zlokalizowałem niewielki błyszczący ślad metalu. Był niemal niewidzialny i odkryłem go dotykiem[8]. W ciemnej jaskini nie potrafiłem do końca rozpoznać natury metalu, ale nie miałem innych możliwości.

Podczas rzadkich odwiedzin w Elendel odkryłem, że zyskałem wśród ludzi reputację godną bohatera. Muszę Was zapewnić, drodzy czytelnicy, że jestem jedynie skromnym poszukiwaczem przygód i nie zasługuję na przesadne uwielbienie. To powiedziawszy, choć nigdy nie pragnąłem chwały[9], cenię swoją reputację. Dlatego, gdybym mógł usunąć z Waszych wspomnień obraz wywołany przez kolejny fragment mojej opowieści, z chęcią bym to zrobił.

Jednakże moim celem było zawsze przedstawienie Wam szczerzej i nieocenzurowanej relacji z moich podróży po Dzikiej. Uczciwość jest moją największą cnotą[10]. I dlatego napiszę prawdę o tym, co wydarzyło się później.

Ukląknę i zacząłem lizać ścianę.

Nie chciałem wyglądać głupio w Waszych oczach, drodzy czytelnicy[11], ale, by przeżyć w Dzikiej, człowiek musi być gotów wykorzystać okazję. Zrobiłem to. Językiem.

Uzyskałem w ten sposób bardzo niewiele cyny do spalania, dość jednak, by na chwilę wzmocnić zmysły[12]. Wykorzystałem ten moment, by wyteńczyć słuch z nadzieją na wskazówkę, jak wydostać się z tej opresji.

Wspomagany mi cyną uszami zarejestrowałem dwa różne odgłosy. Po pierwsze, plusk wody.

Wyrzależem z jaskini i zobaczyłem, że skały poniżej ukrywają nieduży strumień, którego wcześniej nie widziałem. Drugim dźwiękiem, jaki usłyszałem, było dziwne drapanie, jakby pazurów o gałąź. Podniosłem z nadzieją wzrok i zobaczyłem wronę usadowioną na kępie chwastów wyrastających ze skalnej ściany. Czy to możliwe?

– Doskonała robota! – wykrzyknęła wrona swym nieludzkim głosem. – Znalazłeś metal nawet w swoim więzieniu, Jak. Ocalałego cieszy twoja pomysłowość.

To była ona. Lyndip, moja duchowa przewodniczka zesłana mi przez Ocalałego w najtrudniejszych chwilach[13]. Od dawna przypuszczałem, że jest jednym z Bezimiennych Nieśmiertelnych[14], którzy wedle legend mogą zmieniać kształt i przybierać postać zwierząt.

– Lyndip! – wykrzyknąłem. – Czy panna Dramali ma się dobrze? Kolossy jej nie skrzywdziły?

– Nie zrobiły tego, dzielny poszukiwaczu przygód. Ale została przez nich pojmana i jest uwięziona. Musisz uciec, i to szybko, gdyż inaczej czeka ją straszny los.

– Ale jak mam uciec?!

– Nie mogę podać ci sposobu. Jestem przewodnikiem, ale nie mogę rozwiązywać problemów bohatera za niego. To niepodobne do Ocalałego, który uważa, że każdy człowiek musi znaleźć swoją drogę[15].

– Dobrze. Ale powiedz mi, przewodniczko, dlaczego znów zostałem uwięziony? Czyż nie zdobyłem lojalności klanu kolosów, czyż nie byłem ich królem? Pokonałem tego, który rzucił mi wyzwanie!

Jestem pewien, że przemawiała przeze mnie frustracja, i mam nadzieję, drodzy czytelnicy, że nie pomyślicie o mnie gorzej ze względu na tak ostre słowa wypowiedziane do mojego duchowego przewodnika. Jednak nie tylko martwiłem się o bezpieczeństwo drogiej Elizandry, ale też zdruzgotała mnie utrata lojalności tego plemienia kolosów. Choć są dzikusami, wydawały się gotowe wyjawić mi swoje tajemnice – tajemnice, które bez wątpienia miały doprowadzić mnie do symbolu grotu włóczni, krwawych śladów stóp i Skarbu Ocalałego.

– Pewności nie mam, ale podejrzewam, że to dlatego, że użyłeś broni palnej, by zabić tego, który rzucił ci wyzwanie. Wcześniej, gdy zdobyłeś lojalność klanu, nie zastrzeżyłeś swojego rywala, ale odstraszyłeś go sposobem, w jaki wycelowaleś. Wiele klanów kolosów uważa zabijanie bronią palną na odległość za oznakę słabości, nie siły.

Bezlitosne bestie – zaiste dzikusy[16]. Rewolwer to najbardziej elegancka z broni, godna dżentelmena.

– Muszę uciec i ocalić uroczą Elizandrę – powiedziałem. – Przewodniczko, czy widziałas, jak dotarłem do tej jaskini, w której mnie więżą? Czy kolossy mają jakieś tajemne przejście i w ten sposób wciągnęły mnie na górę?

– Widziałam, o zuchwały. Ale prawda nie jest tym, co chciałbyś usłyszeć. Nie ma tajemnego przejścia... zostałeś tu wrzucony z dołu przez kilka kolosów[17].

– Na rdzę i Zniszczenie! – wykrzyknąłem.

Bez wątpienia bestie – ze strachu przed moją potężną bronią – umieściły mnie tu, bym zginął z głodu, gdyż gdyby zabiły mnie własnymi rękoma, ryzykowałyby gniew swoich bogów.

Musiałem się wydostać, i to szybko. Znów wyrzależem na zewnątrz i zauważyłem całkiem blisko burzowe chmury. Zacząłem się zastanawiać. Spojrzałem z góry na strumyczek szemrzący na dnie wąwozu. Jak zauważyłem wcześniej, ściany kanionu były wyjątkowo gładkie. Jakby... wytarte.

Tak! Dostrzegłem charakterystyczne linie na ścianach kanionu – pozostawione przez wodę, gdy rzeka była głęboka i zuchwała. Moja droga ucieczki wkrótce miała się pojawić! I w rzeczy samej, na równiny otaczające strumień w jego górnym biegu spadł deszcz, a woda wkrótce wpłynęła do kanionu i – ograniczona przez ciasne ściany – zaczęła się podnosić.

Czekałem nerwowo na właściwą chwilę, by wejść do rzeki, a czekając, mimo niepokoju znalazłem czas, by napisać do Was ten list. Schowałem go do specjalnej, wodoodpornej kieszeni moich wytrzymałych spodni, z nadzieją, że gdyby moje życie się skończyło, po odnalezieniu mego ciała, ten list jakimś sposobem dotrze do Was.

Kiedy deszcz zaczął padać w samym kanionie, wiedziałem, że już nie mogę czekać. Rzuciłem się do wody[18].

Moi drodzy czytelnicy, ufam, że ta wiadomość znajduje Was w dobrym zdrowiu. Jak możecie sobie przypomnieć, wiadomość z ostatniego tygodnia zakończyła się moim niebezpiecznym skokiem w wodną czeluść. Byłem pewien, że nadszedł mój czas, ale z niejakim zadowoleniem mogę stwierdzić, że przeżyłem. Jedynie „niejakim” ze względu na wieści, jakie wkrótce muszę Wam przekazać. Jeśli musicie czytać dalej, pamiętajcie, że Was ostrzegałem: treść tego listu jest koszmarna i może wywołać skrępowanie – albo nawet mdłości – u co bardziej delikatnych i młodocianych spośród Was.

Rzeczywiście wyskoczyłem z więzienia jaskini prosto do wezbranej rzeki. Muszę surowo odradzić wszystkim czytelnikom tego rodzaju postępowanie, o ile nie znajdą się w naprawdę tragicznym położeniu. Wody wezbrane w czasie gwałtownej powodzi w Dzikim są niebezpieczne, pełne wirów i zabójczych skał. Gdyby pojawiła się inna możliwość, z pewnością bym ją wykorzystał.

Wody kłębiły się wokół mnie jak spłoszone stado. Całe szczęście miałem już doświadczenie w przeżywaniu w takiej kipieli[19].

Kluczem do przetrwania w takich wodach jest powstrzymanie się od walki. Należy płynąć z prądem, podobnie jak statek pozwala morzu, by go pociągnęło. Jednak nawet utrzymywanie się na powierzchni w takiej nawałnicy wymaga praktyki, szczęścia i siły woli.

Dzięki silnym ramionom omijałem najbardziej niebezpieczne ze skał i przetrwałem do chwili, gdy wody mojego niewielkiego dopływu połączyły się z szerszą Zjełczałą, największą rzeką w okolicy. Tutaj prądy były już słabsze i z pewnym trudem udało mi się dopłynąć do brzegu i oswobodzić.

Wyczerpany i wciąż oszołomiony po uderzeniu w głowę opadłem na brzeg rzeki. W tej samej chwili jednak uniosła mnie para silnych rąk.

Kolossy. Znowu zostałem pojmany.

Bestie odciągnęły mnie od ryczącej rzeki. Ociekałem wodą i pozostawiałem jej ślad w pyłe[20]. Nie walczyłem z prześladowcami. Było ich sześciu, kolosów średniej wielkości, ich niebieska skóra zaczynała się już napinać na ciałach, a nawet pękać z boku ust i wokół największych mięśni.

Nie odzywały się do mnie w swoim prymitywnym języku, a ja wiedziałem, że sześciu naraz nie pokonam. Nie bez rewolwerów i metalu. Uznałem, że lepiej będzie, jeśli pozwolę im zaciągnąć mnie tam, dokąd chcą. Może zamierzały uwięzić mnie z powrotem w jaskini.

Kolossy jednak zaniósł mnie do absurdalnego zagajnika ukrytego w niewielkiej skalistej dolinie. Nigdy wcześniej nie trafiłem do tego miejsca – w rzeczy samej, kolossy zawsze twierdziły, że to pustkowia. Więc skąd się tam wzięły drzewa?[21]

Drzewa ukrywały niewielką oazę na pustyni, miejsce, w którym woda wypełniała naturalną

sadzawkę. Uznałem to za interesujące, gdyż ważne wodopoje są zazwyczaj oznaczone na moich mapach.

Kolossy pociągnęły mnie obok drzew i wokół wodopoju, który okazał się bardzo głęboki – tak głęboki, że woda w jego głębi miała niebieski odcień i nie widziałem dna. Jego ściany były kamienne, a ja z zaskoczeniem uświadomiłem sobie, że sadzawka ma kształt przypominający nieco grot włóczni.

Czy to możliwe? Miejsce ukrycia Skarbu Ocalałego? Czy w końcu je odnalazłem?[22]

Jeśli ktoś dużo podróżuje w Dzikim, orientuje się, że woda czasami odkrywa prawdziwy kolor skał. W mieście, w którym mieszka wielu z Was, moi drodzy czytelnicy, jest inaczej, gdyż kamienie pokrywa warstwa brudu i sadzy. Ale tu ziemia jest czysta i świeża. Woda ściekająca z mojego ciała na kamienie ukazała wzór przypominający nieco odciski stóp prowadzące do sadzawki w oazie.

O to chodziło! Choć nie były to prawdziwe odciski stóp, domyślałem się, że zmęczony podróżnik – dotarłszy do tego miejsca – mógł je za nie uznać. Wymyślona opowieść o Ocalałym we własnej osobie – krwawiącym z rany zadanej włócznią i zatrzymującym się tu, by się napić – miała sens.

Okolicę zdobiły wzory tatuaży kolosów wyrzeźbione w skałach, a niektóre pnie drzew owinięto skórą. To było bez wątplenia ich święte miejsce, co wyjaśniało zarówno dlaczego nigdy nie słyszałem o tej oazie, jak i dlaczego w tej okolicy ginęli ludzie. Każdy, kto przypadkiem trafił do tego miejsca, ginął, gdyż zobaczył coś, czego widzieć nie powinien.

Jaka mogła czekać mnie przyszłość, jeśli sprowadziły mnie tutaj?[23]

Rzecz jasna, było tam więcej kolosów. Niektóre tak starożytne, że całkowicie wyrosły ze swojej skóry. Siedziały owinięte garbowanymi zwierzęcymi skórami, by powstrzymać powolne sączenie się krwi z ciała. Jeśli nigdy nie widzieliście starożytnego kolossa, uważajcie się za szczęściarzy. Ich ogromowi dorównuje jedynie dziwaczność ich twarzy, pozbawionych nosów i warg, z wybałuszonymi oczami pośród czerwonego mięsa. Większość kolosów przed osiągnięciem tego stanu umiera na atak serca. Te będą rosnąć dalej, nawet po utracie skóry, aż ich również dosięgnie ten los.

W starożytności takie stworzenia zabijano. W dzisiejszych czasach stare kolossy darzy się szacunkiem – tak w każdym razie słyszałem[24]. Podejrzewam, że miejsca, w których wszystkie plemiona trzymają swoich starszych, są równie święte jak to.

Strażnicy upuścili mnie przed starożytnymi. Ostrożnie podniosłem się na kolana.

– Przybyłeś – powiedział jeden ze starożytnych.

– Nie jesteś człowiekiem – powiedział drugi.

– Pokonałeś naszego przywódcę i zabiłeś wszystkich, którzy rzucili ci wyzwanie – powiedział trzeci.

– Co ze mną zrobicie? – spytałem, zmuszając się do wstania. Choć byłem przemoczony i oszołomiony, zamierzałem stanąć twarzą twarz z losem[25].

– Zostaniesz zabity – powiedział jeden.

– Stanie się tak zgodnie z wolą córki tego, który rzucił ci wyzwanie – powiedział drugi.

– Musisz do nas dołączyć – powiedział kolejny.

– Dołączyć do was? Jak?

– Wszystkie kolossy były kiedyś ludźmi – stwierdził jeden ze starożytnych.

Słyszałem takie stwierdzenia już wcześniej. I, drodzy czytelnicy, uświadomiam sobie, że dyskredytowałem je w Waszych oczach. Uważałem je za głupie i zmyślane.

Z ciężkim sercem muszę Wam powiedzieć, że się myliłem. Tak bardzo się myliłem. Poznałem

straszliwą prawdę. Starożytni mają rację.

Kolossy są ludźmi.

Proces jest koszmarny. Aby włączyć człowieka w swoje szeregi, biorą go i przebijają niewielkimi metalowymi kolcami. To doprowadza do mistycznego przeobrażenia, w czasie którego umysł i tożsamość człowieka zostają brutalnie osłabione. W końcu staje się równie tępy i prosty jak kolossy.

Kolossy się nie rodzą. Kolossy się tworzy. Ich barbarzyństwo istnieje wewnątrz nas wszystkich. Być może to właśnie próbował mi przekazać drogi Handerwym[26].

Powiedziały, że muszę do nich dołączyć. Czy tak miał wyglądać mój koniec? Miałem spędzić życie jako bestia w odległej wiosce, utracić umysł?[27]

– Mówiliście o córce tego, który rzucił mi wyzwanie – powiedziałem. – Kto to?

– Ja – usłyszałem łagodny, znajomy głos.

Odwróciłem się i ujrzałem Elizandrę Dramali wyłaniającą się zza drzew. Już nie miała sukienki, lecz owinięła się w skóry, które ledwie zakrywały jej najbardziej intymne części. Pełen opis jej figury byłby zbyt szokujący dla co bardziej wrażliwych z moich czytelników, więc się powstrzymam[28].

Wciąż nosiła okulary, a złociste włosy związała w zwyczajowy kucyk, ale jej skóra... jej skóra miała teraz niebieskawy odcień, którego nie widziałem nigdy wcześniej.

Elizandra, urocza Elizandra, miała w żyłach krew kolosów[29].

– To niemożliwe! – wykrzyknąłem, wpatrując się w moją piękną Elizandrę.

Kobietę, którą pokochałem i ceniłem ponad wszystkie. Kobietę, która jakimś sposobem przez ten cały czas ukrywała przede mną swoją prawdziwą naturę.

Elizandra miała w żyłach krew kolosów.

Żałuję, że muszę napisać te słowa, moi oddani czytelnicy. Ale są prawdziwe, tak prawdziwe, jak moje biedne krwawiące serce. Tak prawdziwe, jak atrament na tej kartce.

– Makijaż. – Elizandra skromnie spuściła wzrok. – Jak widzisz, niebieski odcień mojej skóry jest jasny w porównaniu z niektórymi innymi potomkami kolosów. Wykorzystanie pudrów i rękawiczek pozwoliło mi ukryć, kim naprawdę jestem.

– Ale twój umysł! – Podszedłem do niej. – Myślisz i masz rozum, w przeciwieństwie do tych bestii!
[30]

Wyciągnąłem do niej rękę, ale się zawahałem. Wszystko, co wiedziałem o tej kobiecie, było kłamstwem. A ona była potworem. Nie moją uroczą, cudowną arystokratką, tylko istotą z dziczy, mordercą i dzikusiem.

– Jak – powiedziała. – Nadal jestem sobą. Urodziłam się kolossem, ale nie przyjąłem przeobrażenia. Mój umysł jest równie sprawny, jak każdego człowieka. Proszę, mój drogi, zignoruj skórę i spójrz w moje serce[31].

Nie mogłem dłużej się opierać. Może i mnie okłamała, ale wciąż była moją Elizandrą. Objąłem ją i poczułem jej słodkie ciepło nawet w tej chwili dezorientacji.

– Jesteś w ogromnym niebezpieczeństwie, kochany – szepnęła mi do ucha. – Uczynią cię jednym z nich.

– Dlaczego?

– Odstraszyłeś ich wodza. I rządziłeś klanem mimo wyzwań, jakie ci stawiano. A w końcu zabiłeś ich największego bohatera. Moją matkę.

– To kobieta rzuciła mi wyzwanie?

– Oczywiście. Nie zauważyłeś?

Spojrzałem na zebrane kolosy, które nosiły przepaski biodrowe, ale zwykle nic poza tym. Jeśli istniał jakiś sposób na odróżnienie mężczyzn od kobiet poza... no... podglądaniem, nie znałem go. Właściwie wolałbym nie wiedzieć, że niektóre z nich były kobietami. Moje wysuszone, ogorzałe policzki rzadko się rumienia, gdyż rzeczy, które widziałem, zraniłyby Wasze delikatne umysły do żywego. Ale gdybym był zdolny się zarumienić, być może zrobiłbym to właśnie w tej chwili.

Spojrzałem na Elizandrę, która wciąż mnie obejmowała.

– W takim razie przykro mi, że ją zabiłem.

– Sama wybrała swoją drogę w życiu. A była to droga brutalności i mordów. Nie oplakuję jej, ale będę oplakiwać ciebie, jeśli zostaniesz do nich przyjęty, mój drogi. Mówią, że to moja wola, lecz z pewnością tak nie jest, jednak one nie chcą wysłuchać moich sprzeciwów[32].

– Dlaczego zostawiły mnie na śmierć w tej jaskini? – spytałem.

– To była próba. Ostatnie wyzwanie. Gdybyś nie uciekł, uwolniłyby cię po trzech dniach... ale że ci się udało, okazałeś się godny dołączenia do ich szeregów i zostania w pełni ich nowym wodzem. Ale w tym celu musisz poddać się przeobrażeniu! Stracisz większość swojej tożsamości i staniesz się jednym z nich, istotą kierującą się instynktem[33].

Musiałem więc uciec. Ten los byłby gorszy od śmierci – byłby śmiercią umysłu. Choć czułem wielki szacunek do tych dzikusów[34], kolosów, nie miałem zamiaru do nich dołączać.

– Skierowałaś mnie tutaj – uświadomiłem sobie, patrząc na Elizandrę. – Od kiedy znaleźliśmy cię w Dzikim, kierowałaś mnie w stronę tego plemienia. Wiedziałaś o tej sadzawce.

– Kiedy usłyszałam opis tego, czego szukasz, zaczęłam podejrzewać, że tu właśnie znajduje się skarb – odparła moja najsliczniejsza. – Ale nie byłam pewna. Nigdy nie odwiedziłam tej świętej sadzawki. Jak... kiedy cię przeobrażą, planują zrobić to samo ze mną, wbrew mojej woli. Opierałam się przez całe życie. Nie pozwoliłam, by odebrały mi umysł w młodości... teraz też na to nie pozwolę!

– Dość gadania! – powiedział jeden ze starszych. – Będziesz przeobrażony!

Inne kolosy zaczęły klaskać. Jeden ze starożytnych wyciągnął drżącą, zakrwawioną dłoń, na której trzymał garść małych kolców.

– Nie! – wykrzyknąłem. – Nie ma takiej potrzeby! Już jestem jednym z was!

Elizadra mocniej zacisnęła dłoń na moim ramieniu.

– Co? – szepnęła.

– To jedyny plan, jaki umiem wymyślić – odszepnąłem. Już głośniejszym głosem zadeklarowałem: — Jestem kolosem!

– Niemożliwe – powiedział jeden ze starożytnych.

– Nie jesteś niebieski – powiedział inny.

– Nie zachowujesz się jak koloss – powiedział trzeci.

– Zabiłem najsilniejszego z was! – ogłosiłem. – Jakiego jeszcze dowodu potrzebujecie! Czy zwyczajny człowiek byłby dość silny, by to zrobić?

– Broń palna – powiedział jeden ze starożytnych. – Nie trzeba siły, żeby jej użyć.

Na rdzę i Zniszczenie!

– Dobrze – ogłosiłem. – Udowodnię to w ostatniej próbie. Przyniosę wam skarb Ocalałego!

Kolossy umilkły. Ich klaskanie ucichło.

– Niemożliwe – powiedział jeden ze starożytnych. – Nawet najsilniejszym kolossom się nie udało.

– W takim razie, jeśli mnie się uda, będziecie wiedzieli, że mówiłem prawdę – powiedziałem tym bestiom.

Przygotowywałem się na pewną śmierć. Chciałbym móc Wam powiedzieć, że moje słowa zrodziły się z odwagi, ale tak naprawdę była to jedynie desperacja. Wypowiedziałam jedyne, co przyszło mi na myśl, jedyne, co mogło odwlec mój los.

Jeśli legendy były prawdziwe, skarb został ukryty „naprzeciwko nieba i tylko życie może go podnieść”. Naprzeciwko nieba musiało oznaczać na dnie sadzawki – tak głęboko, że go nie widziałem. Musiałbym zanurkować i wydobyć skarb.

– Niemożliwe – powiedział inny starożytny.

– Udowodnię, że to możliwe! – ogłosiłem.

– Jak! – Elizandra nadal trzymała dłoń na moim ramieniu. – Jesteś głupcem!

– Może i jestem głupcem, ale nie pozwolę, by uczyniono ze mnie kolossa.

Nagle przyciągnęła mnie do siebie i pocałowała. Niewiele w życiu może mną wstrząsnąć, drodzy czytelnicy, ale w tej chwili wydarzyło się niemożliwe. Czasami odnosiła się wobec mnie tak chłodno, że byłem pewien, iż moja sympatia jest nieodwzajemniona.

Ale ten pocałunek... ten pocałunek! Równie głęboki, jak sadzawka obok nas, równie prawdziwy, jak nauki samego Ocalałego. Potężny jak pocisk w locie i niewiarygodny jak trafienie w środek tarczy z tysiąca stóp. Jego namiętność ogrzała mnie, odpędzając chłód przemoczonych ubrań i strach drżącego serca.

Kiedy skończyła, zapłonął we mnie metal. Choć nie była Allomantką, włożyła do ust trochę cynowego pyłu i przekazała mi go w pocałunku!

Cofnąłem się, oszołomiony.

– Jesteś niesamowita – szepnąłem.

– A niech mnie, Jak – odszepnęła. – Choć raz powiedziałeś coś mądrego[35].

Kolossy znów zaczęły klaskać. Wybrałem największy kamień, jaki mogłem podnieść, odetchnąłem głęboko, wskoczyłem do sadzawki i pozwoliłem, by kamień pociągnął mnie w dół.

Studnia była głęboka. Niezgłębiona[36].

Wkrótce pochłoneła mnie ciemność. Drodzy czytelnicy, musicie wyobrazić sobie ten absolutny mrok, bo wątpię, bym mógł oddać mu sprawiedliwość. Pochłonięcie przez czerń samo w sobie jest zadziwiającym doświadczeniem, ale bycie w wodzie, kiedy światło gaśnie... takie doświadczenie jest niewiarygodnie przerażające. Nawet moje stalowe nerwy ustąpiły miejsca drzeniu, gdy opadałem w dół.

Poczułem straszliwy ból w uszach, ale nie wiem, czy jego przyczyną była moja rana. Opadałem przez całą wieczność, aż poczułem palenie w płucach i otępienie w umyśle. Niemal wypuściłem kamień.

Nie mogłem myśleć. Bałem się, że rana mnie pokona, i choć panował mrok, wiedziałem, że robi mi się ciemno przed oczami. Ciało mnie zawodziło, zaczynałem tracić przytomność. Wiedziałem, że zginę w tych głębinach.

W tej chwili pomyślałem o Elizadrze zmienionej w kolossa i tracącej tę błyskotliwość, którą tak mnie urzekła. Ta myśl dodała mi sił i rozjarzyłem cynę.

Jak już wspominałem, rozjarzona cyna rozjaśnia umysł. Nigdy wcześniej nie przyjąłem tego z takim zadowoleniem jak wtedy – te chwile przytomności wypędziły cię z mojego umysłu.

Czułem chłód wody, a ból głowy wydawał się niewiarygodny, ale żyłem.

Uderzyłem w dno. Nie puszczając kamienia, jedną ręką zacząłem gorączkowo macać dookoła. Płuca paliły mnie jak rozjarzone metale. Był tutaj?

Tak! Był. Coś kwadratowego i nienaturalnego, metalowa skrzynia. Kasa pancerna?

Próbowałem ją podnieść i udało mi się ją poruszyć, ale była ciężka jak mój kamień. Z konsternacją uświadomiłem sobie, że nigdy nie wyciągnę jej na powierzchnię. Moje ciało było zbyt słabe, nie byłbym w stanie płynąć z takim ciężarem.

Czy miałem ponieść porażkę? Gdybym wypłynął na powierzchnię bez skarbu, może po prostu kolosy by mnie zabiły, a może uczyniłyby mnie jednym z nich – tak czy inaczej, byłbym skończony.

Próbowałem znów podnieść skrzynkę, ale udało mi się przepłynąć zaledwie kilka stóp. Nie miałem powietrza, nie miałem siły. To bez sensu!

I wtedy przypomniałem sobie poemat. „Znajdziesz go naprzeciwko nieba i tylko życie go podniesie” [37].

Tylko życie. Co było życiem w tym miejscu?

Powietrze.

Obmacałem boki skrzynki i znalazłem zasuwę, która uwolniła jakiś przedmiot. Wydawał się skórzasty jak bukłak. Odetchnąłem do niego, wypuszczając całe powietrze z płuc, powietrze, które już nie podtrzymywało mnie przy życiu, ale wciąż mogło mi posłużyć [38]. Wtedy odepchnąłem się od dna pozbawiony metalu i powietrza.

Wieczność.

Przebiłem powierzchnię sadzawki w chwili, gdy znów zaczęło mi się robić ciemno przed oczami. Widziałem jedynie błysk światła, nim ciemność znów mnie pochłonęła, ale delikatne ręce chwyciły mnie i wyciągnęły z wody, zanim utonąłem. Poczułem zapach perfum Elizandry, a gdy odzyskałem wzrok, zobaczyłem jej zatroskaną twarz. Leżałem z głową na jej kolanach, a widok jej skórzanego stroju od dołu nie był szczególnie przyzwoity, ale też nie pozostał niedoceniony.

– Ty głupcze – szepnęła, kiedy się przetoczyłem i wykaszałem wodę z płuc.

– Nie powiodło mu się! – wykrzyknęli starsi kolosów.

I wtedy właśnie coś wzniosło się na powierzchnię sadzawki – wyglądało jak napęczniony pęcherz, może owczy. Sięgnąłem do wody i wyciągnąłem skrzynkę, która unosiła się pod nim [39].

Kolossy tłoczyły się wokół nas, kiedy ukląknęłam obok skrzynki i sięgnąłem do zamka. Elizandra wyjęła klucz, który znaleźliśmy w kamieniolomach Wira, a on pasował idealnie. Z trzaskiem odkłuczyłem [40] skrzynię i podniosłem wieko.

Wewnątrz były kolce.

Okrzyki kolosów z początku mnie zmartwiły, ale okazały się okrzykami radości. Spojrzałem zdezorientowany na Elizandrę.

– Nowe kolce. Bardzo wiele. Dzięki nim plemię będzie mogło urosnąć. Moje plemię przegrywało wojny z sąsiadami, zawsze było najmniejsze w okolicy. Dzięki temu będzie znacznie liczniejsze. To dla nich prawdziwy skarb.

Usiadłem na piętach. Muszę się Wam przyznać, drodzy czytelnicy, do pewnego rozczarowania. Nie

podróżuję w poszukiwaniu bogactw, ale dla radości odkrycia i możliwości podzielenia się z Wami opowieściami – jednak mimo wszystko to nie był skarb, który miałem nadzieję odkryć. Garść małych kolców? Tego szukałem całymi miesiącami? To było legendarne bogactwo pozostawione przez samego Ocalałego?

– Nie rób takiej ponurej miny, mój drogi. – Elizandra wyrzuciła kolce ze skrzynki, by mogli je zabrać starożytni. Cofnęła się razem ze mną, kiedy zebrali się wokół nich. Wydawało się, że w podnieceniu wszyscy zupełnie zapomnieli o naszej dwójce. – Wygląda na to, że odzyskaliśmy życie.

I w rzeczy samej, kolosy nie powstrzymały nas, kiedy uciekaliśmy. Szybko opuściliśmy niedużą oazę, kierując się w stronę rzeki i – jak mieliśmy nadzieję – reszty naszej karawany[41].

Nadal czułem się rozczarowany. I wtedy coś zauważyłem. Skrzynka, którą niosła Elizandra, nie wydawała się bardzo zniszczona po ponad trzech stuleciach pod wodą. Gestem poprosiłem towarzyszkę, żeby podała mi skrzynkę, a kiedy przetałem wieko, zamrugąłem zaskoczony.

– Co? – spytała, zatrzymując się.

Uśmiechnąłem się szeroko.

– Czyste aluminium, moja droga... warte wiele tysięcy. Jednak znaleźliśmy nasz skarb.

Zaśmiała się i obdarzyła mnie kolejnym pocałunkiem.

I tu właśnie, moi czytelnicy, muszę zakończyć relację z moich podróży w Czeluściach Eltanii. Skarb odnaleziony, nasze życie utracone – i odzyskane – i wypełniłem ostatnie życzenie drogiego Mikaffa.

To była moja najwspanialsza przygoda i sądzę, że odpocznę trochę przed kolejną wyprawą. Słyszałem o dziwnych światłach na południowym niebie, które muszą ukrywać kolejną tajemnicę.

A do tego czasu: niech żyje przygoda![42]

1 W rzeczy samej, taki był wynik odważnego – a być może ryzykanckiego – planu Jaka. Patrz: odcinek dwudziesty szósty. W tym momencie Jak od trzech odcinków był „królem” kolosów i przeżył najnowsze wyzwanie rzucone jego władzy, jednocześnie zbliżając się do tajemnic Skarbu Ocalałego.

2 Patrz: „Allomanta Jak i Maska Wieków”, odcinek czternasty. Tam Jak pisze jednak, że było to popiersie lorda Zrodzonego z Mgły. Można by się zastanawiać, czy Jak w ogóle czyta swoje relacje po publikacji. Na moje szczęście wydaje się, że nie.

3 Można by się zastanawiać, dlaczego Jak czuł, że musi uciekać, skoro jeszcze nie odkrył, że jest uwięziony, i nie spróbował wyjść przez frontowy otwór jaskini. Jeśli to Was dręczy, czy mogę Wam przypomnieć ostatnie osiemnaście razy, kiedy Jak na początku odcinka budził się z bólem głowy? Za każdym okazywało się, że został w taki czy inny sposób uwięziony.

4 Jak pozostaje w całkowitej i błogiej nieświadomości najnowszych badań dotyczących kolosów, które wskazują, że bardzo rzadko (o ile w ogóle) wykorzystują ludzką skórę na trofea. W rzeczy samej, opowieści o zjadaniu przez nich ludzi są znacznie wyolbrzymione.

5 Spałem. To był bardzo długi dzień. Z pewnością martwiłbym się o niego, gdyby przyszło mi to na myśl. Ale łóżko, które zapewniły kolosy, okazało się zaskakująco wygodne.

6 Patrz: odcinek dwudziesty szósty i nasze odkrycie, że przysięgali nie robić krzywdy Terrisanom, jak również ich wyjaśnienie szacunku, z jakim byłem traktowany w czasie naszych przygód. Jest to kwestia, która wzbudziła we mnie pewne zainteresowanie.

7 Czy nie wspomniał przed chwilą whiskey, którą często pije w knajpie? Może złodziejskie meliny nie liczą się jako miejsca, w których wymagana jest jasność umysłu?

8 Tak, napisał to zdanie w taki sposób, że na przestrzeni jednej linijki stał się niewidzialny. Nie, nie pozwoli mi tego zmienić.

9 Eee...

10 Formalnie rzecz biorąc, to pewnie prawda.

11 Cóż, na to było za późno już po tomie pierwszym...

12 Przyznam się do zdrowego sceptycyzmu w kwestii opisanego przez Jaka epizodu z lizaniem ściany. Moje badania wskazują, że mało prawdopodobne jest znalezienie żyły czystej cyny odsłoniętej w taki sposób w naturalnej jaskini. Nawet znalezienie w tej okolicy kasyterytu, dość znaczącej rudy cyny, byłoby mało prawdopodobne – i najpewniej byłby Allomantycznie zbyt zanieczyszczony, by zadziałać. Ale Jak mówi prawdę o zgubionej torebce cyny. Znalazłem ją na ziemi w obozie po tym, jak został uwięziony po raz drugi, pełną i nieotwartą.

13 Patrz: ostatnie spotkanie z Lyndip w siódmym odcinku tej relacji. Powtórzę, co tam napisałem: nigdy nie widziałem tego rzekomo gadającego ptaka i nie mogę potwierdzić jego istnienia.

14 I nieważne, że Bezimienni Nieśmiertelni są mitologicznym stworami Ścieżki, nie religii Ocalitów. Jak nigdy nie przejmował się tym teologicznym pomieszaniem z poplątaniem.

15 Przypuszczam, że Jak przez ten cały czas majaczył na skutek uderzenia w głowę. Redagując ten tekst, wielokrotnie sam o tym marzyłem.

16 Kiedyś wspomniałem Jakowi, że moi rodacy, Terrisianie, byli swego czasu uważani za dzikusów – przynajmniej według relacji, jakie otrzymaliśmy od Harmonii. Położył mi rękę na ramieniu i powiedział: „Nic się nie stało. Jestem dumny, że mam dzikusa za przyjaciela”. Mówił to tak szczerze, że nie odważyłem się uświadomić mu, jak bardzo obelżywie zabrzmiały jego słowa.

17 Uważam to za naciągane, nawet jak na historię Jaka. Bardziej prawdopodobne, że kolosy opuściły go z góry.

18 Tak kończy się ten odcinek i zaczyna kolejny – i nie, nie wiem, jak napisał ostatni akapit po ukryciu listu w kieszeni spodni. Tak czy inaczej, wątpię, byście uwierzyli w śmierć Jaka, zwłaszcza że ten zbiór zawiera trzy odcinki, z których ten jest pierwszy. Jednak wielu z czytelników jego cotygodniowej korespondencji w gazetach rzeczywiście martwiło się, że to już koniec Jaka. Podobnie jak martwili się pod koniec pozostałych trzech setek odcinków. Często chciałbym odnaleźć tych ludzi, żeby odkryć, komu sprzedali zawartość swoich czaszek i za ile. Osobiście wolę czytelników zbiorów, takich jak ten. Uwaga, z jaką traktują moje osobiste przypisy, świadczy o ich doskonałym guście i intelekcie.

19 Patrz: „Allomanta Jak i Wody Grozy”, gdzie znajdziecie kilka równie mało prawdopodobnych sytuacji, w których Jak pływa w rwących strumieniach i bystrzynach. Zaczynam się zastanawiać, dlaczego takie niezwykle rzeczy nigdy nie dzieją się w mojej obecności.

20 Nie jestem pewien, co się stało z deszczem, który odegrał tak ważną rolę w jego ucieczce w poprzednim odcinku. Już o nim więcej nie wspomina.

21 „Więc” na początku zdania jest najmniejszym z problemów Jaka, wobec czego je pozostawiłem. Udało mi się jednak wyciąć z tej strony szesnaście nadmiarowych przecinków. Do tego wydaje się, że Jak sądzi, iż słowo „koloss” wygląda lepiej z wykrzyknikiem w samym środku, a ja jeszcze nie poznałem przyczyny. Dla własnego zdrowia umysłowego usunąłem je, choć obawiam się, że mogłem zrobić to zbyt późno.

22 Tak.

23 Choć opis tego miejsca autorstwa Jaka wydaje się zmyślony, widziałem je osobiście i muszę potwierdzić jego słowa. Wzory na skałach rzeczywiście wyglądają jak odciski stóp, a sadzawka ma kształt przypominający grot włóczni. Kolosy nie mówią o nich nikomu. Choć wydaje się to niewiarygodne, rzeczywiście znalazł miejsce ukrycia Skarbu Ocalałego. Uważam to za dowód, że Harmonia obserwuje nas wszystkich, gdyż jedynie bóstwo może być obdarzone tak okrutnym poczuciem humoru, by wielokrotnie pozwalać człowiekowi w rodzaju Jaka odnosić przypadkiem tak wielkie sukcesy.

24 Patrz: odcinek dwudziesty piąty tej relacji.

25 Albo, innymi słowy, „Nie mogłem od razu uciec, ale chciałem być gotów uciekać z krzykiem jak dziecko, kiedy tylko pojawi się

okazja. Dlatego wstałem”.

26 Właściwie nie. Ale akceptuję to. Musicie wiedzieć, że to, co mówi tu Jak, jest niestety prawdą. Widziałem ten proces na własne oczy, podobnie jak inni uczeni, i powszechnie uważa się taki opis tej praktyki za prawdziwy. Rzeczywiście próbowałem kilka razy wyjaśnić to Jakowi.

27 Nie jestem pewien, czy to możliwe. Przypominałoby to dzielenie przez zbiór miary zero.

28 Co oczywiście nie powstrzymało redaktorów gazety, w której ten odcinek pierwotnie się ukazał, przed zamieszczeniem szczegółowego szkicu tej sceny.

29 W pierwotnym wydaniu przedostatni odcinek kończył się w tym momencie, co – jak słyszałem – niemal doprowadziło do zamieszek i zmusiło gazetę do wydania następnego dnia specjalnego numeru, w którym znajdowało się zakończenie tej historii. Całe szczęście wysłaliśmy wszystkie trzy odcinki razem, w jednej przesyłce. Ciągle mnie zaskakuje, że ludzie tak bardzo interesują surowe relacje Jaka i nie chcą czekać na moje bardziej rozsądne wydanie opatrzone przypisami. Brak gustu większości społeczeństwa jest jednym z powodów, dla których opuściłem Elendel, by wędrować po Dzikim. Mogłem albo wyjechać, albo się zastrzelić, a moje przysięgi pacyfizmu nie pozwalają mi rozlewać krwi.

30 Badania udowodniły, że potomkowie kolosów nie są przeciętnie mniej inteligentni od zwykłych ludzi – choć oczywiście nie dotyczy to pełnych kolosów, które przyjęły przeobrażenie. Ani większości poszukiwaczy przygód.

31 Pokazałem tę scenę Elizandrze, a ona tylko się roześmiała. Myślcie o tym, co chcecie. Chciałbym jednak zauważyć, że kiedy to ja z nią o tym rozmawiałem, nie wyglądała na to, że aż tak wstydzi się swojego pochodzenia, choć rzeczywiście z początku je przed nami ukrywała.

32 Jeszcze więcej śmiechu. Jeśli znacie Zandrę, z pewnością sobie uświadamiacie, że każde zdanie, które nie zawiera trzech przekleństw – i uwagi na temat wątpliwego pochodzenia Jaka – nie mogło wyjść z jej ust. Ale rzeczywiście wydaje się, że darzy go sympatią. Z jakiegoś powodu.

33 Dla tych, którzy czują się zdezorientowani – w tym Jaka – to naprawdę jedyny sposób, by stać się pełnym kolosem. Ich dzieci rodzą się ze skórą w odcieniu od niebieskawego po cętkowany szary, ale nigdy tak niebieską, jak u pełnych kolosów. Te dzieci są ogólnie ludźmi, choć obdarzonymi wyjątkową sprawnością fizyczną. Po ukończeniu dwunastego roku życia każde dziecko dostaje możliwość dokonania pełnego przeobrażenia. Ci, którzy mu się nie poddadzą, muszą odejść i zamieszkać wśród ludzi. Na ile umiem to ocenić, wielu rzeczywiście odchodzi – ale równie wielu zwykłych ludzi, niezadowolonych z życia w miastach, dociera do plemion kolosów i dołącza do nich, przyjmując przeobrażenie. Później nie rozróżnia się, kto był pierwotnie człowiekiem, a kto miał w żyłach krew kolosów.

34 Rzecz jasna, nie dość wielki, by powstrzymać się przed nazywaniem ich dzikusami.

35 Wierzę, że to jedyny dokładny cytat z Elizandry w całej historii. Zwierzyła mi się, że zagroziła, iż postrzeli go w... no... męską tożsamość, jeśli nie uwzględni go w oficjalnej relacji.

36 Co oznacza dokładnie 18,3 sążnia. Wróciłem i zmierzyłem.

37 Tak, jestem świadom, że zacytowałem ten poemat w sześciu różnych miejscach w tej relacji i za każdym razem brzmiał odrobinę inaczej. Nie, nie pozwoli mi ich ujednoczyć.

38 Czytelnicy znający się na wyporności i ciśnieniu powinni się tu zatrzymać i nie próbować wyliczyć, co mogłoby osiągnąć w takich okolicznościach powietrze zawarte w jednym wydechu.

39 Można powiedzieć, że Jak przynajmniej raz nie zmarnował oddechu.

40 Ech.

41 Tak, o mnie zapomnieli.

42 I tak oto dotarliśmy do końca kolejnego tomu z przypisami. Jestem pewien, że wymagający, eleganccy i szacowni czytelnicy docenią moje wieloletnie wysiłki utrzymania Jaka przy życiu, choćby dlatego, że te zredagowane relacje zapewniają im rozrywkę podczas

długich zimowych wieczorów. Na razie żegnam. Jak obiecuje kolejne przygody i tajemnice, ale ja złożę bardziej skromną obietnicę. Zamierzam skłonić go do używania w listach właściwej interpunkcji, choć raz w życiu. Wierzę, że moje zadanie jest trudniejszym z tych dwóch.

Handerwym z Wewnętrznego Terris

17 hammondara 341 r.

POSTSCRIPTUM

To drugie opowiadanie napisane dla Crafty Games, które miało zostać opublikowane w dodatku do *Stopu prawa*.

Tym razem zastosowałem inne podejście. Ponieważ pierwsze było bardziej ekspozycją dla nowych czytelników, tym razem chciałem stworzyć coś głębokiego i interesującego dla fanów. Wydawało mi się, że zaintryguje ich sposób, w jaki powstają i żyją kolosy w drugiej erze Scadrialu.

Przed wielu laty mój brat Jordan przyszedł do mnie, gdyż zamierzał stworzyć słuchowisko radiowe jako podcast. Chciał, żebym pisał dla niego scenariusze, ale ja po prostu nie miałem czasu. (Z tego zrodziły się *Writing Excuses*, choć wydaje mi się, że Jordan w końcu poszedł do Dana Wellsa, by stworzyć kilka odcinków z przygotowanymi wcześniej scenariuszami). Reklamował mi to jako historię staromodnego poszukiwacza przygód/badacza. Choć nie napisałem scenariusza, przez wiele lat rozmyślałem o tym, co mógłbym stworzyć, gdybym miał czas.

I tak narodził się Allomanta Jak. Dżentelmen poszukiwacz przygód, przesadzony, jak ze starych groszowych magazynów. Jednak gdybym próbował stworzyć coś takiego i nic więcej, nic by z tego nie wyszło. W książkach z cyklu Wax i Wayne już opowiadałem historie, które były bardziej autentyczną ewolucją opowieści z groszowych magazynów, z dokładniejszymi charakterystykami bohaterów i mniejszą dozą melodramatyzmu.

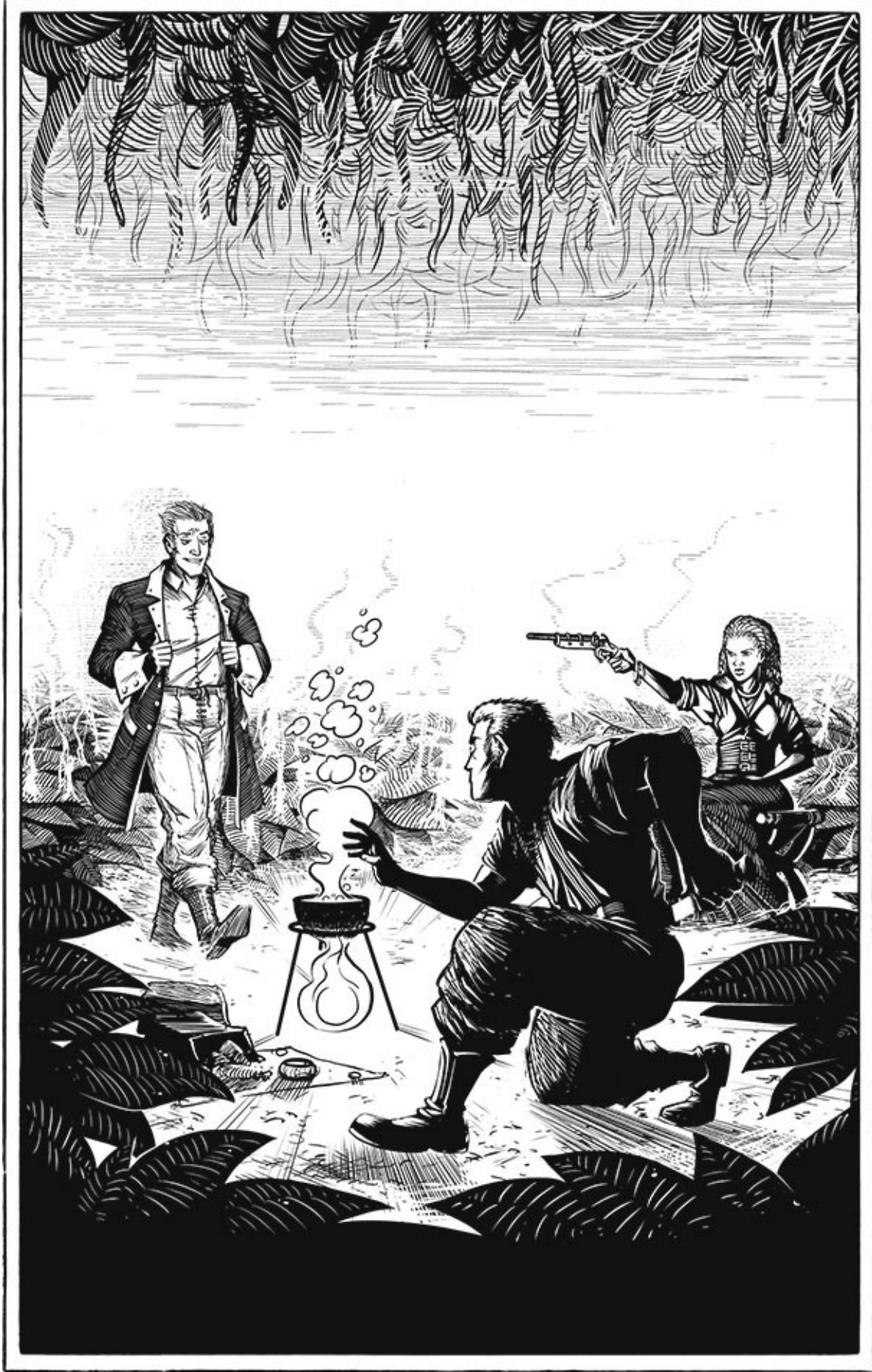
Jak musiał więc powstać na zasadzie kontrastu – by uwypuklić stare na tle nowego. Niezależnie od tego, czy jest wielkim samochwałą, jak to sugeruje jego „wierny sługa”, czy też raczej donkiszotowskim poszukiwaczem przygód obdarzonym bezbrzeżnym optymizmem, z założenia ma być w pewnym stopniu nieautentyczny. Jako kontrast dla Waxe, podobnie jak moglibyście przeciwstawić nowsze wcielenia Batmana staremu Batmanowi Adama Westa. (Pamiętajcie, że uwielbiam oba).

Na marginesie, tworzenie przypisów Handerwyma było jedną z najzabawniejszych rzeczy, jakie robiłem jako pisarz.

Z MGŁY ZRODZONY: TAJNA HISTORIA



Ta mikropowieść zawiera duże spoilery do oryginalnej trylogii *Z Mgły Zrodzony* i drobne spoilery do *Żałobnych Opasek*.



CZĘŚĆ PIERWSZA

IMPERIUM





I

Kelsier spalił Jedenasty Metal.

Nic się nie zmieniło. Wciąż stał na luthadelskim placu naprzeciwko Ostatniego Imperatora. Otaczała ich milcząca widownia, zarówno skaa, jak i szlachetnie urodzeni. Skrzypiące koło przewróconego wozu z więźniami powoli obracało się na wietrze. Głowa Inkwizytora, przybita do dna wozu, trzymała się na jego własnych kolcach.

Nic się nie zmieniło i wszystko się zmieniło. Oto bowiem przed Kelsierem stali dwaj mężczyźni.

Jeden był nieśmiertelnym imperatorem, który przez tysiąc lat władał światem – imponująca postać o kruczoczarnych włosach, z piersią przebitą dwiema włóczniami, których najwyraźniej nie zauważał. Towarzyszył mu mężczyzna o takich samych rysach twarzy – ale jednocześnie zupełnie inny. Nosił grube futra, a jego nos i policzki były zaczerwienione, jakby od zimna. Do tego miał splątane, rozczochrane włosy i przyjazny uśmiech na twarzy.

To był ten sam człowiek.

Czy mogę to wykorzystać? – myślał gorączkowo Kelsier.

Między nimi opadał czarny popiół. Ostatni Imperator spojrzał na Inkwizytora, którego Kelsier zabił.

– Trudno ich zastąpić – powiedział władcym głosem.

Ton ten kontrastował z mężczyzną obok niego – wędrowcem, górale, o twarzy Ostatniego Imperatora. Tym naprawdę jesteś, pomyślał Kelsier. Co niczego nie zmieniło. Kolejny dowód, że Jedenasty Metal nie był tym, na co kiedyś liczył Kelsier. Nie był magicznym rozwiązaniem prowadzącym do śmierci Ostatniego Imperatora. Musiał więc mieć nadzieję, że jego drugi plan się powiedzie.

I dlatego się uśmiechnął.

– Już raz cię zabiłem – stwierdził Ostatni Imperator.

– Próbowalesz. – Serce Kelsiera biło coraz szybciej. Drugi plan, tajny plan. – Ale nie możesz mnie zabić, tyranie. Jestem tym, czego nigdy nie udało ci się zabić, niezależnie od wysiłków. Jestem nadzieją.

Ostatni Imperator prychnął i od niechcienia uniósł rękę.

Kelsier przygotował się. Nie mógł walczyć z kimś, kto był nieśmiertelny. A przynajmniej nie za życia.

Wyprostuj się. Daj im coś, co zapamiętają.

Ostatni Imperator spoliczkował go. Ból uderzył w Kelsiera jak błyskawica. W tej chwili Kelsier

rozjarzył Jedenasty Metal i zobaczył coś nowego.

Ostatni Imperator stojący w komnacie – nie, w jaskini! Wszedł do świetlistej sadzawki, a świat wokół niego się poruszył, skały się kruszyły, jaskinia się przeobrażała, wszystko się zmieniło.

Wizja zniknęła.

Kelsier umarł.

Okazało się to o wiele bardziej bolesnym procesem, niż się spodziewał. Zamiast łagodnego przejścia w nicłość wypełniło go koszmarne uczucie rozrywania – jakby był kawałkiem tkaniny, którego dwa krańce trzymały w pyskach zajadłe ogary.

Krzyknął, rozpaczliwie próbując utrzymać się w jednym kawałku. Jego wola jednak nic nie znaczyła. Został rozerwany, rozszarpany i wrzucony w miejsce kłębiących się wiecznie mgieł.

Padł na kolana, sapnął, przepelniał go ból. Nie był pewien, na czym klęczy, gdyż wydawało mu się, że na dole są tylko mgły. Grunt falował jak płyn, a pod jego dotykiem wydawał się miękki.

Klęczał, cierpiąc, aż ból powoli zaczął zanikać. Wreszcie Kelsier otworzył zaciśnięte usta i jęknął.

Żył. W pewnym sensie.

Udało mu się podnieść wzrok. Wszędzie wokół niego kłębiła się ta sama gęsta szarość. Nicość? Nie, widział w niej kształty, cienie. Wzgórza? A wysoko na niebie jakieś światło. Może malutkie słońce, jakby widziane przez gęste szare chmury.

Kelsier odetchnął głęboko, warknął i podniósł się z trudem.

– Cóż – ogłosił – to było absolutnie koszmarne.

Wydawało się, że istnieje życie po życiu, co było przyjemnym odkryciem. Czy to znaczyło... czy to znaczyło, że Mare wciąż gdzieś tam była? Zawsze wypowiadał komunały, mówił innym, że pewnego dnia znów się z nią spotka. Ale w głębi duszy nigdy nie uwierzył, nigdy tak naprawdę nie sądził...

Koniec nie był końcem. Kelsier znów się uśmiechnął, tym razem był naprawdę podekscytowany. Odwrócił się i gdy obserwował otoczenie, odniósł wrażenie, że mgły się cofają. Nie, to raczej on nabrał materialności, gdy w pełni wkroczył w to miejsce. Odejście mgieł bardziej przypominało rozjaśnienie umysłu.

Mgły skupiały się, nabierały kształtów. To, co wcześniej uznał za wzgórza, było budynkami, niewyraźnymi i stworzonymi z poruszających się mgieł. Ziemia pod jego stopami również była mgłą, ogromną głębią, jakby stał na powierzchni oceanu. W dotyku była miękka jak tkanina i nawet lekko się ugiwała.

Obok leżał przewrócony wóz, ale tu był stworzony z mgieł. Mgły te kłębiły się i poruszały, ale wóz zachowywał postać. Zupełnie jakby mgła została uwięziona przez jakąś niewidoczną siłę i zmuszona do zachowania określonego kształtu. Co jeszcze bardziej zaskakujące, kraty wozu po tej stronie emanowały blaskiem. Wszędzie wokół niego pojawiły się również inne rozjarzone do białości światelka. Klamki. Zasuwy na oknach. Wszystkie elementy świata żywych miały odzwierciedlenie w tym miejscu, a choć większość rzeczy była mgłą, metal ukazywał się jako mocny blask.

Niektóre ze światelek się poruszały. Zmarszczywszy czoło, podszedł do jednego z nich i dopiero wtedy zorientował się, że wiele z tych światel było ludźmi. Widział każdego z nich jako mocny biały blask emanujący z ludzkiej postaci.

Metal i dusze są tym samym, zauważył. Kto by pomyślał?

Kiedy się rozejrzał, zrozumiał, co się dzieje w świecie żywych. Tysiące światelek poruszały się,

odchodziły. Tłum uciekał z placu. Potężny blask wewnątrz wysokiej postaci kroczył w inną stronę. Ostatni Imperator.

Kelsier próbował podążyć za nim, ale o coś się potknął. Mglista postać na ziemi przebita włócznią. Jego własny trup.

Dotknięcie go było jak przywołanie miłych, ciepłych wspomnień. Znajome zapachy z młodości. Głos jego matki. Leżenie na zboczu wzgórza z Mare i patrzenie na spadający popiół.

Te doświadczenia rozpraszały się i stawały zimne. Jedno ze światełek z masy uciekających – trudno było zauważyć jednostki, gdy wszyscy świecili – skierowało się w jego stronę. Z początku myślał, że być może ta osoba zobaczyła jego ducha. Ale nie, podbiegła do jego ciała i uklękła.

Teraz, kiedy była blisko, zobaczył rysy tej postaci, wyciętej z mgły i emanującej blaskiem z wnętrza.

– Och, dziecko – powiedział Kelsier. – Przepraszam.

Wyciągnął rękę i objął dłonią policzek Vin, gdy nad nim płakała. Czuł ją, była materialna pod dotykiem jego eterycznych palców. Wydawało się, że dziewczyna nie czuje jego dotyku, ale on sam miał wizję z realnego świata, jej policzków zalanych łzami.

Jego ostatnie słowa skierowane do niej były szorstkie, prawda? Może to dobrze, że nie mieli z Mare dzieci.

Z uciekających tłumów wyrwała się świetlista postać i odciągnęła Vin. Czy to był Ham? Na pewno, ten profil był charakterystyczny. Kelsier wstał i patrzył, jak się wycofują. Realizował plany. Może go za to znienawidzą.

– Pozwoliłeś, żeby cię zabił.

Kelsier odwrócił się na pięcie i z zaskoczeniem stwierdził, że ktoś obok niego stoi. Nie postać z mgieł, lecz mężczyzna w dziwnym stroju: długim do kostek cienkim wełnianym płaszczu, pod którym nosił sznurowaną koszulę i coś w rodzaju stożkowej spódnicy. Spódnicę podtrzymywał pas, za który zatknięto nóż z kościaną rękojeścią.

Mężczyzna był niski, miał czarne włosy i wydatny nos. W przeciwieństwie do innych ludzi – stworzonych ze światła – wyglądał normalnie, jak Kelsier. A skoro Kelsier nie żył, czy ten mężczyzna był kolejnym duchem?

– Kim jesteś? – spytał ostro.

– Sądzę, że wiesz.

Mężczyzna napotkał spojrzenie Kelsiera, a w jego oczach była wieczność. Spokojna, opanowana wieczność – wieczność skał, które widziały narodziny i śmierć pokoleń, albo spokojnych głębin, które nie zauważały kolejnych dni, bo i tak nigdy nie docierało do nich światło.

– A niech to. Naprawdę istnieje Bóg?

– Tak.

Kelsier uderzył go.

To był porządny, czysty cios pięścią, wymierzony z całej siły, z jednoczesnym uniesieniem drugiej ręki, by zablokować ripostę. Dox byłby z niego dumny.

Bóg nie próbował się uchylić. Cios Kelsiera trafił go prosto w twarz, aż rozległo się satysfakcjonujące łupnięcie. Uderzenie rzuciło Boga na ziemię, choć kiedy podniósł wzrok, wydawał się bardziej wstrząśnięty niż zbolaty.

Kelsier podszedł bliżej.

– Co jest z tobą nie tak? Jesteś prawdziwy i pozwalasz, żeby to się działo?

Wskazał gestem plac, na którym – ku jego przerażeniu – gasły światełka. Inkwizytorzy atakowali tłum.

– Robię, co mogę. – Powalona postać zniekształcała się, jej fragmenty się powiększały, jak mgła uciekająca z zamknięcia. – Ja robię... robię, co mogę. Widzisz, wszystko się zmienia. Ja...

Kelsier cofnął się o krok i otworzył szerzej oczy, gdy bóg rozpadł się, a później powrócił.

Wokół niego inne dusze przechodziły na drugą stronę. Ich ciała przestawały świecić, a później ich dusze wpadały do krainy mgieł – potykały się i upadały, jakby zostały wyrzucone z ciał. Kiedy docierali na miejsce, Kelsier zaczynał widzieć ich w kolorze. Ten sam człowiek – bóg – pojawiał się przy każdym z nich. Nagle otoczyło ich kilkanaście kopii jego osoby, z których każda była identyczna i każda rozmawiała z jednym z zabitych.

Wersja Boga w pobliżu Kelsiera podniosła się i rozmasowała szczękę.

– Nikt nigdy wcześniej tego nie zrobił.

– Poważnie?

– Tak. Dusze zwykle są zbyt zdezorientowane. Niektórzy jednak uciekają. – Spojrzał na Kelsiera.

Kelsier zacisnął pięści. Bóg cofnął się i – co zabawne – sięgnął po nóż u pasa.

Cóż, Kelsier nie zamierzał ponownie go zaatakować. Ale słyszał wyzwanie w tych słowach. Zamierzał uciekać? Oczywiście, że nie. Dokąd miałby uciec?

W pobliżu pechowa kobieta skaa wpadła w życie po życiu i niemal natychmiast się rozplynęła. Jej sylwetka rozciągnęła się, przeobrażając się w białą mgłę, która uniosła się w stronę odległego ciemnego punktu. Tak to w każdym razie wyglądało, choć punkt, który ją przyciągał, nie był tak naprawdę miejscem. Był... Poza. Czymś odległym, co zawsze znajdowało się naprzeciwko niego, niezależnie od tego, w którą stronę się obrócił.

Rozciągnęła się i zniknęła. Inne dusze na placu podążyły za nią.

Kelsier odwrócił się do Boga.

– Co się dzieje?

– Nie myślałeś, że to koniec, prawda? – Bóg objął świat cieni szerokim gestem. – To etap pośredni. Po śmierci, a przed...

– Przed czym?

– Przed Poza. Gdzie Indziej. Tam, dokąd muszą trafić dusze. Dokąd musi trafić twoja dusza.

– Jeszcze nie odszedłem.

– Allomantom zajmuje to więcej czasu, ale tak się stanie. To naturalny proces, jak strumień płynący do oceanu. Nie jestem tu, by do niego doprowadzić, ale by pocieszyć cię w trakcie. Postrzegam to jako swego rodzaju... obowiązek, który towarzyszy mojemu stanowisku.

Rozmasował bok twarzy i posłał Kelsierowi wściekłe spojrzenie, które wyraźnie pokazywało, co sądzi o sposobie, w jaki został przyjęty.

W pobliżu kolejna para ludzi rozplynęła się w wieczności. Wydawało się, że przyjmują ją z zadowoleniem, wkraczając w rozciągającą się nicość z pełnymi ulgi uśmiechami. Kelsier spojrział na te odchodzące dusze.

– Mare – szepnął.

– Odeszła Poza. Co czeka i ciebie.

Kelsier spojrział w stronę punktu Poza, punktu, który przyciągał wszystkich umarłych. I rzeczywiście poczuł słabe szarpanie.

Nie. Jeszcze nie.

– Potrzebujemy planu – stwierdził Kelsier.

– Planu?

– Jak mnie stąd wydostać. Mogę potrzebować twojej pomocy.

– Stąd nie ma wyjścia.

– Masz kiepskie podejście. Nic nam się nigdy nie uda, jeśli będziesz tak mówić.

Spojrzał na swoją rękę, która – co niepokojące – zaczynała się rozmywać, jak atrament na kartce, który ktoś przypadkiem roztarł, nim zdążył zaschnąć.

Zmusił się do ruszenia z miejsca. Nie zamierzał tak po prostu stać, gdy wieczność próbowała go wysssać.

– Niepewność jest naturalna – powiedział bóg, dołączając do niego. – Wielu czuje niepokój. Bądź spokojny. Ci, których zostawiłeś, znajdą swoją drogę, a ty...

– Tak, cudownie. Nie mam czasu na wykłady. Powiedz mi. Czy komukolwiek udało się oprzeć przed pociągnięciem Poza?

– Nie. – Postać Boga zapulsowała, rozpadła się i znów skupiła. – Już ci mówiłem.

A niech to, pomyślał Kelsier, on wygląda, jakby za chwilę sam miał się rozpaść.

Cóż, trzeba pracować z tym, co się ma.

– Musisz mieć jakieś pojęcie, czego mógłbym spróbować, Fuzz.

– Jak mnie nazwałeś?

– Fuzz. Jakoś muszę się do ciebie zwracać.

– Mógłbyś mówić „panie” – prychnął z oburzeniem Fuzz.

– To koszmarny przydomek dla członka szajki.

– Członka szajki...

– Potrzebuję ekipy. – Kelsier wciąż kroczył przez cienistą wersję Luthadel. – A jak widzisz, mam ograniczony wybór. Wolałbym Doxa, ale on musi zająć się człowiekiem, który utrzymuje, że jest tobą. Poza tym inicjacja do mojej obecnej drużyny jest zabójcza.

– Ale...

Kelsier odwrócił się i złapał niższego mężczyznę za ramiona. Jego ręce rozmywały się coraz bardziej, jak woda wciągana przez prąd niewidzialnego strumienia.

– Posłuchaj – powiedział Kelsier z naciskiem – powiedziałaś, że jesteś tu, by mnie uspokoić. Możesz zrobić to w taki właśnie sposób. Jeśli masz rację, to cokolwiek teraz zrobię, niczego nie zmieni. Czemu więc nie miałbyś mi ustąpić? Dać mi szansy na ostatni dreszczyk emocji, zanim stanę twarzą w twarz z ostatecznością.

Fuzz westchnął.

– Lepiej by było, gdybyś zaakceptował to, co się dzieje.

Kelsier spojrział mu w oczy. Kończył mu się czas – czuł, że ześlizguje się w stronę zapomnienia, odległego punktu nicości, ciemnej i niepoznanej. Mimo to patrzył mu w oczy. Jeśli ta istota zachowywała się choć trochę jak człowiek, którego przypominała, to patrzenie jej w oczy – spokojnie, z uśmiechem i pewnością siebie – zadziała. Fuzz się ugnie.

– Czyli jesteś nie tylko pierwszym, który mnie uderzył, ale też pierwszym, który próbował mnie zwerbować – stwierdził Fuzz. – Jesteś zdecydowanie dziwnym człowiekiem.

– Nie znasz moich przyjaciół. W porównaniu z nimi jestem normalny.

Ruszył ulicą, tylko po to, by nie stać w miejscu. Po bokach wznosiły się kamienice stworzone z kłębiącej się mgły. Wyglądały jak duchy budynków. Od czasu do czasu ziemię i budynki przesywała fala – błysk światła – burząc mgły.

– Nie wiem, co miałbym ci powiedzieć. – Fuzz szedł pośpiesznie obok niego. – Duchy, które przybywają do tego miejsca, są przyciągane Poza.

– Ale ty nie.

– Ja jestem jednym z bogów.

Jednym z bogów. Nie „Bogiem”. Warto zapamiętać.

– A co takiego w byciu jednym z bogów czyni cię niewrażliwym?

– Wszystko.

– Nie mogę przestać myśleć, że za mało z siebie dajesz w tej ekipie, Fuzz. Dalej. Współpracuj ze mną. Wspomniałeś, że Allomanci wytrzymują dłużej. Feruchemicy też?

– Tak.

– Ludzie z mocą.

Kelsier wskazał na odległe iglice Kredik Shaw. Tam właśnie skierował się Ostatni Imperator, w stronę swojego pałacu. Choć jego powóz znajdował się daleko, Kelsier wciąż widział blask jego duszy. O wiele jaśniejszy niż pozostałych.

– A co z nim? Powiedziałeś, że wszyscy muszą się ugiąć przed śmiercią, ale to nieprawda. On jest nieśmiertelny.

– On jest szczególnym przypadkiem. – Fuzz wyraźnie się ożywił. – Przede wszystkim znalazł sposób, żeby nie umierać.

– A gdyby umarł? – naciskał Kelsier. – Przetrwałby po tej stronie jeszcze dłużej niż ja, prawda?

– W rzeczy samej. Wstąpił, choć na krótki czas. Miał w sobie dość mocy, by rozwinąć swoją duszę.

Mam. Rozwinąć moją duszę.

– Ja... – Postać boga się rozmyła. – Ja... – Przechylił głowę. – Co ja mówiłem?

– O tym, jak Ostatni Imperator rozwinął swoją duszę.

– To było cudowne. Wspaniałe widowisko! A teraz jest Zachowany. Cieszę się, że nie znalazłeś sposobu, by go zniszczyć. Każdy umiera, ale nie on. To cudowne.

– Cudowne? – Kelsier miał ochotę splunąć. – On jest tyranem, Fuzz.

– Jest niezmienny. Wspaniały okaz. Niezwykły. Nie zgadzam się z tym, co robi, ale można przecież współczuć owcy, jednocześnie podziwiając lwa, czyż nie?

– Czemu go nie powstrzymasz? Jeśli nie zgadzasz się z tym, co robi, dlaczego jakoś temu nie zaradzisz?

– Spokojnie, spokojnie. To by było pochopne. Co byś osiągnął, gdybyś go usunął? W jego miejsce pojawiłby się kolejny przywódca, bardziej przejściowy... i doprowadziłby do większego chaosu i jeszcze większej liczby zabitych niż Ostatni Imperator. Stabilność jest lepsza. Tak. Stały przywódca.

Kelsier poczuł, że rozciąga się jeszcze bardziej. Wkrótce odejdzie. Jego nowe ciało najwyraźniej nie mogło się pocić, bo gdyby było to możliwe, czoło zalewałby mu pot.

- Może popatrzyłbyś z przyjemnością, jak ktoś inny to robi – zaproponował. – Rozwija swoją duszę.
- Niemożliwe. Moc Studni Wstąpienia zgromadzi się i będzie gotowa dopiero za ponad rok.
- Co?!

Studnia Wstąpienia?

Zagłębił się we wspomnieniach, próbując przypomnieć sobie, co Sazed opowiadał mu o religiach i wierzeniach. Zakres wiedzy o nich go przytłaczał. Bawił się w bunty i obalanie władzy, skupiając się na religii jedynie wtedy, gdy mogła przynieść mu korzyść – a przez cały czas w tle kryło się coś takiego. Ignorowane i niedostrzegane.

Czuł się jak dziecko.

Fuzz gadał dalej nieświadom przebudzenia Kelsiera.

– Ale nie, nie mógłbyś użyć Studni. Nie udało mi się go uwięzić. Wiedziałem, że tak się stanie, bo on jest silniejszy. Jego esencja wypływa w naturalnej postaci. Ciało stałe, płyn, gaz. Ze względu na to, jak stworzyliśmy świat. Miał plany. Ale czy one sięgają głębiej niż moje plany, czy też w końcu go przechytrzyłem...?

Fuzz znów się rozmył. Jego diatryba nie miała dla Kelsiera większego sensu. Czuł, że to coś ważnego, ale nie pilnego.

– Moc wraca do Studni Wstąpienia – powtórzył Kelsier.

Fuzz się zawahał.

– Hm. Tak. No, ale ona jest bardzo daleko. Tak, za daleko dla ciebie. Co za szkoda.

Bóg, jak się okazało, nie umiał kłamać.

Kelsier złapał go, a niski mężczyzna się skulił.

– Powiedz mi. Proszę. Czuję, że się rozciągam, upadam, jestem przyciągany. Proszę.

Fuzz wyrwał się z jego uścisku. Palce Kelsiera... a raczej palce jego duszy... nie działały już tak dobrze jak kiedyś.

– Nie. To niewłaściwe. Gdybyś jej dotknął, mógłbyś zwiększyć jego moc. Odejdiesz jak wszyscy pozostali.

Dobrze, pomyślał Kelsier. W takim razie niech będzie oszustwo.

Osunął się po ścianie widmowego budynku. Z westchnieniem usiadł plecami do ściany.

– W porządku.

– Widzisz! – powiedział Fuzz. – Lepiej. O wiele lepiej, prawda?

– Tak.

Wyglądało na to, że bóg się rozluźnia. Kelsier z pewnym zakłopotaniem zauważył, że bóg wciąż przecieka. Mgła wypływała z niego przez kilka malutkich punkcików, jak po ukłuciu szpilką. Ta istota była jak ranne zwierzę, spokojnie prowadzące swoje codzienne życie i ignorujące ślady ugryzień.

Pozostanie w bezruchu było trudne. Trudniejsze niż stawienie czoła Ostatniemu Imperatorowi. Kelsier chciał biegać, wrzeszczeć, szarpać się i ruszać. To uczucie przyciągania było koszmarne.

Jakimś sposobem udało mu się udać rozluźnienie.

– Zadałeś mi pytanie? – pytał takim tonem, jakby był bardzo zmęczony i z trudem wydobywał z siebie słowa. – Kiedy się tu pojawiłem?

– Och! Tak. Pozwoliłeś, żeby cię zabił. Nie spodziewałem się tego.

– Jesteś bogiem. Nie widzisz przyszłości?

– Do pewnego stopnia. – Fuzz wyraźnie się ożywił. – Ale jest zamglona. Taka zamglona. Zbyt wiele możliwości. Nie widziałem jej wśród nich wszystkich, choć pewnie tam była. Musisz mi powiedzieć. Dlaczego pozwoliłeś, żeby cię zabił? Pod koniec po prostu stałeś.

– I tak bym nie uciekł. Kiedy Ostatni Imperator przybył, nie było ucieczki. Musiałem stawić mu czoło.

– Nawet nie walczyłeś.

– Użyłem Jedenastego Metalu.

– Głupota. – Bóg zaczął spacerować. – Tak wpłynęło na ciebie Zniszczenie. Ale jaki w tym sens? Nie rozumiem, dlaczego chciał, żebyś zdobył ten bezużyteczny metal. – Uniósł głowę. – A ta walka. Ty i Inkwizytor. Tak, widziałem wiele rzeczy, ale to było nieporównywalne. Robiło wrażenie, choć wolałbym, żebyś nie doprowadził do takich zniszczeń, Kelsierze.

Znów zaczął spacerować, ale tym razem wydawało się, że jego kroki są bardziej sprężyste. Kelsier nie spodziewał się, że bóg będzie taki... ludzki. Pobudliwy, a nawet energiczny.

– Coś widziałem – powiedział Kelsier – kiedy Ostatni Imperator mnie zabijał. Osobę, jaką mógł kiedyś być. Jego przeszłość? Wersję jego przeszłości? Stał przy Studni Wstąpienia.

– Naprawdę? Hm. Tak, ten metal, rozjarzony w chwili przejścia. Zobaczyłeś Krainę Ducha? Jego Związek i przeszłość? Niestety korzystałeś z esencji Atiego. Nie można jej ufać, nawet w rozcieńczonej postaci. Chyba że...

Zmarszczył czoło i przechylił głowę, jakby próbował przypomnieć sobie coś, o czym zapomniał.

– Inny bóg – szepnął Kelsier, przymykając oczy. – Powiedziałeś... że go uwięziłeś?

– W końcu się uwolni. To nieuniknione. Ale więzienie nie jest moim ostatnim gambitem. Nie może nim być.

Może rzeczywiście powinienem się poddać, pomyślał sennie Kelsier.

– Już dobrze – powiedział bóg. – Żegnaj, Kelsierze. Służyłeś jemu częściej niż mnie, ale szanuję twoje intencje i twoją zadziwiającą zdolność, by się Zachować.

– Widziałem ją – szepnął Kelsier. – Jaskinię wysoko w górach. Studnię Wstąpienia...

– Tak. Tam ją umieściłem.

– Ale... on ją przeniósł...

– Naturalnie.

Co by zrobił Ostatni Imperator ze źródłem takiej mocy? Ukrył je gdzieś daleko?

A może trzymał bardzo, ale to bardzo blisko? Pod ręką. Czy Kelsier nie widział kiedyś futer, takich samych, jakie Ostatni Imperator miał na sobie w jego wizji? Widział je w komnacie, za plecami Inkwizytora. Budynek wewnątrz budynku ukryty w głębinach pałacu.

Kelsier otworzył oczy.

Fuzz odwrócił się gwałtownie w jego stronę.

– Co...

Kelsier podniósł się z trudem i ruszył biegiem. Nie pozostało wiele z jego tożsamości, jedynie zamglony obraz. Stopy, na których biegł, były rozmazanymi plamami, a jego postać rozciągniętym, rozpadającym się kawałkiem tkaniny. Z trudem znajdował oparcie na mglistym gruncie, a kiedy zatoczył się na budynek, przecisnął się przez niego, ściana nie była dla niego większą przeszkodą niż mocny przeciwny wiatr.

– Czyli jesteś jednym z tych, którzy uciekają. – Fuzz pojawił się u jego boku. – Kelsierze, dziecko, niczego nie osiągniesz. Choć pewnie po tobie nie powinienem się spodziewać niczego innego. Gorączkowa walka przeciwko przeznaczeniu aż do ostatniej chwili.

Kelsier ledwie słyszał te słowa. Skupiał się na biegu, na opieraniu się temu uściskowi ciągnącemu go do tyłu, w nicość. Uciekał przed samą śmiercią, która zaciskała na nim swoje chłodne palce.

Biec.

Skupić się.

Walczyć o istnienie.

Ucieczka przypominała mu inną okazję, kiedy wspinał się w Czeluściach, a jego ramiona krwawiły. Nie da się pojmać!

Jego przewodnikiem stało się pulsowanie, ta fala, która regularnie przenikała świat cieni. Szukał jej źródła. Przebijał się przez budynki, przecinał ulice, ignorując metal i dusze ludzi, aż dotarł do szarego mglistego zarysu Kredik Shaw, Wzgórza Tysiąca Wież.

Fuzz w końcu zaczął pojmować, co się dzieje.

– Ty k roku o cynkowym języku – powiedział bóg, bez trudu dotrzymując mu kroku, choć Kelsier biegł ze wszystkich sił. – Nie dotrzesz do niej na czas.

Znów biegł przez mgły. Ściany, ludzie, budynki, wszystko się rozplynęło. Nie było niczego poza ciemnymi, kłębiącymi się mgłami.

Mgły jednak nigdy nie były jego wrogiem.

Kierując się dudnieniem impulsów, Kelsier przeciskał się przez wirującą nicość, aż wybuchła przed nim kolumna światła. Była tam! Widział ją płonąca wśród mgieł. Niemal mógł jej dotknąć, niemal...

Tracił ją. Tracił siebie. Już nie mógł się poruszyć.

Coś go chwyciło.

– Proszę... – szepnął Kelsier, spadając, odpływając.

To niewłaściwe. Głos Fuzza.

– Chcesz zobaczyć coś... spektakularnego? – szepnął Kelsier. – Pozwól mi żyć. Pokażę ci... spektakularne.

Fuzz rozmył się, a Kelsier wyczuł wahanie bóstwa. Po nim nastąpiło poczucie celu, jak zapalona lampa, i śmiech.

Dobrze. Bądź Zachowany, Kelsierze. Ocalały.

Coś popchnęło go do przodu i Kelsier stopił się ze światłem.

Po chwili zamrugał i otworzył oczy. Wciąż leżał w świetle mgieł, ale jego ciało – a właściwie duch – odzyskało kształt. Leżał w sadzawce światła przypominającego płynny metal. Czuł wokół siebie jego ciepło, które dodawało mu energii.

Sadzawkę otaczała mglista jaskinia – wydawała się naturalna, choć nie umiał tego ocenić, bo po tej stronie składała się wyłącznie z mgły.

Przeszyło go pulsowanie.

– Moc. – Fuzz stał poza światłem. – Jesteś teraz jej częścią, Kelsierze.

– Tak. – Kelsier podniósł się, ociekając blaskiem. – Czuję, jak we mnie pulsuje.

– Jesteś uwięziony razem z nim. – W porównaniu z potężnym blaskiem, w którym stał Kelsier, Fuzz wydawał się płytki, słaby. – Ostrzegalem cię. To więzienie.

Kelsier usiadł i odetchnął głęboko.

– Żyję.

– Dla pewnej bardzo luźnej definicji tego słowa.

– Wystarczy – odparł Kelsier z uśmiechem.



2

Nieśmiertelność okazała się o wiele bardziej frustrująca, niż Kelsier się spodziewał.

Oczywiście nie wiedział, czy naprawdę jest nieśmiertelny. Jego serce nie biło – co wytrącało go z równowagi jedynie, kiedy to zauważał – i nie musiał oddychać. Ale kto mógłby ocenić, czy w tym miejscu jego dusza się starzała?

W godzinach po ocaleniu Kelsier badał swój nowy dom. Bóg miał rację, to było więzienie. Sadzawka, w której przebywał, była pośrodku głębsza i wypełniało ją płynne światło sprawiające wrażenie odzwierciedlenia czegoś bardziej... potężnego po drugiej stronie.

Całe szczęście, choć Studnia nie była duża, jedynie w samym środku blask sięgał mu powyżej głowy. Mógł się trzymać bliżej krawędzi zanurzony w świetle jedynie do pasa. Było rzadkie, rzadsze od wody, i nie ograniczało mu ruchów.

Mógł też wyjść z sadzawki i towarzyszącej jej kolumny światła i usiąść na kamiennym obramowaniu. Wszystko w jaskini było stworzone z mgły, choć krawędzie Studni... Wydawało mu się, że w tym miejscu widzi skały wyraźniej, pełniej. Miały ślady koloru. Jakby to miejsce było częściowo duchem – jak on sam.

Mógł siedzieć na obramowaniu Studni i machać nogami w świetle. Ale jeśli próbował zbyt oddalić się od Studni, mgliste pasma tej samej mocy ciągnęły się za nim i powstrzymywały go jak łańcuchy. Pozwalały mu odejść na odległość zaledwie kilku stóp od sadzawki. Próbował się natężyć, pchać, biec i wyskakiwać na zewnątrz, ale nic nie działało. Za każdym razem, kiedy oddalił się na kilka stóp, zatrzymywał się gwałtownie.

Poświęciwszy kilkanaście godzin na próby wyzwolenia się, Kelsier osunął się z boku Studni. Czuł się... wyczerpany? Czy to w ogóle właściwe słowo? Nie miał ciała i żadnych typowych objawów zmęczenia. Ani bólu głowy, ani napięcia mięśni. Mimo to czuł się znużony. Zużyty jak stary sztandar, który łopotał na wietrze podczas zbyt wielu ulew.

Rozluźniwszy mięśnie, rozejrzał się uważnie po okolicy. Fuzz odszedł – wkrótce po Zachowaniu Kelsiera coś go rozproszyło i zniknął. Kelsierowi pozostała jaskinia stworzona z cieni, sadzawka blasku i kolumny wznoszące się w komnacie. Po drugiej stronie widział błyszczące kawałki metalu, ale nie miał pojęcia, czym są.

Taka była suma jego istnienia. Czy właśnie zamknął się na wieczność w tym ciasnym więzieniu? Wydawało mu się ostateczną ironią losu, że oszukał śmierć jedynie po to, by skazać się na o wiele gorszy los.

Co by się stało z jego umysłem, gdyby spędził tu kilka dziesięcioleci? Kilka stuleci?

Siedział na krawędzi Studni i próbował skierować myśli na przyjaciół. W chwili śmierci wierzył w swoje plany, ale teraz widział wiele luk w planie wywołania buntu. A jeśli skaa nie powstaną? A jeśli przygotowane przez niego zapasy nie wystarczą?

Nawet gdyby wszystko się powiodło, tak wiele spoczywało na ramionach kilku bardzo źle przygotowanych mężczyzn. I jednej wyjątkowej młodej kobiety.

Jego uwagę przyciągnęły światła. Poderwał się na równe nogi uradowany tą odmianą. W świecie żywych grupa postaci, które widział jako świetliste zarysy duszy, wkroczyła do tej komnaty. Było w nich coś dziwnego. Ich oczy...

Inkwizytorzy.

Kelsier próbował się nie wzdrygnąć, choć wszystkie instynkty kazały mu się bać tych istot. Pokonał jednego z nich. Nie zamierzał się ich więcej bać. Dlatego jedynie spacerował po swoim więzieniu, próbując zorientować się, co trzej Inkwizytorzy ciągną w jego stronę. Coś dużego i ciężkiego, ale pozbawionego blasku.

Ciało, uświadomił sobie. Bezgłowe.

Czy to ten, którego zabił? Tak, na pewno. Kolejny Inkwizytor z szacunkiem niósł kolce zabitego, całą stertę, wszystkie umieszczone w dużym słoju z jakimś płynem. Kelsier zmrużył oczy i zrobił krok poza więzienie, próbując ocenić, co właściwie widzi.

– Krew – powiedział Fuzz, który nagle zmaterializował się obok niego. – Przechowują kolce we krwi do chwili, gdy mogą zostać ponownie wykorzystane. W ten sposób zapobiegają utracie ich skuteczności.

– Hm. – Kelsier zrobił krok w bok, kiedy Inkwizytorzy wrzucili do Studni ciało, a później głowę. Obie części się rozpląnęły. – Często to robią?

– Za każdym razem, kiedy ginie jeden z nich. Wątpię, by wiedzieli, co właściwie robią. Wrzucenie trupa do tej sadzawki nie jest bynajmniej bez znaczenia.

Inkwizytorzy odeszli z kolecami zabitego. Oceniając po ich skulonych sylwetkach, cztery stwory były wyczerpane.

– Mój plan. – Kelsier spojrzał na Fuzza. – Jak się rozwija? Moja ekipa powinna już odkryć magazyn. Mieszkańcy miasta... czy się udało? Czy skaa są rozgniewani?

– Hm?

– Rewolucja, plan. – Kelsier ruszył w jego stronę.

Bóg przesunął się do tyłu, by znaleźć się tuż poza zasięgiem Kelsiera, i sięgnął do noża u pasa. Może tamto uderzenie pięścią było kiepskim pomysłem.

– Fuzz, posłuchaj. Musisz ich popchnąć. Nigdy nie będziemy mieli lepszej szansy, by go obalić.

– Plan... – Fuzz rozproszył się na chwilę, zaraz jednak powrócił. – Tak, był plan. Ja... pamiętam, że miałem plan. Kiedy byłem bystrzejszy.

– Plan polega na tym, żeby skłonić skaa do buntu. Nieważne, jak potężny jest Ostatni Imperator, nieważne, że jest nieśmiertelny, jeśli zakujemy go w łańcuchy.

Fuzz przytaknął w zamyśleniu.

– Fuzz?

Bóg zadrżał i spojrzał w stronę Kelsiera. Boki jego głowy rozpadały się powoli – jak przetarty dywan, każda kolejna nić odrywała się i znikwała w nicości.

– Wiesz, on mnie zabija. Chce, żebym zniknął przed kolejnym cyklem... może uda mi się wytrzymać. Posłuchaj mnie, Zniszczenie! Jeszcze nie jestem martwy. Nadal... nadal jestem tutaj...

A niech to, pomyślał Kelsier. Zrobiło mu się zimno. Boga ogarnia szaleństwo.

Fuzz zaczął spacerować.

– Wiem, że słuchasz, zmieniasz to, co piszę, co napisałem. Sprawiasz, że nasza religia dotyczy tylko ciebie. Oni już właściwie nie pamiętają prawdy. Jak zawsze robisz to misternie, ty robaku.

– Fuzz. Czy mógłbyś po prostu pójść...

– Potrzebowałem znaku – szepnął Fuzz, zatrzymując się w pobliżu Kelsiera. – Czegoś, czego on nie mógł zmienić. Znaku broni, którą zakopałem. Sądzę, że to temperatura wrzenia wody. A może zamarzania? A jeśli przez lata zmieniają się jednostki? Potrzebowałem czegoś, co zostanie zapamiętane na zawsze. Czegoś, co od razu rozpoznają. – Pochylił się. – Szesnaście.

– Szes... naście?

– Szesnaście. – Fuzz uśmiechnął się szeroko. – Sprytnie, co nie?

– Ponieważ to znaczy...

– Liczba metali. W Allomancji.

– Jest ich dziesięć. Jedenaście, jeśli doliczysz ten, który odkryłem.

– Nie! Nie, nie, to głupota. Szesnaście. Liczba doskonała. Zrozumieją. Muszą zrozumieć.

Fuzz znów zaczął spacerować, a jego głowa powróciła – w większości – do poprzedniego stanu.

Kelsier usiadł na krawędzi więzienia. Zachowanie boga było bardziej nieobliczalne niż wcześniej.

Czy coś się zmieniło, czy też – jak ludzie cierpiący na schorzenia umysłu – bóg po prostu czasem czuł się lepiej, a czasem gorzej?

Fuzz gwałtownie uniósł głowę. Skrzywił się i zwrócił wzrok w stronę sklepienia, jakby zaraz miało na niego spaść. Otworzył usta i poruszył nimi, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Co... – powiedział w końcu. – Coś ty zrobił?

Kelsier wstał.

– Coś ty zrobił?! – wykrzyknął Fuzz.

Kelsier uśmiechnął się.

– Nadzieja – powiedział cicho. – Miałem nadzieję.

– Był doskonały. On był... jedynym z was... który...

Nagle obrócił się i spojrzał na cienistą komnatę poza więzieniem Kelsiera.

Na jej drugim końcu ktoś stał. Wysoka, władcza postać, nie stworzona ze światła. Znajome szaty, czarne i białe, kontrastowe.

Ostatni Imperator. A przynajmniej jego dusza.

Kelsier wszedł na kamienne obramowanie sadzawki i czekał na Ostatniego Imperatora, który kroczył w stronę światła Studni. Na widok Kelsiera zatrzymał się.

– Zabiłem cię – powiedział Ostatni Imperator. – Dwa razy. A jednak żyjesz.

– Tak. Wszyscy wiemy, jak uderzająco niekompetentny jesteś. Cieszę się, że sam zaczynasz to dostrzegać. To pierwszy krok do zmiany.

Ostatni Imperator prychnął i rozejrzał się po komnacie. Przesunął wzrokiem po Fuzzie, ale nie zwrócił na niego większej uwagi.

Kelsiera wypełniało uniesienie. Zrobiła to. Ona naprawdę to zrobiła. Jak? Jaką tajemnicę przegapił?

– Ten uśmiech – powiedział Ostatni Imperator do Kelsiera – jest nieznośny. Ja cię naprawdę zabiłem.

– A ja odpowiedziałem pięknym za nadobne.

– Ty mnie nie zabiłeś, Ocalały.

– Wykułem ostrze, które to zrobiło.

Fuzz odchrząknął.

– Moim obowiązkiem jest towarzyszyć ci przy przejściu. Nie martw się ani...

– Zamilcz. – Ostatni Imperator rozejrzał się po więzieniu Kelsiera. – Wiesz, co zrobiłeś, Ocalały?

– Zwyciężyłem.

– Sprowadziłeś na ten świat Zniszczenie. Jesteś pionkiem. Taki dumny, jak żołnierz na polu bitwy, przekonany, że panuje nad swoim przeznaczeniem... ignorując tysiące stojące w szeregach. – Pokręcił głową. – Został tylko rok. Tak blisko. Znowu bym wykupił tę niegodną planetę.

– To tylko... – Fuzz przełknął ślinę. – Etap przejściowy. Po śmierci a przed Gdzie Indziej. Dokąd muszą udać się dusze. Dokąd musi się udać twoja dusza, Rasheku.

Rashek? Kelsier znowu spojrzał na Ostatniego Imperatora. Terrisan nie dało się rozpoznać po kolorze skóry, choć wielu ludzi popełniało ten błąd. Niektórzy Terrisanie mieli jasną skórę, a inni ciemną. Mimo to sądziłby...

Komnata pełna futer. Ten mężczyzna na zimnie.

Idiota. O to właśnie chodziło.

– To wszystko było kłamstwem – powiedział Kelsier. – Sztuczką. Twoja legendarna nieśmiertelność? Twoje uzdrawianie? Feruchemia. Ale jak zostałeś Allomantą?

Ostatni Imperator podszedł do kolumny światła i obaj patrzyli sobie w oczy. Jak za życia na placu powyżej.

I wtedy Ostatni Imperator włożył dłoń w światło.

Kelsier zacisnął zęby, a w jego głowie pojawiły się nagle przerażające obrazy wieczności spędzonej w towarzystwie człowieka, który zabił Mare. Ostatni Imperator wyciągnął rękę, blask spływał z niej jak melasa. Obrócił dłoń i wpatrzył się w światło, które w końcu przygasło.

– I co teraz? – spytał Kelsier. – Zostajesz tutaj?

– Tutaj? – Ostatni Imperator się roześmiał. – Z bezsilną myszką i szczurem mieszanej krwi? Proszę cię.

Zamknął oczy i rozciągnął się w stronę tego punktu, który zaprzeczał geometrii. Zbladł i w końcu zniknął.

Kelsierowi opadła szczęka.

– On odszedł?

– Gdzie Indziej. – Fuzz usiadł. – Nie powinienem mieć tak wielkiej nadziei. Wszystko mija, nic nie jest wieczne. Tak zawsze twierdził Ati...

– Nie musiał odchodzić. Mógłby zostać. Mógłby przeżyć!

– Jak już ci mówiłem, po dotarciu do tego punktu racjonalni ludzie sami chcą pójść dalej.

Fuzz zniknął.

Kelsier pozostał na skraju więzienia, a blask sadzawki rzucał jego cień na podłogę. Wpatrywał się w cienistą komnatę z jej kolumnami, czekając na coś, choć nie był pewien, na co właściwie.

Potwierdzenie, świętowanie, jakąś zmianę.

Nic. Nikt nie przyszedł, nawet Inkwizytorzy. Jak poszła rewolucja? Czy skaa władali teraz społeczeństwem? Chciałby zobaczyć śmierć szlachetnie urodzonych, potraktowanych – dla odmiany – tak, jak oni traktowali swoich niewolników.

Nie dostał potwierdzenia, żadnego znaku związanego z tym, co działo się na górze. Rzecz jasna, nie wiedzieli o Studni. Kelsier mógł jedynie usiąść.

I czekać.

CZĘŚĆ DRUGA

STUDNIA





I

Kelsier oddałby wszystko za ołówek i papier.

Za coś, na czym mógłby pisać, co pozwoliłoby mu zabijać czas. Sposób na zebranie myśli i stworzenie planu ucieczki.

Przez kolejne dni próbował wydrapywać notatki w ścianach Studni, co okazało się niemożliwe. Próbował wyrywać nici z ubrania i wiązać na nich węzły oznaczające słowa. Niestety, nici znikwały wkrótce po tym, jak je wyrwał, a koszula i spodnie natychmiast wracały do pierwotnego wyglądu. Podczas jednej z rzadkich wizyt Fuzz wyjaśnił, że ubranie nie było prawdziwe – było emanacją ducha Kelsiera.

Z tego samego powodu nie mógł wykorzystywać do pisania włosów ani krwi. Formalnie rzecz biorąc, nie miał ich. Było to ogromnie frustrujące, ale w czasie drugiego miesiąca uwięzienia Kelsier przyznał się sam przed sobą, że pisanie nie jest takie ważne. Kiedy uwięziono go w Czeluściach, też nie mógł pisać, a i tak planował. Owszem, to były gorączkowe plany, niemożliwe marzenia, ale brak papieru go nie powstrzymał.

W próbach pisania nie chodziło o tworzenie planów, ale o coś do roboty. Zadanie, które zajęłoby mu czas. Przez kilka tygodni działało. Jednak kiedy przyznał, jaka jest prawda, stracił zapał do dalszego poszukiwania metody robienia notatek.

Na szczęście w tym samym czasie odkrył coś nowego w swoim więzieniu.

Szepty.

Och, nie słyszał ich. Ale czy on w ogóle mógł cokolwiek „słyszeć”? Nie miał uszu. Był... jak to określił Fuzz? Cieniem Umysłu? Siłą myśli utrzymującą jego ducha w jedności, niepozwalającą mu się rozproszyć. Saze byłby zachwycony. Uwielbiał takie mistyczne tematy.

Tak czy inaczej, Kelsier coś wyczuwał. Studnia pulsowała jak wcześniej, wysyłając fale wstrząsów przez ściany jego więzienia i na świat. Te impulsy wydawały się coraz silniejsze, przypominały bezustanne dudnienie, jak wtedy, gdy brząz pozwalał mu „słyszeć” ludzi używających Allomancji.

Wewnątrz każdego impulsu było... coś. Szepty, tak je nazwał, choć zawierały więcej niż słowa. Były przepełnione dźwiękami, zapachami i obrazami.

Widział księgę z atramentem plamiącym jej kartki. Grupę ludzi opowiadających sobie historię. Terrisianie w szatach? Sazed?

Impulsy szeptały mroźną krew w żyłach słowa. „Bohater Wieków”. „Głosiciel”. „Dawca Światów”. Rozpoznawał te określenia ze starożytnych terrisańskich prorocत्व wymienionych w dzienniku Alendiego.

Kelsier znał teraz niepokojącą prawdę. Poznał Boga, co znaczyło, że wiara miała w sobie głębię i realność. Czy to znaczyło, że coś kryło się również w tym wachlarzu religii, które Sazed trzymał w kieszeni jak talię kart?

„Sprowadziłeś Zniszczenie na ten świat...”.

Kelsier usadowił się w potężnym blasku Studni i odkrył – w swoim czasie – że jeśli zanurzył się w samym środku tuż przed impulsem, mógł na nim przebyć pewien dystans. Impuls wysyłał jego świadomość poza Studnię, dzięki czemu mógł zobaczyć jego cel.

Wydawało mu się, że widzi biblioteki, ciche komnaty, w których Terrisianie rozmawiali, wymieniając opowieści i zapamiętując je. Widział szaleńców kulących się na ulicach i szepczących słowa, które przyniosły impulsy. Widział szlachetnie urodzonego Zrodzonego z Mgły skaczącego między budynkami.

Na tych impulsach unosiło się coś jeszcze poza Kelsierem. Coś kierującego niewidzialną pracą, coś zainteresowanego terrisańskimi legendami. Kelsier po zawstydzająco długim czasie zorientował się, że powinien spróbować innego podejścia. Zanurzył się pośrodku sadzawki, otoczony zbyt rzadkim płynnym światłem, a kiedy nadszedł kolejny impuls, odepchnął się w przeciwną stronę – nie razem z impulsem, ale do jego źródła.

Światło rozrzedziło się i spojrział w nowe miejsce. Ciemny przestwór, który nie był ani światem umarłych, ani światem żywych.

W tym innym miejscu znalazł zagładę.

Rozkład. Nie czerń, gdyż czerń była zbyt kompletna, zbyt cała, by móc nią nazwać to coś, co wyczuł. Poza. Była to niezmiernie siła, która radośnie wzięłaby coś tak prostego jak ciemność i rozszarpała ją na kawałki.

Ta siła była nieskończonym czasem. Była wiatrami, które erodowały, burzami, które niszczyły, ponadczasowymi falami, które powoli, powoli, powoli cichły, gdy słońce i planeta stygły.

Była ostatecznym końcem i przeznaczeniem wszystkich rzeczy. I była wściekła.

Kelsier wycofał się, wyrwał w światło. Dyszał ciężko i drżał.

Spotkał Boga. Ale na każde Przyciąganie przypadało Odpychanie. Co było przeciwieństwem Boga?

To, co zobaczył, zaniepokoiło go tak bardzo, że nie chciał wracać. Prawie przekonał samego siebie, by ignorować tę straszliwą siłę w ciemności. Prawie odciął się od wszystkich szeptów i próbował udawać, że nigdy nie widział tego oszałamiającego, ogromnego niszczyciela.

Ale oczywiście nie mógł tego zrobić. Kelsier nigdy nie umiał oprzeć się tajemnicy. To coś, bardziej nawet niż spotkanie z Fuzzem, udowodniało, że przez cały czas grał w grę, której reguły wykraczały poza jego pojmowanie.

A to go jednocześnie przerażało i podniecało.

I dlatego powrócił, by patrzeć na to coś. Wracał raz za razem, próbując zrozumieć, choć czuł się jak mrówka próbująca pojąć symfonię.

Robił to całymi tygodniami, aż do chwili, gdy to coś na niego spojrzało.

Wcześniej wydawało mu się, że go nie zauważa – tak jak człowiek może nie zauważać pająka ukrywającego się w dziurce od klucza. To się jednak zmieniło, Kelsier jakimś sposobem zwrócił jego uwagę. Istota nagle wzburzyła się gwałtownie i popłynęła w stronę Kelsiera, a jej esencja otoczyła miejsce, z którego prowadził obserwację. Obracała się powoli w postaci wiru – jak ocean, który zaczął

krażyć wokół jednego miejsca. Kelsier nie mógł pozbyć się wrażenia, że nagle wpatrzyło się w niego nieskończone, niezmierzone oko.

Uciekł, rozchlapując płynne światło, i wycofał się do swojego więzienia. Był tak przestraszony, że poczuł widmowe przyśpieszone bicie serca, jego esencja rozpoznawała właściwą reakcję na wstrząs i próbowała ją odtworzyć. Wszystko ucichło, gdy zajął swoje zwyczajowe miejsce z boku sadzawki.

Widok tego czegoś skupiającego na nim swoją uwagę, wrażenie bycia malutkim w obliczu czegoś tak ogromnego głęboko zaniepokoiły Kelsiera. Mimo całej pewności siebie i licznych spisków zasadniczo był niczym. Całe jego życie okazało się ćwiczeniem niezamierzonej brawury.

Mijały miesiące. Kelsier nie powrócił już do badań nad istotą Poza, czekał jedynie na odwiedzin Fuzza, który robił to od czasu do czasu.

Kiedy Fuzz w końcu przybył, wydawał się jeszcze bardziej rozproszony niż poprzednim razem, mgły wypływały z jego ramion, niewielki otwór w lewym policzku ukazywał wnętrze jego ust, a ubranie robiło się poszarpane.

– Fuzz? Widziałem coś. To... Zniszczenie, o którym mówiłeś. Chyba mogę je obserwować.

Fuzz jedynie spacerował, nawet się nie odezwał.

– Fuzz? Słuchasz ty mnie w ogóle?

Nic.

– Idioto. – Kelsier spróbował innego podejścia. – Jesteś obelgą dla boskości. Czy ty w ogóle zwracasz na mnie uwagę?

Nawet obelga nie zadziałała. Fuzz wciąż spacerował.

Bezużyteczny, pomyślał Kelsier, kiedy Studnię opuścił impuls mocy. I wtedy właśnie pochwycił spojrzenie Fuzza.

W tej właśnie chwili przypomniał sobie, dlaczego w ogóle nazwał tę istotę Bogiem. W jego oczach kryła się nieskończoność, podobna do tej uwięzionej w Studni. Fuzz był niekończącą się idealną nutą, w której nie pojawił się nawet ślad fałszu. Majestatycznym obrazem, który uwiecznił w bezruchu chwilę z przeszłości. Mocą wielu, bardzo wielu chwil jakimś sposobem ściśniętych do jednej.

Fuzz zatrzymał się przed nim, a jego policzki rozpadły się całkowicie, ukazując szkielet, który również się rozplýwał, a jego oczy płonęły wiecznością. Ta istota była bóstwem – tyle tylko, że uszkodzonym.

Fuzz odszedł i Kelsier nie widział go przez wiele miesięcy. Bezruch i cisza jego więzienia wydawały się równie nieskończone, jak istoty, które badał. W pewnej chwili odkrył, że zastanawia się, jak przyciągnąć uwagę niszczyciela, by błagać go o zakończenie jego życia.

Naprawdę się zaniepokoił, kiedy zaczął mówić sam do siebie.

– Coś ty narobił?

– Ocaliłem świat. Uwolniłem ludzkość.

– Zemściłeś się.

– Te cele mogą się ze sobą zgadzać.

– Jesteś tchórzem.

– Zmieniłem świat!

– A jeśli jesteś tylko pionkiem tego czegoś Poza? Jak twierdził Ostatni Imperator? Kelsierze, a jeśli nie masz żadnego przeznaczenia poza wykonywaniem poleceń?

Zapanował nad tym wybuchem, ale kruchość własnego zdrowia umysłowego wytrącała go z równowagi. W Czeluściach też nie do końca zachował zdrowe zmysły. W chwilach bezruchu – gdy wpatrywał się w kłębiące się mgły tworzące ściany jaskini – wyznawał samemu sobie głębiej ukrytą tajemnicę.

Nie był do końca zdrowy na umyśle od czasu Czeluści.

Dlatego właśnie z początku nie ufał swoim zmysłom, kiedy ktoś się do niego odezwał.

– A tego to się nie spodziewałem.

Kelsier otrząsnął się i odwrócił podejrzliwie, bojąc się, że ma halucynacje. W tych mgłach tworzących ściany jaskini łatwo było dostrzec wszelkiego rodzaju rzeczy, jeśli tylko patrzyło się na nie dość długo.

To jednak nie była postać stworzona z mgły, lecz mężczyzna o białych włosach, kanciastej twarzy i ostrym nosie. Kelsierowi wydawał się znajomy, choć nie umiał sobie przypomnieć, dlaczego.

Mężczyzna siedział na podłodze z ugiętą jedną nogą i ramieniem wspartym na kolanie. W rękę trzymał coś, co wyglądało na kij.

Zaraz, zaraz... nie, nie siedział na podłodze, ale na czymś, co jakimś sposobem unosiło się na mgłach. Biały obiekt przypominający kłodę zanurzył się do połowy we mgle podłogi i kołysał jak statek na wodzie, podskakując w miejscu. Pręt w dłoni mężczyzny był krótkim wiosłem, a jego druga noga – ta, która nie była ugięta i uniesiona – spoczywała z boku kłody i znikwała w mglistej ziemi, widoczna jedynie jako niewyraźny zarys.

– Ty – powiedział mężczyzna do Kelsiera – nie jesteś dobry w robieniu rzeczy, których się od ciebie oczekuje.

– Kim jesteś? – Kelsier podszedł do krawędzi swojego więzienia i zmrużył oczy. To nie była halucynacja. Nie chciał uwierzyć, że tak bardzo utracił zdrowe zmysły. – Duchem?

– Niestety, śmierć nigdy mi nie pasowała. Źle wpływa na cerę, rozumiesz?

Wpatrywał się w Kelsiera, a jego wargi wygięły się w znaczącym uśmiešku.

Kelsier od razu go znienawidził.

– Utknąłeś tu, co? W więzieniu Atiego... – Klasnął językiem. – Sądzę, że to stosowna rekompensata. A nawet ironiczna.

– Co zrobiłem?

– Zniszczyłeś Czeluście, o poblížniony. To była jedyna prostopadłość na tej planecie, do której dawało się względnie łatwo dotrzeć. Ta tutaj jest ogromnie niebezpieczna, z każdą minutą coraz bardziej, i trudna do odnalezienia. Swoimi działaniami zasadniczo uniemożliwiłeś ruch przez Scadrial. Zniszczyłeś cały system handlowy, co, muszę przyznać, było dość zabawnym spektaklem.

– Kim jesteś? – spytał Kelsier.

– Ja? Włóczęgą. Szubrawcem. Ostatnim tchnieniem płomienia uczynionym z dymu jego odejścia.

– To... niepotrzebnie niezrozumiałe.

– Cóż, taki też jestem. – Mężczyzna przechylił głowę. – Cóż, taki głównie jestem, jeśli mam być szczerzy.

– I twierdzisz, że nie jesteś martwy?

– Gdybym był, czy potrzebowałbym tego? – powiedział Włóczęga, uderzając wiosłem o przód swojej przypominającej kłodę łódki.

Ta zakołysała się pod wpływem ruchu i Kelsier po raz pierwszy zobaczył, czym naprawdę jest. Ramiona, których nie zauważył wcześniej, wiszące wśród mgieł i przez nie zasłonięte. Głowa zwieszająca się na szyi. Biała szata maskująca kształt.

– Trup – szepnął.

– Och, ten tu Spanky jest tylko duchem. Piekielnie trudno poruszać się po tym subastralu... każda istota fizyczna ryzykuje prześlizgnięcie się przez te mgły i spadanie, być może bez końca. Tak wiele myśli gromadzi się tutaj, tworząc to, co widzisz wokół siebie, a do podróżowania potrzeba czegoś bardziej wyrafinowanego.

– To koszmarne.

– Powiedział człowiek, który doprowadził do rewolucji po trupach. Ja przynajmniej potrzebowałem tylko jednego ciała.

Kelsier założył ręce na piersi. Ten mężczyzna był czujny – choć odzywał się beztrudno, uważnie go obserwował i trzymał się na dystans, jakby rozważał, w jaki sposób go zaatakować.

Chce czegoś, domyślił się Kelsier. Może czegoś, co ja mam? Nie, wydawał się szczerze zaskoczony jego obecnością. Przybył tutaj, zamierzając odwiedzić Studnię. Może chciał do niej wejść, zaczerpnąć mocy? A może tylko spojrzeć na to coś Poza?

– Cóż, jesteś wyraźnie pomysłowy – stwierdził Kelsier. – Może udałoby ci się coś poradzić na mój kłopot.

– Niestety, twój przypadek jest beznadziejny.

Kelsier spochmurniał.

– Tak, nic się nie da zrobić – mówił dalej Włóczęga. – W rzeczy samej, pozostaniesz z tą twarzą na wieczność. Skoro pojawiłeś się z takimi rysami po tej stronie, oznacza to, że nawet twoja dusza uznała, że zawsze będziesz tym paskudnym...

– Bękart – wtrącił Kelsier. – Przez chwilę dałem się nabrać.

– A to oczywiście nieprawda. – Włóczęga wskazał go palcem. – Jak mniemam, tylko jeden z nas tu obecnych jest nieślubnym dzieckiem i nie jestem nim ja. Chyba że... – Postukał trupa wiosłem w głowę. – Co z tobą, Spanky?

Trup wybełkotał coś w odpowiedzi.

– Rodzice w szczęśliwym związku małżeńskim? Nadal żyją? Naprawdę? Tak im współczuję ich straty. – Włóczęga uśmiechnął się niewinnie do Kelsiera. – Po tej stronie żadnych bękartów. A po twojej?

– Bękart z urodzenia jest zawsze lepszy niż ten z wyboru, Włóczęgo. Przyznam się do swojego pochodzenia, jeśli ty przyznasz się do swojego.

Wędrowiec zachichotał, a jego oczy zabłyśły.

– Pięknie, pięknie. A skoro już doszliśmy do tego tematu, kim jesteś? Skaa noszącym się jak arystokrata czy szlachetnie urodzonym z zainteresowaniami skaa? Która połowa jest bardziej tobą, Ocalały?

– Cóż – odparł Kelsier oschłym tonem – jeśli wziąć pod uwagę, że krewni mojej arystokratycznej połowy przez prawie cztery dekady próbowali mnie zabić, powiedziałbym, że bardziej skłaniam się ku skaa.

– Ach. – Włóczęga się pochylił. – Ale ja nie pytałem, która z tych części podoba ci się bardziej.

Pytałem, którą z nich jesteś.

– Czy to ważne?

– To interesujące. Co mi wystarczy.

Włóczęga sięgnął w dół do trupa, którego używał jako łodzi, a później wyjął coś z kieszeni. Coś, co błyszczało, choć Kelsier nie umiał ocenić, czy to naturalny blask, czy też po prostu coś z metalu.

Blask zniknął, kiedy Włóczęga podał to coś swojej łodzi, a później – maskując ruch kaszlnięciem, jakby chciał ukryć przed Kelsierem, co robi – ukradkiem nałożył trochę blasku na wiosło. Kiedy znów wsunął je w mgły, przybliżył się do Studni.

– Czy istnieje sposób, by wydostać się z tego więzienia? – spytał Kelsier.

– A co powiesz na to? Będziemy walczyć na obelgi. Zwyczajca ma prawo zadać pytanie, a drugi musi odpowiedzieć zgodnie z prawdą. Ja zacznę. Co jest mokre, brzydkie i ma blizny na ramionach?

Kelsier uniósł brew. Cała ta gadanina miała odwrócić jego uwagę, o czym świadczył fakt, że Włóczęga znów przybliżył się do więzienia. Zamierza spróbować wskoczyć do Studni, pomyślał Kelsier. Rzuci się do przodu, licząc, że mnie zaskoczy.

– Nie domyślasz się? – spytał Włóczęga. – Odpowiedź brzmi: zasadniczo każdy, kto spędził z tobą trochę czasu, bo w końcu podcina sobie żyły, wali się w twarz, a później się topi, żeby zapomnieć o tym doświadczeniu. Ha! W porządku, twoja kolej.

– Zabiję cię – powiedział Kelsier cicho.

– Ja... Co takiego?!

– Jeśli tu wejdiesz, zabiję cię. Przetnę ścięgna w twoich nadgarstkach tak, że twoje ręce będą mogły jedynie na próżno uderzać we mnie, kiedy uklęknę na twoim gardle i powoli wycisnę z ciebie życie, a w tym samym czasie będę ci odcinać palce, jeden po drugim. Pozwolę ci w końcu zaczerpnąć ostatniego tchu... ale w tym samym czasie wepchnę ci do ust twój środkowy palec, byś musiał go wciągnąć razem z powietrzem. Umrzesz ze świadomością, że zadławiłeś się własnym parszywym ciałem.

Włóczęga gapił się na niego, bezgłośnie poruszając ustami.

– Ja... – wykrztusił w końcu – wątpię, byś umiał grać w tę grę.

Kelsier wzruszył ramionami.

– Poważnie mówię. Potrzebujesz pomocy, przyjacielu. Znam takiego jednego gościa. Wysoki, łysy, nosi mnóstwo kolczyków. Porozmawiaj z nim...

Włóczęga przerwał w połowie zdania i skoczył w stronę więzienia, odpychając pływającego trupa i rzucając się w stronę światła.

Kelsier był gotów. Kiedy Włóczęga znalazł się w blasku, chwycił go za rękę i rzucił nim o ścianę sadzawki. Manewr się powiódł – wydawało się, że w obrębie Studni mężczyzna mógł dotknąć ścian i podłogi. Uderzył o skałę, wyrzucając w górę fale światła.

Kiedy Kelsier próbował kopnąć Włóczęgę w głowę, nim ten odzyskał równowagę, mężczyzna złapał za krawędź sadzawki i odepchnął się do tyłu, podcinając nogi Kelsiera.

Kelsier szamotał się w blasku i odruchowo próbował spalić metale. Nic się nie wydarzyło, choć światło coś w sobie miało. Coś znajomego...

Udało mu się odzyskać równowagę. Złapał Włóczęgę, który nurkował w stronę najgłębszej części sadzawki, chwycił go za ramię i odciągnął. Niezależnie od tego, czego chciał mężczyzna, instynkt

podpowiadał Kelsierowi, że nie powinno mu się na to pozwolić. Poza tym Studnia była jedynym atutem Kelsiera. Gdyby mógł utrzymać mężczyznę z dala od tego, czego pragnął, poskromić go, może dostałby odpowiedzi.

Włóczęga potknął się, po czym rzucił się do przodu, próbując złapać Kelsiera.

Kelsier z kolei obrócił się na pięcie i wbił pięść w żołądek mężczyzny. Ten ruch sprawił, że przeszedł go przyjemny dreszcz. Po tak długim czasie bezruchu miło było w końcu coś zrobić.

Włóczęga sapnął.

– W porządku – mruknął.

Kelsier uniósł pięści, stanął pewniej i zasypał twarz Włóczęgi deszczem szybkich ciosów, które powinny go oszołomić.

Kiedy się cofnął – nie chciał posunąć się za daleko i poważnie skrzywdzić mężczyzny – odkrył, że Włóczęga się do niego uśmiecha.

To nie był dobry znak.

Jakimś sposobem Włóczęga otrząsnął się z ciosów, które otrzymał. Skoczył do przodu, uchylił się przed uderzeniem Kelsiera, po czym przykucnął i wbił pięść w jego nerki.

Zabolało. Kelsier nie miał ciała, ale najwyraźniej jego duch mógł odczuwać ból. Sapnął i uniósł ręce, by osłonić twarz, jednocześnie cofając się w płynnym blasku. Włóczęga atakował nieustępliwie i wbił pięści w Kelsiera, nie zwracając uwagi na krzywdę, jaką mógł zrobić sobie.

Zejdź do parteru, podpowiadały Kelsierowi instynkty. Opuścił rękę i próbował złapać Włóczęgę za ramię, żeby obalić go w płynne światło.

Niestety, Włóczęga był odrobinę zbyt szybki. Uskoczył, znów podciął Kelsiera, chwycił go za gardło i kilka razy uderzył nim – brutalnie – o dno sadzawki w jej płytkiej części. Zanurzył go w blasku, rzadszym od wody, ale mimo wszystko duszącym.

Wreszcie, kiedy Kelsier był już bezwładny, Włóczęga go wyciągnął. Oczy mężczyzny błyszczały.

– To było nieprzyjemne, a jednocześnie nadal satysfakcjonujące. Najwyraźniej fakt, że jesteś już martwy, pozwala mi sprawić ci ból.

Kiedy Kelsier próbował go złapać za ramię, Włóczęga znów rzucił go na dno i wyciągnął oszołomionego.

– Przepraszam, Ocalały, za szorstkie traktowanie – mówił dalej Włóczęga. – Ale nie powinno cię tu być. Zrobiłeś to, czego od ciebie oczekiwałem, ale jesteś dziką kartą, którą teraz wolałbym się nie zajmować. – Zawahał się. – Jeśli to jakieś pocieszenie, powinieneś czuć się dumny. Minęły stulecia od czasu, kiedy ktokolwiek mnie zaskoczył.

Wypuścił Kelsiera, który osunął się, złapał ściany więzienia, na wpół zanurzony w blasku, a po chwili warknął i spróbował ruszyć za Włóczęgą.

Włóczęga westchnął i zaczął raz za razem kopać Kelsiera w nogę, wywołując koszmarny ból. Kelsier wrzasnął i złapał się za gołeń. Siła ciosów powinna połamać mu kości i choć tak się nie stało, ból był oszałamiający.

– To lekcja – powiedział Włóczęga. – Ale nie taka, jak myślisz. Nie masz ciała, a ja nie zamierzałem zrobić krzywdy twojej duszy. Ten ból wywołał twój umysł. On myśli, co powinno się z tobą dziać, i reaguje w odpowiedni sposób. – Zawahał się. – Powstrzymam się przed zadławieniem cię kawałkiem twojego własnego ciała.

Ruszył w stronę środka sadzawki. Choć ból zaćmiewał mu wzrok, Kelsier przyglądał się, jak Włóczęga wyciąga ręce na boki i zamyka oczy. Kiedy znalazł się w najgłębszym miejscu, zniknął w blasku.

Po chwili z sadzawki wyłoniła się postać. Tym razem jednak była cieniem emanującym wewnętrznym blaskiem jak...

Jak ktoś ze świata żywych. Sadzawka pozwoliła Włóczędze przejść ze świata umarłych do prawdziwego świata. Kelsier przyglądał się z otwartymi ustami, jak Włóczęga omija kolumny i zatrzymuje się po drugiej stronie, gdzie dwa kawałki metalu emanowały ostrym blaskiem.

Włóczęga wybrał jeden. Bryłka była nieduża, bo wyrzucił ją w powietrze i znów złapał. Kelsier wyczuwał triumf w tym ruchu.

Zamknął oczy i skupił się. Żadnego bólu. Wcale nie został ranny w nogę. Skup się, pomyślał.

Udało mu się złagodzić ból. Usiadł w sadzawce, falujące światło sięgało mu do piersi. Oddychał głęboko, choć nie potrzebował powietrza.

A niech to. Pierwsza osoba, którą widział od miesiąca, stłukła go i ukradła coś z komnaty. Nie wiedział co, dlaczego ani nawet jak Włóczędze udało się przejść z jednego świata do drugiego.

Kelsier przeczołgał się na środek sadzawki i zanurzył w jej najgłębszej części. Stał, wciąż czując słaby ból nogi, i wyciągnął ręce na boki. Skupił się, próbując...

Co zrobić? Przejść? A jaki by to miało na niego wpływ?

Nie obchodziło go to. Był sfrustrowany i upokorzony. Musiał udowodnić samemu sobie, że nie jest niezdolny.

Nie udało mu się. Choć się skupiał, wyobrażał sobie i napinał mięśnie, nie udało mu się powtórzyć tego, co zrobił Włóczęga. Wyszedł z sadzawki, wyczerpany i przywołany do porządku, i usiadł z boku.

Nie zauważył Fuzza do chwili, gdy bóg się odezwał.

– Co robiłeś?

Kelsier odwrócił się. Fuzz ostatnio nie odwiedzał go zbyt często, ale gdy to robił, zawsze przybywał niezapowiedziany. A kiedy się odzywał, często tylko bełkotał jak szaleniec.

– Ktoś tu był przed chwilą. Mężczyzna o białych włosach. Jakimś sposobem wykorzystał Studnię, by przejść ze świata umarłych do świata żywych.

– Rozumiem – odparł cicho Fuzz. – Odważył się to zrobić? Niebezpieczne, kiedy Zniszczenie napiera na więzy. Ale jeśli ktokolwiek miałby spróbować zrobić coś tak ryzykanckiego, to Cephandrius.

– Coś ukradł, tak mi się w każdym razie wydaje. Z drugiej strony komnaty. Kawałek metalu.

– Ach... Wydawało mi się, że, kiedy już odrzucił nas wszystkich, przestanie się wtrącać. Nie powinienem wierzyć w jego sugestie. W połowie przypadków nie można ufać nawet jego otwartym obietnicom...

– Kim on jest?

– Starym przyjacielem. I nie, zanim spytasz, nie możesz zrobić tak jak on i przejść między Krainami. Twoje związki z Krainą Materii zostały zerwane. Jesteś jak latawiec bez sznurka łączącego go z ziemią. Nie możesz przejść na drugą stronę prostopadłości.

Kelsier westchnął.

– W takim razie dlaczego on mógł przybyć do świata umarłych?

– To nie jest świat umarłych, lecz świat umysłu. Ludzie... a tak naprawdę wszystkie rzeczy... są jak promień światła. Podłogą jest Krainą Materii, gdzie zbiera się to światło. Słońcem jest Krainą Ducha, skąd się bierze. Ta Kraina, Kraina Umysłu, jest przestrzenią, którą przecina ten promień.

Metafora nie miała dla niego większego sensu. Oni wszyscy wiedzą tak wiele, pomyślał Kelsier, a ja tak mało.

Przynajmniej Fuzz brzmiał dziś lepiej. Kelsier uśmiechnął się do boga, jednak zeszywniał, kiedy Fuzz odwrócił głowę.

Brakowało mu połowy twarzy. Cała lewa strona zniknęła. Nie był ranny i nie odsłaniał szkieletu. Cała połowa dymiała, emanowała strużkami mgły. Fuzz uśmiechnął się do Kelsiera pozostałą połową ust, jakby nic się nie stało.

– Ukradł odrobinę mojej esencji, wydestylowanej i czystej – wyjaśnił. – Może Napęlić człowieka, dać mu Allomancję.

– Ty... twoja twarz, Fuzz...

– Ati chce mnie wykończyć. I w rzeczy samej, nóż został wbity już dawno. Już jestem martwy.

Znów się uśmiechnął, co wyglądało okropnie, i zniknął.

Kelsier czuł się wyczerpany. Położył się obok sadzawki na kamieniach – które nawet trochę przypominały kamienie, nie były tak miękkie jak wszystko inne, stworzone z mgły.

Nienawidził tej niewiedzy. Wszyscy inni byli częścią jakiegoś wielkiego żartu, a on jego celem. Wpatrywał się w sklepienie skąpane w blasku migoczącej Studni i w kolumnę światła. W końcu w milczeniu podjął decyzję.

Znajdzie odpowiedzi.

W Czeluściach Hathsin przebudził się z poczuciem celu i postanowił zniszczyć Ostatniego Imperatora. Cóż, teraz przebudzi się ponownie. Wstał i wkroczył w blask. Czuł się już silniejszy. Konflikt tych bogów miał znaczenie, istota w Studni była niebezpieczna. Kryło się w tym więcej, niż kiedykolwiek wiedział, a to znaczyło, że miał powód żyć.

Co ważniejsze, miał powód zachować zdrowe zmysły.



2

Kelsier już się nie martwił szaleństwem ani nudą. Za każdym razem, kiedy czuł się znudzony więzieniem, przypominał sobie to uczucie – to upokorzenie – które wywołał w nim Włóczęga. Tak, był uwięziony w przestrzeni o średnicy pięciu stóp, ale miał mnóstwo do zrobienia.

Po pierwsze, wrócił do badania istoty Poza. Zmusił się do zanurkowania w świetle, by stawić jej czoło i napotkać jej nieprzeniknione spojrzenie – i robił to do chwili, gdy nie cofał się, kiedy skupiała na nim swoją uwagę.

Zniszczenie. Stosowne imię dla tego wrażenia bezkresnego rozkładu, rozpadu i zagłady.

Nadal podążał za impulsami Studni. Te wycieczki dawały mu niejasne wskazówki dotyczące motywacji i intryg Zniszczenia. Wyczuwał znajomy wzorzec w tym, co zmieniało – wydawało się, że Zniszczenie robiło to samo, co wcześniej Kelsier: wykorzystywało religię. Manipulowało sercami ludzi, zmieniając ich legendy i księgi.

To przerażało Kelsiera. Gdy patrzył na świat przez te impulsy, jego cel się rozrastał. Musiał nie tylko zrozumieć, ale też walczyć z tym czymś. Tą straszliwą siłą, która zniszczyłaby wszystko, gdyby mogła.

Dlatego też walczył, desperacko pragnąc zrozumieć, co widział. Dlaczego Zniszczenie przekształcało starożytne terrisańskie przepowiednie? Co Włóczęga – którego Kelsier rzadko zauważał – robił w *Dominium Terris*? Kim był ten tajemniczy Zrodzony z Mgły, na którego Zniszczenie zwracało tak wielką uwagę, i czy był zagrożeniem dla Vin?

Kiedy Kelsier unosił się na tych impulsach, szukał śladów – pragnął ich – ludzi, których znał i kochał. Zniszczenie było bardzo zainteresowane Vin i wiele z jego impulsów skupiało się na niej albo mężczyźnie, którego kochała, tym Elendzie Venture.

Gromadzące się wskazówki martwiły Kelsiera. Armie wokół Luthadelu. Chaos w mieście. I – nie znosił o tym myśleć – wydawało się, że młody Venture został królem. Kiedy Kelsier sobie to uświadomił, tak się rozżłościł, że przez wiele dni trzymał się z dala od impulsów.

Posadzili na tronie szlachetnie urodzonego.

Tak, Kelsier uratował mu życie. Wbrew rozsądkowi ocalił mężczyznę, którego Vin kochała. Z miłości do niej, może wypaczonego ojcowskiego poczucia obowiązku. Młody Venture nie był najgorszy, w porównaniu z resztą mu podobnych. Ale oddać mu tron? Wydawało się, że nawet Dox słucha Venture'a. Kelsiera nie zdziwiłoby, gdyby Breeze dał się ponieść fali, ale Dockson?

Wściekał się, ale nie mógł zbyt długo się powstrzymać. Tęsknił za tymi wizjami przyjaciół. Choć każda była jedynie błyskiem – jak obraz po mrugnięciu – trzymał się ich. Przypominały mu, że poza jego więzieniem wciąż trwało życie.

Czasami widział kogoś innego. Swojego brata, Marsha.

Marsh żył, co go bardzo ucieszyło. Niestety, radość ta była splamiona. Gdyż Marsh został Inkwizytorem.

Nigdy nie byli sobie bardzo bliscy. Wybrali w życiu różne drogi, ale nie to było prawdziwą przyczyną odległości, która ich dzieliła – nie chodziło nawet o surowość Marsha zderzającą się z wygadaniem Kelsiera albo niewypowiedzianą na głos zazdrość Marsha o rzeczy, które miał jego brat.

Nie, chodziło o to, że obaj zostali wychowani ze świadomością, że w każdej chwili mogą zostać zaciągnięci przed oblicze Inkwizytorów i zamordowani za mieszane pochodzenie. Każdy z nich inaczej reagował na całe życie spędzone zasadniczo z wyrokiem śmierć – Marsh cichym napięciem i ostrożnością, Kelsier agresywną pewnością siebie, pod którą ukrywał tajemnice.

Obaj znali jedną, nieuniknioną prawdę. Gdyby jeden z braci został pochwycony, tożsamość drugiego jako mieszanka została by ujawniona i najpewniej również został by zabity. Taka sytuacja być może zbliżyłaby inne rodzeństwo do siebie. Kelsier musiał przyznać ze wstydem, że dla niego i Marsha była jak klin. Za każdym razem, gdy mówili sobie „bądź bezpieczny” albo „uważaj na siebie”, w podtekście myśleli: „nie spieprz tego albo zabijesz i mnie”. Było dla nich wielką ulgą, kiedy po śmierci rodziców zgodzili się przestać udawać i zejść do luthadelskiego podziemia.

Czasami Kelsier bawił się fantazjami na temat tego, co mogło się zdarzyć. Czy on i Marsh mogliby się w pełni zintegrować i stać częścią arystokratycznego społeczeństwa? Czy mógłby przewyciężyć swoją nienawiść do nich i ich kultury?

Tak czy inaczej, nie lubił Marsha. „Lubić” za bardzo kojarzyło się ze spacerami w parku i jedzeniem ciastek. Można mieć swoją ulubioną książkę. Nie, Kelsier nie lubił Marsha, jednak, co dziwne, nadal go kochał. Z początku ucieszył się, widząc go żywego, ale z drugiej strony może śmierć byłaby lepsza niż to, co mu zrobiono.

Minęło wiele tygodni, nim Kelsier zrozumiał, dlaczego Zniszczenie tak interesowało się Marshem. Zniszczenie mogło mówić do Marsha. Do Marsha i innych Inkwizytorów, jeśli mógł oceniać po wizjach i wrażeniu wysyłanych słów, jakie odczuwał.

Jak? Dlaczego Inkwizytorzy? Kelsier nie znalazł odpowiedzi w swoich wizjach, choć był świadkiem ważnego wydarzenia.

Istota zwana Zniszczeniem robiła się silniejsza i śledziła Vin i Elenda. Kelsier zobaczył to wyraźnie podczas wycieczki na impulsach. Wizja chłopaka, Elenda Venture, śpiącego w namiocie. Moc Zniszczenia skupiająca się, stająca się postacią, złowrogą i niebezpieczną. Czekala, aż Vin wejdzie do środka, i próbowała dźgnąć Elenda.

Kiedy Kelsier stracił impuls, pozostał mu obraz Vin parującej cios i ratującej Elenda. Ale był zdezorientowany. Zniszczenie czekało aż do powrotu Vin.

Nie chciało zrobić krzywdy Elendowi. Pragnęło jedynie, by Vin zobaczyła, że próbuje to zrobić.

Dlaczego?



3

– To korek – powiedział Kelsier.

Fuzz – albo Zachowanie, bóg powiedział, że tak można go nazywać – siedział obok jego więzienia.

Wciąż brakowało mu połowy twarzy, a reszta ciała też się rozplywała w kilku miejscach.

Ostatnio bóg spędzał sporo czasu w pobliżu Studni, za co Kelsier był wdzięczny. Ćwiczył wydobywanie z niego informacji.

– Hm? – spytał Zachowanie.

– Ta Studnia. – Kelsier objął gestem otoczenie. – Jest jak korek. Stworzyłeś więzienie dla Zniszczenia, ale nawet najgłębsze tunele muszą mieć wejście. To jest wejście, zapieczętowane twoją własną mocą, żeby go powstrzymać, bo w końcu obaj jesteście przeciwieństwami.

– To... – Zachowanie urwał.

– To? – zachęcił go Kelsier.

– To absolutnie błędne.

A niech to, pomyślał Kelsier. Całe tygodnie pracował nad tą teorią.

Zaczynał czuć niepokój. Impulsy płynące ze Studni stawały się coraz silniejsze, a Zniszczenie z coraz większą natarczywością dotykał świata. Od niedawna blask Studni zachowywał się inaczej, jakby się kondensował. Coś się działo.

– Jesteśmy bogami, Kelsierze. – Głos Zachowania cichł, stawał się głośniejszy, znów cichł. – Przenikamy wszystko. Skały są mną. Ludzie są mną. I nim. Wszystko trwa, a jednocześnie się rozkłada. Zniszczenie... i Zachowanie...

– Powiedziałeś mi, że to twoja moc. – Kelsier znów wskazał na Studnię, próbując skłonić boga do powrotu do tematu. – Że zbiera się tutaj.

– Tak, i gdzie indziej. Ale owszem, tutaj. Moja moc gromadzi się w tym miejscu jak skraplająca się rosa. To naturalne. Jak cykl chmury, deszcz, rzeka, wilgoć. Nie można wcisnąć tak dużo esencji do układu, żeby nie zbierała się tu i ówdzie.

Cudownie. Nic mu to nie powiedziało. Naciskał dalej, ale Fuzz umilkł, więc Kelsier spróbował innego podejścia. Musiał skłonić Zachowanie do mówienia, by powstrzymać boga przed popadnięciem w milczące odrętwienie.

– Boisz się? Jeśli Zniszczenie się uwolni, czy boisz się, że cię zabije?

– Ha. Mówiłem ci już. Zabił mnie dawno temu.

– Trudno mi w to uwierzyć.

– Dlaczego?

– Bo tu siedzę i z tobą rozmawiam.

– A ja rozmawiam z tobą. Jak bardzo żywy jesteś?

Słusznie.

– Moja śmierć nie przypomina śmierci istot takich jak ty. – Zachowanie znów się zagapił w przestrzeń. – Zostałem zabity dawno temu, kiedy postanowiłem złamać naszą obietnicę. Ale ta moc, którą mam... ona trwa i pamięta. Sama chce być żywa. Umarłem, ale coś ze mnie pozostaje. Dość, bym wiedział, że... były plany...

Kelsier nawet nie próbował wyciągnąć z niego, na czym polegały te plany. On nie pamiętał, czym był ten „plan”, który stworzył.

– Czyli to nie korek – stwierdził Kelsier. – W takim razie co?

Zachowanie nie odpowiedział. Chyba nawet go nie słyszał.

– Kiedyś mi powiedziałeś – Kelsier mówił nieco głośniej – że moc istnieje, by jej używać. Że musi być używana. Dlaczego?

Znowu żadnej odpowiedzi. Musiał wypróbować inną taktykę.

– Znów na niego spojrzałem. Twoje przeciwieństwo.

Zachowanie wyprostował się i zwrócił swoje dręczące spojrzenie na Kelsiera. Wzmianka o Zniszczeniu często wytrącała go z odrętwienia.

– On jest niebezpieczny – powiedział Zachowanie. – Trzymaj się z dala. Moja moc cię chroni. Nie szydź z niego.

– Dlaczego? Jest zamknięty.

– Nic nie jest wieczne, nawet sam czas. Nie tyle go uwięziłem, ile spowolniłem.

– A moc?

– Tak... – Zachowanie pokiwał głową.

– Co tak?

– Tak, wykorzysta ją. Rozumiem. – Zachowanie wzdrygnął się, jakby uświadomił sobie, a może tylko przypomniał, coś ważnego. – Moja moc stworzyła to więzienie. Moja moc może je otworzyć. Ale jak znajdzie kogoś, kto to zrobi? Kto wzięłby moc stworzenia, a później ją oddał...

– Czego... nie chcemy – powiedział Kelsier.

– Nie. To go uwolni!

– A ostatnim razem?

– Ostatnim razem... – Zachowanie zamrugał i wydawało się, że wraca do siebie. – Tak, ostatnim razem. Ostatni Imperator. Ostatnim razem się udało. Umieściłem ją we właściwym miejscu, ale słyszę jej myśli... On nad nią pracował... Taki mętnik...

– Fuzz? – spytał niepewnie Kelsier.

– Muszę ją powstrzymać. Ktoś...

Jego spojrzenie się rozproszyło.

– Co robisz?

– Cicho. – Głos Fuzza nagle zabrzmiał bardziej władczo. – Próbuję to powstrzymać.

Kelsier rozejrzał się dookoła, ale poza nimi nie było nikogo.

– Kogo?

– Nie zakładaj, że ja, którego tu widzisz, jestem jedynym mną – stwierdził Fuzz. – Jestem wszędzie.

– Ale...

– Cicho!

Kelsier uciszył się, częściowo dlatego, że uradowała go tak wielka siła boga po tak długim bezruchu.

Po jakimś czasie jednak Zachowanie znów się skulił.

– Nie ma sensu – mruknął Fuzz. – Jego narzędzia są silniejsze.

– Czyli... – zaczął Kelsier i umilkł na moment, sprawdzając, czy tym razem zostanie uciszony. –

Ostatnim razem Rashek wykorzystał moc zamiast... co? Oddać ją?

Fuzz przytaknął.

– Alendi postąpiłby właściwie, jak to postrzegał. Oddałby moc, ale to by uwolniło Zniszczenie.

„Oddanie mocy” oznacza oddanie jej jemu. Moce zinterpretowałyby to jako uwolnienie go przeze mnie. Moja moc, znów akceptująca jego bezpośredni dotyk w świecie.

– Cudownie. W takim razie potrzebujemy poświęcenia. Kogoś, kto przyjmie moce wieczności, a później wykorzysta je w dowolnie wybranym celu, zamiast je oddać. Cóż, ja jestem doskonały do takiego poświęcenia. Jak mam to zrobić?

Zachowanie wpatrywał się w niego. Wcześniejsza siła istoty zniknęła. Rozpływał się, tracił ludzkie cechy. Już na przykład nie mrugał i nie udawał, że oddycha, zanim się odezwał. Potrafił pozostawać w całkowitym bezruchu pozbawiony życia jak żelazny pręt.

– Ty – powiedział w końcu Zachowanie. – Wykorzystujący moją moc. Ty.

– Pozwoliłeś na to Ostatniemu Imperatorowi.

– Próbował ocalić świat.

– Ja też.

– Ty próbowałeś ocalić statek pełen ludzi przed pożarem poprzez zatopienie statku, żeby później twierdzić: „Przynajmniej się nie spalili”. – Bóg się zawahał. – Nie zamierzasz znów mnie uderzyć, prawda?

– Nie dosięgnę cię, Fuzz. Moc. Jak mogę ją wykorzystać?

– Nie możesz. Moc jest częścią więzienia. To właśnie zrobiłeś, łącząc swoją duszę ze Studnią, Kelsierze. I tak nie mógłbyś jej utrzymać. Nie jesteś ze mną wystarczająco mocno Związany.

Kelsier usiadł, by się nad tym zastanowić, ale już po krótkim czasie zauważył coś dziwnego. Czy w komnacie na zewnątrz były jakieś postacie? Tak. Żywi ludzie, o czym świadczyły ich świetliste dusze. Kolejni Inkwizytorzy chcieli wyrzucić trupa? Od dawna żadnego nie widział.

Do korytarza weszło ostrożnie dwoje ludzi i zbliżyło się do Studni, mijając rzędy kolumn, które dla Kelsiera były mgłą.

– Są tutaj – powiedział Zachowanie.

– Kto? – Kelsier zmrużył oczy. Te świetliste dusze sprawiały, że trudno było rozpoznać szczegóły twarzy. – Czy to...

Vin.

– Co? – Zachowanie spojrzał na Kelsiera i dostrzegł jego wstrząs. – Myślałeś, że siedzę tu bez sensu? Dziś się wszystko wydarzy. Studnia Wstąpienia jest pełna. Nadszedł czas.

Drugą postacią był ten chłopak, Elend Venture. Kelsier z zaskoczeniem stwierdził, że nie czuje złości na jego widok. Owszem, ekipa nie powinna posadzić na tronie szlachetnie urodzonego, ale to nie była przecież wina Elenda. Zawsze był zbyt nieświadomy, by być niebezpiecznym.

Poza tym, niezależnie od niewłaściwego pochodzenia, młody Venture został z Vin.

Kelsier założył ręce na piersi i patrzył, jak Venture klęka przy sadzawce.

– Jeśli jej dotknie, dam mu klapsa.

– Nie robi tego. Ona jest dla niej. On o tym wie. Przygotowywałem ją. A przynajmniej próbowałem.

Vin odwróciła się i wydawało się, że patrzy na boga. Tak, widziała go. Czy Kelsier mógł to wykorzystać?

– Próbowalesz? Czy wyjaśniłeś jej, co powinna zrobić? Twój przeciwnik ją obserwował, kontaktował się z nią. Widziałem, jak to robi. Próbował zabić Elenda.

– Nie. – Fuzz sprawiał wrażenie udręczonego. – Naśladował mnie. W ich oczach wyglądał jak ja i próbował zabić chłopaka. Nie dlatego, że obchodzi go jedna śmierć, ale ponieważ chciał, by przestała mi ufać. By uważała mnie za swojego wroga. Ale czy ona nie widzi różnicy? Między jego nienawiścią i zniszczeniem a moim spokojem. Nie mogę zabijać. Nigdy nie byłem zdolny zabijać...

– Porozmawiaj z nią! – powiedział Kelsier. – Powiedz jej, co musi zrobić, Fuzz!

– Ja... – Zachowanie pokręcił głową. – Nie mogę do niej dotrzeć, nie mogę do niej mówić. Słyszę jej myśli, Kelsierze. Jego kłamstwa tam są. Ona mi nie ufa. Myśli, że musi ją oddać. Próbowalem to powstrzymać. Zostawiłem jej wskazówki i spróbowałem sprawić, by ktoś inny ją powstrzymał. Ale... zawiodłem...

A niech to, pomyślał Kelsier. Potrzebuję planu. Szybko.

Vin zamierzała oddać moc. Uwolnić tę istotę. Nawet bez zapewnień Zachowania Kelsier wiedział, co robi Vin. Była lepszym człowiekiem niż on i nigdy nie wierzyła, że zasługuje na nagrody, które dostawała. Weźmie tę moc i założy, że musi ją oddać dla większego dobra.

Jak to zmienić? Skoro Zachowanie nie mógł do niej mówić, to co?

Elend wstał i zbliżył się do Zachowania. Tak, chłopak też widział Zachowanie.

– Ona potrzebuje motywacji – powiedział Kelsier i w jego umyśle pojawił się pomysł.

Zniszczenie próbował dźgnąć Elenda, by ją przestraszyć.

To był właściwy pomysł. On po prostu nie posunął się wystarczająco daleko.

– Dźgnij go – powiedział Kelsier.

– Co takiego? – Zachowanie wydawał się wstrząśnięty.

Kelsier zrobił kilka kroków poza swoje więzienie, zbliżając się do Fuzza, który stał tuż poza nim. Zmusił się do dotarcia do absolutnej granicy swoich więzów.

– Dźgnij go – powtórzył Kelsier. – Użyj tego noża u pasa, Fuzz. Oni cię widzą, a ty możesz wpłynąć na ich świat. Dźgnij Elenda Venture. Daj jej powód, by użyła mocy. Będzie chciała go ocalić.

– Jestem Zachowaniem. Nóż... nie sięgnąłem po niego od tysiącleci. Mówisz o postąpieniu tak jak on, jak on udawał, że ja postępuję! To koszmarnie!

– Musisz!

– Nie mogę... – Fuzz sięgnął do pasa i jego dłoń zamigotała. Pojawił się w niej nóż. Zachowanie spojrzał z góry na błyszczące ostrze. – Stary przyjacielu... – szepnął.

Spojrzał na Elenda, który skinął głową. Zachowanie uniósł rękę.

I zatrzymał się.

Jego połowa twarzy była maską udręki.

– Nie... – szepnął. – Ja Zachowuję...

On tego nie zrobi, pomyślał Kelsier, patrząc, jak Elend rozmawia z Vin i wyraźnie ją uspokaja. Nie zrobi.

Tylko jedna możliwość.

– Przepraszam, dzieciaku – powiedział Kelsier.

Chwycił Zachowanie za migoczącą rękę i ciął młodego arystokratę przez brzuch.

Poczuł się tak, jakby dźgnął własne ciało. Nie ze względu na Venture'a, wiedział jednak, jak zareaguje na to Vin. Serce podjechało mu do gardła, gdy z płaczem podbiegła do chłopaka.

Cóż, raz ocalił Elendowi życie, teraz wyrównali rachunki. Poza tym ona go uratuje. Będzie musiała wyleczyć Venture'a. Kochała go.

Kelsier wrócił do więzienia, pozostawiając przerażonego Fuzza, który wpatrzony we własną rękę cofał się od leżącego mężczyzny.

– Rana brzucha – szepnął Kelsier. – Będzie długo umierał, Vin. Weź moc. Ona tu jest. Wykorzystaj ją.

Trzymała Venture'a na kolanach. Kelsier czekał z niepokojem. Czy jeśli wejdzie do sadzawki, będzie mogła go zobaczyć? Stanie się transcendentna, jak Zachowanie. A może najpierw będzie musiała użyć mocy?

Czy to go uwolni? Nie znał odpowiedzi, ale czuł pewność, że cokolwiek się wydarzy, nie mógł pozwolić tej istocie Poza na ucieczkę. Odwrócił się.

I z zaskoczeniem odkrył, że już tam jest. Wyczuwał ją, napierającą na rzeczywistość tego świata, jak nieskończona ciemność. Nie licha imitacja Zachowania, jak wcześniej, ale cała potężna moc. Nie znajdowała się w żadnym określonym miejscu, ale jednocześnie przyciskała się do rzeczywistości i obserwowała ją z dużym zainteresowaniem.

Ku swojemu przerażeniu Kelsier zobaczył, jak się zmienia i wypuszcza przed siebie kolce jak patykowate nogi pająka. Na ich końcach jak marionetka wisiała postać przypominająca człowieka.

„Vin...” szepnęła. „Vin...”.

Dziewczyna spojrzała w stronę sadzawki, robiła wrażenie zasmuconej. Aż wreszcie zostawiła Venture'a i weszła do Studni, minęła Kelsiera, nie widząc go, i dotarła do najgłębszego miejsca. Powoli zapadała się w światło. W ostatniej chwili wyrwała coś błyszczącego z ucha i wyrzuciła to na zewnątrz – kawałek metalu. Jej kolczyk?

Kiedy zanurzyła się całkowicie, nie pojawiła się po tej stronie. Za to zaczęła się burza. Wznosząca się kolumna światła otoczyła Kelsiera, nie pozwalając mu widzieć niczego poza czystą energią. Jak nagły przypływ, wybuch, niespodziewany wschód słońca. Otaczała go, aktywna i podekscytowana.

„Nie wolno ci tego zrobić, dziecko”, powiedział Zniszczenie przez swoją marionetkę. Jak mógł mówić tak uspokajającym głosem? Kelsier widział kryjącą się za nią moc, zniszczenie, ale maska była tak życzliwa. „Wiesz, co musisz zrobić”.

– Nie słuchaj go, Vin! – krzyknął Kelsier, ale ryk mocy zagłuszył jego głos.

Wrzeszczał i szarpał się, gdy głos oszukiwał Vin, ostrzegając ją, że jeśli weźmie moc, zniszczy świat. Kelsier walczył ze światłem, próbując ją odnaleźć, złapać i wyjaśnić.

Zawiódł. Koszmarnie zawiódł. Nie mógł sprawić, by Vin go usłyszała, nie mógł jej dotknąć. Nic nie mógł zrobić. Nawet jego zaimprovizowany plan dźgnięcia Elenda okazał się głupi, bo uwolniła moc. Zapłakana, udręczona, cierpiąca, zrobiła najbardziej altruistyczną rzecz, jaką widział w życiu.

I w ten sposób skazała ich na zagładę.

Kiedy ją uwolniła, moc stała się bronią. Stworzyła w powietrzu włócznie, która rozerwała rzeczywistość i wbiła się w miejsce, gdzie czekał Zniszczenie.

Zniszczenie wypadł przez ten otwór na wolność.



4

Kelsier siedział na brzegu pustej Studni Wstąpienia. Światło zniknęło, a wraz z nim jego więzienie. Mógł odejść.

Nie rozciągał się i nie zanikał. Najwyraźniej bycie przez jakiś czas częścią mocy Zachowania rozwinęło jego duszę i pozwoliło mu pozostać. Choć, jeśli miał być szczery, wolałby w tej chwili zniknąć.

Vin – świetlista w jego oczach – leżała obok Elenda Venture, obejmowała go i płakała, a jego dusza pulsowała i słabła. Kelsier wstał i odwrócił się plecami do tego widoku. Mimo całego swojego sprytu złamał serce biednej dziewczynie.

Muszę być najbystrzejszym idiotą w okolicy, pomyślał Kelsier.

– To się musiało stać – rzekł Zachowanie. – Myślałem... Może...

Kątem oka Kelsier zobaczył, jak Fuzz podchodzi do Vin i spogląda na leżącego Venture'a.

– Mogę go Zachować – szepnęła Zachowanie.

Kelsier obrócił się gwałtownie. Zachowanie zaczął machać do Vin, a ona podniosła się z trudem. Przeszła za nim kilka stóp, do czegoś, co upuścił Elend, bryłki metalu. Skąd ona się wzięła?

Młody Venture niósł ją, kiedy wszedł do środka, przypomniał sobie Kelsier. To był ostatni kawałek metalu z drugiej strony komnaty, taki sam jak ten, który ukradł Włóczęga. Kelsier podszedł bliżej, gdy Vin wzięła bryłkę, podeszła do Elenda i włożyła mu ją do ust. Dała mu do popicia flakonik z metalami.

Dusza i metal stopiły się w jedno. Światło Elenda zapłonęło jaśniej. Kelsier zamknął oczy i poczuł spokój.

– Dobra robota, Fuzz. – Kelsier otworzył oczy i uśmiechnął się do Zachowania, kiedy bóg podszedł do niego. Gesty Vin świadczyły o ogromnej radości. – Jestem niemal skłonny uwierzyć, że jesteś dobrotliwym bogiem.

– Dźgnięcie go było niebezpieczne, bolesne. Nie mogę wybaczyć takiej lekkomyślności. Ale może było właściwe, niezależnie od tego, co czuję.

– Zniszczenie jest wolne. – Kelsier podniósł wzrok. – To coś uciekło.

– Tak. Na szczęście, zanim umarłem, wprowadziłem w życie plan. Nie pamiętam go, ale jestem pewien, że był błyskotliwy.

– Wiesz, czasem też sobie coś takiego mówiłem, po nocy pijaństwa. – Kelsier podrapał się po brodzie. – Ja też jestem wolny.

– Tak.

– Teraz powinieneś zażartować, że nie jesteś pewien, który z uwolnionych jest bardziej

niebezpieczny. Ja czy ten drugi.

– Nie – stwierdził Fuzz. – Wiem, który jest bardziej niebezpieczny.

– Obawiam się, że nie dostaniesz wysokich not za wysiłek.

– Ale może... Może nie wiem, który jest bardziej irytujący.

Zachowanie uśmiechnął się. Ponieważ miał tylko połowę twarzy, a jego szyja również zaczynała się rozplýwać, robiło to niepokojące wrażenie. Jak radosne szczekanie kalekiego szczeniaczka.

Kelsier poklepał go po ramieniu.

– Jeszcze zrobimy z ciebie porządnego członka szajki, Fuzz. A na razie chciałbym się stąd wynieść.

CZĘŚĆ TRZECIA





I

Kelsier naprawdę miał ochotę się napić. Wszyscy tak robią po wyjściu z więzienia, prawda? Idą się napić, nacieszyć wolnością, oddając ją za odrobinę trunku i koszmarny ból głowy?

Za życia zwykle unikał takiej beztroski. Lubił panować nad sytuacją, a nie pozwalać, by ona nad nim zapanowała – nie mógł jednak zaprzeczyć, że pragnął się czegoś napić, przez chwilę zapomnieć o tym, przez co właśnie przeszedł.

To się wydawało koszmarnie niesprawiedliwe. Nie miał ciała, ale wciąż czuł pragnienie?

Wyszedł z jaskiń otaczających Studnię Wstąpienia, przechodząc przez mgliste sale i tunele. Jak wcześniej, kiedy czegoś dotknął, mógł zobaczyć, jak to wyglądało w świecie rzeczywistym.

Spokojnie stawiał stopy na niematerialnym podłożu. Choć było nieco sprężyste, jak tkanina, utrzymywało jego ciężar, o ile nie tupnął – wtedy jego stopa zagłębiała się w nim, jakby chodził po gęstym błocie. Jeśli się postarał, mógł nawet przechodzić przez ściany, ale było to trudniejsze niż podczas pierwszej ucieczki, kiedy umierał.

Wyłonił się z jaskini w piwnicy Kredik Shaw, pałacu Ostatniego Imperatora. Zgubienie się w nim było jeszcze łatwiejsze niż zazwyczaj, bo w jego oczach wszystko było mgłą. Dotykał mijanych rzeczy, by lepiej wyobrazić sobie otoczenie. Waza, dywan, drzwi.

Kelsier w końcu wyszedł na ulice Luthadelu jako wolny – choć martwy – człowiek. Przez jakiś czas po prostu spacerował po mieście. Wydostanie się z jaskini napełniło go taką ulgą, że mógł ignorować przerażenie wywołane uwolnieniem Zniszczenia.

Wędrował przez cały dzień, przysiadając na dachach i mijając fontanny. Spoglądał z góry na miasto upstrzone promienistymi kawałkami metalu, jak światełka unoszące się w nocy we mgle. Skończył na murach miasta, wpatrując się w kolosy, które rozbiły pod nim obóz, ale z jakiejś przyczyny nikogo nie zabijały.

Musiał sprawdzić, czy istnieje jakiś sposób, by skontaktować się z przyjaciółmi. Niestety, bez pomocy impulsów – które ucichły, kiedy Zniszczenie uciekło – nie do końca wiedział, gdzie zacząć szukać. Tak bardzo był podekscytowany wyjściem z podziemi, że stracił z oczu Vin i Elenda, ale przypominał sobie, co widział w niektórych impulsach. Dzięki temu wiedział, gdzie zacząć.

W końcu znalazł swoją ekipę w Twierdzy Venture. Był to dzień po katastrofie przy Studni Wstąpienia, a oni brali udział w czymś, co wyglądało na pogrzeb. Kelsier ruszył przez dziedziniec, mijając świetliste ludzkie dusze, z których każda płonęła jak wapienne światło. Dotykał ich, by zobaczyć, jak wyglądają. Wielu rozpoznawał – skaa, z którymi kontaktował się w ostatnich miesiącach życia, których zachęcał i podtrzymywał na duchu. Innych nie znał. Zatrważająco wielu było

żołnierzami, którzy niegdyś służyli Ostatniemu Imperatorowi.

Znalazł Vin z przodu, siedziała skulona na schodach Twierdzy Venture. Nigdzie nie widział Elenda, choć w pobliżu stał Ham z rękami założonymi na piersi. Na dziedzińcu ktoś machał rękami i przemawiał. Czy to był Demoux? Prowadził uroczystości pogrzebowe? Na ziemi z pewnością leżały trupy, ich dusze już nie świeciły. Nie słyszał słów kapitana, ale sytuacja wydawała się jasna.

Kelsier usadowił się na schodach obok Vin. Uniósł przed sobą rękę.

– Wiesz... poszło ci dobrze.

Vin oczywiście nie odpowiedziała.

– To znaczy – mówił dalej – owszem, uwolniliśmy siłę zniszczenia i chaosu, która może doprowadzić do końca świata, ale przynajmniej Ostatni Imperator zginął. Misja wykonana. Poza tym wciąż masz tego swojego szlachetnie urodzonego chłopaka i w ogóle. Nie przejmuj się blizną na jego brzuchu. Będzie z nią wyglądać bardziej męsko. Mgły jedne wiedzą, że temu małemu pisarczykowi dobrze zrobi, gdy się trochę zahartuje.

Nie poruszyła się, wciąż siedziała ze zwieszoną głową. Położył rękę na jej ramionach i zobaczył, jak wyglądała w prawdziwym świecie. Pełna kolorów i życia, a jednak jakimś sposobem... zużyta. Wydawała się o wiele starsza, nie była już tym małym ulicznikiem, który oszukiwał obligatorów.

Pochylił się obok niej.

– Pokonam to coś, Vin. Zajmę się tym.

– A jak – odezwał się Zachowanie, stojący na dziedzińcu przed schodami – dokładnie zamierzasz tego dokonać?

Kelsier podniósł wzrok. Choć był przygotowany na widok Zachowania, i tak się skrzywił, kiedy zauważył jego obecną postać – bóg ledwie zachował ludzki kształt, przypominał raczej rozproszony kłęb poszarpanych pasm dymu, w których można się było domyślać obecności głowy, rąk, nóg.

– On jest wolny – stwierdził Zachowanie. – I już. Czas minął. Pora wypełnić umowę. Weźmie to, co mu obiecano.

– Powstrzymamy go.

– Powstrzymamy go? Jest siłą entropii, stałą wszechświata. Nie możesz go powstrzymać, tak samo, jak nie możesz zatrzymać czasu.

Kelsier wstał, zostawił Vin i zszedł po schodach w stronę Zachowania. Żałował, że nie słyszy, co Demoux mówi zgromadzeniu promiennych dusz.

– Jeśli nie da się go powstrzymać, to go spowolnimy. Już to kiedyś zrobiłeś, prawda? Twój wielki plan?

– Ja... Tak... Był plan...

– Jestem teraz wolny. Mogę ci pomóc wprowadzić go w życie.

– Wolny? – Zachowanie się roześmiał. – Nie, po prostu znalazłeś się w większym więzieniu. Jesteś przywiązany do tej Krainy, złączony z nią. Nic nie możesz zrobić. Ja nic nie mogę zrobić.

– To...

– On nas obserwuje, wiesz?

Zachowanie popatrzył w niebo.

Kelsier niechętnie podążył za jego spojrzeniem. Niebo – mgliste i zmienne – wydawało się tak odległe. Robiło wrażenie, jakby odsunęło się od planety, jak ludzie cofający się od trupa. W tym

ogromie Kelsier widział coś ciemnego, drżącego, wijącego się. Bardziej materialnego niż mgła, jak ocean węży zasłaniający malutkie słońce.

Znał ten ogrom. Zniszczenie rzeczywiście patrzył.

– On myśli, że jesteś bez znaczenia – stwierdził Zachowanie. – Sądzę, że uważa cię za zabawnego... dusza Atiego, która wciąż gdzieś tam jest, uśmiełaby się.

– On ma duszę?

Zachowanie nie odpowiedział. Kelsier podszedł do niego, mijając leżące na ziemi ciała stworzone z mgły.

– Jeśli on żyje, to można go zabić. Niezależnie od tego, jak jest potężny.

Ty jesteś dowodem na to, Fuzz, pomyślał Kelsier. On cię zabija.

Zachowanie zaśmiał się, szorstko i chrapliwie.

– Ciągłe zapominasz, który z nas jest bogiem, a który tylko biednym martwym cieniem. Czekałym na koniec. – Machnął rozmazany ramieniem, jego palce wyglądały jak spirale mglistych nici. – Posłuchaj ich. Nie zawstydzają cię, co mówią? Ocalały? Ha! Ja Zachowywałem ich przez tysiąclecia. A co ty dla nich zrobiłeś?

Kelsier odwrócił się w stronę Demoux. Zachowanie najwyraźniej zapomniął, że Kelsier nie słyszał przemowy. Zamierzając podejść do kapitana i zobaczyć, jak teraz wygląda, Kelsier przypadkiem musnął jedno z ciał na ziemi.

Młody mężczyzna. Najpewniej żołnierz. Nie znał chłopaka, ale zaczął się martwić. Spojrzał na miejsce, gdzie stał Ham – ta postać obok niego musiała być Breezem.

A co z pozostałymi?

Zrobiło mu się zimno. Zaczął dotykać trupów, szukając kogoś, kogo rozpoznawał. Jego ruchy stały się gorączkowe.

– Czego szukasz? – spytał Zachowanie.

– Jak wielu... – Kelsier przełknął ślinę. – Jak wielu z nich to moi znajomi?

– Niektórzy.

– Ktoś z ekipy?

– Nie – odparł Zachowanie, a Kelsier odetchnął. – Nie, oni zginęli podczas pierwszego ataku, przed wieloma dniami. Dockson. Clubs.

Kelsiera przeszły lodowata włócznia. Próbował podnieść się znad trupa, którego sprawdzał, ale się potknął. Nie umiał wydobyć z siebie słów.

– Nie. Nie Dox.

Zachowanie pokiwał głową.

– K... Kiedy to się stało? Jak?

Zachowanie się zaśmiał. Odgłos szaleństwa. Niewiele pozostało w nim z tego łagodnego, niepewnego mężczyzny, który powitał Kelsiera w tym miejscu.

– Obaj zostali zamordowani przez kolosy, które dostały się do miasta w czasie oblężenia. Ich ciała spalono przed wieloma dniami, kiedy ty byłeś uwięziony.

Kelsier zadrżał, czuł się zagubiony.

– Ja...

Dox, nie było mnie dla niego. Mogłem znów go zobaczyć, kiedy umierał. Porozmawiać z nim. Może

go uratować?

– Przeklinał cię, kiedy umierał, Kelsierze – powiedział Zachowanie surowym tonem. – Uważał, że to wszystko jest twoją winą.

Kelsier zwiesił głowę. Kolejny zabity przyjaciel. I Clubs... dwaj dobrzy ludzie. A niech to, stracił zbyt wielu z nich w ciągu swojego życia. Stanowczo zbyt wielu.

Przepraszam, Dox, Clubs. Przepraszam, że was zawiodłem.

Kelsier wziął ten gniew, tę gorycz i wstyd, i przekierował je. Podczas uwięzienia znalazł cel. Nie zamierzał go teraz stracić.

Wyprostował się i odwrócił do Zachowania. Bóg, co zaskakujące, skulił się. Kelsier chwycił go za rozpadające się ramię i przez krótką chwilę miał wizję kryjącej się za nim wspaniałości. Blasku Zachowania, który przenikał wszystko. Świat, mgły, metale, dusze ludzi. Ta istota jakimś sposobem umierała, ale jej moc bynajmniej nie zniknęła.

Czuł również cierpienie Zachowania. Był to ból straty, jaki Kelsier odczuwał z powodu śmierci Doxa, ale tysiącrotnie pomnożony. Zachowanie czuł każde światło, które gasło, czuł je i znał je jako człowieka, którego kochał.

A wokół nich świat ginał w przyspieszonym tempie. Padało zbyt wiele popiołu, a Zachowanie spodziewał się, że to przyspieszy. Szalejące armie kolosów. Śmierć, zniszczenie, świat goniący resztkami sił.

A... na południu... co to? Ludzie?

Kelsier trzymał Zachowanie przytłoczony jego boską udręką. Później przyciągnął go do siebie i objął.

– Tak mi przykro – szepnął.

– Och, Senno... tracę to miejsce. Tracę ich wszystkich.

Kelsier się cofnął.

– Powstrzymamy to.

– Nie da się tego powstrzymać. Umowa...

– Umowy można złamać.

– Nie tego rodzaju, Kelsierze. Udało mi się wcześniej nabrać Zniszczenie, zamknąć go, bo oszukałem go przy zawieraniu porozumienia. Ale nie zerwałem umowy, jedynie pozostawiłem w niej lukę do wykorzystania. Tym razem nie ma luk.

– W takim razie odejdziemy, kopiąc i wrzeszcząc. Ty i ja, jesteśmy drużyną.

Zachowanie się skupiał, jego postać zebrała się w sobie, pasma znów wracały na miejsce.

– Drużyna. Tak. Ekipa.

– Dokonamy niemożliwego.

– Rzucić wyzwanie rzeczywistości – szepnął Zachowanie. – Wszyscy zawsze powtarzali, że jesteś szalony.

– A ja zawsze przyznawałem, że mają trochę racji. Cała kwestia w tym, że choć mieli rację, gdy kwestionowali moje zdrowe zmysły, nie robili tego z właściwego powodu. To nie moja ambicja powinna ich martwić.

– W takim razie co?

Kelsier się uśmiechnął.

Zachowanie z kolei się roześmiał – ale dźwięk ten nie brzmiał już tak szorstko jak wcześniej.

– Nie mogę ci pomóc... w czymkolwiek, co wydaje ci się, że robisz. Nie bezpośrednio. Ja już... nie myślę dość jasno. Ale...

– Ale?

Zachowanie stał się jeszcze bardziej materialny.

– Ale wiem, gdzie możesz znaleźć kogoś, kto to zrobi.



2

Kelsier podążał przez miasto za nicią Zachowania przypominającą świetlisty pęd mgły. Od czasu do czasu podnosił wzrok, rzucając wyzwanie tej sile na niebie, która kłębiła się wśród mgieł i rozrastała w każdym kierunku.

Nie zamierzał się cofnąć. Nie chciał pozwolić, by to coś znów go zastraszyło. Już zabił jednego boga. Drugie morderstwo zawsze było łatwiejsze od pierwszego.

Pasmo Zachowania prowadziło go obok cienistych kamienic, przez slumsy, które po tej stronie wyglądały jakimś sposobem jeszcze bardziej przygnębiająco – wszyscy zebrani razem, dusze ludzi stłoczone w przerażonych gromadkach. Jego ekipa ocaliła miasto, ale wielu mijanych ludzi wyraźnie jeszcze tego nie wiedziało.

W końcu pasmo wyprowadziło go przez zniszczone bramy na północ, obok powoli uprzątanego gruzów i trupów. Obok armii żywych i tej przerażającej gromady kolosów, poza miasto i wzdłuż rzeki do... do jeziora?

Luthadel wybudowano niedaleko od jeziora o tej samej nazwie, choć większość mieszkańców z miasta z dużym samozaparciem ignorowała ten fakt. Jezioro Luthadel nie nadawało się do pływania ani uprawiania innych rozrywek, chyba że ktoś lubił kąpać się w gęstym szlamie, w którym więcej było popiołu niż wody – a trzeba by mieć dużo szczęścia, by złapać jedną z niewielu ryb, jakie pozostały po stuleciach sąsiedowania z miastem pełnym na wpół zagłodzonych skaa. Tak blisko popielnych gór utrzymanie rzeki i jeziora w stanie zdatnym do żeglugi wymagało bezustannej uwagi całej klasy ludzi, robotników kanałowych, dziwnej gromady skaa, która rzadko kontaktowała się z tymi z miasta.

Byliby przerażeni, gdyby się dowiedzieli, że po tej stronie jezioro – i rzeka też – były w jakiś sposób odwrócone. W przeciwieństwie do mgieł, które uginały się pod jego stopami, jezioro wznosiło się w postaci masywnego kopca, wyższego o zaledwie kilka cali, ale twardszego i w pewnym sensie solidniejszego od wszystkiego, po czym przyzwyczaił się chodzić.

Właściwie jezioro przypominało niską wyspę wznoszącą się z morza mgieł. W tym miejscu to, co płynne, i to, co stałe, wydawały się na swój sposób odwrócone. Kelsier podszedł do krawędzi wyspy, a wstęga esencji Zachowania zwinęła się obok niego i poprowadziła go na jezioro jak mityczny sznurek pokazujący drogę wyjścia z wielkiego labiryntu Ishathonu.

Kelsier wepchnął ręce do kieszeni spodni i kopnął ziemię wyspy. Wyglądała jak ciemny, dymny kamień.

– Co? – szepnął Zachowanie.

Kelsier podskoczył i spojrzał na pasmo świata.

– Ty... jesteś tam, Fuzz?

– Jestem wszędzie. – Głos Zachowania był cichy, kruchy. Wydawało się, że jest wyczerpany. –

Dlaczego się zatrzymałeś?

– Jest inne.

– Tak, tu krzepnie. To ma coś wspólnego ze sposobem myślenia ludzi i miejscami, w których najczęściej przechodzą. A w każdym razie w pewnym stopniu.

Kelsier wszedł na wyspę.

– Ale co to jest?

Zachowanie nie odpowiedział, więc Kelsier ruszył w głąb wyspy. Cokolwiek tu „zakrzepło”, uderzająco przypominało kamień. I coś na nim rosło. Kelsier mijał karłowate rośliny wyrastające z twardej ziemi – nie mgliste, nieokreślone, lecz prawdziwe, pełne barw. Miały szerokie, brązowe liście, z których – ciekawostka – podnosiła się mgła. Żadna z roślin nie sięgała mu wyżej niż do kolan, ale i tak nigdy by się ich tutaj nie spodziewał.

Kiedy przechodził przez pole roślin, wydawało mu się, że zauważył coś, co między nimi przebiegało, po drodze szeleszcząc liśćmi.

Świat umarłych ma rośliny i zwierzęta? – pomyślał. Ale Zachowanie określił go inaczej. Kraina Umysłu. Jak te rośliny tu rosły? Skąd miały wodę?

Im dalej wchodził w głąb wyspy, tym było ciemniej. Zniszczenie zasłaniał małe słońce, a Kelsier zaczynał tęsknić nawet za tym słabym blaskiem, który przenikał widmowe mgły miasta. Wkrótce wędrował w czymś, co przypominało zmrok.

Wstęga Zachowania stawała się coraz cieńsza, aż w końcu zniknęła. Kelsier zatrzymał się przy jej końcu i szepnął:

– Fuzz? Jesteś tu?

Żadnej odpowiedzi, a milczenie zaprzeczało wcześniejszemu twierdzeniu Zachowania, że był wszędzie. Kelsier potrząsnął głową. Może Zachowanie słuchał, ale nie był na tyle obecny, by odpowiedzieć. Ruszył dalej przed siebie, mijając miejsce, w którym rośliny sięgały mu do pasa, a mgła wznosiła się z ich szerokich liści jak para znad talerza z gorącym daniem.

Wreszcie zauważył przed sobą światło. Zatrzymał się. Wcześniej zupełnie naturalnie zaczął się skradać, kierowały nim instynkty wykształcone przez całe życie poświęcone oszustwom, właściwie od dnia narodzin. Nie miał broni. Ukłął, próbując wymacać na ziemi jakiś kamień albo kij, ale w tej okolicy nie rosły krzaki, a grunt był gładki.

Zachowanie obiecał mu pomoc, ale Kelsier nie miał pewności, w jakim stopniu mógł ufać jego słowom. Dziwne, że przeżycie własnej śmierci sprawiło, iż był mniej skłonny wierzyć słowu boga. Zdjął pasek, by wykorzystać go jako broń, ale on wyparował w jego rękach i znów pojawił się w talii. Kelsier potrząsnął głową i podkradł się bliżej ognia, tak że zauważył dwoje ludzi. Żywych i obecnych w tej Krainie – to nie były świetliste dusze czy mgliste duchy.

Mężczyzna miał na sobie strój skaa – szelki i koszula z podwiniętymi rękawami – i zajmował się ogniskiem. Miał krótkie włosy i wąską twarz. Ten nóż u jego pasa, dość długi, by służyć jako miecz, mógłby się mu przydać.

Kobieta, która siedziała na niedużym składanym krzeselku, przypominała trochę Terrisanę. Niektórzy Terrisanie mieli niemal równie ciemną skórę, choć w południowych dominiach również

spotykał ludzi o ciemnej cerze. Z pewnością nie ubierała się po terrisańsku – włożyła prostą brązową sukienkę spiętą szerokim brązowym pasem, a włosy zaplotła w malutkie warkoczyki.

Dwoje. Mógł sobie poradzić z dwojgiem, prawda? Nawet bez Allomancji i broni. Tak czy inaczej, lepiej zachować ostrożność. Nie zapomniał, jak upokorzył go Włóczęga. Kelsier rozważnie podjął decyzję, wyprostował się, obciągnął płaszcz i wkroczył do ich obozu.

– Cóż – ogłosił – ostatnie dni były zaiste niezwykle, muszę wam powiedzieć.

Mężczyzna przy ognisku cofnął się gwałtownie, położył dłoń na rękojeści noża i patrzył na niego. Kobieta została na krzeselku, ale sięgnęła po coś u boku. Niewielką rurkę z rękojeścią na dole. Zwróciła ją w jego stronę, jakby była bronią.

Kelsier spojrzał na niebo z masą kłębiących się i wijących macek.

– Kogoś jeszcze niepokoi nienasycona siła zagłady nad naszymi głowami?

– Na cienie! – krzyknął mężczyzna. – To ty. Jesteś martwy!

– Zależy od twojej definicji śmierci. – Kelsier podszedł do ognia. Kobieta cały czas mierzyła do niego z tej swojej dziwnej broni. – Na płomienie, z czego jest to ognisko? – Popatrzył na nich. – Co?

– Jak? – wykrztusił mężczyzna. – Co? Kiedy...?

– Dlaczego? – podpowiedział Kelsier.

– Tak, dlaczego!

– Widzicie, jestem ogromnie wrażliwy. A doszedłem do wniosku, że śmierć bardzo źle działa na trawienie. Dlatego postanowiłem odmówić udziału.

– Człowiek nie może po prostu postanowić, że stanie się cieniem! – wykrzyknął mężczyzna. Mówił ze słabym, dziwnym akcentem, którego Kelsier nie potrafił umiejscowić. – To ważny rytuał! Są wymagania i tradycje. To... to... – Zamachał rękami. – A niech to!

Kelsier uśmiechnął się i napotkał spojrzenie kobiety, która sięgnęła po kubek z jakimś ciepłym płynem stojący na ziemi obok jej krzeselka. Drugą ręką schowała broń. Wyglądała na jakieś trzydzieści pięć lat.

– Ocalały z Hathsin – powiedziała z namysłem.

– Wydaje się, że macie nade mną przewagę. Jeden z problemów z tak wielką wątpliwą sławą.

– Sądzę, że sława ma wiele wad, zwłaszcza dla złodzieja. Nikt nie chciałby zostać rozpoznany, kiedy próbuje kogoś obrobić.

– Jeśli wziąć pod uwagę, jak traktują go mieszkańcy tej krainy – powiedział mężczyzna, wciąż obserwując uważnie Kelsiera – spodziewałbym się, że byliby zachwyceni, gdyby odkryli, że ich okrada.

– Tak – odparł oschle Kelsier – właściwie ustawiali się w kolejce do tego przywileju. Czy mam się powtarzać?

Kobieta zastanawiała się przez chwilę.

– Jestem Khriss z Taldainu. – Skinęła na drugiego mężczyznę, który niechętnie schował nóż. – To Nazh. Zatrudniam go.

– Doskonale. Macie jakieś pojęcie, dlaczego Zachowanie wysłał mnie, żebym z wami porozmawiał?

– Zachowanie?! – Nazh podszedł bliżej i chwycił Kelsiera za ramię. Czyli podobnie jak Włóczęga, mogli go dotknąć. – Rozmawiałeś bezpośrednio z jednym z Odprysków?

– Jasne. Jesteśmy z Fuzzem starymi kumplami.

Wyrwał ramię z uścisku Nazha i chwycił drugi składany stółek – dwie proste drewniane ramy, które

można było złożyć razem, a między nimi kawałek materiału.

Ustawił go naprzeciwko Khriss i usiadł.

– Nie podoba mi się to, Khriss – stwierdził Nazh. – On jest niebezpieczny.

– Na szczęście my też. Odprysk Zachowania. Jak on wygląda?

– Czy to próba, by sprawdzić, czy rzeczywiście z nim rozmawiałem, czy też szczerze pytanie dotyczące jego obecnego stanu?

– Oba.

– Umiera. – Kelsier obracał w dłoni nóż Nazha. Zabrał go w czasie ich niedawnej sprzeczki i z ciekawością zauważył, że choć przedmiot wykonano z metalu, nie świecił. – Jest niskim czarnowłosym mężczyzną... a w każdym razie był. On się... cóż, rozpada.

– Ej. – Nazh spojrział spod przymrużonych powiek na nóż. Później przeniósł wzrok na pas i pustą pochwę. – Ej!

– Rozpada się – powiedziała Khriss. – Taka powolna śmierć. Ati nie wie, jak Rozszczepić inny Odprysk? A może nie ma siły? Hm...

– Ati? Zachowanie wspominał to imię.

Khriss jednym palcem wskazała na niebo, jednocześnie pociągnęła łyk napitku.

– To on. A w każdym razie to, czym się stał.

– A... czym jest Odprysk?

– Jesteś uczonym, panie Ocalały?

– Nie. Ale paru zabiłem.

– Uroczo. Cóż, przypadkiem napatoczyłeś się na coś o wiele większego od ciebie, waszej polityki czy waszej malutkiej planety.

– Tak wielkiego, że sobie z tym nie poradzisz. – Nazh porwał swój nóż w chwili, gdy Kelsier uniósł go na palcu. – Powinieneś się wycofać.

– Nazh ma trochę racji. Twoje pytania są niebezpieczne. Kiedy wejdiesz za kurtynę i zobaczysz w aktorach ludzi, którymi są, trudniej udawać, że sztuka jest prawdą.

– Ja... – Kelsier pochylił się i splótł ręce przed twarzą. A niech to... ogień był ciepły, ale wydawało się, że niczego nie pali. Wpatrzył się w płomień i przełknął ślinę. – Obudziłem się po śmierci, choć w głębi duszy spodziewałem się, że nie ma życia po życiu. Odkryłem, że bóg jest prawdziwy, ale umiera. Potrzebuję odpowiedzi na swoje pytania. Proszę.

– Ciekawe – powiedziała.

Podniósł wzrok i zmarszczył czoło.

– Słyszałam wiele opowieści na twój temat, Ocalały. Często wychwalały twoje liczne podziwu godne cechy. Szczerze nigdy się do nich nie zaliczała.

– Mogę ukraść coś jeszcze twojemu służącemu, jeśli w ten sposób poczujesz, że bardziej przypominam kogoś, kogo się spodziewałaś.

– Możesz spróbować.

Nazh krążył wokół ogniska z rękami założonymi na piersi, najwyraźniej próbował robić wrażenie groźnego.

– Odpryski – powiedziała Khriss, przyciągając uwagę Kelsiera – nie są Bogiem, ale są kawałkami Boga. Zniszczenie, Zachowanie, Niezależność, Pielęgnacja, Oddanie... Jest ich szesnaście.

– Szesnaście. – Kelsier sapnął. – Po okolicy krąży ich jeszcze czternaście?

– Reszta jest na innych planetach.

– Innych... – Kelsier zamrugał. – Innych planetach.

– Ach, widzisz – powiedział Nazh. – Już go popsulaś.

– Innych planetach – powtórzyła łagodnie. – Tak, są ich tuziny. Na wielu mieszkają ludzie podobni do ciebie i mnie. Istnieje też pierwotna, zasłonięta i ukryta gdzieś w cosmere. Jeszcze jej nie odnalazłam, ale znalazłam opowieści.

– Tak czy inaczej, był bóg. Adonalsium. Nie wiem, czy był siłą, czy istotą, choć podejrzewam to drugie. Szesnaścioro ludzi, razem, zabiło Adonalsium, rozszarpało je i rozdzieliło między siebie jego esencję, stając się pierwszymi, którzy Wstąpili.

Kelsier próbował objąć to rozumem.

– Kim byli?

– Różnorodną grupą. O równie różnorodnych motywacjach. Niektórzy pragnęli mocy, inni postrzegali zabicie Adonalsium jako jedyne dobre rozwiązanie, które im pozostało. Razem zamordowali bóstwo i sami stali się boscy. – Uśmiechnęła się życzliwie, jakby chciała przygotować go na swoje następne słowa. – Dwóch z nich stworzyło tę planetę, Ocalały, łącznie z ludźmi.

– Czyli... mój świat i wszyscy, których znam, jest dziełem pary... półbogów?

– Raczej cząstkowych bogów – stwierdził Nazh. – I to takich, którzy nie mieli szczególnych kwalifikacji do boskości, poza przebiegłością wystarczającą, by zabić gościa, który wcześniej miał tę robotę.

– A niech mnie... – Kelsier westchnął. – Nic dziwnego, że wszyscy jesteśmy tak piekielnie pokręceni.

– Właściwie – wtrąciła Khriss – ludzie zazwyczaj tacy są, niezależnie od tego, kto ich stworzył. Jeśli to cię pocieszy, Adonalsium stworzył pierwszych ludzi, więc wasi bogowie mieli wzorzec, którym mogli się posłużyć.

– Czyli jesteśmy kopiami niedoskonałego oryginału. Niezbyt mnie to pociesza. – Kelsier uniósł wzrok. – A to coś? Było człowiekiem?

– Moc... wypacza – powiedziała Khriss. – Gdzieś tam w środku jest osoba, która tym kieruje. A może już tylko się trzyma.

Kelsier przypomniał sobie marionetkę Zniszczenia o kształcie mężczyzny. Właściwie skorupę wypełnioną straszliwą mocą.

– I co się stanie, jeśli jedna z tych istot... umrze?

– Sama jestem bardzo ciekawa. Nigdy nie widziałam tego osobiście, a przeszłe śmierci były inne. Każda była jednym, gwałtownym wydarzeniem, po którym moc boga rozszczepiała się i rozpraszała. To bardziej przypomina uduszenie, podczas gdy poprzednie były jak odrąbanie głowy. To będzie bardzo pouczające.

– Chyba że ją powstrzymam.

Uśmiechnęła się do niego.

– Nie traktuj mnie tak protekcyjnie – warknął Kelsier i wstał, a stółek się przewrócił. – Powstrzymam to.

– Ten świat się zwija, Ocalały. Wielka szkoda, ale nie znam żadnego sposobu, by to powstrzymać. Przybyłam tu z nadzieją, że mogłabym pomóc, ale nie mogę już nawet dotrzeć do Krainy Materii.

– Ktoś zniszczył drogę do środka – zauważył Nazh. – Ktoś niewiarygodnie lekkomyślny. Bezczelny. Głupi. Nie...

– Przesadzasz. Włóczęga powiedział mi, co zrobiłem.

– Że... kto? – spytała Khriss.

– Taki jeden typ z białymi włosami. Chudy, ostry nos i...

– A niech to. Dotarł do Studni Wstąpienia?

– Coś stamtąd ukradł. Kawalek metalu.

– A niech to – powtórzyła Khriss i spojrzała na służącego. – Musimy iść. Przepraszam, Ocalały.

– Ale...

– Nie chodzi o to, co właśnie nam powiedziałaś. – Podniosła się i machnęła na Nazha, by zaczął zbierać ich rzeczy. – I tak odchodziliśmy. Ta planeta umiera. I choć chciałabym być świadkiem śmierci Odprysku, nie odważę się zrobić tego z bliska. Będziemy obserwować z daleka.

– Zachowanie sądził, że będziecie mogli mi pomóc. Z pewnością coś możecie zrobić. Coś powiedzieć. To nie może być koniec.

– Naprawdę mi przykro, Ocalały – powiedziała cicho Khriss. – Może gdybym wiedziała więcej, może gdyby udało mi się przekonać Airi, żeby odpowiedzieli na moje pytania... – Pokręciła głową. – To będzie trwało długo, Ocalały, wiele miesięcy. Ale nadchodzi. Zniszczenie pochłonie ten świat, a mężczyzna znany kiedyś jako Ati tego nie powstrzyma. Nawet gdyby chciał.

– Wszystko... – szepnął Kelsier. – Wszystko, co znałem. Każda osoba na... mojej planecie?

Nazh pochylił się i podniósł ogień, który zniknął. Duży płomień po prostu zwinął się w jego dłoniach, a Kelsierowi wydawało się, że widzi przy tym obłoczek mgły. Kelsier podniósł jednym palcem stołek, odkręcił śrubę na dole i schował ją w dłoni, po czym oddał stołek Nazhowi.

Nazh zarzucił na grzbiet plecak, do którego przymocowano tuby na zwoje. Spojrzał na swoją panią.

– Zostańcie – powiedział Kelsier, odwracając się do Khriss. – Pomóżcie mi.

– Pomóc ci? Nie mogę pomóc samej sobie, Ocalały. Jestem na wygnaniu, a nawet gdyby tak nie było, nie mam środków, by powstrzymać Odprysk. Pewnie nie powinnam tu przybywać. – Zawahała się. – I bardzo mi przykro, ale nie mogę zaproponować ci, żebyś poszedł z nami. Oczy twojego boga będą na nas skierowane, Kelsierze. On będzie wiedział, gdzie jesteś, bo masz w sobie jego cząstkę. Już rozmowa z tobą w tym miejscu była niebezpieczna.

Nazh podał jej torbę, a ona przerzuciła ją przez ramię.

– Powstrzymam to – powiedział im Kelsier.

Khriss uniosła dłoń i zwinęła palce w nieznanym geście, który pewnie był pożegnaniem. Odwróciła się plecami do polany i weszła między krzewy. Nazh podążył za nim.

Kelsier usiadł. Zabrali krzesła, więc usadowił się na ziemi i zwiesił głowę. Na to zasługujesz, Kelsierze, szeptał głos w jego wnętrzu. Pragnąłeś tańczyć z boskością i okradać bogów. A teraz jesteś zaskoczony, że wpakowałeś się powyżej uszu.

Szelest liści sprawił, że znów poderwał się na równe nogi. Z cieni wyłonił się Nazh. Niski mężczyzna zatrzymał się na krawędzi porzuconego obozowiska, zaklął cicho, po czym podszedł bliżej, wyjął nóż razem z pochwą i podał go Kelsierowi.

Kelsier z wahaniem przyjął broń.

– Jesteście w trudnej sytuacji – powiedział cicho Nazh – ale lubię to miejsce. Nawet te przekłete

mgły. – Wskazał na zachód. – Oni pobudowali się tam.

– Oni?

– Airi. Zajmowali się tym znacznie dłużej od nas, Ocalały. Jeśli ktoś wie, jak wam pomóc, to Airi.

Szukaj ich w miejscu, w którym ziemia staje się znów stała.

– Znów stała... – mruknął Kelsier. – Jezioro Tyrian?

– Dalej. O wiele dalej, Ocalały.

– Ocean? Ale to wiele mil stąd. Dalej niż Najdalsze Dominium!

Nazh poklepał go po ramieniu i odwrócił się, by ruszyć za Khriss.

– Czy jest nadzieja?! – zawołał za nim Kelsier.

– A gdybym powiedział ci, że nie? – rzucił Nazh przez ramię. – A gdybym powiedział, że moim zdaniem jesteście już zniszczeni, że tak powiem. Czy to by cokolwiek zmieniło?

– Nie.

Nazh uniósł palce do czoła w geście pozdrowienia.

– Żegnaj, Ocalały. Dbaj o mój nóż. Lubię go.

Zniknął w ciemnościach. Kelsier odprowadził go wzrokiem, po czym zrobił jedyną racjonalną rzecz.

Połknął śrubę, którą wcześniej wyjął ze stolka.



3

Nic się nie stało. Kelsier miał nadzieję, że uda mu się skorzystać z Allomancji, ale śruba po prostu spoczęła mu w żołądku – dziwny i nieprzyjemny ciężar. Mimo wielu prób nie mógł jej spalić. W czasie marszu w końcu ją zwrócił i zostawił.

Dotarł do miejsca, w którym wyspa przechodziła w mglisty grunt otaczający Luthadel, i poczuł, jak na jego barki opada nowy ciężar. Świat skazany na zagładę, umierający bogowie i cały wszechświat, o którego istnieniu nie wiedział. Jego jedyną nadzieją była teraz... podróż nad ocean?

Nigdy nie dotarł tak daleko, nawet w czasie wędrówek z Gemmelem. Przebycie takiej odległości musiało zająć całe miesiące. Czy mieli miesiące?

Zszedł z wyspy na miękką ziemię mglistego brzegu. W pewnej odległości widział Luthadel, cienisty mur z kłębiącą się mgły.

– Fuzz?! – zawołał. – Jesteś tam?!

Zachowanie pojawił się obok niego.

– Jestem wszędzie.

– Słuchałeś? – spytał Kelsier.

Zachowanie pokiwał w zamyśleniu głową, jego postać była rozproszona, a twarz niewyraźna.

– Myślę... na pewno...

– Wspomnieli o kimś nazywanym Ai Ri?

– Tak, I-ri. – Zachowanie wymówił nazwę w nieco inny sposób. – Trzy litery. I R E. To coś znaczy w ich języku, tych ludzi z innej krainy. Tych, którzy umarli, ale nie. Czuję, jak się tłoczą na krawędzi mojego pola widzenia, jak duchy w nocy.

– Martwi, ale żywi. Jak ja?

– Nie.

– W takim razie jak?

– Umarli, ale nie.

Cudownie, pomyślał Kelsier. Odwrócił się w stronę zachodu.

– Podobno są nad oceanem.

– Ire wybudowali miasto – powiedział cicho Zachowanie. – W miejscu między światami...

– W porządku. – Kelsier odetchnął głęboko. – Tam się właśnie udam.

– Udasz się? Zostawiasz mnie?

Niepokój w jego głosie zaskoczył Kelsiera.

– Jeśli ci ludzie mogą nam pomóc, muszę z nimi porozmawiać.

– Nie pomogą nam. Oni są... są bezwzględni. Spiskują nad moim trupem jak padlinożerne owady czekające na ostatnie uderzenie serca. Nie odchodź. Nie zostawiaj mnie.

– Jesteś wszędzie. Nie mogę cię zostawić.

– Nie. Oni są poza mną. Ja... nie mogę opuścić tej krainy. Za bardzo ją Napełniłem, każdą skałę i liść.

– Zamigotał, jego niewyraźna postać rozproszyła się jeszcze bardziej. – My się... łatwo przywiązujemy, a odejście wymaga szczególnego poświęcenia.

– A Zniszczenie? – Kelsier odwrócił się w stronę zachodu. – Jeśli zniszczy wszystko, czy będzie zdolny uciec?

– Tak – odparł bardzo cicho Zachowanie. – Wtedy mógłby odejść. Ale, Kelsierze, nie możesz mnie porzucić. Jesteśmy... drużyną, prawda?

Kelsier położył dłoń na ramieniu istoty. Kiedyś tak pewny siebie, teraz niewiele więcej niż plama w powietrzu.

– Wrócę, jak tylko będę mógł. Jeśli mam powstrzymać to coś, będę potrzebował pomocy.

– Litujesz się nade mną.

– Lituję się nad każdym, kto nie jest mną, Fuzz. Takie jest ryzyko bycia człowiekiem, jakim jestem. Ale poradzisz sobie. Miej oko na Zniszczenie i spróbuj przekazać wiadomość Vin i temu jej szlachetnie urodzonemu.

– Litość – powtórzył Zachowanie. – Czy tym... tym właśnie się stałem? Tak... tak właśnie jest.

Wyciągnął niewyraźną rękę i od dołu chwycił Kelsiera za ramię. Kelsier sapnął, zaraz jednak ucichł, kiedy Zachowanie drugą dłonią złapał go za kark i spojrzał mu w oczy. Jego spojrzenie nagle skupiło się, rozmyte stało się wyraźne. Z oczu Zachowania wypłynął srebrzystobiały blask, który skąpał Kelsiera i oślepił go.

Wszystko inne wyparowało, nic nie mogło wytrzymać tego straszliwego, cudownego światła. Kelsier stracił postać, myśli, całe swoje istnienie. Wykroczył poza jaźń i znalazł się w miejscu pełnym płynnego światła. Wypływały z niego promienne pasma i choć próbował krzyczeć, odkrył, że nie ma głosu.

Czas nie upływał, nie miał tu znaczenia. To nie było miejsce, lokalizacja również pozostawała bez znaczenia. Liczył się jedynie Związek, osoby z osobą, człowieka ze światem, Kelsiera z bogiem.

A ten bóg był wszystkim. Istota, nad którą się litował, była ziemią, po której kroczył Kelsier, powietrzem, metalami – jego własną duszą. Zachowanie był wszędzie. Przy nim Kelsier nie miał żadnego znaczenia. Był jak umykająca myśl.

Wizja zniknęła. Kelsier cofnął się niepewnym krokiem od Zachowania, który stał spokojnie, był jedynie rozmazaną plamą – ale symbolizował o wiele więcej. Kelsier uniósł dłoń do piersi i z niezrozumiałego powodu ucieszył się, że wyczuwa bicie serca. Jego dusza nauczyła się naśladować ciało i z jakiejś przyczyny przyspieszone bicie serca było uspokajające.

– Pewnie na to zasługiwałem – stwierdził Kelsier. – Ostrożnie korzystaj z tych wizji, Fuzz. Rzeczywistość nie jest szczególnie zdrowa dla ludzkiego ego.

– Powiedziałbym, że jest bardzo zdrowa.

– Widziałem wszystko – mruknął Kelsier. – Wszystkich, wszystko. Mój Związek z nimi i... i...

Rozpościerający się w przyszłość, pomyślał, próbując znaleźć wyjaśnienie. Możliwości, tak wiele możliwości... jak atium.

– Tak. – Zachowanie wydawał się wyczerpany. – Poznanie swojego prawdziwego miejsca w rzeczywistości może być ciężkim doświadczeniem. Niewielu umie poradzić sobie...

Kelsier podszedł do Zachowania i chwycił go za ramiona.

– Odeślij mnie z powrotem.

– Co takiego?

– Odeślij mnie z powrotem. Muszę to znów zobaczyć.

– Twój umysł jest zbyt kruchy. Rozpadnie się.

– Zniszczyłem go już przed laty, Fuzz. Zrób to. Proszę.

Zachowanie chwycił go z wahaniem, tym razem minęło więcej czasu, nim jego oczy zaczęły świecić. Zabłyśły, a jego postać zadrżała, i przez chwilę Kelsier spodziewał się, że bóg całkiem się rozproszy.

Wreszcie zapłonął blask i Kelsier został w jednej chwili pochłonięty. Tym razem zmusił się, by odwrócić wzrok od Zachowania – choć była to w mniejszym stopniu kwestia patrzenia. Chodziło raczej o przebicie się przez straszliwy nadmiar informacji i odczuć, które go atakowały.

Niestety, kiedy odwrócił uwagę od Zachowania, ryzykował skupienie jej na czymś innym – czymś równie przytłaczającym. Był tam drugi bóg, czarny i straszliwy, istota z kolcami i pajęczymi nogami, wyrastająca z ciemnych mgieł i sięgająca do wszystkiego w całej krainie.

W tym do Kelsiera.

W rzeczy samej, jego związki z Zachowaniem były trywialne w porównaniu z setkami czarnych palców, które łączyły go z tym czymś Poza. Wyczuwał emanujące z niego potężne zadowolenie, razem z ideą. Nie słowami, jedynie niezaprzeczalnym faktem.

„Jesteś mój, Ocalały”.

Kelsier buntował się przed tą myślą, ale w tym miejscu idealnego światła nie dało się zaprzeczyć prawdzie.

Choć jego dusza kruszyła się pod ciężarem straszliwej rzeczywistości, Kelsier z wysiłkiem zwrócił się w stronę pasm światła sięgających w przestrzeń. Możliwości i możliwości, nakładające się jedna na drugą. Nieskończone, przytłaczające. Przyszłość.

Znów wyrwał się z wizji, ale tym razem padł na kolana i dyszał ciężko. Blask przygasł, a on wrócił na brzeg jeziora Luthadel. Zachowanie usiadł i położył rękę na jego plecach.

– Nie mogę go powstrzymać – szepnął Kelsier.

– Wiem.

– Widziałem tysiące tysięcy możliwości. W żadnej z nich nie pokonałem tego czegoś.

– Wstęgi przyszłości nigdy nie są tak użyteczne, jak... jak powinny być. W przeszłości często się na nich unosiłem. Zbyt trudno zobaczyć, co jest rzeczywiście prawdopodobne, a co jest kruchym... kruchym, odległym może...

– Nie mogę go powstrzymać – szepnął Kelsier. – Jestem zbyt do niego podobny. Wszystko, co robię, służy jemu. – Uniósł wzrok i uśmiechnął się.

– Złamał cię – stwierdził Zachowanie.

– Nie, Fuzz. – Kelsier roześmiał się i wstał. – Nie. Ja nie mogę go powstrzymać. Cokolwiek zrobię, nie mogę go powstrzymać. – Spojrzał z góry na Zachowanie. – Ale ona może.

– On to wie. Miałaś rację. Przygotowywał ją, napelniał.

– Ona może to pokonać.

– Krucha możliwość. Fałszywa obietnica.

– Nie – sprzeciwił się cicho Kelsier. – Nadzieja.

Wyciągnął rękę. Zachowanie przyjął ją i pozwolił, by Kelsier pomógł mu wstać. Bóg pokiwał głową.

– Nadzieja. Jaki jest nasz plan?

– Ja ruszam na zachód. Widziałem to w możliwościach...

– Nie ufaj temu, co zobaczyłeś. – Zachowanie brzmiał bardziej stanowczo niż wcześniej. – Potrzeba nieskończonego umysłu, by choć podejrzeć informacje w pasmach przyszłości. Nawet wtedy najprawdopodobniej się pomylisz.

– Ścieżka, którą widziałem, zaczynała się od mojego wyruszenia na zachód. Nie mam innych pomysłów. Chyba że ty masz lepszą propozycję.

Zachowanie pokręcił głową.

– Ty musisz zostać tutaj, walczyć z nim, stawiać opór... i próbować dotrzeć do Vin. Jeśli nie do niej, to do Sazedą.

– On... nie czuje się dobrze.

Kelsier przechylił głowę.

– Został ranny w walkach?

– Gorzej. Zniszczenie próbuje go złamać.

A niech to. Ale co mógł zrobić, poza dalszą realizacją swojego planu?

– Zrób, co możesz. Ja odnajdę tych ludzi na zachodzie.

– Nie pomogą.

– Nie zamierzam prosić ich o pomoc. – Na twarzy Kelsiera pojawił się uśmiech. – Okradnę ich.

CZĘŚĆ CZWARTA

PODRÓŻ





I

Kelsier biegł. Potrzebował niecierpliwości i siły wiążących się z byciem w ruchu. Człowiek, który biegł, miał cel.

Pozostawiwszy za sobą okolice Luthadelu, pobiegł wzdłuż kanału, żeby zachować właściwy kierunek. Podobnie jak jezioro, kanał był tu odwrócony – długi, wąski kopiec zamiast rynny.

Biegąc, Kelsier próbował po raz kolejny rozwikłać plątaninę sprzecznych obrazów, wrażeń i idei, których doświadczył w miejscu, gdzie widział wszystko. Vin mogła pokonać to coś. Tego Kelsier był pewien, podobnie jak był pewien, że on sam nie pokona Zniszczenia.

Od tego punktu jednak jego myśli stawały się bardziej niewyraźne. Ci ludzie, Ire, pracowali nad czymś niebezpiecznym. Czymś, co mógł wykorzystać przeciwko Zniszczeniu... może.

Tylko tyle miał. Zachowanie się nie mylił – nici w tym miejscu między chwilami były zbyt splątane, zbyt efemeryczne, by dać mu coś więcej niż niewyraźne wrażenie. Ale przynajmniej mógł coś zrobić.

Dlatego biegł. Nie miał czasu iść. Znów tęsknił za Allomancją, cyną z ołowiem dającą mu siłę i wytrzymałość. Miał tę moc przez tak krótki czas w porównaniu z resztą życia, ale szybko stała się jego drugą naturą.

Już nie musiał polegać na tych umiejętnościach. Na szczęście bez ciała się nie męczył, o ile nie zatrzymał się i nie pomyślał, że powinien czuć wyczerpanie. Co nie stanowiło problemu. Kelsier był mistrzem w oszukiwaniu samego siebie.

Miał nadzieję, że Vin wytrzyma dość długo, by ocalić ich wszystkich. To straszliwy ciężar jak na ramiona jednej osoby. Gdyby mógł, uniósłby jego część.



2

Znam to miejsce, pomyślał Kelsier, zwalniasząc, gdy przebiegał przez niewielkie miasteczko nad kanałem. Przystanek, w którym nadzorcy kanałów mogli zapewnić swoim skaa trochę odpoczynku, napić się i wykąpać przed snem. Tę miejscowość wyróżniały dwie walące się wieże naprzeciwko wybrzeża kanału.

Tak, pomyślał Kelsier, zatrzymując się na ulicy. Wieże rzucały się w oczy nawet w sennym, mglistym krajobrazie tej Krainy. Longsfollow. Jak to możliwe, że dotarł już do tego miejsca? Znajdowało się daleko poza granicami Centralnego Dominium. Jak długo biegł?

Od śmierci czas stał się dla niego czymś dziwnym. Nie potrzebował jedzenia i nie czuł zmęczenia poza tym, które narzucał mu jego własny umysł. Ponieważ Zniszczenie zasłaniało słońce i jedynym źródłem światła był mglisty grunt, Kelsier nie umiał ocenić upływu dni.

Biegł... od jakiegoś czasu. Dłuższego czasu?

Nagle poczuł się wyczerpany, jego umysł wypełniło otępienie, jakby cierpiał z powodu przeciągania cyny z ołowiem. Jęknął i usiadł z boku kopca kanału, który porastały drobne rośliny. Roślinność ta wyrastała wszędzie, gdzie w realnym świecie była woda. Widywał ją nawet w mglistych kubkach.

Od czasu do czasu trafiał na inne, dziwniejsze rośliny na terenach między miastami – w miejscach, gdzie miękki grunt robił się stabilniejszy. Okolicach pozbawionych ludzi – rozciągniętej, wypełnionej popiołem pustce między kropkami cywilizacji.

Podniósł się z trudem, walcząc z wyczerpaniem. Było tylko w jego głowie, i to dosłownie. Czuł opór przed zmuszeniem się do biegu, dlatego zaczął spacerować po Longsfollow. Wokół postoju przy kanale wyrosło miasteczko. Cóż, bardziej wieś. Szlachetnie urodzeni, którzy zarządzali plantacjami dalej od kanału, przybywali tutaj, by sprzedawać swoje towary i wysyłać je do Luthadelu. Stało się ośrodkiem handlowym, ożywionym centrum administracyjnym.

Kelsier zabił tu siedmioro ludzi.

A może ośmioro? Nie przerywając spaceru, przeliczył ich w myślach. Lord, obaj jego synowie, jego żona... Tak, siedmioro, włączając dwóch strażników i tego kuzyna. Zgadza się. Oszczędził żonę kuzyna, która spodziewała się dziecka.

On i Mare wynajmowali pokój nad sklepem, dokładnie tam, udając, że są kupcami zatrudnionymi przez jeden z mniej liczących się szlachetnych rodów. Wszedł po schodach biegnących na zewnątrz budynku i zatrzymał się przy drzwiach. Oparł na nich palce i wyczuł je w Krainie Materii, znajome nawet po tak długim czasie.

„Mieliśmy plany!” – powiedziała Mare, kiedy gorączkowo się pakowali. „Jak mogłeś to zrobić?”

– Oni zamordowali dziecko, Mare – szepnął Kelsier. – Utopili ją w kanale z kamieniami przywiązanymi do nóg. Bo rozlała ich herbatę. Bo rozlała przeklętą herbatę.

„Och, Kell”, powiedziała. „Oni codziennie zabijają ludzi. To straszne, ale takie jest życie. Zamierzasz mścić się na wszystkich szlachetnie urodzonych?”.

– Tak. – Kelsier przycisnął pięść do drzwi. – Zrobiłem to. Sprawilem, że sam Ostatni Imperator zapłacił, Mare.

A ta kłębiąca się masa węży na niebie... to był skutek. Zobaczył prawdę, w tej chwili poza czasem. Ostatni Imperator zapobiegłby zagładzie na kolejny tysiąc lat.

Zabić jednego człowieka. Zemścić się, ale jak wiele śmierci spowodować? On i Mare uciekli z tej wioski. Później się dowiedział, że przybyli Inkwizytorzy i w poszukiwaniu odpowiedzi torturowali wielu ich znajomych, a część z nich zabili.

Zabić, a oni zabijali w odpowiedzi. Zemścić się, a oni pomścili się po dziesięciokroć.

„Jesteś mój, Ocalały”.

Chwycił klamkę, ale jedynie zobaczył, jak wyglądała w rzeczywistości. Nie mógł jej nacisnąć. Całe szczęście umiał przecisnąć się przez drzwi na drugą stronę. Zatrzymał się gwałtownie i z zaskoczeniem stwierdził, że pokój jest zajęty. Na posłaniu w kącie leżała samotna dusza – świecąca, więc to był człowiek w prawdziwym świetle, nie w tym.

On i Mare opuszczali to miejsce w pośpiechu i byli zmuszeni ukryć część rzeczy w dziurze za kamieniem obok kominka. Już ich tam nie było – splądrował kryjówkę po śmierci Mare, ucieczce z Czeluści i szkoleniu z dziwnym starym Allomantą imieniem Gemmel.

Ominął człowieka i podszedł do kominka. Kiedy wrócił po ukryte monety, kierował się w stronę Luthadelu, a jego umysł przepełniały wspaniałe plany i niebezpieczne pomysły. Odzyskał monety, ale znalazł więcej, niż oczekiwał. Sakiewkę, a obok niej dziennik Mare.

– Gdybym umarł – powiedział Kelsier – gdybym pozwolił się pociągnąć w tamto inne miejsce... byłbym teraz z Mare, prawda?

Żadnej odpowiedzi.

– Zachowanie! – krzyknął Kelsier. – Wiesz, gdzie ona jest? Widziałeś, jak przechodzi w tę ciemność, o której mówiłeś, tam, dokąd później idą ludzie? Byłbym z nią, gdybym pozwolił sobie umrzeć, prawda?

Zachowanie znów nie odpowiedział. Jego umysł z pewnością nie był we wszystkich miejscach, w przeciwieństwie do esencji. A jeśli wziąć pod uwagę jego dziwaczne zachowanie, jego umysł mógł nie być kompletny nawet w jednym miejscu. Kelsier westchnął i rozejrzał się po pokoiku.

I zrobił krok w tył, kiedy zorientował się, że człowiek na posłaniu wstał i rozgląda się dookoła.

– Czego chcesz? – warknął Kelsier.

Postać podskoczyła.

Usłyszał to?

Kelsier podszedł i dotknął postaci, co dało mu wizję starego żebraka o rozczochranej brodzie i oszalałym spojrzeniu. Mężczyzna mamrotał pod nosem, a kiedy Kelsier go dotykał, mógł zrozumieć część słów.

– W mojej głowie – bełkotał mężczyzna. – Wynocha z mojej głowy.

– Słyszysz mnie.

Podstać znów podskoczyła.

– Przeklęte szepty. Wynocha z mojej głowy!

Kelsier opuścił rękę. Widział to w impulsach. Czasami szaleńcy szeptali rzeczy, które usłyszeli od Zniszczenia. Ale wydawało się, że Kelsiera też mogli usłyszeć.

Czy mógłby wykorzystać tego mężczyznę? Gemmel też tak czasem mamrotał, uświadomił sobie Kelsier. Przeszedł go dreszcz. Zawsze myślałem, że jest szalony.

Próbował jeszcze porozmawiać z mężczyzną, ale na próżno. Stary żebrak podskakiwał i bełkotał, ale nie reagował.

W końcu Kelsier wyszedł z pokoju. Cieszył się, że szaleniec wyrwał go ze wspomnień o tym miejscu. Sięgnął do kieszeni, ale uświadomił sobie, że nie ma już rysunku kwiatu Mare. Zostawił go Vin.

Znał odpowiedź na pytanie, które przed chwilą zadał Zachowaniu. Odmawiając przyjęcia śmierci, Kelsier odrzucił również powrót do Mare. Chyba że poza rozciąganiem nie było niczego. Chyba że tamta śmierć była prawdziwa i ostateczna.

Ona z pewnością nie oczekiwałaby od niego, że się podda i pozwoli, by zabrała go rozciągająca się ciemność? Wszyscy inni, których widziałem, odeszli z własnej woli, pomyślał Kelsier. Nawet Ostatni Imperator. Dlaczego ja muszę upierać się przy pozostaniu?

Głupie pytania. Bezużyteczne. Nie mógł odejść, gdy świat był w takim niebezpieczeństwie. I nie mógł pozwolić sobie po prostu umrzeć, nawet po to, by być z nią.

Opuścił miasto, znów skierował się na zachód i ruszył biegiem.



3

Kelsier ukląkł przy starym palenisku, na którym nic już się nie paliło. W tej Krainie symbolizowała je sterta ciemnych, zimnych kłód. Odkrył, że raz na kilka tygodni dobrze jest się zatrzymać, żeby złapać oddech. Biegł od... cóż, długiego czasu.

Dziś zamierzał w końcu rozwiązać zagadkę. Złapał mgliste pozostałości starego ogniska. Od razu zobaczył je w prawdziwym świetle – ale sięgnął głębiej, by poczuć coś więcej.

Nie tylko obrazy, ale i wrażenia. Prawie uczucia. Zimne drewno, które jakimś sposobem pamiętało ciepło. Ten ogień w prawdziwym świetle był martwy, ale pragnął znów zapłonąć.

Poczuł się dziwnie, gdy uświadomił sobie, że kłody mogą mieć pragnienia. Ten ogień płonął całymi latami, karmiąc wiele rodzin skaa. Niezliczone pokolenia siedziały przy tej jamie w podłodze. Podtrzymywali ogień, by płonął niemal bez ustanku. Śmiali się i cieszyli krótkimi chwilami radości.

Ogień im to dawał. Pragnął znów to robić. Niestety, ludzie odeszli. Kelsier coraz częściej trafiał na opuszczone wioski. Opady popiołu trwały dłużej niż zwykle, czasem czuł też drżenie ziemi, nawet w tej Krainie. Trzęsienia.

Mógł dać coś temu ogniowi. „Zapłoń znowu”, powiedział mu. „Bądź znów ciepły”.

W Krainie Materii nie mogło do tego dojść, ale wszystkie rzeczy, które były obecne tam, miały swoje odbicie tutaj. Ogień w rzeczywistości nie był istotą żywą, ale ludzie, którzy kiedyś tu mieszkali, prawie tak go traktowali. Jak bliskiego, ciepłego przyjaciela.

„Zapłoń...”.

Światło wystrzeliło z jego palców, wylało się z dłoni i pojawił się płomień. Kelsier upuścił go szybko, cofnął się i z szerokim uśmiechem wpatrzył w trzaskający ogień. Bardzo przypominał ten, który mieli ze sobą Nazh i Khriss – kłody pojawiły się po tej stronie, a na nich tańczyły płomienie.

Ogień. Udało mu się stworzyć ogień w krainie umarłych. Nieźle, Kell, pomyślał i ukląkł. Odetchnąwszy głęboko, wepchnął dłoń w płomienie, sięgnął do środka drewna i zacisnął pięść, zamykając w niej odrobinę mgły, która była esencją ogniska. Płomienie złożyły się i zniknęły.

Trzymał garstkę mgły. Czuł ją tak samo, jak ziemię pod stopami. Miękka, ale całkiem realna, jeśli nie naciskał zbyt mocno. Wsunął duszę ogniska do kieszeni, pewien, że nie zapłonie, dopóki nie wyda mu takiego polecenia.

Opuścił czworaki skaa i wyszedł na plantację. Nigdy wcześniej tu nie był – nawet z Gemmelem nie dotarł tak daleko. Na miejscowe plantacje składały się dziwne prostokątne budynki, niskie i przysadziste, ale z dziedzińcem pośrodku. Wyszedł z jednego z nich i ruszył ulicą biegnącą między kilkunastoma podobnymi czworakami.

Ogólnie rzecz biorąc, skaa żyło się tu lepiej niż w wewnętrznych dominiach. To brzmiało jak stwierdzenie, że lepiej jest utonąć w piwie niż w kwasie.

Z nieba spadał popiół. Choć podczas pierwszych dni spędzonych w tej Krainie go nie widział, nauczył się go zauważać. Był malutkimi, kłębiącymi się drobinkami mgły, niemal niewidocznymi. Kelsier ruszył biegiem, a popiół opadał wokół niego. Niektóre drobiny go przecinały, przez co czuł się tak, jakby był popiołem. Wypaloną skorupą, trupem zredukowanym do węgielków niesionych wiatrem.

Mijał stanowczo zbyt wielkie sterty popiołu na ziemi. Tutaj nie powinien padać tak gęsto. Popielne góry były odległe, podczas wcześniejszych wędrówek dowiedział się, że w tych okolicach popiół padał najwyżej raz albo dwa razy w miesiącu. A w każdym razie tak było przed przebudzeniem Zniszczenia. Niektóre drzewa wciąż żyły, ich dusze pojawiały się w postaci mglistych sylwetek, które świeciły jak ludzkie dusze.

Zbliżył się do grupy ludzi, którzy maszerowali drogą na zachód, w stronę miasteczek na wybrzeżu. Pewnie ich arystokraci już uciekli w tamtą stronę przerażeni nagłym wzrostem intensywności opadów popiołu i innymi oznakami zniszczenia. Mijając ich, Kelsier wyciągnął rękę, by musnąć każdego z nich i zobaczyć ich w rzeczywistości.

Młoda matka kulejąca z powodu złamanej stopy, z noworodkiem przy piersi.

Staruszka, silna, gdyż starzy skaa musieli tacy być. Słabych często zostawiano na śmierć.

Piegowaty chłopak w eleganckiej koszuli. Pewnie ukradł ją z rezydencji lorda.

Kelsier szukał oznak szaleństwa lub urojeń. Potwierdził, że tacy ludzie często go słyszeli, choć zaburzony umysł wcale nie musiał być widoczny. Wydawało się, że wielu nie rozumie jego słów, słyszy jedynie widmowe szepty. Wrażenia.

Przyśpieszył, zostawiając ludzi za sobą. Światło mgieł pod jego stopami świadczyło, że to bardzo uczęszczana okolica. Podczas miesiący biegu zaczął rozumieć – a nawet do pewnego stopnia akceptować – Krainę Umysłu. W możliwości przenikania przez ściany, podglądania ludzi i ich życia, kryła się pewna swoboda.

Mimo to czuł się taki samotny.

Próbował o tym nie myśleć. Skupił się na biegu i wyzwaniu. Ponieważ czas tak się rozpląwał, nie miał wrażenia, że minęły już całe miesiące. Właściwie to było o wiele przyjemniejsze doświadczenie niż rok uwięzienia w Studni, który groził jego zdrowym zmysłem.

A jednak tęsknił za ludźmi. Potrzebował towarzystwa, rozmów, przyjaciół. Bez nich czuł się wysuszony. Wiele by dał za to, by Zachowanie, nawet tak mało przytomny, pojawił się obok i porozmawiał z nim. Nawet ten białowłosy Włóczęga byłby miłą odmianą na pustkowiu mgieł.

Próbował znaleźć szaleńców, by mieć choć odrobinę kontaktu z innymi żywymi istotami, nawet gdyby było pozbawione znaczenia.

Przynajmniej coś zyskałem, pomyślał Kelsier. Ognisko w kieszeni. Kiedy się stąd wydostanie, a zamierzał się wydostać, będzie miał dużo do opowiadania.



4

Kelsier, Ocalały ze Śmierci, w końcu wspiał się na ostatnie wzgórze i ujrzał przed sobą niewiarygodny widok. Łąd.

Wznosił się ponad krawędzią mgieł, złowieszczy, mroczny przestwór. Wydawał się mniej żywy od kłębiących się biało-szarych mgieł za plecami Kelsiera, ale był jakże oczekiwanym widokiem.

Kelsier westchnął z ulgą. Ostatnie tygodnie były coraz trudniejsze. Myśl o dalszym biegu zaczynała przyprawiać go o mdłości, a samotność kazała mu widzieć widma w poruszających się mgłach i słyszeć głosy w pozbawionej życia pustce dookoła.

Bardzo się zmienił od czasu opuszczenia Luthadelu. Wbił w ziemię laskę – znalazł ją przy ciele martwego uciekiniera w prawdziwym świecie i ożywił ją, dając jej nowy dom i nowego pana, któremu mogła służyć. Podobnie z obszerną peleryną, u dołu tak powycieraną, że prawie przypominała mgielny płaszcz.

Z torbą było inaczej – zabrał ją z porzuconego sklepu. Żaden pan nigdy jej nie nosił. Uważała, że celem jej istnienia jest leżenie na półce i bycie podziwianą. Jak na razie i tak była dobrym towarzyszem.

Kelsier usiadł, odłożył na bok laskę i sięgnął do torby. Odliczył kłębki mgły, które w niej trzymał. Tym razem żaden nie zniknął, i dobrze. Kiedy przedmiot został zabrany – albo, co gorsza, zniszczony – w Krainie Materii, jego Tożsamość się zmieniała, a duch powracał do miejsca, w którym znajdowało się ciało.

Porzucone przedmioty były najlepsze. Takie, które przez długi czas miały właściciela, zatem i silną Tożsamość, ale obecnie w Krainie Materii nikt się nimi nie zajmował. Wyciągnął kłębek mgły, który był jego ogniskiem, i rozwinął go, pławiąc się w jego ciepłe. Zaczynało się przecierać, w kłódach pojawiały się mgliste otwory. Kelsier mógł się jedynie domyślać, że zabrał je zbyt daleko od miejsca pochodzenia i ta odległość sprawiała mu przykrość.

Wyciągnął kolejny kłębek mgły, który rozwinął się w jego dłoniach, stając się skórzanym bukłakiem. Pociągnął długi łyk. Nic mu to tak naprawdę nie dawało – woda zniknęła wkrótce po wylaniu, a on nie potrzebował pić.

I tak się napił. Dotyk wody na wargach i w gardle był przyjemny, odświeżający. Pozwalał mu udawać, że jest żywy.

Kulił się na zboczu, spoglądając na nową granicę i popijając widmową wodę obok duszy ognia. Jego doświadczenie w krainie bogów, tej chwili poza czasem, było teraz odległym wspomnieniem... ale tak naprawdę wydawało się odległe już w chwili, kiedy je opuścił. Świetliste Związki i objawienia

obejmujące całą wieczność natychmiast wyblakły jak mgła w promieniach słońca.

Musiał dotrzeć do tego miejsca. A później... nie miał pojęcia. Byli tam ludzie, ale jak miał ich odnaleźć? I co miał zrobić, kiedy ich zlokalizuje?

Potrzebuję czegoś, co mają, pomyślał, pociągając kolejny łyk wody. Ale oni mi tego nie dadzą. Tego był pewien. Ale co mieli? Wiedzę? Jak mógł oszukać kogoś, kto być może nawet nie posługiwał się jego językiem?

– Fuzz? – powiedział na próbę. – Zachowanie, jesteś tutaj?

Żadnej odpowiedzi. Kelsier westchnął i schował bukłak. Obejrzał się przez ramię w kierunku, z którego przybył.

I zerwał się na równe nogi, jednocześnie wysuwając nóż z pochwy u pasa i obracając się na pięcie. Stanął tak, by ognisko znalazło się między nim, a tym, co tam stało. Postać miała długą szatę i jaskraworude włosy. Na twarzy mężczyzny malował się przyjazny uśmiech, ale Kelsier widział kolce pod powierzchnią jego skóry. Pajęczne nogi, całe tysiące, napierające na skórę i sprawiające, że wybrzuszała się w przypadkowych miejscach.

Marionetka Zniszczenia. Rzecz, którą siła stworzyła i uniosła przed Vin.

– Witaj, Kelsierze – powiedział Zniszczenie ustami postaci. – Mój towarzysz jest niedostępny. Ale przekażę twoje prośby, jeśli takie jest twoje życzenie.

– Cofnij się.

Kelsier uniósł nóż i instynktownie sięgnął po metale, których nie mógł już spalać. A niech to, brakowało mu tego.

– Och, Kelsierze. Mam się cofnąć? Jestem wszędzie wokół ciebie... w powietrzu, którym udajesz, że oddychasz, ziemi pod twoimi stopami. Jestem w tym nożu i w twojej duszy. Jak właściwie mam „się cofnąć”?

– Możesz mówić, co chcesz. Ale nie należę do ciebie. Nie jestem twój.

– Dlaczego tak się opierasz?

Zniszczenie ruszył dookoła ognia. Kelsier skierował się w przeciwną stronę, starając się trzymać z dala od istoty.

– Właściwie to nie wiem. Może dlatego, że jesteś złą siłą zagłady i bólu?

Zniszczenie zatrzymał się gwałtownie, jakby urażony.

– To było niesprawiedliwe! – Rozłożył szeroko ręce. – Śmierć nie jest zła, Kelsierze. Śmierć jest konieczna. Każdy zegar musi przestać chodzić, każdy dzień musi się skończyć. Beze mnie nie ma życia i nigdy by go nie było. Życie jest zmianą, a ja symbolizuję tę zmianę.

– A teraz zamierzasz je skończyć.

– To był mój dar. – Zniszczenie wyciągnął rękę do Kelsiera. – Życie. Cudowne, piękne życie. Radość nowo narodzonego dziecka, duma rodzica, satysfakcja z dobrze wykonanej pracy. One pochodzą ode mnie.

– Ale teraz to się skończyło, Kelsierze. Ta planeta jest starcem, który w pełni przeżył swoje życie, a teraz z trudem łapie ostatnie tchnienie. Zapewnienie mu odpoczynku, którego potrzebuje, nie jest złem. Jest aktem miłosierdzia.

Kelsier patrzył na tę dłoń, która falowała od poruszeń pajaków wewnątrz.

– Ale do kogo ja to mówię? – Zniszczenie z westchnieniem cofnął rękę. – Do człowieka, który nie

zaakceptował własnego końca, choć jego dusza tego pragnęła, choć jego żona tęskniła, by dołączył do niej Poza. Nie, Kelsierze. Nie spodziewam się, że zrozumiesz, że koniec jest konieczny. Dlatego nadal uważaj mnie za złego, jeśli musisz.

– Czy tak bardzo by cię bolało, gdybyś dał nam jeszcze trochę czasu?

Zniszczenie się roześmiało.

– Na zawsze pozostaniesz złodziejem, który tylko patrzy, z czym mógłby uciec. Nie, egzekucję wstrzymywano już wielokrotnie. Zakładam, że nie masz żadnej wiadomości do przekazania?

– Pewnie. Powiedz Fuzzowi, żeby wziął coś długiego, twardego i ostrego i wbił ci w tyłek w moim imieniu.

– Jakby on w ogóle mógł zrobić mi krzywdę. Uświadamiasz sobie, że gdyby on panował nad sytuacją, nikt by się nie starzał? Nigdy by nie myślał ani nie żył? Gdyby to on decydował, wszyscy zostalibyście unieruchomieni, żeby tylko przypadkiem nikt nikogo nie skrzywdził.

– Dlatego go zabijasz.

– Jak już mówiłem – Zniszczenie uśmiechnął się szeroko – to akt miłosierdzia. Dla starca, którego czas już dawno minął. Ale jeśli zamierzasz cały czas mi ubliżać, muszę iść. Wielka szkoda, że będziesz na tej wyspie, kiedy nadejdzie koniec. Zakładam, że chciałbyś powitać pozostałych, kiedy umrą.

– Nie może być tak blisko.

– Całe szczęście jest. Ale nawet gdybyś mógł jakoś pomóc, tutaj jesteś bezużyteczny. Jaka szkoda.

Jasne, pomyślał Kelsier. A ty przybyłeś w to miejsce, by mi to uświadomić, zamiast cieszyć się w milczeniu, że wyprawa mnie rozproszyła.

Kelsier umiał rozpoznać przynętę. Zniszczenie chciał, żeby uwierzył, że koniec jest już blisko i że przybycie tutaj nie miało sensu.

Co znaczyło, że go miało.

Zachowanie powiedział, że nie może się udać tam, dokąd się wybieram, pomyślał Kelsier. A Zniszczenie jest podobnie uwięziony, przynajmniej do chwili końca świata.

Może po raz pierwszy od miesiący uda mu się uciec od tego kłębiącego się nieba i oczu niszczyciela. Zasalutował Zniszczeniu, schował ogień i ruszył w dół zbocza.

– Uciekasz, Kelsierze? – Zniszczenie pojawił się na zboczu z rękami założonymi na piersi. – Nie możesz uciec przed losem. Jesteś przywiązany do tego świata i do mnie.

Kelsier szedł dalej, a Zniszczenie pojawił się na dole wzgórza, w tej samej pozie.

– Ci głupcy w fortecy ci nie pomogą – zauważył. – Sądzę, że kiedy ten świat się skończy, złożę im wizytę. Istnieli o wiele dłużej niż to stosowne.

Kelsier zatrzymał się na brzegu nowego lądu z ciemnego kamienia, podobnego do jeziora, które stało się wyspą. Ten był jeszcze większy. Ocean stał się kontynentem.

– Zabiję Vin pod twoją nieobecność – szepnął Zniszczenie. – Zabiję ich wszystkich. Myśl o tym, Kelsierze, w czasie swojej wędrówki. Kiedy wrócisz, jeśli cokolwiek pozostanie, mogę cię wykorzystać. Podziękować ci za wszystko, co zrobiłeś w moim imieniu.

Kelsier wkroczył na kontynent oceanu, pozostawiając Zniszczenie na brzegu. Niemal widział nici mocy, które poruszały marionetką, dając głos straszliwej sile.

A niech to. Jego słowa były kłamstwem. Wiedział o tym.

I tak bolały.

CZĘŚĆ PIĄTA

IRE





I

Miał nadzieję, że odzyska słońce, kiedy Zniszczenie zniknie z nieba, ale znalazłszy się dość daleko, odniósł wrażenie, że opuszcza swój świat – a wraz z nim słońce. Tutaj niebo było czarną pustką. Kelsierowi udało się w końcu za pomocą kilku pnączy przywiązać słabnący ogień do końca laski, tworząc w ten sposób prowizoryczną pochodnię.

To było dziwne doświadczenie, kiedy wędrował przez mroczny krajobraz, trzymając w ręku laskę z przywiązanym całym ogniskiem. Na szczęście drewno się nie rozsypało, a całość nie była tak ciężka, jak powinna. Ani tak gorąca, szczególnie jeśli – kiedy je wyjmował – nie kazał mu się zamanifestować w pełni.

Otaczała go roślinność, realna dla jego oczu i dotyku, choć dziwaczna. Niektóre rośliny miały czerwono-brązowe pierzaste liście, a inne bardzo szerokie. Wiele drzew – dzungla pełna egzotycznych roślin.

Było tu trochę mgły. Jeśli ukląkł na ziemi i przyjrzał się uważnie, widział małe świetliste dusze. Ryby, morskie rośliny. Tu ukazywały się ponad ziemią, choć w oceanie po drugiej stronie pewnie kryły się w głębinach. Kelsier wstał, trzymając w dłoni duszę jakiejś ogromnej istoty z głębin – podobnej do ryby, ale wielkiej jak dom – i czuł jej powolną siłę.

To było nierealne, ale tak wyglądało w tym czasie całe jego życie. Upuścił duszę ryby i ruszył dalej, wśród sięgających do pasa roślin, a drogę oświetlała mu płonąca laska.

Kiedy oddalił się bardziej od brzegu, poczuł nacisk na swoją duszę, symbolizujący jego więź ze światem, który pozostawił za sobą. Wiedział – i nie musiał tego sprawdzać – że w pewnej chwili to szarpanie stanie się na tyle silne, że nie będzie mógł iść dalej.

Mógł to wykorzystać. Szarpanie było narzędziem, które pozwalało mu ocenić, czy oddalał się od swojego świata, czy w ciemnościach skręcił. Nawigacja była tu niemożliwa, brakowało kanałów i dróg, którymi mógłby się kierować.

Oceniając po nacisku na duszę, kierował się na zewnątrz, coraz dalej od ojczyzny. Nie był pewien, czy tam znajdzie cel swojej wędrówki, ale wydawało mu się to najbardziej prawdopodobne.

Przez wiele dni wędrował przez dzunglę, która w pewnym momencie zaczęła się przerzedzać. W końcu dotarł do miejsca, w którym rośliny rosły jedynie w niewielkich kępach. Zastąpiły je dziwaczne formacje skalne, jak szklane rzeźby. Poszarpane twory wznosiły się często na dziesięć stóp albo więcej. Nie wiedział, co o nich sądzić. Przestał mijać dusze ryb i wydawało się, że nie ma tu nic żywego, w żadnej z Krain.

Walka z szarpaniem ciągnącym go do tyłu była coraz większym wysiłkiem. Zaczynał się martwić, że

będzie musiał zawrócić, kiedy w końcu zauważył coś nowego.

Światło na horyzoncie.



2

Skradanie się było o wiele łatwiejsze, kiedy, formalnie rzecz biorąc, nie miał ciała.

Porzuciwszy płaszcz, laskę i torbę, poruszał się bezgłośnie. Poza tym, mimo że w tych okolicach pojawiały się czasem rośliny, mógł przechodzić przez nie, nie wywołując nawet szelestu liści.

Blask z przodu dochodził z fortecy z białego kamienia. Światło robiło dziwaczne wrażenie, nie płonęło ani nie migotało jak ogień. Jakaś odmiana światła wapiennego? Podszedł bliżej i zatrzymał się przy jednej z niezwykłych formacji skalnych, które były tu pospolite. Wyrastały z niej zakrzywione kolce, które niemal przypominały gałęzie.

Same mury tej fortecy emanowały słabym blaskiem. Czy to mgła? Iluminacja miała inny odcień, bardziej wpadający w niebieski. Trzymając się cieni formacji skalnych, Kelsier otoczył budynek, kierując się w stronę jaśniejszego źródła światła na tyłach.

Okazał się nim ogromny świetlisty sznur, gruby jak pień dużego drzewa. Pulsował powoli, a blask, którym emanował, miał ten sam odcień co mury – tylko był wielokrotnie jaśniejszy. Wydawał się jakimś rodzajem kanału dla energii i biegł w głąb kontynentu, w ciemnościach widoczny na wiele mil.

Sznur wnikał do fortecy przez wielką bramę na tyłach. Kiedy Kelsier się zbliżył, odkrył, że małe linie energii biegły po kamiennym murze. Rozgałęziały się przy tym coraz bardziej, jak świetlista sieć żył.

Forteca była wysoka i imponująca – jak twierdza jednego z rodów, ale pozbawiona ozdób. Nie miała osobnych umocnień, lecz jej ściany były wysokie i strome. Po dachu kroczyli strażnicy, a kiedy jeden z nich go mijał, Kelsier wcisnął się w ziemię. Umiał się w niej zanurzyć niemal całkowicie, dzięki czemu stawał się właściwie niewidzialny, choć wymagało to złapania gruntu i pociągnięcia się w dół, aż widoczny był jedynie czubek jego głowy.

Strażnicy go nie zauważyli. Wydostał się z ziemi i podkrał do podstawy muru. Przycisnął dłoń do świetlistego kamienia i zobaczył wizję muru z zupełnie innego miejsca. Nieznanej krainy z zaskakująco zieloną roślinnością. Sapnął i cofnął dłoń.

To nie były kamienie, ale duchy kamieni – jak jego duch ognia. Przeniesiono je tutaj i wybudowano z nich fortecę. Nagle przestał się czuć tak bystry, że udało mu się znaleźć laskę i torbę.

Znów dotknął kamienia i spojrzał na ten zielony krajobraz. O tym właśnie mówiła Mare, o krainie czystego błękitnego nieba. Inna planeta, uznał. Taka, której nie spotkał nasz los.

Przez chwilę ignorował obraz tego miejsca, wsuwając dłoń w ducha kamienia. Zaskoczyło go, że stawiał mu opór. Kelsier zacisnął zęby i naparł mocniej. Udało mu się wcisnąć palce na około dwóch cali i ani trochę głębiej.

To przez to światło, pomyślał. Ono go odpychało. Wygląda trochę jak blask dusz.

Cóż, nie mógł precyzyjnie się przez mur. Co teraz? Wycofał się w cieniu, by się nad tym zastanowić. Powinien spróbować wślizgnąć się przez jedną z bram? Obszedł budynek, zastanawiając się nad tym przez chwilę, aż nagle zrobiło mu się głupio. Znow podbiegł do muru i przycisnął dłoń do kamieni, zanurzając w nich palce na głębokość paru cali. Później zrobił to samo z drugą ręką.

I zaczął wspinać się po murze.

Choć brakowało mu Odpychania Stali, ta metoda okazała się skuteczna. Mógł złapać za mur właściwie gdziekolwiek zechciał, a jego postać nie miała wielkiego ciężaru. Wspinaczka była łatwa, jeśli tylko zachował skupienie. Te obrazy krainy z zieloną roślinnością były bardzo rozpraszające. Ani odrobiny popiołu w zasięgu wzroku.

W głębi duszy uważał kwiat Mare za fantazję. I choć to miejsce wyglądało dziwnie, przyciągało go swoją obcą urodą. Było w nim coś niewiarygodnie zachęcającego. Niestety, mur próbował wypłuć jego palce i utrzymanie chwytu wymagało ogromnego skupienia. Nie zatrzymywał się – mógł się zachwycać tą piękną scenerią zielonej trawy i łagodnych wzgórz przy innej okazji.

Na jednym z wyższych poziomów znajdowało się okno na tyle duże, że mógł przez nie wejść – i dobrze. Trudno by mu było ominąć strażników na dachu twierdzy. Kelsier wślizgnął się przez okno i znalazł na długim kamiennym korytarzu rozświetlonym pajęczynami mocy płynącej przez ściany, podłogę i sklepienie.

Energia musi powstrzymywać kamienie przed wyparowaniem, pomyślał Kelsier. Wszystkie dusze, które zabrał ze sobą, zaczynały się rozpadać, ale te kamienie były lite i nienaruszone. Te drobnutkie linie mocy jakimś sposobem podtrzymywały duchy kamienia, a przy okazji również powstrzymywały ludzi w rodzaju Kelsiera przed przechodzeniem przez ściany.

Skradał się korytarzem. Nie był pewien, czego szuka, ale nie dowiedziałby się więcej, gdyby został na zewnątrz i czekał.

Moc przepelniająca to miejsce ciągle ukazywała mu wizje innego świata – i, jak to sobie uświadomił z niejakim niepokojem, jego również przenikała. Mieszala się z energią jego własnej duszy, której dotknęła już moc Studni. Po kilku krótkich chwilach zaczął uważać, że to miejsce z zielonymi roślinami wygląda normalnie.

Usłyszał głosy odbijające się echem w korytarzu, mówiące w dziwnym nosowym języku. Był na to przygotowany – wyszedł przez okno i zaczepił się na murze tuż obok otworu.

Para strażników przeszła pośpiesznie korytarzem, a kiedy go minęli, zajrzał do środka i zobaczył, że nosili długie białe-niebieskie tabardy, a na ramionach oparli piki. Mieli jasną skórę i wyglądali, jakby mogli pochodzić z jednego z dominiów – pomijając dziwny język. Mówili z naciskiem, a gdy słowa go omywały, Kelsier pomyślał... Pomyślał, że częściowo je rozumie.

Tak. Mówią językiem otwartych pól, zielonych roślin. Miejsca, z którego pochodzą te kamienie i źródło tej mocy...

– ...jest pewien, że coś widział, sir – mówił jeden ze strażników.

Słowa uderzyły Kelsiera. Z jednej strony czuł, że powinny być niezrozumiałe. Z drugiej od razu pojął ich znaczenie.

– Jak ktoś z Trenu mógłby dotrzeć aż tutaj? – warknął drugi strażnik. – To wbrew wszelkiej logice, mówię ci.

Przeszli przez drzwi na drugim końcu korytarza. Kelsier wrócił na korytarz wyraźnie zaciekawiony. Czyżby któryś ze strażników zauważył go na zewnątrz? Nie wszczęto alarmu, więc nawet jeśli ktoś go zobaczył, to musiał jedynie mignąć mu przed oczami.

Nie był pewien, czy mogli mu w ogóle zrobić krzywdę, ale uznał, że lepiej tego nie sprawdzać, więc trzymał się w sporej odległości za strażnikami. Po przejściu kilku kolejnych wijących się kamiennych korytarzy dotarli do drzwi i weszli do środka. Kelsier podkradł się, uchylił je i ujrzał dużą salę, w której grupa strażników rozstawiała dziwaczne urządzenie. W jego centrum znajdował się żółty klejnot wielkości pięści Kelsiera, świecący jaśniej niż mury. Otaczała go siatka ze złocistego metalu. Całość miała wielkość zegara.

Kelsier pochylił się. Ten klejnot... musiał być wart majątek.

Inne drzwi prowadzące do komnaty – te naprzeciwko Kelsiera – otworzyły się gwałtownie. Strażnicy podskoczyli i zaczęli salutować. Istota, która weszła, wydawała się... cóż, w większości ludzka. Kobieta była pomarszczona, wysuszona, miała ściągnięte wargi, łysą głowę i dziwną srebrzystą skórę. Emanowała słabo tym samym biało-niebieskim blaskiem, co ściany.

– O co chodzi? – warknęła istota w języku zielonych roślin.

Kapitan straży zsalutował.

– Pewnie tylko fałszywy alarm, o starożytna. Maod twierdzi, że widział coś na zewnątrz.

– Wyglądało jak postać, o starożytna – wtrącił inny. – Sam ją widziałem. Sprawdzała mur, zanurzyła palce w kamieniu, ale została odepchnięta. Wtedy się wycofała, a w ciemnościach straciłem ją z oczu.

Czyli ktoś go jednak widział. A niech to. Nie wiedzieli jednak, że dostał się do środka.

– No, no – powiedziała starożytna istota. – Moja dalekowzroczość nie wydaje się teraz taka głupia, czyż nie, kapitanie? Moce Trenu pragną wkroczyć na główną scenę. Uruchomcie urządzenie.

Kelsier miał złe przeczucia. Cokolwiek robiło to urządzenie, podejrzewał, że nie wyjdzie mu to na zdrowie. Odwrócił się, by pobiec korytarzem w stronę jednego z okien. Za jego plecami potężny złocisty blask klejnotu przygasł.

Kelsier niczego nie poczuł.

– Cóż – powiedział z tyłu kapitan. – W odległości dnia marszu stąd nie ma nikogo z Trenu. Najwyraźniej to jednak fałszywy alarm.

Kelsier zawahał się na środku pustego korytarza, po czym ostrożnie podkradł się, by znów zajrzeć do sali. Strażnicy i pomarszczona istota stali wokół urządzenia i wydawali się niezadowoleni.

– Nie wątpię w waszą dalekowzroczość, o starożytna – mówił dalej kapitan. – Ale ufam swoim siłom na granicy Trenu. Tu nie ma żadnych cieni.

– Możliwe. – Istota położyła palce na klejnocie. – Może strażnik rzeczywiście kogoś widział, ale się pomylił i to nie był Cień Umysłu. Niech strażnicy zachowają czujność i na wszelki wypadek nie wyłączajcie urządzenia. Ten moment wydaje mi się zbyt dogodny, by być jedynie zbiegiem okoliczności. Muszę porozmawiać z resztą Ire.

Kiedy wypowiedziała to słowo, Kelsier pojął jego znaczenie w języku zielonych roślin. Oznaczało „wiek”, a on nagle miał wizję dziwnego symbolu składającego się z czterech kropek i kilku falujących linii, jak zmarszczki na powierzchni rzeki.

Kelsier potrząsnął głową, odpędzając od siebie wizję. Istota szła w jego stronę. Cofnął się i w ostatniej chwili wyszedł przez okno, kiedy istota otworzyła drzwi i wkroczyła na korytarz.

Nowy plan, uznał Kelsier. Wisiał na murze i czuł się całkowicie odsłonięty. Iść za dziwną damą, która wydaje rozkazy.

Pozwolił jej się oddalić, zanim wrócił na korytarz i bezszelestnie ruszył za nią. Pokonała całą długość korytarza biegnącego wzdłuż zewnętrznego muru fortecy, zanim w końcu dotarła do strzeżonych drzwi. Zniknęła za nimi, a Kelsier po chwili namysłu wyszedł przez kolejne okno.

Musiał być ostrożny – jeśli strażnicy nie obserwowali jeszcze murów, wkrótce zaczną to robić. Niestety wątpił, by udało mu się przejść przez tamte drzwi, nie zwracając uwagi wszystkich strażników w całym budynku. Dlatego wspinał się wzdłuż muru, aż dotarł do kolejnego okna, już za zamkniętymi drzwiami. To było węższe niż pozostałe, przez które przechodził, bardziej przypominało otwór strzelniczy niż prawdziwe okno. Na szczęście mógł przez nie zajrzeć do komnaty, do której weszła dziwna kobieta.

Wewnątrz przebywała grupa tych istot, pogrążonych w dyskusji. Kelsier przycisnął się do wąskiego okna i zajrzał do środka, wisząc niepewnie na murze na wysokości około pięćdziesięciu stóp. Wszystkie istoty miały taką samą srebrzystą skórę, choć dwie o nieco ciemniejszym odcieniu niż pozostałe. Trudno było odróżnić członków tej grupy – wszyscy byli bardzo starzy, mężczyźni zupełnie łysi, kobiety prawie. Każdy miał na sobie taką samą charakterystyczną szatę – białą, z kapturem i srebrnymi haftami wokół mankietów.

Co ciekawe, w komnacie blask emanujący z murów był słabszy. Efekt był widoczny szczególnie wyraźnie w pobliżu miejsc, w których istoty stały lub siedziały. Jakby... pochłaniały światło.

Udało mu się przynajmniej odróżnić kobietę, którą widział wcześniej, z jej wysuszonymi wargami i długimi palcami. Jej szatę zdobił szerszy srebrny pas.

– Musimy przyspieszyć nasze działania – mówiła do pozostałych. – Nie wierzę, by to był przypadek.

– Phi – powiedział mężczyzna, który siedział z kielichem świetlistego płynu w dłoni. – Ty zawsze poważnie traktujesz takie historyjki, Alonoe. Nie każdy zbieg okoliczności jest sygnałem, że ktoś sięga do Fortuny.

– A ty nie uważasz, że należy zachować ostrożność? – spytała ostro Alonoe. – Zaszliśmy zbyt daleko, pracowaliśmy zbyt ciężko, by pozwolić, żeby nagroda wyslizgnęła się nam z rąk.

– Naczynie Zachowania niemalże odeszło – odezwała się inna kobieta. – Nadchodzi nasza okazja, by uderzyć.

– Cały Odprysk – stwierdziła Alonoe. – Nasz.

– A jeśli ten, kogo zauważyli strażnicy, był agentem Zniszczenia? – spytał siedzący mężczyzna. – Jeśli nasze plany zostały odkryte? Naczynie Zniszczenia może w tej właśnie chwili kierować wzrok w naszą stronę.

Alonoe wydawała się tym zaniepokojona i podniosła głowę, jakby w poszukiwaniu oczu Odprysku na niebie. Zapanowała jednak nad sobą i odezwała się stanowczo:

– Zaryzykuję.

– I tak wzbudzimy jego gniew – zauważyła inna z istot. – Jeśli jeden z nas Wstąpi i stanie się Zachowaniem, będziemy bezpieczni. I tylko wtedy.

Istoty umilkły, a Kelsier rozważał ich słowa. Czyli ktoś jeszcze może przyjąć Odprysk. Fuzz jest prawie martwy, ale gdyby ktoś wziął jego moc w chwili jego śmierci...

Ale czy Zachowanie nie powiedziało Kelsierowi, że to niemożliwe? „I tak nie mógłbyś utrzymać

mojej mocy”, powiedział Zachowanie. „Nie jesteś ze mną wystarczająco mocno Związany”.

Widział to bezpośrednio w przestrzeni między chwilami. Czy te istoty były wystarczająco Związane z Zachowaniem, by przyjąć moc? Wątpił w to. Jaki więc był ich plan?

– Działamy – powiedział siedzący mężczyzna. – Niech Oddanie nas chroni. Działamy.

– Nie będziesz potrzebował Oddania, Elrao – odparła Alonoe. – Będziesz miał mnie.

Po moim trupie, pomyślał Kelsier. Albo... no, coś w tym rodzaju.

– W takim razie przyspieszamy działania – stwierdził Elrao, mężczyzna z kielichem. Wypił świetlisty płyn i wstał. – Do skarbcza?

Pozostali kiwnęli głowami i wszyscy opuścili komnatę.

Kelsier zaczekał, aż odejdą, i spróbował precyzyjnie się przez okno. Było zbyt małe dla człowieka, ale też on nie był już do końca człowiekiem. Mógł się na kilka cali wtopić w kamień, a z wysiłkiem udało mu się również zmienić swój kształt i precyzyjnie się przez szeroki otwór strzelniczy.

W końcu wpadł do komnaty, a jego ramiona wróciły do poprzedniego kształtu. Po tym doświadczeniu rozboleła go głowa. Usiadł oparty o ścianę i poczekał, aż ból się zmniejszy, zanim wstał, żeby dokładnie splądrować komnatę.

Niewiele znalazł. Kilka butelek wina i garść klejnotów porzuconych w jednej z szuflad. Były prawdziwymi przedmiotami, nie duszami ściągniętymi do tej Krainy.

Komnata miała też drzwi prowadzące w głąb fortecy. Wyjrzał przez nie ostrożnie i wyszedł. Kolejna komnata wyglądała bardziej obiecująco. Sypialnia. W komodzie znalazł kilka szat, jakie nosili pomarszczeni ludzie. A później, na niedużym stoliku przy kominku, główna nagroda. Księga szkiców wypełniona dziwnymi symbolami podobnymi tego, który sobie wyobraził. Symbolami, które z niejasnych przyczyn rozumiał.

Tak... to było pismo, choć większość kart wypełniały określenia, których nie pojmował nawet kiedy udało mu się odczytać symbole. Terminy w rodzaju „Adonalsium”, „Związek”, „Teoria Krain”.

Na ostatnich kartkach opisano jednak sedno notatek i szkiców. Magiczne urządzenie w kształcie kuli. Można było ją stłuc i przyjąć moc z jej wnętrza, która na chwilę Związałaby użytkownika z Zachowaniem – jak te linie, które widział w przestrzeni między chwilami.

Taki był ich plan. Udać się na miejsce śmierci Zachowania, przygotować się tym urządzeniem i przejąć jego moc – Wstąpić, by zająć jego miejsce.

Zuchwały plan. Dokładnie taki, jakie Kelsier podziwiał. A teraz w końcu wiedział, co zamierza im ukraść.



3

Kradzież była najbardziej autentycznym rodzajem uznania.

Cóż mogło być bardziej satysfakcjonującego od wiedzy, że należące do ciebie rzeczy były na tyle intrygujące, urzekające lub cenne, by skłonić innego człowieka do ryzykowania życia dla ich przejęcia? Dla Kelsiera był to cel życia – przypomnienie ludziom o wartości rzeczy, które kochali. Poprzez ich odbieranie.

Drobne kradzieże ostatnio go nie interesowały. Owszem, schował do kieszeni klejnoty, które znalazł na górze, ale kierował nim raczej pragmatyzm niż cokolwiek innego. Od czasu Czeluści Hathsin nie interesowało go zabieranie pospolitego dobytku.

Nie, Kelsier kradł teraz coś o wiele większego. Marzenia.

Przycupnął w pobliżu fortecy ukryty między dwiema iglicami ze spiralnie skręconej czarnej skały. Teraz znał już cel wybudowania tak potężnej budowli na krańcach dominium Zachowania i Zniszczenia. Forteca chroniła skarbiec, a wewnątrz skarbcza kryła się niewiarygodna okazja. Nasienie, które we właściwych okolicznościach mogło zmienić człowieka w boga.

Dotarcie do niego byłoby niemal niemożliwe. Z pewnością mieli strażników, zamki, pułapki i magiczne urządzenia, których obecności nie mógł przewidzieć. Wślizgnięcie się do środka i obrabowanie skarbcza byłoby ostateczną próbą dla jego umiejętności, a i tak pewnie by mu się nie udało.

Postanowił nie próbować.

Na tym właśnie polegał problem z wielkimi, dobrze chronionymi skarbcami. Nie można było pozostawić w nich większości swojego dobytku na zawsze. W końcu trzeba było użyć tego, czego się strzegło – a to dawało okazję ludziom takim jak Kelsier. I dlatego czekał, przygotowywał się i planował.

Minął prawie tydzień – zmiany strażników na murach pozwalały ocenić upływ czasu – ale w końcu z fortecy wyruszyła ekspedycja. Wspaniała procesja dwudziestu ludzi na koniach dzierżących wysoko uniesione latarnie.

Konie, pomyślał Kelsier, wślizgując się w ciemność, by dotrzymać kroku procesji. Tego się nie spodziewałem.

Cóż, nawet konno nie poruszali się szczególnie szybko. Bez trudu dotrzymywał im kroku, zwłaszcza że nie męczył się tak jak za życia.

Doliczył się pięciorga pomarszczonych starożytnych i piętnastu żołnierzy. Co ciekawe, każdy ze starożytnych był ubrany niemal dokładnie tak samo, w podobne szaty z kapturami zakrywającymi twarze, i niósł na ramionach skórzane torby, a każdy koń miał takie same juki.

Zmyłki, uznał Kelsier. Gdyby zostali zaatakowani, mogliby się rozdzielić. Wróg może nie wiedzieć, za którym z nich podążać.

Kelsier mógł to wykorzystać, zwłaszcza że był pewien, kto niesie urządzenie dające Związek. Alonoe, władca kobieta, która najwyraźniej nimi rządziła, nie pozwoliłaby, by moc wyslizgnęła się z jej długich palców. Zamierzała zostać Zachowaniem – pozwolenie, by jeden z jej towarzyszy niósł urządzenie, byłoby zbyt ryzykowne. A gdyby któryś z nich coś sobie uroił? Gdyby zamierzał sam je wykorzystać?

Nie, miała broń gdzieś przy sobie. Pozostawała jedynie kwestia, jak ją wydobyć.

Kelsier poświęcił sporo czasu na jej rozważanie. Dni podróży przez mroczny krajobraz, gdy dotrzymywał kroku karawanie, jednocześnie planując.

Istniały trzy podstawowe rodzaje kradzieży. Pierwszy wiązał się z nożem przystawionym do gardła i wyszeptaną groźbą. Drugi z plądrowaniem bagażu w mroku nocy. A trzeci... cóż, ten był ulubionym Kelsiera. Wymagał języka pokrytego cynkiem. Zamiast noża wykorzystywał zamieszanie, a zamiast się skradać, działał na otwartej przestrzeni.

Najlepszy rodzaj kradzieży sprawiał, że cel pozostawał niepewny, czy w ogóle cokolwiek się wydarzyło. Ucieczka z łupem mogła wydawać się sukcesem, ale niewiele znaczyła, jeśli następnego dnia do drzwi pukała straż. Wolał raczej uciec z o połowę mniejszą sumą, ale za to z pewnością, że jego oszustwo nie zostanie odkryte przez najbliższe tygodnie.

A prawdziwym mistrzostwem było przeprowadzenie skoku tak przebiegłego, by cel w ogóle się nie zorientował, że został obrabowany.

Każdej „nocy” karawana rozbijała obóz, a jej członkowie kładli się niespokojnie w śpiworach wokół ogniska przypominającego to w torbie Kelsiera. Starożytni wyciągali słoje światła, pili i przywracali blask swojej skórze. Nie rozmawiali – bardziej niż przyjaciół przypominali grupę szlachetnie urodzonych, którzy jedynie z konieczności uważali się za sojuszników.

Wkrótce po wieczornym posiłku starożytni kładli się spać w śpiworach. Rozstawiali strażę, ale nie spalali namiotów. Po co namiot w tym miejscu? Nie było w nim deszczu ani właściwie wiatru. Tylko ciemność, szeleszczące rośliny i jeden martwy człowiek.

Niestety, Kelsier nie umiał wymyślić sposobu, jak dostać się do broni. Alonoe spała z torbą w rękach, a pilnowało jej dwóch strażników. Codziennie rano sprawdzała, czy broń jest wciąż na miejscu. Kelsierowi udało się to dostrzec pewnego ranka, a kiedy ujrzał emanujący ze środka blask, zyskał pewność, że jej torba nie jest zmyłką.

Cóż, na to miała przyjść pora. Jego pierwszym krokiem było zasianie odrobiny wątpliwości. Zaczekał, aż nadejdzie właściwa noc, a wtedy wpełznął się w głąb ziemi, zanurzając swoją esencję pod powierzchnią. Następnie przeciągnął się przez kamień. Przypominało to pływanie w bardzo gęstej, płynnej ziemi.

Dotarł w pobliże miejsca, w którym Alonoe ułożyła się właśnie do snu, i wysunął nad powierzchnię jedynie wargi. Dox dostałby ataku śmiechu, gdyby to zobaczył, pomyślał Kelsier. Cóż, Kelsier był o wiele zbyt arogancki, by przejmować się swoją dumą.

– Zamierzasz więc – szepnął do Alonoe w jej języku – przyjąć moc Zachowania. Myślisz, że lepiej od niego poradzisz sobie ze stawianiem mi oporu?

Następnie wciągnął się całkowicie pod ziemię. Było tam zupełnie ciemno, ale słyszał uderzenia stóp

i okrzyki zaskoczenia. Odpłynął na pewną odległość i wystawił ucho.

– To był Zniszczenie! – mówiła Alonoe. – Przysięgam, to musiało być jego Naczynie. Mówiło do mnie.

– Czyli on wie – odezwał się inny ze starożytnych.

Kelsierowi wydawało się, że to Elrao, mężczyzna, który sprzeciwił się jej słowom w fortecy.

– Twoje zaklęcia ochronne miały temu zapobiec! – powiedziała Alonoe. – Powiedziałaś mi, że powstrzymają go przed wyczuciem urzędnika!

– On mógł dowiedzieć się o naszej obecności, nie wyczuwając kuli, Alonoe – sprzeciwiła się inna kobieta. – Moja sztuka jest niełatwa.

– Cała kwestia nie w tym, jak nas znalazł – stwierdził Elrao. – Pytanie brzmi: dlaczego jeszcze nas nie zniszczył?

– Naczynie Zachowania wciąż żyje – powiedziała z namysłem druga kobieta. – To może zapobiegać bezpośredniej interwencji Zniszczenia.

– Nie podoba mi się to – mruknął Elrao. – Sądzę, że powinniśmy zawrócić.

– Podjęliśmy decyzję – odparła Alonoe. – Ruszamy dalej. Żadnych kłótni.

Poruszenie w obozie w końcu się uspokoiło i starożytni powrócili do śpiworów, choć czuwało więcej strażników niż zwykle. Kelsier uśmiechnął się i znów przepchnął się w stronę Alonoe.

– Jak chciałabyś umrzeć, Alonoe? – szepnął do niej i schował się pod ziemią.

Tym razem nie poszli spać. Następnego dnia w drogę przez ciemną krainę ruszyła bardzo niewyspana gromada. Tej nocy Kelsier znów ich zaczepiał. I jeszcze raz. Następny tydzień zmienił dla nich w piekło, odzywał się do różnych członków wyprawy, obiecując im straszliwe rzeczy. Był dumny z wymyślonych przez siebie różnorodnych sposobów rozpraszenia ich, straszenia i wytrącania z równowagi. Nie miał okazji ukraść torby Alonoe, byli bowiem jeszcze ostrożniejsi niż dotąd. Udało mu się jednak ukraść jedną z pozostałych, kiedy pewnego ranka zwijali obóz. Znalazł w niej tylko fałszywą szklaną kulę.

Kelsier nie przestawał siał zamieszania, a kiedy grupa dotarła do dżungli dziwnych drzew, ich cierpliwość była na wyczerpaniu. Warczeli na siebie i każdego ranka lub nocy odpoczywali coraz mniej. Połowa wyprawy była przekonana, że powinni zawrócić, choć Alonoe upierała się, że skoro „Zniszczenie” jedynie do nich mówi, oznacza to, że nie może ich powstrzymać. Skierowała coraz bardziej podzielony oddział naprzód, między drzewa.

Czyli dokładnie tam, gdzie Kelsier chciał, żeby się znaleźli. Nie miał najmniejszych problemów z przegonieniem koni w tej gęstej roślinności, gdyż mógł przenikać przez zarośla, jakby ich nie było. Ruszył przodem i przygotował niewielką niespodziankę dla grupy, a kiedy wrócił, odkrył, że znów się sprzeczą. Doskonale.

Wcisnął się w środek jednego z drzew, wystawiając na zewnątrz jedną rękę, odchyloną do tyłu, a w niej nóż otrzymany od Nazha. Kiedy mijał go szereg koni, zamachnął się i ciął jedno ze zwierząt w bok.

Wierzchowiec zarżał z bólu, a w szeregu jeźdźców zapanował chaos. Ludzie z przodu – napięci do niemożliwości po tygodniu dręczenia szeptami Kelsiera – spięli konie. Żołnierze krzyczeli, ostrzegając, że zostali zaatakowani. Starożytni ruszyli w różne strony, niektórzy spadali, kiedy ich wierzchowce potykały się w gęstym poszyciu.

Kelsier ruszył szybko przez dżunglę, doganiając tych z przodu. Alonoe nieźle panowała nad koniem, ale wśród drzew było jeszcze ciemniej niż na zewnątrz, a latarnie kołysały się gwałtownie w rytm ruchów wierzchołków. Kelsier ominął Alonoe i dotarł do miejsca, w którym zostawił swój płaszcz rozwieszony między drzewami na kilku pnączach.

Wspiął się na drzewo i sięgnął do płaszcza w chwili, kiedy na miejsce dotarli pierwsi jeźdźcy – przerażeni i przetrzebieni. Wcześniej wewnątrz tkaniny przywiązał płomień, a teraz go ożywił. Efektem była płonąca, okryta płaszczem postać, która pojawiła się nagle w powietrzu nad już wytrąconą z równowagi grupą.

Zaczęli wrzeszczeć, że Zniszczenie ich odnalazł, i rozdzielili się. Zapanował chaos, część pogoniła konie w jedną stronę, część w inną.

Kelsier zsunął się na ziemię i skradał w ciemnościach, trzymając równoległe do Alonoe i jednego strażnika, który z nią pozostał. Koń kobiety wkrótce utknął w gęstych zaroślach. Doskonale. Kelsier wycofał się i odnalazł swoje zapasy, po czym narzucił jedną z szat, które znalazł w fortecy. Przeciskał się przez las, zaczepiając szatą o zarośla, aż znalazł się wystarczająco blisko Alonoe.

Wtedy wyszedł tak, by mogła go zobaczyć, i zawołał ją, machając ręką. Myśląc, że znalazła większą grupę ludzi, Alonoe wraz ze strażnikiem ruszyła za nim, nieświadoma, że w ten sposób jeszcze bardziej oddała się od towarzyszy. Kelsier odprowadził ją na pewną odległość, po czym zniknął w ciemnościach, pozostawiając ją samą ze strażnikiem.

Następnie ruszył przez ciemne poszycie w stronę reszty grupy, a jego widmowe serce biło szybciej. To. Tego mu brakowało.

Oszustwo. Ekscytacja, gdy grał na ludziach jak na fletach, wykręcał ich na drugą stronę i związał ich umysły w kłębek. Pośpieszył przez las, nasłuchując okrzyków przerażenia, wołania żołnierzy, parskania i rżenia koni. Gęste zarośla wypełniała demoniczna dysharmonia.

W pobliżu jeden z pomarszczonych mężczyzn zbierał żołnierzy i swoich towarzyszy, wzywał ich do zachowania spokoju i zaczął prowadzić z powrotem w stronę, z której przybyli – pewnie po to, by spotkać się z tymi, którzy się zgubili, gdy ich szereg się rozproszył.

Kelsier – wciąż w szacie, z ukradzioną torbą przerzuconą przez ramię – położył się na ziemi na ich drodze i zaczął, aż ktoś go zobaczy.

– Tam! – powiedział jeden ze strażników. – To...

Kelsier zatonął w ziemi, pozostawiając szatę i torbę. Strażnik krzyknął na widok jednego ze starożytnych, który najwyraźniej się rozplątał i zniknął.

Oddalwszy się nieco, Kelsier wyłonił się z gruntu i patrzył na gromadkę zebraną wokół szaty i torby.

– Ona się rozplątała, o starożytny! – powiedział strażnik. – Widziałem to na własne oczy!

– To jedna z szat Alonoe – szepnęła kobieta, unosząc dłoń do piersi.

Inny ze starożytnych zajrzał do torby.

– Pusta. Miłosierny Domi... co my myśleliśmy?

– Wracamy – powiedział Elrao. – Wracamy! Wszyscy na koń! Odchodzimy stąd. Niech będzie przeklęta Alonoe i ten jej pomysł!

Zniknęli w ciągu kilku chwil. Kelsier przeszedł przez las i zatrzymał się przy porzuconej szacie, którą zostawili. Nasłuchiwał, jak większość ekspedycji przebija się z hałasem przez dżunglę, próbując

jak najszybciej przed nim uciec.

Pokręcił głową i ruszył przez zarośla do miejsca, w którym Alonoe i jej samotny strażnik próbowali podążać za odgłosami głównej ekspedycji. Całkiem nieźle sobie z tym radzili, jeśli wziąć pod uwagę okoliczności.

Kiedy starożytna odwróciła wzrok, Kelsier chwycił strażnika za szyję i pociągnął go w ciemność. Mężczyzna się szarpał, ale Kelsier szybko założył mu dźwignię i bez większego trudu pozbawił go przytomności. Cicho odciągnął ciało do tyłu, a później powrócił do starożytnej, która stała obok konia z uniesioną latarnią i rozglądała się gorączkowo.

W dżungli zapanowała niesamowita cisza.

– Halo?! – zawołała. – Elrao?! Riina?!

Kelsier czekał w cieniach, a okrzyki stawały się coraz bardziej gorączkowe. Wreszcie kobieta straciła głos. Wyczerpana osunęła się na ziemię.

– Zostaw to – szepnął Kelsier.

Popatrzyła w jego stronę zaczerwienionymi oczami, była wyraźnie przerażona. Choć starożytna, wciąż czuła strach. Rozglądała się na wszystkie strony, ale był zbyt dobrze ukryty, bo go dostrzegła.

– Zostaw to – powtórzył Kelsier.

Nie musiał prosić po raz kolejny. Z drzeniem pokiwała głową, po czym zdjęła torbę, otworzyła ją i wyrzuciła z niej dużą szklaną kulę. Urządzenie emanowało tak mocnym blaskiem, że Kelsier musiał się cofnąć, by światło nie ujawniło jego obecności. Tak, w tej kuli była moc, wielka moc. Wypełniał ją świetlisty płyn, o wiele czystszy i jaśniejszy od tego, który pili starożytni.

Kobieta wróciła do konia, a każdy jej ruch świadczył o wyczerpaniu.

– Idź pieszo – polecił Kelsier.

Spojrzała w stronę ciemności, ale nie zauważyła go.

– Ja... – Oblizwała pomarszczone wargi. – Mogłabym ci służyć, Naczynie.

– Idź – rozkazał Kelsier.

Skrzywiwszy się, zdjęła juki i powolnym ruchem przerzuciła je przez ramię. Nie powstrzymywał jej. Pewnie potrzebowała tych słoików świecącego płynu, by przeżyć, a on nie pragnął jej śmierci. Chciał jedynie, by była wolniejsza niż jej towarzysze. Kiedy ich odnajdzie, mogą porównać opowieści i zrozumieć, że zostali oszukani.

A może nie. Alonoe ruszyła w głąb dżungli. Liczył, że wszyscy uznają, że to Zniszczenie ich pokonał. Kelsier zaczekał, aż kobieta zniknie, po czym podszedł i podniósł dużą szklaną kulę. Wydawało się, że oprócz stłuczenia szkła nie ma żadnego sposobu, by ją otworzyć.

Trzymał przed sobą świetlistą kulę i potrząsał nią, wpatrując się w niewiarygodne, hipnotyzujące płynne światło wewnątrz.

To była najlepsza zabawa od wieków.

CZĘŚĆ SZÓSTA

BOHATER





I

Kelsier biegł przez zniszczony świat. Kłopoty zauważył już w chwili, gdy opuścił ocean i ponownie wkroczył na mglistą ziemię Ostatniego Imperium. Tam natrafił na ruiny nadbrzeżnego miasta. Zniszczone budynki, zdruzgotane ulice. Zupełnie jakby całe miasto zsunęło się do oceanu – co dostrzegł dopiero, gdy stanął nad nim i zobaczył cieniste pozostałości budowli wystające z wody dalej od brzegu.

Później było już tylko gorzej. Puste miasta. Wielkie sterty popiołu, po tej stronie ukazujące się jako pofałdowane wzgórza, przez które przez jakiś czas przebiegał, zanim się zorientował, czym właściwie są.

Po kilkunastu dniach trafił na niewielką wioskę, w której kilka świetlistych dusz kuliło się w budynku. Na jego oczach zapadł się dach, grzebiąc ich w popiele. Trzy światła natychmiast zgasły, a dusze trojga skaa pojawiły się w Krainie Umysłu, gdy ich więź ze światem materialnym została przecięta.

Zachowanie nie przybył, by ich powitać.

Kelsier chwycił jedno z nich, starą kobietę, która – kiedy wziął ją za rękę – wzdrygnęła się i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

– Ostatni Imperator!

– Nie – odparł Kelsier. – Ale prawie. Co się dzieje?

Kobieta zaczęła się rozciągać. Jej towarzysze już zniknęli.

– Kończy się... – szepnęła. – Wszystko się kończy...

I zniknęła. Kelsier trzymał puste powietrze i czuł niepokój.

Znow zaczął biec. Czuł się winny, że zostawił konia w lesie, ale zwierzęciu w tamtym miejscu było z pewnością lepiej niż tutaj.

Spóźnił się? Zachowanie już umarł?

Biegł ze wszystkich sił, a szklana kula ciążyła mu w torbie. Może wynikało to z jego niepokoju, ale w drodze powrotnej biegł z jeszcze większą determinacją, niż kiedy ruszył w stronę oceanu. Nie chciał widzieć ginącego świata, otaczającej go śmierci. Wolał już wyczerpanie biegiem i dlatego do niego dążył, pędził do utraty sił.

Biegł tak przez wiele dni. Tygodni. Nie zatrzymywał się, nie rozglądał. Aż...

„Kelsierze”.

Zatrzymał się gwałtownie na polu popiołu. Przepelniało go poczucie, że w materialnym świecie jest mgła. Świetlista mgła. Moc. Tu jej nie widział, ale wyczuwał ją wszędzie dookoła.

– Fuzz?

Uniósł dłoń do czoła. Czy wyobraził sobie ten głos?

„Nie tędy, Kelsierze”. Głos wydawał się odległy. Ale tak, to był Zachowanie. „Nie... ma... nas... tam...”.

Miażdżący ciężar wyczerpania uderzył w Kelsiera. Gdzie był? Obrócił się dookoła, szukając jakiejś wskazówki, ale trudno je tu było odnaleźć. Popiół zatopił kanały – pamiętał, że przed kilkoma tygodniami zanurzył się w grunt, żeby je odnaleźć. Ostatnio... po prostu biegł...

– Gdzie? – spytał ostro. – Fuzz?

„Tak... zmęczony...”.

– Wiem – szepnął. – Wiem, Fuzz.

„Fadrex. Przybądź do Fadrex. Jesteś blisko...”.

Fadrex? Kelsier odwiedził je w młodości. Znajdowało się na południe od...

Tam. W pewnej odległości dostrzegł szczyt góry Morag, ledwie widoczny w Krainie Umysłu. Tam była północ.

Odwrócił się plecami do popielnej góry i pobiegł ze wszystkich sił. Wydawało się, że w mgnieniu oka dotarł do miasta, w którym powitał go upragniony, dodający otuchy widok. Dusze.

Miasto żyło. Strażnicy na murach i wysokich formacjach skalnych otaczających miasto. Ludzie na ulicach, śpiący w łóżkach, wypełniający budynki swoim pięknym, jasnym blaskiem. Kelsier przeszedł przez bramę i wkroczył do cudownego, promiennego miasta, w którym ludzie wciąż walczyli.

W cieple tego blasku wiedział, że się nie spóźnił.

Niestety, nie tylko on skupiał na nim uwagę. Podczas biegu starał się nie spoglądać w górę, ale tutaj nie mógł się powstrzymać, musiał stawić czoło kłębiącej się, gotującej masie. Kształty przypominające czarne węże prześlizgiwały się jeden po drugim, sięgając we wszystkich kierunkach aż po horyzont. Obserwował. Był tutaj.

Gdzie więc się podział Zachowanie? Kelsier szedł przez miasto, ciesząc się obecnością innych dusz i odzyskując siły po długim biegu. Zatrzymał się na rogu ulicy i nagle coś zauważył. Wąziutką linię światła, jak bardzo długi włos, leżącą u jego stóp. Ukląkł, podniósł ją i odkrył, że rozciąga się wzdłuż całej ulicy – niewiarygodnie cienka, emanująca słabym blaskiem, a jednocześnie zbyt mocna, by mógł ją zerwać.

– Fuzz?

Kelsier podążył za pasmem, aż dotarł do miejsca, w którym łączyło się z innym – wydawało się, że sieć obejmuje całe miasto.

„Tak... staram się...”.

– Niezła robota.

„Nie mogę do nich przemówić... Umieram, Kelsierze...”.

– Trzymaj się. Coś znalazłem, jest w moim plecaku. Odebrałem je tym stworom, o których mówiłeś. Airi.

„Niczego nie czuję”.

Kelsier się zawahał. Nie chciał pokazać przedmiotu Zniszczeniu. Dlatego podniósł pasmo, które było na tyle luźne, że mógł je wsunąć do torby i przycisnąć do kuli.

– A teraz?

„Ach... tak...”.

– Czy to ci może jakoś pomóc?

„Niestety nie”.

Kelsier poczuł, że wypełnia go jeszcze większe przygnębienie.

„Moc... moc jest jej... Ale Zniszczenie ją ma, Kelsierze. Nie mogę... Nie mogę dać...”.

– Jej? Vin? Ona tu jest?

Pasmo zawibrowało w palcach Kelsiera jak struna instrumentu. Fale przesuwwały się w jedną stronę.

Kelsier podążył w stronę ich źródła i znów zwrócił jego uwagę fakt, że Zachowanie pokrył miasto swoją esencją. Może doszedł do wniosku, że jeśli i tak ma być rozciągnięty, lepiej, żeby ułożył się jak ochronny koc.

Zachowanie zaprowadził go na plac pełen świetlistych dusz i kawałków metalu w ścianach. Świeciły niezwykle jasno, zwłaszcza w porównaniu z miesiącami, które spędził samotnie w ciemnościach. Czy jedną z tych dusz była Vin?

Nie, to byli żebracy. Przechodził między nimi, muskał dusze czubkami palców i widział ich obraz z drugiej Krainy. Skuleni w popiele, kaszłący i drżący. Upadli mężczyźni i kobiety Ostatniego Imperium, ludzie, którymi gardzili nawet zwykli skaa. Jego wspaniałe plany nie uczyniły ich życia lepszym.

Zatrzymał się gwałtownie.

Ten ostatni żebrak oparty o starą ceglana ścianę... on coś w sobie miał. Kelsier cofnął się i znów dotknął jego duszy. Ujrzał mężczyznę o twarzy i dłoniach owiniętych bandażami, spod których wystawały białe włosy. Bardzo białe, choć próbował to zamaskować, wcierając w nie popiół.

Kelsier poczuł nagły wstrząs, bolesne ukłucie, które przeszło po jego palcach w głąb duszy. Odskoczył, gdy żebrak spojrzał w jego stronę.

– Ty! Włóczęga!

Żebrak poruszył się, ale później spojrzał w inną stronę, rozglądając się po placu.

– Co ty tu robisz? – spytał ostro Kelsier.

Świetlista postać nie odpowiedziała.

Kelsier machał ręką, próbując pozbyć się bólu. Jego palce zdrętwiały. Co to było? I jakim sposobem białowłosemu Włóczędze udało się wpłynąć na niego w tej Krainie?

Na pobliskim dachu wylądowała drobna świetlista sylwetka.

– A niech to – mruknął Kelsier, przenosząc wzrok z Vin na Włóczęgę. Zareagował natychmiast, rzucił się w stronę ściany budynku i zaczął się gorączkowo wspinać w stronę dziewczyny. – Vin. Vin, trzymaj się od niego z dala.

Oczywiście krzyki nie miały sensu. Nie mogła go usłyszeć.

Mimo to chwycił ją za ramiona i zobaczył ją w Krainie Materii. Kiedy stała się tak pewna siebie, tak świadoma? Niegdyś się kulila, teraz jednak kroczyła jak kobieta, która w pełni panuje nad sytuacją. Oczy, kiedyś szeroko otwarte w zadziwieniu, teraz były zmrużone i uważnie obserwowały otoczenie. Miała dłuższe włosy, ale jej drobna postać wydawała się o wiele potężniejsza, niż kiedy ją poznał.

– Vin. Vin! Posłuchaj, proszę. Ten człowiek oznacza kłopoty. Nie zbliżaj się do niego. Nie...

Vin przechyliła głowę i zeskoczyła z dachu, z dala od Włóczęgi.

– A niech to. Usłyszała mnie?

A może to był zbieg okoliczności? Kelsier skoczył za Vin, rzucając się beztrudnie z dachu. Nie miał Allomancji, ale był lekki i mógł spaść, nie robiąc sobie krzywdy. Wylądował miękko i pobiegł po uginającej się ziemi, śledząc Vin. Przebiegał przez budynki, ignorując ściany, i próbował się trzymać tuż za nią. I tak go przegoniła.

„Kelsierze...”. Głos Zachowania szepczący do niego.

Coś go wypełniło, znajomy wstrząs mocy, wewnętrzne ciepło. Przypominało mu spalanie metali. Esencja Zachowania dodająca mu sił.

Biegł szybciej, skakał dalej. To nie była prawdziwa Allomancja, ale coś bardziej surowego i pierwotnego. Wypełniała Kelsiera, ogrzewając jego duszę i pozwalając mu dotrzeć do Vin – która zatrzymała się na ulicy przed dużym budynkiem. Wkrótce po tym, jak do niej dotarł, znów ruszyła ulicą, ale tym razem Kelsier dotrzymywał jej kroku, choć z trudem.

A ona wiedziała, że tam był. Wyczuwał to w sposobie, w jaki skakała, próbując zgubić pościg, a przynajmniej go zobaczyć. Była dobra, ale on grał w tę grę, zanim ona się urodziła.

Wyczuwała go. Dlaczego? Jak?

Przyśpieszyła, a on z trudem za nią nadążał. Poruszał się niezgrabnie. Co prawda, Zachowanie dodawał mu sił, ale brakowało mu finezji prawdziwej Allomancji. Nie mógł Odpychać i Przyciągać, jedynie skakał, chwytając się ścian budynków i rzucał do przodu.

Mimo to uśmiechał się szeroko. Wcześniej nie uświadamiał sobie, jak bardzo brakowało mu ćwiczeń z Vin pośród mgieł, współzawodnictwa z innym Zrodzonym z Mgły, patrzenia, jak jego protegowana dąży do doskonałości. Była dobra. Nawet fantastyczna. W niezwykle sposób oceniała siłę każdego Odpychania i równoważyła swój ciężar z każdą kotwicą.

To była energia i ekscytacja. Niemal zapomniał o problemach, którym musiał stawić czoło. To prawie wystarczyło. Gdyby tylko mógł nocami tańczyć z Vin pośród mgieł, odnalezienie sposobu na odzyskanie życia w Krainie Materii traciło na znaczeniu.

Dotarli do skrzyżowania i skierowali się w stronę murów. Vin skakała przed nim na liniach stali. Kelsier uderzył w ziemię przepelniony mocą Zachowania i przygotował się do skoku.

Coś na niego opadło. Czerń pełna kolców, pajęczych nóg i obsydianowej mgły.

– No, no – powiedział Zniszczenie ze wszystkich stron. – No, no. Kelsierze? Jak to możliwe, że nie zauważyłem cię wcześniej?

Moc dusiła go, przyciskała do ziemi. Przed nim za Vin podążyła niewielka postać, stworzona z czarnej mgły i pulsująca w podobnym rytmie, jak wcześniej Kelsier. Zmyłka.

Zrobił to wcześniej, pomyślał Kelsier. Udawał Fuzza, żeby oszukać Vin. Z frustracją szarpał się w więzach.

Z kolei Zachowanie pisnął jak dziecko w umyśle Kelsiera i wycofał się z niego. Ciepła moc przygasła. Co ciekawe, jednocześnie osłabł Zniszczenie. Jego siła przestała tak przytłaczać Kelsiera, któremu udało się podnieść i przebić przez zasłonę ostrych mgieł. Zatoczył się na ulicę.

– Gdzieś ty się podziewał? – spytał Zniszczenie.

Moc za plecami Kelsiera skupiła się, przybierając kształt rudowłosego mężczyzny, którego widział wcześniej. Poruszenia pod jego skórą były tym razem mniej wyraźne.

– Tu i tam. – Kelsier podążył wzrokiem za Vin. Wiedział, że już jej nie dogoni. – Pomyślałem, że się rozejrzę. Zobaczę, co śmierć ma do zaoferowania.

– Ach, jakiś ty dowcipny. Odwiedziłeś Ire? I pewnie zostałeś przez nich odprawiony, jak zakładałam. Tak, mogę się tego domyślać. Chciałbym wiedzieć, dlaczego powróciłeś. Byłem pewien, że uciekniesz. Już wypełniłeś swoje zadanie, zrobiłeś, czego od ciebie oczekiwałem.

Kelsier postawił torbę na ziemi. Liczył, że kula światła w jej wnętrzu pozostała ukryta. Podeszedł bliżej i okrążył marionetkę Zniszczenia.

– Moje zadanie?

– Jedenasty Metal. – W głosie Zniszczenia brzmiało rozbawienie. – Myślisz, że to był zbieg okoliczności? Opowieść, której nie znał nikt inny, tajemny sposób zabicia nieśmiertelnego imperatora? Wpadł ci prosto w ręce.

Kelsier przyjął to spokojnie. Już się domyślał, że Gemmel był dotknięty przez Zniszczenie, że on sam był pionkiem tego stwora. Ale dlaczego Vin mogła mnie usłyszeć? Czego nie dostrzegał? Znow przeniósł wzrok na dziewczynę.

– Ach. Dziecko. Nadal sądzisz, że mnie pokona, prawda? Nawet po tym, jak mnie uwolniła?

Kelsier odwrócił się do Zniszczenia. A niech to. Ile wiedział ten stwór? Zniszczenie uśmiechnął się i podeszedł do Kelsiera.

– Zostaw Vin w spokoju – syknął.

– Zostawić ją w spokoju? Ona jest moja, Kelsierze. Tak samo jak ty. Znam to dziecko od dnia jej urodzin, a przygotowywałem ją jeszcze dłużej.

Kelsier zazgrzytał zębami.

– To urocze. Naprawdę sądziłeś, że to był twój pomysł, co? Upadek Ostatniego Imperium, koniec Ostatniego Imperatora... zwerbowanie Vin?

– Pomysły nigdy nie są oryginalne. Tylko jedno jest.

– Cóż takiego?

– Styl.

Z tymi słowami Kelsier uderzył Zniszczenie w twarz.

A raczej próbował. Zniszczenie wyparował w momencie, kiedy pięść Kelsiera zbliżyła się do celu, a po chwili jego kopia pojawiła się obok.

– Ach, Kelsierze – powiedział. – Czy to było mądre?

– Nie. Ale będzie z tego piękna historia. Zostaw ją w spokoju, Zniszczenie.

Zniszczenie uśmiechnął się do niego z litością i nagle z jego ciała wystrzeliło tysiąc wąskich czarnych kolców, rozszarpując szatę. Przebiły Kelsiera jak włócznie, szarpiąc jego duszę i zalewając go oślepiającą falą bólu.

Wrzasnął i padł na kolana. Przypominało to nieco rozciąganie, kiedy po raz pierwszy znalazł się w tym miejscu, ale było wymuszone, natarczywe.

Padł na ziemię wstrząsany drgawkami, a z jego duszy wyciekały pasma mgły. Kolce zniknęły, podobnie jak sam Zniszczenie. Tyle że oczywiście stwór nigdy tak naprawdę nie odchodził. Obserwował wszystko z falującego nieba.

„Nic nie może zostać zniszczone, Kelsierze”, rozległ się szept Zniszczenia bezpośrednio w jego głowie. „Ludzie tego nie rozumieją. Wszystko jedynie się zmienia, rozpada, staje się czymś nowym... czymś doskonałym. Zachowanie i ja jesteśmy tak naprawdę dwiema stronami tej samej monety. Ponieważ, kiedy skończę, on w końcu dostanie swój upragniony bezruch, niezmiennosc. I nie będzie

już nic, ciała ani duszy, które by go zakłócały”.

Kelsier oddychał głęboko, wykorzystując znajome sposoby z czasów, kiedy jeszcze żył, by się uspokoić. W końcu jęknął i przetoczył się na kolana.

– Zasłużyłeś na to – zauważył Zachowanie, jego głos wydawał się odległy.

– Pewnie. – Kelsier podniósł się z trudem. – Ale i tak warto było spróbować.



2

Przez kilka kolejnych dni Kelsier próbował powtórzyć swój sukces i skłonić Vin, by go wysłuchała. Niestety, Zniszczenie go teraz obserwował. Za każdym razem, gdy Kelsier się zbliżał, Zniszczenie się wtrącał, otaczał go i powstrzymywał. Dusił go czarnym dymem i odpędzał.

Zniszczenie najwyraźniej dobrze się bawił, trzymając Kelsiera na skraju obozu Vin pod Fadrex, i nie przepędzał go. Ale za każdym razem, kiedy Kelsier próbował z nią porozmawiać, Zniszczenie go karał. Jak rodzic uderzający w dłoń dziecka, które podeszło za blisko płomienia.

Doprowadzało go to do szału, zwłaszcza że słowa Zniszczenia go dręczyły. Wszystko, co Kelsier osiągnął, było jedynie częścią planu uwolnienia tego stwora. I rzeczywiście Zniszczenie miał jakiś wpływ na Vin. Mógł się jej ukazywać, co potwierdził sposób, w jaki pewnego dnia wyprowadził ją z obozu. Ten nagły ruch zaskoczył Kelsiera.

Próbował ruszyć za nimi, biegnąc za widmem stworzonym przez Zniszczenie. Skakało jak Zrodzony z Mgły, a Vin podążyła za nim wyraźnie przekonana, że odkryła szpiega. Pozostawili obóz za sobą.

Kelsier zwolnił. Stał na mglistej ziemi poza miastem i odprowadzał ich wzrokiem, czuł się przy tym całkiem bezużyteczny. Vin wyczuwała tego stwora, a jego obecność przyćmiewała Kelsiera. Nigdy nie uda mu się z nią porozmawiać.

Powód, dla którego Zniszczenie odciągnął Vin od obozu, wkrótce stał się jasny. Coś przypuściło atak na należącą do Vin i Elenda armię kolosów. Kelsiera ostrzegło zamieszanie panujące w obozie, a na miejsce dotarł szybciej niż ludzie w Krainie Materii. Wydawało się, że na grań nad obozowiskiem kolosów ktoś wciągnął maszyny oblężnicze.

Z nich na bestie spadała śmierć. Kelsier mógł jedynie patrzeć, jak tysiące kolosów giną po nagłym ataku. Nie czuł prawdziwego żalu, gdy kolosy ginęły, ale wydawało się to marnotrawstwem.

Frustracja napełniała kolosy wściekłością, gdyż nie były zdolne dotrzeć do wroga. Co ciekawe, ich dusze wkrótce zaczęły się pojawiać w Krainie Umysłu.

I były ludzkie.

Wcale nie byli kolosami, ale ludźmi odzianymi w różnorodne stroje. Przeważnie skaa, ale wśród nich pojawiali się również żołnierze, kupcy, a nawet szlachetnie urodzeni. Mężczyźni i kobiety.

Kelsier gapił się na nich. Nigdy nie wiedział, czym dokładnie są kolosy, ale tego z pewnością się nie spodziewał. Zwyczajni ludzie jakimś sposobem przemienieni w bestie? Biegał między gasnącymi duszami zabitych.

– Co się z tobą stało? – spytał jedną z kobiet. – Jak do tego doszło?

Patrzyła na niego z konsternacją.

– Gdzie... gdzie ja jestem?

Po chwili zniknęła. Wydawało się, że przejście było dla niej zbyt wielkim wstrząsem. Inni robili wrażenie równie zdezorientowanych, wyciągali przed siebie ręce, jakby zaskoczeni, że znów są ludźmi – choć całkiem spora liczba wyraźnie czuła ulgę. Kelsier przyglądał się tysiącom pojawiających się i znikających postaci. Po drugiej stronie trwała rzeź, wszędzie dookoła spadały kamienie. Jeden przeszedł przez Kelsiera, po czym odtoczył się, miażdżąc ciała.

Mógł to wykorzystać, ale potrzebował pewnej określonej osoby. Nie chłopca ani nawet przebiegłego lorda. Potrzebował kogoś, kto...

Tam.

Przebiegł wśród rozplywających się duchów i przecisnął między świetlistymi duszami istot, które jeszcze nie umarły, kierując się w stronę pewnego szczególnego ducha, który właśnie się pojawił. Łysy, z tatuażami otaczającymi oczy. Obligator. Ten mężczyzna wydawał się mniej zaskoczony wydarzeniami i bardziej zrezygnowany. Kiedy Kelsier dotarł na miejsce, chudy obligator już zaczynał się rozciągać.

– Jak? – spytał Kelsier, licząc, że obligator wie więcej na temat kolosów. – Jak do tego doszło?

– Nie wiem – odparł mężczyzna.

Kelsier spochmurniał.

– Te bestie – mówił dalej duch – nie powinny zabierać obligatora! Byłem ich opiekunem, a oni mi to zrobili? Ten świat jest zniszczony.

Nie powinny? Kiedy obligator zaczął rozciągać się w stronę nicości, Kelsier chwycił go za ramię.

– Jak? Proszę, powiedz mi, jak to się dzieje? Że ludzie stają się kolosami?

Obligator spojrzał na niego i znikając, wypowiedział jedno słowo.

– Kolce.

Kelsier znów stanął z otwartymi ustami. Wokół niego na zamglonej równinie dusze płonęły jasno, gasły i lądowały w tej Krainie – po czym w końcu rozplywały się w nicłość. Jak ludzkie ogniska, które zostały zgaszone.

Kolce. Jak kolce Inkwizytorów?

Podszedł do trupów i ukląkł, przyglądając im się uważnie. Tak, widział je. Po tej stronie metal świecił, a w tych ciałach były małe kolce – przypominające węgielki, ale emanujące ostrym blaskiem.

Trudniej je było zobaczyć w żyjących kolosach, ze względu na płomień ich duszy, ale wydawało mu się, że te kolce wbijają się w duszę. Czy to właśnie była tajemnica? Krzyknął do pary kolosów, a one spojrzały w jego stronę, po czym rozejrzały się niepewnie.

Kolce je przeobrażają, pomyślał Kelsier, jak Inkwizytorów. Czy w ten sposób się je kontroluje? Przez otwory w duszy?

A co z szaleńcami? Czy ich dusze były pęknięte, pozwalając na coś podobnego? Zaniepokojony opuścił pole i umierających, choć bitwa – a raczej rzeź – chyba się już kończyła.

Kelsier przebył zamglone pole pod Fadrex i zaczekał tam, z dala od ludzkich duszy, na powrót Vin. Podążał za nią cień, którego tym razem najwyraźniej nie zauważała. Minęła go i zniknęła w obozie.

Kelsier usiadł obok jednego z małych pędów Zachowania i dotknął go.

– On macza swoje palce we wszystkim, prawda, Fuzz?

– Tak – odparł Zachowanie słabym, cichym głosem. – Popatrz.

W głowie Kelsiera coś się pojawiło, sekwencja obrazów: Inkwizytorzy słuchający z głowami uniesionymi w stronę głosu Zniszczenia. Vin w cieniu stwora. Mężczyzna, którego nie znał, siedzący na płonącym tronie i patrzący na Luthadel z krzywym uśmiechem na wargach.

I mały Lestibournes. Spook miał na sobie spalony płaszcz, który był na niego za duży, a w pobliżu kuczał Zniszczenie i szeptał do ucha biedaka głosem Kelsiera.

Później zobaczył Marsha stojącego pośród opadającego popiołu, z kolcami oczu wpatrzonymi ślepo w krajobraz. Wydawał się zupełnie nieruchomy, a na jego głowie i ramionach zbierał się popiół.

Marsh... Widok brata w takim stanie sprawił, że Kelsierowi zrobiło się niedobrze. Jego plan wymagał, by Marsh dołączył do obligatorów. Domyślił się, co musiało wydarzyć się później. Allomancja Marsha została dostrzeżona, podobnie jak jego gorliwość.

Pasja i troska. Marsh nigdy nie był tak uzdolniony jak Kelsier. Ale zawsze, zawsze był lepszym człowiekiem.

Zachowanie pokazał mu dziesiątki innych, głównie ludzi u władzy prowadzących swoich poddanych ku zagładzie, śmiejących się i tańczących, gdy popiół zbierał się w hałdach, a plony wędły wśród mgieł. Każdy z nich był albo osobą przebitą metalem, albo znajdował się pod wpływem ludzi w otoczeniu przebitych metalem. Powinien się domyślić już przy Studni Wstąpienia, kiedy widział w impulsach, że Zniszczenie może rozmawiać z Marshem i innymi Inkwizytorami.

Metal. Był kluczem do wszystkiego.

– Tak wiele zniszczeń – szepnął Kelsier wśród wizji. – Nie przeżyjemy tego, prawda? Nawet jeśli powstrzymamy Zniszczenie, będziemy skazani na zagładę.

– Nie – sprzeciwił się Zachowanie. – Nie skazani na zagładę. Pamiętaj... nadzieja, Kelsierze. Powiedziałeś, że jesteś... jesteś...

– Jestem nadzieją – szepnął Kelsier.

– Nie mogę cię ocalić. Ale musimy ufać.

– W co?

– W mężczyznę, którym byłem. W... plan... Znak... i Bohater...

– Vin. On ją ma, Fuzz.

– Nie wie aż tak wiele, jak mu się wydaje – szepnął Zachowanie. – To jego słabość. Słabość... wszystkich sprytnych ludzi...

– Oprócz mnie oczywiście.

Zachowanie miał w sobie dość ikry, by się roześmiać, co poprawiło humor Kelsierowi. Wstał i otrzepał ubranie. Było to dość bezsensowne, bo tu nie było kurzu – nie wspominając już o realnym ubraniu.

– Daj spokój, Fuzz, powiedz mi, czy kiedyś się myliłem?

– Cóż, był ten moment...

– One się nie liczą. Wtedy nie byłem w pełni sobą.

– A... kiedy stałeś się... w pełni sobą?

– Właśnie w tej chwili.

– Mógłbyś... mógłbyś używać tego usprawiedliwienia... przez cały czas...

- Zaczynasz łapać, Fuzz. – Kelsier oparł dłonie na biodrach. – Wykorzystamy plan, który wprowadziłeś w życie, kiedy byłeś przy zdrowych zmysłach, co? W porządku. Jak mogę pomóc?
- Pomóc? Ja... ja nie...
- Nie, bądź zdecydowany. Zuchwały! Dobry przywódca szajki zawsze jest pewien siebie, nawet kiedy nie jest. A szczególnie kiedy nie jest.
- To nie ma... sensu...
- Jestem martwy. Nie muszę już mówić z sensem. Jakies pomysły? Ty tu teraz jesteś szefem.
- Ja?
- Pewnie. Twój plan. Ty tu rządzisz. W końcu jesteś bogiem. To powinno się liczyć, tak myślę.
- Dziękuję, że... w końcu... to przyznałeś.
- Kelsier po chwili wahania postawił torbę na ziemi.
- Pewien jesteś, że to nie może pomóc? Tworzy więzi między ludźmi i bogami. Sądzę, że mogłoby cię uleczyć albo coś.
- Och, Kelsierze. Mówiłem ci, że już jestem martwy. Nie możesz... mnie ocalić. Ocal... mojego następcę.
- W takim razie oddam to Vin. Czy jej pomoże?
- Nie. Musisz jej... powiedzieć. Możesz sięgnąć... przez pęknięcia w duszach... a ja nie mogę. Powiedz jej, że nie może ufać... nikomu przebitemu metalem. Musisz ją uwolnić, by wzięła... moją moc. Całą.
- Jasne. – Kelsier schował szklaną kulę. – Uwolnić Vin. Łatwizna. Musiał tylko znaleźć sposób, by ominąć Zniszczenie.



3

– I jak, Midge? – szepnął Kelsier do drzemiącego mężczyzny. – Rozumiesz?

– Misja – wymamrotał niechlujny żołnierz. – Ocalały...

– Nie możesz ufać nikomu przebitemu metalem – powiedział Kelsier. – Powiedz jej to. Dokładnie te słowa. To misja, którą dostałeś od Ocalałego.

Mężczyzna obudził się z chrapnięciem. Powinien pełnić straż, a teraz podniósł się niezgrabnie, gdy przyszedł jego zmiennik. Kelsier niepewnie przyglądał się świetlistym istotom. Zajęło mu kilka cennych dni – podczas których Zniszczenie utrzymywał go z dala od Vin – odnalezienie w armii kogoś, kto miał problemy z umysłem, kogoś z tą charakterystyczną duszą szaleństwa.

Nie chodziło o to, że byli uszkodzeni, jak kiedyś sądził. Jedyne... otwarci. Ten mężczyzna, Midge, wydawał się doskonały. Zareagował na słowa Kelsiera, ale nie był na tyle szalony, by inni go ignorowali.

Kelsier podążył za Midge'em przez obóz w stronę jednego z ognisk. Żołnierz z wyraźnym ożywieniem odezwał się do swoich towarzyszy.

Powiedz im, pomyślał Kelsier. Niech wieści rozejdą się po obozie. Niech Vin je usłyszy.

Midge mówił dalej. Inni stali wokół ogniska. Słuchali. Kelsier dotknął żołnierza, próbował usłyszeć jego słowa. Nie udało mu się to do chwili, gdy dotknęło go pasmo Zachowania – wtedy słowa zaczęły wibrować w jego duszy, ledwie słyszalne w jego uszach.

– Zgadza się – powiedział Midge. – Odezwał się do mnie. Powiedział, że jestem wyjątkowy. Powiedział, że nie powinniśmy ufać żadnemu z was. Jestem święty, a wy nie i już.

– Co takiego? – warknął Kelsier. – Midge, ty idioto.

Później było już tylko gorzej. Kelsier cofnął się, gdy mężczyźni wokół ogniska zaczęli się sprzeczać, przepychać, a później bić. Z westchnieniem usiadł na mglistym cieniu głazu i patrzył, jak kilkanaście dni pracy po prostu wyparowuje.

Ktoś położył dłoń na jego ramieniu. Podniósł wzrok na Zniszczenie, który pojawiły się obok.

– Ostrożnie – powiedział Kelsier – bo pobrudzisz moją koszulę sobą.

Zniszczenie się roześmiał.

– Nieco obawiałem się pozostawić cię samemu sobie, Kelsierze. Ale okazuje się, że dobrze mi służyłeś pod moją nieobecność. – Jeden z walczących uderzył Demoux prosto w twarz, a Zniszczenie się skrzywił. – Ładnie.

– Ale powinien włożyć w ten cios więcej siły – mruknął Kelsier. – Ciosy pięścią wymagają zamachu.

Zniszczenie uśmiechnął się, znacząco i nieznośnie. A niech mnie, pomyślał Kelsier. Mam nadzieję, że ja sam tak nie wyglądam.

– Z pewnością już sobie uświadamiasz, Kelsierze, że cokolwiek zrobisz, ja na to zareaguję. Walka służy jedynie Zniszczeniu.

Na miejscu pojawił się Elend Venture, przyfrunął na Odpychaniu Żelaza, którego Kelsier mu zazdrościł. Wyglądał stosownie władczo. Z tego chłopaka naprawdę wyrósł lepszy mężczyzna, niż Kelsier się spodziewał. I to mimo tej głupiej brody.

Kelsier zmarszczył czoło.

– Gdzie jest Vin?

– Hm? Ach tak, mam ją.

– Gdzie? – spytał ostro Kelsier.

– Daleko stąd. Gdzie mam ją w ręku. – Nachylił się do Kelsiera. – Dobra robota, zmarnować tyle czasu na szaleńca.

I zniknął.

Nienawidzę go z całego serca, pomyślał Kelsier. Zniszczenie... w rzeczywistości nie był bardziej imponujący od Zachowania. A niech mnie, ja jestem lepszy w byciu bogiem niż oni. On przynajmniej poruszał ludzi.

W tym Midge'a i resztę walczących, niestety. Kelsier wstał z kamienia i w końcu przyjął do wiadomości coś, czego bardzo pragnął uniknąć. Tutaj nic nie mógł zrobić, nie ze Zniszczeniem tak bardzo skupionym na Vin i Elendzie. Musiał zwrócić się do kogoś innego. Może Sazed? Albo Marsha. Gdyby udało mu się dotrzeć do brata, kiedy Zniszczenie był rozproszony...

Musiał mieć nadzieję, że zaklęcia na tej kuli osłonią go przed wzrokiem mrocznego boga, jak to się stało, gdy przybył do Fadrex. Musiał opuścić to miejsce, wyruszyć w drogę, zaczekać, aż Zniszczenie przestanie się nim interesować, a później skontaktować się z Marshem lub Spookiem, skłonić ich do przekazania wiadomości Vin.

Bolało go, że musi pozostawić ją w łapach Zniszczenia, ale tu nie mógł już nic zrobić.

Wyruszył od razu.



4

Kelsier nie znajdował się w żadnym szczególnym miejscu, kiedy bóg w końcu umarł.

Nie umiał określić swojej lokalizacji. W pobliżu żadnego miasteczka, a przynajmniej takiego, którego nie przykrył popiół. Zamierzał skierować się w stronę Luthadelu, ale ponieważ wszystkie charakterystyczne elementy krajobrazu zostały zasłonięte – i nie mógł się kierować położeniem słońca – nie był do końca pewien, czy wyruszył we właściwą stronę.

Ziemia się zakołysała, mglisty grunt zadrżał. Kelsier zatrzymał się gwałtownie i spojrzał w niebo, spodziewając się z początku, że to Zniszczenie wywołuje te wstrząsy.

I wtedy to poczuł. Może poprzez odrobinę Związku, jaki łączył go z Zachowaniem od czasu Studni Wstąpienia. A może to była ta część w jego wnętrzu, którą umieścił w nim bóg, to miejsce wewnątrz ich wszystkich. Światło duszy.

Niezależnie od przyczyny Kelsier poczuł koniec jako długie, przeciągnięte westchnienie. Przeszył go zimny dreszcz i gorączkowo próbował odszukać pasmo Zachowania. Przez całą drogę widział je wszędzie na ziemi, ale teraz nie znalazł żadnego.

– Fuzz! – zawołał. – Zachowanie!

„Kelsierze...”. Głos napełniał go wibracją. „Żegnaj”.

– A niech to, Fuzz. – Kelsier wpatrzył się w niebo. – Przepraszam. Ja... – Przełknął ślinę.

„To dziwne. Po tylu latach, kiedy pojawiałem się dla innych w chwili ich śmierci, nigdy się nie spodziewałem... że moje własne odejście będzie takie zimne i samotne...”.

– Jestem tu dla ciebie.

„Nie. Nie byłeś. Kelsierze, on rozszczepia moją moc. Rozrywa ją. Ona zniknie... Rozszczepiona... Zniszczy ją”.

– Niech spróbuje.

Kelsier upuścił torbę. Sięgnął do środka i złapał szklaną kulę wypełnioną świetlistym płynem.

„Ona nie jest dla ciebie, Kelsierze. Nie jest twoja. Należy do kogoś innego”.

– Przekażę ją.

Kelsier wziął kulę. Odetchnął głęboko i nożem Nazha zmiażdżył szkło, zalewając rękę i ciało świetlistym płynem.

Wystrzeliły z niego linie przypominające nici. Płonące blaskiem, promieniste. Jak linie przy spalaniu stali albo żelaza, tyle tylko, że łączyły się ze wszystkim.

„Kelsierze!” – powiedział Zachowanie, a jego głos stał się silniejszy. „Bądź lepszy niż wcześniej! Nazwali cię swoim bogiem, a ty swobodnie traktowałeś ich wiarę! Serca ludzi NIE SĄ TWOIMI

ZABAWKAMI”.

– Ja... – Kelsier oblizał wargi. – Rozumiem. Panie mój.

„Bądź lepszy, Kelsierze”, rozkazał Zachowanie cichnym głosem. „Jeśli nadejdzie koniec, sprowadź ich pod ziemię. To może pomóc. I pamiętaj... pamiętaj, co ci powiedziałem, tak dawno temu... Zrób to, co mi się nie udało, Kelsierze...”

PRZEŻYJ”.

Słowo wypełniło go drżeniem i Kelsier aż sapnął. Pamiętał to uczucie, pamiętał dokładnie ten rozkaz. Usłyszał ten głos w Czeluściach. Obudził go i pchnął naprzód.

Ocalił go.

Kelsier pochylił głowę, gdy poczuł, jak Zachowanie niknie i w końcu rozciąga się w ciemność.

Później, pełen pożyczonego światła, chwycił wirujące wokół niego pasma i Przyciągnął. Moc stawiała opór. Nie wiedział dlaczego – jedynie w niewielkim stopniu pojmował, co robi. Dlaczego moc dostrajała się do jednych ludzi, a do innych nie?

Cóż, już wcześniej Przyciągał odporne kotwice. Szarpnął ze wszystkich sił, ściągając moc ku sobie. Walczyła, opierała mu się, jakby była żywa... aż...

Pękła, zalewając go.

A Kelsier, Ocalały ze Śmierci, Wstąpił.

Krzyknął z uniesienia, gdy poczuł, jak przepływa przez niego moc, jak Allomancja pomnożona po stokroć. Gorączkowa, stopiona, płonąca energia, która przepelniała jego duszę. Roześmiał się, wzniósł w powietrze, rozrastał się, stawał się wszędzie i wszystkim.

„Co to?” – spytał ostro Zniszczenie.

Kelsier odkrył, że stoi przed nim przeciwstawny bóg, ich postacie rozlewały się w nieskończoność – jedna jako lodowaty chłód życia zamrożonego, znieruchomiałego, druga jako szarpiąca się, rozpadająca, gwałtowna czerń rozkładu. Kelsier uśmiechnął się, gdy wyczuł absolutny i całkowity wstrząs Zniszczenia.

– Co takiego mówiłeś wcześniej? – spytał Kelsier. – Cokolwiek zrobię, ty na to zareagujesz? A co powiesz na to?

Zniszczenie szalał, moc wypływała z niego w cyklonie gniewu. Jego marionetka rozpadła się, ukazując to coś, surową energię, która tak długo spiskowała i planowała, jedynie po to, by zostać teraz powstrzymaną. Kelsier uśmiechnął się szerzej i wyobraził sobie – z wielkim zadowoleniem – uczucie rozrywania na strzępy tego potwora, który zabił Zachowanie. To bezużyteczne, przestarzałe marnowanie energii. Zmiażdżenie go byłoby tak satysfakcjonujące. Kazał swojej nieograniczonej mocy zaatakować.

I nic się nie wydarzyło.

Moc Zachowania wciąż stawiała mu opór. Cofała się przed jego morderczymi intencjami i choć dawał z siebie wszystko, nie mógł jej zmusić do zrobienia krzywdy Zniszczeniu.

Jego wróg zawibrował, zadrżał, a te wstrząsy stały się dźwiękiem przypominającym śmiech. Kłębiące się czarne mgły znów przybrały postać boskiego mężczyzny rozciągniętego na niebie.

– Och, Kelsierze! – wykrzyknął Zniszczenie. – Myślisz, że przeszkadza mi to, co zrobiłeś? Sam bym ciebie wybrał, żebyś przyjął moc! To doskonale! W końcu jesteś jedynie aspektem mnie.

Kelsier zazgrzytał zębami i wyciągnął palce z szalejącej wichury, jakby chciał chwycić Zniszczenie

i udusić go.

Stwórz jedynie roześmiał się głośniej.

– Z trudem nad nią panujesz. A nawet zakładając, że mogłaby zrobić mi krzywdę, tobie by się to nie udało. Popatrz tylko na siebie, Kelsierze! Nie masz postaci ani kształtu. Nie żyjesz, jesteś ideą. Wspomnienie człowieka trzymającego moc nigdy nie będzie tak potężne jak prawdziwy człowiek związany ze wszystkimi trzema Krainami.

Zniszczenie odepchnął go bez trudu, a kiedy stwór go dotknął, Kelsier poczuł trzask. Te moce reagowały na siebie jak ogień i woda. Kelsier doszedł do wniosku, że musi istnieć sposób, by moc, którą przyjął, wykorzystać do pokonania Zniszczenia. Musiał tylko go wymyślić.

Zniszczenie odwróciło uwagę od Kelsiera, który spróbował w tym czasie zaznajomić się ze swoją mocą. Niestety, wszystko, co próbował zrobić, trafiało na opór – zarówno energii Zniszczenia, jak i samej mocy Zachowania. Widział teraz siebie samego, w Krainie Ducha – i te czarne linie wciąż były, wiązały go do Zniszczenia.

Mocy, którą trzymał, wcale się to nie podobało. Kłębiła się w jego wnętrzu, gotowała, próbowała się uwolnić. Trzymał się, ale wiedział, że jeśli rozluźni uścisk, moc ucieknie i już nigdy jej nie odzyska.

Ale i tak czuł się wspaniale, będąc czymś więcej niż tylko duchem. Znow widział Krainę Materii, choć metal nadal płonął jasno w jego oczach. Cieszył się, widząc coś więcej niż mgliste cienie i promieniste dusze.

Żałował, że ten widok nie jest bardziej zachęcający. Niekończące się morza popiołu. Nieliczne miasta wykopane jak kratery. Płonące góry, które wypluwały z siebie nie tylko popiół, ale też lawę i kamienie. Ziemia popękała, tworząc rozpadliny.

Próbował myśleć nie o tym widoku, ale o ludziach. Czuł ich, jak czuł samą skorupę i jądro planety. Bez trudu odkrył, które dusze są dla niego otwarte, i z niecierpliwością opadł w ich stronę. Z pewnością mógł wśród nich znaleźć jednego, który dostarczy wiadomość Vin.

Wydawało się jednak, że oni nie mogą go usłyszeć, niezależnie od tego, jak długo do nich szeptał. To było frustrujące i zaskakujące. Miał w sobie moc wieczności. Jak mógł utracić zdolność, którą miał wcześniej, komunikowania się z ludźmi?

Wokół niego rozległ się śmiech Zniszczenia.

– Myślisz, że twój poprzednik tego nie próbował? Twoja moc nie może przepłynąć przez te pęknięcia, Zachowanie. Za bardzo stara się ich podeprzeć, ochronić. Tylko ja mogę poszerzać pęknięcia.

Kelsier nie wiedział, czy to rozumowanie jest właściwe. Ale kolejne próby potwierdziły, że szaleńcy już go nie słyszeli.

Teraz jednak on słyszał ludzi.

Wszystkich, nie tylko szaleńców. Słyszał ich myśli jako głosy – ich nadzieje, zmartwienia, obawy. Jeśli zbyt długo skupiał się na nich, kierował uwagę na miasto, zwielokrotnione głosy groziły, że go przytłoczą. Słyszał tylko gwar, z którego nie umiał wyodrębnić jednostek.

Ponad wszystkim – ziemią, miastami, popiołem – unosiły się mgły. Pokrywały wszystko, nawet za dnia. Kiedy był w całości uwięziony w Krainie Umysłu, nie uświadamiał sobie, jak wszechobecne się stały.

To moc, pomyślał, patrząc na nie. Moja moc. Powiniennem być zdolny ją utrzymać, manipulować

nią.

Nie mógł. Z tego powodu Zniszczenie był od niego o wiele silniejszy. Dlaczego Zachowanie pozostawił tak swoje mgły? Oczywiście wciąż były jego częścią, ale przypominały... rozproszoną armię, rozrzuconą jak zwiadowcy po całym królestwie, zamiast zgromadzoną, by wyruszyć na wojnę.

Zniszczenie się tak nie ograniczało. Kelsier widział teraz jego moc w działaniu, którego skala była zbyt wielka, by rozpoznać je przed Wstąpieniem. Zniszczenie rozszarpał szczyty popielnych gór i trzymał je otwarte, pozwalając, by wypływała z nich śmierć. Dotykał kolosów w całym imperium, wpędzając je w morderczy szal. A kiedy zaczęło im brakować ludzi do zabicia, z radością zwracał je przeciwko sobie nawzajem.

W każdym pozostałym miejscu kierował licznymi ludźmi. Jego machinacje były niewiarygodne – skomplikowane, a jednocześnie subtelne. Kelsier nie mógł nawet podążyć za wszystkimi niemi, ale skutek był oczywisty – chaos.

Nic nie mógł na to poradzić. Miał w sobie niewyobrażalną moc, a jednak pozostawał bezradny. Ale, co ważne, Zniszczenie musiał działać, by mu się przeciwstawić.

To było ważne objawienie. On i Zniszczenie byli wszędzie, ich dusze były kośćmi tej planety. Ale ich uwaga... ta miała swoje ograniczenia.

Jeśli Kelsier próbował coś zmienić w miejscach, w których Zniszczenie był skupiony, zawsze przegrywał. Kiedy próbował zacopować popielne góry, ramiona Zniszczenia, które je rozrywały, były silniejsze niż jego, które próbowały je zapieczętować. Kiedy chciał wlać w armię Vin ducha otuchy, Zniszczenie go zablokował.

Spróbował dotrzeć do samej Vin. Nie był pewien, co mógł zrobić, ale zamierzał odepchnąć Zniszczenie – zobaczyć, do czego jest zdolny.

Dał z siebie wszystko, napierając na Zniszczenie – czuł tarcie w miejscu zetknięcia ich esencji, gdy zbliżał się do Vin uwięzionej w komnacie pałacu w Fadrex. Jego esencja spotykająca Zniszczenie wywołała wstrząsy, drżenie. Trzęsienie ziemi.

Udało mu się zbliżyć. Czuł umysł Vin, słyszał jej myśli. Wiedziała tak mało – tyle samo, co on, kiedy zaczynał. Nie miała pojęcia o Zachowaniu.

Kolejne uderzenia odpychały esencję Kelsiera, odrywając od niego Zachowanie i odsłaniając jego sedno – jak szczyt się czaszka po zerwaniu ciała. Duszę wypełnioną ciemnością, ale jakimś sposobem Związaną z Vin. Połączoną z nią zagadkowymi liniami tworzącymi Krainę Ducha.

– Vin! – krzyknął w udręce i naparł.

Ich walka sprawiła, że trzęsienie ziemi stało się silniejsze, a Zniszczenie radował się rozpadem. Na chwilę jego uwaga się rozproszyła.

– Vin! – Kelsierowi udało się zbliżyć. – Inny bóg, Vin! Jest inna siła!

Dezorientacja. Nie widziała. Coś opuściło Kelsiera i popłynęło w jej stronę. Z zaskoczeniem zobaczył coś straszliwego, czego nigdy nie podejrzewał. Błyszczący punkt metalu w uchu Vin, tak podobny kolorem do jej jaskrawej duszy, że nie widział go do chwili, gdy tak bardzo się zbliżył. Vin była przebita.

– Jaka jest pierwsza zasada Allomancji, Vin?! – krzyknął. – Pierwsze, czego cię nauczyłem?

Vin podniosła głowę. Usłyszała go?

– Kolce, Vin! – zaczął mówić. – Nie możesz ufać...

Zniszczenie powrócił i odepchnął Kelsiera potężnym wybuchem mocy. Gdyby opierał się dłużej, Zniszczenie mógłby mu wyrwać całą moc Zachowania, więc się poddał.

Zniszczenie wypchnął go z budynku i z miasta. Ich walka sprawiła Kelsierowi ogromny ból i choć był bogiem, nie mógł pozbyć się wrażenia, że opuszczał miasto, kulejąc.

Zniszczenie był zbyt skupiony na tym miejscu. Zbyt silny. Prawie całą uwagę skupiał na Vin i mieście Fadrex. Nawet Marsha prowadził w jego stronę.

Może...

Kelsier próbował się zbliżyć do Marsha, skupiając uwagę na bracie. Widział te same linie, co w przypadku Vin, Związek łączący duszę Kelsiera z duszą brata. Może do Marsha też mógłby dotrzeć.

Niestety, Zniszczenie łatwo to dostrzegł, a Kelsier był zbyt osłabiony – zbyt obolały – po poprzednim starciu. Zniszczenie odepchnął go bez trudu, ale wcześniej Kelsier wyczuł coś emanującego z brata.

„Pamiętaj samego siebie”, szeptały myśli Marsha. „Walcz, Marsh, WALCZ. Pamiętaj, kim jesteś”.

Uciekając przed Zniszczeniem, Kelsier poczuł przyływ dumy. Coś wewnątrz Marsha, coś z jego brata, przeżyło. Jednak na razie nic nie mógł zrobić. Cokolwiek Zniszczenie pragnęło zdobyć w Fadrex, musiał na to pozwolić. Rzucenie mu wyzwania w tym miejscu było niemożliwe, gdyż Zniszczenie mógł pokonać Kelsiera w otwartym starciu.

Na szczęście cała kariera Kelsiera opierała się na wiedzy, kiedy unikać uczciwej walki. Był mistrzem oszustwa, a kiedy strażnik domu był czujny, najlepiej było na jakiś czas się przycząić.

Zniszczenie tak uważnie obserwował Fadrex, że gdzie indziej musiał być mniej skupiony.



„Bądź lepszy, Kelsierze”.

Obserwował i czekał. Potrafił być ostrożny.

„Serca ludzi nie są twoimi zabawkami”.

Unosił się, stawszy się mgłą, i patrzył, jak Zniszczenie przesuwa swoje pionki. Inkwizytorzy byli jego podstawowymi narzędziami. Zniszczenie rozmieszczał ich bardzo starannie.

„Słabość wszystkich sprytnych ludzi”.

Szansa. Kelsier potrzebował szansy.

„Przeżyj”.

Zniszczenie myślał, że panuje nad całym Ostatnim Imperium. Był taki pewny siebie.

Ale pozostały luki. Poświęcał coraz mniej uwagi zniszczonemu miastu Urteau, z jego pustymi kanałami i głodującymi mieszkańcami. Jedno z jego pasm krążyło wokół młodego mężczyzny, który nosił bandaże na oczach i spalony płaszcz na plecach.

Tak, Zniszczenie sądził, że ma to miasto w garści.

Ale Kelsier... Kelsier znał tego chłopca.

Kelsier skupił uwagę na Spooku, kiedy młodzieniec – przytłoczony i pchnięty na krawędź szaleństwa – wtoczył się na scenę przed tłumem. Zniszczenie doprowadził go do tego punktu, przybierając postać Kelsiera. Próbował zrobić z chłopaka Inkwizytora, a jednocześnie sprawić, by miasto spłonęło w rozruchach i szaleństwie.

Ale jego działania w tym mieście były takie, jak w wielu innych. Jego uwaga była zbyt podzielona, naprawdę skupiał się jedynie na Fadrex. Działał w Urteau, ale nie nadawał mu priorytetu. Już wprowadził w życie plany – Zniszczyć nadzieje tych ludzi, spalić miasto do fundamentów. Wystarczyło jedynie, by zdezorientowany chłopak popełnił morderstwo.

Spook stał na scenie gotów zabić przed tłumem. Kelsier przyciągał jego uwagę jak kłębek mgły, ostrożny, cichy. Był pulsowaniem desek pod stopami Spooka, był powietrzem, którym oddychał, był płomieniem i ogniem.

Zniszczenie tu był, szalał i żądał, by Spook zamordował. To nie było jego ostrożne, uśmiechnięte wcielenie. Ta część nie skupiała dużo uwagi Zniszczenia i nie wykorzystywała całej jego mocy.

Nie zauważyła Kelsiera, gdy odsunął się od mocy, odsłonił własną duszę i zbliżył ją do Spooka. Te linie tam były, bliskości, rodziny i Związku. Co dziwne, u Spooka były nawet mocniejsze niż u Marsha i Vin. Dlaczego?

„Teraz musisz ją zabić”, powiedział Zniszczenie do Spooka.

Pod tym gniewem Kelsier szepnął do złamanej duszy chłopaka. „Nadzieja”.

„Chcesz mocy, Spook?” – grzmiał Zniszczenie. „Chcesz być lepszym Allomantą? Cóż, moc musi się skądś brać. Nigdy nie jest za darmo. Ta kobieta jest Monetostrzelnym. Zabijesz ją, a zyskasz jej moc. Oddam ci ją”.

„Nadzieja”, powiedział Kelsier.

W jedną i w drugą stronę. „Zabijaj”. Zniszczenie przysyłał obrazy, słowa. „Morduj, miażdż. Niszcz”.

„Nadzieja”.

Spook sięgnął do metalu w piersi.

„Nie!” – krzyknął Zniszczenie z wyraźnym zaskoczeniem. „Spook, chcesz wrócić do normalności? Znów chcesz być bezużyteczny? Stracisz cynę z ołowiem i znów będziesz tak słaby jak wtedy, gdy pozwoliłeś, by twój wuj zginął!”.

Spook spojrzął na Zniszczenie, skrzywił się, po czym rozciął własne ciało i wyrwał kolec.

„Nadzieja”.

Zniszczenie wrzeszczał, jego postać rozmasała się, ze zniszczonego kształtu wyrwały się noże w kształcie pajęczych nóg. Z sylwetki wypłynęło spustoszenie i przeobraziło się w czarną mgłę.

Spook osunął się na podwyższenie, padł na kolana, a później poleciał do przodu. Kelsier ukląkł i przytulił go, znów przyciągając do siebie moc Zachowania.

– Och, Spook – szepnął. – Biedne, biedne dziecko.

Czuł wstrząsy w duszy chłopaka. Złamany. Pęknięty aż do sedna. Myśli chłopca unosiły się do Kelsiera. O kobiecie, którą kochał. O własnych porażkach. Dezorientacja.

Ten chłopak słuchał Zniszczenia, bo tak rozpaczliwie pragnął, by Kelsier nim pokierował. Tak bardzo starał się stać Kelsierem.

Aż do szpiku kości przeszła go ta wiara młodzieńca. Wiara w niego. Kelsiera, Ocalałego.

Udawanego boga.

– Spook. – Kelsier znów dotknął jego duszy swoją. Zakrztusił się na słowach, ale zmusił się, by je wypowiedzieć. – Spook, jej miasto płonie.

Chłopak zadrżał.

– Tysiące zginą w płomieniach – szepnął Kelsier. Dotknął policzka chłopca. – Spook, dzieciaku. Chcesz być jak ja? Naprawdę jak ja? To walcz, kiedy zostałeś pokonany!

Kelsier patrzył na wirującą, kłębiącą się postać rozwścieczonego Zniszczenia. Coraz bardziej skupiał uwagę w tym miejscu. Wkrótce go odpędzi.

Pokonanie go tutaj było jedynie niewielkim zwycięstwem, ale i dowodem. Tej rzeczy dało się stawić opór. Spook to zrobił.

I znów to robi.

Kelsier spojrzął z góry na dzieciaka, którego trzymał w ramionach. Nie, już nie dzieciaka. Otworzył się na Spooka i wypowiedział jeden wszechpotężny rozkaz.

– Przeżyj!

Spook wrzasnął i spalił metal, a wstrząs przywrócił mu przytomność. Kelsier wstał. Spook podniósł się z trudem na kolana, a jego duch się wzmocnił.

– Cokolwiek robisz – powiedział Zniszczenie do Kelsiera, jakby zobaczył go po raz pierwszy. – Ja reaguję.

Siły spustoszenia wystrzeliły na zewnątrz, posyłając do miasta pasma mroku. Nie odepchnął Kelsiera. Kelsier nie wiedział, czy to dlatego, że jego przeciwnik nadal za bardzo skupiał uwagę gdzie indziej, czy po prostu nie obchodziło go, że Kelsier będzie świadkiem zagłady tego miasta.

Pożary. Śmierć. Kelsier w krótkim błysku zobaczył plan stwora – spalić to miasto do fundamentów, ukryć wszelkie ślady porażki Zniszczenia. Zakończyć życie ludzi.

Spook już się ruszył, zwrócił do otaczających go ludzi, wydawał im rozkazy, jakby był samym Ostatnim Imperatorem. A czy to...

Sazed!

Kelsier poczuł przyjemne ciepło na widok cichego Terrisanina podchodzącego do Spooka. Sazed zawsze znał odpowiedzi. Ale tu wydawał się udręczony, niepewny, wyczerpany.

– Och, przyjacielu – szepnął Kelsier. – Co oni ci zrobili?

Grupka wypełniła rozkazy Spooka i pośpieszyła do przodu. Spook włókł się za nimi ulicą. Kelsier widział nici przyszłości w Krainie Ducha. Spowite ciemnością, zniszczone miasto. Kończące się możliwości.

Jednakże pozostało kilka linii światła. Tak, to nadal było możliwe. Tyle że najpierw ten chłopak musi uratować miasto.

– Spook.

Kelsier stworzył sobie ciało z mocy. Nikt go nie widział, ale to bez znaczenia. Dołączył do Spooka, który właściwie się zataczał. Noga za nogą, ledwie się ruszał.

– Idź dalej – zachęcał go Kelsier.

Czuł ból tego mężczyzny, jego udrękę i dezorientację. Jego osłabłą wiarę. I jakimś sposobem, przez Związek, mógł do niego mówić inaczej niż do pozostałych.

Kelsier z każdym drżącym, pełnym bólu krokiem dzielił wyczerpanie Spooka. Powtarzał te słowa raz za razem. „Idź dalej”. Stały się mantrą. Przybyła dziewczyna Spooka, pomagała mu. Kelsier szedł po jego drugiej stronie. „Idź dalej”.

A on to zrobił. Jakimś sposobem wyczerpany chłopak dokuśtykał aż do płonącego budynku. Zatrzymał się przed nim; był tam już Sazed. Kelsier odczytywał ich uczucia w zwieszonych ramionach i strach w oczach, w których odbijały się płomienie. Słyszał ich myśli, ciche i przerażone.

To miasto było skazane na zagładę, a oni o tym wiedzieli.

Spook pozwolił, by pozostali odciągnęli go od ognia. Wokół niego wznosiły się uczucia, wspomnienia, idee.

Kelsier się mną nie przejmował, myślał Spook. Nie myślał o mnie. Pamiętał o pozostałych, ale nie o mnie. Dał im zadania. Ja się dla niego nie liczyłem...

– Nadałem ci imię, Spook – szepnął Kelsier. – Byłeś moim przyjacielem. Czy to nie wystarczy?

Spook zatrzymał się i szarpnął pozostałych.

– Przepraszam – Kelsier zaczął płakać – za to, co musisz zrobić. Ocalały.

Spook wyrwał się towarzyszom. A gdy Zniszczenie szalał na górze, szarpał się i wrzeszczał – w końcu skupił się tak bardzo, że zaczął zmuszać Kelsiera do wycofania się – ten młodzieniec wszedł w płomienie.

I ocalił miasto.



6

Kelsier siedział na dziwnym zielonym polu. Wszędzie dookoła soczysta trawa. Jakże dziwna. Jakże piękna.

Spook podszedł i usiadł obok niego. Chłopak zdjął tkaninę z oczu i pokręcił głową, a później przeczesał włosy palcami.

– Co to?

– W połowie sen.

Kelsier wyrwał źdźbło trawy i przeżuł je.

– W połowie sen?

– Jesteś już prawie martwy, dzieciaku. Co dość poważnie potrząsało twojego ducha. Mnóstwo pęknięć. – Kelsier się uśmiechnął. – To pozwoliło mi dostać się do środka.

Chodziło o coś jeszcze. Ten młody mężczyzna był wyjątkowy. A w każdym razie niezwykła była łącząca ich więź. Spook wierzył w niego jak nikt inny.

Rozważając to, Kelsier wyrwał kolejną trawkę i zaczął ją żuć.

– Co robisz? – spytał Spook.

– Wygląda tak dziwnie. Mare zawsze o tym opowiadała.

– I dlatego ją jesz?

– Głównie przeżuwam. – Kelsier wypuł źdźbło. – Po prostu byłem ciekaw.

Spook odetchnął głęboko.

– Nieważne. Nic z tego nie jest ważne. Nie jesteś prawdziwy.

– Częściowo masz rację. Nie jestem do końca prawdziwy, przynajmniej od chwili śmierci. Ale jednocześnie jestem teraz bogiem... tak sędzę. To skomplikowane.

Spook popatrzył na niego i zmarszczył czoło.

– Musiałem z kimś pogadać. Potrzebowałem ciebie. Kogoś, kto został złamany, ale stawił opór jemu.

– Drugiemu tobie.

Kelsier kiwnął głową.

– Zawsze byłeś tak surowy, Kelsierze. – Chłopak popatrzył na falujące zielone pola. – Widziałem, że w głębi duszy naprawdę nienawidzisz szlachetnie urodzonych. Myślałem, że to dzięki tej nienawiści byłeś taki silny.

– Silny jak bliznowiec – szepnął Kelsier. – Działający, ale sztywny. Wolałbym, żebyś ty nigdy nie miał takiej siły.

Spook również skinął głową.

Kelsier trącił go przyjaźnie w ramię.

– Jestem z ciebie dumny, dzieciaku.

Spook spuścił wzrok.

– Prawie wszystko zniszczyłem.

– Spook, gdybyś wiedział, ile razy ja prawie zniszczyłem miasto, wstydzilibyś się tak mówić. Ty go nawet za bardzo nie uszkodziłeś. Zgasili pożary, uratowali większość mieszkańców. Jesteś bohaterem.

Spook podniósł z uśmiechem wzrok.

– Widzisz, jest taka sprawa, dzieciaku. Vin nie wie.

– Nie wie czego?

– Kolce, Spook. Nie mogę przekazać jej wiadomości. Ona musi wiedzieć. I, Spook... ona też ma w sobie kolec.

– Na Ostatniego Imperatora... – szepnął chłopak. – Vin?

Kelsier pokiwał głową.

– Posłuchaj mnie uważnie. Wkrótce się obudzisz. Musisz zapamiętać tę część, nawet jeśli resztę snu zapomnisz. Kiedy nadejdzie koniec, sprowadź ludzi pod ziemię. Wyślij wiadomość do Vin. Wydrap ją w metalu, gdyż nie można ufać niczemu, co nie jest zapisane w metalu.

– Vin musi wiedzieć o Zniszczeniu i jego fałszywych twarzach. Musi wiedzieć o kolcach i o tym, że metal ukryty w człowieku pozwala Zniszczeniu do niego szeptać. Pamiętaj, Spook. Nie ufaj nikomu przebitemu metalem! Nawet najmniejszy kawałek może skazić człowieka.

Spook zaczął się rozmywać – budził się.

– Pamiętaj – powiedział Kelsier. – Vin słyszy Zniszczenie. Nie wie, komu ufać, i dlatego właśnie musisz koniecznie wysłać tę wiadomość, Spook. Fragmenty tego wszystkiego wirują, rzucone na wiatr. Ty masz wskazówkę, której nie zna nikt poza tobą. Wyślij ją w moim imieniu.

Spook pokiwał głową.

– Dzielny chłopak – szepnął Kelsier z uśmiechem. – Dobrze sobie poradziłeś. Jestem z ciebie dumny.



Z Urteau wyruszył mężczyzna, przebijał się naprzód wśród mgieł i popiołu, kierując się w stronę odległego Luthadelu.

Kelsier nie znał tego człowieka, Goradela, osobiście. Jednak jego moc go znała. Wiedziała, że w młodości zaciągnął się do straży Ostatniego Imperatora z nadzieją na lepsze życie dla siebie i swojej rodziny. To był człowiek, którego Kelsier kiedyś zabiłby bez litości, gdyby tylko miał okazję.

Teraz Goradel miał szansę ocalić świat. Kelsier unosił się za nim, czując oczekiwanie przepelniające mgły. Goradel niósł metalową płytę, na której zapisano tajemnicę.

Zniszczenie przetoczył się nad krainą jak cień, dominując nad Kelsierem. Zaśmiał się, widząc Goradela przebijającego się przez popiół leżący grubą warstwą, jak śnieg w górach.

– Och, Kelsierze. Na nic lepszego cię nie stać? Cała ta praca z dzieckiem w Urteau w tym celu?

Kelsier chrząknął, kiedy pasma mocy Zniszczenia odszukały parę rąk i przywołały ją. W prawdziwym świecie minęło wiele godzin, ale w oczach bogów czas był zmienny. Płynął tak, jak sobie życzyli.

– Bawiłeś się kiedyś sztuczkami karcianymi, Zniszczenie? Kiedy jeszcze byłeś zwyczajnym człowiekiem?

– Nigdy nie byłem zwyczajnym człowiekiem, lecz Naczyniem, czekającym na swoją moc.

– Cóż więc robiło Naczynie z wolnym czasem? Bawiło się sztuczkami karcianymi?

– Bynajmniej. Byłem na to zbyt wielkim człowiekiem.

Kelsier jęknął, kiedy ręce Zniszczenia w końcu przybyły na miejsce, unosząc się wysoko wśród spadającego popiołu. Postać z kolcami zamiast oczu i wargami wykrzywionymi w dzikim grymasie.

– Ja byłem całkiem niezły w sztuczkach – powiedział cicho Kelsier – kiedy byłem dzieckiem. Na początku oszukiwałem w kartach. Nie chodziło o grę w trzy karty, ona jest zbyt prosta. Wolałem sztuczki z udziałem talii kart i frajera, który obserwował każdy mój ruch.

Poniżej Marsh walczył z nieszczęsnym Goradelem i w końcu go zabił. Kelsier skrzywił się, gdy jego brat nie tylko dopuścił się morderstwa, ale wyraźnie się nim cieszył, doprowadzony przez Zniszczenie do szaleństwa. Co dziwne, Zniszczenie próbował go powstrzymać. Jakby w tej chwili utracił panowanie nad Marshem.

Zniszczenie bardzo pilnował, by nie dopuścić Kelsiera bliżej. Znajdował się zbyt daleko, by usłyszeć myśli brata. Zniszczenie roześmiał się, kiedy zalany krwią Marsh w końcu wyjął list wysłany przez Spooka.

– Myślisz, że jesteś taki bystry, Kelsierze. Słowa w metalu. Ja ich nie odczytam, ale mój sługa może.

Kelsier opadł w dół, kiedy Marsh przesuwając palcami po płycie, którą Spook polecił wygrawerować. Czytał tekst na głos, by Zniszczenie mógł go usłyszeć. Kelsier utworzył dla siebie ciało i ukląkł w popiele. Pochylił się i bezradnie opuścił ramiona.

Obok niego pojawił się Zniszczenie.

– Nie martw się, Kelsierze. Tak miało być. Z tego właśnie powodu zostali stworzeni! Nie oplakuj śmierci, która do nas przyszła, ale opiewaj życie, które minęło.

Poklepał Kelsiera po ramieniu i zniknął. Marsh podniósł się niezręcznie, do jego zalanej krwią twarzy i przesiąkniętego ubrania lepił się popiół. Następnie ruszył za Zniszczeniem, wypełniając polecenia swojego pana. Koniec nadchodził szybko.

Kelsier usiadł przy trupie zabitego mężczyzny, który szybko zasypywał popiół. Vin oszczędziła mu życie, a Kelsier później doprowadził go do śmierci. Sięgnął do Krainy Umysłu. Duch mężczyzny pojawił się właśnie w tym miejscu mgły i cieni, i patrzył teraz w niebo.

Kelsier podszedł bliżej i uściśnął mu dłoń.

– Dziękuję – powiedział. – I przepraszam.

– Zawiodłem.

Z tymi słowami Goradel rozciągnął się i zniknął.

Kelsiera przeszył ból, ale nie odważył się zaprzeczyć mężczyźnie. Wybacz mi, pomyślał.

Teraz musiał się uciszyć. Kelsier znów się rozproszył i dryfował. Już nie próbował powstrzymać wpływu Zniszczenia. Wycofując się, zobaczył, że wcześniej trochę pomógł. Powstrzymał niektóre trzęsienia ziemi, spowolnił wypływ lawy. Nieznacznie, ale przynajmniej coś zrobił.

Teraz przestał i oddał Zniszczeniu władzę. Koniec przyspieszył, krążąc wokół działań jednej młodej kobiety, która przybyła do Luthadelu tuż przed nadejściem burzy.

Kelsier zamknął oczy i poczuł, jak świat cichnie, jakby sama ziemia wstrzymywała oddech. Vin walczyła, tańczyła i wykorzystywała swoje możliwości aż do cna – i jeszcze bardziej. Stawiła czoło zgromadzonym Inkwizytorom Zniszczenia i walczyła tak wspaniale, że Kelsier był oszołomiony. Była lepsza od Inkwizytora, z którym walczył, lepsza od wszystkich ludzi, których widział. Lepsza od samego Kelsiera.

Niestety, przeciwko całej gromadzie Inkwizytorów to nie wystarczyło.

Kelsier zmusił się, by nie interweniować. A było to ciężkie. Pozwolił Zniszczeniu władać, pozwolił jego Inkwizytorom pobić Vin. Walka skończyła się zbyt wcześnie, Vin została pokonana i znalazła się na łasce Marsha. Zniszczenie podszedł bliżej i szepnął do niej. „Gdzie jest atium, Vin? Co o nim wiesz?”.

Atium? Kelsier przybliżył się, kiedy Marsh ukląkł przy Vin i przygotował się, by zrobić jej krzywdę. Atium. Dlaczego...

Wszystko nagle nabrało sensu. Zniszczenie też nie był kompletny. Tam, w zniszczonym mieście Luthadel – wśród padającego deszczu, stert popiołów zasypujących ulice i gromady Inkwizytorów przyglądającej się beznamiętnie kolcami oczu – Kelsier zrozumiał.

Plan Zachowania. Mógł się powieść!

Marsh złamał ramię Vin i uśmiechnął się.

Teraz.

Kelsier uderzył całą swoją mocą w Zniszczenie. Nie było to wiele, a on ledwie nad nią panował.

Jednakże jego posunięcie było niespodziewane i zwróciło uwagę Zniszczenia. Moce się zetknęły, a tarcie – przeciwstawienie – sprawiło, że zaczęły się ścierać.

Kelsiera przeszył ból. Ziemia pod miastem zadrżała.

– Kelsierze, Kelsierze – powiedział Zniszczenie.

Poniżej Marsh się roześmiał.

– Wiesz, dlaczego zawsze wygrywałem w sztuczkach karcianych, Zniszczenie?

– A czy to w ogóle ma jakieś znaczenie?

– Ponieważ – Kelsier chrząknął z bólu, jego moc się naprężyła – zawsze mogłem. Zmusić. Ludzi, żeby wybrali. Tę kartę, którą chciałem. Żeby wybrali.

Zniszczenie zawahał się i spojrzał w dół. List – dostarczony przez Goradela nie Vin, ale Marshowi – spełnił swoją rolę.

Marsh wyrwał kolczyk Vin.

Świat zamarł. Zniszczenie, potężny i nieśmiertelny, przyglądał się temu z absolutnym przerażeniem.

– Uczyniłeś niewłaściwego z nas Inkwizytorem, Zniszczenie – wysyczał Kelsier. – Nie powinieneś wybrać dobrego brata. On zawsze miał paskudny nawyk postępowania słusznie, a nie przebiegle.

Zniszczenie spojrzał na Kelsiera, skupiając na nim swoją pełną, niewiarygodną uwagę.

Kelsier się uśmiechnął. Najwyraźniej bogowie również dawali się nabrać na klasyczną sztuczkę z odwróceniem uwagi.

Vin sięgnęła do mgieł, a Kelsier poczuł, jak moc w jego wnętrzu drży z oczekiwaniem. Taki był ich cel, do tego je przeznaczono. Czuł tęsknotę Vin i jej pytanie. Gdzie wcześniej wyczuwała tę moc?

Uderzył w Zniszczenie, ich moce zderzyły się, odsłaniając jego duszę. Jego pociemniała, obolała duszę.

– Moc wzięła się ze Studni Wstąpienia, oczywiście – powiedział Kelsier do Vin. – To w końcu ta sama moc. Stała w bryłce metalu, którą dałaś Elendowi. Płynna w sadzawce, którą spaliłaś. I gazowa w powietrzu, ukryta pośród nocy. Ukrywająca cię. Chroniąca cię...

Kelsier odetchnął głęboko. Czuł, jak moc Zachowania jest mu wyrywana. Czuł uderzającą w niego wściekłość Zniszczenia, szarpiącą go, gorączkowo pragnącą go zniszczyć. Ostatni raz poczuł świat. Najdalsze opady popiołu, ludzi na dalekim południu, wiatry i życie starające się ze wszystkich sił wciąż istnieć na tej planecie.

I wtedy zrobił najtrudniejszą rzecz w życiu.

– Dająca ci moc! – ryknął do Vin i wypuścił z siebie esencję Zachowania.

Vin wciągnęła mgły.

A wściekłość Zniszczenia uderzyła w Kelsiera, powalając go, wbijając się w jego duszę. Rozrywając go na strzępy.



Kelsier został rozdarty, czemu towarzyszył przeszywający, dojmujący ból – jak kości wyrywanej ze stawu. Koziółkował oślepiiony i niezdolny zebrać myśli – mógł jedynie wrzeszczeć.

Skończył w jakimś miejscu otoczony przez mgły, ślepy na wszystko poza ich poruszeniami. Śmierć? Tym razem naprawdę? Nie... ale był blisko. Znow poczuł, jak przychodzi do niego rozciąganie, zachęca go, stara się pociągnąć go w stronę tego odległego punktu, do którego udali się pozostali.

Chciał odejść. Tak bardzo cierpiał. Chciał, żeby to się skończyło, odeszło. Wszystko. Chciał, żeby przestało.

Już wcześniej czuł tę rozpacz, w Czeluściach Hathsin. W przeciwieństwie do tamtego czasu teraz już nie kierował nim głos Zachowania, ale Kelsier mimo to – z płaczem i drżeniem – zanurzył dłonie w mglistym przestworze, który go otaczał, i chwycił mocno. Złapał go i odmawiał odejścia. Przeciwstawiał się tej sile, która go przyzywała, obiecując spokój i koniec.

W końcu ucichła, a uczucie rozciągania zanikło. Przyjął w siebie moc bóstwa. Ostateczna śmierć nie mogła go zabrać, jeśli sam tego nie chciał.

Albo jeśli nie został całkowicie zniszczony. Zadrżał pośród mgieł wdzięczny za ich objęcia, ale wciąż niepewny, gdzie się znajduje – i dlaczego Zniszczenie nie dokończył dzieła. A zamierzał, Kelsier to czuł. Na szczęście unicestwienie Kelsiera ustąpiło przed obliczem nowego zagrożenia.

Vin. Udało jej się! Wstąpiła!

Kelsier podciągnął się z jękiem do góry i odkrył, że ogromna siła ataku Zniszczenia wepchnęła go głęboko w ten uginający się, mglisty grunt Krainy Umysłu. Z wielkim trudem udało mu się wydostać na powierzchnię i wtedy legł wyczerpany. Jego dusza była zniekształcona, pogruchotana, jak ciało zmiażdżone głazem. Z tysięcy otworów sączył się czarny dym.

Powoli zaczął wracać do normalnej postaci, a ból w końcu zniknął. Mijał czas. Nie wiedział, jak wiele, ale całe godziny. Nie był w Luthadelu. Odrzucenie Wstąpienia, a później zmiażdżenie mocą Zniszczenia odrzuciło go daleko od miasta.

Zamrugnął widmowymi oczyma. Na niebie kłębiły się białe i czarne pasma, jak chmury, które atakowały się nawzajem. W pewnej odległości usłyszał coś, od czego Kraina zadrżała. Zmusił się, by wstać i ruszyć przed siebie. W końcu wszedł na szczyt wzgórza, z którego zobaczył postacie ze światła prowadzące walkę. Wojna ludzi przeciwko kolossom.

Plan Zachowania. Zobaczył go, pojął w tych ostatnich chwilach. Ciałem Zniszczenia było atium. Planem było stworzenie czegoś wyjątkowego i nowego – ludzi, którzy mogli wypalić ciało Zniszczenia, by w ten sposób się go pozbyć.

Poniżej ludzie walczyli o życie, a ponieważ spalali ciało boga, wykraczali poza Krainę Materii. Powyżej ścierały się Zniszczenie i Zachowanie. Vin radziła sobie z tym o wiele lepiej niż Kelsier – miała do dyspozycji całą moc mgieł, a poza tym w sposobie, w jaki posługiwała się tą mocą, było coś naturalnego.

Kelsier się otrzepał i poprawił ubranie. Nadal ta sama koszula i spodnie, które nosił podczas walki z Inkwizytorem, tak dawno temu. Co się stało z torbą i nożem, który dał mu Nazh? Zgubił je gdzieś na niekończących się polach popiołu między tym miejscem a Fadrex.

Przeszedł przez bitwę, schodząc z drogi szalejącym kolossom i ludziom, którzy w bardzo ograniczony sposób mogli zajrzeć do Krainy Ducha.

Dotarł do szczytu następnego wzgórza i zatrzymał się. Na kolejnym wzniesieniu, odległym, ale nadal widocznym, Elend Venture stał pośród sterty trupów i ścierał się z Marshem. Vin unosiła się powyżej, ogromna i niewiarygodna, postać składająca się z blasku i oszałamiającej mocy – jak natchnienie dla słońca i chmur.

Elend Venture uniósł dłoń i wybuchł światłem. Linie bieli wystrzeliły od niego we wszystkie strony, linie, które przebijały każdą rzecz. Linie, które wiązały go z Kelsierem, przyszłością i przeszłością.

On widzi je w pełni, pomyślał Kelsier. To miejsce między chwilami.

Elend przebił mieczem szyję Marsha i spojrzał na Kelsiera, obejmując wzrokiem wszystkie Krainy.

Marsh wbił topór w pierś Elenda.

– Nie! – krzyknął Kelsier. – Nie!

Potykaçąc się, pobiegł w dół zbocza, w stronę Venture'a. Wspinał się po trupach, kierując się w stronę miejsca, w którym umarł Elend.

Zanim do niego dotarł, Marsh odrąbał Elendowi głowę.

Och, Vin, tak mi przykro.

Uwaga Vin krążyła wokół zabitego. Kelsier zamarł. Ona poczuje wściekłość. Utraci panowanie nad sobą. Ona...

Wzniesie się w chwale?

Patrzył oszołomiony, jak siła Vin się skupia. W dudnieniu, które z niej wypływało, nie było nienawiści, lecz uspokojenie. Wznoszący się nad nią Zniszczenie znów się roześmiał, zakładając, że wie tak wiele. Ten śmiech urwał się gwałtownie, kiedy Vin zwróciła się przeciw niemu niczym wspaniała, promienna włócznia mocy – opanowana, kochająca, współczująca, ale nieustępliwa.

Kelsier zrozumiał wtedy, dlaczego to ona musiała to zrobić, a nie on.

Vin uderzyła swoją mocą w Zniszczenie, dusząc go. Kelsier wkroczył na szczyt wzniesienia, czując powinowactwo z tą mocą. Bliskość, która ogrzewała go w głębi, gdy Vin dokonywała aktu ostatecznego bohaterstwa.

Sprowadziła unicestwienie na niszczyciela.

Wszystko skończyło się wybuchem światła. Z nieba spływały pasma mgły, ciemne i jasne. Kelsier się uśmiechnął, wiedząc, że oto nareszcie się dokonało. Mgły wirowały w sięgających niemożliwie wysoko bliźniaczych kolumnach. Moce zostały uwolnione. Drżały niepewnie jak nadchodząca burza.

Nikt ich nie trzyma...

Kelsier wyciągnął rękę, ostrożnie i z drżeniem. Mógłby...

Tuż obok niego duch Elenda Venture zatoczył się do Krainy Umysłu, potknął się i padł na ziemię.

Jęknął, a Kelsier uśmiechnął się do niego szeroko.

Elend zamrugął, gdy Kelsier wyciągnął do niego rękę.

– Zawsze wyobrażałem sobie, że po śmierci – Venture pozwolił, by Kelsier pomógł mu wstać – przywitają mnie wszyscy, których w życiu kochałem. Nie spodziewałem się, że wśród nich będziesz ty.

– Nie uważałeś, dzieciaku. – Kelsier obrzucił go spojrzeniem. – Niezły mundur. Poprosiłeś ich, żeby uszyli ci coś, w czym będziesz wyglądał jak tania podróbka Ostatniego Imperatora, czy to był przypadek?

Elend zamrugął.

– A niech mnie. Już cię nienawidzę.

– Daj temu uczuciu czas. – Kelsier poklepał go po plecach. – U większości ludzi po jakimś czasie zmienia się w łagodną irytację.

Spojrzał na moc, która wciąż wokół nich krążyła, a później zmarszczył czoło na widok świetlistej postaci śpieszącej przez pole. Wyglądała znajomo. Podeszła do ciała Vin, które spadło na ziemię.

– Sazed – szepnął Kelsier i dotknął go.

Nie był przygotowany na uczucia, jakie wywołał widok przyjaciela w takim stanie. Sazed był przerażony. Pełen niedowierzania. Przytłoczony. Zniszczenie nie żyło, ale świat wciąż się kończył. Sazed sądził, że Vin ich ocali. Kelsier też tak myślał, jeśli miał być szczerzy.

Ale najwyraźniej była jeszcze jedna tajemnica.

– To on – szepnął Kelsier. – On jest Bohaterem.

Elend Venture położył dłoń na ramieniu Kelsiera.

– Nie uważałeś. Dzieciaku.

Odciągnął Kelsiera, kiedy Sazed sięgnął po moce, jedną ręką po każdą.

Kelsier patrzył z oszołomieniem na to, jak się łączyły. Zawsze postrzegał je jako przeciwieństwa, kiedy jednak wirowały wokół Sazed, wydawało się, że w rzeczywistości do siebie pasują.

– Jak? – szepnął. – Jak to możliwe, że on jest Związany tak równo z obiema z nich? Dlaczego nie tylko z Zachowaniem?

– On się zmienił przez ostatni rok – wyjaśnił Elend. – Zniszczenie jest czymś więcej niż śmiercią i unicestwieniem. Jest też spokojem w ich obliczu.

Przeobrażenie trwało nadal i choć było wspaniałe, uwagę Kelsiera przyciągnęło coś innego. Skupienie mocy na tym wzgórzu. Przybrało postać młodej kobiety, która bez trudu wślizgnęła się do Krainy Umysłu. Nawet się nie potknęła, co było jednocześnie stosowne i koszmarnie niesprawiedliwe.

Vin spojrzała na Kelsiera i uśmiechnęła się. Ciepłym, przyjaznym uśmiechem. Uśmiechem pełnym radości i akceptacji, co napełniło go dumą. Jakże żałował, że nie odnalazł jej wcześniej, kiedy Mare wciąż żyła. A ona potrzebowała rodziców.

Najpierw podeszła do Elenda i objęła go. Kelsier spojrzał na Sazed, który się rozrastał, by objąć wszystko. I dobrze. To ciężka praca, Sazed mógł ją sobie zachować.

Elend skinął na Kelsiera, a Vin podeszła do niego.

– Kelsierze – powiedziała do niego – och, Kelsierze. Ty zawsze ustanawiałeś swoje własne zasady.

Zawahał się, ale jej nie objął. Wyciągnął rękę, czując dziwny szacunek. Vin przyjęła ją i wsunęła palce w jego dłoń.

W pobliżu moc przyjęła kształt kolejnej postaci, ale Kelsier to zignorował. Podeszedł do Vin.

– Ja...

Co miał powiedzieć? A niech to, nie wiedział.

Tym razem nie wiedział.

Objęła go, a on zaczął płakać. Córka, której nigdy nie miał, miała ulicznica. Choć wciąż była drobna, przerosła go. Ale i tak go kochała. Przytulała córkę do złamanej duszy.

– Zrobiłaś to – szepnął w końcu. – To, czego nie mógł zrobić nikt inny. Oddałaś samą siebie.

– Cóż, miałam dobre wzorce.

Przycisnął ją mocno i jeszcze przez chwilę obejmował.

W pobliżu stał Zniszczenie. Zamrugał. Ale... to już nie był Zniszczenie, jedynie Naczynie. Mężczyzna, który przyjął moc. Ati przeczesał palcami rude włosy i rozejrzał się dookoła.

– Vax? – spytał z dezorientacją.

– Przepraszam – powiedział Kelsier do Vin, wypuścił ją i potruchtał do rudowłosego.

I uderzył go w twarz, a tamten się przewrócił.

– Doskonale. – Kelsier otrzepał rękę.

Leżący u jego stóp mężczyzna popatrzył na Kelsiera, po czym zamknął oczy i z westchnieniem rozciągnął się w wieczność.

Kelsier wrócił do pozostałych, mijając postać w terrisańskich szatach, która stała z rękami założonymi na piersi i ukrytymi w rękawach.

– Ej. – Kelsier spojrzał na niebo i świetlistą postać, która się tam unosiła. – Czy ty...

– Częściowo tak – odparł Sazed. Popatrzył na Vin i Elenda i wyciągnął do nich ręce. – Dziękuję wam obojgu za ten nowy początek. Uzdrowiłem wasze ciała. Możecie do nich powrócić, jeśli chcecie.

Vin spojrzała na Elenda. Ku przerażeniu Kelsiera już zaczął się rozciągać. Odwrócił się w stronę czegoś, czego Kelsier nie widział, czegoś Poza, i z uśmiechem zrobił krok w tamtą stronę.

– Wątpię, by to tak działało, Saze. – Vin ucałowała go w policzek. – Dziękuję.

Odwróciła się, wzięła Elenda za rękę i zaczęła się rozciągać w stronę tego niewidocznego, odległego punktu.

– Vin! – krzyknął Kelsier i mocno ścisnął jej drugą dłoń. – Nie, Vin. Miałaś moc. Nie musisz odchodzić.

Obejrzała się do niego przez ramię.

– Wiem.

– Proszę. Nie odchodź. Zostań. Ze mną.

– Ach, Kelsierze. Musisz się jeszcze wiele dowiedzieć o miłości.

– Znam miłość, Vin. Wszystko, co zrobiłem... upadek imperium, moc, którą oddałem... zrobiłem z miłości.

Uśmiechnęła się.

– Kelsierze. Jesteś wielkim człowiekiem i powinieneś być dumny z tego, czego dokonałeś. I co kochasz. Wiem. Ale jednocześnie wątpię, byś rozumiał miłość.

Odwróciła wzrok w stronę Elenda, który zniknął, jedynie jego dłoń – ta, którą trzymała Vin – wciąż była widoczna.

– Dziękuję, Kelsierze – szepnęła, patrząc znów na niego – za wszystko, co zrobiłeś. Twoje poświęcenie było oszałamiające. Jednak, by zrobić wszystko, co musiałeś zrobić, aby obronić świat,

musiałeś się stać kimś... Kimś, kto mnie niepokoi. Kiedyś dałeś mi ważną lekcję na temat przyjaźni. Muszę ci się odwdzięczyć. Ostatni dar. Jeśli chcesz wiedzieć, musisz spytać. Ile z tego, co zrobiłeś, wynikało z miłości, a ile z potrzeby udowodnienia czegoś? Że nie zostałeś zdradzony, pokonany, pobity? Czy możesz mi odpowiedzieć uczciwie, Kelsierze?

Spojrzał jej w oczy i zobaczył ukryte pytanie.

„W jakim stopniu chodziło o nas? A w jakim o ciebie?”.

– Nie wiem – odpowiedział.

Uścisnęła jego dłoń i uśmiechnęła się – tym uśmiechem, którego jej brakowało, kiedy ją odnalazł.

To, bardziej niż cokolwiek innego, sprawiło, że poczuł, że jest z niej dumny.

– Dziękuję – powtórzyła.

Po czym puściła jego dłoń i podążyła za Elendem Poza.



Ziemia umarła i narodziła się ponownie przy akompaniamencie wstrząsów i jęków.

Kelsier wędrował po niej, trzymając ręce w kieszeniach. Przespacerował się po końcu świata, a moc płynęła wokół niego, dając wizje wszystkich trzech Krain.

Na niebie płonęły ognie. Skały zderzały się ze sobą i rozrywały. Oceany się gotowały, a ich para stała się nową mgłą.

Kelsier wciąż szedł. Maszerował, jakby stopy mogły przenieść go z jednego świata do drugiego, z jednego życia do następnego. Nie czuł się opuszczony, ale czuł się samotny. Jakby był jedynym człowiekiem pozostałym na świecie i ostatnim świadkiem epok.

Skały, które stały się płynne, pochłonęły popiół. Z ziemi za plecami Kelsiera w rytm jego kroków wyrastały góry. Rzeki spływały z wyżyn i napępiały oceany. Życie wzrastało, drzewa kielkowały i strzelały w niebo, tworząc wokół niego las. Kelsier minął go i znalazł się na pustyni, która szybko wysychała, a piasek wypływał z głębi ziemi, którą tworzył Sazed.

W mgnieniu oka przebył tuzin różnych krajobrazów, ziemia wyrastała za nim jak jego cień. W końcu zatrzymał się na wysokim płaskowyżu wznoszącym się nad nowym światem, a wiatry z trzech Krain szarpały jego ubranie. Pod stopami wyrosła mu trawa, a później rozkwitły kwiaty. Kwiaty Mare.

Ukląkł i pochylił głowę, dotykając palcami jednego z nich.

Obok niego pojawił się Sazed. Wizja prawdziwego świata powoli zblakła i został znów uwięziony w Krainie Umysłu. Wszystko zmieniło się w mgłę.

Sazed usiadł obok niego.

– Będę wobec ciebie szczerzy, Kelsierze. Nie taki koniec miałem na myśli, kiedy dołączyłem do twojej ekipy.

– Zbuntowany Terrisanin. – Choć znajdował się w krainie mgieł, widział ślady chmur w prawdziwym świecie. Przepływały pod jego stopami, okrążając podnóże wzniesienia. – Już wtedy byłeś żyjącą sprzecznością, Saze. Szkoda, że tego nie zauważyłem.

– Nie mogę ściągnąć ich z powrotem – powiedział cicho Sazed. – Jeszcze nie... może nigdy. Poza jest miejscem, do którego nie mogę dotrzeć.

– Nic się nie stało. Mógłbyś wyświadczyć mi przysługę? Sprawdzisz, co mógłbyś zrobić dla Spooka? Jego ciało jest w kiepskim stanie. Zbyt wiele od niego wymagał. Może przy okazji zrobiłbyś go też Zrodzonym z Mgły. W tym nowym świecie będą potrzebować Allomantów.

– Zastanowię się nad tym.

Siedzieli razem. Dwaj przyjaciele na krańcu świata, na końcu i początku czasu. Wreszcie Sazed wstał i ukłonił się Kelsierowi. Pełen szacunku gest jak na kogoś, kto sam był bogiem.

– Jak myślisz, Saze? – Kelsier spojrzał na świat. – Czy istnieje sposób, żebym się stąd wydostał i znów żył w Krainie Materii?

Sazed się zawahał.

– Nie. Nie sądzę.

Poklepał Kelsiera po ramieniu i zniknął.

Hm, pomyślał Kelsier. Ma w sobie dwie moce stworzenia, co czyni go bogiem wśród bogów.

I nadal nie umie kłamać.



EPILOG

Spook czuł się niezręcznie, mieszkając w rezydencji, gdy wszyscy inni mieli tak mało. Ale oni się uparli – a poza tym to nie była wielka rezydencja. Zgadza się, to była piętrowa chata z bali, choć większość mieszkała w prymitywnych budach. I tak, miał własny pokój. Który jednak był mały i w nocy robiło się w nim duszno. Nie mieli szkła na szyby, a jeśli zostawił otwarte okiennice, do środka wlatywały owady.

Ten doskonały nowy świat miał w sobie nieprzyjemnie dużo normalności.

Spook ziewnął i zamknął drzwi. W pokoju mieściły się poślanie i biurko. Żadnych lamp ani świec – nie mogli sobie na nie jeszcze pozwolić. W głowie miał mnóstwo nauk Breeze'a, jak być królem, a ramiona bolały go od ćwiczeń z Hamem. Wkrótce powinien pojawić się na kolacji z Beldre.

Na dole trzasnęły drzwi i Spook aż podskoczył. Wciąż spodziewał się, że od hałasów uszy rozbolą go bardziej niż w rzeczywistości, i nawet po tak wielu tygodniach wciąż nie przyzwyczyił się do chodzenia z odsłoniętymi oczyma. Na biurku jeden z jego pomocników zostawił małą tabliczkę – nie mieli papieru – a na niej zapisaną węglem listę spotkań na następny dzień. Na dole znajdował się krótki dopisek.

W końcu nakłoniłem kowala do wypełnienia Waszej prośby, choć bał się dotknąć kolca Inkwizytora. Nie jestem pewien, dlaczego tak bardzo go pragnęliście, Wasza Wysokość. Ale proszę.

Pod tabliczką leżał malutki kolec w kształcie kolczyka. Spook uniósł go z wahaniem do oczu. Dlaczego właściwie go chciał? Coś sobie przypomniał, szeptany w snach. „Kaź wykuć kolec, kolczyk. Stary kolec Inkwizytora się nada. Znajdziesz je w jaskiniach, które kiedyś były pod Kredik Shaw...”.

Sen? Zastanowił się nad tym i – może wbrew zdrowemu rozsądkowi – wbił kolczyk w ucho.

W pokoju pojawił się Kelsier.

– Och! – Spook odskoczył. – Ty! Jesteś martwy. Vin cię zabiła. Książka Saze'a mówi...

– Spokojnie, dzieciaku. Ja jestem prawdziwy.

– Ja... – Spook zaczął się jąkać. – To... och!

Kelsier podszedł i objął Spooka ramieniem.

– Widzisz, wiedziałem, że to się uda. Masz obie te rzeczy. Uszkodzony umysł i Hemalurgiczny kolec. Możesz zajrzeć do Krainy Umysłu. To znaczy, że możemy współpracować, ty i ja.

– A niech mnie.

– Nie bądź taki. Nasze dzieło jest ważne. Niezbędne. Rozwikłamy tajemnice wszechświata. Cosmere, jak go nazywają.

– Co... co masz na myśli?

Kelsier się uśmiechnął.

– Chyba mi niedobrze – mruknął Spook.

– Świat jest bardzo, ale to bardzo wielki, dzieciaku. Większy, niż mi się wydawało. Przez ignorancję niemal wszystko utraciliśmy. Nie pozwolę, by to się powtórzyło. – Postukał w ucho Spooka. – Kiedy byłem martwy, miałem okazję. Mój umysł się rozszerzył i dowiedziałem się paru rzeczy. Nie skupiałem się na tych kolcach, gdyby tak było, pewnie bym się wszystkiego domyślił. Ale i tak dowiedziałem się dosyć, by być niebezpiecznym, a razem poznamy resztę.

Spook się cofnął. Był teraz niezależny! Nie musiał po prostu wypełniać poleceń Kelsiera. A niech to, nawet nie wiedział, czy to naprawdę był Kelsier. Raz już został oszukany.

– Dlaczego? – spytał ostro. – Dlaczego miałoby mnie to obchodzić?

Kelsier wzruszył ramionami.

– Jak wiesz, Ostatni Imperator był nieśmiertelny. Dzięki połączeniu tych mocy przestał się starzeć, a w większości sytuacji nie mógł także umrzeć. Jesteś Zrodzonym z Mgły, Spook. Już w połowie drogi. Nie interesuje cię, co jeszcze jest możliwe? To znaczy w końcu mamy stertę kolców Inkwizytorów i żadnego dla nich zastosowania...

Nieśmiertelny, pomyślał Spook.

– A ty? Co ty będziesz z tego miał?

– Nic wielkiego. Tylko jeden drobiazg. Ktoś kiedyś wyjaśnił mi, na czym polega mój problem. Mój sznurek został przecięty, to znaczy to coś, co łączyło mnie ze światem materialnym. – Kelsier uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Cóż, musimy znaleźć mi nowy sznurek.

POSTSCRIPTUM

Zacząłem planować tę historię w trakcie pisania pierwszej trylogii. Wtedy właśnie zaproponowałem swojemu wydawcy pomysł na „trylogię trylogii” (to znaczy pomysł, że Zrodzony z Mgły jako seria będzie zmieniać epoki i poziomy rozwoju techniki w miarę dojrzewania cosmere). Wiedziałem również, że Kelsier odegra dużą rolę w przyszłych książkach cyklu.

Nie mam nic przeciwko śmierci bohaterów – wydaje mi się, że w każdej mojej serii ginie jakaś ważna postać, z której punktu widzenia prowadziłem narrację. Jednocześnie byłem świadom, że historia Kelsiera się nie skończyła. Osoba, którą był na końcu pierwszego tomu, dowiedziała się kilku rzeczy, ale nie zakończyła podróży.

Dlatego zacząłem planować, jak sprowadzić go z powrotem. Nasyciłem *Bohatera Wieków* wskazówkami, co Kelsier robił za kulisami, i nawet wcześniej udało mi się przemycić kilka sugestii. Zawsze wyraźnie dawałem fanom do zrozumienia, że on nigdy nie robił tego, czego od niego oczekiwano.

Jestem świadom, że wskrzeszenie bohatera to bardzo niebezpieczny pomysł, wciąż rozważam, jak zachować równowagę. Nie sądzę, by Kelsier był szczególnie kontrowersyjny, ze względu na wcześniejsze zapowiedzi. Ale chcę, żeby w moich opowieściach śmierć była prawdziwym niebezpieczeństwem albo konsekwencją.

Tak czy inaczej, Kelsier od początku miał wrócić – choć czasami wahałem się, czy napisać tę historię. Martwiłem się, że jeśli ją napiszę, będzie się wydawała niespójna, bo tak wiele czasu mija i tak wiele różnych elementów opowieści musiałem uwzględnić. Zacząłem ją pisać kilka lat przed publikacją, co jakiś czas poprawiałem niektóre sceny.

Kiedy napisałem *Żałobne Opaski*, stało się dla mnie jasne, że muszę dać fanom wyjaśnienie, i to raczej wcześniej niż później. To skłoniło mnie do pilniejszej pracy. Jestem bardzo zadowolony z ostatecznego efektu. Jak się obawiałem, historia jest odrobinę niespójna. Jednak szansa, by w końcu opowiedzieć o niektórych sprawach dziejących się w cosmere za kulisami, była bardzo satysfakcjonująca, dla mnie i dla fanów.

Uprzedzając pytania, wiem, czym zajmowali się Kelsier i Spook zaraz po zakończeniu tej historii. Wiem też, co Kelsier robił w epoce, w której toczy się akcja powieści z cyklu Wax i Wayne. (Są w nich pewne wskazówki, podobnie jak w oryginalnej trylogii).

Nie mogę obiecać, że napiszę *Tajną historię 2* albo *3*. I tak mam dużo na głowie. Ale taka możliwość istnieje.

UKŁAD TALDAIN



Układ Taldain

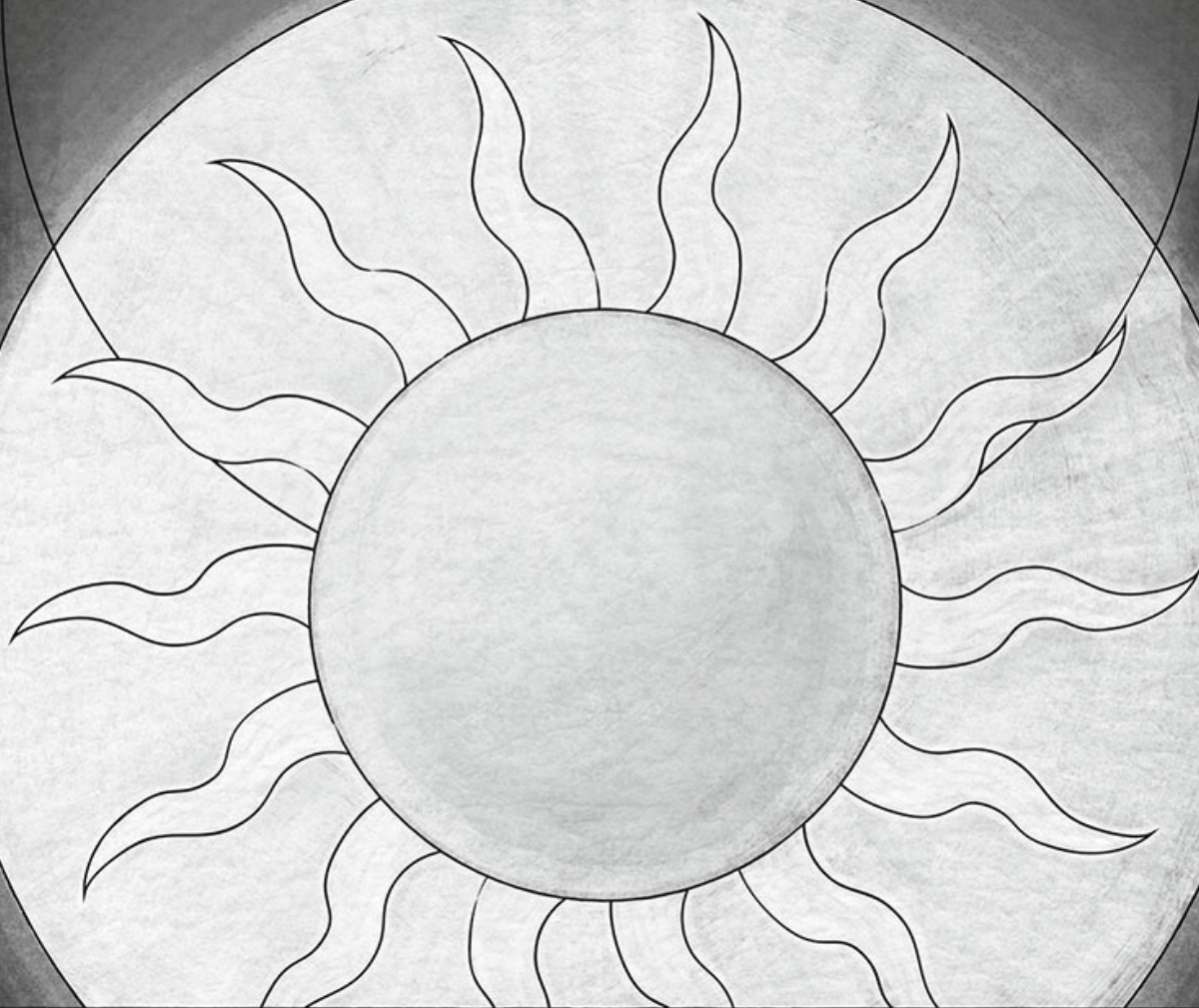
Pierścień Pyłowy

Taldain

Cieniostrona

Nizh Do

Dniostrona



UKŁAD TALDAIN

Taldain to jedna z najbardziej dziwacznych planet w cosmere, co z kolei wydaje się dziwaczne mnie. Ponieważ dorastałam na Cieniostronie Taldainu, nawet po tak wielu latach instynktownie odczuwam, że taki sposób życia jest normalny i naturalny.

Taldain jest planetą obracającą się synchronicznie, uwięzioną w punkcie libracyjnym układu dwóch gwiazd. Mniejsza gwiazda jest białym karłem otoczonym przez pierścień pyłowy, który z ciemnej strony planety jest ledwie widoczny. Ci z nas, którzy pochodzą z tej strony planety, za stan naturalny uważają jednolitą ciemność (przypominającą zmierzch tuż po zachodzie słońca).

Nasza planeta nie jest ponura, a jeśli ktoś uważa inaczej, wynika to z ignorancji. Ultrafiolet przenikający przez pierścień wywołuje swego rodzaju luminescencję u większości roślin i zwierząt. I w rzeczy samej, na nielicznych odwiedzających planetę, których miałam okazję poznać, robi ona wrażenie od uderzającej po krzykliwą.

Po przeciwnej stronie planety leży Dniostrona, zwrócona w kierunku większej z dwóch gwiazd, błękitnobiałego nadolbrzyna, wokół którego krąży karzeł. Słońce jest jednym z kluczowych elementów życia Dniostrony, będącej w przeważającej części ogromną piaskową pustynią, a większość roślin i zwierząt żyje pod jej powierzchnią.

Przez lata zakładaliśmy, że nasz Odprysk, Niezależność, napełnia jedynie Dniostronę, poprzez promienie słońca. Teraz wiemy, że nie jest to takie proste, choć mechanizm najłatwiej wyjaśnić, jeśli przyjmie się takie założenie. Napełnienie spada z nieba i jest absorbowane przez mikroflorę, która jak porosty pokrywa powierzchnię piasku, nadając mu odcień jaskrawej bieli (kiedy jest w pełni Napełniony) albo głębokiej czerni (kiedy Napełnienie zostanie wyczerpane).

Podlanie tej małej rośliny wywołuje reakcję łańcuchową gwałtownego wzrostu, wydzielania energii i przejścia między Krainami. Niektórzy ludzie umieją zapanować nad tą reakcją, wykorzystując wodę z własnego ciała, by stworzyć krótkotrwały Związek. Mogą czerpać niewielkie ilości Napełnienia bezpośrednio z Krainy Ducha i z jego pomocą panować nad piaskiem.

Choć efekt jest dramatyczny, nie zużywa wiele mocy. W tej magii bardziej liczy się finezja niż surowa siła.

Dniostrona jest ojczyzną dwóch dużych kultur, podczas gdy Cieniostrona jest bardziej gościnna i zróżnicowana. Rośliny i zwierzęta obu stron są niezwykle, choć obecnie potencjalni goście nie mogą – niestety – poznać ich bezpośrednio. Polityka izolacjonizmu, prowadzona ostatnio przez Niezależność (i stanowiąca całkowite przeciwieństwo jej ingerencji na innych planetach, jeśli wolno mi dodać) od lat uniemożliwia odwiedzanie Taldainu i opuszczanie go.

Czego jestem boleśnie świadoma.

BIAŁY PIASEK



Fragment ten zawiera początek szkicu z 1999 roku, który stanowił podstawę powieści graficznej z roku 2016.

OTO...

...ŚCIEŻKA MASTRELLA.
PRZYPOMNIJCIE MI,
DLACZEGO W OGÓLE
UZNAŁEM TO ZA
DOBRY POMYSŁ.

BIAŁY PIASEK

OPOWIADANIE: BRANDON SANDERSON
SCENARIUSZ: RIK HOSKIN
RYSUNEK: JULIUS GOPEZ
KOLORY: ROSS CAMPBELL
LITERNICTWO: MARSHALL DILLON
REDAKCJA: RICH YOUNG

PEWNIEM ZAWSZE
PRÓBOWAŁEM
UDOWODNIĆ
COŚ SWOJEMU
OJCU, LORDOWI
MASTRELLOWI.

A TEN, STARSZY
MASTRELLU
TENDELU, JEST
OBIECUJĄCY?

JAK, LORDZIE
MASTRELLU.
W TYM ROKU
JEST W SILNEJ
GRUPIE.

DZIECKO,
POWIEDZ LORDOWI
MASTRELLOWI,
JAK SIĘ
NAZYWAŚ.

TRAIBEN,
PANIE.

POKAŻ
NAM SWOJE
MISTRZOSTWO.





I NADESZAŁA
MOJA KOLEJ.

A OSTATNIM
POTENCJALNYM
AKOLENTEM
JEST WASZ SYN
KENTON.

OJCIEC OCZYWIŚCIE NIC
NIE ODPOWIEDZIAŁ. JAKO
NAJMŁODSZY SYN BYŁEM
OSTATNIM Z WIELU ROZCZAROWAŃ.
ŻADEN Z NAS NIE UMIAŁ
PANOWAĆ NAD PIASKIEM.

OJCIEC, LORD
MASTRELL, NIEZDOLNY
SPŁODZIĆ CHOĆ
JEDNEGO MISTRZA
PIASKU - TO
NIESĘLYCHANE,
SKANDALICZNE!

WEDLE POGŁÓSEK DLATEGO, ŻE NASZA
MATKA POCHODZIŁA Z CIENIOSTRONY
I NA ZAWSZE SPLUGAWIŁA NASZ RÓD,
ZATRUWAJĄC JEGO KORZENIE.

MIAŁEM
UDOWODNIĆ, ŻE SIĘ MYLILI.
ŻE WSZYSCY SIĘ MYLILI.

ALE
DETERMINACJA
I SŁUSZNOŚĆ...

...NIE ZASTĄPIĄ
UMIĘJĘTNOŚCI.

»UFF UFF
UFF UFF«

PRZYKRO MI,
LORDZIE
MASTRELLU.

TO NIC,
NIE KAŻDY
CHŁOPAK
MA BYĆ
MISTRZEM
PIASKU.

ALE TO...
TAK.



BEDE
MISTRZEM
PIASKU!
TO MOJE
PRAWO!

BRAK CI
TALENTU,
CHŁOPCZE!
WRACAJ
DO DOMU.



WIDZIAŁEŚ.
PRAWO
MÓWI, ŻE
MAM DOŚĆ!

CZYTAŁEŚ
PRAWO, CHŁOPCZE?
TO WIESZ, ŻE JAKO
LORD MASTRELL
JESTEM JEDYNYM,
KTÓRY MOŻE DAĆ
AWANS W DIEM...



W DIEM
NIE BĘDZIE
CI ŁATWO,
CHŁOPCZE.


ALE
MOŻESZ
WSTĄPIĆ,
JEŚLI
CHCESZ.

WSTĄPIĆ
I ZAWIEŚĆ,
O TO MU
CHODZIŁO.




I TO JA
MUSZĘ SIĘ
ZGODZIĆ, ZANIM
JAKIKOLWIEK
MISTRZ PIASKU
OTRZYMA
STOPIEŃ.

KAŻDY
POZA
PIERWSZYMI!




WSTĄPIĆ, ZAWIEŚCI I ODPASC.
TO NAPRAWDĘ CHCIAŁ
POWIEDZIEĆ. OTO JA,
NIEUDACZNIK W OCZACH
OJCA, ODPADAJĄCY
W NAJBARDZIEJ
SAMOBÓJCZY SPOSÓB.




JEŚLI SZUKACIE
UPOKORZENIA, MOŻECIE
RÓWNIĘ DOBRZE JECHAĆ
NA TONKU, JAK SIĘ ZA
NIM KRYĆ.



ALE ZNALAZŁEM
PRZYNAJMNIEJ DWIE KULE,
A TRAIBEN MÓWIŁ, ŻE TO
BĘDZIE TRUDNE!



ALE JEŚLI MAM PRZEJŚĆ
CAŁOŚĆ, MUSZĘ PRZYŚPIESZYĆ.
NIE BĘDZIE CZASU NA
COFANIE SIĘ - MAM NADZIEJĘ,
ŻE NIC NIE PRZEGAPIĘ!



TO MIEJSCE WRĘCZ UŚWIĘCONE DLA
MISTRZÓW PIASKU. MIEJSCOWI KERZTIANIE
TU NIE PRZYCHODZĄ - MÓWIĄ, ŻE PIASEK
JEST ZA PŁYTKI, ŻEBY UTRZYMAĆ MIASTO,
I UWAŻAJĄ MISTRZOSTWO PIASKU
ZA ABOMINACJĘ.

TO MIEJSCE
MISTRZÓW PIASKU.



NOWI UCZNIOWIE
DOSTAJĄ POZYCJE
ZALEŻNIE OD ZDOLNOŚCI.

DUŻY SPADEK.
WIEKSZY, NIŻ
OCZEKIWAŁEM.
ALE TO WŁAŚCIWA
ŚCIEŻKA – ZNACZNIK
POTWIERDZA.
ZACZYNA SIĘ
PRAWDZIWA PRÓBA.

PRZEZ MIZERNE
UMIĘJĘTNOŚCI
WYLĄDOWAŁEM NA
DNIĘ ROZPADLINY
DWA RAZY
GŁĘBSZEJ NIŻ TA.

DLA MISTRZÓW PIASKU
MOC JEST WSZYSTKIM.
DOWIEDZIAŁEM SIĘ TEGO
WCZEŚNIE, GDY TYLKO
WSTĄPIŁEM DO DIEM.



ALE DLA
MNE...



...SĄ
ZDOLNOŚCI...

...I JEST
PANOWANIE.

JASNE, MÓJ
SPÓSOB NIE ROBI
WRAŻENIA...

...ALE WYKONUJĘ
ZADANIE.

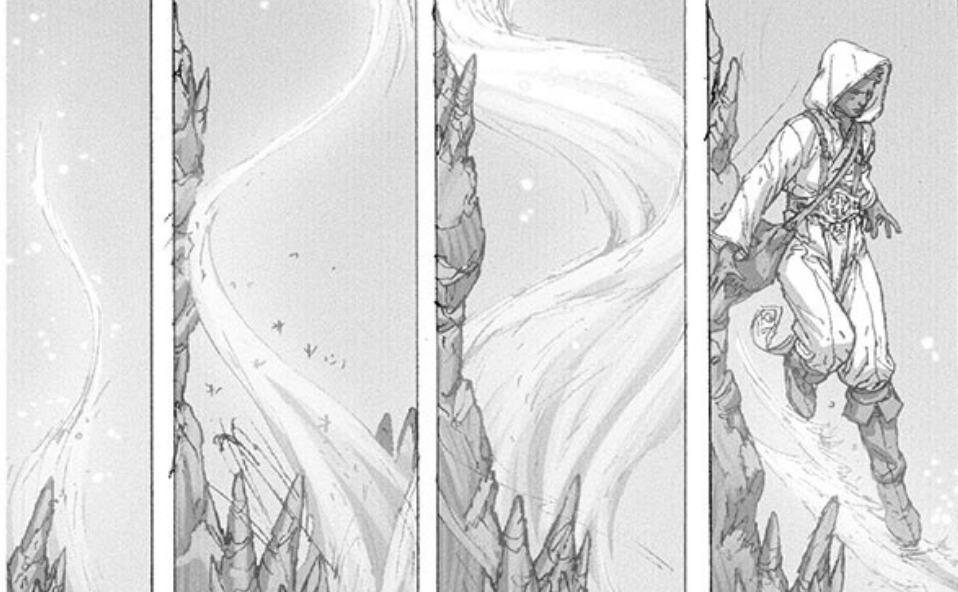



PO UŻYCIU PIASEK
NIE JEST BIAŁY, TYLKO
CZARNY. TO OZNACZA
ZUŻYCIE ENERGII.

PRZYPOMNIENIE,
ŻE MUSZĘ UWAŻAĆ
NIE TYLKO NA
ENERGIĘ PIASKU,
ALE I SWOJĄ.



MAM SUCHO
W USTACH.
PIERWSZA OZNAKA
ODWODNIENIA.
MISTRZOSTWO
PIASKU WYMAGA
NIE TYLKO SIŁY, ALE
I WODY. WYSYSA
CENNY PŁYN
Z CIAŁA MISTRZA.





MISTRZ PIASKU
MUSI PILNOWAĆ
WODY - TEGO
UCZY SIĘ
NA POCZĄTKU.

NIE MOŻE
DOPROWADZIĆ DO
ODWODNIENIA, KTÓRE
NIEODWRACALNIE
USZKODZI JEGO
CIAŁO.



CO ON ROBI?

LEPIEJ,
ŻEBY SIĘ
UDAŁO!


MISTRZOWIE
PIASKU POWINNI
PŁYWAĆ I TAŃCZYĆ
W CHMURACH
ŚWIETLISTEGO PIASKU,
NIE WSPINAĆ SIĘ
PO ŚCIANIE
JAK SENNY
PIASKALI!

NIE MOGĘ
WZNIĘĆ SIĘ WYSOKO,
TO WYMAGA WIĘKSZEGO
MISTRZOSTWA
PIASKU.


ALE MA TEŻ ZALETY -
MOGĘ PODZIWIĄĆ WIDOKI!



I TAK TO IDZIE.
TRZECIA KULE
ZNAJDUJE ŁATWO,
A ZUŻYTY PIASEK
JAK ZNACZNIK
POKAZUJE LOKALIZACJĘ
CZWARTEJ.



SŁOŃCE POTRZEBUJE CZTERECH GODZIN
NA NAPEŁNIENIE PIASKU I WYBIELENIE GO
PO MANIPULACJI. NIE MINĘŁY
CZTERY GODZINY OD CZASU, GDY
JAKIŚ MISTRZ PIASKU UKRYŁ TAM KULĘ.



ALE DOTARCIE
DO KUL ZABIERA
CENNE CHWILE. CHOĆ
BARDZO SIĘ STARAM,
KOŃCZY MI SIĘ CZAS
I BRAKUJE MI WODY.



GDYBYM
TYLKO UMIAŁ
SŁATRYFIKOWAĆ.



GŁUPOTA,
OJCIEC JEST
SUROWY JAK PIASKI
I NIE POZWOLI MI
ZOSTAĆ MASTRELLEM,
NAWET JEŚLI ZNAJDE
WSZYSTKIE...

...PIEĆ?

NIEWIARYGODNE,
TO OSTATNIA KULA.
UDAŁO MI SIĘ!



POPATRZCIE NA TO.
ILE CZASU ZAJĘŁO
WIATROM KERLI
WYRZEźBIENIE
GO?

UFF.

SPODZIEWAŁEM SIĘ, ŻE
OSTATNIA KULA BĘDZIE
NAJLEPIEJ UKRYTA
I NAJTRUDNIEJSZA
DO ZNALEZIENIA.
ALE JEST TU...



AISHA!

W GŁĘBOKIM
PIASKU!


COŚ JEST
NIE TAK.

NIEWIELU, NAWET
KERZTIAN, JEST
DOŚĆ GŁUPICH,
BY WEJŚĆ NA
GŁĘBOKI PIASEK.



COŚ JEST
BARDZO,
BARDZO
NIE TAK.

SHHHHHH



TERAZ PAMIETAM,
CZEMU KERZTIANIE
NIE WYCHODZA NA
GLEBOKI PIASEKI

PRZEZ TE STWORY - PIASKALE
DRAPIEZNIKI, KTORE BEZ TRUDU
PRZESLIZGUJA SIE PRZEZ PIASEK.
SA SZYBKIE I NIEMAL NIEZNISZCZALNE.
ZYJA W GLEBOKIM PIASKU
I WYCHODZA TYLKO
NA POLOWANIE.

NIE WIDZA, ALE CZUJA.
KERZTIANIE WIERZA,
ZE NAWET MOWIA
DO PIASKU.



NAGLE JESTEM WDZIĘCZNY
ZA GODZINY ĆWICZEN
Z ŻOŁNIERZAMI Z WIEŻY.
TYLKO ODRUCHY UTRZYMAŁY
MNIĘ PRZY ŻYCIU PRZEZ
OSTATNIE PIĘĆ SEKUND.

ZOBACZMY,
CZY PRZEŻYJE
KOLEJNE PIĘĆ!



CLANG



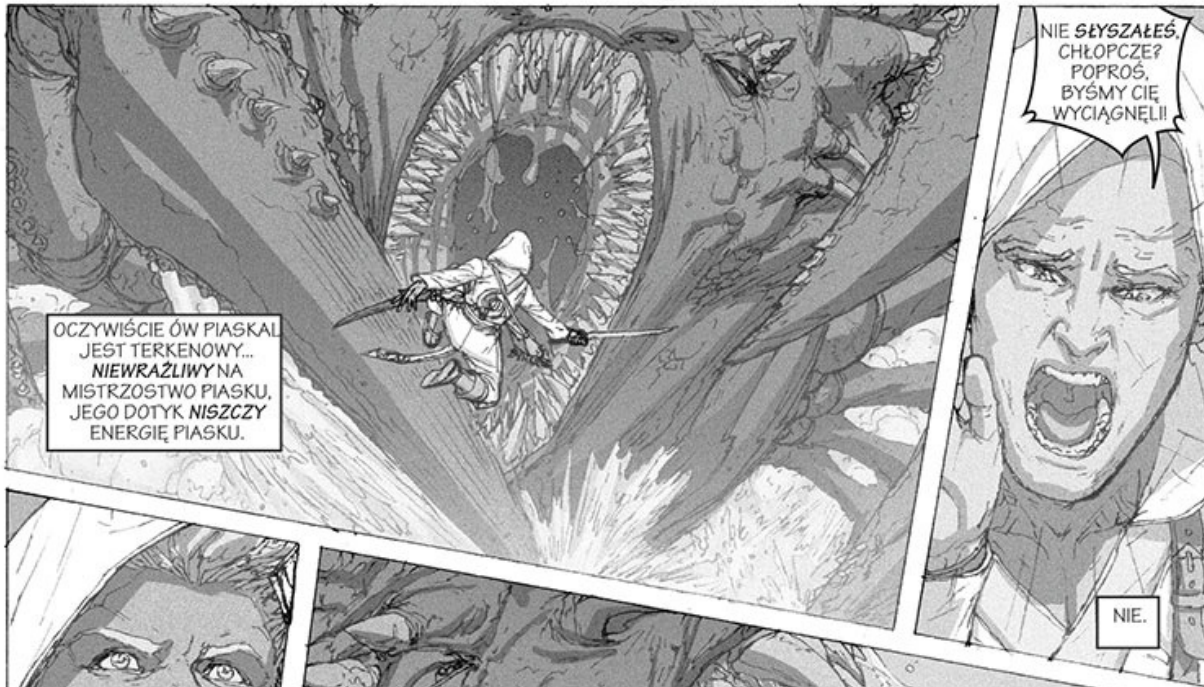
AMBITNY CEL.

KENTON!
NIE WTRĄCIMY
SIĘ, JEŚLI NIE
POPROSI SZ!



MOŻE NIE PANUJE
JEDNOCZEŚNIE NAD
DZIESIĄTKAMI LINII,
ALE KIEDY CHODZI
O JEDNĄ WSTĘGĘ...

...NIKT NIE
DORÓWNA MOJEJ
SZYBKOŚCI
I PRECYZJI.



OCZYWIŚCIE ÓW PIASKAL
JEST TERKENOWY...
NIEWRAŻLIWY NA
MISTRZOSTWO PIASKU.
JEGO DOTYK NISZCZY
ENERGIĘ PIASKU.

NIE SŁYSZAŁEŚ,
CHŁOPCZE?
POPROŚ,
BYŚMY CIĘ
WYCIĄGNĘLI!

NIE.



TO JASNE, CO POWINIENEM
ZROBIĆ. WSZYSTKIE
PIASKALE MAJĄ JEDNĄ
WIELKĄ SŁABOŚĆ. WODĘ.
PŁYN ROZPUŞCZA ICH
SKORUPĘ I SKÓRĘ.

OSTATNIE WYZWANIE
ŚCIEŻKI MASTRELLA
SPRAWDZA
NAJPOTĘŻNIEJSZĄ
UMIEJĘTNOŚĆ -
ŚLATRYFIKACJĘ.



LORDZIE MASTRELLU,
MUSICIE TO
NATYCHMIAST
ZATRZYMAĆ.
WASZ SYN ZGINIE
JEŚLI NIE...

ZASADY SĄ JASNE.
ELORINIE, KENTON
MUSI POPROSIĆ
O INTERWENCJĘ.



SLATRYFIKACJA
JEST JEDYNYM,
CZEGO NIE UMIEM.

ALE ZNAM
INNE
SZTUCZKI.

PANOWANIE NAWET NAD
JEDNĄ WSTĘGĄ MOŻE
WYDAWAĆ SIĘ WIELOMA,
JEŚLI ROBI SIĘ TO
DOŚĆ SZYBKO.



ALE ZUŻYWAM CENNE ZASOBY,
BY DOTRZEĆ DO TEJ KULI.
ZACZYNAM WYSYCHAĆ.
PIERWSZA LEKCJA PIERWSZEGO
DNIA: NA MIŁOŚĆ DIEM, NIE
WOLNO SIĘ NAWET ZBLIŻAĆ DO
NADMISTRZOSTWA.



TAM!

ALE...
ZARAZ!

KOLEJNA
KULA?!
TO NIEMOŻLIWE!



CHYBA ŻE NA ŚCIEŻCE
MASTRELLA JEST
NIE PIĘĆ KUL,
TYLKO SZEŚĆ!

MOJEGO OJCA,
LORDA MASTRELLA,
NIE DA SIĘ
ZADOWOLIĆ -
NAWET
DOSKONAŁOŚCIĄ.

HA!

LEPSZY TRUP
NIŻ TCHÓRZI!

HAAAAAAAA



UCHI

NGSSSSSS



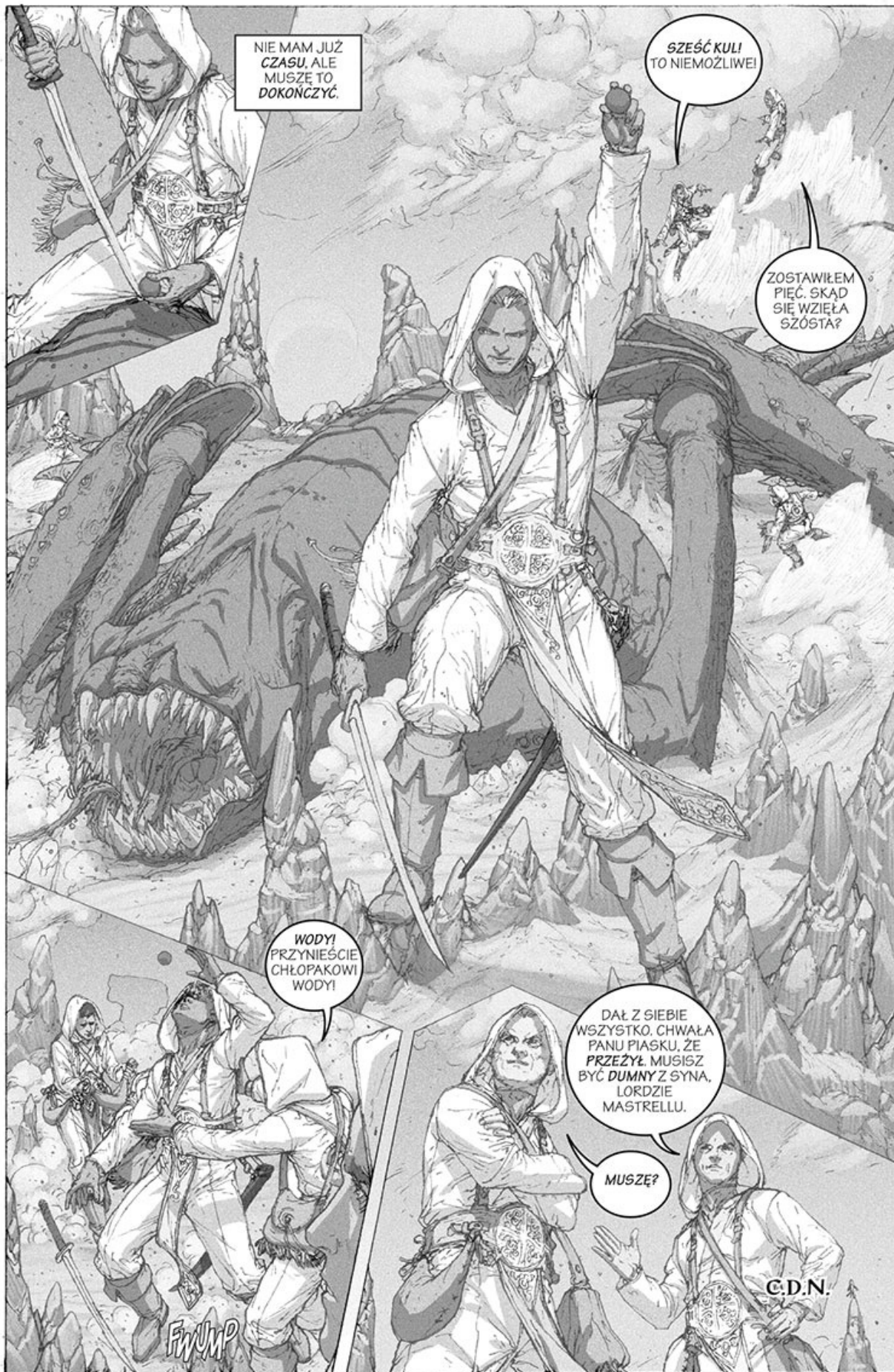
ROZKAZUJĘ WSTĘDZE,
BY ZBADAŁA ROZCIĘCIE
SKORUPY PIASKAŁA...



...BY SKRZYWDZIŁA
TEGO PIĘKNEGO,
STRASZLIWEGO
STWORA, KTÓRY
WŁADA GŁĘBOKO
POD KERŁĄ.



WIJE SIĘ PRZEZ
CHWILĘ, KTÓRA
TRWA WIECZNOŚĆ,
AZ JEGO DŁUGIE
ŻYCIE WRESZCIE
DOBIEGA KONCA.



NIE MAM JUŻ
CZASU, ALE
MUSZĘ TO
DOKOŃCZYĆ.

SZEŚĆ KULI
TO NIEMOŻLIWE!

ZOSTAWIŁEM
PIĘĆ. SKĄD
SIĘ WZIEŁA
SZÓSTA?

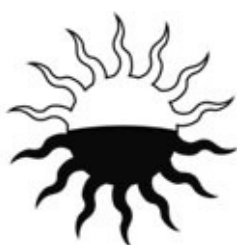
WODY!
PRZYŃEŚCIE
CHŁOPAKOWI
WODY!

DAŁ Z SIEBIE
WSZYSTKO. CHWAŁA
PANU PIASKU, ŻE
PRZEŻYŁ. MUSISZ
BYĆ DUMNY Z SYNA,
LORDZIE
MASTRELLU.

MUSZĘ?

C.D.N.

FWUMP



PROLOG

Wiatr muskał strome wydmy swoim szepczącym dotykiem, chwycił w palce delikatne ziarenka piasku i prznosił je do przodu jak tysiące malutkich jeźdźców rydwanów. Piasek, podobnie jak tworzone przez niego wydmy, był biały jak kość. Został wybielony przez surowe spojrzenie słońca – spojrzenie, które nigdy się nie zaćmiewało, gdyż tutaj, w imperium białego piasku, słońce nigdy nie zachodziło. Wisiało nieruchomo, nie wznosząc się i nie opadając, i zawsze obserwowało wydmy jak zazdrosny monarcha.

Praxton czuł, jak niesione przez wiatr ziarenka piasku wbijają mu się w policzek. Podniósł kaptur szaty, ale to niewiele dało. Wciąż czuł drobinki atakujące bok jego twarzy jak rozwścieczone owady. Mistrzowie piasku musieli się pośpieszyć – wiatry umiały w ciągu kilku minut zmienić leniwe piaski Kerli w wirujący tajfun.

W pewnej odległości stał tuzin postaci w brązowych szatach. Wszyscy naciągnęli kaptury dla ochrony przed wiatrem, ale ich drobne sylwetki wyraźnie świadczyły, że to dzieci, dopiero zaczynające drugie dziesięciolecie życia. Chłopcy stali niepewnie i przestępowali z nogi na nogę, a wiatr szarpał ich szaty. Wiedzieli, że to ważny dzień. Nie rozumieli go tak, jak Praxton, nie mogli wiedzieć, jak wiele razy będą wracali pamięcią do tego wydarzenia, jak często wynik próby będzie wpływał na przebieg ich życia. Mimo wszystko wyczuwali wagę tego, co miało się właśnie wydarzyć.

Na wezwanie mastrella w białej szacie chłopcy sięgnęli za pazuchy i wyjęli małe tkaninowe woreczki. Praxton, który prowadził ceremonię jako lord mastrell, przywódca mistrzów piasku, patrzył na nich ze swoją zwyczajową surową miną. Przyglądał się beznamiętnie, jak każdy z chłopców wyciąga garść białego piasku z torby. Musieli trzymać go mocno, by powstrzymać coraz silniejszy wiatr przed porwaniem go i rozrzuceniem po całej Kerli.

Praxton zmarszczył czoło, jakby jego niezadowolenie mogło zmusić wiatr do ucichnięcia. Próba odbywała się w pobliżu góry KraeDa – jednego z niewielu miejsc w Kerli, gdzie spośród piasku wystawały skalne wzniesienia. Góra i otaczające ją urwiska zazwyczaj chroniły przed wiatrem.

Pokręcił głową i przestał myśleć o wietrze w chwili, gdy pierwszy z chłopców zaczął próbę. Przed nim stali dwaj mastrellowie, którzy udzielali mu wskazówek. Wiatr zagłuszał ich ciche głosy. Praxton widział skutki, nawet jeśli nie słyszał głosu – chłopiec przez chwilę wpatrywał się w piasek w zagłębieniu dłoni, a podmuch wiatru na moment odsłonił jego skupioną twarz. Piasek zabłysł słabo, a później poczerniał, jak pozostałości ogniska.

– Dobry początek – mruknął za jego plecami jeden ze starszych mastrellów, Tendel.

Praxton kiwnął głową – Tendel miał rację, to był dobry znak. Chłopiec – Praxtonowi wydawało się,

że rozpoznaje w nim Traibena, syna jednego z pomniejszych mistrzów – rozjarzył piasek tak, że blask był widoczny z pewnej odległości, co znaczyło, że ma przynajmniej średnią moc.

Próba trwała dalej, niektórzy chłopcy tworzyli błyski podobne do Traibena, innym ledwie udawało się sprawić, by piasek poczerniał. Ogólnie jednak była to wyjątkowo silna grupa. Przyniosą wielką siłę Diem.

Nagle pojawił się błysk tak silny, że wywołał również głośny trzask, słyszalny ponad szumem wiatru. Praxton zamrugał zaskoczony, próbując pozbyć się powidoku. Dwaj mastrellowie przeprowadzający próbę stali oszołomieni przed małym dzieckiem, którego ręka drżała.

Tendel aż zagwizdał.

– Od lat nie widziałem nikogo tak potężnego – mruknął stary mastrell. – Kto to?

– Drile – odparł Praxton. – Syn Reensta Rile’a.

– Hm, dobry połów, z różnych powodów – zauważył Tendel.

Mastrellowie zapanowali nad zaskoczeniem i przeszli do następnego, ostatniego już chłopca. Mimo swojego wieku, opanowania i surowej natury Praxton poczuł, że jego serce bije odrobinę szybciej, gdy ostatnie dziecko słuchało poleceń.

„Och, proszę”, wyszeptał w na wpół świadomej modlitwie. Nie był religijny, ale to ostatnia szansa. Wcześniej zawiódł tak wiele razy...

Chłopiec wpatrzył się w piasek. Wiatr zerwał mu kaptur, a na jego twarzy, okrągłej i zwieńczonej krótką jasną czupryną, pojawił się wyraz całkowitego skupienia. Praxton wstrzymał oddech i czekał, wbrew sobie podekscytowany.

Chłopiec wpatrywał się w piasek, zaciskając zęby. Praxton czuł, jak jego ekscytacja gaśnie, gdyż nic się nie działo. W końcu piasek zabłysł bardzo słabo – tak słabo, że Praxton nie mógł być pewien, czy tego sobie nie wymyślił – i pociemniał.

Choć wiedział, że na jego twarzy nie maluje się rozczarowanie, Praxton poczuł, że otaczający go starsi mastrellowie sztywnieją z oczekiwania.

– Przykro mi, lordzie mastrellu – wymamrotał Tendel.

– To nic. – Praxton machnął ręką. – Nie każdy chłopak ma być mistrzem piasku.

– Ale to był wasz ostatni syn – zauważył Tendel, niepotrzebnie, jak uznał Praxton.

– Zabierzcie ich – polecił Praxton.

Czyli takie będzie moje dziedzictwo, pomyślał. Lord mastrell niezdolny spłodzić jednego mistrza piasku. Zostanę zapamiętany jako ten, który poślubił kobietę z Cieniostrony, w ten sposób plugawiąc swój ród.

Westchnął i mówił dalej.

– Ci, którzy mają umiejętności, mogą wstąpić do Diem, reszta wybierze inny Zawód.

Mistrzowie piasku poruszali się szybko, ich stopy bez trudu zanurzały się w wirujących wydmach. Pragnęli jak najszybciej znaleźć schronienie przed rozwścieczonymi żywiołami. Jedna sylwetka nie podążyła jednak za mistrzami w białych szatach. Niski i drobny chłopiec stał smagany coraz silniejszym wiatrem. Jego szata szarpała się w gwałtownych podmuchach jak bestia w przedśmiertnych drgawkach.

– Kenton – mruknął Praxton.

– Będę mistrzem piasku! – powiedział chłopiec. Jego głos był ledwie słyszalny pośród wycia wiatru.

W pewnej odległości szereg oddalających się mastrellów i chłopców zatrzymał się, a kilka głów odwróciło się z zaskoczeniem.

– Brak ci talentu, chłopcze! – warknął Praxton i gestem kazał reszcie ruszyć dalej.

Pozostali jedynie udali, że wypełniają jego rozkaz. Nieliczni rzucali wyzwanie lordowi Mastrellowi, a już zwłaszcza mali chłopcy. Dla takiego widoku warto było stać w burzy piaskowej.

– Prawo mówi, że mam go dość! – odparł Kenton, niemal krzyżąc.

Praxton zmarszczył czoło.

– Czytałeś Prawo, chłopcze?

– Tak.

– To wiesz, że jako lord mastrell jestem jedynym, który może dać awans w Diem. – Praxton czuł coraz większą wściekłość na myśl, że ktoś rzucił wyzwanie jego autorytetowi. To nie robiło dobrego wrażenia, zwłaszcza że tym dzieckiem był jego syn. – Lord mastrell musi się zgodzić, zanim mistrz piasku otrzyma stopień.

– Każdy poza pierwszym! – odkrzyknął Kenton.

Praxton umilkł, czując wypełniającą go furję. Wszystko go atakowało – nieznośny wiatr, beczelność chłopca, spojrzenia innych mistrzów... Najgorsza była jego własna wiedza. Wiedza, że chłopak ma rację. Każdy, kto umiał sprawić, by piasek rozbłysł, miał prawo dołączyć do Diem. Chłopcy o mocy mniejszej od Kentona zostawali mistrzami piasku. Oczywiście żaden z nich nie był synem lorda mastrella. Gdyby Kenton wstąpił do Diem, jego brak umiejętności osłabiłby autorytet Praxtona.

Chłopiec wciąż stał, był wyraźnie zdeterminowany. Naniesiony przez wiatr piasek zbierał się wokół jego nóg, zagrzebując go aż po kolana w ruchomym kopcu.

– W Diem nie będzie ci łatwo, chłopcze – syknął Praxton. – Na piaski, wysłuchaj głosu rozsądku!

Kenton się nie ruszył.

Praxton westchnął.

– W porządku! Możesz wstąpić.

Kenton uśmiechnął się zwycięsko, wydobył stopy z wydmy i pośpiesznie dołączył do szeregu uczniów. Praxton stał bez ruchu i odprowadzał go wzrokiem.

Gwałtowny wiatr szarpał jego szaty, a piasek wciskał się w oczy i między wargi. Taka niewygodna była niczym w porównaniu z bólem, który wkrótce miał poznać Kenton – Diem było miejscem brutalnej polityki, a mistrzów piasku zwykle oceniano pod kątem surowej siły. Nie, życie nie miało być łatwe dla kogoś tak słabego, zwłaszcza że jego ojciec był tak potężny. Niezależnie od tego, co robił Praxton, inni uczniowie będą czuć niechęć do Kentona z powodu rzekomej pobłażliwości czy faworyzowania.

Nieświadom czekających go prób chłopiec dotarł do pobliskich jaskini. Wydawało się, że ostatnie dziecko Praxtona będzie też jego największym wstydem.



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kentonowi wydawało się, że piaski oddychają. Gorąco płynące z nieruchomego słońca odbijało się od ziarenek, zniekształcając powietrze, przez co wydmy wyglądały, jakby były złożone z malutkich, rozżarzonych do białości węgielków. Dobiegało go również wycie wiatru w pęknięciach skał. Na całej ogromnej, pokrytej wydmami przestrzeni Kerli takie skały znajdowały się tylko w jednym miejscu – tutaj, w pobliżu góry KraeDa, uświęconego miejsca mistrzów piasku. Wszędzie indziej piaski były zbyt głębokie.

Kenton ponownie stanął przed grupą mastrellów, tym razem jako mężczyzna. W wielu aspektach był bardzo podobny do chłopca, który przed ośmioma laty stał w dokładnie tym samym miejscu. Miał takie same, krótko przycięte jasne włosy, tę samą okrągłą twarz i zdeterminowaną minę oraz – co najważniejsze – ten sam zbuntowany wyraz oczu. Nosił teraz białe szaty mistrza piasku, ale w przeciwieństwie do większości swoich towarzyszy, bez kolorowej szarfy. Jego szarfa była biała, co oznaczało ucznia, który jeszcze nie uzyskał stopnia w hierarchii Diem. U pasa miał inną osobliwą rzecz – miecz. Jako jedyny w całej grupie mistrzów był uzbrojony.

– Nie mów mi, że zamierzasz doprowadzić to szaleństwo do końca? – spytał stojący przed nim mężczyzna.

Praxton wyglądał na starszego od piasków. Stał na czele dwudziestu mastrellów Diem, z których każdy nosił złotą szarfę. Choć skończył dopiero sześćdziesiąt lat, jego skóra była sucha i pomarszczona jak owoc, który pozostawiono na słońcu. Podobnie jak większość mistrzów piasku nie nosił brody.

Kenton spojrzał na niego wyzywająco – w ciągu ostatnich ośmiu lat stał się w tym bardzo dobry. Praxton wpatrywał się w syna z mieszaniną odrazy i zażenowania. Później westchnął i zrobił coś niespodziewanego. Odszedł od pozostałych mastrellów, którzy stali w milczeniu na skalnym płaskowyżu. Kenton spojrzał niepewnie, gdy ojciec skinął na niego. Oddalił się na tyle, że obaj mogli porozmawiać w cztery oczy. Choć raz Kenton wypełnił polecenie i podszedł bliżej, by usłyszeć, co ma mu do powiedzenia lord mastrell.

Praxton spojrzał na mastrellów, po czym odwrócił się do Kentona. Jedynie na chwilę przeniósł wzrok na miecz u pasa syna, zanim spojrzał mu w oczy.

– Posłuchaj, chłopcze. – Głos Praxtona załamywał się nieco. – Osiem lat znosiłem twoją bezczelność i gierki. Jeden Pan Piasku wie, jak wiele problemów wywołałeś. Dlaczego musisz mi się ciągle przeciwstawiać?

Kenton wzruszył ramionami.

– Bo jestem w tym dobry?

Praxton zmarszczył czoło.

– Lordzie mastrellu. – Kenton odezwał się poważniejszym tonem, ale w jego głosie wciąż brzmiało wyzwanie. – Kiedy mistrz piasku zaakceptuje stopień, nie może już go zmienić.

– I co z tego?

Kenton nie odpowiedział. Już cztery razy odmówił awansu, co w oczach Diem robiło z niego głupca i ciekawostkę. Nieudolnych uczniów zmuszano czasem do pozostania przez pięć lat akolentami, ale nigdy w całej historii mistrzostwa piasku nikt nie pozostał uczniem przez lat osiem.

Praxton znów westchnął i pociągnął łyk wody z qido.

– W porządku, chłopcze – powiedział w końcu. – Mimo całego bólu, mimo wstydu, przyznam, że ciężko pracowałeś. Jeden Pan Piasku wie, że twój talent jest mizerny, ale przynajmniej osiągnąłeś coś z tą niewielką ilością, którą masz. Zrezygnuj z biegu Ścieżką, a jutro zaproponuję ci stopień fena.

Fen. Przedostatni z dziewięciu stopni panów piasku. Jedynie podfen – stopień, który proponowano Kentonowi przez ostatnie cztery lata – był od niego niższy.

– Nie. Sądzę, że chcę zostać mastrellem.

– Aisha! – zaklął Praxton.

– Nie przeklinaj teraz, ojczy. Zaczekaj, aż uda mi się przebiec Ścieżkę. I co wtedy zrobisz?

Słowa Kentona były bardziej wyzywające niż to, co naprawdę czuł. Kiedy ojciec się wściekał, Kenton poczuł, jak znów dopadają go wątpliwości.

Na piaski, co ja robię? Osiem lat temu nikt nawet nie sądził, że mogę zostać mistrzem, a teraz zaproponowano mi godny szacunku stopień w Diem. Nie tego chciałem, ale...

– Chłopcze, jesteś tak nieudolny, że Stu Idiotów wydaje się przy tobie błyskotliwymi. Przebiegnięcie Ścieżki Mastrella niczego nie udowodni. Ona jest przeznaczona dla mastrellów, nie prostych akolentów.

– Prawo nie mówi, że studentowi nie wolno jej przebiec – stwierdził Kenton, choć jego umysł wciąż wypełniały myśli o własnej niedoskonałości.

– Nie uczynię cię mastrellem – ostrzegł Praxton. – Nawet jeśli znajdziesz pięć kul, nie zrobię tego. Ścieżka nie jest próbą ani dowodem. Mastrellewie przebiegają ją, jeśli chcą, ale dopiero kiedy są już bardzo zaawansowani. Twój sukces nie będzie nic znaczył. Nigdy nie zostaniesz mastrellem... nie jesteś nawet godny być mistrzem piasku!

Słowa ojca wypaliły wątpliwości Kentona jak słońce wodę. Nikt nie potrafił obudzić w nim ducha nieposłuszeństwa tak jak Praxton.

Zaplótl ręce na piersi.

– W takim razie będę akolentem do dnia śmierci, lordzie mastrellu.

– Nie możesz zostać mastrellem – powtórzył Praxton. – Nie masz mocy.

– Nie wierzę w moc, ojczy. Wierzę w zdolności. Umiem zrobić wszystko, co mastrellewie, choć innymi sposobami.

To był stary spór, który ciągnął się od ośmiu lat.

– Umiesz slatryfikować?

Kenton się zawahał. Nie, tej jednej rzeczy nie umiał. Slatryfikacja, zdolność do przemiany piasku w wodę, była szczytem mistrzostwa piasku. Znacznie różniła się od innych umiejętności mistrzów i choć Kenton bardzo się starał, nie wpadł na pomysł, jak ją zastąpić.

– Byli mastrellowie, którzy nie umieli slatryfikować – odparł.

– Dwaj. I obaj umieli panować nad ponad dwoma tuzinami wstęg piasku jednocześnie. Jak wiele ty kontrolujesz, chłopcze?

Kenton zazgrzytał zębami. To było bezpośrednie pytanie, a on nie mógł odmówić odpowiedzi.

– Jedną – przyznał w końcu.

– Jedną – powtórzył Praxton. – Każdy mastrell, którego znałem, panował nad co najmniej piętnastoma. Mówisz mi, że umiesz za pomocą jednej osiągnąć to, do czego oni wykorzystują piętnaście? Nie widzisz, jakie to niedorzeczne?

Kenton uśmiechnął się. Dziękuję za zachętę, ojcze.

– Cóż, w takim razie będę ci to musiał po prostu udowodnić, lordzie mastrellu.

Złożył szyderczy ukłon i odwrócił się plecami do ojca.

– Ścieżka była przeznaczona dla mastrellów, chłopcze – powtórzył za nim Praxton łamiącym się głosem. – Większość z nich w ogóle z niej nie korzysta... jest zbyt niebezpieczna.

Kenton zignorował starego mężczyznę i podszedł do innego mistrza, który stał w pobliżu. Jego niska sylwetka nie rzucała cienia, bo w tym miejscu, wśród poszarpanych skał na południe od góry KraeDa, słońce wznosiło się bezpośrednio nad głową. Mistrz był łysy i miał lekko nalaną, owalną twarz. Wokół pasa nosił żółtą szarfę oznaczającą podmastrella, stopień bezpośrednio poniżej mastrella. Mężczyzna uśmiechnął się na widok Kentona.

– Jesteś pewien, że chcesz to zrobić, Kentonie?

Chłopak przytaknął.

– Tak, Elorinie, chcę.

– Sprzeciw twojego ojca jest uzasadniony – ostrzegł go Elorin. – Ścieżka Mastrella została stworzona przez grupę mężczyzn z przerostem ego, którzy desperacko pragnęli udowodnić, że są lepsi od swoich towarzyszy. Została zaprojektowana dla ludzi obdarzonych ogromną mocą. Zdarzało się już, że mastrellowie na niej ginęli.

– Rozumiem.

Kenton w głębi duszy był zaciekawiony. Nikt, kto przebiegł Ścieżkę, nie miał prawa zdradzać jej tajemnic i mimo długich badań chłopakowi nie udało się dowiedzieć, co mogło być tak niebezpiecznego w prostym wyścigu przez Kerłę. Brak wody? Strome urwiska? Nie powinny stanowić większego wyzwania dla dobrze wyszkolonych mistrzów piasku.

Elorin mówił dalej.

– Dobrze. Lord Mastrell polecił mi śledzić twój bieg. Wraz z kilkoma towarzyszami będziemy cię obserwować na Ścieżce, oceniać twoje postępy i upewniać się, że nie oszukujesz. Nie możemy ci pomóc, o ile nie poprosisz, a jeśli to zrobisz, nasza interwencja zakończy twój bieg.

Niski mężczyzna sięgnął w fałdy białej szaty i wyciągnął małą czerwoną kulę.

– Na Ścieżce ukryto ich pięć – wyjaśnił. – Twoim celem jest odnaleźć je wszystkie. Możesz zacząć, kiedy ci powiem. Masz czas do chwili, kiedy księżyc przejdzie za górą i pojawi się po drugiej stronie. Próba dobiegnie końca w chwili, gdy skończy ci się czas albo odnajdziesz piątą kulę.

Kenton podniósł wzrok. Księżyc okrążał niebo raz na dzień, przez cały czas unosząc się tuż nad horyzontem. Wkrótce zniknie za górą KraeDa. Pewnie będzie miał około godziny, stu minut, by przebiec Ścieżkę.

– Czyli nie muszę wrócić do startu? – upewnił się.

– W chwili, kiedy księżyc pokaże się ponownie, twój bieg się kończy. Policzymy kule, które znalazłeś, i to będzie twój wynik.

Kenton pokiwał głową.

– Nie możesz zabrać ze sobą qido – poinformował go Elorin i wyciągnął rękę, by odebrać mu butelkę z wodą.

– Miecz też! – zawołał z tyłu Praxton. Jego wargi wygięły się w dół w zwyczajowym grymasie dezaprobaty.

– Tego nie ma w zasadach, starcze – sprzeciwił się Kenton, opuszczając dłoń na rękojeść.

– Prawdziwy mistrz piasku nie potrzebuje takiej niezgrabnej broni – sprzeciwił się Praxton.

– Tego nie ma w zasadach – powtórzył Kenton.

– On ma rację, lordzie mastrellu – zgodził się Elorin.

On również się krzywił – choć podmastrell był życzliwy, nawet jemu nie podobało się, że Kenton upiera się przy noszeniu miecza. W oczach większości mistrzów piasku broń była prymitywna, przeznaczona dla ostatnich Zawodów w rodzaju żołnierzy.

Praxton przewrócił z frustracją oczyma, ale nie sprzeciwiał się dalej. Po kilku minutach kraniec księżyc zniknął za górą.

– Niech Pan Piasku cię chroni, młody Kentonie – powiedział Elorin.

* * *

Ścieżka prowadziła na początku prosto i Kenton szybko odnalazł dwie kule. Czerwone gałki z piaskowca były łatwe do odnalezienia, aż zaczął się martwić, że coś przegapił. Niestety wiedział, że nie ma czasu na cofanie się. Albo odnajdzie je wszystkie przy pierwszej próbie, albo przegra.

Ta determinacja kierowała krokami Kentona, kiedy biegł po skalnej półce. Wokół niego z piasku wznosiły się dziwne formacje skalne, niektóre wysokie na setki stóp, inne ledwo wynurzające się nad powierzchnię. Znał ten krajobraz – mistrzowie piasku przybywali do tego miejsca każdego roku, by wybierać nowych członków i dawać wyróżnienia starym. Było to miejsce wręcz uświęcone, choć sami mistrzowie nie byli religijni. Miejscowi Kerztianie tu nie przychodzili – piasek był za płytki, żeby utrzymać miasto. Nieliczni w ogóle nie wiedzieli o jego istnieniu. To było miejsce mistrzów piasku.

I przez cztery lata było miejscem wstydu – przynajmniej dla Kentona. Cztery lata stawania przed całym Diem i prezentowania się do awansu, którego nie dostawał. Wiedział, że większość uważała go za głupca – aroganckiego głupca. A on czasami zastanawiał się, czy nie mieli racji. Dlaczego dążył do stopnia, na który nie zasłużył? Dlaczego nie był zadowolony z tego, co Praxton był gotów mu dać?

W Diem nie żyło mu się łatwo. Społeczność mistrzów piasku była starożytna i hierarchiczna – nowi uczniowie dostawali uprzywilejowane pozycje zależnie od mocy. Mniej uzdolnionych skazywano na bycie sługami i asystentami bardziej utalentowanych – podobnie wyglądała sytuacja w całej hierarchii mistrzów.

Dla nich moc była wszystkim. Kenton obserwował innych akolentów ze swojej grupy i widział, jak łatwo przychodzi im mistrzostwo. Nie musieli się wysilać, nie musieli się uczyć, jak panować nad piaskiem. Ich reakcją na każdy problem było rzucenie weń tuzinem wstąg z nadzieją, że zniknie. Dziś

Kenton zamierzał udowodnić, że istnieje lepszy sposób.

Zatrzymał się gwałtownie. Skończyła mu się ziemia pod nogami – tuż przed nim ziała głęboka rozpadlina. Pokryty piaskiem grunt wznosił się ponownie w odległości około pięćdziesięciu stóp. Kenton ledwie widział flagę łopoczącą po drugiej stronie – znacznik, że ma się udać w tym kierunku.

Zaczyna się prawdziwa próba, pomyślał i podniósł z ziemi garść piasku. Inny, potężniejszy mistrz, mógłby skoczyć na drugą stronę, unosząc się w powietrzu na strumieniu piasku. Kenton nie miał takiej możliwości.

Dlatego zeskoczył z urwiska.

Spadał gwałtownie w stronę ziemi, jego biała szata łopotała na wietrze. Nie patrzył w dół, skupiał się na piasku zaciśniętym w pięści.

Piasek ożył.

W gwałtownym rozbłysku zmienił odcień z białego jak kość na migotliwy perłowy. Spadając, Kenton otworzył dłoń i rozkazał piaskowi się poruszyć, a ten wystrzelił do przodu, tworząc wstęgę światła, która rozciągała się od jego dłoni w stronę szybko zbliżających się wydm poniżej.

Kiedy piasek dotknął ziemi, Kenton rozkazał mu nabrać masy z wydm i znów się podnieść. Po chwili między młodzieńcem a ziemią rozciągała się błyszcząca linia piasku. Nadal spadał, ale kiedy rozkazał piaskowi odpychać, jego opadanie zwolniło. Piasek działał jak zwój migotliwej liny, spowalniający go coraz bardziej w miarę, jak zbliżał się do gruntu. Zatrzymał się stopę nad powierzchnią wydmy, po czym zszedł ze wstęgi i opadł na ziemię. Jednocześnie wypuścił wstęgę, a migoczący piasek natychmiast poczerniał i opadł martwy. Już nie był biały, ale matowoczarny, jego energia została zużyta.

Kenton biegł dołem rozpadliny, zmuszając się, by nie zwalniać, mimo zmęczenia wywołanego przez mistrzostwo piasku. Zaczynał żałować, że upierał się przy zabraniu miecza – broń robiła się coraz cięższa i przeszkadzała mu w biegu.

Przejście dołem rozpadliny kosztowało go sporo cennego czasu. Już zmarnował około sześćdziesięciu minut z godziny. Oblizwał wargi, które zaczynały wysychać. Mistrzostwo piasku wymagało nie tylko siły, ale i wody. Wysysało cenny płyn z ciała. Mistrz piasku musiał być ostrożny, by nie doprowadzić się do odwodnienia, które nieodwracalnie uszkodziłoby jego ciało.

Kenton dotarł do drugiego urwiska i spojrzał w górę, zbierając siły. W pewnej odległości widział grupę postaci w białych szatach. Mastrellowie oceniający jego postępy. Nawet z tej odległości widział stanowczość w ich postawach. Zakładali, że utknął – wszyscy wiedzieli, że umiał się wznieść na piasku na zaledwie kilka stóp. Oczywiście już to było zadziwiające – żaden inny mistrz piasku nie osiągnął tak wiele z tylko jedną wstęgą. Zadziwiające czy nie, nie wystarczyłoby, żeby się dostał na szczyt urwiska, które wznosiło się na co najmniej sto stóp.

Mastrellowie kręcili głowami i rozmawiali między sobą, byli jednak za daleko, by słyszał, o czym mówią. Ignorując ich, Kenton złapał kolejną garść piasku. Ożywił go i poczuł, jak zaczyna się poruszać i migotać w jego dłoni. Piasek świecił jasno – jaśniej niż w ręce mastrella. Kenton umiał zapanować nad jedną wstęgą, ale to była najpotężniejsza wstęga w historii mistrzostwa piasku.

Lepiej, żeby się udało... – pomyślał.

Pozwolił, by piasek popłynął na ziemię jak strumień wody. Następnie zebrał jeszcze więcej piasku i ożywił największą ilość, nad jaką umiał zapanować – dość, by stworzyć wąski sznur długości może

dwudziestu stóp. Tym razem jednak nie stworzył z niego wstęgi, lecz stopień.

Zgoda, nie umiał się wzniesć bardzo wysoko. Im wyżej mistrz się wznosił, tym więcej piasku potrzebował, a Kenton umiał zapanować jedynie nad ograniczoną ilością. Mógł się jednak utrzymać w miejscu.

Odetchnąwszy głęboko, wkroczył na niewielki podest z piasku i przycisnął ciało do szorstkiego urwiska. Później, nie patrząc w dół, przesunął się ostrożnie w bok, upuszczając piasek z jednej strony podestu, a dosypując go z drugiej. Zamiast odpychać się od ziemi, skupiał się na pilnowaniu, by jego piasek przyciskał się do ściany urwiska, wślizgiwał w pęknięcia i trzymał niedoskonałości. Przesuwał się powoli w bok, a jednocześnie nachylał piaskowy podest w taki sposób, że wznosił się po skosie po ścianie urwiska.

Musiał wyglądać niewiarygodnie głupio. Mistrzowie piasku powinni pływać i tańczyć w chmurach świetlistego piasku, nie wspinać się po ścianie jak senny piaskal! Ale najważniejsze, że mu się udało i już po kilku minutach zbliżał się do szczytu. Wtedy właśnie coś zauważył – niewielką półkę około dziesięciu stóp poniżej krawędzi urwiska. A na niej spoczywała mała czerwona kula.

Kenton uśmiechnął się triumfalnie i niezgrabnie wspiął na urwisko. Następnie przekształcił swój prostokąt piasku we wstęgę i wysłał go po kulkę. Kierowana jego rozkazami piaskowa lina owinęła się wokół gałki i przyniosła ją swojemu mistrzowi. Pozostały mu jedynie dwie kule do odnalezienia. Niestety zostało mu też zaledwie około trzydziestu minut.

Kenton przebiegł obok znacznika i zauważył w pewnej odległości kolejny. Grupa mastrellów przyglądała mu się z osłupiałymi minami. W tej okolicy skały pojawiały się coraz częściej, tworząc jaskinie i kamienne ściany. Kenton szedł po piasku, rozglądając się za śladami czerwieni. Następna kula nie mogła być daleko – jeśli dobrze się domyślał, Ścieżka zataczała krąg, a on zbliżał się do miejsca, z którego wyruszył. Przez chwilę znów poczuł strach – czyżby przegapił aż dwie kule?

Pasma migoczącego piasku świadczyły o obecności jego milczącej świty. Jak prawdziwi mastrellowie, każdy z nich wręcz epatował mocą, zbierając wokół siebie tyle wstęg piasku, ile potrafił. Choć mistrzostwo nie pozwalało latać, potężni mastrellowie mogli wznosić się i skakać na odległość setek stóp. Każdy skaczący mastrell pozostawiał za sobą ślad piasku, którym odpychał się od ziemi.

Mastrellowie zatrzymali się w pewnej odległości na kamiennej kolumnie. Kenton zwolnił do truchtu i spojrzął na nich czujnie. Miejsce, w którym wylądowali, wydawało się raczej ustalone z góry niż przypadkowe – kula musiała być gdzieś blisko. Kenton rozejrzał się dookoła, wyszukując wzrokiem cienie i miejsca, gdzie mogła się ukrywać niewielka gałka.

Przed nim z piasku wyrastała wielka kamienna ściana, pełna otworów wielkości pięści wypełnionych ciemnością. Kenton uświadomił sobie, że to była następna próba.

Kula może się kryć w każdej z nich! – pomyślał, jęknąwszy w duchu. Gdyby panował nad dwoma tuzinami wstąg, przeszukanie tych otworów nie zajęłoby mu dużo czasu. Jednak gdyby użył do tego samego celu pojedynczej wstęgi, którą miał do dyspozycji, pewnie wcześniej skończyłby mu się czas.

Wydawało się jednak, że to jedyna możliwość. Kenton z westchnieniem ożywił garść piasku. Może będzie miał szczęście i wybierze właściwy otwór. Zanim jednak wypuścił wstęgę, zawahał się. Musiał istnieć lepszy sposób.

Przesunął wzrokiem po kamiennej ścianie. Jak na ironię, brak zdolności nauczył go, że mistrzostwo piasku nie zawsze jest odpowiedzią. Jego wzrok niemal ominął odpowiedź, zanim mózg ją

zarejestrował. Nieduża sterta czarnego piasku. Tylko dwie rzeczy mogły zmienić kolor piasku z białego na czarny – woda albo mistrzostwo.

Kenton podszedł z uśmiechem do przebarwionego piasku. Nie był idealnie czarny, raczej szarawy. Pewnie od paru godzin nabierał energii na słońcu – jeszcze kilka i byłby całkowicie nieodróżnialny od otaczającego go białego piasku. Kenton podniósł wzrok znad ziemi i spojrzał na ścianę. Tuż nad głową zauważył ślad czarnych ziaren na brzegu jednego z otworów.

Sięgnął do środka i wyciągnął ukrytą w głębi kulę z czerwonego piaskowca. Mimo że, kiedy odwrócił się znów do masterellów, na jego twarzy malował się uśmiech, w głębi duszy się martwił. Gdyby mistrz, który ukrywał kule, nie był nieostrożny – gdyby użył rąk zamiast mistrzostwa – Kenton nigdy by nie odnalazł gałki.

Nie mógł nic poradzić na uczucie satysfakcji, kiedy masterellowie odskoczyli, wznosząc się na zwiniętych wstęgach piasku. Pozostała tylko jedna kula. Gdyby udało mu się ją odnaleźć, odniósłby sukces w zadaniu, które przerosło wielu mastrellów.

Zbierając się do dalszego biegu, zauważył, że jeden z mastrellów pozostał z tyłu. Choć kamienna kolumna była odległa, jakimś sposobem wiedział, że pochylona sylwetka należy do jego ojca. Wiatr wyl w skałach wokół Kentona, który wpatrywał się w twarz Praxtona.

Lord mastrell nie był zadowolony. Kenton długo na niego patrzył, próbując emanować wyzwaniem. W końcu Praxton podniósł ręce, przywołując tuzin wstąg piasku z ziemi poniżej. Otaczały go jak żywe istoty, a ich jaskrawy blask płynnie zmieniał barwę. Kiedy Praxton skoczył, wstęgi uniosły go w powietrze, a Kenton został sam obok skalnej ściany.

Jeszcze jedna, pomyślał. Odetchnął głęboko i ruszył dalej. Kończył mu się czas – nie tylko księżyc wkrótce miał znów się pojawić, ale też Kenton zaczynał odczuwać skutki mistrzostwa piasku. Usta miał wysuszone, brakowało mu śliny, a oczy zaczynały piec. Jego czoło, na początku biegu śliskie od potu, było teraz pokryte warstewką soli. Ceną, którą musiał zapłacić mistrz piasku, paliwem dla jego sztuki, była woda z jego ciała.

Wysuszone usta i oczy były pierwszą oznaką, że jest bliski zrobienia sobie nieodwracalnej krzywdy. Pierwszą rzeczą, której uczył się mistrz piasku, było pilnowanie wody, narzucenie sobie odpowiednio wolnego tempa, by nie doprowadzić do nadmistrzostwa. Uczniów, którzy choć zbliżyli się do granicy nadmistrzostwa, surowo karano.

Gdybym tylko umiał slatryfikować, pomyślał, nie po raz pierwszy. Nie bez powodu zdolność zmiany piasku w wodę była najcenniejszą z umiejętności mistrza piasku.

Odsuwając od siebie takie myśli, Kenton biegł dalej. Kamienne ściany znów wznosiły się wokół niego. Kiedy zaczął myśleć, że okolica wygląda znajomo, wyszedł za róg i zatrzymał się. Przed sobą widział zarys kamiennego płaskowyzu, na którym wkroczył na Ścieżkę. Na jego szczycie stali mastrellowie, czekając na niego.

Kenton zatrzymał się z jękiem i oparł o gładką kamienną ścianę. Oddychał z coraz większym trudem – zarówno bieg, jak i mistrzostwo piasku odbierały siły, a wysuszone gardło sprawiało, że każdy oddech był bolesny. Mastrellowie mieli jego qido z wodą – tak bardzo nie mógł się doczekać pierwszego łyku, że prawie przestała obchodzić go porażka.

A to była porażka. Gdzieś tam na Ścieżce przegapił jedną z kul. Dobrze sobie poradził – cztery na pięć to godne szacunku osiągnięcie. Niektórzy znani mu mastrellowie znaleźli tylko trzy. Niestety,

Kenton nie mógł sobie pozwolić na nic poza doskonałością. Praxton nie będzie widział czterech kul, które znalazł jego syn, tylko jedną, którą przegapił.

Jeszcze przez moment opierał głowę o skałę. Przez chwilę zastanawiał się nad powrotem i próbą znalezienia kuli, ale zostało mu najwyżej dziesięć minut. Ledwie zdążyłby dotrzeć do kamiennej ściany, w której znalazł ostatnią kulę. Kenton otworzył oczy i wyprostował się. Wiedział, że poradził sobie lepiej, niż ktokolwiek się spodziewał.

Odepchnął na bok naniesiony wiatrem piasek, który zebrał się wokół jego stóp. Wiedział, że nawet gdyby odniósł sukces, nie zmieniłoby to nastawienia Praxtona. Lord mastrell był surowy jak piaski i niewiele rzeczy robiło na nim wrażenie.

Kenton podniósł garść piasku – musiał wykorzystać stopień, żeby wydostać się z kamiennej kotliny i dołączyć do mastrellów. Zatrzymał się jedynie na chwilę, by przyjrzeć się dziwnej formacji skalnej, która go otaczała. Ściany były gładkie i strome, tworzyły właściwie studnię z dnem wypełnionym piaskiem, o średnicy około pięćdziesięciu stóp. Ile lat zajęło wiatrom Kerli wyrzeźbienie takiej dziwnej misy?

Kenton zatrzymał się tak gwałtownie, że rozrzucił wokół siebie fontannę piasku. Kiedy rozglądał się po kotlinie, jego wzrok padł na coś tak oszalamiającego, że niemal się potknął. Oto na samym środku okrągłego, pokrytego piaskiem dna, widniała czerwona plama. Jaskrawa niczym kropla krwi na białym tle. Falowanie piasku sprawiło, że wcześniej ją przegapił, ale teraz wyraźnie widział czerwoną kulę.

Popatrzył zdezorientowany na mastrellów. Stali na brzegu kotliny, a ich białe szaty łopotały na wietrze.

Coś jest nie tak, pomyślał. Musiało chodzić o coś więcej, jakąś próbę. To była ostatnia kula. Powinna być najtrudniejsza do znalezienia.

I wtedy właśnie poczuł, że piasek porusza się pod jego stopami.

– Aisha! – krzyknął zaskoczony i odskoczył do tyłu. Niemożliwe...

Piasek w pobliżu kuli zaczął się kłębić jak wrząca woda. Coś się pod nim ukrywało – coś, co się podnosiło.

Głęboki piasek! – pomyślał wstrząśnięty Kenton. Ta wypełniona piaskiem jama musiała sięgać głębiej, niż się spodziewał.

Z głębin wystrzeliła czarna sylwetka, zasypując kulę falą piasku. Kenton sapnął oszołomiony, gdy wpatrywał się w istotę, która wyłoniła się z ziemi. Piasek spływał jak woda ze skorupy długiego na dwadzieścia stóp potwora, który wzniósł się w powietrze. Jego ciało składało się z bulwiastych, chitynowych segmentów umieszczonych jeden na drugim. Z każdego „pasa” wyrastała para ramion zakończonych grubymi, poszarpanymi szczypcami. Jego głowa – o ile tak można ją nazwać – przypominała skrzynię z czarnymi zagłębieniami zamiast oczu i bez widocznego pyska. Co najgorsze, Kenton wiedział, że większość ciała stwora pewnie wciąż kryje się pod piaskiem.

Tak bardzo się zagapił, że niemal został zmiażdżony, kiedy istota machnęła szczypcami w jego stronę. Kenton krzyknął, uskoczył w bok i pobiegł w stronę ściany kotliny. Ciało piaskala było wielkie, szerokie na dobre dziesięć stóp. Kenton wiedział, że będzie miał problem, by zejść mu z drogi.

Jego ciało, ożywione adrenaliną i ekscytacją, już nie reagowało powoli. Serce biło mu szybko, a umysł pracował jeszcze szybciej. Czytał o głębinowych piaskalach, widział nawet ich rysunki, ale sam

nigdy nie odwiedził głębokiego piasku. Niewielu ludzi, nawet Kerztian, było dość głupich, by wejść na głęboki piasek. W myślach przejrzał katalog głębionych piaskali, o których czytał, ale ten nie pasował do żadnego opisu. Znów uskoczył, gdy piaskal rzucił się na niego. Stwór prześlizgiwał się przez piasek, jakby był wodą – Kenton ledwie widział tysiące drobnych jak włosy macek, które porastały skorupę potwora i umożliwiały mu poruszanie się.

Porzucił obserwację, kiedy szczypcy stwora uderzyły w ziemię tuż przed nim. Kenton padł na piasek i z trudem się przetoczył, kiedy drugie szczypcy przeleciały w powietrzu tuż nad nim. Istota była niewiarygodnie szybka – nie bez powodu głęboki piasek wywoływał taką grozę. Stwory, które kryły się w jego głębinach, uważano za niemal niezniszczalne.

Kenton poderwał się na równe nogi, wdzięczny za godziny ćwiczeń z żołnierzami z Wieży. Jego ruchy były szybkie i zręczne, kiedy lewą ręką wyciągnął miecz, a drugą złapał garść piasku.

– Nie wtrącamy się, jeśli nie poprosisz! – zawołał ktoś z góry.

Kenton nie marnował czasu na spojrzenie w jego stronę, skupiał się na wrogu. Istota miała plamy oczne po obu stronach głowy, nie dawało się jej łatwo zaskoczyć. Oczywiście mówiono, że piaskale słabo widzą. Ich podstawowym zmysłem był sam piasek. Chodziło o coś więcej niż wyczucie ruchu – piaskale z jakiegoś powodu wyczuwały lokalizację nawet całkiem nieruchomego ciała. Kerztianie wierzyli, że rozmawiały z piaskiem, choć niewielu z Lossandu traktowało poważnie ich mistycyzm.

– Nie słyszałeś? – usłyszał Kenton, kiedy znów uskoczył. – Poproś, żebyśmy cię wyciągnęli!

To był Elorin. Kenton zignorował go i ożywił swój piasek, jednocześnie unikając szczypiec. Uniósł miecz, parując drugi atak. Siła stwora była tak duża, że jego riposta niewiele mu dała, choć pozwoliła uniknąć ataku na dość długo, by samemu zadać cios.

Odwracając się, Kenton uniósł pięść, rozkazując piaskowi wystrzelić do przodu. Piasek wyrwał się z jego dłoni i poleciał w stronę łba piaskala. Wysunął się z ręki Kentona jak włócznia, zostawiając za sobą świetlisty ślad. Poruszał się tak szybko, że świstał w powietrzu – Kenton nie panował nad dziesiątkami linii jednocześnie, ale kiedy chodziło o jedną wstęgę, był niezrównany. Żaden mistrz nie mógł dorównać jego szybkości i precyzji.

Piasek uderzył w skorupę na łbie stwora i natychmiast utracił blask, poleciał w bok jak strumień wody, który rozbił się o kamienną ścianę. Kenton stał zdezorientowany, tak oszołomiony, że następny atak stwora trafił go w bok, rzucił nim o ścianę i rozorał ramię. Miecz wysunął się z jego zdrętwiałych palców na piasek.

Ten piaskal był terkenowy, niewrażliwy na mistrzostwo piasku.

Kenton znów zaklął, czując, jak krew zaczyna płynąć z jego ramienia. Rzecz jasna, czytał o terkenach, które jednak podobno były wyjątkowo rzadkie. Jedynie najbardziej starożytne i wywołujące największy postrach piaskale – stwory chronione podobno przez samego Pana Piasku – miały terkenowe skorupy. Jak to możliwe, że jeden z nich zamieszkał tutaj, pośród płytkich piasków i skał?

Nieważne. Było jasne, co powinien zrobić. Wszystkie piaskale, czy to z głębokich piasków, czy skądinąd, miały jedną wielką słabość: wodę. Płyn rozpuszczał ich skorupę i skórę, zostawiając po sobie jedynie szlam.

To miało sens. Ostatnie wyzwanie Ścieżki Mastrella sprawdzało najpotężniejszą umiejętność mistrza – zdolność do przeobrażania piasku w wodę. Slatryfikacja pozwalała mistrzowi jedną myślą

stopić skorupę piaskala. Niestety, Kenton nie umiał slatryfikować. Nagle propozycja Elorina, by uciekł, zaczęła mieć duży sens.

Kenton odsunął na bok rozważania i skupił się na pozostaniu przy życiu. Poruszał się coraz wolniej, czuł, jak słabnie. Próbując ignorować ból ramienia, schylił się w biegu i chwycił kolejną garść piasku. Kiedy nadszedł kolejny atak, wykorzystał piasek, by się podnieść, wyskoczyć wysoko w powietrze i przekoziółkować nad szczypcami.

Opadł ciężko na piasek i pośpieszył w stronę miejsca, w którym początkowo znajdował się piaskal. Gdzieś tam kryła się kula. Tak naprawdę nie musiał zabijać piaskala – wystarczyło, że znajdzie kulę i ucieknie.

Wypuścił poczerńiały piasek i położył dłoń na ziemi w miejscu, w którym ostatni raz widział kulę. Ożywiał kolejne wstęgi, odpychał je od siebie i wypuszczał. Piasek wylatywał z miejsca, w którym klęczał – Kenton tak szybko przywoływał i uwalniał wstęgi, że wydawało się, iż panuje nad więcej niż jedną naraz.

Niestety, piaskal nie pozwolił mu spokojnie kopać. Skok Kentona go zdezorientował, ale stwór szybko odzyskał równowagę. Zaatakował go, a jedynym odgłosem towarzyszącym jego ruchom był szelest piasku. Kenton kopał do ostatniej chwili, a później odskoczył i odbiegł. Czuł suchość skóry, a za każdym razem, kiedy mrugał, powieki lepiły mu się do oczu. Płuca zaczynały go palić, a każdy oddech był bolesny. Kończyły mu się rezerwy wody – pewnie dostałby nagane, że posunął się tak daleko. „Na miłość Diem, nie wolno się nawet zbliżać do nadmistrzostwa”, jak brzmiała znajoma nauka. Czas się poddać.

Jednakże w chwili, gdy zdecydował się uciec, zobaczył ją. U podnóża przeciwległej ściany kotliny leżała czerwona plamka, jaśniejsza od ciemnych kropli jego własnej krwi. Kenton z krzykiem zmienił kierunek, prześlizgnął się pod ramionami piaskala i przebiegł tak blisko jego ciała, że czuł siarkowy odór skorupy.

A kiedy mijał stwora i czuł, jak piasek usuwa się mu spod nóg, zobaczył coś niewiarygodnego. Oto między dwoma zagłębieniami w skorupie piaskala uwięzła kolejna czerwona kula.

Kenton nie przestawał biec, ale czuł się zdezorientowany. Zatrzymał się przy ścianie i macał w piasku, aż jego palce natrafiły na coś okrągłego i twardego. Wyciągnął kulę, spojrział na nią ze zmarszczonym czołem i znów odwrócił się do piaskala. Pod tym kątem widział ją wyraźnie – czerwona kula, taka sama jak pięć, które już odnalazł. Na Ścieżce nie było pięciu kul, tylko sześć.

Wrzucił gałkę do sakiewki i przeniósł wzrok na krawędź urwiska. Bezpośrednio nad sobą widział twarze dwudziestu mastrellów, którzy patrzyli na niego z góry. Mógł teraz uciec – pewnie i tak już prawie skończył mu się czas. Wygrał – znalazł wszystkie pięć kul. Na co czekał?

Z jakiegoś powodu spojrział znów na piaskala. Jego skorupa i skóra były terkenowe, ale wewnątrz...

Wiedział, że ojca nie dawało się zadowolić nawet doskonałością. Praxton zażądałby więcej. Cóż, Kenton zamierzał to zrobić.

Mastrellowie krzyknęli zaskoczeni, kiedy Kenton ze zdecydowaną miną odbiegł od ściany.

– Idiota! – krzyknął za nim Praxton.

Kenton ożywił piasek, przerzucił go obok stwora i wykorzystał, by podnieść porzucony miecz. Ostrze błyszczało niesione na palcach piasku. Kenton złapał je, jednocześnie uchylając się przed

pierwszym atakiem piaskala, a gdy znalazł się całe od piersi stwora, chwycił kolejną garść piasku.

Ze zdecydowanym okrzykiem wbił miecz w bok stwora. Ostrze prześlizgnęło się po segmencie skorupy i przebiło cieńszą skórę, wgryzając się głęboko w miękkie miejsce między płytami. Kenton zapał się ze wszystkich sił.

Nagle miecz zadrżał, a później wyrwał się z jego rąk, odrzucony do tyłu przez potężną siłę. Z rany wydobył się głośny syk. Kentonowi udało się przebić skórę. Dostał w twarz gryzącym gazem – który zastępował piaskalom krew – a później jedna z nóg stwora trafiła go w pierś i wyrzuciła w powietrze.

Lecąc do tyłu, Kenton ożywił piasek w dłoni. Rozkazał mu wystrzelić do przodu, włożył w to całe swoje umiejętności. Uderzył plecami o kamienną ścianę w chwili, kiedy piasek trafił w pierś istoty, jednak nie wypuścił wstęgi. Czuł, jak jego ciało osuwa się na ziemię, ale ignorując ból, rozkazał piaskowi, by odnalazł ranę, przecisnął się przez terkenową skorupę do przepastnego wnętrza stwora. Musiał walczyć z ciśnieniem powietrza i własną utratą przytomności, nadal jednak nie wypuszczał piasku.

Poczuł, jak się przebija, opór powietrza nagle zniknął. Ostatnim wysiłkiem Kenton nakazał wstędze miotać się szaleńczo, przecinając nią organy wewnętrzne potwora. Piaskal zaczął się trząść i wić, gdy Kenton rozkazał piaskowi skierować się w górę. Po chwili odnalazł głowę, a piaskal nagle zeszywniał, wyrzucając piasek we wszystkie strony. Później, w chwili śmierci równie cichy jak za życia, stwór osunął się na bok, a jego trup zapadł się odrobinę w piasku, zanim znieruchomiał.

Kenton nie wiedział, gdzie znalazł siłę, by się podnieść i przejść po piasku. Ledwie pamiętał, jak odzyskał miecz i wykorzystał go, by wydobyć szóstą kulę ze skorupy stwora.

Jeden obraz pozostał jednak wyraźny w jego umyśle – spojrzenie w stronę krawędzi urwiska i widok surowej, wścieklej twarzy jego ojca. Tuż za lordem mastrellem wznosiła się ogromna góra KraeDa. Na oczach Kentona srebrzysta krawędź księżyca zaczęła wyłaniać się zza góry.

POSTSCRIPTUM

Myślałem, że *Z Mgły Zrodzony: Tajna historia* jest w tym zbiorze tekstem, który najdłużej czekał od pierwotnego pomysłu do publikacji, później jednak przypomniałem sobie o tym.

Co mogę powiedzieć o *Białym Piasku*? Jestem podekscytowany, że w końcu publikuję tę powieść graficzną. (I jestem bardzo wdzięczny wydawcy, Dynamite, za pozwolenie na wykorzystanie w zbiorze tego fragmentu). *Biały Piasek* zaczął się bardzo dawno temu od prostego obrazu – znalezienia ciała zagrzebanego w piasku. Była to pierwsza powieść, którą napisałem – jak również ósma, bo musiałem zacząć ją pisać od zera, kiedy nauczyłem się więcej o pisaniu. Fragment, który tu macie, pochodzi z wersji z roku 1999, a nie 1995.

Do opublikowania tej historii prowadziła długa droga. Nadal kocham ten świat i uważam go za ważną część *cosmere*. (Fakt, że Khriss jest bardzo ważną postacią, powinien na to wskazywać). Jednak trudno mi było zaplanować, kiedy uda mi się wcisnąć tę powieść. Wciąż mam tak wiele książek do ukończenia, że nie miałem pojęcia, jak znaleźć miejsce na tę trylogię. I wtedy przyszło do nas Dynamite i zaproponowało tę powieść graficzną. Od razu się zgodziłem, bo to był sposób, by kanoniczna wersja tej opowieści trafiła na półki szybciej, niż pozwoliliby na to mój harmonogram.

Jeśli chodzi o wspomnianą scenę – cóż, widzicie, że od samego początku mój styl pisania skupiał się na systemach magii. W owym czasie czytałem dużo *Koła czasu* i innych podobnych książek. Uwielbiałem potężnych bohaterów, ale chciałem napisać coś, co pokazywało kogoś, kto nie był szczególnie silny. Kenton zrodził się z moich rozważań, gdy chciałem wymyślić magię, w której finezja jest równie cenna jak surowa siła, i z tego właśnie powstało mistrzostwo piasku.

Próba, jaką musiał przejść (taka, której zdaniem wielu przejść nie mógł) z użyciem magii, wydawała się doskonałym sposobem, by to zaprezentować. I rzeczywiście, udało się doskonale – a w powieści graficznej chłopak wręcz wyskakuje z kartki. Ze wszystkich moich systemów magii ten wydaje się najlepszy do tego medium, bo jest tak widowiskowy.

UKŁAD TRENU



Układ Trenu

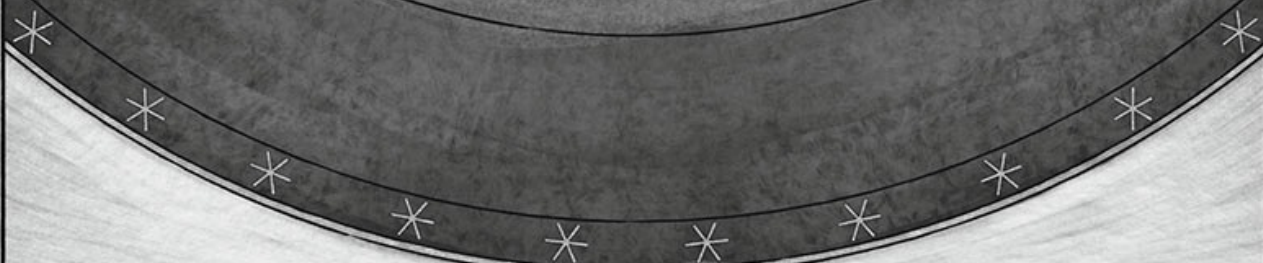
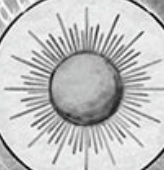
Czystość

Tren

Elegia

Monodia

Coronach



UKŁAD TRENU

Układ Trelu został wypaczony przez starożytny konflikt. Dawno temu, wkrótce po Roztrzaskaniu, Odium zwarł się z Odpryskiem Ambicją i śmiertelnie go ranił. Ambicja została później Rozszczepiona, choć nastąpiło to w innej lokalizacji.

Bezpośrednie starcie między dwoma Odpryskami Adonalsium wywarło ogromny wpływ na planety układu. Choć sama bitwa miała miejsce w olbrzymiej pustce między planetami – a walka odbywała się głównie w innych Krainach – fale zniszczenia i zmiany przeszły przez układ. Badania, jak zmieniło to inne planety układu, nie przyniosły efektów, gdyż żadna z nich nie ma prostopadłości pozwalających na odwiedzenie ich w postaci materialnej.

Na szczęście mam kontakt z kimś z Trelu, trzeciej planety układu. Zapiski, które dostarczył Nazh, każą mi sądzić, że na planecie przed walką Odprysków istniał jakiś rodzaj Napętnienia. Jednak fale zniszczenia – niosące oderwane fragmenty mocy Ambicji – wypaczyły zarówno mieszkańców, jak i samą planetę Tren.

Na planecie znajdują się dwa oddzielone od siebie kontynenty. Większy z nich został pochłonięty przez coś znanego jako „Zło”, siłę, o której Nazh może mówić jedynie ogólnikami. Pełzająca ciemność, straszliwa moc, która pochłonęła cały kontynent, karmiąc się duszami ludzi. Nie wiem, ile z tego jest metaforą, a ile należy traktować dosłownie. Ekspedycje z mniejszego kontynentu znikają, a odwiedziny w tym miejscu są niebezpieczne nawet w Krainie Umysłu.

Mniejszy z kontynentów jest w większości krainą niezbadaną i nienazwaną, z kilkoma bastionami cywilizacji. Odwiedziłam jeden z największych i nawet on wydaje się nieukończony – wybudowany pośpiesznie przez uciekinierów zza oceanu, pozbawiony niektórych podstawowych udogodnień. Przede wszystkim starali się uczynić go twierdzą, a dopiero później domem. Co ma sens, gdyż mieszkający tam ludzie żyją w ciągłym strachu, że Zło znajdzie sposób na przebycie oceanu.

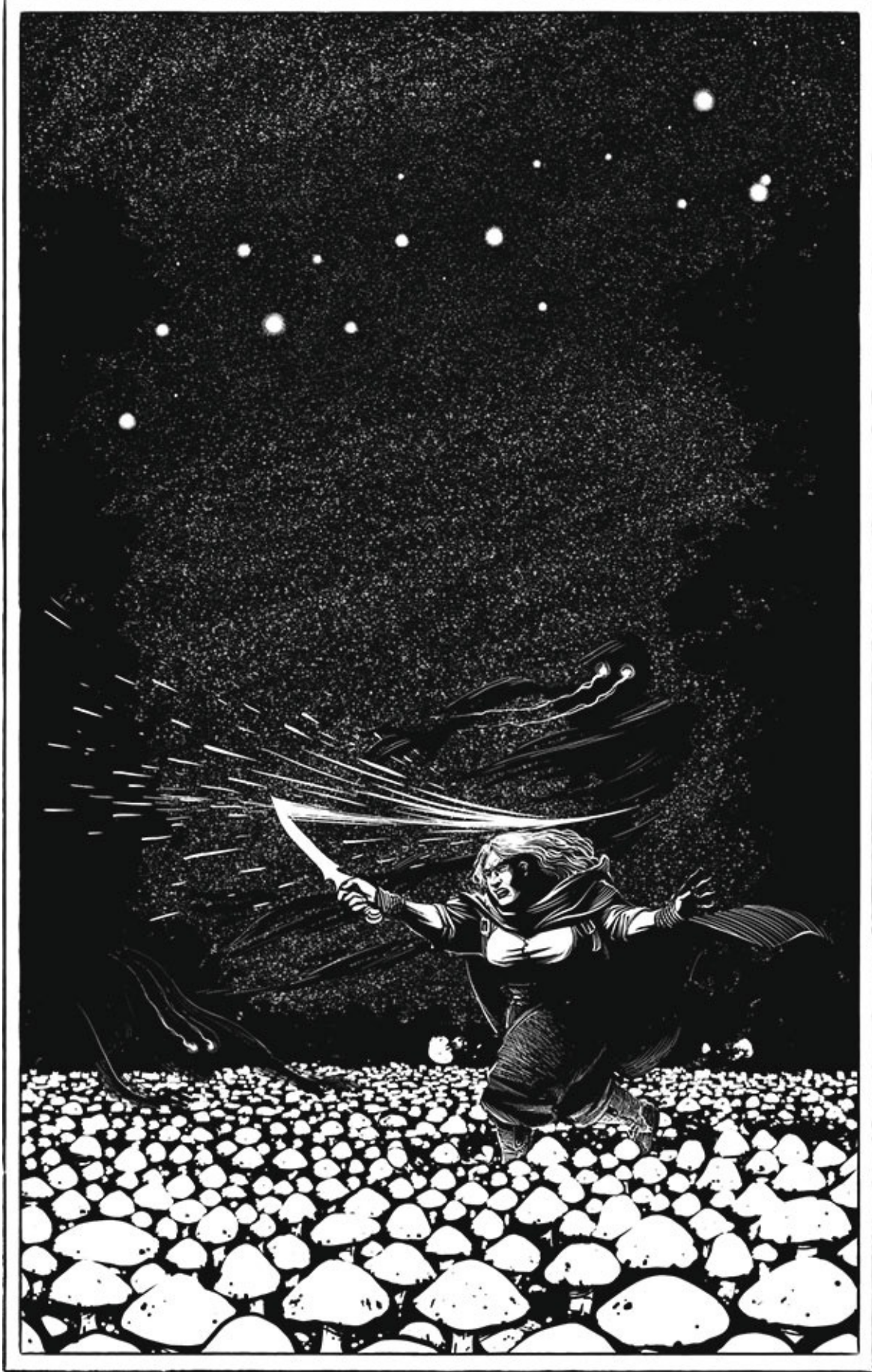
A może boją się duchów umarłych. Mieszkańców Trelu dręczy szczególna przypadłość, która sprawia, że po śmierci niektórzy z nich zmieniają się w coś, co nazywamy Cieniem Umysłu. Nie będę tu rozważać, czy Cień Umysłu jest tak naprawdę ludzką duszą, czy nie – to pytanie dla teologa lub filozofa.

Mogę jednak wyjaśnić, co się dzieje na poziomie magicznym. Duch nasycony dodatkowym Napętnieniem często pozostawia swój ślad na tej mocy. Podobnie jak spreny z Rosharu, które po pewnym czasie zyskały świadomość, ponieważ ludzie wierzyli, że Moce są żywe, owo dodatkowe Napętnienie może zachować świadomość po oddzieleniu od postaci Materialnej.

Miejscowi uważają, że to duchy, choć tak naprawdę to samoświadome (w tym przypadku ledwie świadome) Napętnienie. Ta sfera zasługuje na dalsze badania. Niestety, odwiedziny na tej planecie są trudne, gdyż nie ma stabilnej prostopadłości – jedynie bardzo niestabilne, których nie da się łatwo przewidzieć, a ich pochodzenie jest dość makabryczne.

CIENIE DLA CISZY W LASACH PIEKŁA







– Naprawdę musisz uważać na Białego Lisa. – Daggon pociągnął łyk piwa. – Powiadają, że uściśnął rękę samego Zła, że odwiedził Upadły Świat i wrócił z dziwnymi mocami. Umie rozpalić ogień nawet w najgłębszej nocy i żadne widmo nie odważy się przyjsć po jego duszę. Tak, Biały Lis. Najwredniejszy bydlak w tych okolicach. Módl się, by jego wzrok na tobie nie spoczął. Jeśli tak się stanie, jesteś martwy.

Towarzysz Daggona miał szyję jak smukła butelka wina i głowę jak worek ziemniaków, który ktoś ułożył na boku. Mówił piskliwie, z akcentem z Ostatniego Portu, a jego głos odbijał się echem pod sufitem głównej sali gospody.

– Dlaczego... dlaczego jego wzrok miałby na mnie spocząć?

– To zależy, przyjacielu.

Daggon uniósł głowę, gdy do środka wkroczyło kilku przesadnie wystrojonych kupców. Nosili czarne płaszcze, spod których wystawały koronkowe żaboty, a do tego wysokie kapelusze o szerokich rondach typowe dla fortowych. Nie przeżyliby dwóch tygodni w Lasach.

– Zależy? – powtórzył towarzysz Daggona. – Zależy od czego?

– Od wielu rzeczy, przyjacielu. Biały Lis jest łowcą głów. Jakich zbrodni się dopuściłeś? Co zrobiłeś?

– Nic.

Ten pisk brzmiał jak zardzewiałe koło.

– Nic? Ludzie nie odwiedzają Lasów, żeby robić „nic”, przyjacielu.

Jego towarzysz rozejrzał się dookoła. Przedstawił się jako Poważny. Ale z drugiej strony Daggon wybrał imię Zgoda. W Lasach imiona niewiele znaczyły. A może znaczyły wszystko. To znaczy te właściwe.

Poważny odchylił się do tyłu i zgiął swoją długą szyję, jakby próbował zniknąć w piwie. Złapie przynętę. Ludzie lubili słuchać o Białym Lisie, a Daggon uważał się za eksperta. A przynajmniej był mistrzem w opowiadaniu historii, by skłonić takich gości jak Poważny do płacenia za jego trunki.

Pozwolę, żeby przez jakiś czas się denerwował, pomyślał Daggon i uśmiechnął się w duchu. Niech się martwi. Za chwilę Poważny zacznie wypytywać o kolejne informacje.

Czekając, Daggon odchylił się i rozejrzał po sali. Kupcy robili zamieszanie, żądali jedzenia i mówili, że w ciągu godziny zamierzają wyruszyć dalej w drogę. Co wyraźnie świadczyło, że są głupcami. Nocna wędrówka przez Lasy? Porządny miejscowym osadnikom by się udało. Ale ludzie tacy jak oni... pewnie w ciągu niecałej godziny złamią jedną z Prostych Zasad i ściągną na siebie widma. Daggon przestał myśleć o tych idiotach.

Ale ten gość w kącie... brązowe ubranie i kapelusz na głowie, choć był już w środku. Wydawał się naprawdę niebezpieczny. Zastanawiam się, czy to on, pomyślał Daggon. O ile było mu wiadomo,

nikomu nie udało się zobaczyć Białego Lisa i przeżyć. Dziesięć lat, ponad setka odebranych nagród. Ktoś z pewnością musiał znać jego imię. W końcu władze w fortach wypłacały mu nagrody.

Właścicielka gospody, pani Cisza, przeszła obok stolika i z bezceremonialnym łupnięciem postawiła przed Daggonem jego posiłek. Skrzywiona dołała mu piwa, rozlewając trochę piany na jego rękę, po czym odeszła, kuśtykając. Była krzepką kobietą. Twardą. Wszyscy w Lasach byli twardzi. A w każdym razie ci, którzy przeżyli.

Nauczył się, że to skrzywienie Ciszy jest rodzajem powitania. Dołożyła mu dodatkowy kawałek sarniny – często to robiła. Lubił myśleć, że darzyła go sympatią. Może pewnego dnia...

Nie bądź głupcem, powiedział sobie, wgrzyzając się w polane grubą warstwą sosu mięso i pociągnął kilka łyków piwa. Lepiej poślubić kamień niż Ciszę Montane. Kamień okazywał więcej uczuć. Pewnie dawała mu dodatkowy kawałek, bo doceniała stałych klientów. Ostatnio tą drogą podróżowało coraz mniej ludzi. Zbyt wiele widm. I jeszcze Chesterton. Paskudna sprawa.

– Czyli... on jest łowcą głów, ten Lis?

Mężczyzna, który twierdził, że nazywa się Poważny, pocił się.

Daggon się uśmiechnął. Tamten złapał przynętę.

– I to nie byle jaki łowca głów. Choć Białego Lisa nie interesują płotki... a bez obrazy, przyjacielu, wydajesz się raczej płotką.

Jego towarzysz zdenerwował się jeszcze bardziej. Co on takiego zrobił?

– Ale – wykrztusił mężczyzna – on by nie przyszedł po mnie tutaj... znaczy, gdybym w ogóle cokolwiek zrobił... w każdym razie tu by nie przyszedł, prawda? Chodzi mi o to, że gospoda pani Ciszy jest chroniona. Wszyscy o tym wiedzą. Czai się w niej widmo jej zmarłego męża. Mój kuzyn je widział, o tak.

– Biały Lis nie boi się widm. – Daggon się pochylił. – Nie sędzę jednak, żeby zaryzykował przybycie tutaj... ale nie z powodu jakiegoś widma. Wszyscy wiedzą, że to neutralny teren. Muszą być jakieś bezpieczne miejsca, nawet w Lasach. Ale...

Daggon uśmiechnął się, kiedy Cisza znów go minęła, wracając do kuchni. Tym razem się nie skrzywiła. Z pewnością zaczynała go lubić.

– Ale? – pisnął Poważny.

– Cóż... Mógłbym opowiedzieć ci kilka rzeczy o tym, jak Biały Lis zabija ludzi, ale widzisz, prawie skończyło mi się piwo. Wielka szkoda. Pewnie bardzo by cię zainteresowało, jak Biały Lis złapał Rozjemcę Hapshire'a. Świetna opowieść.

Poważny pisnął do Ciszy, by przyniosła kolejne piwo, ale ona kręciła się po kuchni i nie usłyszała. Daggon skrzywił się, a Poważny położył monetę na brzegu stołu, co znaczyło, że będzie chciał dolewkę, kiedy Cisza lub jej córka znów podejda. To wystarczy. Daggon uśmiechnął się i zaczął opowieść.

* * *

Cisza Montane zamknęła drzwi do sali, odwróciła się i oparła o nie plecami. Oddychała głęboko, próbując uspokoić bijące szybko serce. Czy pokazała coś po sobie? Czy oni wiedzieli, że ich rozpoznała?

William Ann przeszła obok, wycierając ręce ścierką.

– Matko? – spytała, zatrzymując się obok. – Matko, czy...?

– Przynieś książkę. Szybko, dziecko!

Dziewczyna pobladła i pośpieszyła do spiżarni. Cisza ścisnęła fartuch, żeby uspokoić nerwy, po czym dołączyła do William Ann, kiedy córka wyszła ze spiżarni z grubą skórzaną torbą obsypaną mąką.

Cisza wzięła torbę i otworzyła ją na kuchennym blacie, ukazując stertę luźnych arkuszy. Na większości narysowano twarze. Kiedy przeglądała kartki, William Ann podeszła do otworu, który służył do podglądania gości na sali.

Przez kilka chwil jedynym dźwiękiem, jaki towarzyszył biciu serca Ciszy, był szelest szybko przerzucanych kartek.

– Chodzi ci o tego mężczyznę o długiej szyi, prawda? – spytała William Ann. – Pamiętam jego twarz z jednego z ogłoszeń o nagrodzie.

– To tylko Lament Winebare, mało znaczący koniokrad. Wart jest zaledwie dwie sztuki srebra.

– W takim razie kto? Ten na tyłach, w kapeluszu?

Cisza pokręciła głową. Na dnie sterty znalazła kilka kartek. Przyjrzała się rysunkom. Boże Poza, pomyślała. Nie mogę zdecydować, czy chcę, żeby to byli oni, czy nie. Przynajmniej już nie drżały jej ręce.

William Ann wróciła i spojrzała jej przez ramię. W wieku czternastu lat była już wyższa od matki. Co za przykrość – dziecko, które było od niej wyższe. Choć dziewczyna narzekała, że jest niezgrabna i tyczkowata, jej smukła sylwetka zapowiadała przyszłą piękność. Była podobna do ojca.

– Och, Boże Poza. – William Ann uniosła dłoń do ust. – Chcesz powiedzieć...

– Chesterton Podział – potwierdziła Cisza. Kształt brody, wyraz oczu... były takie same. – Wszedł nam prosto w ręce, razem z czterema swoimi ludźmi.

Nagroda za tę piątkę wystarczyłaby, żeby mogła kupić zapasy na rok. Może dwa.

Przeniosła wzrok na słowa pod rysunkami wydrukowane tłustą czcionką. Skrajnie niebezpieczny. Poszukiwany za morderstwo, gwałt, wymuszenie. I oczywiście najważniejsze na końcu: **I zamach.**

Cisza zawsze się zastanawiała, czy Chesterton i jego ludzie zamierzali zabić gubernatora największego miasta-fortu na tym kontynencie, czy to był wypadek. Rabunek, który się nie udał. Tak czy inaczej, Chesterton zrozumiał, co zrobił. Przed incydem był zwyczajnym – nawet jeśli bardzo skutecznym – bandytą.

Teraz stał się kimś większym i o wiele bardziej niebezpiecznym. Wiedział, że jeśli zostanie pojmany, nie będzie dla niego litości. Ostatni Port przedstawiał go jako anarchistę, zagrożenie i psychopatę.

Chesterton nie miał powodu, żeby się powstrzymywać – więc tego nie robił.

Och, Boże Poza, pomyślała Cisza, wpatrując się w listę jego zbrodni na drugiej stronie.

Stojąca obok William Ann mruknęła:

– Jest tam? Ale gdzie?

– Kupcy.

– Co takiego?!

William Ann wróciła do otworu. Drewno wokół niego – właściwie w całej kuchni – zostało wyszorowane tak starannie, że aż pobielalo. Sebruki znów sprzątała.

– Nie widzę – stwierdziła dziewczyna.

– Przyjrzyj się uważnie.

Na początku Cisza też tego nie dostrzegła, choć każdej nocy siedziała z książką, zapamiętując twarze.

Po kilku chwilach William Ann westchnęła i uniosła dłoń do ust.

– To się wydaje takie głupie z jego strony. Dlaczego porusza się tak swobodnie? Nawet w przebraniu.

– Każdy zapamięta ich jako kolejną grupę głupich kupców z fortu, którzy myśleli, że poradzą sobie w Lasach. To sprytny podstęp. Kiedy za kilka dni znikną ze ścieżek, to jeśli ktokolwiek będzie sobie zaprzętał nimi głowę, uzna, że to widma ich dopadły. Poza tym w ten sposób Chesterton może podróżować szybko i swobodnie, zatrzymywać się w gospodach i zbierać informacje.

Czy to tak Chesterton znajdował sobie dobre cele? Czy kiedyś odwiedzili jej gospodę? Na tę myśl zrobiło jej się niedobrze. Wielokrotnie karmiła przestępców, niektórzy byli jej stałymi klientami. W Lasach pewnie każdy był przestępcą, winnym choćby tego, że nie płacił podatków narzuconych przez forty.

Chesterton i jego ludzie byli inni. Nie potrzebowała listy zbrodni, by wiedzieć, do czego byli zdolni.

– Gdzie Sebruki? – spytała Cisza.

William Ann potrząsnęła głową, jakby usiłowała wyjść z osłupienia.

– Karmi świnie. Na cienie! Nie myślisz chyba, że ją rozpoznają?

– Nie. Martwię się, że ona rozpozna ich.

Sebruki miała dopiero osiem lat, ale potrafiła być niewiarygodnie – niepokojąco – spostrzegawcza.

Cisza zamknęła księgę nagród. Oparła dłoń na skórze.

– Zabijemy ich, prawda? – spytała William Ann.

– Tak.

– Ile są warci?

– Czasami nie chodzi o wartość człowieka, dziecko.

Cisza słyszała nutę kłamstwa we własnym głosie. Czasy były coraz cięższe, cena srebra z Bastionu i Ostatniego Portu ciągle rosła.

Czasami nie chodziło o wartość człowieka. Ale to nie była jedna z tych sytuacji.

William Ann odeszła od otworu i przeszła przez kuchnię.

– Pójdę po truciznę.

– Coś lekkiego, dziecko – ostrzegła ją Cisza. – To niebezpieczni ludzie. Zauważą coś niezwykłego.

– Nie jestem głupia, matko – rzuciła William Ann oschłym tonem. – Użyję bagniaka. Nie wyczują jego smaku w piwie.

– Połowa dawki. Nie chcę, żeby zasnęli przy stole.

William Ann pokiwała głową, weszła do starego składu, zamknęła za sobą drzwi i zaczęła podnosić deski podłogi, żeby wydobyć truciznę. Bagniak sprawi, że mężczyźni poczują się zamroczeni i oszołomieni, ale ich nie zabije.

Cisza nie ryzykowała wykorzystania czegoś bardziej zabójczego. Gdyby na jej gospodę padło jakiegokolwiek podejrzenie, jej kariera – i najpewniej życie – by się skończyły. W oczach podróżnych musiała pozostać zręczliwą, ale sprawiedliwą właścicielką gospody, która nie zadaje zbyt wielu pytań. Jej gospoda była postrzegana jako bezpieczne miejsce, nawet przez najbardziej zatwardziały

zbrodniarzy. Każdego wieczoru kładła się pełna obaw, że ktoś w końcu zauważy, iż podejrzana liczba ofiar Białego Lisa niedługo przed śmiercią zatrzymywała się w gospodzie Ciszy.

Weszła do spiżarni, żeby odłożyć na miejsce książkę z listami gończymi. Również tutaj ściany były wyszorowane do czysta, a półki świeżo wytarte. To dziecko. Kto słyszał o dziecku, które wolało raczej sprzątać niż się bawić? Oczywiście jeśli wziąć pod uwagę, co przeszła Sebruki...

Cisza nie mogła się powstrzymać przed sięgnięciem na najwyższą półkę i pomacaniem kuszy, która na niej leżała. Srebrne groty. Trzymała ją na widma i nigdy jeszcze nie użyła przeciw człowiekowi. Rozlew krwi był w Lasach zbyt niebezpieczny. Mimo to pocieszała ją świadomość, że w wyjątkowej sytuacji miała broń pod ręką.

Schowawszy książkę, poszła zajrzeć do Sebruki. Dziewczynka rzeczywiście zajmowała się świniami. Cisza lubiła mieć zdrowe stadko, choć oczywiście nie do jedzenia. Podobno śwynie odpędzały widma. Wykorzystywała każde dostępne narzędzie, by jej gospoda wydawała się bezpieczniejsza.

Sebruki klęczała w szopie świń. Niska dziewczynka miała ciemną skórę i długie czarne włosy. Nikt by jej nie wziął za córkę Ciszy, nawet gdyby nie słyszeli o jej tragicznej historii. Dziecko nuciło pod nosem i szorowało ścianę szopy.

– Dziecko?

Sebruki odwróciła się do niej i uśmiechnęła. Ileż mogło się zmienić w ciągu jednego roku. Kiedyś Cisza przysięgłaby, że to dziecko już nigdy się nie uśmiechnie. Sebruki przez pierwsze trzy miesiące w gospodzie tylko gapiła się w ścianę. Niezależnie od tego, gdzie Cisza ją umieściła, dziewczynka podchodziła do najbliższej ściany, siadała i gapiła się na nią przez cały dzień. Nie odzywała się ani słowem. Oczy martwe jak u widma...

– Ciociu Ciszo? Wszystko w porządku?

– Tak, dziecko. Po prostu dręczą mnie wspomnienia. Ty... czyścisz teraz szopę dla świń?

– Ścianom przyda się porządne wyszorowanie. Śwynie lubią mieć czysto. A w każdym razie Jarom i Ezekiel. Pozostałe nie zwracają na to uwagi.

– Nie musisz się tak bardzo starać, dziecko.

– Ale ja lubię. To mi sprawia przyjemność. Coś, co mogę robić. Żeby pomóc.

Cóż, szorowanie ścian było lepsze niż gapienie się na nie tępo przez cały dzień. Dziś Ciszę cieszyło wszystko, co zajmowało dziewczynkę. Wszystko, żeby tylko nie weszła na dużą salę.

– Świniom pewnie się to spodoba – powiedziała Cisza. – Może jeszcze tu trochę popracujesz?

Sebruki posłała jej spojrzenie.

– Co się stało?

Na cienie. Była tak spostrzegawcza.

– Na sali jest kilku mężczyzn o plugawych językach. Nie pozwolę, żebyś słuchała ich przekleństw.

– Nie jestem dzieckiem, ciociu Ciszo.

– Jesteś – stwierdziła stanowczo Cisza. – I będziesz posłuszna. Nie myśl, że powstrzymałabym się przed obiciem cię różgą.

Sebruki przewróciła oczami, ale wróciła do pracy i znów zaczęła nucić. Kiedy Cisza rozmawiała z Sebruki, zachowywała się trochę jak babka. Dziewczynka dobrze reagowała na surowość. Wydawało się, że jej pragnie, może jako symbolu, że ktoś panował nad sytuacją.

Cisza żałowała, że nie panowała nad sytuacją. Ale była Zwiadowcą – nazwisko to przyjęli jej

dziadkowie i inni, którzy jako pierwsi opuścili Ojczyznę i zbadali ten kontynent. Była Zwiadowcą i niech będzie przeklęta, jeśli ktokolwiek dowie się, jak ogromnie bezradna czuła się przez większość czasu.

Przeszła przez podwórze na tyłach gospody. Zauważyła, że w kuchni William Ann przygotowywała pastę do rozpuszczenia w piwie. Cisza minęła ją i zajrzała do stajni. Chesterton powiedział, że po posiłku odjadą, co wcale jej nie zaskoczyło. Choć większość ludzi wołała się zatrzymać na noc we względnie bezpiecznej gospodzie, Chesterton i jego ludzie byli przygotowani do spania w Lasach. Czuli się swobodniej w rozbitym przez siebie obozie, nawet w otoczeniu widm, niż w łóżku w gospodzie.

W stajni Dob – stary stajenny – właśnie skończył szczotkować konie. Nie napił ich. Cisza wydała mu polecenie, by tym zajmował się na końcu.

– Dobra robota, Dob – powiedziała. – Może zrobisz sobie teraz przerwę?

Mężczyzna pokiwał głową i wymamrotał:

– Dziękuję pani.

Jak zawsze zamierzał pójść na ganek od frontu i zapalić fajkę. Dob nie był za mądry i nie miał pojęcia, co naprawdę robiła w gospodzie, ale pracował dla niej jeszcze przed śmiercią Williama. Był najbardziej lojalnym człowiekiem, jakiego знаła.

Cisza zamknęła za nim drzwi i wyjęła kilka woreczków z zamkniętej na klucz szafki na tyłach stajni. Sprawdziła każdą w słabym świetle, później postawiła je na stole i zarzuciła pierwsze siodło na grzbiet konia.

Niemal skończyła z siodłaniem, kiedy drzwi otworzyły się powoli. Znieruchomiała i natychmiast pomyślała o woreczkach na stole. Dlaczego nie wcisnęła ich za fartuch? Co za niedbałość!

– Cisza Zwiadowca – powiedział ktoś.

Cisza stłumiła jęk i odwróciła się w stronę gościa.

– Theopolisie. To nieuprzejme tak się skradać po cudzej nieruchomości. Powinnam cię wyrzucić za wtargnięcie na teren prywatny.

– Daj spokój. To by było jak... koń kopiący człowieka, który go karmi, co?

Theopolis oparł szczupłą sylwetkę o drzwi i zaplótł ręce na piersi. Miał na sobie proste ubranie w niczym niezdradzające jego pozycji. Poborca podatkowy z fortów nie chciał, by przypadkowi przechodnie znali jego zawód. Był starannie ogolony, a na jego twarzy zawsze malował się ten sam pobłażliwy uśmiech. Jego ubranie było zbyt czyste i zbyt nowe, by należeć do kogoś, kto żył w Lasach. Nie znaczyło to, że był elegantem albo głupcem. Theopolis był niebezpieczny, ale na inny sposób niż większość.

– Dlaczego tu przyszedłeś, Theopolisie?

Zarzuciła ostatnie siodło na grzbiet parszającego dereszowatego wałacha.

– A dlaczego zawsze do ciebie przychodzę, Ciszo? Z pewnością nie ze względu na twoje radosne oblicze, co?

– Zapłacałam podatki.

– Dlatego że w większości jesteś z nich zwolniona. Ale nie zapłacałaś mi za dostawę srebra z ostatniego miesiąca.

– Ostatnio było dość kiepsko. Ale będzie lepiej.

– A bełty do kuszy? Można się zastanawiać, czy nie próbujesz zapomnieć o cenie tych srebrnych grotów, co? I ładunek zapasowych części do twoich pierścieni ochronnych?

Jego jęklivy akcent sprawił, że skrzywiła się przy zaciąganiu popręgów. Theopolis. Na cienie, co za dzień!

– Ojej. – Theopolis podszedł do stołu i podniósł jeden z woreczków. – A cóż to? Wygląda mi na sok mokrzaka. Słyszałem, że w nocy się jarzy, jeśli poświecić na niego właściwym źródłem światła. Czy to jedna z tajemnic Białego Lisa?

Wyrwała mu woreczek.

– Nie wypowiadaj tego imienia – syknęła.

Uśmiechnął się szeroko.

– Będziesz miała nagrodę! Wspaniale. Zawsze się zastanawiałem, jak ich śledzisz. Zrobić w tym malutki otwór, przymocować od dołu do siodła, a później podążyć śladem kropel? Co? Pewnie w ten sposób możesz długo za nimi podążać i zabijać ich daleko stąd. Żeby nikt nie podejrzewał tej małej gospody?

Tak, Theopolis był niebezpieczny, ale potrzebowała kogoś, kto by odbierał za nią nagrody. Theopolis był szczurem i jak wszystkie szczury znał najlepsze dziury, koryta i zakamarki. Miał kontakty w Ostatnim Porcie i w imieniu Białego Lisa zdobywał dla niej pieniądze, nie zdradzając jej tożsamości.

– Wiesz, ostatnio mnie kusilo, żeby cię wydać. Wiele grup stawia duże sumy w zakładach o tożsamość niesławego Lisa. Ta wiedza mogłaby mnie wzbogacić, co?

– Już jesteś bogaty – warknęła. – I choć wiele można o tobie powiedzieć, nie jesteś głupcem. Przez dziesięć lat wszystko dobrze działało. Nie mów mi, że zamieniłbyś bogactwo na odrobinę sławy.

Uśmiechnął się, ale nie zaprzeczył. Zatrzymywał połowę z każdej nagrody. To był świetny układ dla Theopolisa. Żadnego niebezpieczeństwa dla niego. Był urzędnikiem, nie łowcą nagród. Raz tylko widziała, jak zabił człowieka, a wtedy jego ofiara nie mogła się bronić.

– Aż za dobrze mnie znasz, Ciszo. – Theopolis się roześmiał. – Aż za dobrze. No, no. Nagroda! Ciekawe, kto to jest. Będę musiał zajrzeć na salę.

– Niczego takiego nie zrobisz. Na cienie! Myślisz, że twarz poborcy podatków ich nie przestraszy? Jeśli tam wejdiesz, wszystko popsujesz.

– Spokojnie, Ciszo. – Wciąż się uśmiechał. – Przestrzegam twoich zasad. Pilnuję, żeby się tu zbyt często nie pokazywać i nie wzbudzać podejrzeń. I tak bym nie mógł dziś zostać, przyszedłem jedynie, żeby złożyć ci propozycję. Tyle tylko, że teraz pewnie nie będziesz jej potrzebować! Jaka szkoda. Tyle trudu sobie zadałem w twoim imieniu, co?

Zrobiło jej się zimno.

– Cóż takiego mógłbyś mi dać?

Wyjął z torby arkusz papieru i rozprostował go starannie zbyt długimi palcami. Uniósł go, ale Cisza mu go wyrwała.

– Co to?

– Sposób, by uwolnić cię od długów, Ciszo! Sposób, byś już nigdy więcej nie musiała się martwić.

Papier był nakazem przejęcia własności, który pozwalał wierzycielom Ciszy – Theopolisowi – przejąć jej własność jako spłatę długu. Forty utrzymywały, że drogi i ziemia po obu ich stronach podlegały ich jurysdykcji. I rzeczywiście wysyłali na nie patrole. Czasami.

– Cofam swoje słowa, Theopolisie – warknęła. – Z całą pewnością jesteś głupcem. Zrezygnowałbyś ze wszystkiego, co mamy, żeby zgarnąć trochę ziemi?

– Oczywiście, że nie, Cisko. Z niczego bym nie zrezygnował. Jest mi wręcz przykro, że ciągle się u mnie zadłużasz. Nie byłoby lepiej, gdybym to ja przejął finansowanie gospody? Ty byś tu nadal pracowała i jak wcześniej polowała na nagrody. Tyle tylko, że nie musiałabyś już przejmować się długami, co?

Zmięła papier w dłoni.

– Zmieniłbyś mnie i moich bliskich w niewolników, Theopolisie.

– Nie melodramatyzuj. Ci w Ostatnim Porcie zaczynają się martwić, że taka ważna gospoda należy do kogoś nieznanego. Przyciągasz uwagę, Cisko. Wydaje mi się, że to ostatnie, czego pragniesz.

Ciska jeszcze bardziej zmięła papier w dłoni, mocno zaciskając pięść. Konie kręciły się w boksach. Theopolis uśmiechnął się szeroko.

– W porządku. Może to nie będzie potrzebne. Może ta twoja nagroda jest duża? Możesz mi dać jakieś wskazówki, żebym się nie zastanawiał przez cały dzień?

– Wynoś się – szepnęła.

– Kochana Ciska. Krew Zwiadowców, uparta do ostatniego tchu. Mówią, że twoi dziadkowie byli pierwszymi z pierwszych. Pierwszymi, którzy przybyli zbadać ten kontynent, pierwszymi, którzy zamieszkali w Lasach... pierwszymi, którzy rościli sobie prawa do samego piekła.

– Nie nazywaj tak Lasów. To mój dom.

– Ale tak właśnie ludzie postrzegali tę krainę, zanim nadeszło Zło. Czy to cię nie zaciekawia? Piekło, kraina potępionych, gdzie mieszkają cienie zmarłych. Ciągle się zastanawiam, czy widmo twojego nieżyjącego męża rzeczywiście strzeże tego miejsca, czy to kolejna historyjka, którą opowiadasz ludziom? Żeby czuli się bezpiecznie, co? Wydajesz majątek na srebro. Ono zapewnia prawdziwą ochronę, a ja nigdzie nie znalazłem twojego aktu małżeństwa. Oczywiście, jeśli go nie było, to znaczy, że droga William Ann jest...

– Wyjdź.

Uśmiechnął się, ale uchylił kapelusza i wyszedł. Słyszała, jak wsiada na konia i odjeżdża. Nadchodziła noc – pewnie nie mogła liczyć, że widma zabiorą Theopolisa. Od dawna przypuszczała, że gdzieś w okolicy ma kryjówkę, pewnie jaskinię wyłożoną srebrem.

Odetchnęła głęboko, próbując się uspokoić. Theopolis był frustrujący, ale nie wiedział wszystkiego. Zmusiwszy się, by znów skupić się na koniach, przyniosła wiadro wody. Wsypała do niego zawartość woreczków, a następnie podała je koniom, które sporo wypily – były bardzo spragnione.

Zasugerowane przez Theopolisa woreczki, z których kapał sok, byłyby zbyt łatwe do zauważenia. Co by się stało, gdyby jeden z jej celów zdjął w nocy siodło i znalazł woreczek? Wiedziałby, że ktoś jest na jego tropie. Nie, potrzebowała czegoś mniej oczywistego.

– Jak ja sobie z tym poradzę? – szepnęła, kiedy jeden z koni pił z jej wiadra. – Na cienie. Sięgają do mnie ze wszystkich stron.

Zabij Theopolisa. Tak by pewnie postąpiła jej babka. I Ciska się nad tym zastanawiała.

Nie, pomyślała. Nie stanę się taka. Nie stanę się nią. Theopolis był zbirzem i łotrem, ale nie złamał żadnych praw ani nie wyrządził bezpośredniej krzywdy nikomu, kogo znała. Musiały istnieć zasady, nawet tutaj. Musiały istnieć granice. Może w tym aspekcie nie różniła się tak bardzo od fortowych.

Znajdzie inny sposób. Theopolis miał jedynie dokument sądowy potwierdzający jej dług – prawo wymagało, by go jej pokazał. Co oznaczało, że miała dzień lub dwa na zebranie pieniędzy. Wszystko staranne i uporządkowane. Ci w fortach twierdzili, że mają cywilizację. Te zasady dawały jej szansę.

Wyszła ze stajni. Kiedy spojrzała przez okno do dużej sali, zobaczyła, że William Ann podaje trunki „kupcom” z gangu Chestertona. Cisza zatrzymała się, żeby popatrzeć.

Za jej plecami Lasy zadrżały na wietrze.

Cisza nasłuchiwała, po czym odwróciła się w ich stronę. Fortowych dawało się poznać po tym, że nie patrzyli na Lasy. Odwracali wzrok, nigdy nie spoglądali w ich głębię. Pełne powagi drzewa porastały niemal każdy cal tego kontynentu, ich liście rzucały głęboki cień na ziemię. Nieruchome. Milczące. Wśród nich żyły zwierzęta, ale badacze z fortów twierdzili, że nie ma wśród nich drapieżników. Przyciągnięte rozlewem krwi widma dopadły ich już dawno.

Wpatrywanie się w Lasy sprawiało, że się... cofały. Ciemność ich głębin się wycofywała, cisza ustępowała odgłosom gryzoni prześlizgujących się wśród suchych liści. Zwiadowca wiedział, że musi patrzeć prosto na Las. Zwiadowca wiedział, że badacze się mylili. Tam był drapieżnik. Sam Las.

Cisza odwróciła się i podeszła do drzwi prowadzących do kuchni. Utrzymanie gospody musiało być jej pierwszym zadaniem, więc była teraz zdecydowana zdobyć nagrodę za Chestertona. Gdyby nie udało się jej zapłacić Theopolisowi, wątpiła, by wszystko pozostało takie samo. Trzymałby ją za gardło, bo nie mogła opuścić gospody. Nie miała obywatelstwa fortów, a czasy były zbyt trudne, by przyjął ją jeden z miejscowych osadników. Nie, musiałyby zostać i prowadzić gospodę dla Theopolisa, a on by ją wycisnął, biorąc coraz większy udział od każdej nagrody.

Otworzyła drzwi do kuchni. To...

Przy kuchennym stole siedziała Sebruki, na kolanach miała kuszę.

– Boże Poza! – sapnęła Cisza, weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. – Dziecko, co ty...

Sebruki podniosła na nią wzrok. Znów wróciły te udręczone oczy pozbawione życia i uczuć. Oczy jak u widma.

– Mamy gości, ciociu Ciszo – powiedziała Sebruki lodowatym, monotonnym głosem. Obok kuszy leżała korba do jej naciągania. Dziewczynce udało się samodzielnie naciągnąć i załadować broń. – Pokryłam grot czarną krwią. Postąpiłam właściwie, prawda? W ten sposób trucizna na pewno go zabije.

– Dziecko...

Cisza zrobiła krok do przodu.

Sebruki obróciła kuszę na kolanach, trzymała ją pod kątem, a jedną małą rączkę położyła na spuście. Grot zwrócił się w stronę Ciszy.

Sebruki wpatrywała się przed siebie pustymi oczyma.

– To się nie uda, Sebruki – powiedziała surowo Cisza. – Nawet gdyby udało ci się wnieść to coś na salę, nie trafiłabyś go. A nawet gdybyś go trafiła, jego ludzie w odwecie zabiliby nas wszystkich!

– Nic by mnie to nie obchodziło – odparła cicho Sebruki. – Jeśli tylko go zabiję. Jeśli tylko pociągnę za spust.

– Nic cię nie obchodzimy? – warknęła Cisza. – Przyjęłam cię, dałam ci dom, a ty tak mi się odpłacasz? Kradniesz broń? Grozisz mi?

Dziewczynka zamrugnęła.

– Co się z tobą dzieje? Rozlałabyś krew w tym miejscu azylu? Sprowadziła na nas widma atakujące naszą ochronę? Gdyby się przedostały, zabiłyby wszystkich pod moim dachem! Ludzi, którym obiecałam bezpieczeństwo. Jak śmiesz?!

Sebruki otrząsnęła się, jakby się budziła. Jej maska opadła i dziewczynka upuściła kuszę. Cisza usłyszała trzask zamka. Poczula, jak belt przelatuje tuż obok jej policzka, a później rozległ się brzęk szyby za jej plecami.

Na cienie! Czy grot ją drasnął? Czy Sebruki rozlała krew? Cisza uniosła drżącą dłoń, ale na szczęście nie poczuła krwi. Belt jej nie trafił.

Po chwili Sebruki znalazła się w jej objęciach i rozplakała. Cisza uklękła i przytuliła dziecko.

– Cicho, kochanie. Już dobrze. Już dobrze.

– Słyszałam wszystko – szepnęła Sebruki. – Matka nie krzyknęła. Wiedziała, że tam jestem. Była silna, ciociu Ciszo. Dlatego ja byłam silna, nawet kiedy popłynęła krew. Zmoczyła mi włosy. Słyszałam to. Słyszałam wszystko.

Cisza zamknęła oczy i mocno obejmowała Sebruki. Sama była jedyną osobą gotową sprawdzić dymiące gospodarstwo. Ojciec Sebruki czasami zaglądał do jej gospody. Dobry człowiek. O ile po opanowaniu Ojczyzny przez Zło pozostali jeszcze dobrzy ludzie.

W dymiących pozostałościach gospodarstwa Cisza znalazła tuzin ciał. Chesterton i jego ludzie wymordowali wszystkich członków rodziny, nawet dzieci. Pozostała jedynie Sebruki, najmłodsza, wciśnięta w przestrzeń pod deskami podłogi w sypialni.

Leżała tam, zalana krwią matki, i milczała nawet kiedy Cisza ją odnalazła. Odkryła dziewczynkę tylko dlatego, że Chesterton był ostrożny i w przygotowaniu do zabójstwa posypał pokój srebrnym proszkiem, żeby powstrzymać widma. Cisza próbowała odzyskać proszek, który wpadł między deski, i wtedy napotkała spojrzenie.

W ciągu ostatniego roku Chesterton spalił trzynaście gospodarstw. Zamordował ponad pięćdziesięciu ludzi. Sebruki jako jedyna mu się wymknęła.

Ciałem dziewczynki wstrząsało łkanie.

– Dlaczego... dlaczego?

– Nie ma powodu. Przykro mi.

Co jeszcze mogła zrobić? Wypowiedzieć jakiś głupi komunał albo pocieszenie na temat Boga Poza? To były Lasy. Frazesy nie pomagały przeżyć.

Cisza tuliła dziewczynkę, aż jej płacz przycichł. Do środka weszła William Ann z tacą pełną pustych kufli, zatrzymała się przy stole. Przeniosła wzrok na porzuconą kuszę, a później rozbite okno.

– Zabijesz go? – szepnęła Sebruki. – Wymierzysz sprawiedliwość?

– Sprawiedliwość umarła w Ojczyźnie. Ale tak, zabiję go. Obiecuję, dziecko.

William Ann podeszła ostrożnie, podniosła kuszę i odwróciła ją, ukazując złamane łuczysko. Cisza westchnęła. Nie powinna zostawiać broni w miejscu, do którego mogła dotrzeć dziewczynka.

– Zajmij się klientami, William Ann – powiedziała Cisza. – Ja zabiorę Sebruki na górę.

Córka pokiwała głową i spojrzała na stłuczone okno.

– Nie doszło do rozlewu krwi. Nic nam nie będzie. Choć jeśli będziesz miała chwilę, sprawdź, czy nie uda ci się znaleźć beltu. Grot jest ze srebra.

To nie była dobra pora na marnowanie pieniędzy.

William Ann schowała kuszę w spizarni, a Ciska ostrożnie posadziła Sebruki na stołku. Dziewczynka tuliła się do niej, więc kobieta w końcu się poddała i obejmowała ją jeszcze przez chwilę.

William Ann odetchnęła głęboko, po czym znów wyszła na salę i zaczęła roznosić trunki.

W końcu Sebruki puściła ją na chwilę i Ciska przygotowała miksturę. Zaniósła dziewczynkę po schodach na strych nad dużą salą, gdzie wszystkie trzy miały swoje łóżka. Dob spał w stajni, a goście w ładniejszych pokojach na piętrze.

Sebruki patrzyła na kubek zaczerwienionymi oczyma.

– Sprawisz, że zasnę.

– Rano świat będzie się wydawał jaśniejszym miejscem – powiedziała Ciska, dodając w myślach: A ja nie mogę ryzykować, że dziś w nocy wyślizgniesz się za mną.

Dziewczynka niechętnie przyjęła miksturę i wypła ją.

– Przepraszam. Za kuszę.

– Znajdziemy sposób, byś odpracowała koszt jej naprawienia.

To najwyraźniej pocieszyło Sebruki. Była dzieckiem osadników, urodzonym w Lasach.

– Kiedyś wieczorem mi śpiewałaś – powiedziała cicho, zamknęła oczy i położyła się. – Kiedy mnie tu przyprowadziłaś. Po tym... po tym... – Przełknęła ślinę.

– Nie byłam pewna, czy w ogóle to zauważyłaś.

Nie była pewna, czy dziewczynka w tamtym czasie zauważała cokolwiek.

– Tak.

Ciska usiadła na stołku obok pościelenia dziewczynki. Nie miała ochoty śpiewać, więc zaczęła nucić. To była kołysanka, którą śpiewała William Ann w trudnych czasach tuż po jej narodzinach.

Po chwili słowa same, nieproszone, opuściły jej usta.

– Cicho, moja miła... nie musisz się bać. Choć noc się przybliży, słońce musi wstać. Zaśnij, moja miła... niech znikną twe łzy. Choć panuje ciemność, nadejdzie znów świt...

Trzymała Sebruki za rękę, aż dziecko usnęło. Okno sypialni wychodziło na podwórze, więc widziała, jak Dob wyprowadza konie Chestertona. Pięciu mężczyzn w wyszukanych strojach kupców zeszło po ganku i wsiadło na konie.

Wyjechali szeregiem na drogę, a później otoczyły ich Lasy.

* * *

Godzinę po zachodzie słońca Ciska pakowała plecak przy blasku ognia na kominku.

Ten ogień rozpała jej babka i od tego czasu płonął. Prawie zginęła, rozpalając go, ale nie chciała płacić żadnemu handlarzowi ogniem za zarzewie. Ciska pokręciła głową. Babka zawsze odrzucała zasady. Ale też czy ona sama była od niej lepsza?

„Nie rozpalaj płomienia, nie rozlewaj krwi drugiego, nie biegaj w nocy. To przyciąga widma”. Proste Zasady, którymi kierował się każdy osadnik. Złamała każdą z nich więcej niż raz. Cud, że do tej pory sama nie zmieniła się w widmo.

Ciepło ognia wydawało się odległe, kiedy przygotowywała się do zabijania. Spojrzała na starą kapliczkę, właściwie niewiele ponad szafkę, którą trzymała zamkniętą na klucz. Płomienie przypominały jej babkę. Czasami myślała o ogniu jako o swojej babce. Rzucającej wyzwanie zarówno

widmom, jak i fortom, aż do samego końca. Pozbyła się z gospody wszystkich innych śladów po babce, poza kapliczką Boga Poza. Ta znajdowała się za zamkniętymi drzwiami przy spiżarni, a obok drzwi niegdyś wisiał srebrny sztylet babki, symbol starej religii.

Na tym sztylcie wygrawerowano boskie symbole dla ochrony. Cisza nosiła go teraz w pochwie u boku, nie ze względu na symbole ochronne, ale dlatego, że był srebrny. W Lasach nie można było mieć za dużo srebra.

Starannie zapakowała torbę, najpierw zestaw do leczenia, a następnie spory woreczek srebrnego proszku, który leczył wysuszenie. Później dziesięć pustych worków z grubego płótna, od zewnątrz pokrytych smołą, by ich zawartość nie przeciekała. W końcu dodała lampkę oliwną. Nie chciała jej używać, bo nie ufała ogniewi. Płomień mógł przyciągać widma. Jednak wcześniej lampka okazała się przydatna, więc ją wzięła. Zapaliłaby ją tylko wtedy, gdyby natrafiła na kogoś, kto już miał rozpalony ogień.

Po chwili wahania poszła do starego składu. Podniosła deski podłogi i wyciągnęła niewielką, starannie zabezpieczoną beczułkę, która leżała obok trucizn.

Proch strzelniczy.

– Matko? – odezwała się William Ann i Cisza aż podskoczyła. Nie słyszała, jak dziewczyna wchodzi do kuchni.

Zaskoczona niemal upuściła beczułkę, a to z kolei sprawiło, że serce prawie przestało jej bić. Przekląła swoją głupotę i wcisnęła beczułkę pod pachę. Zawartość nie mogła wybuchnąć bez ognia. Tyle wiedziała.

William Ann patrzyła na beczułkę.

– Matko!

– Pewnie nie będę go potrzebować.

– Ale...

– Wiem. Cicho.

Schowała beczułkę do plecaka. Z boku zamocowała krzesiwo babki, z tkaniną wciśniętą między metalowe elementy. Podpalenie prochu liczyło się jako rozpalenie ognia, przynajmniej w oczach widm. Przyciągało je niemal równie szybko jak krew, w dzień czy w nocy. Pierwsi uciekinierzy z Ojczyzny odkryli to bardzo szybko.

W pewnym sensie krwi było łatwiej uniknąć. Zwykle krwawienie z nosa czy upływ krwi nie przyciągały widm – wydawało się, że ich nie zauważają. Musiała to być krew rozlana ręką innego człowieka – i wtedy atakowały tego, który pierwszy rozlał krew. Oczywiście po śmierci tej osoby często nie obchodziło ich, kogo atakują jako następnego. Rozwścieczone widma były niebezpieczne dla wszystkich w okolicy.

Dopiero po spakowaniu prochu Cisza zauważyła, że William Ann ma na sobie strój podróżny, spodnie i wysokie buty. Niosła podobny plecak, co Cisza.

– Co ty wyprawiasz, William Ann?

– Zamierzasz sama zabić pięciu mężczyzn, którzy dostali tylko połowę dawki bagnaika, matko?

– Już wcześniej robiłam podobne rzeczy. Nauczyłam się pracować samodzielnie.

– Tylko dlatego, że nie miałaś nikogo do pomocy. – William Ann zarzuciła torbę na ramię. – Teraz jest inaczej.

– Jesteś za młoda. Wracaj do łóżka i pilnuj gospody do mojego powrotu.

Dziewczyna nie zamierzała ustąpić.

– Dziecko, powiedziałam ci...

– Matko – William Ann chwyciła ją stanowczo za ramię – już nie jesteś młoda! Myślisz, że nie widzę, że coraz bardziej kulejesz? Nie możesz sama robić wszystkiego! Niech mnie piekło pochłonie, musisz mi pozwolić, żebym ci czasem pomogła!

Cisza przyglądała się córce. Skąd się wzięła ta gwałtowność? Trudno było pamiętać, że William Ann też pochodziła z rodu Zwiadowców. Babka czułaby do niej odrazę, a to napęniało Ciszę dumą. Jej córka miała prawdziwe dzieciństwo. Nie była słaba, jedynie... normalna. Kobieta mogła być silna, a jednocześnie mieć więcej uczuć od cegły.

– Nie przeklinaj przy matce – powiedziała w końcu.

William Ann uniosła brew.

– Możesz pójść ze mną. – Cisza wyrwała rękę z uchwytu córki. – Ale musisz wypełniać moje polecenia.

Dziewczyna westchnęła i pokiwała głową.

– Ostrzegę Doba, że wychodzimy.

Wyszła na zewnątrz, a gdy wkroczyła w ciemność, ruszyła naturalnie powolnym krokiem osadnika. Choć znajdowała się w zasięgu ochrony srebrnych pierścieni gospody, wiedziała, że należy przestrzegać Prostych Zasad. Ignorowanie ich w bezpiecznym miejscu prowadziło do potknięć poza nim.

Cisza wyjęła dwie misy i przygotowała dwa różne rodzaje jarzypasty. Kiedy skończyła, wlała je do dwóch oddzielnych słoików, które zapakowała do swojej torby.

Wyszła w mrok. Powietrze było rześkie i chłodne. Lasy ucichły.

Rzecz jasna, wyszły widma.

Kilka poruszało się po trawie, zdradzał je ich słaby wewnętrzny blask. Eteryczne, przezroczyste, te w pobliżu były starymi widmami, już traciły ludzką postać. Ich głowy falowały, twarze poruszały jak kółka z dymu. Ciągnęły za sobą fale bieli długości ramienia. Cisza zawsze wyobrażała sobie, że to poszarpane resztki ich ubrań.

Żadna kobieta, nawet Zwiadowca, nie patrzyła na widma bez uczucia wewnętrznego chłodu. Oczywiście w ciągu dnia widma też krążyły w okolicy, ale były niewidoczne. Jeśli ktoś rozpałił ogień albo rozlał krew, przychodziły po niego nawet wtedy. W nocy jednak były inne. Szybciej reagowały na naruszenia zasad. W nocy reagowały również na gwałtowne ruchy, czego nigdy nie robiły w ciągu dnia.

Cisza wyjęła jeden ze słoików jarzypasty, która zalała okolicę bladozielonym blaskiem. Był słaby, ale spokojny i równomierny, w przeciwieństwie do płomienia pochodni. Poza tym pochodnie były zawodne, bo jeśli zgasły, nie dało się ich zapalić ponownie.

William Ann czekała przed wejściem z uchwytami do latarni.

– Będziemy musiały poruszać się cicho – powiedziała Cisza, mocując latarnie na tyczkach. – Możesz mówić, ale tylko szeptem. Powiedziałam, że masz mi być posłuszna. We wszystkim i natychmiast. Ci ludzie, na których polujemy... zabiją cię albo zrobią coś gorszego i nawet nie poświęcą temu myśli.

Dziewczyna przytaknęła.

– Nie jesteś dość przestraszona.

Cisza okryła słój z jaśniejszą jarzypastą czarną tkaniną. Otoczyła ich ciemność, ale Pas Gwiazd wznosił się wysoko na niebie. Część jego blasku powinna przenikać między liśćmi, szczególnie w pobliżu drogi.

– Ja... – zaczęła mówić William Ann.

– Pamiętasz, jak tamtej wiosny oszalał ogar Harolda? Pamiętasz wyraz jego oczu? Brak świadomości? Oczy, które pragnęły zabijać? Tacy właśnie są ci mężczyźni, William Ann. Wściekli. Muszą zostać zabici, tak samo jak tamten pies. Oni nie będą widzieć w tobie człowieka, tylko mięso. Rozumiesz?

William Ann kiwnęła głową. Cisza widziała, że dziewczyna nadal jest bardziej podekscytowana niż przestraszona, ale nic na to nie mogła poradzić. Podała córce tyczkę z ciemniejszą jarzypastą, która emanowała słabym niebieskim blaskiem, ale właściwie niczego nie oświetlała. Sama zarzuciła drugą tyczkę na prawe ramię, torbę na lewe i skinęła w stronę drogi.

W pobliżu jedno z widm zbliżyło się do granicy gospody. Kiedy dotknęło cienkiej granicy srebra na ziemi, metal roziskrzył się, a stwór cofnął się z gwałtownym szarpnięciem i podryfował w przeciwną stronę.

Każde takie dotknięcie kosztowało Ciszę sporą sumę. Dotyk widma niszczył srebro. Za to właśnie płacili jej klienci – gospoda, której granica nie została naruszona przez ponad sto lat, z długą tradycją, w której nie były uwięzione żadne niechciane widma. Spokój, przynajmniej w pewnym sensie. Najlepszy, jaki można było znaleźć w Lasach.

William Ann przeszła przez granicę, którą oznaczały duże srebrne pierścienie wystające z ziemi. Od dołu były obciążone betonem, więc nie dało się ich tak po prostu wyciągnąć. Wymiana fragmentu jednego z kręgów – jej gospodę otaczały trzy – wymagała rozkopania ziemi i odpięcia całego elementu od łańcucha. Była to ciężka praca, którą Cisza dobrze знаła. W każdym tygodniu przynajmniej raz musiały przenieść albo zastąpić któryś z fragmentów.

Pobliskie widmo poleciało w inną stronę. Wydawało się, że ich nie zauważa. Cisza nie wiedziała, czy zwykli ludzie byli dla nich niewidzialni, dopóki nie złamali zasad, czy też po prostu aż do tej pory nie byli godni ich zainteresowania.

Wyszły na ciemną, trochę zarośniętą drogę. Żadna droga w Lasach nie była dobrze utrzymana. Może gdyby ci w fortach dotrzymali swoich obietnic, to by się zmieniło. Mimo to ludzie podróżowali. Osadnicy udawali się do fortów, by sprzedać żywność. Zboże uprawiane na polanach Lasów było smaczniejsze i pożywniejsze niż to, które wyrastało w górach. Króliki i indyki złapane we wnyki albo hodowane w klatkach można było sprzedać za sporo srebra.

Ale nie wieprzki. Jedynie fortowi byli tak prymitywni, by jeść wieprzowinę.

Tak czy inaczej, dzięki handlowi droga nie zarosła do końca, nawet jeśli drzewa wokół niej miały skłonność do opuszczania gałęzi – jak wyciągniętych rąk – by próbować zasłonić drogę. Odzyskać ją. Lasy nie lubiły ludzi, którzy się w nich roili.

Dwie kobiety szły ostrożnie i nieśpiesznie. Żadnych szybkich ruchów. Dlatego wydawało się, że minęła wieczność, nim na drodze przed nimi coś się pojawiło.

– Tam! – szepnęła William Ann.

Cisza wypuściła powietrze. W świetle jarzypasty na drodze błyszczało coś niebieskiego. Theopolis

dobrze się domyślał, jak śledziła swoje ofiary, ale nie do końca. Tak, światło pasty zwanej również Ogniem Abrahama sprawiało, że krople soku mokrzaka świeciły. Zupełnym przypadkiem sok mokrzaka sprawiał również, że konie nie trzymały moczu.

Cisza przyjrzała się linii świecącego soku i moczu na ziemi. Martwiła się, że Chesterton i jego ludzie znikną w Lasach wkrótce po opuszczeniu gospody. To było mało prawdopodobne, ale wciąż się przejmowała.

Teraz była pewna, że ma ślad. Jeśli Chesterton skręci w głąb Lasów, zrobi to kilka godzin po opuszczeniu gospody, by się upewnić, że ich przykrywka jest bezpieczna. Zamknęła oczy i odetchnęła z ulgą, po czym zorientowała się, że odruchowo wypowiada modlitwę dziękczynną. Zawahała się. Skąd się to wzięło? Minęło dużo czasu.

Potrząsnęła głową, podniosła się i ruszyła dalej. Napoiła wszystkie pięć koni, dzięki czemu miała stały ślad, za którym mogła podążać.

Tej nocy Lasy sprawiały wrażenie... ciemnych. Światło Pasa Gwiazd nie przenikało między gałęziami tak dobrze, jak powinno. Wydawało się również, że widm jest więcej niż zwykle, krążących między drzewami i emanujących słabym blaskiem.

William Ann mocno ścisnęła tyczkę. Dziewczyna oczywiście już wcześniej wychodziła w nocy. Żaden osadnik tego nie lubił, ale też żaden przed tym nie uciekał. Nie można przez całe życie nie wychodzić na zewnątrz z obawy przed ciemnością. Tak żyli fortowi. W Lasach żyło się ciężko, często czało się w nich śmiertelne niebezpieczeństwo. Ale byli wolni.

– Matko – szepnęła William Ann, kiedy szły. – Dlaczego już nie wierzysz w Boga?

– Naprawdę myślisz, że to właściwa pora, dziewczyno?

William Ann spojrzała w dół, kiedy mijały kolejny ślad moczu świecący na niebiesko na drodze.

– Ciągłe coś takiego powtarzasz.

– I zwykle w ten sposób próbuję unikać twoich pytań. Ale z drugiej strony zwykle nie idę nocą przez Lasy.

– Po prostu wydaje mi się to ważne, w tej chwili. Nie masz racji, jeśli myślisz, że za mało się boję. Aż trudno mi oddychać, ale wiem też, w jak wielkich kłopotach jest gospoda. Zawsze jesteś taka zła po odwiedzinach pana Theopolisa. Nie wymieniasz srebra wokół nas tak często jak kiedyś. Co drugi dzień jesz tylko chleb.

– A ty myślisz, że to ma coś wspólnego z Bogiem... Dlaczego?

Dziewczyna nie podnosiła wzroku.

Och, na cienie, pomyślała Cisza. Myśli, że zostałyśmy ukarane. Głupia dziewczyna. Głupia jak jej ojciec.

Przeszły po rozchwianych deskach Starego Mostu. Przy lepszym oświetleniu wciąż można było zobaczyć drewno Nowego Mostu w rozpadlinie poniżej, symbolizujące obietnice fortów i ich dary, które zawsze wyglądały ładnie, ale szybko się psuły. Ojciec Sebruki był jednym z tych, którzy przyszli, żeby znów postawić Stary Most.

– Wierzę w Boga Poza – powiedziała Cisza, kiedy przeszły na drugą stronę.

– Ale...

– Nie oddaję mu czci, ale to nie znaczy, że w niego nie wierzę. Stare księgi nazywały tę krainę ojczyzną przeklętych. Wątpię, by oddawanie czci cokolwiek zmieniło, jeśli już jest się przeklętym.

I tyle.

William Ann nie odpowiedziała.

Szły przez kolejne dwie godziny. Cisza rozważała pójście skrótem przez las, ale ryzyko zgubienia śladów i konieczności powrotu do punktu wyjścia wydawało się zbyt wielkie. Poza tym te ślady, świecące niebieskawo w niemal niewidocznym blasku jarzypasty... one były prawdziwe. Jak lina ze światła pośród otaczających cieni. Oznaczały bezpieczeństwo dla niej i jej dzieci.

Ponieważ obie odliczały przerwy między śladami moczu, nie musiały się długo cofać do miejsca, w którym ludzie Chestertona skręcili. Po kilku minutach marszu bez śladów odwróciły się bez słowa i zaczęły przeszukiwać pobocza. Cisza martwiła się, że to będzie najtrudniejsza część polowania, ale bez trudu znalazły miejsce, w którym mężczyźni zagłębili się w Lasy. Znakiem był świecący odcisk kopyta – jeden z koni nadepnął na mocz innego na drodze, a później rozniósł go po Lasach.

Cisza postawiła torbę i otworzyła ją, by wyjąć garotę, następnie uniosła palec do warg i gestem kazała córce zostać przy drodze. Dziewczyna pokiwała głową. Cisza nie widziała w ciemności jej twarzy, ale nie mogła nie zauważyć przyśpieszonego oddechu William Ann. Bycie osadnikiem przyzwyczajonym do wychodzenia w nocy to jedno. Samotność w Lasach...

Cisza wzięła słoje z niebieską jarzypastą i przykryła go chustką. Później zdjęła buty i pończochy i wyslizgnęła się w mrok. Za każdym razem, kiedy to robiła, znów czuła się jak dziecko wychodzące z dziadkiem do Lasów. Palce stóp na ziemi, szukające szeleszczących liści lub gałązek, które zdradziłyby ją trzaskiem.

Niemal słyszała jego głos tłumaczący jej, jak oceniać wiatr i wykorzystywać szum liści do maskowania odgłosu przechodzenia po trudniejszych fragmentach. Kochał Lasy do dnia, w którym go zabrali. „Nigdy nie nazywaj tej krainy piekłem”, powiedział jej. „Szanuj ją, jak niebezpieczne zwierzę, ale nie darz jej nienawiścią”.

Pomiędzy pobliskimi drzewami prześlizgiwały się widma, niemal niewidoczne, gdyż nic ich nie oświetlało. Cisza zachowywała dystans, ale i tak zdarzało się, że kiedy się odwracała, widziała jedną z istot przesuwających się obok niej. Przypadkowe wpadnięcie na widmo mogło zabić, ale nie zdarzało się to często. Widma, o ile nie wpadły we wściekłość, odsuwały się od ludzi, którzy zbyt blisko się zbliżyli, jakby poruszał nimi łagodny wietrzyk. Czyli jeśli ktoś poruszał się powoli – a powinien – nic mu nie groziło.

Oślaniała słoje chustką, chyba że chciała sprawdzić, czy są jakieś ślady. Jarzypasta oświetlała widma, a widmo, które świeciło zbyt mocno, mogłoby kogoś ostrzec.

W pobliżu rozległ się jęk. Cisza znieruchomiała, a serce omal nie wyrwało jej się z piersi. Widma nie wydawały dźwięków – to musiał być człowiek. Rozglądała się dookoła, w napięciu i bezgłośnie, aż go zobaczyła, dobrze ukrytego w zagłębieniu drzewa. Poruszył się i rozmasował skronie. Trucizna William Ann wywoływała ból głowy.

Cisza po chwili zastanowienia przekradła się za drzewem. Przykucnęła i odczekała pięć minut, aż mężczyzna znów się poruszył. Po raz kolejny uniósł ręce, wywołując szelest.

Cisza rzuciła się do przodu, otoczyła jego szyję garotą i mocno pociągnęła. Duszenie nie było najlepszym sposobem na zabicie człowieka w Lasach. Było zbyt wolne.

Wartownik zaczął się rzucać i szarpać za gardło. Pobliskie widma się zatrzymały.

Pociągnęła mocniej. Strażnik, osłabiony trucizną, próbował ją kopnąć. Cofnęła się, nadal trzymając

go mocno, i obserwowała widma. Wyglądały jak zwierzęta wachające powietrze. Kilka zaczęło ciemnieć, tracić swój słaby naturalny blask, a ich sylwetki z białych stawały się czarne.

Zły znak. Cisza czuła, że serce wali jej w piersi. Umieraj, niech cię piekło pochłonie!

Mężczyzna w końcu przestał się szarpać, jego ruchy stały się bardziej spowolnione. Kiedy zadrzał po raz ostatni i znieruchomiał, Cisza odczekała całą wieczność, wstrzymując oddech. W końcu pobliskie widma znów pobieleły i odpłynęły.

Rozwiązała garotę i odetchnęła z ulgą. Rozejrzała się dookoła, zostawiła trupa i wróciła ostrożnie do William Ann.

Poczuła dumę z córki – dziewczyna ukryła się tak dobrze, że Cisza nie zauważyła jej do chwili, gdy William Ann szepnęła:

– Matko?

– Tak.

– Chwała niech będzie Bogu Poza. – William Ann wypełzła z zagłębienia, w którym przykryła się liśćmi. Z drzeniem wzięła matkę za rękę. – Znalazłaś ich?

Cisza skinęła głową.

– Zabiłam tego, który był na straży. Pozostali czterej powinni spać. Będę cię potrzebować.

– Jestem gotowa.

– Chodź za mną.

Wróciły drogą, którą wcześniej przeszła Cisza. Kiedy mijaly trupa czujki, William Ann przyjrzała mu się, nie okazując litości.

– To jeden z nich – szepnęła. – Rozpoznaję go.

– Oczywiście, że to jeden z nich.

– Chciałam po prostu być pewna. Skoro my... no wiesz.

Wkrótce znalazły obóz. Czterej mężczyźni spali w śpiworach pośród widm, jak potrafiły jedynie prawdziwe Dzieci Lasów. Pośrodku obozu umieścili nieduży słoik jarzypasty, w zagłębieniu, żeby nie świecił zbyt jasno i nie zdradził ich obecności. Jego zielony blask wystarczył jednak, by oświetlić konie uwiązane kilka stóp dalej, po drugiej stronie obozu. Ukazywał również twarz William Ann. Cisza z zaskoczeniem stwierdziła, że na twarzy dziewczyny maluje się nie strach, ale ogromny gniew. Szybko stała się opiekuńczą starszą siostrą dla Sebruki. Jednak była gotowa zabijać.

Cisza wskazała na mężczyznę po prawej, a William Ann pokiwała głową. To była niebezpieczna część. Dostali jedynie pół dawki, a odgłosy wydawane przez umierającego towarzysza mogły ich obudzić.

Cisza wzięła jeden z płóciennych worków i podała go córce, po czym sięgnęła po młotek. To nie była broń, jedna z tych, o których opowiadał jej dziadek. Jedynie proste narzędzie do wbijania gwoździ. I innych rzeczy.

Uniosła trzy palce do William Ann, po czym opuszczała je po kolei. Kiedy trzeci palec się zgiął, dziewczyna zarzuciła worek na głowę mężczyzny. Szarpnął się, a wtedy Cisza uderzyła go w skroń młotkiem. Czaszka pękła i głowa nieco opadła. Mężczyzna zadrzał i znieruchomiał.

Cisza rozglądała się czujnie, gdy William Ann mocno wiązała worek. Pobliskie widma zatrzymały się, ale to nie przyciągnęło ich uwagi tak bardzo jak duszenie. Jeśli smoła wewnątrz worka powstrzyma wypływ krwi, powinny być bezpieczne. Cisza jeszcze dwa razy uderzyła mężczyznę

w głowę i sprawdziła puls. Nic.

Ostrożnie zajęły się drugim mężczyzną w rzędzie. To było brutalne zajęcie, jak zarzynanie zwierząt. Pomagało myślenie, że są wściekli, jak wcześniej powiedziała córce. Myślenie o tym, co zrobili Sebruki, nie pomagało. Rozzłościłaby się, a nie mogła sobie na to pozwolić. Musiała być zimna, cicha i skuteczna.

Drugi mężczyzna potrzebował więcej ciosów w głowę, by umrzeć, ale budził się wolniej niż towarzysz. Bagniak wywoływał otępienie. Doskonale służył jej celom. Musieli być senni, trochę zdezorientowani. I...

Kolejny mężczyzna usiadł w śpiworze.

– Co...? – zapytał niewyraźnie.

Cisza chwyciła go za ramiona i obaliła na ziemię. Pobliskie widma obróciły się, jakby usłyszały głośny hałas. Kiedy Cisza wyciągała garotę, mężczyzna szarpnął się i spróbował odepchnąć ją na bok, a William Ann sapnęła zaskoczona.

Cisza przetoczyła się, otaczając gardło mężczyzny. Pociągnęła mocno i trzymała ze wszystkich sił, kiedy mężczyzna się szarpał, wabiąc widma. Był już prawie martwy, gdy ostatni mężczyzna wyskoczył ze śpiwora. Przerażony postanowił uciec.

Na cienie! Tym ostatnim był sam Chesterton. Gdyby przyciągnął widma...

Cisza zostawiła trzeciego mężczyznę i porzuciwszy wszelką ostrożność, pobiegła za Chestertonem. Gdyby widma wysuszyły go w pył, nie miałyby nic. Brak trupa oznaczał brak nagrody.

Widma wokół obozu zniknęły jej z oczu, kiedy dogoniła Chestertona przy koniach. W desperacji rzuciła się na jego nogi i obaliła sennego mężczyznę na ziemię.

– Ty suko – powiedział niewyraźnie i kopnął ją. – Jesteś właścicielką gospody. Otrułaś mnie, ty suko!

W lesie widma całkowicie poczerniały. Zapłonęły zielone oczy, kiedy otworzyły swój ziemiozrok. Z ich oczu płynął mglisty blask.

Cisza odepchnęła ręce szarpiącego się Chestertona.

– Odpłacę ci. – Próbował do niej sięgnąć. – Odpłacę ci...

Wbiła mu młotek w ramię, aż krzyknął. Później z trzaskiem opuściła go na twarz mężczyzny. Kiedy zaczął jęczeć i się rzucać, zdjęła sweter i jakimś sposobem owinęła nim jednocześnie jego głowę i młotek.

– William Ann! – zawołała. – Potrzebuję torby. Torba, dziewczyno! Daj mi...

Córka uklękła obok niej i założyła torbę na głowę Chestertona w chwili, gdy krew zaczęła przesiąkać przez sweter. Cisza gorączkowo wyciągnęła rękę w bok, złapała kamień i uderzyła nim w głowę okrytą workiem. Sweter tłumiał krzyki Chestertona, ale tłumiał też ciosy. Musiała walić raz za razem.

W końcu znieruchomiał. William Ann zaciskała worek wokół jego szyi, by powstrzymać krew, dyszała przy tym ciężko.

– Och, Boże Poza. O, Boże...

Cisza odważyła się podnieść wzrok. Dziesiątki zielonych oczu wisiały w lesie, świeciły jak malutkie ogniska w ciemnościach. William Ann mocno zacisnęła powieki i wyszeptała modlitwę. Po jej policzkach płynęły łzy.

Cisza powoli sięgnęła do pasa i wyjęła srebrny sztylet. Pamiętała inną noc, inne morze świecących zielonych oczu. Ostatnia noc jej babki. „Uciekaj, dziewczyno! Uciekaj!”.

Tamtej nocy ucieczka była możliwa. Znajdowały się blisko bezpiecznego miejsca. A i tak babce się nie udało. Choć mogłoby.

Tamta noc przerażała Ciszę. To, co zrobiła babka. To, co zrobiła ona sama... Cóż, tej nocy miała tylko jedną nadzieję. Ucieczka by ich nie ocaliła. Bezpieczeństwo było zbyt daleko.

Oczy na szczęście zaczęły powoli gasnąć. Cisza usiadła i pozwoliła, by srebrny nóż wysunął się z jej palców na ziemię.

William Ann otworzyła oczy.

– O, Boże Poza! – powiedziała, gdy widma znów stały się widoczne. – Cud!

– Żaden cud. Tylko szczęście. Zabiłyśmy go w ostatniej chwili. Jeszcze sekunda, a byłyby rozwścieczone.

William Ann objęła się rękami.

– Och, na cienie. Och, na cienie. Myślałam, że jesteśmy martwe. Och, na cienie.

Nagle Cisza o czymś sobie przypomniała. Trzeci mężczyzna. Kiedy Chesterton uciekł, nie skończyła go jeszcze dusić. Podniosła się i odwróciła.

Leżał nieruchomo.

– Wykończyłam go – powiedziała William Ann. – Musiałam go udusić gołymi rękami. Swoimi rękami...

Cisza spojrzała na nią.

– Dobrze sobie poradziłaś, dziewczyno. Pewnie uratowałaś nam życie. Gdyby cię tu nie było, nie zabiłabym Chestertona, nie rozwścieczając przy tym widm.

Dziewczyna wciąż wpatrywała się w las, obserwując spokojne widma.

– Co by było konieczne? – spytała. – Żebyś zobaczyła cud zamiast zbiegu okoliczności?

– Cud, rzecz jasna. – Cisza podniosła nóż. – Zamiast zwykłego zbiegu okoliczności. Chodź. Założmy im po drugim worku.

William Ann dołączyła do niej i ospałymi ruchami pomogła jej założyć worki na głowy bandytów. Dwa na każdego, na wszelki wypadek. Krew była najbardziej niebezpieczna. Bieganie przyciągało widma, ale powoli. Ogień natychmiast je rozwścieczał, ale też oślepił i dezorientował.

Krew jednak... krew rozlana w gniewie i wystawiona na powietrze... jedna kropla wystarczyła, by widma zamordowały winowajcę, a później wszystkich innych w zasięgu wzroku.

Cisza na wszelki wypadek sprawdziła bicie serca każdego z mężczyzn, niczego jednak nie wyczuła. Osiodłały konie, przerzuciły trupy – w tym wartownika – przez siodła i przywiązały je. Wzięły też śpiwory i resztę wyposażenia. Jeśli miały szczęście, mężczyźni mieli przy sobie trochę srebra. Prawa łowców głów pozwalały Ciszy zachować to, co znalazła, jeśli nie było wyraźnej wzmianki o skradzionych dobrach. W tym przypadku forty pragnęły śmierci Chestertona. Właściwie każdy jej pragnął.

Cisza mocno naciągnęła linę i znieruchomiła.

– Matko! – odezwała się William Ann, która zauważyła to samo.

Szelest liści w Lasach. Odkryły swój słój jarzypasty obok tego, który należał do bandytów, więc ich mały obóz był doskonale oświetlony, kiedy grupa ośmiorga mężczyzn i kobiet na koniach wyjechała z Lasów.

Pochodzili z fortów. Ładne ubrania, sposób, w jaki rozglądali się po Lasach i patrzyli na widma...

z pewnością fortowi. Cisza zrobiła krok do przodu i żałowała, że nie ma młotka, by robić choć trochę groźniejsze wrażenie. Niestety, wciąż był w worku zawiązanym na głowie Chestertona. Miał na sobie krew, więc nie mogła go wyjąć, dopóki wszystko nie zaschnie albo nie znajdzie się w naprawdę bezpiecznym miejscu.

– Tylko na to popatrzcie – powiedział mężczyzna stojący na przedzie przybyszów. – Nie mogłem uwierzyć w to, co powiedział mi Tobias, kiedy wrócił ze zwiadu, ale najwyraźniej mówił prawdę. Wszyscy członkowie gangu Chestertona zabici przez parę osadników z Lasu?

– Kim jesteś? – spytała cisza.

– Rudy Young. – Mężczyzna uchylił kapelusza. – Śledziłem tych tutaj od czterech miesięcy. Nie wiem, jak wyrazić swoją wdzięczność za to, że zajęłyście się nimi za mnie.

Machnął na swoich ludzi, którzy zaczęli zsiadać z koni.

– Matko! – syknęła William Ann.

Cisza patrzyła Rudemu w oczy. Był uzbrojony w pałkę, a jedna z kobiet za nim miała jedną z tych nowych kuszy z tępymi grotami. Łatwo się je naciągało i uderzały mocno, ale nie rozlewały krwi.

– Odejdź od koni, dziecko – powiedziała Cisza.

– Ale...

– Odejdź.

Cisza puściła wodze konia, którego prowadziła. Troje ludzi z fortów chwyciło za sznury, a jeden z mężczyzn popatrzył lubieżnie na William Ann.

– Bystra jesteś.

Rudy pochylił się i przyjrzał się Ciszy. Jedna z jego kobiet przeszła obok, prowadząc konia Chestertona z przywiązanym do niego trupem.

Cisza podeszła i położyła dłoń na siodle Chestertona. Kobieta, która trzymała za wodze konia, zatrzymała się i spojrzała na swojego szefa. Cisza wysunęła nóż z pochwy.

– Coś nam dasz. – Cisza zwróciła się do Rudego, nóż trzymała w ukryciu. – Po tym, co zrobiliśmy. Jedna czwarta, a zachowam milczenie.

– Jasne. – Uchylił kapelusza. Na twarzy miał fałszywy uśmiech, jak na obrazie. – Będzie jedna czwarta.

Cisza skinęła głową. Przycisnęła nóż do jednej z cienkich lin, które mocowały ciało Chestertona do siodła. Dzięki temu mogła ją porządnie naciąć, kiedy kobieta odciągnęła konia. Cisza cofnęła się i położyła dłoń na ramieniu córki, jednocześnie ukradkowo chowając nóż do pochwy.

Rudy znów uchylił kapelusza. Po chwili łowcy głów zniknęli między drzewami, kierując się w stronę drogi.

– Jedna czwarta? – syknęła William Ann. – Naprawdę sądzisz, że zapłaci?

– Wątpię. – Cisza podniosła torbę. – Mamy szczęście, że nas nie zabił. Chodź. – Ruszyła w głąb Lasów. Córka szła obok niej, obie poruszały się, nie wykonując gwałtownych ruchów, jak wymagały tego Lasy. – Może nadeszła pora, żebyś wróciła do gospody, William Ann.

– A ty co zamierzasz zrobić?

– Odzyskać naszą nagrodę.

Była Zwiadowcą, niech to piekło pochłonie. Żaden sztywniak z fortów jej nie okradnie.

– Pewnie zamierzasz zejść im drogę przy białym przestworze. Ale co zrobisz? Nie pokonamy tak

wielu, matko.

– Znajdę sposób.

Ten trup oznaczał wolność – życie – dla jej córek. Nie zamierzała pozwolić, by się jej wyślizgnął jak dym między palcami. Wkroczyły w ciemność, mijając widma, które jeszcze niedawno były prawie gotowe je wysuszyć. A teraz dryfowały zupełnie obojętne na ich ciała.

Myśl, Ciszo. Coś tu jest bardzo nie tak. Jak ci ludzie odnaleźli obóz? Światło? Podśluchali jej rozmowę z William Ann? Twierdzili, że od czterech miesięcy polowali na Chestertona. Nie powinna usłyszeć o nich wcześniej? Ci mężczyźni i kobiety wyglądali zbyt świeżo jak na kogoś, kto spędził w Lasach całe miesiące, śledząc zabójców.

Doprowadziło ją to do wniosku, który bardzo jej się nie podobał. Jeden człowiek wiedział, że dziś polowała na nagrodę, i zobaczył, jak zamierzała to zrobić. Jeden człowiek miał powód, by odebrać jej tę nagrodę.

Theopolisie, mam nadzieję, że się mylę, pomyślała. Bo jeśli to ty za tym stoisz...

Cisza i William Ann wlokły się przez serce Lasów, miejsce, gdzie żarłoczna kopuła drzew pochłaniała wszelkie światło, przez co ziemia poniżej pozostawała jałowa. Widma patrolowały te leśne sale jak ślepi wartownicy. Rudy i łowcy nagród pochodzili z fortów. Trzymali się drogi, co było jej przewagą. Lasy nie były przyjacielem osadnika, podobnie jak znajoma przepaść nie staje się przez to mniej niebezpieczna.

Ale Cisza była żeglarzem na tej otchłani. Umiała ją lepiej ujarzmić niż ktokolwiek z fortów. Może nadszedł czas wywołać sztorm.

To, co osadnicy nazywali „białym przestworem” było odcinkiem drogi biegnącym między polami grzybów. Dotarcie do niego przez Lasy zajęło około godziny, a kiedy przybyły na miejsce, Cisza zaczynała już czuć ciężar nieprzespanej nocy. Zignorowała zmęczenie, drepcząc po polu grzybów. Emanujący zielonym blaskiem słoń nadawał niezdrowy odcień drzewom i bruzdom w ziemi.

Droga okrążyła Lasy, a później wracała do tego miejsca. Jeśli tamci kierowali się w stronę Ostatniego Portu albo innego pobliskiego fortu, musieli tędy przejechać.

– Idź dalej – powiedziała Cisza do córki. – Do gospody została ci tylko godzina marszu. Sprawdź, jak wygląda tam sytuacja.

– Nie zostawię cię, matko.

– Przysięgałaś, że będziesz posłuszna. Złamiesz słowo?

– A ty obiecałaś, że pozwolisz, żebym ci pomogła. Złamiesz swoje słowo?

– Do tego cię nie potrzebuję. A będzie niebezpiecznie.

– Co zamierzasz zrobić?

Cisza zatrzymała się przy drodze, uklękła i zaczęła grzebać w torbie. Wydobyła beczułkę prochu. Twarz William Ann stała się biała jak grzyby.

– Matko!

Cisza odwiązała krzesiwo babki. Nie była pewna, czy nadal działało. Nigdy nie odważyła się nacisnąć dwóch metalowych ramion, które wyglądały jak obcegi. Po naciśnięciu ich końce ocierały się o siebie, krzesząc iskry, a sprężyna w miejscu połączenia sprawiała, że znów się rozdzielały.

Spojrzała na córkę i uniosła krzesiwo na wysokość głowy. William Ann cofnęła się i rozejrzała na boki, zerknęła w stronę pobliskich widm.

– Jest naprawdę aż tak źle? – szepnęła dziewczyna. – To znaczy z nami?

Cisza pokiwała głową.

– W takim razie w porządku.

Głupia dziewczyna. Cisza uznała, że jej nie odeśle. Tak naprawdę potrzebowała pomocy. Zamierzała odzyskać tego trupa. Ciała były ciężkie, a nie mogła mu odciąć głowy. Nie w Lasach pełnych widm.

Sięgnęła do plecaka i wyjęła zestaw do leczenia umocowany między dwiema deseczkami, które mogły służyć jako łubki. Przywiązanie deseczek po obu stronach krzesiwa nie było trudne. Wykopała rydlem niewielki otwór w miękkiej ziemi drogi.

Następnie wyjęła zatyczkę i umieściła beczułkę w otworze. Nasączyła chusteczkę oliwą z lampy i włożyła jeden koniec do beczułki, a krzesiwo położyła na drodze, z końcówką tworzącą iskry obok nasączonej oliwą tkaniny. Przykrywszy całość liśćmi, miała gotową prymitywną pułapkę. Gdyby ktoś nadepnął na górną deseczkę, wcisnąłby ją, a iskry podpaliłyby chusteczkę. Taką w każdym razie miała nadzieję.

Nie mogła sobie pozwolić na własnoręczne rozpalenie ognia. Widma zawsze atakowały jako pierwszego tego, kto rozpałił ogień.

– Co się stanie, jeśli na to nie nadepną? – spytała William Ann.

– To przejdziemy dalej i znów spróbujemy.

– Wiesz, że to może rozlać krew.

Cisza nie odpowiedziała. Jeśli pułapkę uruchomi nadeptanie, widma nie będą wiedziały, że to wina Ciszy. Najpierw zaatakują tego, kto uruchomił pułapkę. Ale jeśli poleje się krew, wpadną we wściekłość. I później nie będzie już miało znaczenia, kto do tego doprowadził. Wszyscy znajdą się w niebezpieczeństwie.

– Zostało nam kilka godzin ciemności – powiedziała Cisza. – Zakryj jarzypastę.

William Ann pokiwała głową i pośpiesznie zakryła słoń. Cisza znów sprawdziła pułapkę, po czym wzięła córkę za ramię i pociągnęła ją na bok drogi. Zarośla były tam bujniejsze, gdyż droga wiła się wzdłuż przerw w baldachimie liści. Ludzie szukali w Lasach miejsc, w których mogli zobaczyć niebo.

W końcu łowcy głów dotarli na miejsce. Jechali w milczeniu, każdy oświetlony słońcem jarzypasty. Fortowi nie rozmawiali w nocy. Minęli pułapkę, którą Cisza umieściła na najwęższym odcinku drogi. Wstrzymała oddech, patrząc na przechodzące konie, krok po kroku omijające wybrzuszenie ukrywające deskę. William Ann zasłoniła uszy i skuliła się.

Kopyto trafiło pułapkę. Nic się nie stało. Cisza sapnęła z irytacją. Co robi, jeśli krzesiwo się popsulo? Czy znajdzie inny sposób, by...

Uderzył w nią wybuch, fala wstrząsnęła jej ciałem. Widma zniknęły błyskawicznie, otworzyły zielone oczy. Konie stawały dęba i rżały, mężczyźni i kobiety wrzeszczeli.

Cisza otrząsnęła się z osłupienia, chwyciła William Ann za ramię i wyciągnęła ją z kryjówki. Pułapka zadziałała lepiej, niż się spodziewała – płonąca szmatka sprawiła, że koń, który uruchomił pułapkę, zdążył się cofnąć o kilka kroków, zanim nastąpił wybuch. Żadnej krwi, jedynie mnóstwo zaskoczonych koni i zdezorientowanych ludzi. Beczułka prochu nie wywołała tak wielkich zniszczeń, jak spodziewała się Cisza – opowieści o tym, czego mógł dokonać proch, były często równie fantastyczne jak legendy o Ojczyźnie – ale dźwięk był niewiarygodny.

Ciszy dzwoniło w uszach, kiedy przebijała się przez zdezorientowanych fortowych, aż w końcu

znalazła to, czego szukała. Trup Chestertona leżał na ziemi, dzięki przetartej linie zrzucony z siodła przez wierzgającego konia. Chwyła ciało pod ramiona, a William Ann złapała je za nogi.

– Idioci! – wrzeszczał Rudy pośród zamieszania. – Zatrzymajcie ją! To...

Przerwał, gdy widma wypełniły drogę, otaczając jego ludzi. Rudemu udało się zapanować nad koniem, ale teraz musiał cofnąć go przed widmami. Rozwścieczone, stały się całkiem czarne, choć wybuch światła i ognia wyraźnie je oszołomił. Krążyły jak ćmy wokół płomienia. Zielone oczy. Niewielkie pocieszenie. Gdyby stały się czerwone...

Jeden z łowców głów, stojący na drodze i obracający się dookoła, został zaatakowany. Jego plecy wygięły się w łuk, na skórze pojawiły się czarne pasma. Padł na kolana, a ciało na jego twarzy skurczyło się, opinając czaszkę.

Cisza odwróciła wzrok. William Ann wpatrywała się z przerażoną miną w powalonego mężczyznę.

– Powoli, dziecko. – Cisza miała nadzieję, że jej głos brzmi uspokajająco. Sama nie czuła się w nastroju do uspokajania. – Ostrożnie. Możemy od nich odejść. William Ann. Popatrz na mnie.

Dziewczyna odwróciła się w jej stronę.

– Patrz mi w oczy. Ruszaj się. Zgadza się. Pamiętaj, widma najpierw zaatakują źródło ognia. Są dezorientowane, oszołomione. Nie wyczuwają zapachu ognia tak jak krwi, więc przeniosą się od niego do najbliższego źródła gwałtownych ruchów. Powoli, spokojnie. Niech ci kręcący się fortowi odwrócą ich uwagę.

Z nieznośną powolnością weszły do Lasów. W obliczu tak wielkiego chaosu, tak wielkiego niebezpieczeństwa, wydawało się, że wręcz pełzną. Rudy zorganizował opór. Z podekscytowanymi przez ogień widmami dawało się walczyć i niszczyć je srebrem. Przybędą kolejne, ale jeśli łowcy głów byli bystrzy i mieli szczęście, uda im się zniszczyć te w pobliżu, a później powoli oddalić się od źródła ognia. Mogli się ukryć, przeżyć. Może.

Chyba że któryś z nich przypadkiem rozleje krew.

Cisza i William Ann przeszły przez pole grzybów, które błyszczwały jak czaszki szczurów i bezgłośnie łamały się pod ich stopami. Trochę brakowało im szczęścia, bo kiedy widma otrząsnęły się z dezorientacji po wybuchu, dwa na obrzeżach odwróciły się i ruszyły w stronę uciekających kobiet.

William Ann sapnęła. Cisza powoli odłożyła ramiona Chestertona i wyciągnęła nóż.

– Idź dalej – szepnęła. – Odciągnij go. Powoli, dziewczyno. Powoli.

– Nie zostawię cię!

– Dogonię cię. Nie jesteś na to gotowa.

Nie obejrzała się, by sprawdzić, czy córka wypełniła jej polecenie, gdyż widma – całkowicie czarne sylwetki przesuwające się na tle porośniętej białymi guzkami ziemi – dotarły do niej. Siła nie miała znaczenia w walce przeciwko widmom. Nie były materialne. Liczyły się jedynie dwie rzeczy – szybkość i brak strachu.

Widma były niebezpieczne, ale dało się z nimi walczyć, jeśli tylko miało się srebro. Wielu ludzi zgineło, ponieważ uciekało, przyciągając jeszcze więcej widm, zamiast zatrzymać się i walczyć.

Cisza zamachnęła się na widma, kiedy do niej dotarły. Chcecie mojej córki, piekielne stwory? – pomyślała z warknięciem. Powinniście zaatakować fortowych zamiast nas.

Zamachnęła się nożem w stronę pierwszego widma, jak nauczyła ją babka. „Nigdy nie cofaj się i nie kul przed widmami. Masz w sobie krew Zwiadowców. Lasy należą do ciebie. Jesteś z nich tak samo jak

inni. Jak ja...”.

Jej nóż przeciął widmo, które stawiało niewielki opór, pojawiła się też fontanna iskier strzelająca na zewnątrz. Widmo cofnęło się, jego czarne macki się zwijały.

Cisza odwróciła się w stronę drugiego. Czarne niebo sprawiło, że kiedy stwór do niej sięgał, widziała jedynie jego koszmarne zielone oczy. Zamachnęła się.

Widmowe ręce ją dopadły, lodowate palce chwyciły jej ramię poniżej łokcia. Czuła je. Palce widm były materialne, mogły człowieka złapać, zatrzymać. Jedynie srebro je odpychało. Jedynie srebro pozwalało walczyć.

Wbiła ramię głębiej. Z pleców stwora wystrzeliły iskry, rozlewając się jak wiadro pomyj. Cisza sapnęła, czując straszliwy, lodowaty ból. Nóż wysunął się z jej palców, których już nie czuła. Szarpnęła się do przodu i padła na kolana w chwili, gdy widmo cofnęło się i zaczęło wirować w szalonej spirali. Pierwsze leżało na ziemi jak umierająca ryba, próbowało się podnieść, ale jego górna połowa ciągle opadała w dół.

Zimno w jej ramieniu było dojmujące. Wpatrzyła się w ranną rękę, na jej oczach ciało wysuszyło się i napięło na kościach.

Usłyszała płacz.

„Stój, Ciszo”. Głos babki. Wspomnienia pierwszego razu, gdy zabiła widmo. „Rób, co ci każę. Żadnych łez. Zwiadowcy nie płaczą. Zwiadowcy NIE PŁACZĄ”.

Tamtego dnia nauczyła się ją nienawidzić. Miała dziesięć lat, trzymała swój mały nóż, drżała i płakała w mroku nocy, kiedy babka zamknęła ją i dryfujące widmo w kręgu srebrnego pyłu.

Babka biegła dookoła, rozwścieczając widmo ruchem. Kiedy Cisza była uwięziona w środku. Ze śmiercią.

„To jedyny sposób, by się tego nauczyć, Ciszo. A nauczysz się, tak czy inaczej!”.

– Matko! – powiedziała William Ann.

Cisza zamrugła i wyrwała się ze wspomnień, kiedy córka posypała jej odsłoniętą rękę srebrnym pyłem. Wysuszenie zatrzymało się, kiedy zapłakana William Ann wysypała całą torebkę srebra na jej rękę. Metal cofnął zmiany i skóra znów stała się różowa, czerń rozpląwała się w chmurze białych błysków.

Za dużo, pomyślała Cisza. Dziewczyna w pośpiechu zużyła cały srebrny pył, dużo więcej, niż było konieczne przy jednej ranie. Trudno jej jednak było poczuć gniew, gdy do ręki wracało czucie, a lodowate zimno zniknęło.

– Matko? Zostawiłam cię, jak kazałaś. Ale on był tak ciężki, że nie zaszłam daleko. Wróciłam po ciebie. Przepraszam. Wróciłam po ciebie!

– Dziękuję. – Cisza odetchnęła. – Dobrze zrobiłaś.

Chwyciła córkę za ramię, a później wyciągnęła jeszcze przed chwilą wysuszoną dłoń, by poszukać w trawie noża babki. Kiedy go podniosła, ostrze było poczerniałe w kilku miejscach, ale wciąż dobre.

Na drodze fortowi ustawili się w kręgu i powstrzymywali widma włóczniami o srebrnych grotach. Konie uciekły albo zostały pochłonięte. Cisza pomacała ziemię i znalazła garstkę srebrnego pyłu. Reszta została zużyta do leczenia. Zbyt wiele.

Nie ma sensu się tym teraz martwić, pomyślała, wpychając garść proszku do kieszeni.

– Chodź. – Podniosła się z trudem. – Przepraszam, że nigdy cię nie nauczyłam, jak z nimi walczyć.

– Nauczyłaś. – William Ann otarła łzy. – Dużo mi o tym opowiadałaś.

Opowiadała. Nigdy nie pokazała. „Na cienie, babko. Wiem, że cię rozczarowuję, ale nigdy jej tego nie zrobię. Nie mogę. Jestem dobrą matką. Ochronię je”.

Opuściły pole grzybów, podniosły makabryczny łup i ruszyły przez Lasy. Mijały kolejne pociemniałe widma unoszące się w stronę walki. Przyciągały je iskry. Fortowi byli martwi. Zbyt wielkie zainteresowanie, zbyt gwałtowna szarpanina. Przed upływem godziny otoczy ich tysiąc widm.

Cisza i William Ann poruszały się powoli. Choć zimno w większości ustąpiło z ręki Ciszy, pozostało... coś. Głęboki dreszcz. Kończyna dotknięta przez widma miesiącami wydawała się inna.

Ale mogło być o wiele gorzej. Gdyby William Ann nie myślała tak szybko, Cisza mogłaby stać się kaleką. Kiedy wysuszenie wdało się na dobre – co zabierało trochę czasu, choć różnie w różnych sytuacjach – było nieodwracalne.

Coś zaszeleściło wśród drzew. Cisza zamarła, a William Ann zatrzymała się i rozejrzała dookoła.

– Matko?

Cisza zmarszczyła czoło. Noc była taka czarna, a one musiały porzucić swoje światła. Coś tam jest, pomyślała, próbując przeszyć wzrokiem mrok. Czym jesteś? Niech Bóg Poza ma je w swojej opiece, jeśli walka przyciągnęła jedno z Najgłębszych.

Dźwięk się nie powtórzył. Cisza niechętnie ruszyła dalej. Szły przez dobrą godzinę, a w ciemnościach Cisza nie zorientowała się, że zbliżyły się do drogi, do chwili, gdy na niej stanęły.

Odetchnęła głęboko, położyła ciężar i rozprostowała zmęczone ramiona. Trochę światła z Pasa Gwiazd docierało do nich, oświetlając coś przypominającego dużą żuchwę po lewej od nich. Stary Most. Były już prawie w domu. Tutejsze widma nie były nawet poruszone, dryfowały leniwie niemal jak motyle.

Tak bardzo bolały ją ręce. Wydawało się, że trup z każdą chwilą staje się coraz cięższy. Ludzie rzadko uświadamiali sobie, jak ciężkie są ciała. Cisza usiadła. Zamierzała trochę odpocząć, zanim ruszą dalej.

– William Ann, zostało ci trochę wody w manierce?

Dziewczyna pisnęła.

Cisza się wzdrygnęła. Córka stała obok mostu, a za nią stało coś ciemnego. Noc rozświetlił nagle zielony blask, gdy postać wyjęła niewielką buteleczkę jarzypasty. W tym chorobliwym świetle Cisza zobaczyła, że to Rudy.

Trzymał sztylet przy gardle William Ann. Fortowy ucierpiał w czasie walki. Jedno z jego oczu stało się mlecznobiałe, połowa twarzy poczerniała, wargi odsłaniały zęby. Widmo trafiło go w twarz. Miał szczęście, że przeżył.

– Pomyślałem, że będziesz tędy wracać. – Z powodu wysuszonych warg jego słowa brzmiały bełkotliwie. Po brodzie spływała mu ślina. – Srebro. Daj mi swoje srebro.

Jego nóż... był ze zwyczajnej stali.

– Już! – ryknął, przyciskając ostrze do szyi dziewczyny.

Gdyby choć ją zadrasnął, widma natychmiast by ich dopadły.

– Mam tylko nóż – skłamała, wyjęła go i rzuciła na ziemię przed nim. – Dla twojej twarzy już za późno, Rudy. Wysuszenie wdało się na dobre.

– Nieważne – syknął. – A teraz ciało. Cofnij się od niego, kobieto. Cofnij się!

Cisza zrobiła krok w bok. Czy mogła go dopaść, nim zabije William Ann? Musiał podnieść ten nóż. Gdyby skoczyła w odpowiedni sposób...

– Zabiłaś moich ludzi – warknął Rudy. – Są martwi, wszyscy. Boże, gdybym nie wtoczył się do tego zagłębienia... Musiałem tego słuchać. Słuchać, jak są zarzynani.

– Byłeś jedynym bystrym wśród nich. Nie ocaliłbyś ich, Rudy.

– Suko! Zabiłaś ich.

– Sami się zabili. Przychodźcie do moich Lasów, odbieracie, co moje? Twój ludzie albo moje dzieci, Rudy.

– Jeśli chcesz, żeby twoje dziecko przeżyło noc, nie będziesz się ruszać. Dziewczyno, podnieś ten nóż.

William Ann uklękała z jękiem. Rudy naśladował jej ruchy, trzymał się tuż za nią, patrzył na Ciszę i mocno ścisnął nóż. William Ann podniosła broń drżącymi rękami.

Rudy odebrał dziewczynie srebrny nóż i trzymał go jedną ręką, a drugą wciąż przyciskał zwykle ostrze do jej szyi.

– Dziewczyna przyniesie ciało, a ty zaczekasz tutaj. Nie chcę, żebyś się zbliżała.

– Oczywiście.

Cisza już planowała. Nie mogła pozwolić sobie na atak w tej chwili. Był zbyt ostrożny. Podąży za nim przez Lasy, wzdłuż drogi, i zaczeka na chwilę słabości. Wtedy uderzy.

Rudy splunął w bok.

I wtedy tępy pocisk kuszy wystrzelił z mroku nocy i uderzył go w ramię, wstrząsając nim. Jego grot prześlizgnął się po szyi William Ann. Popłynął strumyczek krwi. Dziewczyna otworzyła szerzej oczy, choć było to jedynie draśnięcie. Rana nie była groźna.

Ale krew tak.

Rudy cofnął się, zaciskając dłoń na ramieniu. Kilka kropli krwi błyszczało na jego nożu. Otaczające ich widma poczerniały. Zapłonęły zielone oczy, które zaraz stały się szkarłatne.

Czerwone oczy w mroku. Krew w powietrzu.

– Niech to piekło! – wrzasnął Rudy. – Niech to piekło!

Czerwone oczy tłoczyły się wokół niego. Żadnego wahania, żadnej dezorientacji. Rzuciły się na tego, który rozlał krew.

Gdy opadły widma, Cisza wyciągnęła rękę do William Ann. Rudy chwycił dziewczynę i pchnął ją przez widmo, próbując je powstrzymać. Obrócił się i uciekł w przeciwną stronę.

William Ann przeszła przez widmo, jej twarz się wysuszyła, skóra na brodzie i wokół oczu naciągnęła. Zatoczyła się przez widmo w ramiona matki.

Cisza poczuła nagły, przytłaczający atak paniki.

– Nie! Dziecko, nie. Nie. Nie...

William Ann poruszała ustami, zakrztusiła się, jej wargi cofnęły się i odsłoniły zęby, a oczy otworzyły szerzej, gdy powieki się skurczyły.

Srebro. Potrzebuję srebra. Mogę ją ocalić. Cisza gwałtownie uniosła głowę, wciąż trzymając w ramionach córkę. Rudy biegł drogą, machając srebrnym nożem i rozsiewając iskry. Otaczały go widma. Setki, jak stado kruków.

Nie tak. Widma wkrótce go wykończą i będą szukać ciał. Wszelkich ciał. William Ann nadal miała

krew na szyi. Ona będzie następna. A dziewczyna i tak szybko się wysuszała.

Sztylet by nie wystarczył, by ją ocalić. Cisza potrzebowała pyłu, srebrnego pyłu, który mogła wcisnąć córce do gardła. Sięgnęła do kieszeni i wyjęła garstkę proszku.

Za mało. Wiedziała, że to za mało. Szkolenie babki uspokoiło jej umysł i wszystko stało się jasne.

Gospoda była blisko. Miała tam więcej srebra.

– M... matko...

Cisza wzięła William Ann na rękę. Była zbyt lekka, ciało wysychało. Odwróciła się i przebiegła przez most.

Ramiona ją piekły, obolałe po dźwiganiu trupa. Trup... nie mogła go stracić!

Nie. Nie mogła o nim myśleć. Widma dostaną go wkrótce po śmierci Rudego – ciało było jeszcze dość ciepłe. Nie będzie nagrody. Musiała się skupić na William Ann.

Łzy Ciszy wydawały się zimne na jej twarzy, gdy biegła. Córka szarpała się w jej ramionach w przedśmiertnych drgawkach. Gdyby tak umarła, stałaby się widmem.

– Nie stracę cię! – powiedziała Cisza w noc. – Proszę. Nie stracę cię...

Za jej plecami Rudy wydał z siebie długi okrzyk agonii, który ucichł, gdy widma się pożywiały. W pobliżu Ciszy inne widma się zatrzymały, a ich oczy poczerwieniały.

Krew w powietrzu. Czerwone oczy.

– Nienawidzę cię – szepnęła Cisza w biegu. Każdy krok był udręką. Rzeczywiście się starzała. – Nienawidzę cię! Za to, co stało się ze mną. Z nami.

Nie wiedziała, czy mówi do babki, czy Boga Poza. Tak często w jej umyśle byli jednym i tym samym. Czy wcześniej to sobie uświadamiała?

Szarpały ją gałęzie. Czy widziała przed sobą światło? Gospodę?

Przed sobą zobaczyła setki czerwonych oczu. Zatoczyła się na ziemię, William Ann była jak wiązka gałęzi w jej ramionach. Dziewczyna drżała, wywróciła oczy białkami do góry.

Cisza wyciągnęła garstkę srebrnego pyłu, który odzyskała wcześniej. Chciała wysypać go na córkę, oszczędzić jej trochę bólu, ale wiedziała, że to by było marnotrawstwo. Spojrzała z płaczem w dół, po czym otoczyła je niewielkim kręgiem. Co jeszcze mogła zrobić?

William Ann zadrżała. Oddychała z trudem, chrapliwie, i szarpała rękę Ciszy. Widma przybywały całymi dziesiątkami, otaczały je, czuły krew. Ciało.

Cisza przytuliła córkę. Powinna jednak odebrać nóż. Nie uzdrowiłby dziewczyny, ale mogła nim choć walczyć.

Bez niego, bez niczego, zawiodła. Babka miała rację.

– Cicho, moja miła... – szepnęła Cisza, zaciskając powieki. – Nie musisz się bać.

Widma zaatakowały jej kruchą barierę, strzeliły iskry, a Cisza otworzyła oczy. Cofnęły się, ale później przybyły kolejne i naparły na srebro, a ich czerwone oczy rozświetlały wijące się czarne sylwetki.

– Choć noc się przybliży... – Cisza krztusiła się słowami – ...słońce musi wstać.

William Ann wygięła ciało w łuk i znieruchomiła.

– Zaśnij... moja... moja miła... niech znikną twe ły. Choć otacza ciemność, nadejdzie znów... świt...

Była taka zmęczona. Nie powinnam pozwolić, żeby poszła ze mną.

Ale gdyby tak się stało, Chesterton by jej uciekł, a ona sama pewnie padłaby ofiarą widm. William

Ann i Sebruki zostałyby niewolnicami Theopolisa albo i gorzej.

Żadnych wyborów. Żadnej drogi wyjścia.

– Dlaczego wysłałeś nas tutaj?! – wrzasnęła, spoglądając poza setki świecących czerwonych oczu. – Jaki jest sens?!

Nie było odpowiedzi. Nigdy nie było odpowiedzi.

Tak, przez nisko wiszące gałęzie widziała przed sobą światło. Była zaledwie kilkanaście stóp od gospody. Umrze jak babka, parę kroków od domu.

Zamrugła i przytuliła William Ann, kiedy srebrna bariera zawiodła.

Ta... ta gałąź tuż przed nią. Miała taki dziwny kształt. Długa, wąska, bez liści. Zupełnie nie jak gałąź, ale jak...

Jak bełt kuszy.

Wbił się w drzewo po tym, jak kilka godzin wcześniej został wystrzelony z gospody. Pamiętała, jak wpatrywała się w wycelowany w nią błyszczący grot.

Srebro.

* * *

Cisza Montane wpadła przez tylne wejście do gospody, ciągnąc za sobą wysuszone ciało. Zatoczyła się do kuchni, ledwie zdolna iść, i wypuściła z wysuszonej dłoni bełt ze srebrnym grotem.

Jej skóra wciąż się napinała, ciało kurczyło. Nie udało jej się uniknąć wysuszenia, nie przy tak wielu widmach. Bełt jedynie pozwolił jej oczyścić drogę, dzięki czemu mogła ruszyć naprzód w ostatnim gorączkowym natarciu.

Ledwie widziała. Łzy płynęły z jej zamglonych oczu. Choć płakała, oczy miała wysuszone, jakby przez godzinę stała na wietrze. Jej powieki się nie domykały, nie mogła też poruszyć wargami.

Miała... proszek. Tak?

Myśl. Umyśl. Co?

Poruszała się bezmyślnie. Słój na parapecie. Gdyby krąg został przerwany. Odkręciła wieko palcami jak patyki. Ich widok przeraził odległy fragment jej umysłu.

Umieram. Umieram.

Wrzuciła zawartość słoja do misy z wodą i wyciągnęła ją, a później zatoczyła się do William Ann. Padła na kolana obok córki, rozlewając sporo wody. Resztę drżącą ręką wylała na twarz córki.

Proszę. Proszę.

Ciemność.

* * *

– Wysłano nas tutaj, byśmy byli silni – powiedziała babka, stojąc na krawędzi urwiska nad wodą.

Jej siwe włosy falowały na wietrze, poruszały się jak pasma widma.

Odwróciła się do Ciszy, a jej pomarszczoną twarz pokrywały kropelki wody z fal rozbijających się poniżej.

– Bóg Poza nas wysłał. To część planu.

– Łatwo ci tak mówić, czyż nie? – warknęła Ciska. – Wszystko możesz dopasować do tego mglistego planu. Nawet zniszczenie świata.

– Nie będę słuchać twoich bluźnierstw, dziecko. – Głos jak kroki na żwirze. Ruszyła w stronę Ciski.
– Możesz się buntować przeciwko Bogu Poza, ale to niczego nie zmieni. William był głupcem i idiotą. Tak jest lepiej dla ciebie. Jesteśmy Zwiadowcami. Przeżywamy. To my pewnego dnia pokonamy Zło.

Przeszła obok Ciski.

Ciska nigdy nie widziała uśmiechu babki, a przynajmniej od dnia śmierci męża. Uśmiech był marnowaniem energii. A miłość... miłość była dla ludzi w Ojczyźnie. Tych, których unicestwiło Zło.

– Spodziewam się dziecka – powiedziała Ciska.

Babka się zatrzymała.

– Williama?

– A kogo innego?

Babka ruszyła dalej.

– Żadnego potępienia? – Ciska odwróciła się i założyła ręce na piersi.

– Stało się. Jesteśmy Zwiadowcami. Jeśli tak musi być, trudno. Bardziej martwi mnie gospoda i konieczność płacenia tym przeklętym fortom.

Mam pewien pomysł, pomyślała Ciska, przypominając sobie listy gończe, które zaczęła zbierać. Coś, na co nawet ty byś się nie odważyła. Coś niebezpiecznego. Nie do pomyślenia.

Babka dotarła do lasów i spojrzała na Ciskę, skrzywiła się, włożyła kapelusz i weszła między drzewa.

– Nie pozwolę, żebyś wtrącała się do mojego dziecka! – zawołała za nią Ciska. – Wychowam ją tak, jak ja chcę!

Babka zniknęła w cieniach.

Proszę, proszę.

– Tak będzie!

Nie stracę cię. Nie...

* * *

Ciska sapnęła, obudziła się i szarpnęła rękami deski, wpatrując się w sufit.

Żyła. Żyła!

Stajenny Dob klęczał obok niej, trzymając stój sproszkowanego srebra. Zakaszła i uniosła palce – pulchne, uzdrowione – do szyi. Była zdrowa, choć podrażniona płatkami srebra, które wepchnięto jej do gardła. Jej skórę pokrywała warstwa czarnych płatków zużytego srebra.

Odwróciła się gwałtownie.

– William Ann!

Dziewczyna leżała na podłodze obok drzwi. Lewa strona jej ciała, którą na początku dotknęła widma, była poczerniała. Twarz nie wyglądała najgorzej, ale ręka była wysuszonym szkieletem. Będą musieli ją odciąć. Noga też wyglądała źle. Ciska nie umiała ocenić, jak bardzo, dopóki nie opatrzy ran.

Uklękła obok niej.

– Och, dziecko...

Dziewczyna oddychała. To musiało wystarczyć.

– Próbowałem – powiedział Dob. – Ale ty już zrobiłaś, co się dało.

– Dziękuję.

Cisza odwróciła się do starego mężczyzny, z jego wysokim czołem i tęnym spojrzeniem.

– Dopadłaś go? – spytał Dob.

– Kogo?

– Poszukiwanego.

– Ja... tak. Ale musiałam go zostawić.

– Znajdziesz innego – powiedział Dob swoim monotonnym głosem i podniósł się. – Lisowi zawsze się udaje.

– Od jak dawna wiedziałaś?

– Jestem idiotką, proszę pani. Nie głupcem.

Uklonił się i odszedł, jak zawsze pochylony.

Cisza wstała i z jękiem wzięła William Ann na rękę. Zniosła córkę do pokoju na górze i zajęła się nią.

Noga nie wyglądała tak źle, jak obawiała się Cisza. Straci parę palców, ale stopa była poza tym zdrowa. Cała lewa strona ciała dziewczyny poczerniała, jakby została spalona. Z biegiem czasu ten kolor zblaknie do szarości.

Wszyscy, którzy ją zobaczą, będą wiedzieli, co się wydarzyło. Wielu mężczyzn nie zechce jej dotknąć, obawiając się skażenia. To może ją skazać na życie w samotności.

Trochę wiem o takim życiu, pomyślała Cisza, zanurzyła ściereczkę w wiadrze i obmyła twarz córki. Dziewczyna prześpi cały dzień. Była bliska śmierci i przeobrażenia w widmo. Po czymś takim ciało długo wraca do siebie.

Oczywiście Cisza też była bliska śmierci. Ona jednak znalazła się w takim stanie już wcześniej. Kolejne z przygotowań Babki. Och, jakże nienawidziła tej kobiety. Cisza zawdzięczała to, kim była, szkoleniu, które ją zahartowało. Czy mogła jednocześnie być wdzięczna babce i nienawidzić jej?

Skończyła obmywać William Ann, przebrała ją w miękką koszulę i zostawiła na pościeli. Sebruki wciąż odsypiała efekty mikstury nasennej, którą dostała.

Dlatego Cisza zeszła do kuchni, by oddać się trudnym myślom. Straciła nagrodę. Widma pochłonęły ciało – skóra zmieniła się w pył, czaszka była poczerniała i zniszczona. Nie miała szansy udowodnić, że zabiła Chestertona.

Oparła się o kuchenny stół i złożyła dłonie przed sobą. Miała ochotę napić się whiskey, by stłumić przerażenie tej nocy.

Myślała całymi godzinami. Czy mogła jakoś spłacić Theopolisa? Zaciągnąć pożyczkę u kogoś innego? Kogo? Może znaleźć inną nagrodę. Ale tak niewielu ludzi przechodziło ostatnio przez gospodę. Theopolis już dostarczył jej ostrzeżenie razem z pismem. Nie poczeka dłużej niż dzień, dwa dni, zanim zgłosi roszczenie do gospody.

Czy naprawdę przeszła przez tak wiele, by przegrać?

Słońce padło na jej twarz, a wietrzyk wpadający przez stłuczone okno pogłaskał policzek, budząc ją z drzemki. Cisza zamrugła i przeciągnęła obolałe kończyny. Z westchnieniem podeszła do kuchennego blatu. Poprzedniego wieczoru zostawiła wszystko na wierzchu, gliniane misy z jarzypastą wciąż słabo świeciły. Bełt ze srebrnym grotem leżał przy tylnym wejściu, gdzie go porzuciła. Musiała

posprzątać i przygotować śniadanie dla nielicznych gości. A później wymyślić jakiś sposób...

Tylne drzwi się otworzyły i ktoś wszedł do środka.

...by poradzić sobie z Theopolisem. Odetchnęła cicho, patrząc na jego czyste ubranie i protekcyjny uśmiech. Wchodząc, naniósł błota.

– Cisza Montana. Piękny poranek, co?

Na cienie, pomyślała. Nie mam dość siły, by teraz się nim zająć.

Zaczął zamykać okiennice.

– Co ty wyprawiasz? – spytała.

– Co? Nie ostrzegałaś mnie wcześniej, że nie chciałybyś, by ludzie zobaczyli nas razem? Że mogliby się domyślić, że oddajesz mi ciała, żebym odebrał nagrody? Próbuję cię chronić. Coś się stało? Wyglądasz koszmarnie.

– Wiem, co zrobiłaś.

– Naprawdę? Ale widzisz, ja robię dużo rzeczy. O czym mówisz?

Och, jakże chciałyby zedrzyć uśmiech z jego warg, poderżnąć mu gardło i uciszyć ten irytujący akcent z Ostatniego Portu. Nie mogła. Był tak piekielnie dobrym aktorem. Domyślała się, pewnie słusznie. Ale nie miała dowodów.

Babka zabiłaby go na miejscu. Czy Cisza była gotowa utracić wszystko, byle tylko udowodnić jej, że się myliła?

– Byłeś w Lasach. Kiedy Rudy zaskoczył mnie przy moście, sądziłam, że to coś, co słyszałam, szelest w ciemności, to był on. Ale nie. Dał nam do zrozumienia, że czekał na nas przy moście. Tym czymś w ciemności byłeś ty. Ty strzeliłeś do niego z kuszy, żeby nim wstrząsnąć, sprawić, by rozlał krew. Dlaczego, Theopolisie?

– Krew? W nocy? I przeżyłaś? Muszę powiedzieć, że masz dużo szczęścia. Zadziwiające. Co jeszcze się wydarzyło?

Nic nie powiedziała.

– Przybyłem po spłatę długu. Nie masz poszukiwanego, którego mogłabyś mi oddać, co? Może jednak będziemy potrzebować mojego dokumentu. Jak to miło z mojej strony, że przyniosłem drugą kopię. To naprawdę będzie wspaniałe dla nas obojga. Nie zgadzasz się?

– Twoje stopy świecą.

Theopolis zawahał się, po czym spuścił wzrok. Błoto, które naniósł, w świetle pozostałości jarzypasty emanowało słabym niebieskim blaskiem.

– Śledziłaś mnie. Byłaś tam ostatniej nocy.

Spojrzał na nią ze spokojną, beztroską miną.

– I co?

Zrobił krok do przodu.

Cisza cofnęła się, uderzyła piętami w ścianę. Sięgnęła za siebie, wyjęła klucz i otworzyła drzwi za plecami. Theopolis chwycił ją za ramię i odciągnął, kiedy otworzyła drzwi.

– Idziesz po jedną z ukrytych broni? – spytał z szyderczym uśmiechem. – Kuszę, którą trzymasz na półce w spiżarni? Tak, wiem o tym. Jestem rozczarowany, Ciszo. Nie możemy być uprzejmi?

– Nigdy nie podpiszę twojego dokumentu, Theopolisie. – Splunęła mu do stóp. – Raczej umrę, raczej dam się wypędzić z domu. Możesz przejąć gospodę siłą, ale nie będę ci służyć. Niech cię piekło

pochłonie, sukinsynu. Ty...

Spoliczkował ją. Szybko, ale beznamiętnie.

– Zamknij się.

Zatoczyła się do tyłu.

– Co za melodramatyzm, Ciszo. Nie mogę być jedynym, który życzyłby sobie, żebyś postępowała zgodnie ze swoim imieniem, co?

Oblizła wargę, czując ból. Uniosła dłoń do twarzy. Kiedy ją cofnęła, na palcu miała kroplę krwi.

– Spodziewasz się, że będę się bał? Wiem, że jesteśmy tu bezpieczni.

– Fortowy głupiec – szepnęła i rzuciła w niego kroplą krwi. Trafiła w policzek. – Zawsze przestrzegaj Prostyh Zasad. Nawet kiedy myślisz, że nie musisz. A ja wcale nie otwierałam spiżarni.

Theopolis zmarszczył czoło i spojrzał na drzwi, które otworzyła. Drzwi do starej kapliczki. Kapliczki Boga Poza, która należała do jej babki.

Dolną część drzwi okuto srebrem.

W powietrzu za Theopolisem otworzyły się czerwone oczy, w ciemnym pomieszczeniu zmaterializowała się czarna postać. Theopolis zawahał się i odwrócił.

Nie zdążył nawet krzyknąć, kiedy widmo chwyciło go za głowę i odebrało mu życie. To było nowsze widmo, jego sylwetka wciąż była silna mimo wijącej się czerni ubrania. Wysoka kobieta o ostrych rysach i kręconych włosach. Theopolis otworzył usta, a jego twarz wysuszyła się, oczy zapadły się w głąb głowy.

– Powinieneś był uciec, Theopolisie – powiedziała Cisza.

Jego głowa zaczęła się zapadać, a ciało osunęło się na ziemię.

– Ukrywaj się przed zielonymi oczami, uciekaj przed czerwonymi. – Cisza podniosła leżący przy drzwiach bełt ze srebrnym grotem. – Twoje zasady, babko.

Widmo odwróciło się do niej. Cisza zadrżała, wpatrując się w martwe, szkliste oczy kobiety, której nienawidziła i którą kochała.

– Nienawidzę cię. Dziękuję, że sprawiłaś, że cię znienawidziłam.

Trzymała bełt przed sobą, ale widmo nie zaatakowało. Cisza poruszała się ostrożnie, zmuszając widmo do cofnięcia się. Odplynęło od niej, z powrotem do świątyni wyłożonej wzdłuż trzech ścian srebrem, w której Cisza uwięziła je przed laty.

Cisza z bijącym sercem zamknęła drzwi, domykając barierę, i przekręciła klucz w zamku. Nieważne, co się działo, widmo zostawiało Ciszę w spokoju. Niemal jakby pamiętało. I cisza niemal czuła się winna, że przed laty uwięziła tę duszę wewnątrz niewielkiej szafy.

* * *

Po sześciu godzinach poszukiwań znalazła ukrytą jaskinię Theopolisa.

Była tam, gdzie Cisza się spodziewała, pośród wzgórz niedaleko Starego Mostu. Miała srebrną barierę. Mogła zabrać to srebro, było sporo warte.

W niedużej jaskini znalazła trupa Chestertona, którego Theopolis zaciągnął do środka, kiedy widma zabijały Rudego, a później polowały na nią. Choć raz cieszę się, że byłeś chciwy, Theopolisie, pomyślała Cisza.

Musiła znaleźć kogoś innego, kto mógłby oddawać trupy poszukiwanych w jej imieniu. To było trudne, zwłaszcza w tak krótkim czasie. Wyciągnęła ciało i przerzuciła je przez grzbiet konia Theopolisa. Wkrótce dotarła do drogi, a po krótkim marszu znalazła Rudego, który zmienił się w stertę kości i ubrań.

Wyciągnęła nóż babki, wyszczerbiony i poczerniały po walce. Zmęczona powlokła się z powrotem do gospody i ukryła ciało Chestertona w piwnicy za stajnią, gdzie wcześniej przeniosła pozostałości Theopolisa. Wróciła do kuchni. Obok drzwi kapliczki, gdzie kiedyś wisiał sztylet matki, umieściła srebrny bełt kuszy, który nieświadomie wysłała jej Sebruki.

Co zrobią władze fortów, gdy wyjaśni im okoliczności śmierci Theopolisa? Może mogłaby utrzymywać, że znalazła go w takim stanie...

Po chwili namysłu na jej twarzy pojawił się uśmiech.

* * *

– Wygląda na to, że masz szczęście, przyjacielu – powiedział Daggon, pociągając łyk piwa. – Biały Lis już na ciebie nie zapoluje.

Chudy mężczyzna, który nadal upierał się, że nazywa się Poważny, skulił się jeszcze bardziej na krześle.

– Jak to możliwe, że nadal tu jesteś? – spytał Daggon. – Udałem się aż do Ostatniego Portu. Nie spodziewałem się, że zastanę cię tu w drodze powrotnej.

– Zatrudniłem się w pobliskim gospodarstwie – odparł mężczyzna o chudej szyi. – To dobra robota. Porządna.

– A ty płacisz tu za noclegi?

– Podoba mi się. Jest spokojnie. Gospodarstwa nie mają srebrnej ochrony. Oni po prostu... pozwalają widmom, żeby krążyły po okolicy. Nawet w środku.

Mężczyzna zadrżał.

Daggon wzruszył ramionami i uniósł kufel, kiedy Cisza Montane przeszła obok, kuśtykając. Tak, wyglądała zdrowo. Pewnego dnia naprawdę powinien zacząć się do niej zalecać. Skrzywiła się na widok jego uśmiechu i z hukiem postawiła przed nim talerz.

– Myślę, że zaczynam do niej docierać – mruknął Daggon pod nosem, kiedy odeszła.

– Będziesz się musiał postarać – odparł Poważny. – W ciągu ostatniego miesiąca siedmiu mężczyzn się jej oświadczyło.

– Co takiego?!

– Nagroda! Ta za dostarczenie Chestertona. Szczęściara z tej Ciszy Montane, że przypadkiem trafiła na kryjówkę Białego Lisa.

Daggon zaczął jeść. Nie podobało mu się, jak cała sprawa się w końcu rozwiązała. Ten elegancik Theopolis był Białym Lisem? Biedna Cisza. Jakie to było uczucie znaleźć go w środku, całego wysuszonego?

– Powiadają, że ten Theopolis ostatkiem sił zabił Chestertona i zaciągnął go do tej dziury. Wysuszył się, zanim zdążył się dostać do srebrnego pyłu. Jakie to podobne do Białego Lisa, nagroda zawsze była dla niego najważniejsza, niezależnie od okoliczności. W najbliższym czasie pewnie nie będzie takiego

łowcy.

– Pewnie nie – zgodził się Daggon, choć wolałby, żeby mężczyzna zachował skórę.

O kim teraz będzie snuł historie? Nie miał zamiaru płacić za własne piwo.

W pobliżu śliski z wyglądu osobnik wstał znad posiłku i wytoczył się przez frontowe drzwi. Robił wrażenie podpitego, choć dopiero minęło południe.

Co za ludzie. Daggon pokręcił głową.

– Za Białego Lisa. – Daggon uniósł kufel i stuknął się z Poważnym.

– Za Białego Lisa, najpaskudniejszego sukinsyna w historii Lasów.

– Niech jego dusza zazna spokoju i niech Bogu Poza będą dzięki, że nigdy nie uznał, iż jesteśmy warci jego czasu.

– Amen – powiedział Poważny.

– Oczywiście jest jeszcze Krwawy Kent. A to naprawdę paskudny gość. Lepiej, żeby na ciebie nie spojrzał, przyjacielu. I nie patrz na mnie tak niewinnie. To Lasy. Każdy tu coś robi, od czasu do czasu, co chciałby ukryć przed innymi...

POSTSCRIPTUM

To opowiadanie narodziło się, kiedy w czasie wspólnego podpisywania książek George R.R. Martin nachylił się do mnie i spytał:

– Hej, piszesz opowiadania?

Odpowiedziałem mu, że piszę długie opowiadania. Wtedy zaprosił mnie do jednej ze swoich antologii – co było prawdziwym zaszczytem. Antologie, które współtworzy z Gardnerem Dozoisem, są swego rodzaju „Kto jest kim” dla autorów fantastyki, i choć George słynie obecnie ze swoich powieści, w branży zawsze był znany jako doskonały redaktor. (Gardner, swoją drogą, jest równie sławny, więc zaproszenie od nich dwóch to prawdziwy przywilej).

Długo myślałem o naturze antologii zatytułowanej „Niebezpieczne kobiety”. Martwiłem się, że złożone opowiadania mogą wpaść w pułapkę czynienia kobiet niebezpiecznymi w ten sam sposób. (Na szczęście okazało się, że tak nie jest). Nie chciałem pisać o kolejnej standardowej kobiecie fatalnej albo wojowniczej, która zasadniczo była mężczyzną z piersiami.

W jaki inny sposób ktoś mógłby być niebezpieczny? Dość wcześnie wiedziałem, że chcę, żeby moją bohaterką była matka w średnim wieku. Tren był już wtedy gotowym światem i wiedziałem, że odgrywa ważną rolę w cosmere. Rozważałem umieszczenie akcji opowiadania w tym świecie, a ostatni kawałek układanki wskoczył na swoje miejsce, kiedy z przyczyn religijnych zajmowałem się genealogią i natrafiłem na kobietę imieniem Ciszka.

Kto nadałby swojej córce imię Ciszka? Wydaje się jednym z tych pięknych purytańskich imion, które w większości światów nie brzmiałyby dobrze – ale doskonale nadaje się dla Trenu. (Ktoś kiedyś wyciągnie z nas, jak naprawdę ma na imię Nazh). Z tego wyrosła opowieść.

Kilka uwag na jej temat. Po pierwsze, sposoby radzenia sobie z duchami są (luźno) oparte na żydowskich prawach, co wolno, a czego nie wolno robić w szabat. Isaac, nasz niestrudzony kartograf, nazwał planetę Trenem (nadał też imię Nazhowi). Rama w postaci rozmowy mężczyzn w gospodzie Ciszki została dwa czy trzy razy prawie usunięta – nawet Gardner był na początku sceptyczny. W końcu okazało się, że warto ją zachować, bo dzięki temu przejście do perspektywy Ciszki jest zaskoczeniem i ponieważ ładnie podsumowuje opowieść. Sądzę, że jest konieczna, choć oznacza jednocześnie, że opowiadanie zaczyna się od fragmentu, który uważam za słabszy.

Najprawdopodobniej w przyszłości poznacie lepiej ten świat.

UKŁAD DROMINAD



Układ Drominad

Siódma od Słońca

Szósta od Słońca

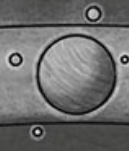
Piąta od Słońca

Czwarta od Słońca

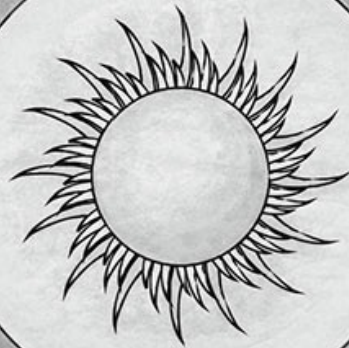
Trzecia od Słońca

Druuga od Słońca

Pierwsza od Słońca



Pierwszy Pierwszej



UKŁAD DROMINAD

W cosmere jest wiele planet, które są zamieszkane, ale na których nie przebywa obecnie żaden Odprysk. Choć życie, namiętności i wierzenia ludzi są, rzecz jasna, ważne, niezależnie od tego, na której planecie przebywają, jedynie nieliczne z tych planet mają znaczenie w większym cosmere.

Głównie dlatego, że odwiedzanie planet (przynajmniej w Krainie Materii) zależy od prostopadłości – miejsc, w których człowiek może przejść z Cieniomorza na powierzchnię samej planety. Jeśli świat nie ma prostopadłości, można go badać z Krainy Umysłu, ale nie da się go naprawdę odwiedzić.

Zazwyczaj prostopadłości tworzy obecność Odprysku na planecie. Skupienie tak wielkiego Napełnienia w Krainach Umysłu i Materii tworzy punkty... tarcia, w których pojawiają się swego rodzaju tunele. W tych miejscach substancja Materii, myśl Umysłu i esencja Ducha stają się jednym, a istota żywa może się prześlizgnąć między Krainami.

Istnienie prostopadłości (która w Krainie Materii często przybiera postać sadzawki skupionej mocy) jest cechą charakterystyczną obecności Odprysku. To właśnie czyni Pierwszą od Słońca tak interesującą.

System, nazwany Drominad, ma aż trzy planety zamieszkane przez w pełni rozwinięte ludzkie społeczeństwa. (W strefie nadającej się do zamieszkania jest jeszcze czwarta planeta). To wyjątek w cosmere – może się z nim równać jedynie układ Rosharu, a tam jedna z planet jest zamieszкана jedynie przez Drzazgi.

Na wszystkich czterech planetach dominuje woda. A jedna z nich, pierwsza, ma prostopadłość.

Nie udało mi się odkryć, dlaczego i jakim sposobem istnieje ta prostopadłość. Z pewnością w układzie nie ma żadnego Odprysku. Nie wiem, co się dzieje, mogę jedynie stwierdzić, że ta cecha musi wskazywać na coś, co wydarzyło się w przeszłości planety. Najprawdopodobniej jest też na niej Napełnienie, choć nie miałam jeszcze okazji osobiście zbadać Pierwszej od Słońca. Okolice wokół prostopadłości są skrajnie niebezpieczne, a nieliczne ekspedycje wysłane ze Srebrnoświatła nie powróciły.

SZÓSTY ZE ZMIERZCHU







Śmierć polowała pod falami. Zmierzch widział jej nadejście, olbrzymią czerń pośród głębokiego błękitu, szeroką jak sześć barek związanych razem. Mocno zacisnął dłonie na wiosła i z bijącym sercem spojrzął w kierunku Kokerliiego.

Na szczęście kolorowy ptak siedział na swoim zwyczajowym miejscu na dziobie łodzi i od niechcienia obgryzał pazur szponiastej łapy. Po chwili opuścił ją i nastroszył pióra, jakby zupełnie nie zwracał uwagi na niebezpieczeństwo poniżej.

Zmierzch wstrzymał oddech. Zawsze tak robił, kiedy miał pecha i wpadał na jednego z tych stworów na pełnym oceanie. Nie miał pojęcia, jak wyglądały pod falami, i miał nadzieję, że nigdy się nie dowie.

Cień się przybliżył, znalazł się niemal przy łodzi. Przepływająca w pobliżu ławica smuklaków wyskoczyła srebrzystą falą w powietrze wystraszona przez zbliżający się cień. Przerażone rybki spadły z powrotem do wody z odgłosem przywodzącym na myśl deszcz. Cień nie zmienił kursu. Smuklaki były zbyt małe, by go zainteresować.

Co innego człowiek w łodzi...

Przepłynął bezpośrednio pod nią. Sak zaćwierkała cicho na ramieniu Zmierzcha – drugi ptak miał najwyraźniej pewne wyczucie niebezpieczeństwa. Istoty takie jak cień polowały, nie kierując się węchem ani wzrokiem, ale wyczuciem umysłu ofiar. Zmierzch znów popatrzył na Kokerliiego, swoją jedyną ochronę przed niebezpieczeństwem, które mogło pochłonąć jego łódź w całości. Nigdy nie przycinał jego skrzydeł, ale w takich chwilach rozumiał, dlaczego wielu marynarzy wolało Aviary, które nie mogły odlecieć.

Łódź zakołysała się lekko, a skaczące smuklaki się uspokoiły. Fale chlupały o burty. Czy cień się zatrzymał? Zawahał? Wyczuł ich? Ochronna aura Kokerliiego dotychczas zawsze wystarczała, ale...

Cień powoli zniknął. Zanurzał się głębiej, jak uświadomił sobie Zmierzch. Wkrótce przestał widzieć cokolwiek w wodzie. Po chwili wahania zmusił się do wyjęcia nowej maski. Było to nowoczesne urządzenie, które kupił zaledwie dwie wycieczki po zapasy wcześniej – szklana osłona na twarz, po bokach skóra. Umieścił ją na powierzchni wody i pochylił się, wpatrując się w głębiny. Stały się równie wyraźne jak spokojna laguna.

Nic. Jedynie ta niekończąca się głębia. Głupiec, pomyślał, schował maskę i sięgnął po wiosła. Czy przed chwilą nie myślałeś, że nigdy nie chciałbyś zobaczyć jednego z nich?

Mimo to, gdy znów zaczął wiosłować, wiedział, że przez resztę rejsu będzie miał wrażenie, że cień wciąż tam jest i podąża za nim. Taka była natura tych wód. Nikt nie wiedział, co się w nich kryło.

Ruszył dalej swą łodzią z pływakiem, wiosłował i odczytywał pozycję z plusku fal. Zastępowały mu kompas – kiedyś tak samo postępował każdy z Węgorzowych, jego rodaków. Teraz jedynie traperzy

uczyli się starych sztuk. Musiał jednak przyznać, że nawet on miał na łodzi jeden z najnowszych kompasów, starannie schowany w torbie z zestawem nowych map morskich – rozdawanych przez Tych Wysoko, kiedy odwiedzili jego wyspę wcześniej w tym roku. Podobno były dokładniejsze od wyników najnowszych pomiarów, więc na wszelki wypadek kupił zestaw. Nie można powstrzymać upływu czasu, mówiła jego matka, podobnie jak nie da się powstrzymać fali.

Już niedługo zauważył pierwszą z wysp. Sori była małą wysepką Panteonu, odwiedzaną najczęściej. Jej imię oznaczało „dziecko”. Zmierzch dobrze pamiętał, jak wuj szkolił go na jej brzegach.

Od dawna nie spalił żadnej ofiary Sori, mimo że w młodości tak dobrze go traktowała. Może niewielka ofiara nie byłaby złym pomysłem. Patji nie byłby zazdrosny. Nikt nie mógł być zazdrosny o Sori, najmniejszą z wysp. Podobnie jak każdy traper był mile widziany na Sori, tak i każda z pozostałych wysp Panteonu darzyła Sori sympatią.

Tak czy inaczej, na Sori nie było zbyt wiele cennej zwierzyny. Zmierzch wiosłował dalej, płynąc wzdłuż jednej odnogi archipelagu, zwanej przez jego lud Panteonem. Z tej odległości archipelag nie różnił się zbyt wiele od ojczystych wysp Węgorzowych, które pozostawił za sobą przed trzema tygodniami.

Z tej odległości. Z bliska były o wiele inne. Przez następne pięć godzin Zmierzch wiosłował obok Sori, a później trójki jej krewniaków. Nigdy nie postawił stopy na żadnej z nich. Właściwie nigdy nie odwiedził większości z ponad czterdziestu wysp Panteonu. Pod koniec szkolenia traper wybierał sobie jedną wyspę i pracował na niej przez całe życie. Zmierzch wybrał Patjiego, co nastąpiło przed dziesięcioma laty. Wydawało mu się, że minęło o wiele mniej czasu.

Nie widział innych cieni pod falami, ale przyglądał się uważnie. Zreszta i tam nie mógł się sam ochronić. Całą pracę wykonywał Kokerlii, który właśnie usadowił się wygodnie na dziobie i przymknął oczy. Zmierzch karmił go ziarnem – Kokerlii wołał je od suszonych owoców.

Nikt nie wiedział, dlaczego stwory takie jak ten mieszkają tylko tutaj, w wodach w pobliżu Panteonu. Dlaczego nie przepłynęły morza do Wysp Węgorzowych albo na kontynent, gdzie jedzenie było obfite, a Aviary w rodzaju Kokerliiego występowały o wiele rzadziej? Kiedyś nie zadawano takich pytań. Morza były tym, czym były. Teraz jednak ludzie wsadzali swoje nosy we wszystko. Pytali: „Dlaczego?”. Mówili: „Powinniśmy to wyjaśnić”.

Pokręcił głową i zanurzył wiosło w wodzie. Ten dźwięk – drewno uderzające o wodę – towarzyszył mu przez większość dni. Rozumiał go o wiele lepiej niż mowę ludzi.

Nawet jeśli czasami pytania wnikały w niego i nie chciały wyjść.

Po minięciu krewniaków większość traperów skręciłaby na północ lub południe, płynąc wzdłuż rozgałęzień archipelagu aż do wybranej wyspy. Zmierzch płynął prosto, do serca wysp, aż zobaczył przed sobą górującą sylwetkę. Patji, największa wyspa Panteonu. Wznosiła się jak klin z morza. Kraina niegościnnych szczytów, ostrych urwisk i głębokiej dżungli.

Witaj, stary niszczycielu, pomyślał. Witaj, Ojczy.

Zmierzch podniósł wiosło i schował je w łodzi. Przez jakiś czas siedział, przeżuając złowioną poprzedniej nocy rybę, a resztkami karmił Sak. Czarny ptak zjadał je z powagą. Kokerlii nadal siedział na dziobie i od czasu do czasu ćwierkał. Nie mógł się już doczekać zejścia na brzeg. Sak nigdy nie wykazywała takiego entuzjazmu.

Podejście do Patjiego nie było proste, nawet dla kogoś, kto polował na jego brzegach. Łódka tańczyła

na falach, gdy Zmierzch rozważał, w którym miejscu przybić do brzegu. W końcu odłożył rybę i znów zanurzył wiosło. Te wody pozostawały głębokie i niebieskie mimo bliskości wyspy. Niektórzy członkowie Panteonu mieli osłonięte zatoczki i łagodne plaże. Patji nie miał cierpliwości do takich głupot. Jego plaże były kamieniste i strome.

Na jego brzegach nikt nie był bezpieczny. Właściwie to plaże były najbardziej niebezpiecznym miejscem – człowiek mógł paść ofiarą nie tylko monstrów z lądu, ale i potworów z głębin. Wuj wiele razy go przed tym ostrzegał. Tylko głupiec spał na brzegach Patjiego.

Zmierzch płynął z przyływem. Nie dał się pociągnąć jednej z fal, które mogły roztrzaskać go o te surowe skalne ściany. Po chwili zbliżył się do częściowo osłoniętego skalistego brzegu, który na Patjim uchodził za plażę. Kokerlii ze świergotem i głośnymi okrzykami poleciał w stronę drzew.

Zmierzch natychmiast spojrzał na wodę. Żadnych cieni. Mimo to czuł się nagi, kiedy wyskoczył z łodzi i wyciągnął ją na skały, a ciepła woda omywała jego nogi. Sak pozostała na miejscu na ramieniu Zmierzcha.

Na falach przyboju zobaczył unoszącego się trupa.

Wcześniej zaczynasz swoje wizje, przyjaciółko? – pomyślał, spoglądając na Sak. Aviar zwykle czekał do zejścia na brzeg, nim obdarzył go swoim błogosławieństwem.

Czarny ptak jedynie wpatrywał się w fale.

Zmierzch nie przerywał pracy. Trup na przyboju był jego własnym. Oznaczał, że ma unikać tego fragmentu wód. Może był tam ukwiał, który by go użądlił, a może zwodniczy prąd głębinowy. Wizje Sak nie ukazywały szczegółów, jedynie ostrzegały.

Zmierzch wyciągnął łódkę z wody, odczepił pływaki i przywiązał je mocniej do kadłuba. Później ostrożnie wciągnął ją na brzeg, pilnując, by nie podrapać kadłuba ostrymi skałami. Musiał ukryć łódź w dżungli. Gdyby inny traper ją odkrył, Zmierzch utknąłby na wyspie na kolejne tygodnie, budując nową. To by...

Zatrzymał się, kiedy jego pięta dotknęła czegoś miękkiego. Spojrzał w dół, spodziewając się sterty wodorostów, jednak zobaczył mokry kawałek tkaniny. Koszula? Podniósł ją i wtedy zauważył inne, mniej rzucające się znaki wzdłuż brzegu. Odłamki oszlifowanego drewna. Kawałki papieru unoszące się w wirze.

Ci głupcy, pomyślał.

Znów zaczął ciągnąć łódź. Na wyspach Panteonu pośpiech nigdy nie był dobrym pomysłem, jednak Zmierzch odrobinę przyspieszył kroku.

Kiedy dotarł do granicy dżungli, zobaczył trupa wiszącego na pobliskim drzewie. W pierzastej koronie kryły się rozcinające liany. Sak wydała z siebie cichy skrzek, kiedy Zmierzch podniósł duży kamień z plaży i rzucił nim w drzewo. Kamień uderzył z hukiem o drewno i rzeczywiście, kolczaste liany opadły jak sieć.

Wycofanie się miało im zająć kilka godzin. Zmierzch podciągnął łódkę bliżej i ukrył ją w poszyciu w pobliżu drzewa. Liczył, że inni traperzy będą dość bystrzy, by nie zbliżać się do lian – i dzięki temu nie wpadną na jego łódź.

Przed ułożeniem ostatnich kamuflujących liści Zmierzch wyciągnął swoją torbę. Choć zadania traperów niewiele się zmieniły przez stulecia, nowoczesny świat miał swoje zalety. Zamiast owinać się prostym pasem tkaniny, który odsłaniał jego nogi i pierś, Zmierzch włożył grube spodnie

z kieszeniami na nogawkach i zapinaną na guziki koszulę, by chronić skórę przed ostrymi gałęziami i liśćmi. Zamienił sandały na mocne sznurowane buty. A zamiast pałki nabijanej zębami wziął do ręki maczetę z najlepszej stali. W torbie miał luksusy w rodzaju liny ze stalowym hakiem, latarni i krzesiwa, w którym wystarczyło ścisnąć dwa metalowe ramiona, żeby pojawiły się iskry.

Zupełnie nie przypominał traperów z obrazów w ojczyźnie. Nie przeszkadzało mu to. Wolał pozostać przy życiu.

Zostawił łódź, zarzucił torbę na ramię i przypasał maczetę. Sak przeskoczyła na jego drugie ramię. Przed opuszczeniem plaży Zmierzch zatrzymał się, spoglądając na wizję swojego przezroczystego trupa, nadal wiszącego na niewidzialnych lianach drzewa.

Naprawdę mógłby być tak głupi, by dać się złapać rozcinającym lianom? Na ile umiał to ocenić, Sak pokazywała mu jedynie wiarygodne śmierci. Lubił myśleć, że większość z nich była dość mało prawdopodobna – wizja tego, co mogłoby się wydarzyć, gdyby był nieostrożny albo szkolenie wuja nie było tak szczegółowe.

Kiedyś Zmierzch trzymał się z dala od każdego miejsca, w którym widział swojego trupa. To nie odwaga kazała mu teraz postępować odwrotnie. Po prostu... musiał stawić czoło możliwościom. Musiał odejść z tej plaży ze świadomością, że nadal umie sobie radzić z lianami. Gdyby unikał niebezpieczeństwa, wkrótce utraciłby umiejętności. Nie mógł za bardzo polegać na Sak.

Bo Patji przy każdej okazji próbował go zabić.

Zmierzch odwrócił się i ruszył po skałach wzdłuż plaży. Było to sprzeczne z jego instynktami – zwykle starał się jak najszybciej dostać w głąb lądu. Niestety nie mógł odejść, nie sprawdzając pochodzenia szczątków, które widział wcześniej. Podejrzał, gdzie znajdzie ich źródło.

Gwizdnął, a wtedy Kokerlii zaśpiewał z góry, wyleciał z korony pobliskiego drzewa i przefrunął nad plażą. Jego ochrona byłaby mocniejsza, gdyby znajdował się bliżej, ale bestie polujące na umysły na wyspie nie były tak duże ani tak silne psychicznie jak cienie w oceanie. Zmierzch i Sak będą dla nich niewidoczni.

Po półgodzinie marszu wzdłuż brzegu Zmierzch natrafił na pozostałości dużego obozu. Połamane skrzynie, przetarte liny częściowo zanurzone w wodzie, porwane płótno i potrzaskane kawałki drewna, które kiedyś mogły być ścianami. Kokerlii wylądował na złamanym słupku.

W pobliżu nie widział swojego trupa. To mogło oznaczać, że w okolicy nie czai się żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo. Mogło również oznaczać, że cokolwiek mogłoby go tu zabić, połknęłoby go w całości.

Zmierzch stapał ostrożnie po wilgotnych kamieniach otaczających zniszczony obóz. Nie, coś większego niż obóz. Przeciągnął palcami po kawałku drewna z wypisanymi od szablonu słowami *Północna Kompania Handlowa*. Potężna grupa kupców z jego ojczyzny.

Mówił im. Mówił im. Nie przyływajcie na Patjiego. Głupcy. I rozbili obóz na plaży! Czy nikt w kompanii nie umiał słuchać? Zatrzymał się przy szeregu wyłobień w skałach, szerokich jak jego przedramię, niektórych długich na dobre dziesięć kroków. Prowadziły do oceanu.

Cień, pomyślał. Jedna z bestii z głębin. Wuj wspominał, że kiedyś widział jedną. Ogromne... coś co wystrzeliło z wody. Zabiło tuzin krelli, które pasły się na wyrzuconych przez morze wodorostach, zanim nasycone powróciło do oceanu.

Zmierzch zadrżał, wyobrażając sobie obozowisko na skałach, mężczyzn rozpakowujących skrzynie

i przygotowujących się do wybudowania fortu, który mu opisali. Ale gdzie był ich statek? Potężny, napędzany parą okręt o żelaznym kadłubie, który, jak twierdzili, mógł odeprzeć ataki najgłębszych z cieni? Czy bronił teraz dna oceanu i był domem dla smuklaków i ośmiornic?

Zmierzch nie widział żadnych ocalałych ani nawet trupów. Cień musiał ich pożreć. Zmierzch cofnął się do nieco bardziej bezpiecznego miejsca na krawędzi dżungli i rozejrzał się wśród listowia, szukając śladów, że ktoś tamtędy przechodził. Atak nastąpił niedawno, najpewniej poprzedniego dnia.

Zamyślony podał Sak ziarno z kieszeni. Zauważył szereg połamanych pierzastych liści prowadzący w głąb dżungli. Czyli ktoś przeżył. Może nawet kilku. Każdy postanowił udać się w innym kierunku, w pośpiechu. Uciekali przed atakiem.

Bieganie po dżungli mogło łatwo doprowadzić do śmierci. Ci z kompanii uważali się za zahartowanych i przygotowanych. Mylili się. Rozmawiał z nimi, próbując przekonać ich „traperów”, żeby zrezygnowali z wyprawy.

Nic to nie dało. Chciał wierzyć, że temu głupiemu dążeniu do postępu są winne odwiedziny Tych Wysoko, ale w rzeczywistości kompanie od lat mówiły o zbudowaniu przyczółków na Panteonie. Zmierzch westchnął. Cóż, ci, którzy ocaleli, pewnie już nie żyli. Powinien pozostawić ich własnemu losowi.

Tyle że... Sama myśl o obcych na Patjim przeszywała go dreszczem odrazy i niepokoju. Znaleźli się tutaj. To niewłaściwe. Wyspy były uświęcone, a traperzy byli ich kapłanami.

W pobliżu zaszleściła roślinność. Zmierzch wyciągnął maczetę i sięgnął do kieszeni po procę. Jednak z krzaków nie wyszedł uciekinier ani nawet drapieżnik. Na zewnątrz wypęzła grupka małych, podobnych do myszy stworków i zaczęła niuchać. Sak zaskrzeczała. Nigdy nie lubiła potulniaków.

Jedzenie? – wysłały trzy potulniaki do Zmierzcha. Jedzenie?

To była najbardziej podstawowa z myśli, skierowana bezpośrednio do jego umysłu. Choć nie chciał się rozpraszać, nie przegapił okazji, by wyciągnąć trochę suszonego mięsa. Kiedy pochyliły się nad nim, widział ich ostre zęby i jeden spiczasty kiel wystający z pyska. Wuj powiedział mu, że potulniaki były kiedyś niebezpieczne dla ludzi. Jedno ugryzienie wystarczyło, by zabić. Przez stulecia stworki przyzwyczyły się do traperów. Nie myślały jak tępe zwierzęta. Zmierzch uważał je za niemal dorównujące inteligencją Aviarom.

Pamiętacie? – wysłał im myśli. Pamiętacie o swoim zadaniu?

Inni, odpowiedziały z radością. Gryźć innych!

Traperzy ignorowali te małe zwierzątka, ale Zmierzch uznał, że po pewnym wyszkoleniu potulniaki mogłyby się okazać przykrą niespodzianką dla jednego z jego rywali. Sięgnął do kieszeni, a wtedy jego palce musnęły stare sztywne pióro. Nie chcąc przegapić okazji, wyjął z torby kilka długich piór, jaskrawozielonych i czerwonych. To były pióra godowe, które zabrał Kokerliemu podczas ostatniego pierzenia.

Ruszył w głąb dżungli, a podekscytowane potulniaki podążyły za nim. Kiedy zbliżył się do ich kryjówki, umieścił pióra godowe wśród gałęzi, jakby spadły tam naturalnie. Przechodzący traper mógł zobaczyć pióra i założyć, że jakiś Aviar miał w pobliżu gniazdo, a w nim jaja gotowe do zabrania. To by go przyciągnęło.

Gryźć innych, polecił znów Zmierzch.

Gryźć innych! – powtórzyły.

Zamyślił się. Może widziały zniszczenie obozu kompanii? Mogły skierować go we właściwą stronę. Widziałyście innych? – posłał do nich. Ostatnio? W dżungli?

Gryźć innych! – zabrzmiała odpowiedź.

Były inteligentne... ale nie aż tak. Zmierzch pożegnał się z nimi i ruszył w stronę lasu. Po chwili namysłu skierował się w głąb łądu, mijając ścieżki wydeptane przez uciekinierów. W końcu podążył taką, która wyglądała, jakby miała niebezpiecznie zbliżyć się do jednego z jego obozów w głębi dżungli.

Pod baldachimem drzew było goręcej, mimo cienia. Przyjemnie duszno. Kokerlii dołączył do niego, poleciał do gałęzi, na której siedziało kilka mniejszych Aviarów. Kokerlii górował nad nimi, ale śpiewał do nich z entuzjazmem. Aviar wychowany wśród ludzi nigdy nie umiał się do końca odnaleźć wśród przedstawicieli swojego gatunku. To samo dało się powiedzieć o człowieku wychowanym w towarzystwie Aviarów.

Zmierzch podążył ścieżką pozostawioną przez uciekiniera, spodziewając się, że w każdej chwili natknie się na jego trupa. Tak się nie stało, choć od czasu do czasu widywał swojego własnego. Zauważył na wpół zjedzone ciało w błocie albo wciśnięte pod powalony pień tak, że wystawała tylko stopa. Z Sak na ramieniu nie mógł być zbyt pewny siebie. Nieważne, czy jej wizje były prawdą, czy fikcją – potrzebował ciągłego przypominania, jak Patji traktował nieostrożnych.

Szedł znajomym, choć niezbyt łatwym krokiem trapera na Panteonie. Czujnie, ostrożnie, pilnując, by nie trącić liści, na których mogły siedzieć duże gryzące insekty. Ciął maczetą tylko wtedy, kiedy było to konieczne, by nie pozostawić śladu, którym mógłby podążyć ktoś inny. Nasłuchiwał, był przez cały czas świadomy obecności swojego Aviara, nigdy nie wychodził zbyt daleko przed Kokerliiego i nie pozwalał mu się zanadto wysforować do przodu.

Uciekinier nie padł ofiarą typowych niebezpieczeństw wyspy – przecinał ścieżki wydeptane przez zwierzęta, nie podążał nimi. Najłatwiejszym sposobem, by trafić na drapieżnika, było towarzyszenie jego pożywieniu. Uciekinier nie umiał zamaskować swoich śladów, ale też nie wpadł w gniazdo ognistych jaszczurek, nie otarł się o korę śmiertelnika ani nie wszedł na głodne błoto.

Czy to mógł być inny traper? Może młody, jeszcze nie do końca wyszkolony? Kompania mogła spróbować czegoś takiego. Doświadczonych traperów nie dało się zwerbować, żaden nie był na tyle głupi, by prowadzić grupę urzędników i kupców po wyspach. Ale młodziak, który jeszcze nie wybrał swojej wyspy? Młodziak, któremu być może nie podobało się, że musi ćwiczyć tylko na Sori do czasu, aż jego mentor uzna, że jego nauka się zakończyła? Zmierzch czuł się podobnie przed dziesięć laty.

Czyli kompania w końcu wynajęła sobie trapera. To wyjaśniałoby, dlaczego zrobili się tak odważni i wreszcie zorganizowali wyprawę. Ale na samego Patjiego? – pomyślał, klękając na brzegu małego strumienia. Nie miał nazwy, ale Zmierzch go znał. Dlaczego przybyli tutaj?

Odpowiedź była prosta. Byli kupcami – im większa wyspa, tym dla nich lepiej. Po co marnować czas na mniejsze wyspy? Dlaczego nie skierować się od razu na samego Ojca?

Kokerlii wylądował na gałęzi nad jego głową i zaczął dziobać owoce. Uciekinier zatrzymał się nad tą rzeką. Zmierzch go doganiał. Oceniając po głębokości odcisków stóp chłopaka w błocie, Zmierzch mógł sobie wyobrazić jego wzrost i wagę. Szesnaście lat? Może młodszy? Traperzy zaczynali naukę w wieku dziesięciu lat, ale Zmierzch nie mógł sobie wyobrazić, by nawet kompania próbowała zatrudnić kogoś tak źle wyszkolonego.

Dwie godziny temu, pomyślał Zmierzch, sięgając po złamany pęd i wachając sok. Chłopiec wciąż

kierował się w stronę jego obozu. Jak? Zmierzch nigdy nikomu o nim nie wspominał. Może ten młodzik uczył się od jednego z traperów, którzy odwiedzali Patjiego. Jeden z nich mógł znaleźć jego obóz i wspomnieć o nim.

Zmierzch z namysłem zmarszczył czoło. Przez dziesięć lat spędzonych na Patjim zaledwie kilkakrotnie widział innych traperów. Za każdym razem odwracali się bez słowa i ruszali w przeciwną stronę. Tak się robiło. Spróbowaliby pozabijać się nawzajem, ale nie robili tego osobiście. Lepiej pozwolić, by Patji zabrał rywala, niż mieć krew na rękach. Tak w każdym razie uczył go wuj.

Zmierzch czasem czuł się tym sfrustrowany. Patji w końcu ich wszystkich dopadnie. Dlaczego mieliby mu pomagać? Ale tak się robiło, więc zachowywał pozory. Tak czy inaczej, ten uciekinier kierował się prosto w stronę jego obozu. Młodzik mógł jeszcze nie znać zasad. Może szedł po pomoc, bał się udać do jednego z obozów swojego mistrza z obawy przed karą. Albo...

Nie, lepiej nie snuć takich rozważań. Zmierzch i tak miał już umysł pełen fałszywych domysłów. Znajdzie, co znajdzie. Musiał skupić się na dżungli i jej niebezpieczeństwach. Zaczął oddalać się od strumienia i wtedy właśnie nagle pojawił się przed nim jego trup.

Skoczył gwałtownie do przodu, po czym odwrócił się, słysząc słabe syknięcie. Charakterystyczny odgłos, jaki wydawało powietrze wydostające się przez małe pęknięcie w ziemi, a później strumień malutkich żółtych owadów, nie większych od łebka szpilki. Nowa kryjówka morderczych mrówek? Gdyby stał tam dłużej, zakłócając spokój ich ukrytego gniazda, zaczęłyby się wspinać po jego bucie. Jedno ugryzienie i byłby martwy.

Wpatrywał się w tę kałużę kręcących się owadów dłużej, niż powinien. Nie znalazłszy ofiary, wycofały się do gniazda. Czasem miejsce ich pobytu zdradzało niewielkie wybrzuszenie, ale dzisiaj nic nie widział. Ocaliła go jedynie wizja Sak.

Takie było życie na Patjim. Nawet najostrożniejszy traper mógł popełnić błąd – a nawet jeśli tego nie zrobił, i tak odnajdowała go śmierć. Patji był despotycznym, mściwym rodzicem, pragnącym krwi wszystkich, którzy wylądowali na jego brzegach.

Sak zaczęła na jego ramieniu. Zmierzch w podziękowaniu pogłaskał ją po szyi, choć ćwierknięcie brzmiało przeproszająco. Ostrzeżenie przyszło niemal za późno. Bez niej Patji zabrałby go tego dnia. Zmierzch stłumił te dręczące pytania, które nie powinny wypełniać jego głowy, i ruszył dalej w drogę.

W końcu, gdy zaczął zapadać zmrok, dotarł do obozu. Dwa z drutów potykaczy zostały przecięte i rozbrojone. To go nie zaskoczyło – miały rzucać się w oczy. Zmierzch przekradł się obok kolejnego gniazda morderczych mrówek – to było większe i miało stały otwór, przez które mogły wypełznąć, ale pęknięcie zostało zamknięte dymiącą gałązką. Za nim grzyby nocotchnienia, które Zmierzch hodował od lat, zostały zalane wodą, by nie wypuściły zarodników. Następne dwa potykacze – które nie miały rzucać się w oczy – również zostały przecięte.

Niezła robota, dzieciaku, pomyślał Zmierzch. Nie tylko uniknął pułapek, ale też je rozbroił, na wypadek gdyby musiał szybko uciekać w tę samą stronę. Jednak ktoś naprawdę powinien nauczyć chłopaka, jak się poruszać, nie zostawiając śladów. Oczywiście te ślady mogły być same w sobie pułapką – próbą skłonienia go, by stał się nieostrożny. Dlatego zachowywał jeszcze większą czujność, gdy ostrożnie przekradał się do przodu. Tak, młodzik zostawił kolejne odciski stóp, połamane gałązki i inne znaki...

Coś poruszało się w baldachimie gałęzi. Zmierzch zawahał się, zmrużył oczy. Wśród gałęzi wisiała kobieta uwięziona w sieci z lian galaretnika, które wywoływały odrętwienie i uniemożliwiały poruszenie. Czyli jedna z jego pułapek w końcu zadziałała.

– Halo? – odezwała się.

Kobieta, pomyślał Zmierzch i nagle poczuł się bardzo głupio. Mniejsze odciski stóp, lżejsze kroki...

– Chciałabym coś wyjaśnić – powiedziała. – Nie mam zamiaru ukraść twoich ptaków ani naruszyć twojego terytorium.

Zmierzch zbliżył się nieco, bo robiło się coraz ciemniej. Rozpoznawał tę kobietę. Była jedną z urzędniczek, które były obecne podczas jego spotkań z kompanią.

– Przecięłaś moje potykacze – zauważył.

Słowa wydawały mu się dziwne i brzmiały szorstko, jakby natykał się kurzu. Skutek wielu tygodni, podczas których nie odzywał się do nikogo.

– No tak. Zakładałam, że możesz je naprawić. – Zawahała się. – Przepraszam?

Zmierzch cofnął się. Kobieta obracała się powoli w sieci, a wtedy zauważył Aviara wczepionego w nią od zewnątrz – podobnie jak jego ptaki, był wysoki jak trzy pięści ustawione jedna na drugiej, choć miał przygaszone biało-zielone pierze. Wstążnik, gatunek, który nie mieszkał na Patjim. Niewiele o nich wiedział, poza tym, że podobnie jak Kokerlii, chroniły umysł przed drapieżnikami.

Zachodzące słońce rzucało cienie, a niebo ciemniało. Wkrótce będzie się musiał ukryć na noc, gdyż ciemność była porą łowów najbardziej niebezpiecznych drapieżników.

– Przysięgam – powiedziała uwięziona kobieta. Jak ona miała na imię? Wydawało mu się, że je poznał, ale nie umiał go sobie przypomnieć. Coś mało tradycyjnego. – Naprawdę nie chcę cię okraść. Pamiętasz mnie, prawda? Spotkaliśmy się w salach kompanii?

Nie odpowiedział.

– Proszę. Naprawdę wolałabym nie wisieć za kostki na drzewie, zalana krwią, która przyciąga drapieżników. Jeśli ty nie masz nic przeciwko.

– Nie jesteś traperem.

– No nie. Chyba zauważyłeś moją płęć.

– Istniały traperki.

– Jedna. Jedna traperka. Yaalani Dzielna. Słyszałam jej historię setki razy. Być może zaciekaw cię, że niemal każde społeczeństwo ma mit o kobiecie, która przyjmuje rolę mężczyzny. W męskim stroju idzie na wojnę, prowadzi armie ojca do bitwy albo poluje na wyspie. Jestem przekonana, że te historie istnieją tylko po to, by rodzice mogli mówić córkom „Nie jesteś Yaalani”.

Ta kobieta mówiła. Dużo. Ludzie tak robili na Wyspach Węgorzowych. Skórę miała ciemną, jak on, i mówiła głosem jego ludu. Ten lekki akcent... słyszał go coraz częściej, kiedy odwiedzał ojczyste wyspy. Akcent kogoś, kto był wykształcony.

– Mogłabym zejść? – W jej głosie brzmiało słabe drzenie. – Nie czuję swoich rąk. To... niepokojące.

– Jak masz na imię? Zapomniałem.

Zbyt dużo mówienia. Bolały go uszy. To miejsce miało być ciche.

– Vathi.

Zgadza się. Niestosowne imię. Nie nawiązanie do kolejności narodzin i ich pory, ale imię, jakich używali na kontynencie. Wśród jego ludu zdarzało się to coraz częściej.

Podszedł bliżej, chwycił linę z pobliskiego drzewa i opuszczył sieć. Aviar kobiety opadł na dół, wrzeszcząc z irytacją. Oszczędzał jedno skrzydło, najwyraźniej był ranny. Vathi uderzyła o ziemię jak kłębek ciemnych włosów i zielonego lnu. Próbowwała się podnieść, ale znów upadła. Po kontakcie z lianami jej skóra przez około piętnaście minut pozostanie bez czucia.

Siedziała i machała rękami, jakby chciała przywrócić czucie.

– Czyli... żadnych kostek i krwi? – spytała z nadzieją.

– To historyjka, którą rodzice opowiadają dzieciom. Nie robimy takich rzeczy.

– Och.

– Gdybyś była innym traperem, zabiłbym cię od razu, a nie zostawił, żebyś mogła się na mnie zemścić.

Podszedł do jej Aviara, który otworzył dziób i zasyczał z irytacją, unosząc jednocześnie oba skrzydła, jakby chciał robić wrażenie większego. Sak zaćwierkała na jego ramieniu, ale ptak nie zwrócił na to uwagi.

Tak, jedno z jego skrzydeł było zakrwawione. Vathi wiedziała jednak dosyć, by zająć się ptakiem, co go ucieszyło. Niektórzy z ojczyzny byli zupełnie nieświadomi potrzeb swoich Aviarów, traktowali je raczej jak narzędzia niż inteligentne istoty.

Vathi już wcześniej wyciągnęła pióra otaczające ranę, w tym krwawe piórko. Opatrzyła ranę gazą. Ale samo skrzydło nie wyglądało dobrze. Mogło być złamane. On sam zawinałby oba skrzydła, by uniemożliwić zwierzęciu lot.

– Och, Mirris. – Vathi w końcu udało się wstać. – Próbowalam jej pomóc. Widzisz, spadłyśmy, kiedy potwór...

– Podnieś ją – poleciał Zmierzch, patrząc w niebo. – Idź za mną. Stawiaj stopy tam, gdzie ja.

Vathi przytaknęła i nie odezwała się ani słowem, choć z pewnością wciąż była jeszcze odrętwiała. Wyjęła z lian niewielką torbę i obciągnęła spódnicę. Nad nią nosiła obcisłą kamizelkę, a z jej torby wystawała metalowa rura. Futerał na mapy? Wzięła Aviara, który z zadowoleniem usiadł jej na ramieniu.

Zmierzch prowadził, a ona szła za nim i nie próbowała zaatakować, kiedy był odwrócony do niej plecami. Dobrze. Zapadała ciemność, ale obóz był tuż przed nim, a on znał na pamięć kroki podejścia. Kiedy szli, Kokerlii sfrunął z drzew i wylądował na drugim ramieniu kobiety, po czym zaczął ćwierkać przyjaźnie.

Zmierzch zatrzymał się i odwrócił. Aviar kobiety odsunął się od Kokerliiego i zaczepił się na jej gorsecie. Ptak zasyczał cicho, ale Kokerlii – jak zwykle nieświadomy – nadal świergotał radośnie. Na szczęście jego gatunek był tak niewidoczny dla umysłów, że nawet mordercze mrówki uważały go za równie jadalnego, jak kawałek kory.

– Czy to... – Vathi spojrzała na niego. – Twój? Ależ oczywiście. Ten na twoim ramieniu nie jest Aviarem.

Sak usadowiła się wygodniej i nastroszyła pióra. Nie, jej gatunek nie był Aviarami. Zmierzch ruszył dalej.

– Nigdy nie widziałam trapera, który nosiłby ptaka niepo pochodzącego z wysp – odezwała się z tyłu Vathi.

To nie było pytanie, więc Zmierzch nie czuł potrzeby, by odpowiadać.

Ten obóz – miał trzy na wyspie – leżał na szczycie niewielkiego wzgórza, do którego prowadziła kręta ścieżka. Na szczycie masywne drzewo gurra podtrzymywało jednoizbową konstrukcję. Na Patjim drzewa były jednymi z najbezpieczniejszych miejsc do spania. Szczyty drzew były królestwem Aviarów, a większość dużych drapieżników poruszała się po ziemi.

Zmierzch zapalił latarnię i uniósł ją, a jej pomarańczowy blask oświetlił jego dom.

– Na górę – powiedział do kobiety.

Obejrzała się przez ramię na coraz ciemniejszą dżunglę. W blasku latarni widział, że białka jej oczu są czerwone z niewyspania, mimo beztróskiego uśmiechu, który mu posłała, nim zaczęła się wspinać po kołkach umieszczonych w drzewie. Już powinna odzyskać czucie.

– Skąd wiedziałaś? – spytał.

Vathi zawahała się przed klapą prowadzącą do jego domu.

– Co wiedziałam?

– Gdzie jest mój obóz. Kto ci powiedział?

– Kierowałam się dźwiękiem wody. – Wskazała na niewielki strumyk, który wypływał z boku wzgórza. – Kiedy natrafiłam na pułapki, wiedziałam, że idę we właściwą stronę.

Zmierzch zmarszczył czoło. Nikt nie mógł słyszeć tej wody, bo strumień zniknął po kilkuset jardach i pojawiał się ponownie w niespodziewanym miejscu. Podążenie za nim tutaj... było właściwie niemożliwe.

Kłamała czy po prostu miała szczęście?

– Chciałaś mnie znaleźć.

– Chciałam znaleźć kogoś. – Otworzyła klapę, a jej głos przycichł, kiedy wspinała się do budynku. – Uznałam, że traper będzie moją jedyną szansą na przetrwanie. – Na górze podeszła do jednego z osłoniętych siatką okien, Kokerlii wciąż siedział na jej ramieniu. – Ładnie tu. Bardzo przestronnie jak na szopę na zboczu góry pośrodku zabójczej dżungli na odległej wyspie otoczonej przez potwory.

Zmierzch wspiął się na górę, trzymając latarnię w zębach. Pomieszczenie na szczycie było kwadratem o boku może czterech kroków, dość wysokim, by się w nim z trudem wyprostować.

– Wytrzep te koce – powiedział, wskazując na stertę, i odstawił latarnię. – A później podnieś każdy kubek i miseczkę na półce i zajrzyj do nich.

Otworzyła szerzej oczy.

– Czego szukam?

– Morderczych mrówek, skorpionów, pajaków, krwawicieli... – Wzruszył ramionami i postawił Sak na jej grzędzie przy oknie. – Izba powinna być szczelna, ale to Patji. Ojciec lubi niespodzianki.

Kiedy z wahaniem odstawiła torbę i wzięła się do pracy, Zmierzch wspiął się po innej drabinie, żeby sprawdzić dach. Tam znajdowały się ustawione w dwóch rzędach nieduże skrzynki z gniazdami wewnątrz i otworami, by ptaki mogły swobodnie do nich wchodzić i je opuszczać. Zwierzęta nie oddalały się zbyt daleko, jedynie w wyjątkowych sytuacjach, gdyż przyzwyczyły się do tego, że się nimi zajmował.

Kokerlii wylądował na dachu jednego z domków i zaświergotał – ale cicho, bo już zapadła noc. Ze skrzynek odpowiedziało mu gruchanie i ćwierkanie. Zmierzch wyszedł na zewnątrz i sprawdził stan każdego z ptaków, jego skrzydła i łapy. Te pary Aviarów były dziełem jego życia – handlował głównie ich piskletami. Owszem, polował na wyspie, próbując znaleźć gniazda i dzikie piskleta – ale to nigdy

nie było tak wydajne jak własne gniazda.

– Nazywasz się Szósty, prawda? – odezwała się z dołu Vathi.

Jej słowom towarzyszył odgłos wytrzepywania koca.

– Tak.

– Duża rodzina.

Zwyczajna rodzina. Albo kiedyś tak było. Jego ojciec był dwunasty, a matka jedenasta.

– Szósty z czego? – spytała.

– Ze Zmierzchu.

– Czyli urodziłeś się wieczorem. Zawsze uważałam, że tradycyjne imiona są takie... no... opisowe.

Co za bezsensowna uwaga, pomyślał Zmierzch. Dlaczego mieszkańcy ojczystych wysp czują potrzebę mówienia, kiedy nie ma nic do powiedzenia?

Podszedł do kolejnego gniazda, sprawdził dwa senne ptaki w środku, a później ich odchody. Zareagowały radością na jego obecność. Aviar wychowany w pobliżu ludzi – szczególnie taki, który już w młodości udzielał swoich talentów człowiekowi – zawsze postrzegał ludzi jako część swojego stada. Te ptaki nie były jego towarzyszami, jak Sak i Kokerlii, ale wciąż były dla niego wyjątkowe.

– Żadnych owadów w kocach.

Vathi wystawiła głowę przez klapę za jego plecami, na ramieniu miała swojego Aviara.

– Kubki?

– Zaraz do nich przejdę. To są twoje pary lęgowe, tak?

Było to oczywiste, więc nie odpowiedział.

Przyglądała się, jak je sprawdzał. Czuł na sobie jej spojrzenie. W końcu się odezwał.

– Dlaczego twoja kompania zignorowała rady, jakie wam daliśmy? Przybycie tu było katastrofą.

– Tak.

Odwrócił się do niej.

– Tak – powtórzyła – cała ekspedycja najpewniej okaże się katastrofą... katastrofą, która o krok przybliżyła nas do celu.

Sprawdził stan Sisisru, pracował przy blasku wschodzącego księżyca.

– Głupota.

Vathi założyła ręce przed sobą, opierając je o dach budynku, a jej tors wciąż krył się w oświetlonym kwadracie otworu.

– Myślisz, że nasi przodkowie nauczyli się odnajdywać drogę na oceanach bez doświadczenia po drodze paru katastrof? A co z pierwszymi traperami? Masz wiedzę przekazywaną przez pokolenia, wiedzę zdobytą metodą prób i błędów. Gdyby pierwsi traperzy uznali poszukiwania za „głupotę”, gdzie byś był?

– Byli samotnymi mężczyznami, dobrze wykształconymi, nie statkiem pełnym urzędników i dokerów.

– Świat się zmienia, Szósty ze Zmierzchu – powiedziała cicho. – Ludzie na kontynencie pragną Aviarów jako towarzyszy, rzeczy niegdyś zastrzeżone dla bogaczy stają się dostępne dla zwykłych ludzi. Nauczyliśmy się tak wiele, a jednak Aviary wciąż pozostają tajemnicą. Dlaczego piskłeta wychowane na ojczystych wyspach nie obdarzają talentami? Dlaczego...

– Głupie argumenty. – Zmierzch włożył Sisisru z powrotem do gniazda. – Nie chcę znów ich słyszeć.

– A Ci Wysoko? Co z ich techniką, cudami, jakie wytwarzają?

Zawahał się, po czym wyjął parę grubych rękawic i wskazał na jej Aviara. Vathi spojrzała na białozielonego ptaka, cmoknęła uspokajająco i wzięła go w dwie ręce. Ptak nie był zachwycony i kilka razy dziobnął z irytacją palce Vathi, ale bez prawdziwej złości.

Zmierzch ostrożnie wziął ptaka w osłonięte rękawicami dłonie – przy nim Aviar z pewnością by się nie hamował – i rozwiązał bandaż. Mimo głośnych sprzeciwów oczyścił ranę i starannie założył nowy bandaż. Później przywiązał skrzydła do ciała kolejnym bandażem, niezbyt mocno, by ptak mógł oddychać.

Aviarowi się to wyraźnie nie podobało. Ale gdyby próbował latać ze złamanym skrzydłem, zrobiłby sobie jeszcze większą krzywdę. W końcu uda mu się przegryźć bandaż, ale jak na razie będzie miał szansę się wyleczyć. Kiedy skończył, umieścił samiczkę z innymi Aviarami, które świergotały cicho i przyjaźnie, uspokajając zdenerwowanego ptaka.

Vathi jak na razie nie przeszkadzało, że zostawi tam swojego towarzysza, choć z zainteresowaniem przyglądała się temu procesowi.

Zmierzch odwrócił się znów w jej stronę.

– Dziś w nocy możesz spać w moim obozie.

– A później co? Porzucisz mnie w dżungli na śmierć?

– Dobrze sobie poradziłaś w drodze tutaj – przyznał niechętnie. Nie była traperem. Uczony nie powinien dokonać tego, co jej się udało. – Pewnie przeżyjesz.

– Miałam szczęście. Nigdy nie uda mi się dostać na drugi koniec wyspy.

Zmierzch zawahał się.

– Na drugi koniec wyspy?

– Do głównego obozu kompanii.

– Jest was więcej?

– Ja... oczywiście. Chyba nie myślałeś...

– Co się stało?

I kto tu jest głupcem? – pomyślał. Powinieneś spytać o to na samym początku. Mówienie. Nigdy nie był w tym dobry.

Cofnęła się, otworzyła szerzej oczy. Wyglądał na niebezpiecznego? Może zbyt ostro zadał to ostatnie pytanie. Nieważne. Odezwała się, więc dostał, czego chciał.

– Rozbiliśmy obóz na plaży po drugiej stronie. Mamy dwa pancerniki uzbrojone w działa, które obserwują wody. One mogą pokonać nawet głębinowca, gdyby okazało się to konieczne. Dwie setki żołnierzy, o połowę mniej naukowców i kupców. Chcemy dowiedzieć się, raz na zawsze, dlaczego Aviary muszą się narodzić na jednej z wysp Panteonu, żeby obdarzać talentami.

– Jedna grupa wyruszyła w tę stronę, żeby znaleźć miejsce na kolejną fortecę. Kompania jest zdecydowana obronić Patjiego przed innymi zainteresowanymi. Uważałam, że mniejsza ekspedycja jest złym pomysłem, ale miałam własne powody, by okrążyć wyspę. Dlatego wyruszyłam z nimi. A później głębinowiec...

Wyglądała, jakby było jej niedobrze.

Zmierzch prawie przestał słuchać. Dwie setki żołnierzy? Łazących po Patjim jak mrówki po owocu, który spadł na ziemię. Nie do zniesienia! Myślał o ciszy dżungli przerwanej przez zgiełk ich głosów.

Hałas ludzi wrzeszczących do siebie, brzęk metalu, kroki. Jak w mieście.

Trzepot czarnych piór ogłosił przybycie Sak, która wyleciała z dołu i wylądowała na krawędzi otworu obok Vathi. Czarny ptak pokuśtykał po dachu w stronę Zmierzcha, rozciągając skrzydła i ukazując blizny na lewym. Przelecenie nawet kilkunastu kroków było dla niej ciężkim zadaniem.

Zmierzch pochylił się i podrapał ją po szyi. Zaczęło się. Inwazja. Musiał znaleźć sposób, by ją powstrzymać. Jakoś...

– Przykro mi, Zmierzchu. Traperzy mnie fascynują, czytałam o waszym sposobie życia i szanuję go. Ale to się musiało pewnego dnia wydarzyć, jest nieuniknione. Wyspy zostaną ujarzmione. Aviary są zbyt cenne, by zostawić je w rękach paru setek ekscentrycznych ludzi lasu.

– Wodzowie...

– Cała dwudziestka wodzów z rady zgodziła się na ten plan. Byłam tam. Jeśli Węgorzowi nie zabezpieczą tych wysp i Aviarów, zrobi to ktoś inny.

Zmierzch wpatrzył się w noc.

– Idź i upewnij się, że w kubkach nie ma owadów.

– Ale...

– Idź i upewnij się, że w kubkach nie ma owadów!

Kobieta westchnęła cicho, ale cofnęła się do środka, zostawiając go z Aviarami. Wciąż drapał Sak po szyi, szukając pocieszenia w znajomym ruchu i jej obecności. Czy odważy się mieć nadzieję, że cienie okażą się zabójcze dla kompanii i jej pancernych okrętów? Vathi najwyraźniej w nie wierzyła.

Nie powiedziała mi, dlaczego dołączyła do zwiadowców, pomyślał. Widziała cień, była świadkiem śmierci reszty drużyny, ale wciąż zachowała dość przytomności umysłu, by odnaleźć jego obóz. Była silną kobietą. Musiał o tym pamiętać.

Była również typową przedstawicielką kompanii, co oznaczało, że zupełnie nie wiedział, jak z nią postępować. Żołnierzy, rzemieślników, nawet wodzów umiał zrozumieć. Ale ci cisi skrybowie, którzy ukradkiem podbili świat mieczem handlu, oni zbijali go z tropu.

– Ojczy – szepnął. – Co mam robić?

Patji nie udzielił mu żadnej odpowiedzi poza normalnymi odgłosami nocy. Poruszających się, polujących, szeleszczących zwierząt. W nocy Aviary spały, co oznaczało szansę dla najbardziej niebezpiecznych drapieźników wyspy. Z daleka dobiegł okrzyk nocnej paszczy, przerażający wrzask odbijający się echem wśród drzew.

Sak rozłożyła skrzydła, pochyliła się i zaczęła kołysać głową. Ten dźwięk zawsze doprowadzał ją do drżenia. Zmierzch reagował podobnie.

Westchnął, wstał i podniósł Sak na ramię. Odwrócił się i niemal potknął na widok własnego trupa leżącego mu u stóp. Natychmiast zrobił się czujny. O co chodziło? Liany w gałęziach drzewa? Pająk opadający bezgłośnie z góry? W obozie nie powinno być niczego, co mogło go zabić.

Sak krzyknęła, jakby z bólu.

W pobliżu jego pozostałe Aviary również zaczęły krzyczeć, kakofonia pisków, skrzeczenia, ćwierkania. Nie, nie tylko one! Wszędzie dookoła... blisko i daleko, skrzeczały dzikie Aviary. Poruszały się na gałęziach, a był to taki dźwięk jak odgłos potężnego wiatru wiejącego wśród drzew.

Zmierzch obrócił się na pięcie i uniósł dłonie do uszu. Otworzył szerzej oczy na widok licznych trupów, które pojawiły się wokół niego. Leżały na wysokich stertach, jeden na drugim, niektóre

opuchnięte, niektóre zakrwawione, niektóre wychudzone. Dręczyły go. Całe dziesiątki.

Padł na kolana i zawył. I wtedy znalazł się twarzą w twarz z jednym z własnych trupów. Tyle tylko, że on... nie był do końca martwy. Z jego ust sączyła się krew, kiedy próbował coś powiedzieć, samym ruchem warg wypowiadał słowa, których Zmierzch nie rozumiał.

Zniknął.

Wszystkie zniknęły, co do jednego. Zmierzch obrócił się dookoła, ale nie widział ciał. Aviary przycichły, a jego stadko powróciło do gniazd. Odetchnął głęboko, serce biło mu szybko w piersi. Czuł napięcie, jakby w każdej chwili z ciemności otaczających jego obóz mógł wypaść cień, żeby go pochłonać. Przewidywał to, przeczuwał jego nadejście. Chciał uciec, dokądkolwiek.

Co to było? Przez wszystkie lata w towarzystwie Sak nigdy nie wiedział czegoś takiego. Co mogło tak zdenerwować wszystkie Aviary jednocześnie? Ta nocna paszcza, którą słyszał?

Nie bądź głupi, pomyślał. To było zupełnie inne niż cokolwiek, co widziałeś w życiu. Inne niż cokolwiek, co widziano na Patjim. Ale co? Co się zmieniło...

Sak nie uspokoiła się jak pozostałe ptaki. Patrzyła na północ, w stronę miejsca, w którym według Vathi znajdował się główny obóz najeźdźców.

Zmierzch wstał i zszedł z dachu, wciąż z Sak na ramieniu.

– Co robią twoi ludzie?

Vathi obróciła się gwałtownie, słysząc ostry ton jego głosu. Wyglądała przez okno, w stronę północy.

– Ja nie...

Chwycił ją za kamizelkę, przyciągnął do siebie i spojrzał jej w oczy z odległości kilku cali.

– Co robią twoi ludzie?!

Otworzyła szerzej oczy, wyczuł też jej drżenie, choć mocno zacisnęła zęby i nie uciekła wzrokiem. Urzędnicy nie powinni mieć tak wielkiej determinacji. Widział, jak piszą te swoje papiery w pokoikach bez okien. Zmierzch mocniej zacisnął ręce na jej kamizelce, naciągając tkaninę tak, że wbijała się w jej ciało, i zaczął cicho warczeć.

– Wypuść mnie, a wtedy porozmawiamy.

– Ech – mruknął i puścił ją.

Opadła kilka cali w dół i z łoskotem uderzyła w podłogę. Nie uświadamiał sobie, że podniósł ją nad ziemię.

Cofnęła się, starając się jak najbardziej od niego oddalić, co w małym pomieszczeniu nie było łatwe. Podeszedł do okna i wyjrzał przez siatkę w mrok nocy. Jego trup spadł z dachu i uderzył w ziemię poniżej. Zmierzch odskoczył, obawiając się, że znów się zaczęło.

Było inaczej niż poprzednio. Jednak kiedy znów odwrócił się do środka, jego ciało leżało w kącie z rozchyłonymi zakrwawionymi wargami i wpatrywało się tępo w przestrzeń. Niebezpieczeństwo, cymkolwiek było, jeszcze nie minęło.

Vathi usiadła na podłodze, ukryła głowę w dłoniach i drżała. Tak bardzo ją przeraził? Wydawała się zmęczona, wyczerpana. Objęła się ramionami, a kiedy patrzyła na niego, w oczach miała coś, czego nie widział w nich wcześniej – jakby patrzyła na dzikie zwierzę spuszczone z łańcucha.

Co wydawało mu się całkiem stosowne.

– Co wiesz o Tych Wysoko? – spytała.

– Żyją w gwiazdach.

– Kompania się z nimi spotykała. Nie rozumiemy ich zwyczajów. Wyglądają jak my, czasami mówią jak my. Ale mają... zasady, prawa, których nie chcą nam wyjaśnić. Nie chcą nam sprzedawać swoich cudów, ale wydaje mi się, że podobnie nie wolno im zabierać naszych rzeczy, nawet jeśli za nie zapłacą. Obiecują, że dojdzie do tego pewnego dnia, kiedy będziemy bardziej rozwinięci. Zupełnie jakby uważali nas za dzieci.

– Czemu mamy się przejmować? Jeśli zostawiają nas w spokoju, tym lepiej.

– Nie widziałeś rzeczy, które oni potrafią – powiedziała cicho, a jej spojrzenie stało się rozmarzone.
– Nam ledwie udało się wybudować statki, które mogą się poruszać samodzielnie, wbrew wiatrom. Ale Ci Wysoko... oni żeglują po niebie, żeglują wśród gwiazd. Wiedzą tak wiele, ale nie chcą nam nic powiedzieć.

Pokręciła głową i sięgnęła do kieszeni spódnicy.

– Oni czegoś chcą, Zmierzchu. Co może ich interesować? Z ich słów wynika, że jest wiele światów takich jak nasz, na których żyją kultury niezdolne żeglować wśród gwiazd. Nie jesteśmy wyjątkowi, a jednak Ci Wysoko ciągle wracają. Oni czegoś chcą... Widać to w ich oczach...

– Co to?

Zmierzch wskazał na rzecz, którą wyjęła z kieszeni. Spoczywała na jej dłoni jak skorupa małża, ale na wierzchu miała coś przypominającego lustro.

– To maszyna. Jak zegar, ale nie trzeba jej nakręcać i... pokazuje różne rzeczy.

– Jakie rzeczy?

– Cóż, tłumaczy języki. Nasze na język Tych Wysoko. A do tego... pokazuje lokalizację Aviarów?

– Co takiego?!

– Jest jak mapa. Wskazuje drogę do Aviarów.

Zmierzch zrobił krok w jej stronę.

– Tak znalazłaś mój obóz.

– Tak. – Przeciągnęła palcem po maszynie. – Nie powinniśmy tego mieć. Należała do emisariusza wysłanego, by z nami współpracował. Kilka miesięcy temu zadławił się w czasie posiłku. Najwyraźniej oni jednak mogą umrzeć, nawet z przyziemnych przyczyn. To... zmieniło sposób, w jaki ich postrzegam. Jego towarzysze spytali o jego maszyny, a my wkrótce będziemy musieli je zwrócić. Ale ta tutaj pokazuje nam, co ich interesuje. Aviary. Ci Wysoko są nimi zafascynowani. Sądzę, że chcą znaleźć sposób, by kupować ptaki, sposób, na jaki pozwalają ich prawa. Sugerują, że możemy nie być bezpieczni, że nie wszyscy Wysoko przestrzegają ich praw.

– Ale dlaczego Aviary zareagowały tuż przed chwilą w taki sposób? – Zmierzch odwrócił się do okna.
– Dlaczego...

Dlaczego widziałem to, co widziałem? Co do pewnego stopnia nadal widzę? Gdziekolwiek spojrzal, widział swojego trupa. Skulonego przy pobliskim drzewie, w kącie pokoju, wiszącego w otworze w dachu. Był niedbały. Powinien zamknąć klapę.

Sak wtuliła się w jego włosy, jak to robiła, gdy w pobliżu znalazł się drapieżnik.

– Jest... druga maszyna – przyznała Vathi.

– Gdzie?

– Na naszym statku.

Strona, w którą patrzył Aviar.

– Druga maszyna jest o wiele większa. Ta w mojej ręce ma ograniczony zasięg. Większa może stworzyć ogromną mapę obejmującą całą wyspę, a później wypisać na papierze kopię tej mapy. Na mapie będzie kropka oznaczająca każdego Aviara.

– I?

– I mieliśmy ją włączyć tej nocy. Jej przygotowanie wymaga wielu godzin... to jak piec, który trzeba rozgrzać. Zgodnie z planem miała zostać włączona dziś tuż po zachodzie słońca, byśmy mogli wykorzystać ją o poranku.

– Pozostali – odezwał się ostro Zmierzch – czy użyliby jej bez ciebie?

Skrzywiła się.

– Z wielką radością. Kapitan Eusto pewnie zatańczył z radości, kiedy nie wróciłam ze zwiadu. Obawiał się, że przejmę kontrolę nad wyprawą. Ale ta maszyna nie jest szkodliwa, ona jedynie lokalizuje Aviary.

– Czy zrobiła to wcześniej? – spytał, machnąwszy ręką w stronę mroku. – Kiedy ostatnim razem z niej korzystałaś, czy przyciągnęła uwagę wszystkich Aviarów? Wywołała ich niepokój?

– No nie. Ale ta chwila niepokoju minęła, prawda? Z pewnością to nic takiego.

Nic takiego. Sak drżała na jego ramieniu. Zmierzch widział śmierć wszędzie wokół siebie. W chwili, kiedy uruchomili tę maszynę, otoczyły go sterty trupów. Jeśli znów z niej skorzystają, skutki będą koszarne. Zmierzch to wiedział. Czuł.

– Powstrzymamy ich.

– Co takiego? – spytała Vathi. – Dziś w nocy?

– Tak.

Zmierzch ruszył w stronę niedużej szafki ukrytej w ścianie. Otworzył ją i zaczął przeglądać zapasy. Druga latarnia. Dodatkowa oliwa.

– To szaleństwo. Nikt nie wędruje w nocy przez wyspy.

– Raz już to zrobiłem. Z wujem.

Wuj zginął podczas tej wyprawy.

– Nie możesz mówić poważnie, Zmierzchu. Nocne paszcze wyszły na polowanie. Słyszałam je.

– Nocne paszcze śledzą umysły. – Zmierzch pakował zapasy do torby. – Są niemal zupełnie głuche i prawie ślepe. Jeśli będziemy się poruszać szybko i przetniemy środek wyspy, przed świtem dotrzemy do waszego obozu. Możemy ich powstrzymać przed ponownym użyciem tej maszyny.

– Ale dlaczego mielibyśmy to zrobić?

Założył torbę.

– Bo jeśli tego nie zrobimy, ona zniszczy wyspę.

Zmarszczyła czoło i przechyliła głowę.

– Nie wiesz tego. Dlaczego uważasz, że to wiesz?

Zignorował jej pytanie.

– Twój Aviar musi zostać tutaj, z tą raną skrzydła. Nie udałoby jej się odlecieć, gdyby coś się nam stało. – Ten sam argument odnosił się do Sak, ale nie mógł wyruszyć bez niej. – Oddam ci ją, kiedy powstrzymamy maszynę. Chodź.

Podszedł do klapy w podłodze i otworzył ją.

Vathi wstała, ale przycisnęła plecy do ściany.

– Zostaję tutaj.

– Ludzie z twojej kompanii mi nie uwierzą. Musisz im powiedzieć, żeby przestali. Idziesz.

Vathi oblizwała wargi, co wydało się nerwowym odruchem. Rozejrzała się na boki, szukając drogi ucieczki, i znów spojrzała na niego. I wtedy właśnie Zmierzch zauważył swojego trupa wiszącego na kołkach w pniu drzewa poniżej. Podskoczył.

– Co się stało? – spytała ostro.

– Nic.

– Ciągłe rozglądasz się na boki. Co ci się tam zwiduje?

– Idziemy. Już.

– Od tak dawna byłeś samotny na wyspie. – Wyraźnie starała się, by jej głos brzmiał uspokajająco. – Zdenerwowało cię nasze przybycie. Nie myślisz racjonalnie. Rozumiem.

Zmierzch odetchnął głęboko.

– Sak. Pokaż jej.

Ptaka zeskoczył z jego ramienia, z trudem przeleciał przez pokój i wylądował na Vathi. Zmarszczywszy czoło, odwróciła się do ptaka.

I z sapnięciem osunęła się na kolana i przyłgnęła do ściany. Rozglądała się dookoła i poruszała ustami, z których nie wydobywał się żaden dźwięk. Zmierzch odczekał chwilę, po czym podniósł rękę. Sak powróciła do niego, po drodze gubiąc jedno czarne pióro. Znów usadowiła się na jego ramieniu. Tak długi lot był dla niej trudny.

– Co to było? – spytała Vathi.

– Chodź.

Zmierzch wziął torbę i wyszedł z pokoju.

Vathi podeszła niepewnie do otwartej klapy.

– Nie. Powiedz mi. Co to było?

– Widziałaś swojego trupa.

– Wszędzie dookoła. Wszędzie, gdzie patrzyłam.

– Sak daje taki talent.

– Nie ma takiego talentu.

Zmierzch, który znalazł się już w połowie drogi do ziemi, podniósł na nią wzrok.

– Widziałaś swoją śmierć. Tak się stanie, jeśli twoi przyjaciele wykorzystają tę maszynę. Śmierć. Nas wszystkich. Aviarów i wszystkiego, co tu żyje. Nie wiem dlaczego, ale wiem, że tak się stanie.

– Odkryłeś nowego Aviara. Jak... Kiedy...

– Podaj mi latarnię.

Wydawała się odrętwiała, ale wypełniła jego polecenie. Przytrzymując latarnię zębami, Zmierzch zszedł po kołkach na ziemię. Później uniósł światło wysoko i spojrzał z góry na zbocze.

Czarna dżungla w nocy. Jak głębiny oceanu.

Zadrzał i zagwizdał. Kokerlii sfrunął z góry i wylądował na jego drugim ramieniu. Ukryje ich umysły, co dawało im szansę. I tak nie będzie łatwo. Istoty z dżungli polegały na wyczuciu umysłów, ale wiele z nich umiało też wykorzystywać węch i inne zmysły.

Vathi zeszła za nim po kołkach, na ramieniu miała torbę, z której wystawała dziwna rurka.

– Masz dwa Aviary. Używasz ich obu jednocześnie?

- Wuj miał trzy.
- Jak to w ogóle możliwe?
- Lubią traperów.

Tak wiele pytań. Nie mogła pomyśleć, jakie mogą być odpowiedzi, nim je zadała?

- Rzeczywiście to robimy – szepnęła. – Dżungla w nocy. Powinnam zostać. Powinnam odmówić...
- Widziałas swoją śmierć, gdybyś tak zrobiła.
- Widziałam coś, co według ciebie jest moją śmiercią. Nowy Aviar... Minęły całe stulecia.

Choć w jej głosie nadal brzmiała niechęć, ruszyła za nim, gdy zszedł w dół zbocza, mijając swoje pułapki, i wkroczył w dżungłę.

Jego trup siedział pod drzewem. Zmierzch natychmiast rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś, co mogło go tu zabić, ale wydawało się, że zmysły Sak nie działają właściwie. Nieuchronna śmierć wyspy była tak przytłaczająca, że najwyraźniej tłumiła mniejsze zagrożenia. Być może aż do czasu zniszczenia maszyny nie będzie mógł polegać na jej wizjach.

Pochłonęła ich gęsta dżungla, gorąca nawet w nocy – wiatry od oceanu nie sięgały tak daleko w głąb łądu. Powietrze wydawało się nieruchome i wypełniały je aromaty dżungli. Grzyby, rozkładające się liście, zapach kwiatów. Woniom tym towarzyszyły dźwięki ożywiającej się wyspy. Ciągły trzask poszycia, jak robactwo wijące się w stercie suchych liści. Światło latarni nie sięgało tak daleko, jak powinno.

Vathi zatrzymała się tuż za nim.

- Dlaczego zrobiłeś to wcześniej? – szepnęła. – Kiedy poprzednio wyszedłeś w nocy?

Znowu pytania. Ale dźwięki na szczęście nie były zbyt niebezpieczne.

– Byłem ranny – odszepnął. – Musieliśmy dotrzeć z jednego obozu do drugiego po zapas antidotum na jad.

Ponieważ Zmierzch drżącymi rękami upuścił buteleczkę.

- I przeżyłeś to? To znaczy to oczywiste. Po prostu jestem zaskoczona.

Wydawało się, że mówi po to, żeby wypełnić ciszę.

- Mogą nas obserwować. – Vathi wpatrzyła się w cienie. – To znaczy nocne paszcze.

– Nie robią tego.

- Skąd wiesz? – spytała przyciszonym głosem. – W tych ciemnościach może się kryć wszystko.

– Gdyby nocne paszcze nas zobaczyły, bylibyśmy martwi. Stąd wiem.

Pokręcił głową, wyciągnął maczetę i wyciął kilka gałęzi z przodu. Po każdej mogły biegać mordercze mrówki. W ciemnościach by ich nie zauważył, więc ocieranie się o liście było kiepskim pomysłem.

Ale go nie unikniemy, pomyślał, kierując się w stronę rowu wypełnionego gęstym błotem. Musiał stawiać stopy na kamieniach, żeby się w nim nie zapaść. Vathi podążała za nim z zadziwiającą zręcznością. Musimy iść szybko. Nie mogą wycinać każdej gałęzi na drodze.

Zeskoczył z kamienia na brzeg rowu, mijając swojego trupa tonącego w błocie. W pobliżu zauważył drugie ciało, tak przezroczyste, że niemal niewidzialne. Uniósł latarnię z nadzieją, że się znów nie zaczęło.

Inne się nie pojawiły. A ten słabo widoczny... tak, tam był lej. Sak zaćwierkała cicho, a on wyciągnął z kieszeni ziarno. Wymyśliła sposób, jak mu pomóc. Te mniej wyraźne obrazy oznaczały bezpośrednie zagrożenie – będzie musiał na nie uważać.

– Dziękuję – szepnął.

– Ten twój ptak. – Vathi mówiła cicho w mroku nocy. – Jest ich więcej?

Wyszli z rowu i ruszyli dalej, przecinając dróżkę krelli. Zatrzymał ich tuż przed grupką morderczych mrówek. Vathi patrzyła na malutkie żółte owady maszerujące w linii prostej.

– Zmierzchu? – spytała, kiedy ominęli mrówki. – Czy są inne? Dlaczego nie przywiozłeś żadnych piskląt na targ?

– Nie mam piskląt.

– Czyli znalazłeś tylko tego jednego?

Pytania, pytania. Brzęczące wokół niego jak muchy.

Nie bądź głupi, powiedział sobie, tłumiąc irytację. Sam byś zadawał takie pytania, gdybyś zobaczył kogoś z nowym Aviarem. Próbował utrzymać Sak w tajemnicy, przez lata nawet nie zabierał jej ze sobą, kiedy opuszczał wyspę. Ale od kiedy uszkodziła sobie skrzydło, nie chciał jej porzucać.

W głębi duszy wiedział, że nie uda mu się utrzymać tajemnicy zawsze.

– Jest wiele takich jak ona. Ale tylko ona daje talent.

Vathi zatrzymała się gwałtownie, gdy on nadal wycinał im ścieżkę. Odwrócił się i patrzył na nią, samotną na nowym szlaku. Wcześniej oddał jej latarnię.

– To ptak z kontynentu. – Uniosła wyżej światło. – Wiedziałam o tym, kiedy ją zobaczyłam i założyłam, że nie jest Aviarem, bo ptaki z kontynentu nie dają talentów.

Zmierzch odwrócił się do niej plecami i dalej ciął gałęzie.

– Zabrałeś pisklę z kontynentu na Pantheon – szepnęła z tyłu Vathi. – A ono zyskało talent.

Z głośnym trzaskiem ściał gałąź i pracował dalej. Vathi znów nie zadała pytania, więc nie musiał odpowiadać.

Pośpieszyła w jego stronę, a gdy się zbliżyła, blask latarni sprawił, że Zmierzch ujrzał przed sobą własny cień.

– Z pewnością ktoś już spróbował tego wcześniej. Z pewnością...

Nie wiedział.

– Ale czemu mieliby to robić? – mówiła dalej, cicho, jakby do siebie. – Aviary są wyjątkowe. Wszyscy znają różne gatunki i wiedzą, co one umieją. Dlaczego zakładać, że ryba nauczyłaby się oddychać powietrzem, gdyby wychować ją na lądzie? Dlaczego zakładać, że nie-Aviar zmieni się w Aviar, gdyby wychować go na Patjim...?

Szli dalej przez noc. Omijali kolejne niebezpieczeństwa, choć Zmierzch odkrył, że musi bardzo polegać na pomocy Sak. Nie podążaj za tym strumieniem, unosi się na nim twój trup. Nie dotykaj tego drzewa, jego korę pokrywa trująca zgnilizna. Zawróć z tej ścieżki. Twój trup ma ślad po ugryzieniu morderczej mrówki.

Sak nie mówiła do niego, ale każdy obraz był jasny. Kiedy zatrzymał się, żeby Vathi mogła się napić z manierki, przytrzymał Sak i odkrył, że drży. Nie dziobała go, co zwykle robiła, kiedy otaczał ją dłońmi.

Stali na niewielkiej polance, otaczała ich całkowita ciemność, a niebo spowijały chmury. Słyszał odległy szum deszczu padającego na liście drzew. Nie było to nic niezwykłego.

Rozległ się krzyk nocnej paszczy, później drugi. Robiły to tylko wtedy, kiedy udało im się polowanie albo kiedy chciały przestraszyć ofiarę. Stada krelli często spały w pobliżu gniazd Aviarów. Wystarczyło

przestraszyć ptaki, by wyczuć krelle.

Vathi wyjęła rurkę. To nie był futerał na zwoje – ani nic uczonego, oceniając po sposobie, w jaki trzymała rurkę, wlewając coś do środka. Kiedy skończyła, uniosła ją jak broń. Pod jej stopami leżało zmasakrowane ciało Zmierzcha.

Nie pytał Vathi o broń, nawet kiedy wzięła coś w rodzaju krótkiej, smukłej włóczni i nałożyła ją na rurkę. Żadna broń nie mogła przebić grubej skóry nocnej paszczy. Człowiek albo ich unikał, albo ginął.

Kokerlii sfrunął na jego ramię i zaświergotał. Wydawał się zdezorientowany ciemnością. Dlaczego wyszli w noc, kiedy ptaki zwykle nie wydawały żadnych odgłosów?

– Musimy ruszać dalej.

Zmierzch umieścił Sak na drugim ramieniu i wyjął maczetę.

– Rozumiesz, że twój ptak zmienia wszystko.

Vathi dołączyła do niego, zarzuciła torbę na ramię, a w drugiej ręce trzymała swoją rurkę.

– Będą nowe rodzaje Aviarów – szepnął Zmierzch, przestępując nad swoim trupem.

– Co najmniej. Zakładaliśmy, że pisklęta wychowane z dala od tych wysp nie rozwijały zdolności, bo nie miały w okolicy nikogo, kto mógłby je wyszkolić. Przypuszczaliśmy, że ich zdolności są wrodzone, jak nasza zdolność do mówienia... jest wrodzona, ale potrzebujemy pomocy innych, by ją rozwinąć.

– To wciąż może być prawda. I inne gatunki, takie jak Sak, można jedynie nauczyć mówienia.

– A twój ptak? Został nauczony przez inne?

– Może.

Nie powiedział, co naprawdę myślał. To była sprawa traperów. I wtedy właśnie na ziemi zauważył trupa.

Nie należał do niego.

Od razu uniosł dłoń, uciszając Vathi, która zadawała właśnie kolejne pytanie. Co to? Z ciała pozostał właściwie tylko ogryziony szkielet, a ubrania leżały rozrzucone dookoła, rozdarte przed pożywiające się zwierzęta. Wokół trupa wyrosły niewielkie, przypominające grzyby rośliny, a ich malutkie czerwone wąsy wyciągały się, obejmując części szkieletu.

Podniósł wzrok na wielkie drzewo, pod którym spoczywał trup. Kwiaty nie były rozwinięte. Zmierzch odetchnął głęboko.

– Co to? – spytała Vathi. – Zabójcze mrówki?

– Nie. Palec Patjiego.

Zmarszczyła czoło.

– Czy to... jakieś przekleństwo?

– Nazwa.

Zmierzch postąpił ostrożnie krok do przodu, by zbadać ciało. Maczeta. Ciężkie buty. Wytrzymałe wyposażenie. Zginał jeden z jego towarzyszy. Wydawało mu się, że rozpoznaje go po ubraniu. Starszy traper imieniem Pierwszy z Nieba.

Vathi zajrzała mu przez ramię.

– Osoby?

– Drzewa. – Zmierzch poruszył ubranie trupa, uważając na owady, które mogły się w nim ukrywać. – Unieś latarnię.

– Nigdy nie słyszałam o tym drzewie. – W głosie Vathi brzmiał sceptycyzm.

- Rosną tylko na Patjim.
- Dużo czytałam o florze tych wysp...
- Tutaj jesteś dzieckiem. Światło.

Z westchnieniem uniosła latarnię. Zmierzch obmacał za pomocą kija kieszenie rozerwanego ubrania. Ten mężczyzna został zabity przez stado zębaczy, dużych drapieżników – prawie dorównujących wielkością człowiekowi – które polowały głównie w ciągu dnia. Ich poruszenia były przewidywalne, chyba że ktoś wpadł na jeden z Palców Patjiego w pełni rozkwitu.

Tutaj. W kieszeni mężczyzny znalazł niewielką książkę. Zmierzch podniósł ją i cofnął się. Vathi zaglądała mu przez ramię. Mieszkańcy ojczystych wysp stali tak blisko siebie. Naprawdę musiała stać mu tuż przy łokciu?

Sprawdził pierwsze strony i odnalazł listę dat. Tak, oceniając po ostatniej zanotowanej dacie, ten mężczyzna nie żył od zaledwie kilku dni. Dalsze kartki opisywały szczegółową lokalizację obozów Nieba, wraz z opisem strzegących ich pułapek. Na ostatniej znajdowało się pożegnanie.

Jestem Pierwszy z Nieba, w końcu zabrany przez Patjiego. Mam brata na Suluko. Zajmij się nim, rywalu.

Niewiele słów. To dobrze. Zmierzch nosił podobną książeczkę, a na ostatniej stronie zapisał jeszcze mniej.

- Chce, żebyś zatroszczył się o jego rodzinę? – spytała Vathi.
- Nie bądź głupia. – Zmierzch schował książkę. – Jego ptaki.
- To urocze. Zawsze sądziłam, że traperzy są niewiarygodnie terytorialni.

– Zgadza się. – Zwrócił uwagę na sposób, w jaki to powiedziała. Jej ton sugerował, że uważa traperów za istoty podobne do zwierząt. – Ale nasze ptaki mogą zginąć bez opieki, są przyzwyczajone do ludzi. Lepiej oddać je rywalowi niż pozwolić im umrzeć.

– Nawet jeśli to rywal cię zabił? Pułapki, które zastawiacie, sposoby, w jakie próbujecie sobie przeszkadzać...

- Takie są nasze zwyczaje.

Vathi spojrzała na drzewo.

- To kiepskie usprawiedliwienie.

Miała rację.

Drzewo było olbrzymie, z opadającymi pierzastymi liśćmi. Na końcu każdego z nich znajdował się duży pąk długości dwóch dłoni.

- Nie wydajesz się zdenerwowany – zauważyła – choć roślina zabiła tego mężczyznę.

- One są niebezpieczne tylko wtedy, kiedy kwitną.

- Zarodniki?

- Nie.

Podniósł leżącą na ziemi maczetę, ale resztę rzeczy Nieba zostawił w spokoju. Niech Patji go weźmie. Ojciec tak lubił mordować swoje dzieci. Zmierzch ruszył dalej, prowadząc Vathi i ignorując swojego trupa przerzuconego przez kłodę.

– Zmierzchu? – Vathi uniosła latarnię i pośpieszyła w jego stronę. – Jeśli nie zarodniki, to jak zabija drzewo?

- Tak wiele pytań.

- Moje życie obraca się wokół pytań. I odpowiedzi. Jeśli moi ludzie mają pracować na tej wyspie...

Ciął kilka roślin maczetą.

– Do tego dojdzie – powiedziała łagodniejszym tonem. – Przykro mi, Zmierzchu. Nie powstrzymasz świata przed zmianami. Może moja ekspedycja zostanie pokonana, ale po niej przyjdą inne.

– Z powodu Tych Wysoko – warknął.

– Oni być może są bodźcem. I kiedy wreszcie przekonamy ich, że jesteśmy dość rozwinięci, by z nami handlować, poześlujemy do gwiazd jak oni. Ale zmiana nadejdzie nawet bez nich. Świat się rozwija. Jeden człowiek tego nie spowolni, choćby był bardzo zdeterminowany.

Zatrzymał się gwałtownie.

„Nie powstrzymasz przyływu, Zmierzchu. Choćbyś był bardzo zdeterminowany”. Słowa jego matki. Jedne z ostatnich, które pamiętał.

Ruszył dalej, Vathi podążyła za nim. Potrzebował jej, choć zdradziecki głos w głowie podpowiadał mu, że łatwo by ją było zabić. A razem z nią odeszłyby jej pytania – i, co ważniejsze, odpowiedzi. Te, których odkrycia była bardzo blisko.

„Nie możesz tego zmienić...”.

Nie mógł. I to go złościło. Tak bardzo chciał obronić tę wyspę, jak jemu podobni robili od stuleci. Pracował w tej dżungli, kochał jej ptaki, darzył sympatią zapachy i odgłosy – wbrew wszystkiemu. Jakże chciał udowodnić Patjemu, że on i pozostali są godni tych brzegów.

Może. Może wtedy...

Ech. Cóż, zabicie tej kobiety nie zapewniłoby wyspie ochrony. Poza tym, czy upadł tak nisko, że zamordowałby z zimną krwią bezradną urzędniczkę? Nie zrobiłby tego nawet innemu traperowi, chyba że zbliżyłby się do jego obozu i się nie wycofał.

– Kwiaty myślą – powiedział, omijając kopiec świadczący, że wcześniej w tym miejscu ryło stado zębaczy. – Palce Patjiego. Same drzewa nie są niebezpieczne, nawet kiedy kwitną... ale przyciągają drapieżniki, imitując myśli rannego zwierzęcia, które cierpi i czuje strach.

Vathi sapnęła.

– Roślina, która emituje sygnaturę mentalną? Pewien jesteś?

– Tak.

– Potrzebuje jednego z tych kwiatów.

Światło zadrżało, kiedy odwróciła się, żeby wrócić tam, skąd przyszli.

Zmierzch obrócił się i chwycił ją za ramię.

– Musimy iść.

– Ale...

– Dostaniesz kolejną szansę. – Odetchnął głęboko. – Twoi ludzie wkrótce będą pełzać po wyspie jak larwy po padlinie. Zobaczysz inne drzewa. Dziś w nocy musimy iść. Nadchodzi świt.

Puścił ją i wrócił do pracy. Wcześniej uznał, że jest mądra, jak na człowieka z ojczystych wysp. Może go posłucha.

Posłuchała i ruszyła za nim.

Palce Patjiego. Pierwszy z Nieba, martwy traper, nie powinien zginąć w tym miejscu. Drzewo naprawdę nie było aż tak niebezpieczne. Żyło, bo otwierało wiele kwiatów i przyciągało drapieżniki na ucztę. Drapieżniki później walczyły między sobą, a drzewo żywiło się trupami. Niebo musiał wpaść na drzewo, kiedy zaczynało kwitnąć, i nie udało mu się uniknąć tego, co nastąpiło.

Jego Aviar nie wystarczył, by osłonić go przed tak wieloma otwartymi kwiatami. Kto by się spodziewał takiej śmierci? Po latach przeżytych na wyspie, przetrwaniu wielu bardziej przerażających niebezpieczeństw, złapały go proste kwiaty. Wydawało się, że to sam Patji zaszydził z biedaka.

Zmierzch i Vathi szli dalej, wkrótce ich droga zaczęła prowadzić pod górę. Musieli przez jakiś czas się wspinać, zanim zaczną schodzić w dół na drugą stronę wyspy. Całe szczęście ich ścieżka omijała najwyższy szczyt Patjego – ten fragment klina, który wznosił się po wschodniej stronie wyspy. Jego obóz znajdował się na południu, a Vathi na północnym wschodzie, co pozwalało im obejść podstawę klina, by dotrzeć na drugą plażę.

Szli równym krokiem i Vathi na jakiś czas ucichła. W końcu, na szczycie wyjątkowo stromego wzniesienia, Zmierzch zrobił przerwę i kucnął, by napić się z manierki. Na Patjim nie siadało się beztrwosko na pniu czy kłodzie, żeby odpocząć.

Pochłonięty zmartwieniami i frustracją zbyt późno zauważył, co robi Vathi. Znalazła coś wśród gałęzi – długie, kolorowe pióro. Pióro godowe.

Zmierzch poderwał się na równe nogi.

Vathi wyciągnęła rękę w stronę niższych gałęzi.

Kiedy pociągnęła za gałąź, z pobliskiego drzewa opadły liny nabijane kolcami. Zmierzch rzucił się w stronę kobiety, wyciągając ramię, by ją osłonić. Długi, wąski kolec wbił się w jego skórę i przebił rękę na wylot, zatrzymując się o włos od policzka Vathi.

Wrzasnęła.

Wiele drapieźników na Patjim nie miało dobrego słuchu, ale mimo wszystko postąpiła niemądrze. Zmierzch wyrwał kolec ze skóry, nie przejmując się krwawieniem, i sprawdził inne kolce na pułapce.

Żadnej trucizny. Na szczęście nie zostały zatrute.

– Twoja ręka! – wykrzyknęła Vathi.

Chrząknął. Nie bolało. Na razie. Sięgnęła do torby po bandaż, a on przyjął jej zabiegi bez słowa skargi i jęku, nawet kiedy poczuł ból.

– Tak mi przykro! – wyrzuciła z siebie Vathi. – Znalazłam pióro godowe! To oznacza gniazdo Aviarów, więc pomyślałam, że sprawdzę to drzewo. Wpadliśmy na obóz innego trapera?

Gadała, jednocześnie opatrując jego ranę. To wydawało się stosowne. Kiedy on się denerwował, mówił jeszcze mniej. Ona odwrotnie.

Okazało się, że umie dobrze bandażować, i to go znów zaskoczyło. Kolec nie trafił w żadną większą tętnicę. Nic mu nie będzie, choć rana na jakiś czas utrudni używanie lewej ręki, co było kłopotliwe. Kiedy Vathi skończyła i patrzyła na niego z zawstydzoną i pełną skruchy miną, podniósł pióro godowe, które upuściła.

– To – wyszeptał, zanim uniósł je przed jej twarzą – jest symbol twojej niewiedzy. Na wyspach Panteonu nic nie jest łatwe, nic nie jest proste. To pióro zostało umieszczone przez innego trapera, by złapać kogoś, kto nie zasługuje, by tu przebywać, kogoś, kto liczył na łatwy łup. Ty nie możesz być tą osobą. Nie podejmuj działania, zanim nie zadasz sobie pytania, czy to nie za proste.

Pobladła i wzięła pióro.

– Chodź.

Odwrócił się i ruszył dalej. Jak sobie uświadomił, to była przemowa do ucznia, który popełnił pierwszy poważny błąd. Rytuał wśród traperów. Co go opętało, że wygłosił ją przed kobietą?

Szła za nim ze zwieszoną głową, odpowiednio zawstydzona. Nie uświadamiała sobie zaszczytu, jaki właśnie jej uczynił, choćby nieświadomie. Szli tak przez ponad godzinę.

Kiedy się w końcu odezwała, z jakiegoś powodu niemal ucieszyły go słowa na tle dźwięków dżungli.

– Przepraszam.

– Nie musisz przeproszać. Jedynie zachować ostrożność.

– Rozumiem. – Odetchnęła głęboko, cały czas podążając za nim ścieżką. – I naprawdę jest mi przykro. Nie tylko z powodu twojej ręki. Ale także wyspy. Tego, co nadchodzi. Sądzę, że to nieuniknione, ale żałuję, że oznacza jednocześnie koniec tak wspaniałej tradycji.

– Ja...

Słowa. Nie znośił szukać słów.

– To... nie był zmierzch, kiedy się urodziłem.

Ciął bagieną lianą i wstrzymał oddech, by ochronić się przed gryzącymi oparami, które wypuściła w jego stronę. Były niebezpieczne jedynie przez kilka chwil.

– Przepraszam? – Vathi trzymała się z dala od liany. – Urodziłeś się...

– Matka nie nadała mi imienia ze względu na porę dnia. Dostałem takie imię, ponieważ matka widziała zmierzch naszego ludu. Słońce wkrótce nad nami zajdzie, jak mi często powtarzała.

Spojrzał znów na Vathi i przepuścił ją. Weszła na niedużą polanę.

Co dziwne, uśmiechnęła się do niego. Dlaczego znalazł takie słowa? Podążył za nią na polanę, martwiąc się sobą. Nie powiedział tego wujowi – jedynie rodzice znali pochodzenie jego imienia.

Nie był pewien, czemu to wyznał tej urzędniczce ze złej kompanii. Ale... czuł się z tym dobrze.

Spomiędzy drzew za Vathi wypadła nocna paszcza.

Olbrzymi bestia byłaby wysoka jak drzewo, gdyby stała wyprostowana. Ona jednak pochylała się, potężne nogi podtrzymywały większość jej ciężaru, a dwie szponiaste przednie łapy szarpały ziemię. Wyciągnęła do przodu długą szyję i otworzyła dziób, ostry jak brzytwa i zabójczy. Wyglądała jak ptak – w takim samym sensie, w jakim wilk wygląda jak domowy piesek.

Zmierzch rzucił maczetą. Instynktowna reakcja, bo nie miał czasu do namysłu. Nie miał czasu, by się bać. Ten dziób – wielki jak drzwi – zabiłby ich oboje w ciągu kilku chwil.

Maczeta ześlizgnęła się po dziobie i zraniła bok głowy stwora. To sprawiło, że na chwilę się zawahał. Zmierzch rzucił się w stronę Vathi. Cofnęła się od niego i oparła koniec swojej rurki o ziemię. Musiał ją odciągnąć, musiał...

Wybuch go ogłuszył.

Vathi otoczył dym. Stojąc z szeroko otwartymi oczami, wypuściła z dłoni latarnię i rozlała oliwę. Nagły dźwięk oszołomił Zmierzcha, który niemal zderzył się z kobietą, podczas gdy nocna paszcza szarpnęła się i upadła, a ziemia aż zadrżała od siły uderzenia.

Zmierzch odkrył, że leży na ziemi. Podniósł się niezgrabnie i cofnął się od wstrząsanej drgawkami koszmarnej paszczy, która znajdowała się zaledwie kilka cali od niego. W migoczącym blasku latarni widział skórę pokrytą zgrubieniami jak u ptaka, który stracił wszystkie pióra.

Stwór był martwy. Vathi go zabiła.

Powiedziała coś.

Vathi zabiła nocną paszczę.

– Zmierzchu!

Jej głos wydawał się odległy.

Unióśł dłoń do czoła, które z opóźnieniem zrosił pot. Ranna ręka ćmiła bólem, ale poza tym był napięty. Czuł, że powinien uciekać. Nigdy nie chciał się tak bardzo zbliżyć do jednego z tych stworów. Nigdy.

Zabiła go.

Odwrócił się w stronę Vathi i spojrzał na nią szeroko otwartymi oczyma. Drżała, ale dobrze to ukrywała.

– Zdziałało. Nie byliśmy pewni, czy się uda, choć przygotowaliśmy je specjalnie na nocne paszcze.

– Jest jak armata na jednym z tych statków, ale w twoich dłoniach.

– Tak.

Znów odwrócił się w stronę bestii. Właściwie nie była martwa, nie do końca. Zadrżała i wydała z siebie żalospny jęk, który nim wstrząsnął, mimo że wciąż nie słyszał najlepiej. Broń wystrzeliła włócznię prosto w pierś stwora.

Nocna paszcza zadrżała i słabo poruszyła łapą.

– Moglibyśmy zabić je wszystkie. – Zmierzch odwrócił się i podbiegł do Vathi, objął ją prawą ręką, tą, która nie była ranna. – Za pomocą tej broni moglibyśmy zabić je wszystkie. Każdą nocną paszczę. I cienie też!

– Cóż, omawialiśmy to. Mimo wszystko są ważną częścią ekosystemu tych wysp. Usunięcie drapieżników ze szczytu łańcucha pokarmowego mogłoby przynieść niepożądane skutki.

– Niepożądane skutki? – Zmierzch przecesał włosy lewą dłonią. – Zniknęłyby. Wszystkie! Nie obchodzi mnie, jakie inne problemy mogłoby to wywołać. Byłyby martwe.

Vathi prychnęła, podniosła latarnię i zdeptała płonąca oliwę.

– Myślałam, że traperzy są zjednoczeni z naturą.

– Owszem. I dlatego wiem, że lepiej by nam było bez tych stworów.

Kobieta okrążyła umierającąbestię.

– Rozwiewasz wiele z moich romantycznych złudzeń na wasz temat, Zmierzchu.

Zmierzch zagwizdał i wyciągnął rękę. Kokerlii sfrunął z wysokich gałęzi – w chaosie po wybuchu nie widział, jak ptak odlatuje. Sak wciąż mocno zaciskała łapy na jego ramieniu, jej pazury wbijały się przez tkaninę w skórę Zmierzcha. Nie zauważył tego. Kokerlii wylądował na jego ręce i zaświergotał przepraszająco.

– To nie twoja wina – powiedział Zmierzch. – One polują w nocy. Nawet jeśli nie wyczuwają naszych umysłów, mogą nas wywęszyć.

Podobno miały niewiarygodny węch. Ten wyszedł zza ich pleców – musiał natrafić na ich szlak i podążyć za nimi.

Niebezpieczne. Wuj zawsze twierdził, że nocne paszcze robiły się bystrzejsze i wiedziały, że nie mogą polować na ludzi, jedynie szukając ich umysłów. Powiniennem przejść przez więcej strumieni, pomyślał Zmrok, głaszcząc Sak po szyi, by ją uspokoić. Ale nie ma czasu...

Jego trup znajdował się wszędzie, gdzie Zmierzch spojrzał. Na skale, wiszący na lianach, skulony pod szponami umierającej nocnej paszczy.

Bestia zadrżała po raz ostatni, po czym uniosła koszmarny łeb i wydała z siebie ostatni wrzask. Nie

tak głośny jak te, które zwykle rozbrzmiewały w nocy, ale mrozący krew w żyłach i okropny. Zmierch cofnął się wbrew sobie, a Sak zaćwierkała nerwowo.

W mroku nocy rozległy się odległe krzyki nocnych paszczy. Ten dźwięk... nauczono go rozpoznawać jako odgłos śmierci.

– Idziemy.

Podszedł do Vathi i odciągnął ją od umierającej bestii, która opuściła łeb i ucichła.

– Zmierchu?

Nie stawiała oporu, kiedy ją odciągał.

Jedna z pozostałych nocnych paszczy krzyknęła ponownie. Była bliżej? Och, Patji, proszę, pomyślał. Nie. Nie to.

Przyśpieszył kroku i sięgnął do maczety u pasa, ale jej nie znalazł. Rzucił nią. Wyjął tę, którą zabrał zabitemu rywalowi, po czym wyciągnął kobietę z polany, z powrotem do dżungli. Już nie mógł się przejmować, że otrze się o mordercze mrówki.

Nadchodziło większe niebezpieczeństwo.

Znów zabrzmiały okrzyki śmierci.

– Zbliżają się? – spytała Vathi.

Zmierch nie odpowiedział. To było pytanie, ale nie znał odpowiedzi. Przynajmniej zaczynał odyskiwać słuch. Puścił jej dłoń i ruszył szybciej, prawie truchtem – szybciej, niż powinien poruszać się w dżungli, w dzień czy w nocy.

– Zmierchu! – syknęła Vathi. – One przyjdą? Na wezwanie umierającego? Czy tak robią?

– A skąd mam wiedzieć? Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby jeden z nich zginął.

Zobaczył rurkę, którą kobieta znów niosła na ramieniu oświetloną blaskiem latarni.

Zatrzymał się, choć instynkty kazały mu przyśpieszyć kroku, i poczuł się jak głupiec.

– Twoja broń. Możesz znów jej użyć?

– Tak. Jeszcze raz.

– Jeszcze raz?

W mroku rozległo się pół tuzina wrzasków.

– Tak. Zabrałam tylko trzy włócznie i dość prochu na trzy strzały. Pierwszy raz strzelałam do cienia. Niewiele to dało.

Nie odzywał się więcej. Zignorował ranną rękę – bandaż wymagał wymiany – i pociągnął Vathi przez dżunglę. Krzyki się powtarzały. Podekscytowane. Jak można było uciec nocnym paszczom? Jego Aviary trzymały się mocno po obu stronach jego szyi. Musiał przeskoczyć nad własnym trupem, kiedy przebyli jar i wyszli na drugą stronę.

Jak przed nimi uciec? – zastanawiał się, przypominając sobie nauki wuja. Przede wszystkim nie należy przyciągać ich uwagi!

Były szybkie. Kokerlii ukryje jego umysł, ale gdyby natrafiły na jego ślad przy zabitym towarzyszu...

Woda. Zatrzymał się, spojrział w prawo, a później w lewo. Gdzie znajdzie strumień? Patji był wyspą. Woda pochodziła głównie z opadów. Największe jezioro... właściwie jedyne... znajdowało się na zboczu klina. W pobliżu szczytu. Na wschodzie znajdowało się wzniesienie otoczone ze wszystkich stron urwiskami. Tam, w Oku Patjiego, zbierała się deszczówka. Rzeka była jego łzami.

Pójście w tę stronę było niebezpieczne, zwłaszcza z Vathi. Ich dotychczasowa ścieżka omijała

wyższe zbrocza i prowadziła przez wyspę w stronę północnej plaży. Byli blisko...

Wrzaski go przynaglały. Patji będzie musiał mu wybaczyć to, co miał zamiar zrobić. Wziął Vathi za rękę i pociągnął ją bardziej na wschód. Nie zaprotestowała, choć ciągle oglądała się przez ramię.

Krzyki zbliżały się coraz bardziej.

Biegł. Biegł tak szybko, jak nigdy nie spodziewał się biec na Patjim, szaleńczo i lekkomyślnie. Przeskakiwał przez zagłębienia, nad powalonymi pniami, które porastał mech. Przez ciemne poszycie, strasząc potulniaki i budząc Aviary drzemające w gałęziach wyżej. To była głupota. Szaleństwo. Ale jakie to miało znaczenie? Jakimś sposobem wiedział, że mniejsze stwory zostawią go w spokoju. Polowali na niego królowie Patjiego, a pomniejsze zagrożenia nie odważyły się okradać lepszych od siebie.

Vathi podążała za nim z trudem. Przeszkadzała jej spódnica, ale doganiała go za każdym razem, kiedy Zmierzch musiał się zatrzymać i wyciąć im drogę w poszyciu. Gwałtownie, gorączkowo. Spodziewał się, że kobieta dotrzyma mu kroku, i tak się stało. W głębi duszy – gdzieś pod całym przerażeniem – czuł, że Vathi mu imponuje. Byłaby fantastycznym traperem. Tymczasem jednak pewnie zniszczy wszystkich traperów.

Znieruchomiał, kiedy tuż za ich plecami rozległy się krzyki. Vathi sapnęła, a Zmierzch wrócił do pracy. Już niedaleko. Przebił się przez gęste zarośla i biegł dalej, a po jego twarzy spływał pot. Latarnia Vathi rzucała kołyszący się blask – przed sobą widział koszmarnie cienie tańczące na gałęziach dżungli, liściach, paprociach i skałach.

To twoja wina, Patji, pomyślał z niespodziewaną wściekłością. Wydawało się, że bestie są już tuż za nim. Czy ten hałas, który słyszał za plecami, był odgłosem przebijania się przez krzaki? Jesteśmy twoimi kapłanami, a jednak nas nienawidzisz! Nienawidzisz nas wszystkich.

Zmierzch wypadł z dżungli na brzegi rzeki. Niewielkiej na standardy kontynentu, ale musiała wystarczyć. Zaprowadził Vathi prosto do niej, rozchlapując zimną wodę.

Ruszył w górę strumienia. Co jeszcze mógł zrobić? Gdyby poszedł w drugą stronę, zbliżyłby się do tych dźwięków, okrzyków śmierci.

Zmierzchu, pomyślał. Zmierzchu.

Woda sięgała im tylko do połowy łydki i była boleśnie lodowata. Najzimniejsza woda na wyspie, choć nie wiedział dlaczego. Ślizgali się i potykali, kiedy z całych sił biegli w górę rzeki. Przebyli kilka zwężeń, z obu stron wyrastały pokryte porostami skały wyższe niż dwóch mężczyzn, a później znaleźli się w kotlinie.

W miejscu, do którego ludzie nie przychodzili. W miejscu, które sam odwiedził tylko raz. Znajdowało się tam odosobnione szmaragdowe jezioro.

Zmierzch poprowadził Vathi w bok, na brzeg rzeki, w stronę zarośli. Może nie zobaczy. Gdy się skulili, uniósł palec do ust i przygasił latarnię, którą wciąż niosła. Nocne paszcze nie widziały najlepiej, ale może słabe światło pomoże. Na więcej niż jeden sposób.

Czekali tam, na brzegu niewielkiego jeziora, z nadzieją, że woda zmyje ich zapach – że nocne paszcze będą zdezorientowane. Ponieważ kotlina miała strome ściany i żadnego wyjścia poza rzekę. Gdyby nocne paszcze się zbliżyły, znaleźliby się w pułapce.

Rozległy się krzyki. Stwory dotarły do rzeki. Zmierzch czekał w prawie całkowitej ciemności, więc zacisnął powieki. Modlił się do Patjiego, którego kochał, którego nienawidził.

Vathi westchnęła cicho.

– Co...?

Zobaczyła. Oczywiście, że tak. Była poszukiwaczem, uczyła się. Zadawała pytania.

Dlaczego ludzie muszą zadawać tak wiele pytań?

– Zmierzchu! Są tu Aviary, na tych gałęziach! Całe setki. – Mówiła przyciszonym, przerażonym tonem. Choć czekali na śmierć, zobaczyła i nie mogła powstrzymać się przed mówieniem. – Widziałeś je? Co to za miejsce? – Zawahała się. – Tak wiele młodych. Ledwie zdolnych latać...

– Przybywają tutaj – szepnął. – Każdy ptak z każdej wyspy. W młodości muszą tu przybyć.

Otworzył oczy i podniósł wzrok. Choć przygasił latarnię, jej blask wystarczył, by zobaczyć ptaki na gałęziach. Dźwięk i światło sprawiły, że niektóre zaczęły się poruszać. A jeszcze bardziej poruszyły je okrzyki nocnych paszczy.

Przerażona Sak zaćwierkała na jego ramieniu. Kokerlii choć raz nie miał nic do powiedzenia.

– Każdy ptak z każdej wyspy... – Vathi połączyła fakty. – Wszystkie przybywają tutaj, do tego miejsca. Jesteś pewien?

– Tak.

Traperzy wiedzieli takie rzeczy. Nie należało łapać ptaka, który nie odwiedził Patjiego.

Gdyż wtedy nie obdarzał talentami.

– Przybywają tutaj. Wiedzieliśmy, że migrują między wyspami... Dlaczego tu przybywają?

Czy milczenie miało sens? I tak by się domyśliła. Mimo wszystko się nie odezwał. Pozwolił, by ona to zrobiła.

– Zyskują tu swoje talenty, prawda? Jak? Czy to tutaj się uczą? Czy w taki sposób przemieniłeś ptaka, który nie był Aviarem? Przywiozłeś tu pisklę, a później... – Zmarszczyła czoło i uniosła latarnię.

– Rozpoznaję te drzewa. Nazwałeś je Palcami Patjiego.

Rósł ich tu tuzin, największe skupisko na wyspie. A pod nimi na ziemi leżały sterty ich owoców. Większość zjedzona, część tylko nadgryziona przez ptaki wszelkich rodzajów.

Vathi zauważyła jego spojrzenie i zmarszczyła czoło.

– Owoce? – spytała.

– Robaki – odszepnął w odpowiedzi.

Jej oczy zabłyśły.

– Nie chodzi o ptaki. Nigdy nie chodziło... to pasożyt. Mają w sobie pasożyta, który obdarza talentami! Dlatego te wychowane poza wyspami nie zyskują zdolności, a udało się to ptakowi z kontynentu, którego tu przywiozłeś.

– Tak.

– To wszystko zmienia, Zmierzchu. Wszystko.

– Tak.

Ze Zmierzchu. Zrodzony w czasie zmierzchu czy ten, który go sprowadzi? Co on narobił?

W dole rzeki nocne paszcze wrzeszczały głośniejsze. Postanowiły poszukać w górze rzeki. Były bystre, bystrzejsze, niż sądzili ludzie spoza wysp. Vathi sapnęła i odwróciła się w stronę wąskiego kanionu rzeki.

– Czy to nie niebezpieczne? – szepnęła. – Kwiaty kwitną. Nocne paszcze przybędą! Ale nie. Tak wiele Aviarów. Mogą ukryć te kwiaty, jak umysł człowieka?

– Nie. Wszystkie umysły w tym miejscu są niewidzialne, zawsze, niezależnie od Aviarów.

– Ale... jak? Dlaczego? Robaki?

Zmierzch nie wiedział i wcale go to nie obchodziło. Próbuję cię ochronić, Patji! Zmierzch spojrział w stronę Palców Patjiego. Muszę powstrzymać tych ludzi i ich urządzenie. Wiem to! Dlaczego? Dlaczego na mnie polujesz?

Może dlatego, że tak dużo wiedział. Zbyt wiele. Więcej niż ktokolwiek, kogo znał. Bo zadawał pytania.

Ludzie. I ich pytania.

– Idą w górę rzeki, prawda? – spytała.

Odpowiedź wydawała się oczywista. Nie odpowiedział.

– Nie. – Vathi wstała. – Nie umrę z tą wiedzą, Zmierzchu. Nie umrę. Musi być jakiś sposób.

– Jest.

Stanął obok niej. Odetchnął głęboko. Zatem w końcu za to zapłacę. Ostrożnie wziął Sak w rękę i umieścił ją na ramieniu kobiety. Później odczepił również Kokerliiego.

– Co ty robisz?

– Pójdę tak daleko, jak tylko będę mógł. – Zmierzch podał jej Kokerliiego. Ptak z irytacją dziobał jego rękę, ale nie dość mocno, by go zranić. – Musisz go przytrzymać. Spróbuj polecieć za mną.

– Nie, zaczekaj. Możemy się ukryć w jeziorze, one...

– One nas znajdą! Nie jest dość głębokie, by nas ukryć.

– Ale nie możesz...

– One już tu prawie są, kobieto! – Wcisnął jej Kokerliiego. – Ludzie z kompanii mnie nie posłuchają, jeśli im powiem, żeby wyłączyli urządzenie. Ty jesteś bystra, możesz ich powstrzymać. Możesz do nich dotrzeć. Z Kokerliim możesz do nich dotrzeć. Bądź gotowa ruszyć.

Popatrzyła na niego oszołomiona, ale wydawało się, że rozumie, że nie ma innego sposobu. Wstała, trzymając Kokerliiego w obu rękach, kiedy wyjął dziennik Pierwszego z Nieba, a później swój własny, w którym wymieniał miejsca przebywania Aviarów, i wcisnął je do jej torby. W końcu znów wszedł do rzeki. Słyszał szum w dole jej biegu. Musiał się pośpieszyć, by dotrzeć do końca kanionu przed ich przybyciem. Gdyby udało mu się odciągnąć je choć odrobinę w głąb dżungli na południu, Vathi mogłaby się wyślizgnąć.

Kiedy wszedł do strumienia, wizje śmierci w końcu zniknęły. Żadnych trupów unoszących się na wodzie, leżących na brzegach. Sak zrozumiała, co się działo.

Ćwierknęła po raz ostatni.

Zaczął biec.

Jeden z Palców Patjiego, tuż obok wejścia do kanionu, kwitł.

– Zaczekaj!

Nie powinien się zatrzymywać, kiedy Vathi do niego krzyknęła. Powinien ruszyć dalej, mieli tak mało czasu. Jednak widok tego kwiatu – i jej okrzyk – sprawiły, że się zawahał.

Kwiat...

Myśl uderzyła go tak samo, jak musiała uderzyć Vathi. Kobieta sięgnęła po torbę, puszczając Kokerliiego, który natychmiast przeleciał na ramię swojego opiekuna i zaczął ćwierkać z irytacją i naganą. Zmierzch go nie słuchał. Zerwał kwiat – był wielkości ludzkiej głowy, z dużym

wybrzuszeniem pośrodku.

W tej kotlinie był niewidzialny jak wszystkie inne.

– Kwiat, który umie myśleć. – Vathi przeszukiwała torbę, oddychając pośpiesznie. – Kwiat, który umie przyciągnąć uwagę drapieżników.

Zmierzch wyciągnął linę, a kobieta wyjęła broń i przygotowała ją. Przywiązał kwiat do końca włóczni, który wystawał nieco z rurki.

Krzyki nocnych paszczy odbijały się echem od ścian kanionu. Widział ich cienie, słyszał, jak rozchlapują wodę.

Cofnął się od Vathi, gdy kucnęła, oparła koniec broni o ziemię i pociągnęła za dźwignię u podstawy.

Wybuch po raz kolejny prawie go ogłuszył.

Aviary siedzące w kotlinie zaczęły wydawać przerażone okrzyki i zerwały się do lotu. Rozległ się głośny łopot skrzydeł, a w tym samym czasie włócznia Vathi wystrzeliła w powietrze, ciągnąc za sobą kwiat. Wzniosła się ponad kanionem w mrok nocy.

Zmierzch chwycił kobietę za ramię i pociągnął do jeziora. Zanurzyli się najgłębiej, jak mogli, Kokerlii siedział na jego ramieniu, Sak wciąż trzymała się Vathi. Zostawili palącą się latarnię, która wypełniała opustoszałą kotlinę łagodnym blaskiem.

Jezioro nie było głębokie, dwie, może trzy stopy. Nawet kiedy kucnęli, woda ich nie zakrywała.

Nocne paszcze zatrzymały się w kanionie. Blask latarni ukazywał parę stworów kryjących się w cieniach, wielkich jak chaty, odwracających się i obserwujących niebo. Były bystre, ale jak potulniaki, nie jak ludzie.

Patji, pomyślał Zmierzch. Patji, proszę...

Nocne paszcze odwróciły się i ruszyły za umysłową sygnaturą wypuszczaną przez kwiat. Na oczach Zmierzcha jego trup unoszący się na wodzie robił się coraz bardziej przezroczysty.

Aż zniknął zupełnie.

Zmierzch doliczył do stu i wyszedł z wody. Przemoczona Vathi nie odezwała się ani słowem, jedynie wzięła latarnię. Porzucili broń, gdyż nie mieli już pocisków.

Okrzyki nocnych paszczy oddalały się coraz bardziej, gdy Zmierzch wyprowadził ich z kanionu i skierował się prosto na północ, nieco w dół. Ciągle spodziewał się, że krzyki ponownie zaczną się do nich zbliżać.

Tak się nie stało.

* * *

Forteca kompanii robiła koszmarnie imponujące wrażenie. Uzbrojona w armaty budowla z bali stała tuż nad wodą, a strzegł jej pancerny okręt. Wznosił się z niej dym z palenisk, na których przygotowywano poranny posiłek. W niewielkiej odległości coś, co musiało być martwym cieniem, gniło na słońcu, a jego ogromne cielsko w połowie wystawało z wody.

Nigdzie nie widział własnego trupa, choć na ostatnim fragmencie drogi do fortecy widywał go kilka razy. Zawsze w miejscach, w których groziło mu bezpośrednie niebezpieczeństwo. Wizje Sak wróciły do normy.

Zmierzch odwrócił się znów w stronę fortecy, do której nie wszedł. Wolał pozostać z bolącą ręką na

skalistym, znajomym brzegu – około dwudziestu stóp od wejścia – gdy ludzie z kompanii wybiegli przez bramę na spotkanie Vathi. Ich zwiadowcy na murach uważnie go obserwowali. Traperowi nie można ufać.

Nawet kiedy stał w odległości dwudziestu stóp od szerokich drewnianych wrót fortu, wyczuwał, jak niewłaściwe jest to miejsce. Wypełniały je zapachy ludzi – spocone ciała, oliwa i inne, nowsze wonie, które rozpoznawał z podróży na ojczyste wyspy. I które sprawiały, że wśród swoich rodaków czuł się obcy.

Ludzie z kompanii nosili mocne ubrania, spodnie jak Zmierzch, ale o wiele lepiej uszyte, koszule i grube kurtki. Kurtki? W upale Patjiego? Ci ludzie kłaniali się Vathi, okazując jej więcej szacunku, niż Zmierzch by się spodziewał. Kiedy zaczynali mówić, przeciągali rękami od ramienia do ramienia – gest szacunku. Głupota. Każdy mógł zrobić taki gest, to nic nie znaczyło. Prawdziwy respekt oznaczał coś więcej niż tylko machanie ręką w powietrzu.

Ale traktowali ją, jakby była kimś więcej niż tylko prostym urzędnikiem. Miała w kompanii wyższe stanowisko, niż mu się wydawało. Ale to i tak już nie jego problem.

Vathi spojrzała na niego, a później na swoich ludzi.

– Musimy pośpieszyć do maszyny – powiedziała do nich. – Tej z Wysoka. Musimy ją wyłączyć.

Dobrze. Wypełni swoje zadanie. Zmierzch odwrócił się, żeby odejść. Powinien wypowiedzieć słowa na pożegnanie? Nigdy wcześniej nie czuł takiej potrzeby. Ale dziś, wydawało się... niewłaściwe, gdyby nic nie powiedział.

Ruszył. Słowa. Nigdy nie radził sobie ze słowami.

– Wyłączyć ją? – odezwał się jeden z mężczyzn z tyłu. – Co macie na myśli, lady Vathi?

– Nie musisz udawać niewinności, Wiatry. Wiem, że włączyliście ją pod moją nieobecność.

– Ale wcale tego nie zrobiliśmy.

Zmierzch się zatrzymał. Co takiego? Mężczyzna brzmiał szczerze. Ale też Zmierzch nie znał się na ludzkich uczuciach. Na ile znał mieszkańców ojczystych wysp, umieli udawać uczucia tak samo jak gesty szacunku.

– W takim razie co zrobiliście? – spytała Vathi.

– My... ją otworzyliśmy.

O nie...

– Dlaczego mielibyście to zrobić?

Zmierzch odwrócił się w ich stronę, ale nie musiał usłyszeć odpowiedzi. Miał ją przed sobą, w wizji martwej wyspy, którą źle zinterpretował.

– Uznaliśmy, że powinniśmy sprawdzić, jak działa maszyna. Vathi, jej wnętrze... jest skomplikowane ponad wszelkie wyobrażenie. Ale są tam nasiona. Rzeczy, które moglibyśmy...

Zmierzch rzucił się w ich stronę.

– Nie!

Jeden ze strażników posłał strzałę do jego stóp. Zmierzch zatrzymał się gwałtownie, przeniósł oszalałe spojrzenie z Vathi na mury. Nie rozumieli? Wybrzuszenie na szlaku, które oznaczało gniazdo morderczych mrówek. Ślad zwierzyny. Charakterystyczne wygięcie rozcinającej liany. Czy to nie było oczywiste?

– Ona nas zniszczy – powiedział Zmierzch. – Nie szukajcie... Nie rozumiecie...?

Przez chwilę wszyscy się na niego gapili. Miał szansę. Słowa. Potrzebował słów.

– Ta maszyna to mordercze mrówki! Gniazdo... ech!

Jak mógł wyjaśnić?

Nie umiał. Niepokój sprawił, że słowa go opuściły, jak Aviary znikające w mroku nocy.

Tamci w końcu się poruszyli, pociągnęli Vathi w stronę bezpieczeństwa ich zdradzieckiej fortecy.

– Powiedziałeś, że trupy zniknęły – odezwała się Vathi, wchodząc przez bramę. – Udało nam się.

Dopilnuję, by maszyna nie została włączona w czasie tej podróży! Obiecuję ci to, Zmierzchu!

– Ale – odkrzyknął – ona wcale nie miała zostać włączona!

Ogromne drewniane wrota fortecy zamknęły się z trzaskiem i stracił kobietę z oczu. Zaklął.

Dlaczego nie udało mu się wyjaśnić?

Bo nie umiał mówić. A ten jeden raz w jego życiu miało to znaczenie.

Wściekły, sfrustrowany, opuścił to miejsce i jego koszmarnie zapachy. W połowie drogi do linii drzew zatrzymał się jednak i odwrócił. Sak zatrzepotała skrzydłami, wylądowała na jego ramieniu i zagruchała cicho.

Pytania. Te pytania chciały wejść do jego mózgu.

Zaczął wrzeszczeć do strażników. Żądał, by oddali mu Vathi. Nawet błagał.

Nic się nie stało. Nie chcieli z nim rozmawiać. W końcu poczuł się głupio. Odwrócił się z powrotem do drzew i ruszył w drogę. Pewnie i tak się mylił. W końcu trupy zniknęły. Wszystko mogło wrócić do normalności.

...Normalność. Czy cokolwiek mogło być normalne z tą fortecą górującą za jego plecami? Pokręcił głową i wszedł pod baldachim drzew. Gęsta wilgoć dżungli Patjiego powinna go uspokajać.

Tymczasem go drażniła. Kiedy ruszył w stronę kolejnego z obozów, był tak rozproszony, że zachowywał się jak młodzik pierwszy raz na Sori. Prawie wdepnął w ziejące gniazdo morderczych mrówek, nie zauważył nawet wizji, którą przysłała mu Sak. Tym razem życie ocalił mu głupi przypadek – zaczepił o coś palcem u nogi, spuścił wzrok i dopiero wtedy zauważył trupa i pęknięcie pełne żółtych drobin.

Warknął i roześmiał się szyderczo.

– Nadal próbujesz mnie zabić?! – zawołał, wznosząc wzrok do koron drzew. – Patji!

Cisza.

– Ci, którzy cię chronią, są tymi, których ze wszelkich sił próbujesz zabić. Dlaczego?!

Słowa zniknęły w dżungli. Pochłonęła je.

– Zasłużyłeś na to, Patji. Co cię czeka. Zaslugujesz na zniszczenie!

Dyszał ciężko i się pocił, ale jednocześnie czuł zadowolenie, że w końcu to powiedział. Może słowa jednak miały swój cel. Część jego osoby, równie zdradziecka jak Vathi i jej kompania, cieszyła się, że Patji padnie ofiarą ich maszyn.

Oczywiście wtedy sama kompania padnie ofiarą. Tych Wysoko. Jego naród. Cały świat.

Pochylił głowę w cieniu drzew, a pot płynął po bokach jego twarzy. Później padł na kolana, nie zwracając uwagi na gniazdo oddalone o zaledwie trzy kroki.

Sak ocierała się o jego włosy. Siedzący na gałęzi Kokerlii zacwierkał niepewnie.

– Widzicie, to pułapka – szepnął. – Ci Wysoko mają zasady. Nie mogą z nami handlować, dopóki nie będziemy odpowiednio rozwinięci. Podobnie jak dorosły mężczyzna nie może z czystym sumieniem

targować się z dzieckiem, dopóki ono nie dorośnie. I dlatego zostawili nam swoje maszyny, byśmy je odkryli, badali, sprawdzali. Martwy mężczyzna był podstępem. Vathi miała dostać te maszyny. Będą wyjaśnienia, że zostały lekkomyślnie porzucone, byśmy się w nie zagłębili i uczyli. A pewnego dnia w bliskiej przyszłości wybudujemy coś podobnego do jednej z ich maszyn. Dorośniemy szybciej, niż powinniśmy. Wciąż będziemy jak dzieci, nieświadomi, ale prawa Wysoko pozwolą tym, którzy nas odwiedzają, z nami handlować. A później wezmą tę ziemię dla siebie.

To powinien powiedzieć. Nie mogli ochronić Patjiego. Nie mogli ochronić Aviarów. Nie mogli ochronić swojego świata. Dlaczego tego nie wyjaśnił?

Bo i tak nic by to nie zmieniło. Jak powiedziała Vathi... postępowanie nadejdzie. Jeśli można go tak nazwać.

Nadszedł zmierzch.

Sak opuściła jego ramię i odleciała. Zmierzch spojrział na nią i zaklął. Nie wylądowała w pobliżu. Choć miała problemy z lataniem, machała skrzydłami i zniknęła mu z oczu.

– Sak?

Podniósł się i ruszył za Avialem. Przebijał się w stronę, z której przybył, kierując się skrzeczeniem Sak. Po kilku chwilach wypadł z dżungli.

Vathi stała na skałach przed swoją fortecą.

Zmierzch zawahał się na krawędzi dżungli. Była sama, nawet strażnicy się wycofali. Wyrzucili ją? Nie, widział, że brama jest uchylona, a ze środka obserwują ją ludzie.

Sak wylądowała na ramieniu kobiety. Zmierzch zmarszczył czoło, wyciągnął rękę w bok i poczekał, aż Kokerlii wyląduje na jego ramieniu. Wtedy ruszył przed siebie, spokojnie zszedł na skalisty brzeg i stanął tuż przed Vathi.

Przebrała się w czystą sukienkę, choć włosy wciąż miała poplątane. Pachniała kwiatami.

A spojrzenie miała przerażone.

Szedł z nią w mroku. Stawił czoło nocnym paszczom. Widział ją blisko śmierci, ale nawet wtedy nie wydawała się tak zmartwiona.

– Co? – spytał chrapliwie.

– W maszynie znaleźliśmy instrukcje – szepnęła. – Podręcznik jej działania, pozostawiony jakby przypadkiem przez kogoś, kto wcześniej przy niej pracował. Instrukcje są w ich języku, ale mniejsza maszyna, którą mam...

– Tłumaczy.

– Podręcznik opisuje, jak skonstruowano maszynę. Jest tak skomplikowany, że ledwie go rozumiem, ale wydaje się, że wyjaśnia koncepcje i idee, nie tylko opisuje działanie maszyny.

– I nie jesteś szczęśliwa? Wkrótce będziesz miała swoje latające maszyny, Vathi. Wcześniej, niż ktokolwiek mógłby sobie wyobrazić.

Uniosła coś bez słowa. Pojedyncze pióro – pióro godowe. Zachowała je.

– Nie podejmuj działania, dopóki nie zadasz sobie pytania, czy to nie za proste – szepnęła. – Kiedy mnie odciągali, powiedziałaś, że to pułapka. A kiedy znaleźliśmy podręcznik... Och, Zmierzchu. Oni planują zrobić z nami to, co... co my robimy z Patjim, prawda?

Zmierzch pokiwał głową.

– Przegramy. Nie możemy z nimi walczyć. Znajdą usprawiedliwienie i odbiorą nam Aviary. To ma

sens. Aviary wykorzystują robaki. My wykorzystujemy Aviary. Ci Wysoko wykorzystują nas. To nieuniknione, czyż nie?

Tak, pomyślał. Otworzył usta, by powiedzieć to na głos, a wtedy Sak zaćwierkała. Zmarszczył czoło i odwrócił się w stronę wyspy. Wznoszącej się z oceanu, aroganckiej. Niszczycielskiej.

Patji. Ojciec.

I w końcu, po długim czasie, Zmierzch zrozumiał.

– Nie – szepnął.

– Ale...

Rozpiął kieszeń spodni, sięgnął do niej i zaczął szukać. W końcu coś wyjął. Pozostałości pióra, właściwie tylko stosina. Pióro godowe, które dał mu wuj przed tak wielu laty, kiedy po raz pierwszy wpadł w pułapkę na Sori. Uniósł je, przypominając sobie przemowę, jaką usłyszał. Jak każdy traper.

„To jest symbol twojej niewiedzy. Nic nie jest łatwe, nic nie jest proste”.

Vathi trzymała swoje pióro. Stare i nowe.

– Nie, nie dostaną nas – powiedział Zmierzch. – Przejrzymy ich pułapki i nie damy się nabrać na ich sztuczki. Gdyż w przygotowaniu na ten dzień zostaliśmy wyszkoleni przez samego Ojca.

Popatrzyła na swoje pióro, a później na niego.

– Naprawdę tak myślisz? Oni są przebiegli.

– Mogą być przebiegli, ale nie mieszkali na Patjim. Zgromadzimy innych traperów. Nie damy się podejść.

Pokiwała z wahaniem głową i wydawało się, że opuszcza ją część strachu. Odwróciła się i machnęła do tych z tyłu, by otworzyli bramy budynku. Zmierzch znów poczuł, jak zalewają go zapachy ludzi.

Vathi wyciągnęła do niego rękę.

– Pomożesz?

Zobaczył u stóp swojego trupa, a Sak ćwierknęła ostrzegawczo. Niebezpieczeństwo. Tak, na ścieżce przed nim kryło się wiele niebezpieczeństw.

Zmierzch wziął Vathi za rękę i mimo wszystko wkroczył do fortecy.

POSTSCRIPTUM

W pierwotnej wersji tego opowiadania Zmierzch mówił o sobie „Szósty”, co było wyjątkowo dezorientujące dla czytelników. Mnie się podobało, bo było tak odmienne, ale w końcu ustąpiłem przed informacjami zwrotnymi, które dostawałem – bo to było właściwe posunięcie. Nie tylko „Zmierzch” jest ważniejszy tematycznie niż „Szósty”, ale też łatwiej śledzić go w zdaniu.

Dla tych, którzy nie wiedzą – to opowiadanie powstało w czasie burzy mózgów w jednym z odcinków Writing Excuses. Przygotowaliśmy cztery odcinki, w czasie których wymyślaliśmy razem historie, a później jedno z nas brało pomysł i na jego podstawie pisało opowiadanie. Pierwsza burza mózgów nie wyszła – po prostu nie czułem, by historia mnie ekscytowała. Spróbowaliśmy raz jeszcze i tak wygląda efekt.

To jedyne opowiadanie w tym zbiorze, które nie było pierwotnie wbudowane w cosmere. W zarysie cosmere pozostawiłem sobie jednak miejsce na garść światów, których jeszcze nie zdefiniowałem – wiedziałem bowiem, że w końcu będę miał do opowiedzenia historii niepasujące do jednej z planet. Nasza burza mózgów nie dotyczyła opowieści z cosmere, ale kiedy pracowałem nad zarysem opowiadania, zaintrygowała mnie wizja symbiozy (nowego rodzaju) dla Napełnienia.

Szybko zakochałem się w tym pomysłe, a jego efektem jest opowiadanie. Pewnie kiedyś dowiedzie się więcej o mieszkańcach tej planety, choć na razie nie planuję innego opowiadania czy powieści z tego świata. Jeśli nie domyśliliście się tego po serii Alcatraz i kulturze Rogożerców z *Archiwum Burzowego Świata*, fascynuje mnie kultura Polinezji. Koncepcja znajdowania drogi na podstawie ruchu fal była jednym z tych pomysłów, które nie chciały mi dać spokoju, a poza tym zaintrygowała mnie możliwość pisania o postaci samotnej na oceanie – odizolowanej na wiele różnych sposobów. Do tego, jeśli wziąć pod uwagę, jak wielu gadatliwych bohaterów stworzyłem w swoich książkach, miło było spróbować czegoś nowego w kimś takim jak Zmierzch.

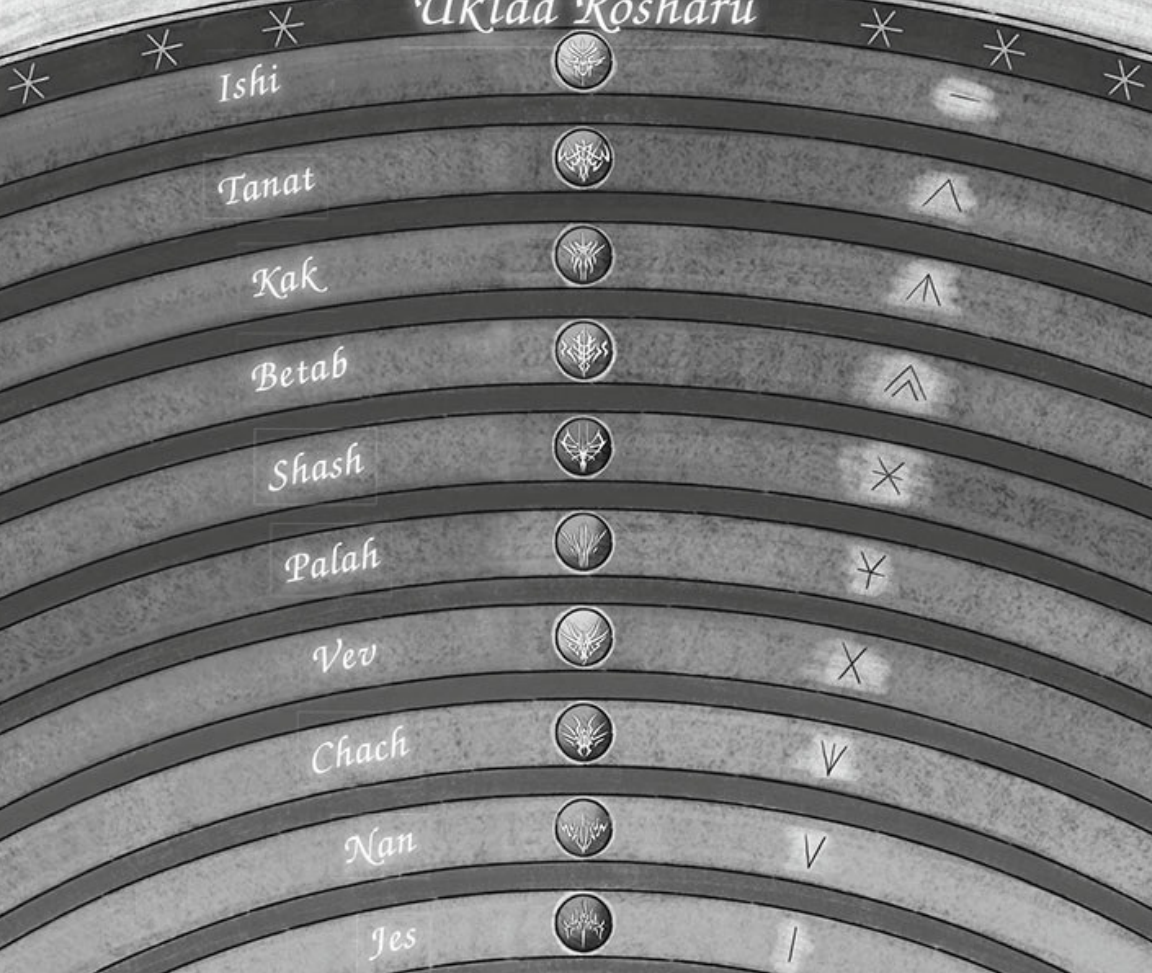
Jeśli chodzi o schemat czasowy, to akcja opowiadania toczy się najpóźniej ze wszystkich w zbiorze. Innymi słowy, kiedy Khriss pisała wprowadzenie do tego układu, wydarzenia z tego opowiadania nie miały jeszcze miejsca.

Jeśli chcielibyście przeczytać pierwotną burzę mózgów w formie drukowanej, razem z roboczymi wersjami opowiadania, są dostępne (razem z trzema opowiadaniem napisanymi przez pozostałych gospodarzy Writing Excuses: Mary Robinette Kowal, Dana Wellsa i Howarda Tayera) w antologii *Shadows Beneath*.

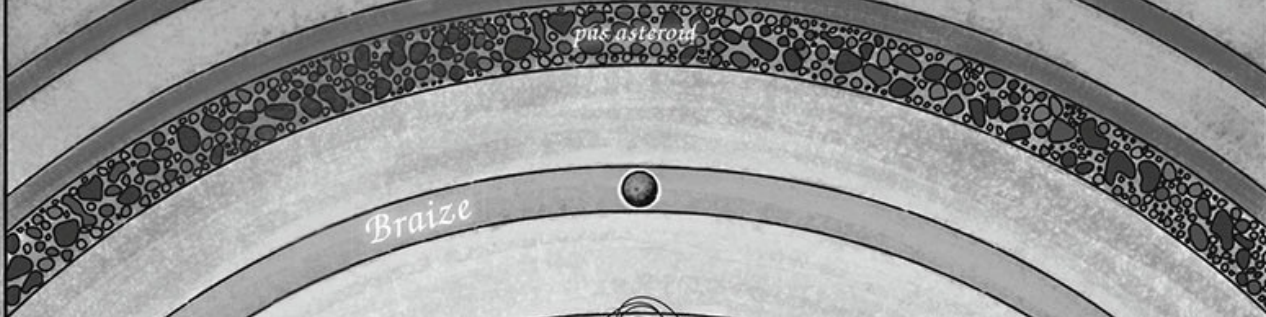
UKŁAD ROSHARU



Uktad Rosharu



pas asteroid



Braize

Roshar



Mishim

Nomon

Salas

Ashyn



UKŁAD ROSHARU

Roshar (w zgodzie z wewnętrznymi przekonaniem jego mieszkańców jest nazwą planety, układu oraz głównego kontynentu na planecie) to ruchliwa okolica. O ile układ Scadrialu wydaje się pusty, ten zawsze robił na mnie wrażenie przepelnionego. Na krańcach układu tłoczy się grupa gazowych olbrzymów, choć nikt nie miał okazji przyjrzeć się im bezpośrednio, gdyż ich obecność w Cieniomorzu jest ograniczona.

W strefie nadającej się do zamieszkania krążą aż trzy planety – i wszystkie trzy są w różnym stopniu zamieszkane. Najbliżej słońca Ashyn, płonąca planeta, na której dawno temu wydarzyła się katastrofa, a ludzie mieszkają w niewielkich strefach umożliwiających przetrwanie, w tym w słynnych latających miastach. Najdalej ze wszystkich trzech krąży Braize. Choć lodowata i niegościnna dla ludzi, stała się ojczyzną dla ekosystemu Drzazg. (Miejscowi nazwaliby je sprenami). Uważam za możliwe, że niektóre to w rzeczywistości Cienie Umysłu, ale badania są trudne i niebezpieczne, więc na razie zamierzam powstrzymać się od snucia hipotez.

Najważniejsza w układzie jest oczywiście środkowa planeta, Roshar, o grawitacji równej 0,7, a średnicy 0,9 standardu cosmere, i bogatej w tlen atmosferze. Jest ona ojczyzną różnorodnego i niezwykle ekosystemu, który charakteryzują oszalamiająca megafauna i fascynujące związki symbiotyczne między istotami (człekokształtnymi i nie) oraz Drzazgami Napelnienia.

Największe wrażenie robią związki między ludźmi i samoświadomymi sprenami, co jest podstawą magii zwanej Wiązaniem Mocy. Magia ta ma korzenie w fizyce, spreny zaś są uosobieniem sił (przez miejscowych zwanych Mocami). Ciężenie, spójność, napięcie powierzchniowe... one ożyły, podobnie jak bardziej abstrakcyjne pojęcia w rodzaju przeobrażenia i ruchu.

Jednakże ten wzorzec (więź sprena z człowiekiem) jest jedynie rozszerzeniem tego, co już istnieje w naturze planety. Ogromne skorupiaki osiągają niewiarygodne rozmiary i nie zapadają się pod własnym ciężarem nie tylko dzięki naturze planety, ale też symbiozie ze sprenami. Niektóre zwierzęta zyskują w ten sam sposób zdolność lotu, jest nawet rasa koniowatych, która – dzięki więzi ze sprenami – przystosowała się do życia na planecie i uzyskała na tyle wysoki poziom świadomości, że można ją wręcz nazwać rasą rozumną.

Nie będę tu opisywać skomplikowanych powiązań wewnątrz zróżnicowanego ekosystemu Rosharu, temat ten bowiem jest zbyt obszerny, by streścić go w tak krótkim opisie. Jednak odwiedzający planetę muszą wiedzieć o burzach. Życie na Rosharze zostało ukształtowane w ciągu tysiącleci przez ogromne, Napelnione burze – zagrożenie, którego nie należy bagatelizować.

Wedle mojej oceny burze te pochodzą z czasów przed pojawieniem się Odprysków Honoru i Pielęgnacji – podobnie jak wiele ze sprenów. Jednak obecność Odprysków ukształtowała i przeobraziła naturę planety do takiego stopnia, że trudno odróżnić, co poprzedza Strzaskanie, a co jest nowsze. Z pewnością wiele ze sprenów, które istnieją teraz na planecie, zrodziły tarcia między Honorem, Pielęgnacją a Odium.

Odium. Pamiętajcie, że układ jest obecnym miejscem zamieszkania Odprysku Odium w Krainach

Materii i Umysłu. Ten Odprysk bez wątpienia doprowadził do Rozszczepienia Oddania, Dominacji, Honoru, a być może również innych w całym cosmere.

Odwiedzający Roshar powinni wiedzieć, że ogień zachowuje się dziwnie ze względu na wysokie stężenie tlenu w atmosferze. Jak przypuszczam, z tego właśnie powodu już na początku istnienia istot człekokształtnych na tej planecie pojawiły się alternatywne źródła światła. Musicie również pamiętać, że prace naukowe i opowieści o tym świecie zwykle wykorzystują miejscowe jednostki miar w odniesieniu do wielkości i czasu. Rosharański rok jest dłuższy niż standard cosmere, a rosharańska stopa jest większa. Czasem trudno nie czuć się małym na tej majestatycznej, dominującej planecie.

TANCERKA KRAWĘDZI



Akcja tego opowiadania toczy się po *Słowach Światłości* i zawiera ono duże spoilery.





I

Zwinka przygotowała się do użycia wspianiałości.

Pobiegła przez puste pole w północnym Tashikku, nieco ponad tydzień drogi od Azimiru. Okolicę porastała brązowa trawa, wysoka na stopę albo dwie. Nieliczne drzewa były wysokie i powykręcane, ich pnie wyglądały, jakby powstały ze splecionych pnączy, a konary raczej wznosiły się w górę, niż rozkładały na boki.

Miały jakąś oficjalną nazwę, ale wszyscy, których znała, nazywali je zdechlakami z powodu elastycznych korzeni. Podczas burzy padały płasko na ziemię i tak sobie leżały. Później znów się prostowały, jakby robiły wulgarny gest w stronę wiatrów.

Bieg Zwinki przestraszył grupkę ostrołań, które pasły się w pobliżu – smukłe stworzenia odskoczyły na czterech nogach, przyciskając przednie szczypcy do ciała. Było z nich dobre jedzenie. Prawie nie miały pancerzy. Ale Zwinka jak rzadko nie była w nastroju do jedzenia.

Uciekała.

– Panienko! – zawołał Wyndle, jej ulubiony Pustkowiec.

Przyjął kształt wyrastającego z ziemi pędu, który dotrzymywał Zwince kroku mimo jej nadnaturalnej szybkości. W tej chwili nie miał twarzy, ale i tak mógł mówić. Niestety.

– Panienko – błagał – nie możemy po prostu wrócić?

Nie ma mowy. Zwinka zrobiła się wspianiała. Sięgnęła do tego czegoś w środku, co sprawiało, że świeciła. Pokryła podeszwy stóp Śliskością i skoczyła do przodu.

I nagle ziemia przestała się o nią ocierać. Ślizgała się po polu jak po lodzie. Zaskoczona trawa zwijała się i znikwała w skalnych kryjówkach. Wyglądało to tak, jakby całymi rzędami kłaniała się przed Zwinką.

Pędziła przed siebie, wiatr odrzucał do tyłu jej długie czarne włosy i szarpał luźną wierzchnią koszulę zarzuconą na bardziej obcisłą brązową spodnią koszulę, wciśniętą w szerokie spodnie.

Ślizgała się i czuła się wolna. Tylko ona i wiatr. Zaczął za nią podążać niewielki wiatrospren, przypominający białą wstążeczkę unoszącą się w powietrzu.

I wtedy uderzyła w kamień.

Głupi kamień trzymał się mocno – utrzymywały go niewielkie kępki mchów, które rosły na ziemi i przyciskały się do różnych obiektów w rodzaju skał, wykorzystując je jako osłonę przed wiatrem. Zwinka poczuła ukłucie bólu w nodze, przekoziółkowała w powietrzu i uderzyła twarzą o ziemię.

Odruchowo sprawiła, że jej twarz stała się wspianiała – dlatego ślizgała się dalej na policzku, aż wpadła na drzewo. Tam się w końcu zatrzymała.

Drzewo przewróciło się powoli, udając trupa. Z szelestem liści i gałęzi uderzyło o ziemię.

Zwinka podniosła się i przetarła twarz. Rozcięła nogę, ale jej wspaniałość szybko zasklepiła ranę. Twarz właściwie jej nie bolała. Kiedy część jej ciała była pełna wspaniałości, nie ocierała się o to, czego dotykała, tylko jakby... się prześlizgiwała.

Zwinka i tak czuła się głupio.

– Panienko.

Wyndle podpełzł do niej. Jego pnące wyglądało jak te, które elegancyjcy ludzie hodowali na budynkach, żeby ukryć części niewyglądające ich zdaniem dość bogato. Tyle tylko, że wzdłuż całej długości pędu wystawały kawałki kryształu. W zupełnie niespodziewanych miejscach, jak paznokcie na twarzy.

Kiedy się poruszał, nie wił się jak węgorz. Naprawdę rósł, pozostawiając za sobą długi ślad pędów, które wkrótce krystalizowały i rozpadały się w pył. Pustkowcy byli dziwni.

Zwinął się w krąg, jak pętla sznura, i utworzył niedużą wieżę z pnączy. A na jej szczycie coś wyrosło – twarz z pędów, liści i klejnotów. Jej usta się poruszały, kiedy mówił.

– Och, panienko. Możemy przestać się tu bawić? Musimy wrócić do Azimiru!

– Wrócić? – Zwinka wstała. – Dopiero co stamtąd uciekliśmy!

– Uciekliśmy! Z pałacu? Panienko, byłaś honorowym gościem cesarza! Miałaś wszystko, czego chciałaś, dość jedzenia...

– Same kłamstwa. – Oparła dłonie na biodrach. – Żeby nie zauważyła prawdy. Zamierzali mnie zjeść.

Wyndle zaczął się jąkać. Jak na Pustkowca nie był wcale taki przerażający. Pewnie był... tym Pustkowcem, z którego wszyscy inni się wyśmiewali, bo nosił dziwaczne kapelusze. Takim, który poprawiał wszystkich pozostałych i wyjaśniał, po który widelec powinni sięgnąć, kiedy zasiadali do jedzenia ludzkich dusz.

– Panienko, ludzie nie jedzą innych ludzi. Byłaś gościem!

– Ale dlaczego? Dawali mi za dużo wszystkiego.

– Ocaliłaś życie cesarza!

– Co powinno wystarczyć na parę dni jedzenia na cudzy koszt. Raz wyciągnęłam jednego gościa z więzienia, a on pozwolił mi przesiedzieć pięć dni w swojej melinie i jeszcze dał mi ładną chusteczkę. To było szczodre. Azirczycy, którzy pozwolili mi zostać, jak długo chciałam? – Pokręciła głową. – Czegoś ode mnie chcieli. Jest tylko jedno wyjaśnienie. Zamierzali mnie głodowo zjeść.

– Ale...

Zwinka znów ruszyła biegiem. Dotykanie stopami zimnego kamienia przecinanego jamami trawy sprawiało jej przyjemność. Żadnych butów. Po co komu buty? W pałacu proponowali jej całe sterty butów. I ładne ubrania – obszerne, wygodne płaszcze i szaty. Ubrania, w których człowiek mógł się zgubić. Noszenie takich miękkich rzeczy było miłą odmianą.

A później zaczęli zadawać pytania. Może by zechciała pobierać lekcje, nauczyć się czytać? Byli wdzięczni za to, co zrobiła dla Gawxa, obecnie Pierwszego Aqasixa, co było wymyślnym tytułem dla ich władcy. Ze względu na to, co zrobiła, mogła mieć prywatnych nauczycieli, mówili. Mogła się dowiedzieć, jak odpowiednio nosić te ubrania, nauczyć się pisać.

Zaczęło ją to dręczyć. Gdyby została, po jak długim czasie przestałaby być Zwinką? Po jakim czasie

zostałaby pochłonięta, a na jej miejscu znalazłaby się inna dziewczyna? Podobna z twarzy, ale poza tym całkiem nowa?

Próbowała znów użyć wspaniałości. W pałacu mówili o odzyskaniu dawnych mocy. Świetlistych Rycerzach. Wiązaniu Mocy, sił natury.

Będę pamiętać tych, którzy zostali zapomniani, pomyślała.

Zwinka dzięki swojej mocy okryła się Śliskością, a później przez kilka stóp ślizgała się po ziemi, po czym przekoziółkowała i przetoczyła się po trawie.

Uderzyła pięścią w kamienie. Głupia ziemia. Głupia wspaniałość. Jak mogła utrzymać się w pozycji pionowej, kiedy jej stopy ślizgały się, jakby pokrywała je warstwa oliwy? Powinna wrócić do wiosłowania na kolanach. To było o wiele prostsze. W ten sposób zachowywała równowagę, a rękami sterowała. Jak mały krab biegnący we wszystkie strony.

„Oni byli eleganckimi i pięknymi istotami”, powiedział Ciemność. „Mogli biec po najcieńszej linii, tańczyć na dachach, poruszać się na polu bitwy jak wstążka na wietrze...”.

Ciemność, mroczny mężczyzna, który ją gonił, powiedział tak w pałacu, opowiadając o ludziach, którzy – dawno temu – wykorzystywali moce w sposób podobny do Zwinki. Może kłamał. W końcu przez cały czas zamierzał ją zamordować.

Z drugiej strony, dlaczego miałby kłamać? Traktował ją pogardliwie, jakby była niczym. Bezwartościowa.

Zacisnęła zęby i wstała. Wyndle wciąż mówił, ale zignorowała go i ruszyła przez opustoszałe pole. Biegła ze wszystkich sił, strasząc trawę. Kiedy dotarła na szczyt niewielkiego pagórka, skoczyła i pokryła swoje stopy mocą.

Natychmiast zaczęła się ślizgać. Powietrze. Powstrzymywało ją powietrze, od którego się odpychała, kiedy się poruszała. Zwinka syknęła i cała pokryła się mocą.

Przecięła wiatr, a ześlizgując się ze wzgórza, ustawiła się bokiem. Powietrze zsuwało się z niej, jakby nie mogło jej odnaleźć. Wydawało się, że nawet słoneczny blask spływa z jej skóry. Była między miejscami, tutaj, a jednak nie. Żadnego powietrza, żadnej ziemi. Jedyne czysty ruch, tak szybki, że dotarła do trawy, zanim ta zdążyła się schować. Źdźbła ją opływały, jej moc je odpychała.

Skóra Zwinki zaczęła emanować blaskiem, z jej ciała wznosiły się pasma światła jak smużki dymu. Ze śmiechem dotarła do podnóża wzniesienia i wskoczyła na skały.

I wpadła na kolejne drzewo.

Otoczająca ją bańka mocy pękła. Drzewo się przewróciło – a na dokładkę to samo zrobiły dwa obok.

Kiedy Wyndle ją dogonił, uśmiechała się głupkowato i wpatrywała w słońce. Leżała wyciągnięta na pniu drzewa z rękami wplecionymi w jego gałęzie, a nad nią krążył samotny chwałospren w kształcie złotej kuli.

– Panienko? Och, panienko. Byłaś szczęśliwa w pałacu. Widziałem to!

Nie odpowiedziała.

– A cesarz – mówił dalej Wyndle. – Będzie za tobą tęsknił! Nawet mu nie powiedziałaś, że odchodzisz!

– Zostawiłam mu wiadomość.

– Wiadomość? Nauczyłaś się pisać?

– Na burze, nie. Zjadłam jego kolację. Spod przykrycia, kiedy przygotowywali się, żeby mu ją podać.

Gawx będzie wiedział, co to oznacza.

– Wątpię, panienko.

Zeszła z leżącego drzewa i przeciągnęła się, po czym dmuchnięciem pozbyła się włosów z oczu. Może naprawdę mogła tańczyć na dachach, biegać po linach albo... Jak to brzmiało? Tworzyć wiatr? Tak, to z pewnością mogła zrobić. Zeskoczyła z drzewa i ruszyła dalej przez pole.

Niestety, jej żołądek miał sporo do powiedzenia na temat tego, jak wiele wspaniałości wykorzystała. Jedzenie dawało jej siły, i to bardziej niż w przypadku większości ludzi. Czerpała wspaniałość z każdego posiłku, ale kiedy ją zużyła, nie mogła zrobić nic niewiarygodnego dopóki znów czegoś nie zjadła.

Zaburczało jej w brzuchu – lubiła sobie wyobrazać, że żołądek ją przeklina. Przeszukała kieszenie. Jedzenie w torbie – a wzięła go dużo – skończyło się tego ranka. Ale czy przed wyrzuceniem torby nie znalazła na dnie kiełbasy?

A, tak. Zjadła ją przed kilkoma godzinami, kiedy oglądała tamte rzekospreny. Sięgnęła do kieszeni, ale znalazła jedynie chusteczkę, którą przed wrzuceniem do torby owinęła wielką stertę podpłomyków. Włożyła kawałek chustki do ust i zaczęła żuć.

– Panienko?

– Mogo byf na niej okrufki – powiedziała.

– Nie powinnaś tak bardzo Wiązać Mocy! – Prześlizgiwał się po ziemi obok niej, zostawiając ślad pnączy i kryształów. – I powinniśmy zostać w pałacu. Och, jak do tego doszło? Powiniennem teraz pracować w ogrodzie. Miałem naprawdę wspaniałe krzesła.

Zwinka przystanęła.

– Kfeffa?

– Tak, krzesła. – Wyndle znów zwinął się w krąg obok niej, a na szczycie zwoju utworzył twarz, którą zwrócił w jej stronę. – W Cieniomorzu zebrałem oszałamiającą kolekcję dusz krzesel z waszej strony! Uprawiałem je, sprawiałem, że wyrosły z nich wielkie kryształy. Miałem kilka winsteli, ładnego shobera, niezłą kolekcję tych z wygiętymi oparciami, nawet tron czy dwa.

– Uprawiałef kfeffa?

– Oczywiście, że uprawiałem krzesła. – Kiedy znów ruszyła przed siebie, pęd Wyndle’a zeskoczył ze zwoju i podążył za nią. – A co jeszcze miałbym uprawiać?

– Rofliny.

– Rośliny? Cóż, w Cieniomorzu też je mamy, ale ja nie jestem przeciętnym ogrodnikiem. Jestem artystą! Planowałem całą wystawę kanap, kiedy Krąg wybrał mnie do tego koszmarnego obowiązku.

– Fofa wiefa fienfo.

– Mogłabyś wyjąć to z ust? – warknął Wyndle.

Zwinka spełniła jego prośbę.

Wyndle prychnął. Zwinka nie miała pojęcia, jak małe pnącze mogło prychać, ale on robił to przez cały czas.

– Co właściwie próbowałaś powiedzieć?

– Bełkot. Chciałam zobaczyć, jak zareagujesz.

Wepchnęła drugi koniec chusteczki do ust i zaczęła go ssać.

Ruszyli dalej przy akompaniamencie westchnień Wyndle’a, który mamrotał o ogrodnictwie

i swoim żalonym życiu. Z pewnością był dziwnym Pustkowcem. Właściwie, jak się nad tym zastanowić, nigdy nie wydawał się zainteresowany pochłanianiem ludzkich dusz. Może był wegetarianinem?

Przeszli przez niewielki zagajnik. Te drzewa nie były zdechlakami – tamte rosły w niewielkich grupach, ale każde z dała od pozostałych. Te tutaj łączyły się gałęziami, tworząc gęstą splecioną ścianę, która stawiała opór arcyburzom.

I tak właśnie było, prawda? Wszyscy pozostali splatali razem gałęzie. Wspierali się nawzajem. Ale Zwinka była zdechlakiem. Nie splatać się, nie dać się pochwycić. Iść swoją drogą.

Taka właśnie była, zdecydowanie. Oczywiście z tego powodu musiała opuścić pałac. Nie mogła przez całe życie codziennie widzieć tych samych rzeczy. Musiała się ruszać, bo inaczej ludzie by ją poznali, a później zaczęli spodziewać się po niej różnych rzeczy. A następny krok to bycie pochłoniętą.

Zatrzymała się między drzewami na ścieżce, którą ktoś kiedyś wyrąbał i cały czas o nią dbał. Obejrzała się w stronę północy i Aziru.

– Czy chodzi o to, co się stało z tobą? – spytał Wyndle. – Niewiele wiem o ludziach, ale wydaje mi się, że to było naturalne, nawet jeśli wydawało się niepokojące. Nie jesteś ranna.

Zwinka osłoniła oczy. Niewłaściwe rzeczy się zmieniały. Miała pozostać taka sama, a świat miał się zmieniać wokół niej. Przecież o to właśnie prosiła, prawda?

Została okłamana?

– Czy my... wracamy? – spytał z nadzieją Wyndle.

– Nie. Po prostu się zegnałam.

Wepchnęła ręce do kieszeni i odwróciła się, po czym ruszyła dalej wśród drzew.



2

Yeddaw było jednym z tych miast, które Zwinka zawsze zamierzała odwiedzić. Leżało w Tashikku, który był dziwnym miejscem, nawet w porównaniu z Azirem. Uważała, że tamtejsi mieszkańcy byli aż za bardzo uprzejmi i skryci. I nosili ubrania, które sprawiały, że trudno było odczytać, co myślą.

Ale wszyscy powtarzali, że trzeba zobaczyć Yeddaw. Podobno żadne miejsce na świecie nie przypominało bardziej Sesemalex Dar – a że ono od jakiegoś miliarda lat leżało w strefie wojny, mało prawdopodobne, by udało jej się tam dotrzeć.

Stojąc z rękami opartymi na biodrach i wpatrując się w Yeddaw, odkryła, że zgadza się z tymi opiniami. Naprawdę robiło wrażenie. Azirczycy lubili uważać się za wspaniałych, ale jedynie oklejali swoje budynki brązem, złotem albo czymś w tym rodzaju i udawali, że to wystarczy. A czy to cokolwiek zmieniało? Jedynie odbijało jej twarz, a Zwinka widziała ją zbyt często, by jej to imponowało.

To miejsce jednak robiło wrażenie. Majestatyczne miasto wycięte w głodowej ziemi.

Słyszała, jak niektórzy z eleganckich azirskich skrybów o nim opowiadają – mówili, że to nowe miasto, stworzone przed setką lat przez wynajęte Cesarskie Ostrza Odprysku. Rzadko wykorzystywano je do walki, częściej do wykopywania szybów albo wykuwania skał. Bardzo praktyczne. Jakby wykorzystać królewski tron, żeby sięgnąć po coś na najwyższej półce.

Naprawdę nie powinni na nią za to nawrzeszczać.

Tak czy inaczej, wykorzystali te Ostrza Odprysku w tym miejscu. Kiedyś to była duża, płaska równina. Ze swojego miejsca na szczycie pagórka Zwinka widziała jednak setki rowów wykutych w skałach. Łączyły się ze sobą jak ogromny labirynt. Niektóre z rowów były szersze od pozostałych i bieły spiralnie w stronę centrum i dużej budowli w kształcie kopca, która jako jedyna wznosiła się nad powierzchnię równiny.

W przestrzeniach między rowami ludzie pracowali na polach. Na górze nie było właściwie żadnych budynków, wszystko znajdowało się w dole. Ludzie mieszkali w tych rowach, które wydawały się głębokie na dwie albo trzy kondygnacje. Jak unikali wyflukania w czasie arcyburz? Owszem, wykuli duże kanały prowadzące poza miasto – takie, w których nikt nie mieszkał, żeby woda mogła wypływać. Miasto i tak nie wydawało się bezpieczne, ale robiło wrażenie.

Mogłaby się w nim naprawdę dobrze ukryć. Po to w końcu tu przybyła. Żeby się ukryć. I nic innego. Żadnego innego powodu.

Miasto nie miało murów, ale otaczało je kilka wież strażniczych. Zwinka zeszła ścieżką ze wzgórz i dotarła do większej drogi, a w końcu zatrzymała się w kolejce ludzi czekających na pozwolenie wejścia do miasta.

– Jak, na Roshar, udało im się wykuć tak wiele kamienia?

Wyndle przybrał postać zwoju pędów, który sięgał jej do pasa, a twarz zwrócił w stronę miasta.

– Ostrza Odprysku.

– Ach. Och. One. – Poruszył się niezręcznie, pędy zadrżały i z chrzęstem zwinęły się wokół siebie. –

Tak. One.

Założyła ręce na piersi.

– Powinnam sobie jakieś znaleźć?

Wyndle jęknął głośno, co ją zaskoczyło.

– Pomyślałam sobie, że w końcu Ciemność je ma, nieprawdaż? Walczył nim, kiedy próbował zabić mnie i Gawxa. Ja też powinnam sobie takie znaleźć.

– Pewnie, to właśnie powinnaś zrobić! Zajrzyjmy na targ i znajdziemy legendarną, wszechpotężną broń, o której krążą legendy, wartą więcej niż niejedno królestwo! Podobno sprzedają je na wagę, kiedy na wschodzie nadejdzie wiosna.

– Zamknij się, Pustkowcu. – Spojrzała na jego twarz ze splątanych pędów. – Wiesz coś o Ostrzach Odprysku, prawda?

Pnącza wyglądały, jakby wiedły.

– Wiesz. Gadaj. Co wiesz?

Potrząsnął głową z pędów.

– Powiedz mi.

W głosie Zwinki zabrzmiała groźba.

– To zakazane. Sama musisz się tego domyślić.

– Właśnie to robię. Odkrywam. Z twoją pomocą. Powiedz mi albo cię ugryzę.

– Co takiego?!

– Ugryzę cię. Przeżuję, Pustkowcu. Jesteś pnączem, prawda? Jem rośliny. Czasami.

– Nawet zakładając, że nie połamałabyś zębów na moich kryształach, moja masa nie zaspokoiłaby twojego głodu. Rozpadłaby się w pył.

– Nie chodzi o zaspokojenie głodu, ale o tortury.

Wyndle ją zaskoczył, napotykać jej spojrzenie swoimi dziwnymi oczyma, które wyrosły z kryształów.

– Naprawdę, panienko. Wątpię, byś była do tego zdolna.

Warknęła na niego, a choć on oklapł jeszcze bardziej, nie zdradził jej tajemnicy. Niech to burza. Dobrze wiedzieć, że miał kręgosłup moralny... albo jego roślinny odpowiednik. Korosłup?

Wepchnęła ręce do kieszeni i ruszyła drogą w stronę miasta.

– Masz mi być posłuszny. Nie postępujesz zgodnie z zasadami.

Wyndle wyraźnie się obruszył.

– Wręcz przeciwnie. Po prostu ty ich nie znasz. I musisz wiedzieć, że jestem ogrodnikiem, nie żołnierzem, więc nie pozwolę, żebyś uderzała mną w ludzi.

Zatrzymała się.

– Dlaczego miałabym kogokolwiek tobą uderzyć?

Oklapł tak bardzo, że praktycznie wysechł.

Zwinka westchnęła i ruszyła dalej, a Wyndle podążył za nią. Skierowali się ku wieży będącej

jednocześnie bramą do miasta.

– To tam się właśnie udajemy? – spytał Wyndle, kiedy minęli wóz ciągnięty przez chulla. – Do tego miasta wykutego w ziemi?

Zwinka pokiwała głową.

– Mogłaś mi powiedzieć. Martwiłem się, że burza zastanie nas na otwartej przestrzeni!

– Dlaczego? Już nie pada.

Płacz, co dziwne, ustąpił. Później znów się zaczął. I ustąpił. Zachowywał się dziwacznie, jak normalna pogoda, nie zaś bardzo długa i łagodna arcyburza, jaką powinien być.

– Nie wiem. Coś jest nie w porządku, panienko. Coś ze światem. Czuję to. Słyszałaś, co alethyjski król napisał do cesarza?

– O nadejściu nowej burzy? Tej, która wieje z niewłaściwej strony?

– Tak.

– Kluski stwierdziły, że to głupota.

– Kluski?

– Ludzie, którzy kręcą się wokół Gawxa, cały czas do niego gadają, mówią mu, co ma robić, i próbują zmusić mnie do włożenia szaty.

– Wezyrowie Aziru. Główni urzędnicy cesarstwa i doradcy Pierwszego!

– Właśnie. Falujące ręce i nalane twarze. Kluski. W każdym razie ten wściekły gość...

– ...arcyksiążę Dalinar Kholin, de facto król Alethkaru i obecnie najpotężniejszy wódz na świecie...

– ...coś sobie wymyślał.

– Może. Ale nie czujesz czegoś? Dookoła? Narastającego?

– Odległy grzmot – szepnęła Zwinka, spoglądając na zachód, za miasto, w stronę odległych gór. – Albo... jak wtedy, kiedy ktoś upuści rondel, a ja patrzę, jak spada, i czekam na łoskot, kiedy uderzy w ziemię.

– Czyli jednak to czujesz.

– Może. – Wóz ciągnięty przez chulla przetoczył się obok. Nikt nie zwracał na nią uwagi... nikt nigdy tego nie robił. I nikt nie widział Wyndle'a. Poza nią, bo była wyjątkowa. – Czy twoi przyjaciele Pustkowcy o tym wiedzą?

– Nie jesteśmy... Zwinko, jesteśmy sprenami, ale mój rodzaj, pielęgnacjospreny, nie jest szczególnie ważny. Nie mamy własnego królestwa ani nawet miast. Postanowiliśmy związać się z tobą tylko dlatego, że Zagadkowi, honorspreny i wszyscy pozostali zaczęli działać. Och, skoczyliśmy na główkę do szklanego morza, ale ledwie wiedzieliśmy, co robimy! Wszyscy, którzy mieli jakiegokolwiek pojęcie, jak to osiągnąć, zginęli przed stuleciami!

Rósł na drodze obok niej, kiedy szła za podskakującym na drodze, trzęsącym się i grzechoczącym wozem.

– Wszystko jest nie w porządku i nic nie ma sensu – mówił dalej Wyndle. – Związanie z tobą miało być trudniejsze, niż okazało się w rzeczywistości, tak mi się wydaje. Moje wspomnienia są czasem zatarte, ale przypominam sobie coraz więcej. Nie doznałem wstrząsów, jakich wszyscy się spodziewaliśmy. Być może z powodu twojej... wyjątkowej sytuacji. Ale, panienko, uwierz mi, kiedy mówię, że nadchodzi coś wielkiego. To nie była dobra pora na opuszczenie Aziru. Tam byliśmy bezpieczni. Potrzebujemy bezpieczeństwa.

– Nie ma czasu wracać.

– Nie, pewnie nie. Przynajmniej mamy przed sobą schronienie.

– Zakładając, że Ciemność nas nie zabije.

– Ciemność? Ten Niebiański, który zaatakował cię w pałacu i prawie cię zamordował?

– Tak. Jest w mieście. Nie słyszałaś, jak narzekałam, że potrzebuję Ostrza Odprysku?

– W mieście... W Yeddaw, do którego się właśnie udajemy?

– Ano. Kluski kazały dostarczać raporty na jego temat. Tuż przed naszym odejściem przyszła wiadomość, że zauważono go w Yeddaw.

– Chwileczkę. – Wyndle błyskawicznie prześlizgnął się do przodu, pozostawiając za sobą ślad pędów i kryształ. Porósł tył wozu i zwinął się na drewnie tuż przed Zwinką. Stworzył twarz i popatrzył na nią. – Czy dlatego tak nagle odeszliśmy? Dlatego tu jesteśmy? Ścigasz tego potwora?

– Oczywiście, że nie. – Zwinka wcisnęła ręce do kieszeni. – To by było głupie.

– A ty nie jesteś głupia.

– Pewnie, że nie.

– To dlaczego tu jesteśmy?

– Mają tu takie placuszki, z nadzieniem w środku. Podobno są bardzo smaczne, a oni jedzą je podczas Płacz. Dziesięć rodzajów. Ukradnę po jednym z każdego rodzaju.

– Przebyłaś całą tę długą drogę, porzucając luksusy, żeby zjeść jakieś placuszki.

– Naprawdę niesamowite placuszki.

– I to mimo że przebywa tu boski Odpryskowy... mężczyzna, który zadał sobie wiele trudu, by spróbować doprowadzić do twojej egzekucji.

– Chciał mnie powstrzymać przed używaniem moich mocy. Widziano go w innych miejscach. Kluski się tym zajęły, są nim zafascynowane. Wszyscy zwracają uwagę na tego łysego gościa, który zbiera głowy królów, ale ten tutaj też mordował ludzi na całym Rosharze. Mało ważnych ludzi. Cichych ludzi.

– A my przybyliśmy tutaj, bo?

Wzruszyła ramionami.

– To równie dobre miejsce jak wszystkie inne.

Zsunął się z tyłu wozu.

– W rzeczywistości to z całkowitą pewnością nie jest równie dobre miejsce, jak wszystkie inne. W sposób oczywisty jest gorsze...

– Jesteś pewien, że nie mogę cię zjeść? To by było bardzo dogodne. Masz dużo dodatkowych pędów. Może mogłabym przeżuć parę.

– Zapewniam cię, panienko, że to doświadczenie byłoby dla ciebie na wskroś nieprzyjemne.

Chrząknęła, zaburczało jej w brzuchu. Wokół niej pojawiły się głodospreny, jak skrzydlate brązowe plamki. To nie było niczym dziwnym. Wielu stojących w kolejce je przyciągało.

– Mam dwie moce – powiedziała Zwinka. – Mogę się ślizgać, kiedy jestem wspaniała, i mogę sprawiać, że wszystko rośnie. Mogłabym wyhodować sobie parę roślin do zjedzenia?

– Z pewnością wyhodowanie roślin zużyłoby więcej energii Burzowego Światła, niż mogłabyś w ten sposób uzyskać pożywienia, co wynika z praw rządzących wszechświatem. I zanim cokolwiek powiesz, istnieją prawa, których nawet ty nie możesz zignorować. – Zawahał się. – Tak sędzę. Ale kto może

wiedzieć, gdy chodzi o ciebie?

– Jestem wyjątkowa. – Zwinka zatrzymała się, kiedy wreszcie dotarli na koniec kolejki ludzi czekających na wejście do miasta. – I głodna. W tej chwili bardziej głodna niż wyjątkowa.

Wychyliła się z kolejki. Na rampie prowadzącej w dół do miasta stało kilku strażników, jak również skrybowie w tych dziwnych szatach z Tashikku. To był taki dłuuuugi kawałek materiału, którym się owijali, od stóp do głów. Jak na jeden kawałek tkaniny, był naprawdę skomplikowany – otaczał każdą rękę i nogę z osobna, ale czasem tworzył też swego rodzaju spódnicę wokół pasa. Strój ten nosili mężczyźni i kobiety, ale nie strażnicy.

Z pewnością nie śpieszyli się z wpuszczaniem ludzi do środka. I z pewnością dużo ludzi czekało na wejście. Wszyscy byli Makabakami, mieli ciemne oczy i skórę – ciemniejszą niż brązowawa opalenizna Zwinki. W kolejce czekało wiele rodzin w normalnych azirskich ubraniach. Spodnie, brudne spódnice, niektóre wzorzyste. Otaczały ich wyczerpaniospreny i głodospreny, tak liczne, że aż przyciągały uwagę.

Spodziewała się, że będą tu czekać raczej kupcy niż rodziny. Kim byli ci wszyscy ludzie?

Zaburczało jej w brzuchu.

– Panienko? – spytał Wyndle.

– Cicho. Jestem zbyt głodna, żeby rozmawiać.

– Czy jesteś...

– Głodna? Tak, więc się zamknij.

– Ale...

– Założę się, że ci strażnicy mają jedzenie. Ludzie zawsze karmią strażników. Oni nie mogliby walić ludzi po głowach, gdyby głodowali. To fakt.

– Jeśli wolno mi zaproponować inne rozwiązanie, mogłabyś po prostu kupić trochę jedzenia za te kule, które przyznał ci cesarz.

– Nie wzięłam ich.

– Nie wzięłaś... nie wzięłaś pieniędzy?

– Wyrzuciłam je, kiedy nie patrzyłeś. Człowieka nie można obrabować, jeśli nie ma pieniędzy. Noszenie kul to proszenie się o kłopoty. Poza tym. – Zmrużyła oczy, wpatrując się w strażników. – Tylko eleganccy ludzie mają takie pieniądze. My jesteśmy normalni i musimy sobie radzić inaczej.

– Czyli teraz jesteś normalna.

– Pewnie, że tak. To wszyscy inni są dziwni.

Zanim zdążył odpowiedzieć, wskoczyła pod wóz i zaczęła się przekradać w stronę początku kolejki.



3

– Tallew, powiadasz? – spytała Hauka, unosząc płótno okrywające podejrzaną stertę ziarna. – Z Aziru?

– Tak, oczywiście, proszę pani. – Mężczyzna siedzący na koźle wozu zaczął się kręcić. – Jestem tylko prostym rolnikiem.

Który nie ma odcisków, pomyślała Hauka. Prostym rolnikiem, który może sobie pozwolić na buty z Liaforu i jedwabny pas. Wzięła włócznię i zaczęła wbijać jej tępy koniec w ziarno. Nie natrafiła jednak na żadne przemycane towary ani uchodźców. Co za niespodzianka.

– Muszę potwierdzić twoje dokumenty – stwierdziła. – Zjedź wozem na bok.

Mężczyzna mruknął niechętnie, ale wypełnił polecenie i zaczął prowadzić swojego chulla w stronę wskazanego miejsca obok strażnicy. Była ona jednym z niewielu budynków wzniesionych nad miastem, obok kilku wież ustawionych w takich miejscach, by móc zasypać z nich strzałami każdego, kto próbowałby użyć rampy albo rozpocząć oblężenie.

Rolnik bardzo ostrożnie wycofywał wóz, gdyż znajdowali się w pobliżu krawędzi półki wznoszącej się nad miastem. Dzielnica imigrantów. Bogaci ludzie tędy nie wchodzili, jedynie ci bez dokumentów. Albo ci, którzy liczyli, że unikną sprawdzenia.

Hauka zwinęła dokumenty mężczyzny i przeszła obok strażnicy. Dobiegały z niej przyjemne aromaty – przygotowywano obiad, co znaczyło, że ludzie w kolejce mieli przed sobą jeszcze dłuższe czekanie. Na ławie przed wejściem siedział stary skryba. Nissiqqan lubił spędzać czas na słońcu.

Ukloniła mu się – tego dnia Nissiqqan pełnił obowiązki skryby zajmującego się imigracją. Starzec owinął się od stóp do głów żółtą szatą shiqua, choć opuścił część zakrywającą głowę, ukazując pomarszczoną twarz i dołek w podbródku. Przebywali w ojczyźnie i nie musieli się okrywać z obawy, że spojrzy na nich Nun Raylisi – wróg ich boga. Tashi ich chronił.

Sama Hauka miała na sobie napierśnik, czapkę, spodnie i płaszcz z wzorem oznaczającym jej pochodzenie i wykształcenie. Miejscowi chętnie przyjmowali Azirczyków takich jak ona – Tashikk właściwie nie miał żołnierzy, a jej referencje potwierdził azirski wezyr. Mogłaby dostać podobną pracę jako kapitan miejscowej straży w całym regionie Makabaku, choć jej listy polecające wyraźnie stwierdzały, że nie ma uprawnień do dowodzenia na polu bitwy.

– Pani kapitan? – Nissiqqan poprawił okulary i spojrzał na dokumenty rolnika, kiedy mu je podsunęła. – Czy on odmawia zapłacenia cła?

– Cło trafiło bezpiecznie do kasetki. Ale mam podejrzenia. Ten człowiek nie jest rolnikiem.

– Przemyca uchodźców?

– Sprawdziłam w ziarnie i pod wozem. – Hauka obejrzała się przez ramię. Mężczyzna uśmiechał się szeroko. – To świeże ziarno. Trochę przejrzałe, ale jadalne.

– Miasto się ucieszy, kiedy je dostanie.

Miał rację. Konflikt między Emulem a Tukarem zaostrzał się coraz bardziej. Oczywiście ludzie zawsze to powtarzali. Ale w ciągu ostatnich kilku lat rzeczywiście coś się zmieniło. Ten król-bóg Tukaru... krążyły o nim różne nieprawdopodobne pogłoski.

– Mam! – odezwała się Hauka. – Wasza łaskawość, założę się, że ten człowiek był w Emulu. Napadał na ich pola, kiedy mężczyźni odpierali inwazję.

Nissiqqan pokiwał głową i podrapał się po brodzie. Później sięgnął do teczki.

– Opodatkuj go jak przemysłowca i do tego pasera. Sądzę... tak, to powinno zadziałać. Potrójne cło. Dodatkowe fundusze przeznaczymy na żywność dla uchodźców, zgodnie z wynikiem referendum trzy-siedem-jeden-sha.

– Dziękuję.

Hauka rozluźniła się i wzięła formularze. Ludzie różnie mówili o dziwacznych ubiorach i religii Tashikku, ale miejscowi z pewnością umieli pisać porządne rozporządzenia.

– Mam dla ciebie kule – dodał Nissiqqan. – Wiem, że ostatnio pytałaś o napełnione.

– Naprawdę?

– Mój krewniak miał kilka w klatce na kule... i przypadkiem o nich zapomniał... kiedy pojawiła się ta niespodziewana arcyburza.

– Doskonale. Później się wymienimy.

Miała pewne informacje, które mogły bardzo zainteresować Nissiqqana. W Tashikku traktowano je jako walutę, na równi z kulami.

Na burze, napełnione kule byłyby miłą odmianą. Po Płaczu większość ludzi nie miała żadnych, co było burzową niedogodnością, gdyż w mieście panował zakaz używania otwartego ognia. Co znaczyło, że wieczorami nie mogła czytać, jeśli nie miała napełnionych kul.

Wróciła do przemysłowca, przerzucając formularze.

– Musisz zapłacić to cło – stwierdziła, podając mu dokumenty. – A później to.

– Zezwolenie na paserstwo! – wykrzyknął mężczyzna. – I przemysł! To kradzież w biały dzień!

– Sądzę, że tak właśnie było.

Uderzył formularzami w otwartą dłoń.

– Nie udowodnicie takich zarzutów.

– Pewnie. Gdybym mogła udowodnić, że nielegalnie przekroczyłeś granicę Emulu, obrabowałeś pola porządnych, ciężko pracujących ludzi, kiedy oni zajmowali się walką, a później przywiozłeś ziarno tutaj bez odpowiednich zezwoleń, po prostu bym wszystko skonfiskowała. – Pochyliła się w jego stronę. – Oboje wiemy, że uszło ci na sucho.

Spojrzał jej w oczy, po czym niespokojnie odwrócił wzrok i zaczął wypełniać formularze. Dobrze. Żadnych kłopotów. Lubiała, kiedy nie było kłopotów. To...

Zatrzymała się. Płótno na wozie mężczyzny zaszeleściło. Hauka zmarszczyła czoło i zerwała je gwałtownym ruchem, odsłaniając dziewczynkę tkwiącą po szyję w ziarnie. Mała miała jasnobrązową skórę – jakby pochodziła z Reshi, a może Herdazu – i jedenaście, może dwanaście lat. Uśmiechnęła się do Hauki.

Wcześniej jej tam nie było.

– To coś – powiedziała dziewczynka po azirsku, a usta miała pełne surowego ziarna – smakuje koszmarnie. Pewnie dlatego właśnie najpierw je przerabiamy. – Przełknęła. – Macie coś do picia?

Przemytnik stanął na koźle i pokazał dziewczynkę palcem. Gotował się z wściekłości.

– Ona niszczy mój towar! Pływa w nim! Strażniczko, zróbcie coś! W moim ziarnie jest brudna uciekinierka!

Cudownie. Wypełnienie raportu na ten temat będzie koszmarem.

– Wylaż, dziecko. Masz rodziców?

– Jasne, że tak. – Dziewczynka przewróciła oczami. – Wszyscy mają rodziców. Ale moi nie żyją. – Przechyliła głowę. – Co to za zapach? Czy to nie... placuszki?

– Pewnie. – Hauka wyczuła okazję. – Placuszki na Dzień Słońca. Dostaniesz jeden, jeśli...

– Dzięki!

Dziewczynka wyskoczyła z ziarna, rozsypując je na boki, co wywołało głośny okrzyk przemytnika. Hauka próbowała złapać dziecko, ale ono jakimś cudem się wyslizgnęło. Przeskoczyło nad jej rękami i rzuciło się do przodu.

I wylądowało na barkach strażniczki.

Kobieta sapnęła pod nagłym ciężarem, dziewczynka jednak zaraz zeskoczyła z jej ramion i wylądowała za nią.

Hauka odwróciła się, z trudem łapiąc równowagę.

– Tashi! – zaklął przemytnik. – Ona weszła na twoje burzowe ramiona!

– Dziękuję. Zostań tutaj. Nie ruszaj się.

Hauka poprawiła czapkę i pobiegła za dzieckiem, które otarło się o Nissiqqana – skryba aż upuścił teczki – i weszło do strażnicy. Dobrze. Budynek nie miał innych dróg wyjścia. Potykając się, Hauka dopadła drzwi, odstawiła włócznie na bok i sięgnęła po pałkę. Nie chciała skrzywdzić małej uciekinierki, ale zamierzała ją zastraszyć.

Dziewczynka ślizgała się po drewnianej podłodze, jakby ktoś rozlał na niej oliwę. Przeleciała pod stołem, przy którym grupka skrybów w towarzystwie dwóch podwładnych Hauki właśnie jadła obiad. Po chwili wyprostowała się, przewracając stół na bok. Wszyscy cofnęli się zaskoczeni, a jedzenie wylądowało na podłodze.

– Przepraszam! – zawołała dziewczynka z samego środka bałaganu. – Nie zrobiłam tego celowo. – Wystawiła głowę zza przewróconego stołu, a z jej ust wystawał placuszek. – Niezłe są.

Ludzie Hauki poderwali się na równe nogi. Ona sama rzuciła się do przodu, próbując sięgnąć za stół i złapać uciekinierkę. Jej palce musnęły ramię dziewczynki, która znów się wyrwała. Dziecko odepchnęło się od podłogi i prześlizgnęło między nogami Reza.

Hauka znów rzuciła się do przodu i zapędziła dziewczynkę pod ścianę.

Uciekinierka sięgnęła do góry i precyzyjnie się przez jedyne okno w pomieszczeniu – tak wąskie, że przypominało raczej otwór strzelniczy. Hauka gapiła się na nie. Z pewnością nie było dość duże, by człowiek – nawet tak drobny – mógł z taką łatwością się przez nie precyzyjnie przycisnąć. Strażniczka przycisnęła się do ściany i wyjrzała przez okno. Z początku nic nie widziała, później jednak nad krawędzią dachu pojawiła się głowa dziewczynki – mała jakimś cudem dostała się na samą górę.

Jej ciemne włosy unosiły się na wietrze.

– Ej, jaki to był rodzaj placuszków? Muszę zjeść wszystkie dziesięć.

– Wracaj tutaj. – Hauka wyciągnęła rękę, żeby złapać dziewczynkę. – Nie przeszłaś postępowania imigracyjnego.

Dziewczynka cofnęła głowę i na dachu zabrzmiały jej kroki. Hauka zaklęła i wyszła na zewnątrz, za nią podążyli jej dwaj podwładni. Przeszukali dach małej strażnicy, ale nikogo nie znaleźli.

– Ona tu wróciła! – zawołał jeden ze skrybów w środku.

Po chwili dziewczynka wyslizgnęła się na zewnątrz, w każdej ręce trzymała po placuszku, a kolejny miała w ustach. Minęła strażników i ruszyła w stronę wozu przemytnika, który zsiadł z kozła i narzekał, że jego ziarno zostało zanieczyszczone.

Kobieta rzuciła się do przodu, by złapać uciekinierkę – tym razem udało jej się chwycić ją za nogę. Niestety, dwaj pozostali strażnicy również próbowali pochwycić dziewczynkę, potknęli się i wpadli na Haukę, przewracając ją.

Mimo to nie zwolniła chwytu. Sapiąc ciężko z powodu ciężaru na plecach, mocno ścisnęła nogę dziewczynki. Podniosła wzrok i stłumiła jęk.

Uciekinierka siedziała na kamieniu i patrzyła na nią z przechyloną głową. Wepchnęła jeden z placuszków do ust, po czym wyciągnęła rękę do tyłu, w stronę uprząży chulla przy wozie. Kiedy postukała dłonią w drewno, hak gładko, bez najmniejszego oporu, wysunął się z uchwytu.

Na burze, nie, pomyślała strażniczka.

– Złazcie! – krzyknęła Hauka, puściła dziewczynkę i zepchnęła z siebie mężczyzn.

Głupi przemytnik cofnął się z wyraźną dezorientacją.

Wóz potoczył się w stronę krańca półki; Hauka wątpiła, by drewniany płot go zatrzymał. Rzuciła się w stronę wozu i złapała go za bok. Pociągnął ją za sobą, a kobieta wyobraziła sobie, jak spada razem z nim przez krawędź, prosto na głowy uciekinierów w dzielnicy emigrantów.

Wóz jednak zatrzymał się powoli. Hauka z trudem łapała oddech. Podniosła wzrok, nie ruszyła się jednak z miejsca, mocno przyciskała stopy do kamieni. Nie odważyła się puścić wozu.

Dziewczynka siedziała na szczycie sterty ziarna i przeżuwała ostatni placuszek.

– Są naprawdę dobre.

– Ciasto tuk. – Hauka czuła się wyczerpana. – Zjada się je, żeby zapewnić sobie pomyślność w następnym roku.

– W takim razie ludzie powinni je jeść przez cały czas, nie?

– Może.

Dziewczynka pokiwała głową, po czym stanęła z boku i kopnięciem otworzyła tylną klapę wozu. Ziarno zaczęło się z niego gwałtownie zsuwać.

Była to najdziwniejsza rzecz, jaką Hauka widziała w życiu. Ziarno przypominało wodę, wypływało z wozu, choć nachylenie nie było wielkie. I do tego... emanowało łagodnym blaskiem, gdy spadało na miasto.

Dziewczynka uśmiechnęła się do niej.

I zeskoczyła za ziarnem.

Hauka gapiała się z otwartymi ustami na dziewczynkę lecącą w dół. Dwaj pozostali strażnicy w końcu oprzytomnieli na tyle, by przyjść jej z pomocą, i obaj złapali wóz. Przemytnik wrzeszczał, otaczały go złościospreny jak gotujące się kałuże krwi na ziemi.

Poniżej ziarno opadało w chmurze pyłu na dzielnicę imigrantów. Dno znajdowało się dość daleko, ale Hauka była niemal pewna, że słyszy okrzyki radości i wdzięczności, gdy jedzenie zasypywało tamtejszych mieszkańców.

Zabezpieczywszy wóz, kobieta podeszła do krawędzi. Nigdzie nie widziała dziewczynki. Na burze. Czy ona była jakimś sprenem? Hauka znów się rozejrzała, ale niczego nie zobaczyła, choć u stóp miała dziwny czarny kurz. Wkrótce porwał go wiatr.

– Pani kapitan? – spytał Rez.

– Zajmij się imigrantami przez kolejną godzinę. Ja muszę zrobić sobie przerwę. Na burze. Jak, w imię Rosharu, uda jej się to wyjaśnić w raporcie?



4

Zwinka nie powinna być zdolna dotknąć Wyndle'a. Pustkowiec ciągle powtarzał rzeczy w rodzaju: „Nie mam dość obecności w tej Krainie, nawet z naszą więzią” i „Musisz tkwić częściowo w Krainie Umysłu”. Zasadniczo bełkot.

Bo mogła go dotknąć. Co czasami było użyteczne. Na przykład, kiedy zeskokczyła z niskiego urwiska i musiała się czegoś złapać. Wyndle krzyknął wtedy zaskoczony i natychmiast popędził w dół ściany, poruszając się szybciej niż ona spadała. W końcu nauczył się uważać.

Chwyciła się go jak liny, a pnące przeslizgiwało się między jej palcami. Nie było to wiele, ale pomogło spowolnić upadek. I tak uderzyła o ziemię z siłą, która zrobiłaby krzywdę większości ludzi. Na szczęście była wspaniała.

Zgasiła blask swojej wspaniałości i wbiegła w wąską uliczkę. Ludzie tłoczyli się za jej plecami, wychwalając różnych Heroldów i bogów za dar ziarna. Mogli tak gadać, ile chcieli, ale wszyscy wiedzieli, że ziarno nie pochodziło od bogów – nie bezpośrednio – bo zostało zgarnięte z ulicy szybciej niż ładna ladacznica w Bavlandzie.

Po kilku minutach z całego wozu ziarna pozostała jedynie garść plew unoszących się na wietrze. Zwinka usadowiła się w wejściu do uliczki i rozejrzała po okolicy. Czuła się tak, jakby z południowego słońca wpadła prosto w zmierzch. Wszędzie długie cienie i zapach wilgoci.

Domy wykuto w kamieniu – drzwi, okna cała reszta wycięte w skale. Ich ściany pomalowano na jaskrawe kolory, często w pionowe pasy, żeby odróżnić jeden „budynek” od drugiego. Wszędzie wokół kręcili się ludzie, rozmawiali, tupali i kaszleli.

Dobre życie. Zwinka lubiła przenosić się z miejsca na miejsce, ale nie lubiła być odosobniona. Sama to coś innego niż odosobniona. Wstała i ruszyła przed siebie. Wcisnęła ręce do kieszeni i próbowała rozglądać się we wszystkie strony jednocześnie. To miejsce było oszałamiające.

– To było bardzo szczodre z twojej strony, panienko. – Wyndle rósł obok niej. – Zrzucenie tego ziarna, kiedy dowiedziałaś się, że jego właściciel jest złodziejem.

– O to ci chodzi? Chciałam tylko wylądować na czymś miękkim, gdybyś się zdrzemnęła.

Ludzie, których mijali, nosili różnorodne stroje. Przeważnie wzorzyste azirskie szaty albo miejscowe shiqā. Ale widziała też najemników, pewnie z Tukaru albo Emulu. Inni nosili jaśniejsze wiejskie ubrania, pewnie z Almu albo Deshu. Lubiała te miejsca. Mało kto próbował ją zabić w Almie i Deshu.

Niestety, w tych okolicach niewiele dało się ukraść – chyba że ktoś lubił rozgotowaną kaszę i to dziwne mięso, które dodawali do wszystkiego. Pochodziło z jakiegoś zwierzęcia żyjącego na górskich

zboczach, było paskudne i całe porośnięte brudnym futrem. Zwinka sądziła, że smakuje obrzydliwie, a przecież sama próbowała kiedyś zjeść dachówkę.

Tak czy inaczej, wydawało się, że na tej ulicy jest o wiele mniej Tashikków niż cudzoziemców – ale jak ci na górze nazwali tę okolicę? Dzielnica imigrantów? Cóż, tu się pewnie nie będzie wyróżniać. Minęła nawet paru Reshich, choć większość z nich kuliła się w pobliskich slumsach i miała na sobie jakieś szmaty.

To miejsce bez wątpienia było dziwne. Miało slumsy. Nie widziała ich od czasu, kiedy opuściła Zawfix, gdzie slumsy powstały w starych kopalniach. W większości miejsc, gdyby ludzie próbowali wybudować prowizoryczne schronienie... cóż, pierwsza arcyburza porwałaby je ze sobą, a oni zostaliby, siedząc z głupią miną na nocniku.

Tutaj slumsy ograniczały się do wąskich alejek, które wyrastały jak szprychy z większej ulicy i łączyły ją z następną dużą drogą. Wiele było tak wypełnionych wiszącymi kocami, ludźmi i prowizorycznymi domami, że nie dało się zobaczyć otworu po drugiej stronie.

Co dziwne, wszystko stało na palach. Nawet najbardziej prymitywne konstrukcje wznosiły się na wysokość co najmniej czterech stóp. Zwinka stanęła w wejściu do jednej z uliczek, wcisnęła rękę do kieszeni i spojrzała wzdłuż szerszej drogi. Jak zauważyła wcześniej, każda ze ścian miasta była jednocześnie szeregiem sklepów i domów wykutych bezpośrednio w skale i pomalowanych dla odróżnienia od sąsiadów. I aby wejść do każdego z nich, trzeba było się wspiąć po trzech lub czterech schodkach.

– To jak Czyste Jezioro – powiedziała. – Wszystko znajduje się wysoko, jakby nikt nie chciał dotknąć ziemi, bo ona koszmarnie kaszle.

– Mądre – odparł Wyndle. – Ochrona przed burzami.

– Woda i tak to wszystko zmyje.

Najwyraźniej tak nie robiła, bo inaczej to miejsce by nie istniało. Zwinka ruszyła dalej, mijając rzędy domów wykutych w ścianie i szeregi innych wciśniętych między nimi. Te slumsy wyglądały zachęcająco – ciepłe, zatłoczone, pełne życia. Widziała nawet unoszące się między nimi zielone pyłki życiosprenów, które zwykle widywało się jedynie w okolicach, gdzie było wiele roślin. Niestety, z doświadczenia wiedziała, że nawet najbardziej zachęcające z wyglądu miejsce nie przyjmie ciepło nieznanego ulicznika.

Wyndle pełzł po ścianie obok jej głowy, zostawiając za sobą ślad pnączy.

– I jak? Wprowadziłaś nas tutaj i, co zadziwiające, udało ci się nawet uniknąć uwięzienia. Co teraz?

Zwince zaburczało w brzuchu.

– Jedzenie.

– Przed chwilą jadłaś!

– Ano. Ale zużyłam całą energię, żeby uciec głodowym strażnikom. Jestem bardziej głodna niż kiedy zaczęłam!

– Och, Błogosławiona Matko – powiedział z irytacją w głosie. – Dlaczego w takim razie po prostu nie poczekałaś w kolejce?

– Wtedy bym nie dostała jedzenia.

– To bez znaczenia, skoro spaliłaś całe jedzenie w Burzowe Światło, a później zeskoczyłaś ze ściany!

– Ale zjadłam placuszki!

Ominęli grupę miejscowych kobiet, które niosły na rękach koszyki i gadały o liofarańskim rzemiośle. Dwie z nich odruchowo przykryły koszyki i mocniej ścisnęły ręczki, kiedy Zwinka je mijiała.

– Nie wierzę w to. Nie mogę uwierzyć, że na tym polega moje istnienie. Byłem ogrodnikiem! Szanowanym! Teraz, dokądkolwiek się udam, ludzie patrzą na nas, jakbyśmy zamierzali obrobić ich kieszenie.

– One nie miały niczego w kieszeniach. – Zwinka obejrzała się przez ramię. – Nie jestem nawet pewna, czy shiqa w ogóle mają kieszenie. Ale te koszyki...

– Wiesz, że rozważaliśmy związanie się z tym miłym szewcem, a nie z tobą? Bardzo dobrym człowiekiem, który pomagał dzieciom. Mógłbym żyć spokojnie, pomagać mu szyć buty. Mógłbym zrobić całą wystawę butów!

– A to zagrożenie, które nadchodzi. Z zachodu? Jeśli to naprawdę wojna?

– Na wojnie buty są ważne. – Wyndle bryznął wokół siebie pnączami; nie była pewna, co to miało znaczyć. – Myślisz, że Świetliści walczyli boso? Moglibyśmy szyć im buty, ten miły stary szewc i ja. Cudowne buty.

– To się wydaje nudne.

Jęknął.

– Będiesz mnie wbijać w ludzi? Będę bronią.

– Co za bzdury wygadujesz, Pustkowcu?

– Pewnie muszę cię skłonić, żebyś wypowiedziała Słowa, prawda? Takie jest moje zadanie? Och, to żałosne.

Często powtarzał takie rzeczy. Pewnie, żeby być Pustkowcem, trzeba było mieć nie po kolei w głowie, więc nie miała mu tego za złe. Sięgnęła do kieszeni i wyjęła książeczkę. Uniosła ją i przerzuciła kartki.

– Co to? – spytał Wyndle.

– Zwinęłam ze strażnicy. Pomyślałam, że może uda mi się ją sprzedać albo co.

– Pozwól mi to zobaczyć.

Wyndle ześlizgnął się po ścianie, a później zaczął rosnać wokół jej nogi, reszty ciała i w końcu ramienia na książkę. Kiedy jego główny pęd wypuszczał malutkie korzonki, którymi przyczepiał się do jej skóry, łaskotało.

Inne małe pędy rozłożył na kartkach, całkowicie przerastając książkę.

– Hm...

Zwinka oparła się o ścianę, kiedy pracował. Nie czuła się jak w mieście, ale jak w... tunelu, który do niego prowadził. Owszem, niebo nad głową było jasne, ale ta ulica wydawała się odizolowana. Zwykle w mieście widziało się rozciągającą się we wszystkie strony nierówną linię dachów. Słyszało się krzyki z kilku sąsiednich ulic.

Choć ulica była zatłoczona – wręcz do przesady – i tak wydawała się odizolowana. Po ścianie obok niej wspinał się dziwny mały kremlik. Mniejszy niż większość z jego rodzaju, był czarny, miał cienki pancerz, a na grzbiecie włochaty brązowy pas, który wydawał się gąbczasty. W Tashikku kremliki były dziwne, a im dalej na zachód, tym robiły się dziwniejsze. Te bliżej gór podobno nawet umiały latać.

– Hm, tak. Panienko, ta książka jest prawdopodobnie bezwartościowa. To jedynie dziennik służby strażników. Kapitan na przykład zapisuje, o której wychodzi każdego dnia... punktualnie o dziesiątej,

zgodnie z zegarem na ścianie... kiedy zastępuje ją kapitan nocnej straży. Jedna wizyta w Wielkim Indycjum tygodniowo, w czasie której składa szczegółowy raport z wydarzeń całego tygodnia. Jest drobiazgowa, ale wątpię, by ktokolwiek był zainteresowany kupieniem jej dziennika.

– Z pewnością ktoś będzie go chciał. To książka!

– Zwinko, wartość książki zależy od tego, co w niej jest.

– Wiem. Kartki.

– Mam na myśli to, co jest na kartkach.

– Atrament?

– Mam na myśli to, co atrament mówi.

Podrapała się po brodzie.

– Naprawdę powinnaś posłuchać tych nauczycieli pisania w Azirze.

– Czyli... nie da się tego wymienić na jedzenie?

Zaburczało jej w brzuchu, co przyciągnęło kolejne głodospreny.

– Mało prawdopodobne.

Głupia książka... i głupi ludzie. Mruknęła i odrzuciła książkę przez ramię.

Niestety trafiła w kobietę niosącą koszyk z przędzą.

– Ty! – zawołał ktoś.

Zwinka się skrzywiła. Mężczyzna w mundurze strażnika wskazywał na nią przez tłum.

– Czy ty właśnie zaatakowałaś tę kobietę?! – krzyknął do niej strażnik.

– Ledwie! – odkrzyknęła.

Strażnik ruszył w jej stronę.

– Uciekamy? – spytał Wyndle.

– Uciekamy.

Skoczyła w boczną uliczkę, co wywołało kolejne okrzyki strażnika, który ruszył za nią.



5

Jakieś półtorej godziny później Zwinka leżała na brezencie rozciągniętym na jednym z prymitywnych schronień i dyszała ciężko po biegu. Ten strażnik był naprawdę uparty.

Kołysała się leniwie na płótnie, gdy przez zabudowaną slumsami uliczkę powiał wiatr. Zebrana poniżej rodzina dyskutowała o cudzie w postaci całego wozu ziarna, który nagle spadł na slumsy. Matka, trzech synów i ojciec, wszyscy mówili jednocześnie.

„Będę pamiętać tych, którzy zostali zapomniani”. Złożyła tę przysięgę, gdy uratowała życie Gawxowi. Właściwe Słowa, odpowiednie Słowa. Ale co one znaczyły? A co z matką? Jej nikt nie pamiętał.

Wydawało się, że o zbyt wielu ludziach zapomniano. Zbyt wielu, by mogła o nich pamiętać jedna mała dziewczynka.

– Zwinko? – Wyndle przybrał kształt niewielkiej wieży z pędów i liści, która kołysała się na wietrze.
– Dlaczego nie udałaś się na Wyspy Reshi? Stamtąd pochodzisz, prawda?

– Tak mówiła matka.

– To dlaczego ich nie odwiedziłaś? Jeśli ci wierzyć, przeszłaś w tę i z powrotem pół Rosharu. Ale nigdy nie odwiedziłaś swojej ojczyzny.

Wzruszywszy ramionami, nadal wpatrywała się w popołudniowe niebo i czuła wiatr. Pachniał świeżo, w porównaniu z odorem w tunelach. Miasto nie śmierdziało, ale wypełniały je stłoczone wonie, jak uwięzione zwierzęta.

– Wiesz, dlaczego musieliśmy opuścić Azir? – spytała cicho.

– Żeby gonić tego Niebiańskiego, tego, którego nazywasz Ciemnością.

– Nie. Wcale tego nie robimy.

– Jasne.

– Odeszliśmy, bo ludzie zaczynali mnie poznawać. Jeśli człowiek zbyt długo przebywa w jednym miejscu, ludzie zaczynają go rozpoznawać. Sklepikarze znają jego imię. Uśmiechają się, kiedy wchodzi, i już wiedzą, co podać, bo pamiętają, czego zwykle potrzebuje.

– To coś złego?

Pokiwała głową, ale nadal patrzyła w niebo.

– Jest jeszcze gorzej, kiedy uważają, że są moimi przyjaciółmi. Gawx, wezyrowie. Zakładają, że mnie znają, później zaczynają czegoś ode mnie oczekiwać. I wtedy muszę być kimś, za kogo mnie wszyscy uważają, nie tym, kim naprawdę jestem.

– A kim naprawdę jesteś, Zwinko?

Na tym przecież polegał problem. Kiedyś to wiedziała, prawda? A może była po prostu za mała i jej to nie obchodziło?

Skąd ludzie wiedzieli? Wiatr kołysał jej kryjówkę, a ona zwinęła się w kłębek, przypominając sobie objęcia matki, jej zapach i ciepły głos.

Przerwało jej ściskanie w pustym brzuchu, potrzeby chwili obecnej stłumiły pragnienia przeszłości. Westchnęła i wyprostowała się na płótnie.

– Chodź. Poszukajmy uliczników.



6

– Łona ma łobiady – powiedziała mała dziewczynka. Była brudna i pewnie nie myła rąk od czasu, gdy nauczyła się dłubać w nosie. Brakowało jej zębów. Zbyt wielu, jak na jej wiek. – Pani, łona ma łobiady dobre.

– Łobiady dla małych?

– Łobiady dla małych. – Dziewczynka pokiwała głową. – Ale i różge. Łona wielka, a łoczy jak noże. Nie lubi małych, ale ma łobiady. I łona gdera.

– Może dla innych? Może inni, łoni majo dla niej światło, jeśli da łobiady dla małych?

– Może. Może racja. A może nie. Ale łona jest koszmarna. Ja to mówię, jest koszmarna.

– Dzięki. Masz.

Zwinka podała dziewczynce chusteczkę, jak obiecała. W zamian za informacje.

Dziewczynka owinęła nią głowę i uśmiechnęła się, ukazując liczne braki w uzębieniu. Ludzie w Tashikku uwielbiali wymieniać się informacjami. To była ich rozrywka.

Brudna dziewczynka zatrzymała się na chwilę.

– Tamto na górze, łobiad z nieba. Ja słyszała o tym. To była ty, no?

– Ano.

Dziewczynka odwróciła się, jakby chciała odejść, ale później zawahała się i położyła dłoń na ramieniu Zwinki.

– Ty. Na górze?

– Ano.

– Ty słucha?

– Ja słucha.

– Ludzie, oni nie słuchają.

Uśmiechnęła się do Zwinki i w końcu uciekła.

Zwinka znów usiadła na piętach w uliczce naprzeciwko pieców należących do wspólnoty – wielkiej, wydrążonej jaskini z ogromnymi kominami wyciętymi w skale. Spalali łuski skałopaków z gospodarstw i każdy mógł przyjsć, żeby coś sobie ugotować. W domach nie mogli palić ognia. Z tego, co słyszała Zwinka, na początku istnienia miasta slumsy strawił wielki pożar i zginęło mnóstwo ludzi.

W uliczkach nie widywało się smużek dymu, jedynie z rzadka blask napełnionej sfery. Trwał Płacz i większość kul była bura. Jedynie ci, którzy przypadkiem mieli kule na zewnątrz w czasie tamtej niespodziewanej arcyburzy, mieli światło.

– Panienko, to była najdziwniejsza rozmowa, jaką kiedykolwiek słyszałem, a raz zdarzyło mi się

stworzyć cały ogród dla lamentosprenów.

– Mnie wydawała się normalna. To był zwykły dzieciak z ulicy.

– Ale sposób, w jaki rozmawialiście!

– Jaki sposób?

– Z tymi wszystkimi dziwnymi słowami i określeniami. Jak wiedziałaś, co powiedzieć?

– Wydawało mi się to właściwe. Słowa to słowa. W każdym razie ona powiedziała, że możemy dostać jedzenie w Sierocińcu Światło Tashiego. Tak samo jak tamta druga, z którą rozmawialiśmy.

– To dlaczego tam nie poszliśmy?

– Nikt nie lubi kobiety, która go prowadzi. Nie ufają jej, mówią, że jest głodowo skąpa. Że rozdaje jedzenie tylko dlatego, że chce wyglądać dobrze w oczach urzędników, którzy pilnują tego miejsca.

– Mówiąc twoimi słowami, panienko, jedzenie to jedzenie.

– Ano. Ale... jakie to wyzwanie, zjeść obiad, który ktoś ci daje?

– Jestem pewien, że przeżyjesz to upokorzenie, panienko.

Niestety miał rację. Była zbyt głodna, by stworzyć wspaniałość, co oznaczało, że została zwykłym małym żebrakiem. Ale jeszcze się nie ruszyła.

„Ludzie, oni nie słuchają”. Czy Zwinka słuchała? Zwykle to robiła, prawda? A co to w ogóle obchodziło tę małą uliczkę?

Wcisnąwszy ręce do kieszeni, Zwinka wstała i ruszyła zatłoczoną uliczką, uchylając się przed rękami, które chciały ją odepchnąć albo uderzyć. Ludzie robili tu dziwne rzeczy – trzymali kule w rzędach, nanizane na długie sznurki, nawet jeśli wkładali je do sakiewek. I wszystkie pieniądze, które widziała, miały otwory na końcu szklanej kuli, żeby można było to zrobić. A co, jeśli trzeba było odliczyć drobne? Ściągało się całą głodową garść ze sznurka, a później znów na niego nawlekało?

Przynajmniej używali kul. Ludzie dalej na zachodzie mieli po prostu odłamki klejnotów, czasem zatopione w kawałkach szkła, ale częściej nie. Głodowo łatwo je było zgubić.

Ludzie się wściekali, kiedy gubiła kule. Dziwnie się zachowywali, kiedy chodziło o pieniądze. Za bardzo troszczyli się o coś, czego się nie dało zjeść – choć Zwinka doszła do wniosku, że pewnie o to właśnie chodziło z użyciem pieniędzy zamiast czegoś racjonalnego, jak worki żywności. Gdyby ludzie rzeczywiście wymieniali się jedzeniem, wszyscy by po prostu zjedli swoje pieniądze i gdzie by wtedy było społeczeństwo?

Sierociniec Światło Tashiego znajdował się na rogu, w miejscu zbiegu dwóch ulic. Główna fasada wychodziła na ulicę biegnącą przez dzielnicę emigrantów i była pomalowana na pomarańczowo. Druga fasada wychodziła na wyjątkowo szeroki koniec bocznej uliczki. Po bokach wycięto rzędy siedzeń tworzących półokrąg, jak w amfiteatrze – choć w samym środku była luka umożliwiająca przejście. Alejka nie wydawała się tak podupadła jak inne, niektóre z prowizorycznych budynków miały nawet drzwi, a dobiegające ze środka bekanie brzmiało niemal wyrefinowanie.

Ulicznicy powiedzieli jej, żeby nie podchodziła od frontu, bo to wejście było przeznaczone dla urzędników i prawdziwych ludzi. Ulicznicy mieli podchodzić z bocznej uliczki, więc Zwinka zbliżyła się do kamiennych ław niewielkiego amfiteatru – na których siedzieli starzy ludzie w shiquach – i zapukała do drzwi. Kamień nad nimi został wyrzeźbiony i pomalowany na czerwono i złoto, choć Zwinka nie umiała odczytać liter.

Drzwi otworzył młody mężczyzna. Miał płaską, szeroką twarz – Zwinka nauczyła się kojarzyć takie

rysy z ludźmi, którzy już urodzili się inni. Obrzucił ją spojrzeniem i wskazał ławki.

– Siadaj tam. Jedzenie będzie później.

Zwinka oparła ręce na biodrach.

– Jak długo później?

– A co? Jesteś gdzieś umówiona? – spytał mężczyzna z uśmiechem. – Siadaj tam. Jedzenie będzie później.

Westchnęła, ale usiadła w pobliżu rozmawiających starszych ludzi. Odnosiła wrażenie, że mieszkali w głębi slumsu, ale przyszli tutaj, na tę otwartą półokrągłą przestrzeń na końcu uliczki, gdzie mogli usiąść i gdzie wiał lekki wiaterek.

Słońce chyliło się ku zachodowi, a w tunelach robiło się coraz ciemniej. W nocy pewnie nie oświetlało ich wiele kul i ludzie chodzili spać wcześniej niż zwykle, jak to się często działo w czasie Płaczu. Zwinka skuliła się na jednym z siedzeń, Wyndle podpełzł do niej. Wpatrywała się w głupie drzwi głupiego sierocińca i burczało jej w głupim brzuchu.

– Co jest nie tak z tym młodzieńcem, który otworzył drzwi? – spytał Wyndle.

– Nie wiem. Niektórzy ludzie już się tacy rodzą.

Czekała na schodach, słuchając, jak kilku Tashikków rozmawia i się śmieje. W końcu w uliczce pojawiła się skulona postać, chyba kobieta. Okrywała ją ciemna tkanina – to nie była prawdziwa shiqa. Może cudzoziemka, która próbowała ją nosić i w ten sposób ukryć, kim naprawdę jest.

Kobieta głośno pociągnęła nosem. Trzymała za rękę sporego chłopca, w wieku dziesięciu, może jedenastu lat. Zaprowadziła go na próg sierocińca i mocno objęła.

Chłopiec patrzył tępo przed siebie i się ślinił. Na głowie miał bliznę, częściowo zagojoną, ale wciąż zaczerwienioną.

Kobieta pochyliła głowę, później grzbiet, i odeszła ukradkiem, zostawiwszy chłopca. A on wciąż siedział i gapił się przed siebie. Nie był niemowlęciem w koszyku – nie, to była bajeczka dla dzieci. Zwinka wiedziała, że tak się właśnie działo w sierocińcach. Ludzie zostawiali dzieci, które były za duże, by się o nie troszczyć, a zarazem nie umiały zatroszczyć się o siebie albo pomagać rodzinie.

– Czy ona... właśnie porzuciła tego chłopca?

W głosie Wyndle'a brzmiało przerażenie.

– Pewnie ma inne dzieci – odparła cicho Zwinka – które z trudem może wykarmić. Już nie może poświęcać całego czasu na opiekę nad tym tutaj.

Zwinka czuła ściskanie serca i chciała odwrócić wzrok, ale nie mogła.

Dlatego wstała i podeszła do chłopca. Bogacze, jak wezyrowie w Azirze, mieli dziwne wizje sierocińców. Wyobrażali sobie, że są pełne szlachetnych dzieciątek, dzielnych i o dobrym sercu, które bardzo chcą pracować i mieć rodzinę.

Zwinka wiedziała jednak, że mieszkańcy sierocińców bardziej przypominali tego chłopca. Dzieciaki wymagające ciągłego nadzoru albo mające pomieszane w głowie. Albo takie, które zachowywały się gwałtownie.

Nienawidziła wymyślonej przez bogaczy romantycznej wizji sierocińca. Doskonały, pełen słodkich uśmiechów i radosnego śpiewu. Nie frustracji, cierpienia i dezorientacji.

Usiadła obok chłopca. Była od niego drobniejsza.

– Cześć – powiedziała.

Popatrzył na nią szklistymi oczyma. Teraz lepiej widziała ranę – po tej stronie głowy nie odrosły mu włosy.

– Będzie dobrze – dodała i wzięła go za rękę.

Nie odpowiedział.

Wkrótce drzwi sierocińca otworzyły się, ukazując kobietę wysuszoną jak chwast. Poważnie. Wyglądała jak dziecko miotły i wyjątkowo upartej kępy mchu. Skóra wisiała na jej kościach jak coś, co człowiek mógł wykaszleć, kiedy złapał w slumsach jakąś zarazę. Do tego miała chude palce, które zdaniem Zwinki wyglądały jak gałązki przyklejone w miejsce prawdziwych palców, kiedy te odpadły.

Kobieta oparła dłonie na biodrach – i nie połamała przy tym żadnych kości, zadziwiające – i obrzuciła spojrzeniem ich dwoje.

– Głupota i oportunizm.

– Ej! – Zwinka podniosła się niezgrabnie. – On nie jest głupi. Został ranny.

– Opisywałam cię, dziecko. – Kobieta uklękła obok chłopca z raną na głowie. Klasnęła językiem. – Bezwartościowy, bezwartościowy – mruknęła. – Umiem przejrzeć twój podstęp. Długo tu nie wytrzymasz. Popatrz tylko.

Machnęła ręką do tyłu, a wtedy młody mężczyzna, którego Zwinka widziała wcześniej, wyszedł, wziął rannego chłopca za rękę i zaprowadził do sierocińca.

Zwinka próbowała pójść za nim, ale kobieta z gałązkami zamiast palców stanęła jej na drodze.

– Możesz dostać trzy posiłki. Wybierz sama, kiedy chcesz je dostać, ale po trzech koniec. Możesz uważać się za szczęściarę, że w ogóle chcę cokolwiek dawać takim jak ty.

– A co to ma znaczyć? – spytała ostro Zwinka.

– Że jeśli nie chce się mieć szcurów na statku, nie powinno się ich karmić. – Kobieta pokręciła głową i sięgnęła do drzwi, żeby je zamknąć.

– Zaczekaj! Nie mam gdzie spać.

– W takim razie znalazłaś się we właściwym miejscu.

– Naprawdę?

– Tak, te ławki zwykle zwalniają się po zmroku.

– Kamienne ławki?! Chcesz, żebym spała na kamiennych ławkach?

– Nie jęcz tak. Nawet już nie pada. – Kobieta zamknęła drzwi.

Zwinka westchnęła i spojrzała na Wyndle'a. Po chwili drzwi znów się otworzyły, a młody mężczyzna rzucił coś w jej stronę – dużą klemową bułkę, ciężką i ziarnistą, wypełnioną w środku korzenną pastą.

– Pewnie nie macie placuszków? – spytała Zwinka. – Moim celem jest zjedzenie...

Zamknął drzwi. Zwinka westchnęła, ale usiadła na kamiennej ławie w pobliżu kilku starców i zaczęła pożerać bułkę. Nie była szczególnie smaczna, ale za to ciepła i sycąca.

– Burzowa wiedźma – mruknęła.

– Nie oceniaj jej zbyt surowo, dziecko – powiedział jeden ze starców na ławie. Nosił czarną szatę shiqa, ale odsłonił twarz, ukazując siwe wąsy i brwi. Miał ciemną skórę i szeroki uśmiech. – Trudno być tą, która zajmuje się problemami wszystkich innych.

– Nie musi być taka wredna.

– Kiedy nie jest, dzieci gromadzą się, żebrząc o darmowe jedzenie.

– I co z tego? Czy nie o to chodzi w sierocińcu? – Zwinka przeżuwała bułkę. – Spać na kamiennej

ławie? Powinnam ukraść jej poduszkę.

– Odkryłabyś, że umie sobie poradzić z zadziornymi ulicznymi złodziejaskami.

– Ze mną nie miała jeszcze do czynienia. Jestem wspaniała.

Spojrzała na resztę jedzenia. Oczywiście, gdyby użyła wspaniałości, znów byłaby głodna.

Mężczyzna się roześmiał.

– Nazywają ją Pniak, bo żadna burza jej nie porwie. Wątpię, by udało ci się ją przechytryć, dziecko.

– Pochylił się. – Ale mam informację, którą mogę się wymienić.

Tashikkowie i ich tajemnice. Zwinka przewróciła oczyma.

– Nie zostało mi nic na wymianę.

– W takim razie wymień się na swój czas. Powiem ci, jak zaskarbić sobie sympatię Pniak. Może zdobędziesz łóżko. W zamian ty odpowiesz mi na pytanie. Umowa stoi?

Zwinka uniosła brew.

– W porządku. Jasne.

– Oto moja tajemnica. Pniak ma pewne... zainteresowania. Zajmuje się handlem kulami. Wymienia je, jeśli można tak powiedzieć. Znajdź kogoś, kto chciałby się z nią wymienić, a ona cię sownie wynagrodzi.

– Wymienia się kulami? Pieniądze za pieniądze? A jaki w tym sens?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Bardzo stara się z tym nie zdradzić, więc musi być ważne.

– Co za żalosna tajemnica.

Zwinka wrzuciła ostatni kęs do ust. Pieczywo z klemowej mąki bardzo łatwo się rozpadało, przypominało niemal papkę.

– Ale odpowiesz na moje pytanie?

– Zależy od tego, jak bardzo jest żalosne.

– Jak myślisz, do której części ciała jesteś najbardziej podobna? Jesteś ręką, zawsze zapracowaną? Umysłem, który wydaje polecenia? Może czujesz, że jesteś raczej... nogą? Dźwigającą wszystkich, a rzadko dostrzeganą?

– Żalosne pytanie.

– Nie, nie. Jest bardzo ważne. Każdy człowiek jest jedynie częścią czegoś większego, wielkiego organizmu, który tworzy miasto. Widzisz, to filozofia, nad którą pracuję.

Zwinka spojrzała na niego z ukosa. Cudownie. Wściekła gałązka prowadząca sierociniec, a teraz dziwaczny staruszek. Otrzepała dłonie.

– Jeśli jestem czymkolwiek, to nosem. Bo wypełniają mnie różne dziwne paskudztwa i nigdy nie wiadomo, co wypadnie.

– Ach... interesujące.

– Nie miałam zamiaru być pomocna.

– Owszem, ale byłaś szczerą, a to podwalina każdej dobrej filozofii.

– Jasne. – Zwinka zeskoczyła z ławki. – Choć miło było rozmawiać z tobą o zwariowanych sprawach, mam coś ważnego do załatwienia.

– Naprawdę? – spytał Wyndle, podnosząc się z miejsca, w którym zwinął się obok niej na ławce.

– Tak. Jestem umówiona.



7

Zwinka martwiła się, że się spóźni. Śledzenie upływającego czasu zawsze sprawiało jej kłopot.

Nie miała problemu z tym, co ważne. Wschód słońca, zachód słońca. Bla, bla. Ale mniejsze jednostki... dla niej się nie liczyły. Za to dla innych tak, więc pośpieszyła wąską ulicą.

– Zamierzasz znaleźć kule dla tej kobiety w sierocińcu? – spytał Wyndle, pełznąc po ziemi obok niej, prześlizgując się między nogami ludzi. – Żeby zaskarbić sobie jej sympatię?

– Oczywiście, że nie. To oszustwo.

– Naprawdę?

– Oczywiście, że tak. Pewnie pierze kule dla przestępców, przyjmuje je jako „darowizny”, a wydaje inne w zamian. Ludzie dobrze zapłacą za oczyszczenie swoich kul, szczególnie w takich miejscach, gdzie skrybowie przez cały głodowy czas patrzą im przez ramię. Oczywiście to nie musi być tego rodzaju oszustwo. Może wzbudzać w ludziach poczucie winy, żeby dawali jej napełnione kule i wymieniali je na jej bure. Będą jej współczuć, bo ona ciągle mówi o swoich biednych dzieciach. A później może z niewielkim zyskiem wymienić napełnione kule.

– To absolutnie pozbawione skrupułów, panienko!

Zwinka wzruszyła ramionami.

– A co jeszcze możesz zrobić z sierotami? Muszą się do czegoś nadawać, nie?

– Ale czerpanie zysku z ludzkich emocji?

– Litość może być potężnym narzędziem. Jeśli tylko można zmusić kogoś, by coś poczuł, ma się nad nim władzę.

– No... Chyba...

– Muszę pilnować, żeby mnie się to nie przytrafiło. Tak można pozostać silnym.

Wróciła do miejsca, w którym weszła do tuneli, a później rozglądała się, aż odnalazła rampę prowadzącą do miasta. Była na tyle długa i łagodna, by w razie konieczności mogły nią zjechać wozy.

Zwinka przekradła się kawałek, żeby spojrzeć na strażnicę. Wciąż czekała tam kolejka, dłuższa, niż kiedy ona sama w niej stała. Wielu ludzi rozbiło obóz na skałach. Kilku przedsiębiorczych handlarzy sprzedawało im jedzenie, czystą wodę, a nawet namioty.

Powodzenia, pomyślała Zwinka. Większość ze stojących w kolejce wyglądała, jakby nie miała nic poza własnymi skórą i może jakąś egzotyczną chorobą albo dwiema. Cofnęła się. Nie była dość wspaniała, by ryzykować kolejne spotkanie ze strażnikami. Dlatego usadowiła się w niewielkim pęknięciu skały u podnóża rampy i patrzyła, jak ją mijają handlarze kocami. Prowadził dziwnego konika – białego i kudłatego, z rogami na głowie. Wyglądał jak te zwierzęta z zachodu, których mięso

smakowało tak paskudnie.

– Panienko. – Wyndle zawisł na skale na wysokości jej głowy. – Nie wiem wiele o ludziach, ale sporo o roślinach. Jesteście zadziwiająco podobni. Potrzebujecie światła, wody i pokarmu. A rośliny mają korzenie. Żeby móc się zakotwiczyć w czasie burzy, rozumiesz. Inaczej wiatr by je porwał.

– Czasami miło dać się porwać.

– A kiedy nadejdzie wielka burza?

Zwinka spojrzała na zachód. W stronę... tego, co się tam zbierało. „Burza, która nadchodzi z niewłaściwej strony”, powiedzieli wezyrowie. „To niemożliwe. W co grają Alethyjczycy?”.

Kilka minut później po rampie zeszła kapitan straży. Kobieta powłóczyła nogami, a kiedy znalazła się poza zasięgiem spojrzeń ze strażnicy, opuściła ramiona. Musiała mieć ciężki dzień. Ciekawe, co takiego się wydarzyło.

Zwinka skuliła się, ale kobieta nawet na nią nie spojrzała. Kiedy strażniczka ją minęła, dziewczynka podniosła się i pośpieszyła za nią.

Śledzenie kogoś w tym mieście okazało się proste. Nie było wielu zakamarków ani bocznych odgałęzień. Jak Zwinka się spodziewała, po zmroku ulice zaczęły pustoszeć. Po wzejściu pierwszego księżyca mogły znów się ożywić, ale na razie nie było dość światła.

– Panienko, co robimy?

– Pomyślałam, że zobaczę, gdzie mieszka ta kobieta.

– Ale dlaczego?

Kapitan straży mieszkała w pobliżu strażnicy, co nie było zaskakujące. Kilka ulic w głąb, pewnie dość daleko, by znajdować się poza dzielnicą imigrantów, ale na tyle blisko, by było taniej. To było duże zbiorowisko izb wyrzeźbionych w skalnej ścianie, każda z nich miała własne okno. Raczej mieszkania niż jeden „budynek”. Całość robiła dość dziwaczne wrażenie – gładka kamienna ściana upstrzona okiennicami.

Kobieta weszła do środka, ale Zwinka nie podążyła za nią. Odchyliła głowę do tyłu. W końcu w jednym z okien w pobliżu szczytu pojawił się blask kul, a kapitan otworzyła okiennice, by wpuścić trochę świeżego powietrza.

– Hm. – Zwinka zmrużyła oczy w ciemności. – Wejdźmy po tej ścianie, Pustkowcu.

– Panienko, mogłabyś się do mnie zwracać po imieniu.

– Mogłabym się do ciebie zwracać na różne sposoby. Ciesz się, że nie mam dużej wyobraźni. Chodźmy.

Wyndle westchnął, ale zaczął wic się po ścianie kamienicy. Zwinka wspinała się, wykorzystując jego pędy jako uchwyty dla rąk i oparcie dla stóp. Mijała kolejne okna, ale jedynie w niewielu paliło się światło. Między parą okien rozwieszono sznurek na pranie – Zwinka zdjęła z niego szatę shiqua. Jak miło z ich strony, że zostawili ją tutaj, tak wysoko, że tylko ona mogła po nią sięgnąć.

Nie zatrzymała się przy oknie strażniczki, co zaskoczyło Wyndle’a. Wspięła się na sam szczyt i w końcu wyszła na pole, na którym uprawiano treb – ziarno rosnące wewnątrz twardych strąków. Tutejsi rolnicy uprawiali je w niewielkich wyźłobieniach w kamieniu, szerokich na niecałą stopę i wypełnionych splatanymi pędami, w których strąki były tak zaklinowane, że nie odrywały się w czasie burzy.

Rolnicy skończyli już pracę, zostawili po sobie sterty chwastów, które miała porwać najbliższa

burza – kiedykolwiek nadejdzie. Zwinka usiadła na krawędzi i spojrzała z góry na miasto. Widziała punkciki blasku kul. Nieliczne, ale i tak było ich więcej, niż się spodziewała. W efekcie rowy emanowały blaskiem, jakby były popękana skorupą czegoś jasnego w środku. Jak to musiało wyglądać, kiedy ludzie mieli więcej napełnionych kul? Wyobrażała sobie jasne kolumny światła wznoszące się z otworów.

Poniżej strażniczka zamknęła okno i najwyraźniej zasłoniła kule. Zwinka ziewnęła.

– Nie potrzebujesz snu, prawda, Pustkowcu?

– Nie.

– W takim razie miej oko na ten budynek. Obudź mnie, gdyby ktoś wszedł do środka albo strażniczka wyszła.

– Mogłabyś mi choć powiedzieć, dlaczego szpiegujemy kapitan straży miasta?

– A co innego moglibyśmy robić?

– Cokolwiek?

– Nuda. – Zwinka ziewnęła po raz kolejny. – Obudź mnie, w porządku?

Odpowiedział coś, co pewnie było narzekaniem, ale ona już zasypiała.

Wydawało się, że już po kilku chwilach obudził ją trącaniem.

– Panienko? Panienko, jestem pod wrażeniem twojej przemyślności i głupoty, obu tych rzeczy naraz.

Ziewnęła, przeciągnęła się na kocu z ukradzonej szaty shiqua i odpędziła kilka latających dookoła życiosprenów. Na szczęście nic jej się nie śniło. Nienawidziła snów. Pokazywały jej albo życie, którego nie mogła mieć, albo życie, które ją przerażało. Oba były do niczego.

– Panienko?

Poruszyła się i usiadła. Nie miała pojęcia, że wybrała sobie miejsce otoczone ze wszystkich stron i przerośnięte pnączami, które zaczepiły się o jej ubranie. Co ona tu właściwie robiła? Przeczesała palcami włosy, które były splątane i sterczały na wszystkie strony.

Nad horyzontem pojawiły się pierwsze promienie słońca i rolnicy już zabrali się do pracy. Właściwie, kiedy usiadła na swoim gnieździe z pnączy, kilku popatrzyło na nią z konsternacją. Pewnie niezbyt często natykali się na małą Reshi śpiącą przy krawędzi urwiska na ich polach. Uśmiechnęła się i pomachała do nich ręką.

– Panienko. Kazałaś mi się ostrzec, gdyby ktoś wszedł do budynku.

Racja. Z wzdrygnięciem oprzytomniała i przypomniała sobie, co robi.

– I? – spytała z naciskiem.

– I do budynku poniżej wszedł Ciemność we własnej osobie, człowiek, który prawie cię zabił w królewskim pałacu.

Ciemność we własnej osobie. Zwinka poczuła ukłucie bólu i mocno chwyciła za krawędź urwiska. Ledwie ważyła się wyrzec na zewnątrz. Wcześniej zastanawiała się, czy on przybędzie.

– Rzeczywiście przybyłaś do tego miasta, goniąc za nim – stwierdził Wyndle.

– Czysty zbieg okoliczności – mruknęła.

– Wcale nie. Pokazałaś swoje moce tej strażniczce, wiedząc, że opisze wszystko w raporcie. I wiedziałaś, że to przyciągnie uwagę Ciemności.

– Nie mogę wędrować po całym mieście w poszukiwaniu jednego człowieka, musiałam znaleźć

sposób, żeby to on przyszedł do mnie. Ale nie spodziewałam się, że tak szybko odnajdzie to miejsce. Musi mieć jakiegoś skrybę, który czyta raporty.

– Ale dlaczego? – Głos Wyndle’a brzmiał wręcz piskliwie. – Dlaczego go szukasz? Jest niebezpieczny.

– Oczywiście.

– Och, panienko. To szaleństwo. On...

– On zabija ludzi – powiedziała cicho. – Wezyrowie go wysłedzili. Morduje ludzi, których pozornie nic nie łączy. Wezyrowie są zdezorientowani, ale ja nie. – Odetchnęła głęboko. – On poluje na kogoś w tym mieście, Wyndle. Kogoś z mocami... kogoś takiego jak ja.

Wyndle ucichł, a po chwili westchnął cicho.

– Zejdźmy do jej okna.

Ignorując rolników, Zwinka przeszła przez krawędź urwiska. Miasto, w którym wciąż panowała ciemność, budziło się powoli. Nie powinna zwrócić niczyjej uwagi do chwili, gdy zrobi się większy ruch.

Wyndle rósł w dół przed nią, dzięki czemu miała się czego chwycić. Nie była do końca pewna, co nią kierowało. Może pokusa znalezienia kogoś takiego jak ona, kogoś, kto mógłby wyjaśnić, kim jest i dlaczego jej życie ostatnio nie miało sensu. A może po prostu nie podobało jej się, że Ciemność śledzi kogoś niewinnego. Kogoś, kto – podobnie jak ona – nie zrobił niczego złego, a w każdym razie poważnego, poza posiadaniem mocy, których zdaniem Ciemności mieć nie powinien.

Przycisnęła ucho do okiennic izby strażniczki. Wewnątrz wyraźnie słyszała jego głos.

– Młoda kobieta – powiedział Ciemność. – Herdazka albo Reshi.

– Tak, sir. Jeśli nie macie nic przeciwko, czy mogłabym raz jeszcze zobaczyć wasze dokumenty?

– Są w porządku.

– Ja po prostu... Specjalny wysłannik księcia? Nigdy wcześniej nie słyszałam takiego tytułu.

– To starożytnie, ale rzadko używane określenie. Opisz dokładnie, co zrobiło to dziecko.

– Ja...

– Opisz ponownie. Dla mnie.

– Cóż, wywołała niezłe zamieszanie, sir. Wślizgnęła się do naszej strażnicy, poprzewracała nasze rzeczy, ukradła trochę jedzenia. Jej wielką zbrodnią było zrzucenie ziarna na miasto. Jestem pewna, że zrobiła to celowo, kupiec już oskarżył straż miejską o umyślne niedopełnienie obowiązków.

– Nie ma podstaw. Ponieważ jeszcze nie otrzymał zgody na wejście do miasta, nie podlegał waszej kompetencji. Jeśli już, musi napisać skargę na straż patrolującą drogi i określić to jako akt bandytyzmu.

– Tak mu właśnie powiedziałam!

– Nie jesteście niczemu winni, pani kapitan. Stawialiście czoło sile, której nikt z was nie rozumie, a której nie mam prawa wam wytłumaczyć. Potrzebuję jednak szczegółów jako dowodu. Czy ona emanowała blaskiem?

– Ja... no...

– Czy ona emanowała blaskiem.

– Tak. Przysięgam, jestem zdrowa na umyśle, sir. Nic mi się nie przywidziało. Emanowała blaskiem. I ziarno też, słabym.

– I była śliska w dotyku?

– Bardziej, niż gdyby posmarowała się oliwą, sir. Nigdy wcześniej nie czułam czegoś takiego.

– Jak się spodziewałem. Proszę tu podpisać.

Rozległy się szelesty. Zwinka wisiała z uchem przyciśniętym do ściany, a serce biło jej głośno w piersi. Ciemność miał Ostrze Odprysku. Gdyby podejrzewał, że ona tu jest, mógłby przebić ścianę i rozciąć ją na pół.

– Sir? – odezwała się strażniczka. – Możecie mi powiedzieć, co się dzieje? Jestem zagubiona, jak żołnierz na polu bitwy, który nie pamięta już swojego sztandaru.

– Nie musisz tego wiedzieć.

– No... tak, sir.

– Miej oko na to dziecko. Przekaż ten rozkaz pozostałym i poinformuj swoich przełożonych, jeśli zostanie odnalezione. Ja się o tym dowiem.

– Tak, sir.

Rozległy się kroki zbliżające się do drzwi. Jednak zanim mężczyzna wyszedł, coś zauważył.

– Napętnione kule? To szczęście, że je macie.

– Wymieniłam się na nie, sir.

– A w latarni na ścianie są bure.

– Wyczerpały się przed kilkoma tygodniami. Nie wymieniłam ich. Czy to... ma znaczenie, sir?

– Nie. Pamiętajcie o swoich rozkazach, pani kapitan.

Pożegnał się z nią.

Drzwi się zamknęły. Zwinka znów wspięła się po ścianie – podążał za nią piszczący Wyndle – i ukryła się na szczycie, patrząc, jak Ciemność wychodzi na ulicę. Słoneczny blask ogrzewał jej kark, a jednak nie mogła powstrzymać drżenia.

Czarno-srebrny mundur. Ciemna skóra, jakby był Makabakiem, na policzku blade znamię w kształcie półksiężyca.

Martwe oczy. Oczy, których nie obchodziło, czy patrzą na człowieka, chulla albo kamień. Wcisnął jakieś papiery do kieszeni i włożył rękawiczki z szerokimi mankietami.

– Znaleźliśmy go – szepnął Wyndle. – Co teraz?

– Teraz? – Zwinka przełknęła ślinę. – Teraz go śledzimy.



8

Śledzenie Ciemności było zupełnie innym doświadczeniem niż śledzenie strażniczki. Po pierwsze, był dzień. Nadal wczesny ranek, ale zrobiło się dość jasno, by Zwinka martwiła się, że zostanie dostrzeżona. Na szczęście spotkanie z Ciemnością całkowicie wypaliło senność, którą czuła po przebudzeniu.

Z początku próbowała trzymać się na szczycie ścian, w ogrodach nad miastem, co jednak okazało się trudne. Choć na górze można było trafić na most wznoszący się nad tunelami, to nie zdarzało się to zbyt często. Za każdym razem, kiedy Ciemność dochodził do skrzyżowania, Zwinke przesywał dreszcz strachu, że mężczyzna ruszy drogą, którą nie będzie mogła za nim podążyć, jeśli jakimś sposobem nie przeskoczy szerokiej rozpadliny.

W końcu wybrała bardziej niebezpieczne rozwiązanie, zeszła po drabinie i pobiegła za nim tunelem. Na szczęście wydawało się, że ludzie chodzący ulicami byli przyzwyczajeni do potrącania i popychania. W mieście nie panowała ciasnota – wiele z szerszych ulic było całkiem przestronnych. Ale ściany wzmagaly wrażenie zamknięcia.

Zwinka miała duże doświadczenie i dlatego nie rzucała się w oczy. Nikogo nie okradła, mimo kilku doskonałych okazji – ludzi, którzy właściwie trzymali sakiewki w wyciągniętych rękach, prosząc, by je zabrano. Gdyby nie śledziła Ciemności, mogłaby wziąć parę z sentymentu dla dawnych czasów.

Nie wykorzystywała swojej wspaniałości, która i tak już się jej kończyła. Nie jadła od poprzedniego wieczoru, a jeśli nie wykorzystywała mocy, ona w końcu zniknęła. Zajmowało to około pół dnia – nie miała pojęcia dlaczego.

Zwinka uskakiwała przed rolnikami idącymi do pracy, kobietami noszącymi wodę, dziećmi biegnącymi na lekcje – gdzie siedziały w rzędach i słuchały nauczyciela, jednocześnie wykonując jakąś pracę w rodzaju szycia, by zapłacić za wykształcenie. Frajerzy.

Ludzie obchodzili Ciemność szerokim łukiem, jak tego gościa, którego zadek nie mógł przestać informować wszystkich, co ostatnio jadł. Uśmiechnęła się na tę myśl i wspięła na stertę skrzynek razem z kilkoma innymi ulicznikami. Ale Ciemność nie był taki jak inni, zwyczajny. Nie umiała sobie wyobrazić, by cokolwiek jadł ani nic w tym rodzaju.

Sklepiarz zgonił ich ze skrzynek, ale Zwinka wcześniej zobaczyła Ciemność i mogła za nim popędzić z Wyndle'em u boku.

Ciemność nie zatrzymywał się nawet na chwilę, by sprawdzić, czy idzie we właściwym kierunku, albo przyjrzeć się towarom oferowanym przez ulicznych handlarzy. Wyprzedzał niemal własne kroki, jakby, krocząc, przenikał od cienia do cienia. Kilka razy prawie straciła go z oczu, co było dziwne.

Zawsze dokładnie wiedziała, gdzie są ludzie w jej otoczeniu.

Ciemność w końcu dotarł na targowisko, na którym handlarze wystawiali mnóstwo owoców. Wyglądało, jakby ktoś zaplanował naprawdę wielką bitwę na owoce, ale później postanowił ją odwołać i niechętnie wyprzedawał amunicję. Zwinka sięgnęła po fioletowy owoc – nie знаła jego nazwy – kiedy sklepikarz przyglądał się z niepokojem Ciemności. Jak inni ludzie. To...

– Ej! – krzyknął handlarz. – Ej, przestań!

Zwinka obróciła się, schowała dłoń za plecami i upuściła owoc, który od razu kopnęła piętą w tłum. Uśmiechnęła się słodko.

Ale sklepikarz nie patrzył na nią. Przyglądał się innej oportunistce, dziewczynie kilka lat starszej od Zwinki, która zgarnęła cały koszyk owoców. Młoda kobieta zerwała się do biegu w chwili, kiedy została zauważona, pochyliła się i mocno ścisnęła koszyk. Z wprawą kluczyła w tłumie.

Zwinka jęknęła.

Nie. Nie tędy. Nie w stronę...

Ciemność wyciągnął młodą kobietę z tłumu. Przeniknął w jej stronę niemal tak, jakby był płynem, a później chwycił ją za ramię niczym zatraskująca się pułapka na szczury. Szarpała się i uderzała go pięściami, choć on pozostał nieruchomy i ignorował jej ataki. Nie puszczając jej ramienia, pochylił się i podniósł kosz owoców. Zaniósł go do sklepu, ciągnąc za sobą złodziejkę.

– Dziękuję! – Sklepikarz odebrał koszyk i obrzucił wzrokiem mundur Ciemności. – Panie...?

– Jako specjalny oddelegowany wysłannik księcia mam pod swoją jurysdykcją całe królestwo.

Ciemność wyciągnął z kieszeni kartkę papieru i uniósł ją.

Dziewczyna złapała owoc z koszyka i rzuciła nim w Ciemność. Odbił się z plaśnięciem od jego munduru. Mężczyzna nie zareagował i nawet się nie wzdrygnął, kiedy ugryzła go w dłoń. Jedyne schował dokument, który pokazywał handlarzowi. Później spojrzął na nią.

Zwinka wiedziała, jakie to uczucie napotkać spojrzenie tych zimnych, szklistych oczu. Dziewczyna w jego uścisku skuliła się, a później wyraźnie wpadła w panikę, sięgnęła do pasa, wyrwała nóż i uniosła go. Rozpaczliwym gestem próbowała ciąć Ciemność w ramię, ale on bez trudu wytrącił jej broń z ręki pustą dłonią.

Ludzie w tłumie wyczuli, że coś jest nie tak. Choć poza tym na targowisku panował ruch, w tej części zrobiło się cicho. Zwinka skuliła się obok niedużego połamanego wózka – wąskiego, by mieścić się w tunelach – gdzie grupka uliczników zakładała się, ile czasu minie, zanim Tiqqa „tym razem” ucieknie.

Jakby w odpowiedzi, Ciemność przywołał Ostrze Odprysku i przebił nim pierś szarpiącej się dziewczyny.

Długie ostrze wbiło się aż po rękojeść, a złodziejka sapnęła i otworzyła szerzej oczy – które zaraz się wypaliły, wypuszczając w niebo bliźniacze smużki dymu.

Sklepikarz krzyknął, unosząc dłoń do piersi, i upuścił koszyk.

Zwinka zacisnęła powieki. Słyszała, jak ciało uderza o ziemię i zbyt spokojny głos Ciemności, gdy powiedział:

– Daj ten formularz straży targowiska, która pozbędzie się ciała i przyjmie twoje zeznanie. Ja zaświadczę datę i godzinę... tutaj...

Zwinka niechętnie otworzyła oczy. Dwójka uliczników obok niej gapiła się przerażona, z szeroko

otwartymi ustami. Jeden zaczął płakać.

Ciemność skończył wypełniać formularz, po czym trącił sklepikarza, zmuszając go do poświadczenia i napisania krótkiego opisu wydarzeń.

Następnie Ciemność pokiwał głową i odwrócił się, żeby odejść. Sklepikarz – z rozsypanymi owocami u stóp i stertą skrzyń i koszy u boku – gapił się na ciało, trzymając w dłoni plik dokumentów. Później otoczyły go złościospreny, jak czerwone kałuże na ziemi.

– Czy to było konieczne? Tashi... Tashi na górze!

– Tashiego nie obchodzi, co tu robicie – powiedział Ciemność, odchodząc. – Właściwie na waszym miejscu modliłbym się, żeby nie dotarł do waszego miasta, bo wątpię, by spodobały się wam konsekwencje. Co się tyczy złodziejki, za kradzież czekałoby ją więzienie. Jednak za atak na oficera bronią sieczną prawo przewiduje karę śmierci.

– Ale... ale to barbarzyństwo! Nie mogliście po prostu... obciąć jej ręki... albo... coś?

Ciemność zatrzymał się i spojrzał na sklepikarza, który się skulił.

– Próbowałem tego w sytuacjach, w których prawo pozwala samodzielnie decydować o karze. Obcięcie ręki z dużym prawdopodobieństwem prowadzi do recydywy, ponieważ złodziej zostaje pozbawiony możliwości podjęcia większości uczciwych zajęć i dalej musi kraść. W takim przypadku jeszcze pogorszyłbym przestępczość, zamiast ją ograniczyć.

Przechylił głowę i przeniósł wzrok z handlarza na trupa, jakby dziwiło go, dlaczego komukolwiek mogłoby przeszkadzać to, co zrobił. Bez chwili wahania odwrócił się i ruszył dalej w drogę.

Zwinka gapiła się oszołomiona, a później – nie przejmując się, że ktoś może ją zobaczyć – otrząsnęła się i podbiegła do zabitej. Chwyciła ciało za ramiona, pochyliła się i wypuściła wspaniałość – blask, który płonął w jej wnętrzu – i przekazała ją zabitej.

Przez chwilę wydawało się, że to działa. Widziała coś, blask w kształcie postaci. Zawibrował wokół trupa i zadrżał. Później rozpląnął się, a ciało pozostało na ziemi, nieruchome, z wypalonymi oczyma.

– Nie...

– Minęło zbyt wiele czasu, panienko – powiedział łagodnie Wyndle. – Przykro mi.

– Gawx czekał jeszcze dłużej.

– Gawxa nie zabiło Ostrze Odprysku. Ja... myślę, że ludzie przeważnie nie umierają od razu. Och, moja pamięć. Zbyt wiele luk, panienko. Ale wiem, że z Ostrzem Odprysku jest inaczej. Może gdybyś dotarła do niej od razu. Tak, wtedy by ci się udało. Po prostu trwało zbyt długo. A poza tym i tak nie masz dość mocy.

Wyczerpana Zwinka klęczała na kamieniach. Ciało nawet nie krwawiło.

– Ale ona rzeczywiście wyciągnęła przeciwko niemu broń – powiedział Wyndle słabym głosem.

– Była przerażona! Zobaczyła jego oczy i wpadła w panikę.

Zwinka zacisnęła zęby, po czym podniosła się z warknięciem. Podeszła do sklepikarza, który odskoczył, kiedy dziewczyna wzięła dwa z jego owoców, i patrząc mu prosto w oczy, odgryzła duży kęs z jednego i przeżuła.

Później ruszyła za Ciemnością.

– Panienko... – powiedział Wyndle.

Zignorowała go. Ruszyła za tym stworem bez serca, mordercą. Znów go odnalazła – zostawiał za sobą coraz więcej zaniepokojonych ludzi. Zauważyła go, kiedy opuścił targowisko, wspiał się po

schodach i przeszedł pod dużym łukiem.

Ostrożnie podążyła za nim i wyjrzała na dziwną część miasta. W tym miejscu wycięto w skałach otwór w kształcie stożka. Był bardzo głęboki i wypełniony wodą.

To była naprawdę wielka cysterna. Tak duża, jak kilka domów razem, żeby zbierać deszcz z burz.

– Ach – powiedział Wyndle. – Tak, oddzielona od reszty miasta podwyższoną krawędzią. Deszczówka z ulic płynie na zewnątrz, nie w stronę tej cysterny, dzięki czemu woda zachowuje czystość. Właściwie większość ulic jest nachylona, żeby woda wypływała na zewnątrz. Ale dokąd płynie dalej?

Nieważne. Przyjrzała się dużej cysternie, nad którą przebiegał porządny most. Była tak wielka, że wymagała mostu, a ludzie stali na nim z wiadrami na linach i zanurzali je w wodzie.

Ciemność nie ruszył przez most – wzdłuż zewnętrznej krawędzi cysterny biegła półka, na której było znacznie mniej ludzi. Najwyraźniej wybrał drogę, na której mógł uniknąć potrącania.

Zwinka zawahała się przed wejściem, walcząc z frustracją i poczuciem bezradności. Usłyszała parę przekleństw, gdyż przypadkiem tamowała ruch.

Ona miała na imię Tiqqa, pomyślała. Będę cię pamiętać, Tiqqa. Bo niewielu innych to zrobi.

Powierzchnia wielkiej cysterny falowała, gdyż tak wielu ludzi czerpało z niej wodę. Gdyby ruszyła za Ciemnością wzdłuż półki, znalazłaby się na otwartej przestrzeni i nikt by ich od siebie nie oddzielał.

Cóż, on niezbyt często oglądał się za siebie. Musiała zaryzykować. Postawiła stopę na drodze.

– Nie! – odezwał się Wyndle. – Panienko, ukryj się. On ma oczy, których nie widać.

W porządku. Podążyła za ludźmi idącymi po schodach. Ta droga była krótsza, ale na moście panował ścisk. Była tak niska, że w całym zamieszaniu straciła Ciemność z oczu.

Na karku miała zimny pot. Kiedy go nie widziała, czuła pewność – irracjonalną – że on ją obserwuje. Raz za razem przywoływała obraz, jak Ciemność pojawia się na rynku, by złapać złodziejkę, nadnaturalną swobodę jego ruchów. Tak, wiedział sporo o ludziach takich jak Zwinka. Swobodnie wypowiadał się na temat jej umiejętności.

Zwinka sięgnęła do wspaniałości. Nie stała się Śliska, ale pozwoliła, by światło ją wypełniło, dodało jej otuchy. Moc czasem wydawała się jej żywa. Esencja gorliwości, spren. Popychała ją do przodu, gdy dziewczyna przeciskała się przez tłum na moście.

Kiedy znalazła się po drugiej stronie, nie widziała śladu Ciemności na półce. Na burze. Wyszła pod łukiem po drugiej stronie, znów wślizgnęła się do miasta i znalazła na dużym skrzyżowaniu.

Przed nią przechodzili otuleni shiqami Tashikkowie, od czasu do czasu pojawiał się też Azirczyk we wzorzystej szacie. To z pewnością była lepsza część miasta. Światło wschodzącego słońca odbijało się od pomalowanych części murów, ukazując wielki fresk przedstawiający Tashiego i Dziewięcioro wiążących świat. Niektórzy z mijanych przez nią ludzi mieli niewolników parshmenów o marmurkowej czarno-czerwonej skórze. Tutaj nie widziała ich wielu, znacznie mniej niż w Azirze. Może po prostu nie trafiła jeszcze do dość bogatej dzielnicy miasta.

Przed wieloma z budynków rosły małe drzewka albo ozdobne krzewy. Uprawiano je, by były leniwe, więc nie cofały liści mimo pobliskich tłumów.

Odczytaj te tłumy... – pomyślała Zwinka. Ludzi. Gdzie ludzie zachowują się dziwnie?

Przeszła przez skrzyżowanie, ulegając intuicji. Coś w sposobie, w jaki ludzie stali, w którą stronę patrzyli. Tu było zafalowanie. Ślad pozostawiony przez przepływającą rybę, bezgłośny, ale nie

nieruchomy.

Wyszła za róg i przez chwilę widziała Ciemność. Wszedł po schodach obok rzędu niewielkich drzewek. Wkroczył do budynku i zamknął za sobą drzwi.

Zwinka podkraśniała się do budynku, do którego wszedł Ciemność. Musnęła twarzą liście drzew, które się cofnęły. Były leniwe, ale nie aż tak głupie, by pozostać nieruchomo, kiedy ktoś ich dotknął.

– Czym są te jego „oczy”, o których mi powiedziałeś? – spytała, gdy Wyndle podpełzł bliżej. – Te, których nie widzę.

– Ma sprena. Takiego jak ja. Pewnie jest niewidzialny dla ciebie i wszystkich poza nim. Po tej stronie tak się dzieje z większością, jak sądzę. Nie pamiętam wszystkich zasad.

– Czasami jesteś głupi, Pustkowcu.

Westchnął.

– Nie martw się. Ja jestem przeważnie głupia.

Podrapała się po głowie. Schodki prowadziły do drzwi. Czy odważy się je otworzyć i wślizgnąć się do środka? Jeśli miała dowiedzieć się czegokolwiek o Ciemności i co robił w mieście, nie mogła zadowolić się odkryciem, gdzie mieszka.

– Panienko, może i jestem głupi, ale mogę z całą pewnością stwierdzić, że nie dorównujesz temu stworowi. Wielu Słów jeszcze nie wypowiedziałaś.

– Oczywiście, że nie wypowiadałam tego rodzaju słów. Czy ty mnie słuchasz? Jestem słodką, niewinną małą dziewczynką. Nie zamierzam mówić o pierdołach, dupach i innych. Nie jestem prymitywna.

Wyndle westchnął.

– Nie tego rodzaju słów. Panienko, ja...

– Cicho. – Zwinka kucnęła obok drzew rosnących przed budynkiem. – Musimy dostać się do środka i zobaczyć, co on robi.

– Panienko, proszę, nie daj się zabić. To by było traumatyczne. Sądzę, że dojdzie do siebie po czymś takim zajęłoby mi całe miesiące!

– To szybciej niż mnie.

Podrapała się po głowie. Nie mogła wisieć na ścianie budynku i podsłuchiwać Ciemności, jak to robiła w domu kapitan straży. Nie w eleganckiej dzielnicy i nie w środku dnia.

Poza tym miała wznioślejsze cele niż tylko podsłuchiwanie. Musiała włamać się do środka, żeby zrobić to, co konieczne. Ale jak? Te budynki nie miały tylnych wejść. Wykuto je w skale. Może mogłaby dostać się do środka przez jedno z okien od frontu, ale to by z pewnością wyglądało podejrzanie.

Spojrzała na przechodzące tłumy. Ludzie w miastach zauważali rzeczy takie jak ulicznik włamujący się przez okno. Coś, co wyglądało na kłopoty. Ale w innych sytuacjach ignorowali najbardziej oczywiste sprawy, które mieli przed nosem.

Może... Miała trochę wspaniałości, która pozostała jej po zjedzeniu owocu. Spojrzała na zasłonięte okiennicami okno na wysokości pięciu, może sześciu stóp. To znaczy na parterze, ale dość wysoko, bo w tym mieście wszystko budowano nad ziemią.

Zwinka pochyliła się i wypuściła trochę wspaniałości. Rosnące obok drzewko przeciągnęło się i trzasnęło cicho. Liście wyrosły, rozwinęły się i ziewnęły. Gałęzie wzniosły się do nieba. Zwinka się nie śpieszyła, wypełniała koronę drzewa, aż była dość duża, by zasłonić okno. Pod jej stopami naniesione

przez burzę nasiona skałopaków rosły jak gorące bułeczki. Pędy owijały się wokół jej kostek.

Nikt idący ulicą tego nie zauważył. Zakuto by ulicznika w kajdany za podrapanie się po tyłku w podejrzany sposób, ale na cud nie zwracano uwagi. Zwinka westchnęła i uśmiechnęła się. Jeśli zachowa ostrożność, drzewo zapewni jej osłonę, kiedy będzie się włamywać przez okno. Pozwoliła, by jej wspaniałość wciąż wypływała cienkim strumieniem, uspokajając drzewo i rozleniwiając je jeszcze bardziej. Otoczyły ją życiospreny, malutkie pyłki emanujące złotym blaskiem.

Zaczekała, aż wśród przechodzących tłumów zrobi się luka, a wtedy podskoczyła, złapała za gałąź i wciągnęła się na drzewo. Ono wciąż czerpało jej wspaniałość i nie wycofało liści. Zwinka czuła się bezpiecznie pośród gałęzi, które pachniały bogato i upajająco jak przyprawy dodawane do bulionu. Pędy skałopaków wspinały się na gałęziach i wypuszczały liście, niemal tak samo jak Wyndle.

Niestety, jej moc prawie się skończyła. Parę kawałków owoców nie dawało wiele. Przycisnęła ucho do grubych burzowych okiennic, ale ze środka nie dobiegały żadne odgłosy. Siedząc bezpiecznie na drzewie, zaczęła delikatnie uderzać w okiennice dłońmi, by po odgłosie zorientować się, gdzie jest zasuwa.

Widzicie, umiem słuchać.

Ale oczywiście nie o takie słuchanie chodziło.

Po drugiej stronie okno blokowała jakaś długa zasuwa, pewnie umieszczona w wyłobieniach z tyłu okiennic. Na szczęście burzowe okiennice nie przylegały tak ciasno jak w innych okolicach – pewnie nie musiały, w końcu miasto kryło się bezpiecznie w zagłębieniach. Zwinka pozwoliła, by pnącza wiły się po gałęziach, pijąc jej Burzowe Światło, a później otoczyły jej ramiona i wcisnęły się przez pęknięcia w okiennicach. Po drugiej stronie pędy wzniosły się do góry, naciskając na zasuwę, która blokowała okiennice, i...

I znalazła się po drugiej stronie. Wykorzystała resztkę wspaniałości, by nasmarować zawiasy, więc okiennice otworzyły się bez najmniejszego odgłosu. Zwinka wślizgnęła się do przypominającej skrzynię kamiennej izby, a za nią do środka wpłynęły życiospreny, tańczące w powietrzu jak świetliste nasiona szeptacza.

– Panienko! – Wyndle wyrósł na ścianie. – Och, panienko. To było cudowne! Może zapomnijmy o tym całym zamieszaniu z Niebiańskimi i... Czemu... czemu nie założymy gospodarstwa? Tak, gospodarstwo. Piękne gospodarstwo. Mogłabyś codziennie rzeźbić rośliny i jeść aż do przesyty! I... panienko?

Zwinka przeszła ostrożnie przez izbę. Przy ścianie zauważyła stojak z mieczami – ukrytymi w pochwach, lecz zabójczymi. Na podłodze w kącie skórzana zbroja do ćwiczeń. Woń oliwy i potu. W otworze wyjściowym nie było drzwi, więc spojrzała w ciemny korytarz i nasłuchiwała.

Trafiła na skrzyżowanie trzech korytarzy. Na prawo i lewo od niej biegly przejścia prowadzące do kolejnych izb, a bezpośrednio przed sobą miała dłuższy, prosty korytarz, którego kraniec niknął w ciemności. Słyszała dobiegające stamtąd głosy.

Ten korytarz bezpośrednio przed nią prowadził w głąb skały, z dala od okien – i wyjść. Zwinka rzuciła okiem w prawo, w stronę wejścia do budynku. Na krześle w pobliżu drzwi siedział stary mężczyzna w biało-czarnym mundurze, jaki wcześniej widziała jedynie na Ciemności i jego ludziach. Był łysy za wyjątkiem kilku kosmyków włosów, miał świdrujące spojrzenie i pomarszczoną twarz – jak wysuszony owoc, który próbował udawać człowieka.

Wstał i wyjrzał przez nieduże okienko w drzwiach, podejrzliwie obserwując tłumy na zewnątrz. Zwinka wykorzystała tę okazję, by wbiec do korytarza po lewej i natychmiast wskoczyć do następnej izby.

Ta wyglądała o wiele bardziej obiecująco. Choć za zamkniętymi burzowymi okiennicami panowała ciemność, wydawała się pomieszczeniem do pracy. Zwinka ostrożnie uchyliła okiennice, by wpuścić trochę światła, po czym szybko przeszukała pomieszczenie. Nic oczywistego na półkach pełnych map. Nic na biurku do pisania, poza książkami i stojakiem z łączotrzcinami. Pod ścianą stała skrzynia, ale była zamknięta na klucz. Dziewczyna zaczynała już wpadać w desperację, kiedy coś poczuła.

Wyjrzała przez otwór wejściowy. Strażnik sobie poszedł – słyszała jego pogwizdywanie i odgłos strumienia płynu wpadającego do nocnika.

Ruszyła dalej korytarzem po lewej, jak najdalej od strażnika. Następne pomieszczenie było sypialnią z uchylonymi drzwiami. Wślizgnęła się do środka i znalazła sztywny płaszcz wiszący na haczyku tuż przy wejściu – z okrągłą plamą od owoców. Bez wątpienia należał do Ciemności.

Poniżej na podłodze spoczywała taca z metalową przykrywką – taką, jaką bogacze przykrywali swoje talerze, by nie patrzeć, jak stygnie im jedzenie. A pod nią, niczym szmaragdowy skarb Sal Spokoju, spoczywały trzy talerze placuszków.

Śniadanie Ciemności. Misja wypełniona.

Ze złośliwym entuzjazmem zabrała się do jedzenia.

Wyndle stworzył sobie twarz z pędów.

– Panienko? Czy w tym wszystkim... czy chodziło o to, żebyś mogła ukraść jego jedzenie?

– Tak. – Przełknęła. – Oczywiście, że tak.

Odgryzła kolejny kęs. To mu pokaże.

– Och. Oczywiście. – Westchnął głęboko. – Przypuszczam, że to... to jest przyjemne. Tak. Żadnego machania niewinnymi sprenami, wbijania ich w ludzi i takie tam. Tylko... tylko kradzież jedzenia.

– Jedzenia Ciemności.

Okradła pałac i głodowego cesarza Aziru. Musiała wymyślić coś naprawdę interesującego na następny raz.

To było wspaniałe uczucie, wreszcie mieć dość jedzenia, by napełnić żołądek. Jeden z placuszków był słonawy, z posiekanymi warzywami. Inny smakował słodko. Trzeci był bardziej puszysty i wydawał się niezbyt sycący, ale towarzyszył mu sos, w którym najwyraźniej należało go zanurzać. Zwinka go wychłeptała – kto miał czas na zanurzanie?

Zjadła wszystko do samego końca i z uśmiechem oparła się o ścianę.

– Czyli przybyliśmy aż tutaj i śledziliśmy najbardziej niebezpiecznego człowieka, jakiego kiedykolwiek poznaliśmy, tylko po to, byś mogła mu ukraść śniadanie. Czyli nie przybyliśmy tutaj, by... by zrobić cokolwiek więcej?

– A chciałbyś zrobić coś więcej?

– Na burze, nie! – Wyndle obrócił twarz z pnączy i spojrział w stronę korytarza. – To znaczy, każda chwila, którą tu spędzamy, jest niebezpieczna.

– Ano.

– Powinniśmy uciekać. Założyć gospodarstwo, jak mówiłem. Zostawić go, choć pewnie śledzi kogoś w tym mieście. Kogoś takiego jak my, kto nie może z nim walczyć. Kogoś, kogo zamorduje, zanim on

zacznie pojmować swoje moce...

Siedzieli w izbie przed pustą tacą. Zwinka poczuła, że znów rodzi się w niej wspaniałość.

– Pewnie musimy ich śledzić, co? – spytała.

Wyndle jęknął, ale ku jej wielkiemu zaskoczeniu przytaknął.



9

– Postaraj się tylko nie umrzeć zbyt gwałtowną śmiercią, panienko – odezwał się Wyndle, kiedy skradała się w stronę głosów rozmawiających ludzi. – Na przykład miły cios czymś tępym w głowę zamiast wypatroszenia.

Głos bez wątpienia należał do Ciemności. Jego dźwięk przeszywał ją dreszczem. Kiedy mężczyzna pochwycił ją w azirskim pałacu, mówił beznamiętnie, nawet jeśli na wpół przeproszał za to, co zamierzał zrobić.

– Słyszałem, że uduszenie jest przyjemne. Choć w takim przypadku nie patrz na mnie, kiedy będziesz gasnąć. Wątpię, bym mógł to znieść.

Pamiętaj dziewczynę na targowisku. Spokojnie.

Na burze, ręce jej drżały.

– Nie jestem pewien co do upadku z dużej wysokości. Chyba może się zrobić bałagan, ale przynajmniej nie będzie żadnego dżgania.

Korytarz prowadził do dużej komnaty rozświetlonej diamentami, które napełniały ją spokojnym, łagodnym blaskiem. Nie odłamki, nawet nie kule. Większe klejnoty bez oprawy. Zwinka skuliła się przy uchylonych drzwiach, kryjąc się w cieniach.

Ciemność – w sztywnej białej koszuli – kroczył przed dwojgiem podwładnych w czarno-białych mundurach z mieczami u pasa. Jednym był Makabak o okrągłej, poczciwej twarzy. Drugim kobieta o odrobinie jaśniejszej skórze – wyglądała, jakby mogła pochodzić z Wysp Reshi, zwłaszcza z tymi długimi ciemnymi włosami splecionymi w ciasny warkocz. Miała kwadratową twarz, silne ramiona i stanowczo za mały nos. Jakby sprzedawała swój własny, żeby kupić nowe buty, a zastąpiła go jakimś innym, wygrzebanym na śmietniku.

– Wasze usprawiedliwienia nie pasują do tych, którzy chcieliby dołączyć do naszego zakonu – mówił Ciemność. – Jeśli pragniecie zdobyć zaufanie swoich sprenów i z nowicjuszy zostać Odpryskowymi, musicie się poświęcić. Musicie udowodnić swoją wartość. Dziś rano podążyłem śladem, który oboje przegapiliście, i odkryłem drugiego przestępcę w tym mieście.

– Sir! – odezwała się Reshi. – Zapobiegłam napaści w uliczce. Grupa łotrów chciała obrabować mężczyznę!

– Choć postąpiłaś dobrze – Ciemność wciąż chodził po pomieszczeniu, spokojnym wręcz spacerowym krokiem – nie możemy pozwolić, by rozproszyły nas pomniejszych występki. Rozumiem, że w obliczu pęknięcia kodeksów, które wiążą społeczeństwo, skupienie na celu może sprawiać trudność. Pamiętajcie jednak, że naszą podstawową troską muszą być większe sprawy i większe przestępstwa.

– Mocowiażcy – powiedziała kobieta.

Mocowiażcy. Ludzie tacy jak Zwinka, ludzie ze wspaniałością, którzy mogli dokonać niemożliwego. Nie bała się wślizgnąć do pałacu, ale kuląc się przy tych drzwiach – patrząc na mężczyznę, którego nazwała Ciemnością – odkryła, że jest przerażona.

– Ale... – odezwał się Makabak. – Czy to naprawdę... To znaczy, czy nie powinniśmy pragnąć ich powrotu, żebyśmy nie byli jedynym zakonem Świetlistych Rycerzy?

– Niestety nie. Też tak kiedyś sądziłem, ale Ishar ukazał mi prawdę. Jeśli więzi między ludźmi a sprenami znów ożyją, ludzie w sposób naturalny odkryją większą moc przysiąg. Bez Honoru, który to regulował, istnieje pewna szansa, że późniejsze wydarzenia pozwolą Pustkowcom ponownie przeskoczyć między światami. To by doprowadziło do Spustoszenia, a nawet niewielka szansa, że ten świat zostanie zniszczony, jest ryzykiem, którego nie możemy podjąć. Niezbędna jest absolutna wierność misji, którą dał nam Ishar... większe prawo chronienia Rosharu.

– Mylisz się – szepnął ktoś z ciemności. – Możesz być bogiem... ale wciąż się mylisz.

Zwinka prawie wyskoczyła ze skóry. Na burze! Przy drzwiach, tuż obok jej kryjówki, ktoś siedział. Nie zauważyła go wcześniej – za bardzo skupiała się na Ciemności.

Siedział na podłodze w obszarpanej białej szacie. Jego głowę porastała krótka brązowa szczecina, jakby do niedawna ją golił. Miał bladą, widmową cerę i długi miecz w srebrzystej pochwie, którego głowicę opierał o ramię. Obejmował go rękami, jakby to była dziecinna przytulanka.

Poruszył się i... na burze, zostawiał za sobą słaby biały powidok, jakby zbyt długo wpatrywała się w świecący klejnot. Po chwili powidok zniknął.

– Oni już wrócili – szepnął, mówiąc ze śpiwnym akcentem z Shinovaru. – Pustkowcy już powrócili.

– Mylisz się – stwierdził Ciemność. – Pustkowcy nie powrócili. To, co widziałeś na Strzaskanych Równinach, to pozostałości sprzed tysiącleci. Pustkowcy, którzy przez ten cały czas ukrywali się wśród nas.

Mężczyzna w bieli podniósł wzrok, a Zwinka się cofnęła. Ruch zostawił po sobie kolejny świetlisty powidok, który wkrótce zniknął. Na burze. Białe szaty. Dziwne moce. Shin o ogolonej głowie. Ostrze Odprysku.

To był burzowy Skrytobójca w Bieli.

– Widziałem ich powrót – szepnął skrytobójca. – Nową burzę, czerwone oczy. Mylisz się, Nin-synu-Boga. Mylisz się.

– Przypadek. – Głos Ciemności brzmiał stanowczo. – Skontaktowałem się z Isharem, a on zapewnił mnie, że tak właśnie jest. Widziałeś garstkę słuchaczy, którzy pozostali z dawnych czasów, tych, którzy mogą swobodnie używać dawnych form. Przywołali garstkę Pustkosprenów. Już wcześniej znajdowaliśmy ich pozostałości ukrywające się na Rosharze.

– Burza? Nowa burza z czerwonymi błyskawicami?

– Nic nie znaczy. – Ciemności najwyraźniej nie przeszkadzało, że ktoś rzuca mu wyzwanie. Jemu nic nie przeszkadzało. Mówił idealnie beznamiętnie. – Z pewnością to tylko osobliwość.

– Mylisz się. Tak bardzo się mylisz...

– Pustkowcy nie powrócili – stwierdził stanowczo Ciemność. – Ishar tak obiecał, a on nie skłamał. Musimy wypełniać swój obowiązek. Wątpisz, Szeth-synu-Neturo. To niedobrze, to słabość. Zadawanie pytań oznacza akceptowanie popadnięcia w bezczynność. Jedyną drogą do zdrowych zmysłów

i działania jest wybranie sobie kodeksu i przestrzeganie go. Dlatego w ogóle do was przybyłem.

Ciemność odwrócił się i przeszedł obok pozostałych.

– Umysły ludzi są kruche, ich uczucia zmienne i często nieprzewidywalne. Jediną drogą do Honoru jest trzymanie się wybranego kodeksu. Taka była droga Świetlistych Rycerzy i taka jest droga Niebiańskich.

Mężczyzna i kobieta zasalutowali. Skrytobójca jedynie opuścił głowę i przymknął oczy, wciąż trzymając to dziwne Ostrze Odprysku w srebrzystej pochwie.

– Powiedzieliście, że w mieście jest drugi Mocowiązca – powiedziała kobieta. – Możemy znaleźć...

– Ona należy do mnie – odparł spokojnie Ciemność. – Wy macie swoją misję. Znajdźcie tego, który ukrywał się tutaj od czasu naszego przybycia. – Zmrużył oczy. – Jeśli nie powstrzymamy jednego, inni się zbiorą. Gromadzą się. W ciągu ostatnich lat, jeśli zostawiłem ich w spokoju, często nawiązywali kontakt między sobą. Coś musi ich do siebie przyciągać.

Odwrócił się w stronę nowicjuszy. Skrytobójcę ignorował, chyba że ten się do niego odezwał.

– Wasz cel popełni błąd, złamie prawo. Inne zakony zawsze uważały, że znajdują się ponad prawem. Jedinie Niebiańscy rozumieli wagę granic. Wybrania czegoś zewnętrznego i wykorzystywania go jako wskazówki. Nie możecie ufać swoim umysłom. Nawet mojemu umysłowi... szczególnie mojemu umysłowi... nie można ufać.

– Dałem wam dość pomocy. Macie moje błogosławieństwo i nasze pełnomocnictwo, dające nam prawo działania w tym mieście. Znajdziecie Mocowiązcę, odkryjecie jego grzechy i osądzicie go. Dla dobra całego Rosharu.

Dwójka znów zasalutowała, a w pomieszczeniu nagle zrobiło się ciemniej. Kobieta zaczęła emanować widmowym blaskiem. Zarumieniła się i popatrzyła zawstydzona na Ciemność.

– Znajdę ich, sir! Jestem już w trakcie prowadzenia śledztwa.

– Ja też mam trop – dodał mężczyzna. – Dziś wieczorem z pewnością dostarczę wam informację.

– Współpracujcie – polecił Ciemność. – To nie współzawodnictwo, ale sprawdzian waszych kompetencji. Daję wam czas do zmroku, ale później nie będę mógł już czekać. Teraz, gdy zaczęli przybywać inni, ryzyko jest zbyt wielkie. O zachodzie słońca sam zajmę się tą kwestią.

– Pierdoły – szepnęła Zwinka.

Pokręciła głową i uciekła korytarzem, jak najdalej od grupy ludzi.

– Chwileczkę. – Wyndle ruszył za nią. – Pierdoły? Chyba twierdziłaś, że nie używasz takich słów...

– Ale to się odnosi do nich wszystkich. Tak czy inaczej, to, co powiedziałam, nie było prymitywne, bo jedynie stwierdzałam fakty.

Dotarła do skrzyżowania korytarzy i spojrzała w lewo. Stary mężczyzna na straży drzemał, dzięki czemu mogła przemknąć do pomieszczenia, przez które weszła. Wspięła się na drzewo i zamknęła za sobą okiennice.

Błyskawicznie wybiegła za róg w boczną uliczkę i prześlizgnęła się nią, aż usiadła oparta plecami o ścianę. Serce waliło jej w piersi. W głębi uliczki rodzina jadła placuszki w całkiem przyzwoitej budzie, która miała aż dwie ściany.

– Panienko?

– Jestem głodna – jęknęła.

– Dopiero co jadłaś!

– Jedynie uzupełniłam wszystko, co zużyłam, żeby się dostać do tego głodowego budynku.

Mocno zacisnęła powieki, próbując zapanować nad niepokojem.

Głos Ciemności był taki zimny.

Ale oni są tacy jak ja. Świecą jak ja. Są... wspaniali, jak ja? Co się dzieje, na Potępienie?

I Skrytobójca w Bieli. Zamierzał teraz zabić Gawxa?

– Panienko? – Wyndle owinął się wokół jej nogi. – Och, panienko. Słyszałaś, jak go nazwali? Nin?

Imię Nalana, Herolda! To nie może być prawda. Oni odeszli, czyż nie? Nawet my mamy legendy na ten temat. Jeśli ten stwór jest naprawdę jednym z nich... och, Zwinko. Co my zrobimy?

– Nie wiem – szepnęła. – Nie wiem. Na burze... dlaczego właściwie tu jestem?

– Wydaje mi się, że zadawałem to pytanie od...

– Zamknij się, Pustkowcu.

Zmusiła się, by się przekręcić i podnieść na kolana. W głębi ciasnej uliczki ojciec rodziny sięgnął po pałkę, a jego żona zaciągnęła zasłonę z przodu budy.

Zwinka westchnęła i wróciła do dzielnicy imigrantów.



10

Kiedy Zwinka dotarła do sierocińca, w końcu zrozumiała, dlaczego znajdował się w pobliżu otwartej przestrzeni na końcu uliczki. Opiekunka sierocińca – Pniak, jak ją nazywano – otworzyła drzwi i wypuściła dzieci na zewnątrz. Bawiły się tutaj, na najnudniejszym placu zabaw na świecie. Ustawione amfiteatralnie ławy i trochę otwartej przestrzeni.

Dzieci wydawały się zachwycone. Biegały w górę i w dół po schodach, śmiejąc się i chichocząc. Inne siedziały w kręgach na ziemi i grały w gry kolorowymi kamykami. Na wysokości około dziesięciu stóp tańczyło całe głodowe stado śmiechosprenów przypominających malutkie srebrne rybki śmigające w powietrzu.

Dzieci było mnóstwo, młodszych, niż się spodziewała Zwinka. Większość, jak się wcześniej domyślała, miała nie po kolei w głowie albo brakowało im ręki czy nogi. I tak dalej.

Zwinka zatrzymała się w pobliżu wejścia, niedaleko dwóch bawiących się ślepych dziewczynek. Jedna upuszczała kamyki o różnych kształtach i rozmiarach, a druga na podstawie odgłosu uderzenia o ziemię próbowała się domyślić, o który chodziło. Grupa starych mężczyzn i kobiet w szatach shiqua znów siedziała na tyłach, rozmawiała i patrzyła na bawiące się dzieci.

– Chyba mówiłaś, że sierocińce są żałosne. – Wyndle obrósł ścianę obok niej.

– Wszyscy robią się szczęśliwsi, jeśli wypuścić ich na zewnątrz.

Zwinka obserwowała Pniak. Wychudzona staruszka ciągnęła z ponurą miną wózek. Znów te same klemowe bułki. Cudownie. Były jedynie odrobinę lepsze od kleiku, który był jedynie odrobinę lepszy od zimnych skarpet.

Mimo to Zwinka dołączyła do pozostałych, którzy ustawili się w kolejce po jedzenie. Kiedy nadeszła jej kolej, Pniak wskazała miejsce obok wózka i nie odezwała się do niej ani słowem. Zwinka odeszła na bok, nie miała energii się kłócić.

Pniak upewniła się, że każde dziecko dostało bułkę, a później przyjrzała się Zwince, zanim oddała jej jedną z dwóch ostatnich.

– Twój drugi posiłek z trzech.

– Drugi! – warknęła Zwinka. – Ja nie...

– Jeden dostałaś wczoraj.

– Nie prosiłam o niego!

– Ale go zjadłaś.

Pniak odprowadziła wózek, żując ostatnią bułkę.

– Burzowa wiedźma – mruknęła Zwinka i znalazła sobie miejsce na kamiennych ławach.

Siedziała z dala od zwykłych sierot, nie chciała, żeby ktokolwiek się do niej odzywał.

– Panienko. – Wyndle wspiał się po schodach, by do niej dołączyć. – Nie wierzę ci, kiedy mówisz, że opuściłaś Azir, bo chcieli cię ubierać w wyszukane szaty i nauczyć cię czytać.

– Naprawdę?

Wciąż przeżuwała bułkę.

– Po pierwsze, ubrania ci się podobały. A kiedy próbowali cię uczyć, wyraźną przyjemność sprawiało ci znikanie, kiedy przychodzili cię szukać. Nie zmuszali cię do niczego, jedynie dawali możliwości. Pałac nie był tak duszącym doświadczeniem, jak sugerujesz.

– Może nie dla mnie – przyznała.

Ale dla Gawxa. Od nowego cesarza oczekiwali tak wielu rzeczy. Lekcji, pokazywania się. Ludzie obserwowali każdy jego posiłek. Nawet mogli patrzeć jak śpi. W Azirze cesarz był własnością ludzi, jak ten przyjazny bezdomny ostrogar, którego karmiło siedem różnych rodzin i każda twierdziła, że należy do niej.

– Może po prostu nie chciałam, żeby ludzie spodziewali się po mnie tak wiele. Jeśli dość długo znasz ludzi, oni zaczynają na tobie polegać.

– Och, a ty nie możesz znieść odpowiedzialności?

– Pewnie, że nie. Jestem głodowym ulicznym łobuziakiem.

– Takim, który przybył tu w pogoni za kimś, kto wydaje się jednym z Heroldów we własnej osobie, a który oszalał, do tego zaś towarzyszy mu skrytobójca, który zamordował licznych monarchów na całym świecie. Tak, wierzę, że musisz unikać odpowiedzialności.

– Pyskujesz mi, Pustkowcu?

– Szczerze mówiąc, nie wiem, co znaczy to określenie, ale oceniając po twoim tonie, powiedziałbym, że pewnie ci pyskuję. A ty pewnie na to zasługujesz.

Chrząknęła w odpowiedzi, żując jedzenie. Smakowało koszmarnie, jakby całą noc leżało na wierzchu.

– Mama zawsze mi powtarzała, że mam podróżować. I odwiedzać różne miejsca. Póki jestem młoda.

– I dlatego opuściłaś pałac.

– Nie wiem. Może.

– Bzdura. Panienko, o co naprawdę chodzi? Zwinko, czego ty chcesz?

Spuściła wzrok na wpół zjedzoną bułkę w rękę.

– Wszystko się zmienia – powiedziała cicho. – I w porządku. Rzeczy się zmieniają. Tyle tylko, że ja nie powinnam. Poprosiłam o to. Ona podobno daje to, o co się poprosi.

– Strażniczka Nocy?

Zwinka pokiwała głową. Czowała się mała i zmarznięta. Wszędzie wokół niej dzieci bawiły się i śmiały, a ona z jakiegoś powodu czuła się jeszcze gorzej. Choć próbowała to ignorować, wiedziała, że była wyższa niż przed trzema laty, kiedy wyruszyła na poszukiwanie Starej Magii.

Spojrzała ponad głowami dzieci na większą ulicę. Przeszła nią grupa zaaferowanych kobiet z koszykami przedzy. W drugą stronę kroczył wymuskany Alethyjczyk, miał proste czarne włosy i władczą pozę. Był o co najmniej stopę wyższy od wszystkich innych na ulicy. Robotnicy sprząтали ulicę, zbierali śmieci.

Na końcu uliczki Pniak zostawiła wózek i karała dziecko, które zaczęło bić inne. Na siedzeniach z tyłu starzy mężczyźni i kobiety śmiali się, a jedno z nich nalewało pozostałym herbatę do kubeczków.

Wszyscy po prostu... wiedzieli, co mają robić. Kremliki umiały biegać, rośliny umiały rosnać. Wszystko miało swoje miejsce.

– Jedyńm, co umiałam w życiu robić, było zdobywanie jedzenia – szepnęła Zwinka.

– O co chodzi, panienko?

Z początku było trudno. Wykarmić się. W swoim czasie poznała sztuczki. Była w tym dobra.

Ale kiedy człowiek nie był już przez cały czas głodny, co robił? Skąd wiedział?

Ktoś trącił jej ramię, a ona odwróciła się i zobaczyła, że podszedł do niej dzieciak – chudy chłopak z ogoloną głową. Wskazał na jej wpół zjedzoną bułkę i chrząknął.

Westchnęła i oddała mu resztkę posiłku. Zjadł ją pośpiesznie.

– Znam cię. – Przechyliła głowę. – To ciebie matka zostawiła wczoraj wieczorem.

– Matka – powtórzył i spojrzał na nią. – Matka... wróci kiedy?

– Hm. Czyli umiesz mówić. Nie sądziłam, że to potrafisz, w końcu wczoraj tylko gapileś się tępo.

– Ja. – Chłopiec zamrugał i popatrzył na nią. Nie ślinił się. To musiał być jego dobry dzień. Wielkie osiągnięcie. – Matka... wróci?

– Pewnie nie. Przykro mi, dzieciaku. One nie wracają. Jak masz na imię.

– Mik. – Popatrzył na nią niepewnie, jakby próbował się domyślić, kim ona jest. – My... przyjaciele?

– Nie. Nie chcesz być moim przyjacielem. Moi przyjaciele kończą jako cesarze. – Zadrżała i pochyliła się. – Ludzie dłubią za niego w nosie.

Mik patrzył na nią tępo.

– Poważnie mówię. Dłubią za niego w nosie. Ma taką kobietę, która go czesze, a kiedy zajrzałam do środka, zobaczyłam, jak wkłada mu coś do nosa. Jakby małe szczypczyki, którymi złapała jego gluty czy coś. – Zwinka zadrżała. – Bycie cesarzem jest naprawdę dziwne.

Pniak przyciągnęła bliżej jednego z chłopców, którzy się bili, i usadziła go na kamieniu. Później, co dziwne, dała mu nauszniki – mimo że wcale nie było zimno. Chłopiec założył je i zamknął oczy.

Kobieta zatrzymała się i spojrzała w stronę Zwinki i Mika.

– Planujecie, jak mnie obrabować?

– Co takiego? – spytała Zwinka. – Nie!

– Jeszcze jeden posiłek. – Kobieta uniosła palec. Później wymierzyła go w Mika. – A kiedy odejdziesz, zabierz go ze sobą. Wiem, że on udaje.

– Udaje? – Zwinka odwróciła się do Mika, który zamrugał niepewnie, jakby próbował nadażyć za rozmową. – Nie mówisz poważnie.

– Umiem przejrzeć, kiedy ulicznicy udają chorobę, żeby dostać jedzenie – warknęła Pniak. – Ten tutaj nie jest idiotą. Udaje.

Odeszła, tupiąc głośno.

Mik spuścił wzrok.

– Tęsknię za matką.

– Ano. To miłe, co?

Chłopiec zmarszczył czoło.

– Ty i ja przynajmniej pamiętamy swoje matki. – Zwinka wstała. – Większość takich jak my nie ma

nawet tego. – Poklepała go po ramieniu.

Niedługo potem Pniak ogłosiła, że czas zabawy się skończył. Zagoniła dzieci do sierocińca na drzemkę, choć wiele z nich było już na to za duże. Posłała niechętnie spojrzenie Mikowi, ale wpuściła go do środka.

Zwinka pozostała na swojej kamiennej ławie. Machnęła ręką w stronę kremlika, który szedł powoli po stopniu. Głodowy stwór uciekł i zachrzęścił chitynowymi nogami, jakby się śmiał. Mieli tu dziwne kremliki. Nie była do nich przyzwyczajona. Zastanawiające, że człowiek mógł zapomnieć, że jest w obcym kraju, dopóki nie zobaczył kremlików.

– Panienko, zdecydowałaś już, co zrobimy?

Decyzja. Dlaczego musiała decydować? Zwykle po prostu robiła. Przyjmowała wyzwania, gdy się pojawiały, udawała się w różne miejsca jedynie dlatego, że nigdy ich nie widziała.

Starzy ludzie, którzy patrzyli na dzieci, podnieśli się powoli, jak starożytne drzewa rozprostowujące gałęzie po burzy. Odchodzili pojedynczo, aż został tylko jeden, w czarnej szacie shiqua odsłaniającej twarz z siwymi wąsami.

– Ej! – zawołała Zwinka. – Nadal jesteś dziwny, staruszkule?

– Jestem taki, jakim mnie stworzono.

Zwinka chrząknęła, podniosła się i podeszła do niego. Jakieś dzieci zostawiły kamyki, których namalowane kolory już się ścierały. Uboga imitacja szklanych kulek. Zwinka je kopnęła.

– Skąd wiesz, co masz zrobić? – spytała mężczyznę, chowając ręce do kieszeni.

– W jakiej sprawie, dziecko?

– W każdej. Kto mówi ci, jak zdecydować, co zrobić ze swoim czasem? Czy to rodzice ci pokazali?

Jaka jest tajemnica?

– Tajemnica czego?

– Bycia człowiekiem – powiedziała cicho Zwinka.

– Tego chyba nie wiem. – Mężczyzna się roześmiał. – A przynajmniej nie lepiej od ciebie.

Zwinka spojrzała na niebo. Przesunęła wzrokiem po ścianach, oczyszczonych z roślin, ale pomalowanych na ciemną zieleń, jakby je naśladowały.

– To dziwne – stwierdził mężczyzna. – Ludzie dostają tak mało czasu. Wielu, których znam, tak mówi... kiedy człowiek zaczyna czuć, że wreszcie rozumie, dzień się kończy, zapada noc i gaśnie światło.

Zwinka popatrzyła na niego. Tak. Nadal dziwny.

– Pewnie kiedy jesteś stary i w ogóle, zaczynasz myśleć o śmierci. Jak gość, któremu chce się sikać, zaczyna myśleć o znalezieniu dogodnej uliczki.

Mężczyzna znów się zaśmiał.

– Twoje życie może minąć, ale organizm miasta będzie istniał dalej. Nosku.

– Nie jestem nosem. Byłam bezczelna.

– Nos, czoło. Oba są na twarzy.

Zwinka przewróciła oczami.

– O to też mi nie chodziło.

– W takim razie czym jesteś? Może uchem?

– Nie wiem. Może.

– Nie. Jeszcze nie. Ale blisko.

– Jaaasne. A ty czym jesteś?

– Ja się zmieniam. W jednej chwili jestem oczyma, które obserwują tak wielu ludzi w tym mieście. W kolejnej jestem ustami, gdy wypowiadam słowa filozofii. Rozchodzą się jak choroba... więc czasami jestem chorobą. Większość chorób żyje. Wiedziałaś o tym?

– Ty... tak naprawdę nie mówisz o tym, o czym mówisz?

– Wierzę, że mówię.

– Cudownie.

Ze wszystkich ludzi, z którymi mogła porozmawiać o tym, jak być odpowiedzialnym dorosłym, wybrała takiego, który miał zupę jarzynową zamiast mózgu. Odwróciła się, żeby odejść.

– Co uczynisz dla tego miasta, dziecko? – spytał mężczyzna. – To część mojego pytania. Czy wybierasz, czy jesteś po prostu kształtowana przez większe dobro? I czy jesteś, jako miasto, dzielnicą wspaniałych pałaców? A może zamkniętym w sobie slumsem?

– Gdybyś mógł zajrzeć do mojego wnętrza – Zwinka odwróciła się i szła tyłem, żeby móc patrzeć na mężczyznę – nie mówiłbyś takich rzeczy.

– Dlaczego?

– Dlatego. Slums przynajmniej wie, w jakim celu został zbudowany.

Odwróciła się i dołączyła do tłumów na ulicach.



11

– Wątpię, żebyś rozumiała, jak to powinno działać. – Wyndle wił się na ścianie obok niej. – Panienko, ty... nie wydajesz się zainteresowana ewolucją naszej więzi.

Wzruszyła ramionami.

– Są Słowa. A w każdym razie tak je nazywamy. One są bardziej... ideami. Żyjącymi ideami, pełnymi mocy. Musisz je wpuścić do swojej duszy. Wpuścić mnie do swojej duszy. Słyszałaś tych Niebiańskich, prawda? Zamierzają zrobić kolejny krok w swoim szkoleniu. To znaczy... no wiesz... dostać Ostrze Odprysku...

Uśmiechnął się do niej, mina ta pojawiała się na kolejnych pędach rosnących wzdłuż ściany, kiedy za nią podążał. Każdy uśmiech był odrobinę inny, wyrastały jeden po drugim, jak setka obrazów. Tworzyły uśmiech, a jednak żaden z nich nie był tym uśmiechem. Jakimś sposobem stawało się nim dopiero ich połączenie. A może uśmiech istniał w przestrzeniach między kolejnymi obrazami.

– Umieć zrobić tylko jedno. To znaczy ukraść obiad Ciemności. Po to w ogóle tu przybyłam.

– A, no, czy my już tego nie zrobiliśmy?

– Nie jego jedzenie. Jego obiad. – Zwinka zmrużyła oczy.

– Ach... Osobę, którą zamierza stracić. Zamierzamy ukraść mu ją sprzed nosa.

Zwinka spacerowała boczną ulicą, aż weszła do ogrodu – przypominającego misę zagłębienia w kamieniu z czterema wejściami z czterech różnych dróg. Zawietrzną porastały pnącza, które jednak powoli ustępowały łupnikom po drugiej stronie. Miały one kształt płaskich talerzy, który chronił je przed burzą, spod nich wyrastały jednak roślinne pędy zwracające się do słońca.

Wyndle prychnął, prześlizgując się na ziemię obok niej.

– Właściwie żadnej pielęgnacji. To przecież wcale nie jest ogród. Ktokolwiek się nim zajmuje, powinien dostać naganę.

– Mnie się podoba.

Zwinka uniosła dłoń w stronę kilku życiosprenów, które unosiły się nad jej palcami. W ogrodzie tłoczyli się ludzie. Niektórzy przez niego przechodzili, inni się rozsiedli, a jeszcze inni żebrali o odłamki. W mieście nie widziała wielu żebraków – pewnie było mnóstwo zasad i przepisów, kiedy można było się tym zajmować i w jaki sposób.

Zatrzymała się i oparła dłonie na biodrach.

– Mieszkańcy tych okolic, Aziru i Tashikku, uwielbiają wszystko zapisywać.

– Och, z całą pewnością. – Wyndle owinał się wokół kilku pędów. – Hm. Panienko, to przynajmniej są pnącza owocujące. Tak pewnie jest lepiej, przynajmniej nie posadzili ich tutaj zupełnie

przypadkowo.

– I kochają informacje. Uwielbiają się nimi wymieniać, prawda?

– Z całą pewnością. To wyróżniający element ich tożsamości kulturowej, jak mówili twoi nauczyciele w pałacu. Nie było cię tam. Poszedłem posłuchać dla ciebie.

– To, co zapisują ludzie, może być ważne, przynajmniej dla nich. Ale co z tym robią, kiedy już jest po wszystkim? Wyrzucają? Pałą?

– Wyrzucają? Na pnącza Matki! Nie, nie, nie. Nie można wyrzucać rzeczy! Później mogą się okazać przydatne. Gdyby chodziło o mnie, potrzebowałbym dla nich jakiegoś bezpiecznego miejsca i utrzymywał je w idealnym stanie na wypadek, gdybym ich potrzebował!

Zwinka pokiwała głową i założyła ręce na piersi. Oni mieliby to samo podejście. To miasto, w którym każdy zapisywał notatki i zasady, a jednocześnie przez cały czas próbował sprzedawać innym pomysły... Cóż, w pewnym sensie tutaj wszyscy byli jak Wyndle.

Ciemność kazał swoim łowcom odnaleźć kogoś, kto robił dziwne rzeczy. Wspaniałe rzeczy. A w tym mieście zapisywali, co dzieci jadły na śniadanie. Jeśli ktoś zobaczył coś dziwnego, z pewnością to zanotował.

Zwinka przemierzyła pośpiesznie ogród. Stopami trącała pędy, które zaczynały się wycofywać. Wskoczyła na ławkę obok dobrego celu, starszej kobiety w brązowej szacie shiqa. Uniesiona zasłona ukazywała umalowaną twarz i sugestię starannie ufryzowanych włosów.

Kobieta natychmiast zmarszczyła nos, co było niesprawiedliwe. Zwinka kąpała się przed tygodniem w Azirze, z mydłem i w ogóle.

– Sio. – Kobieta machnęła palcami. – Nie mam dla ciebie pieniędzy. Sio. Idź sobie.

– Nie chcę pieniędzy. Chcę dobić targu. Za informacje.

– Niczego od ciebie nie chcę.

– Nic nie mogę ci dać. – Zwinka się rozluźniła. – Jestem w tym dobra. Pójdę sobie i nic ci nie dam.

Musisz tylko odpowiedzieć na jedno pytanie.

Zwinka skuliła się na ławce, ale się nie ruszała. Później podrapała się po tyłku. Kobieta zaczęła się kręcić i wyglądała, jakby miała zamiar odejść, a wtedy Zwinka nachyliła się w jej stronę.

– Postępujesz sprzecznie z zasadami dotyczącymi żebractwa – warknęła kobieta.

– Ja nie żebrzę. Wymieniam się.

– Dobrze, dobrze. Co chcesz wiedzieć?

– Czy w tym mieście jest miejsce, gdzie ludzie składują wszystko, co napisali, żeby było bezpieczne?

Kobieta zmarszczyła czoło i wskazała na ulicę, która biegła prosto w stronę przypominającej kopiec budowli wznoszącej się w centrum miasta. Była dość duża, by górować nad całym otoczeniem i krawędziami tuneli.

– Masz na myśli coś takiego jak Wielkie Indycjum? – spytała kobieta.

Zwinka zamrugła i przechyliła głowę.

Kobieta wykorzystała tę okazję, by uciec do innej części ogrodu.

– Czy ono zawsze tam było? – spytała Zwinka.

– No tak. Oczywiście, że tak – odparł Wyndle.

– Naprawdę? – Dziewczynka podrapała się po głowie. – Hm.



12

Pędy Wyndle'a wznosiły się po ścianie uliczki, a Zwinka wspinała się po nich, nie przejmując się, czy zwraca na siebie uwagę. Wciągnęła się przez krawędź na pole, na którym rolnicy patrzyli w niebo i narzekali. Pory roku zwariowały. Miało bez przerwy padać – zła pora na zasiewy, gdyż woda wymyłaby pastę nasienną.

Tyle że od wielu dni nie padało. Żadnych burz, żadnej wody. Zwinka szła przez pole, mijając rolników, którzy rozsmarowywali pastę, z której miały wyrosnąć malutkie polipy osiągające w końcu rozmiar dużych kamieni i wypełnione ziarnem. Jeśli ziarno zostało zmiażdżone – czy to ręcznie, czy przez burzę – zmieniało się w nową pastę. Zwinka zawsze się zastanawiała, dlaczego po jedzeniu w jej żołądku nie wyrastały polipy, ale nikt nigdy nie udzielił jej prostej odpowiedzi.

Zdezorientowani rolnicy pracowali w shiqach podciągniętych do pasa. Zwinka mijala ich i próbowała słuchać. Usłyszeć.

To miał być ten jedyny okres w roku, kiedy nie musieli pracować. Owszem, zasiewali w zagłębieniach treb, który mógł przetrwać zalanie. Ale nie mieli sadzić lawisu, tallewu czy klemy – wymagających większego wysiłku, choć też przynoszących większe zyski.

Ale oto byli. A jeśli jutro spadnie deszcz i zmyje cały ten wysiłek? A jeśli już nigdy nie będzie padać? Cysterny w mieście, przepelnione wodą po tygodniach Płaczu, w końcu się wyczerpią. Byli tak zmartwieni, że zauważyła kilka strachosprenów – w kształcie kawałków fioletowej masy – zbierających się wokół kopców, na których mężczyźni rozsmarowywali pastę.

Z kolei od rosnących polipów odrywały się życiospreny i przepływały do Zwinki, podążając za nią. Wirujący, emanujący zielonym blaskiem pył. Przed sobą widziała Wielkie Indycjum przypominające głowę łysego mężczyzny widzianą nad oparciem krzesła, na którym siedział. Wielka, zaokrąglona masa kamienia.

Wszystko w mieście obracało się wokół tego centralnego punktu. Ulice wyginały się w jego stronę, a kiedy Zwinka się zbliżyła, zobaczyła, że wokół Indycjum wycięto ogromne połacie skały. Okrągły bunkier nie wyglądał zbyt interesująco, ale z pewnością był bezpieczny przed burzami.

– Tak, teren opada od tego centralnego punktu – zauważył Wyndle. – To miejsce i tak musiało być najwyższym punktem miasta, a oni pewnie postanowili się z tym pogodzić i zmienić centralne wybrzuszenie w fortecę.

Forteca dla książek. Ludzie bywali tacy dziwni. Poniżej tłumy – głównie Tashikków – wchodziły do budowli i opuszczały ją. Do wnętrza prowadziło kilkanaście spiralnie zakrzywionych, wznoszących się drózek.

Zwinka usiadła na krawędzi, zwieszając przez nią nogi.

– Wygląda to trochę jak czubek męskiego narządu. Jakby jakiś gość miał tak krótki miecz, że wszyscy go żalowali i powiedzieli: „Ej, zrobimy mu tak wielki pomnik, że choć jest malutki, będzie się wydawał naprawdę wielki!”.

Wyndle westchnął.

– To nie było prymitywne, tylko poetyckie. Stary Białowłosey powiedział, że nie można być prymitywnym, jeśli mówi się o sztuce. Wtedy jest się eleganckim. I dlatego w pałacu można wieszać obrazy gołych pań.

– Panienko, czy to nie on dał się celowo połknąć wielkoskorupowi z Marabethii?

– Ano. Był zwariowany jak skrzynka pełna pijanych norek. Tęsknię za nim.

Lubiła udawać, że tak naprawdę nie został zjedzony. Mrugnął do niej, kiedy wskoczył do ziejącej paszczy wielkoskorupa, wstrząsając tłumami.

Wyndle zwinął się w kłębek i uformował twarz – oczy z kryształów, usta z sieci drobniutkich pędów.

– Panienko, jaki jest nasz plan?

– Plan?

Westchnął.

– Musimy dostać się do budynku. Zamierzasz zrobić, co ci przyjdzie na myśl?

– Oczywiście.

– Czy wolno mi coś zaproponować?

– Jeśli tylko nie wymaga wyssania niczyjej duszy, Pustkowcu.

– Nie jestem... Posłuchaj, panienko, ten budynek jest archiwum. Wedle mojej najlepszej wiedzy o tym regionie pomieszczenia wewnątrz będą wypełnione kodeksami, relacjami i raportami. Tysiące tysięcy tysięcy.

– Ano. – Zacisnęła pięść. – A wśród tego z pewnością zapisali różne dziwne rzeczy!

– A jak dokładnie zamierzamy odnaleźć szczegółowe informacje, których potrzebujemy?

– Łatwo. Przeczytasz je.

– ...przeczytam je.

– Dostaniemy się do środka, przeczytasz ich księgi i inne takie, a później zadecydujemy, gdzie działy się dziwne rzeczy. To nas doprowadzi do obiadu Ciemności.

– ...przeczytam je wszystkie.

– Ano.

– Masz w ogóle pojęcie, ile informacji przechowują w tym miejscu? Będą tam setki tysięcy raportów i rejestrów. Mówiąc otwarcie, tak, to liczba większa niż dziesięć, więc nie możesz do tylu doliczyć.

– Nie jestem idiotką – warknęła. – Mam też palce u nóg.

– Nadal to o wiele więcej, niż mógłbym przeczytać. Nie uda mi się przejrzeć dla ciebie tych wszystkich informacji. To niemożliwe. Nie uda się.

Popatrzyła na niego.

– W porządku. Może zdobędę dla ciebie jedną duszę. Na przykład poborca podatkowego... ale oni nie są ludźmi. Wystarczy? A może potrzebujesz, no, trzech z nich zamiast duszy jednego normalnego człowieka?

– Panienko! Ja się nie targuję!

– Daj spokój. Wszyscy wiedzą, że Pustkowcy lubią dobijać targów. Czy to musi być ktoś ważny?

A może jakiś głupi gość, którego nikt nie lubi?

– Ja nie jem duszy! – wykrzyknął Wyndle. – Nie próbuję się z tobą targować! Stwierdzam fakty. Nie przeczytam wszystkich informacji w tym archiwum! Czy ty nie możesz zrozumieć, że...

– Uspokój macki. – Zwinka zamachała nogami, uderzając piętami w skałę. – Słyszę cię. Nie mogę cię nie słyszeć, tak bardzo jęczysz.

Z tyłu rolnicy pytali, czyją jest córką i dlaczego nie przynosi im wody, jak to robiły inne dzieci. Zwinka zmarszczyła czoło w zamyśleniu.

– Nie mogę zaczekać do zmroku i wślizgnąć się do środka – mruknęła. – Ciemność chce, żeby ten biedny człowiek do tego czasu zginął. A poza tym założę się, że skrybowie pracują nocami. Żywią się atramentem. Po co spać, skoro można napisać nowe prawo, iloma palcami można trzymać łyżkę. Ale oni znajdują się na swojej robocie. Sprzedają ją wszędzie dookoła. Wezyrowie zawsze do nich pisali, żeby dostać jakąś odpowiedź. Głównie wieści ze świata. – Uśmiechnęła się szeroko i wstała. – Masz rację. Musimy zrobić to inaczej.

– Zaiste.

– Musimy być sprytni. Chytrzy. Myśl jak Pustkowiec.

– Nie powiedziałem...

– Przestań jęczeć. Ukradnę jakieś poważnie wyglądające ubranie.



13

Zwinka lubiła stroje miłe w dotyku. Te miękkie azirskie szaty i płaszcz były ubraniowym odpowiednikiem jedwabistego puddingu. Dobrze było pamiętać, że życie nie składa się jedynie z drapiących rzeczy. Czasem były w nim puchate poduszki i wyrośnięte ciasto. Miłe słowa. Matki.

Świat nie mógł być do końca zły, jeśli miał miękkie ubrania. Strój był na nią za duży, co jej jednak nie przeszkadzało. Lubiła ubierać się luźno. Otuliła się szatami i usiadła na krześle, składając dłonie na kolanach. Na głowie miała czapkę. Cały strój charakteryzowały jaskrawe barwy ułożone we wzory, które znaczyły ważne rzeczy. Była tego pewna, bo w Azirze wszyscy ciągle gadali o swoich wzorach.

Skryba była gruba. Potrzebowała ze trzech szat shiqa, żeby się okryć. A może to była shiqa dla konia. Zwinka nie spodziewała się, że skrybowie dostają tyle jedzenia. Po co im tyle energii? Pióra były naprawdę lekkie.

Kobieta nosiła okulary i osłaniała twarz, choć była w krainach, które znały Tashiego. Postukała piórem o stół.

– Jesteś z pałacu w Azirze.

– Ano. Przyjaciółka cesarza. Mówię o nim Gawx, ale oni zmienili mu imię. I dobrze, bo Gawx brzmi trochę głupio, a cesarz nie powinien brzmieć głupio. – Zwinka przechyliła głowę. – Ale kiedy zaczniesz gadać, jest po wszystkim.

Wyndle, spoczywający obok niej na ziemi, jęknął cicho.

– Wiedziałaś – nachyliła się w stronę skryby – że mają kogoś, kto dłubie mu w nosie?

– Młoda damo, wydaje mi się, że marnujesz mój czas.

– To dość obelżywe. – Zwinka wyprostowała się na krześle. – Jeśli wziąć pod uwagę, jak niewiele tu robicie.

Powiedziała prawdę. Cały budynek wypełniali skrybowie biegający we wszystkie strony i przenoszący sterty papierów do takiej czy innej pozbawionej okien alkowy. I nawet kręciły się tu sprengi, które Zwinka wcześniej widziała tylko parę razy. Wyglądały jak małe zafalowania powietrza, jak kropla wody w kałuży – ale bez deszczu i bez kałuży. Wyndle nazwał je skupieniosprengami.

Tak czy inaczej, mieli tu tyle głodowego papieru, że potrzebowali parshmenów do jego przenoszenia. Jeden minął ją w korytarzu na zewnątrz, kobieta dźwigająca dużą skrzynię papieru. Miały trafić do jednego z miliardów skrybów, którzy siedzieli przy stołach otoczeni migającymi łącotrzciami. Wyndle wyjaśnił, że odpowiadali na zapytania z całego świata, przekazując informacje.

Skryba, która rozmawiała ze Zwinką, była odrobinę ważniejsza. Zwinka dostała się do tego

pomieszczenia, postępując zgodnie z radą Wyndle'a – nic nie mówiła. Wezyrowie też tak robili. Kiwali głowami, ale się nie odzywali. Pokazywała kartkę, na której wypisała słowa utworzone przez Wyndle'a z pnączy.

Ludzie przy wejściu byli tak zastraszeni, że poprowadzili ją korytarzami do tej sali – większej od pozostałych, choć wciąż pozbawionej okien. Ale na pomalowanej na biało ścianie była żółtawo-brązowa plama i można było udawać, że to słońce.

Przy drugiej ścianie stał naprawdę długaśny stojak na łączotrzcinę. Z tyłu wisiało kilka azirskich gobelinów. Ta skryba miała jakiś związek z rządem Aziru.

Kiedy Zwinka znalazła się w środku, została zmuszona, by się odezwać. Nie mogła już tego unikać. Musiała jedynie być przekonywująca.

– Jakiego nieszczęśnika obrabowałaś – spytała wielka skryba – żeby zdobyć to ubranie?

– Jakbym zdjęła je z kogoś, kto miał je na sobie. – Zwinka przewróciła oczyma. – Posłuchaj. Po prostu weź jedno z tych świecących piór i napisz do pałacu. A później zajmiemy się ważnymi sprawami. Mój Pustkowiec mówi, że macie tu mnóstwo papierów, które musimy przejrzeć.

Kobieta wstała. Zwinka właściwie słyszała, jak jej krzesło oddycha z ulgą. Skryba z lekceważeniem wskazała drzwi, ale w tej właśnie chwili do środka wszedł mniej ważny skryba – chudy, w żółtej szacie shiqa i dziwnej brązowo-żółtej czapce – i szepnął coś kobiecie.

Wydawała się niezadowolona. Przybyły wzruszył ramionami i wyszedł pośpiesznie. Gruba kobieta popatrzyła na Zwinke.

– Podaj mi imiona wezyrów których znasz w pałacu.

– No cóż, jest Dalky... ma śmieszny nos, jak szpunt. I Wielki A, nie umiem wypowiedzieć jego prawdziwego imienia, jest w nim tyle tych dźwięków jakby ktoś się krztusił. I Tatuś Obwisły Zadek, ale on nie jest wezyrem. Nazywają go potomkiem, a to coś innego, choć też ważnego. A! I Grube Wargi! Ona nimi rządzi. Tak naprawdę wcale nie ma grubych warg, ale nie znosi, kiedy ją tak nazywam.

Kobieta przez chwilę gapiła się na Zwinke, po czym odwróciła się i podeszła do drzwi.

– Zaczekaj tutaj.

Wyszła na zewnątrz.

Zwinka nachyliła się w stronę podłogi.

– Jak sobie radzę?

– Koszmarnie.

– Ano. Zauważyłam.

– Wygląda na to, że umiejętność wyrażania się uprzejmie mogłaby okazać się użyteczna, jak powtarzali ci wezyrowie.

– Bla, bla.

Zwinka podeszła do drzwi i zaczęła nasłuchiwać. Z zewnątrz dochodziły szepty skrybów.

– ...pasuje do podanego przez kapitan straży imigrantów opisu dziewczynki, której mamy szukać w mieście... – powiedział jeden z nich. – A ona przyszła tutaj! Pośleliśmy po panią kapitan, która na szczęście właśnie przybyła, by złożyć raport...

– Na Potępienie – szepnęła Zwinka i cofnęła się. – Mają nas, Pustkowcu.

– Nie powinienem ci pomagać w tym szalonym pomysle!

Zwinka przeszła przez salę do stojaka z łączotrzcinami. Wszystkie były podpisane.

– Chodź tu i powiedz mi, której potrzebujemy.

Wyndle dorósł do ściany i wysłał pędy na tabliczki.

– Ojej, ojej. To wszystko ważne łączotrzcin. Zobaczmy... ta trzecia prowadzi do pałacowych skrybów.

– Wspaniale.

Zwinka chwyciła ją i podeszła do stołu. Postawiła ją na właściwym miejscu na podkładce – widziała to tysiące razy – i przekręciła rubin na szczycie. Odpowiedź nadeszła natychmiast – pałacowi skrybowie nie oddalali się od łączotrzcin. Raczej daliby sobie odciąć palce.

Zwinka chwyciła łączotrzcinę i przyłożyła ją do papieru.

– No...

– Och, na litość Pielęgnacji, ty w ogóle nie uważałaś, prawda?

– Nie.

– Powiedz mi, co chcesz napisać.

Wypowiedziała to na głos, a on sprawiał, że pnącza rosnące na blacie przybierały właściwe kształty. Ściskając pióro kopiowała słowa, jedną głupią literę po drugiej. To trwało całą wieczność. Pisanie było śmieszne. Czemu ludzie nie mogli po prostu rozmawiać? Dlaczego wymyślono sposób, by nie trzeba było patrzeć na ludzi, żeby wydawać im polecenia?

Tu Zwinka, napisała. Powiedz Grubym Wargom, że jej potrzebuję. Mam kłopoty. I niech ktoś sprowadzi Gawxa. O ile nie dłubią mu teraz w nosie...

Drzwi się otworzyły. Zwinka krzyknęła, przekręciła rubin i zeszła ze stołu.

Za drzwiami zebrała się spora grupa ludzi. Pięcioro skrybów, w tym ta gruba, i troje strażników. Jednym była kobieta z posterunku przed wejściem do miasta.

Na burze, pomyślała Zwinka. Szybko im poszło.

Rzuciła się w ich stronę.

– Ostrożnie! – krzyknęła strażniczka. – Ona jest śliska!

Zwinka uczyniła się wspaniałą, ale strażniczka wepchnęła skrybów do środka i zaczęła zamykać za sobą drzwi. Dziewczynka bez trudu prześlizgnęła się między ich nogami, ale uderzyła w zamykające się drzwi.

Strażniczka rzuciła się na nią. Zwinka jęknęła i pokryła się wspaniałością, a kiedy została pochwycona, najpierw zsunął się z niej azirski płaszcz, a później szeroka spódnica ze spodniami pod spodem, aż została we własnym ubraniu.

Kręciła się na podłodze, próbowała prześlizgnąć się po obrzeżach sali, ale kapitan podążała tuż za nią.

– Panienko! – krzyknął Wyndle. – Och, panienko. Nie daj się dźgnąć! Słuchasz mnie? Unikaj trafienia czymś ostrym! Tępym zresztą też!

Zwinka warknęła, kiedy inni strażnicy wślizgnęli się do środka i szybko zamknęli za sobą drzwi. Próbowali ją zająć z obu stron sali.

Uskoczyła w jedną stronę, później w drugą, aż wreszcie uderzyła w stojak z łączotrzcinami. Jedna ze skrybów krzyknęła, kiedy kilka z nich się przewróciło.

Zwinka rzuciła się w stronę drzwi. Kapitan straży obaliła ją na ziemię, a inny strażnik skoczył na kobietę.

Zwinka wiła się, wspaniała, przeciskając się przez ich palce. Musiała tylko...

– Tashi... – szepnęła skryba. – Boże Bogów i Wiążący Świat!

Jej głowę, jak kółko niebieskiego dymu, otoczył podziwospren.

Zwinka wyrwała się z uścisku strażników, wyprostowała i stanęła na plecach jednego z nich, skąd dobrze widziała stół. Łączotrzcina pisała.

– Długo im zajęło – stwierdziła, zeskoczyła na podłogę i usiadła na krześle.

Strażniczka wstała za jej plecami i zaklęła.

– Stop, pani kapitan! – odezwała się gruba skryba. Spojrzała na chudego skrybę w żółtej szacie. –

Uruchom kolejną łączotrzcinę do pałacu w Azirze. Albo dwie! Potrzebujemy potwierdzenia.

– Czego? – spytał skryba, podchodząc do biurka.

Kapitan straży dołączyła do nich i czytała, co pisało pióro. Później cała trójka popatrzyła na Zwinkę szeroko otwartymi oczami.

– „Do wszystkich zainteresowanych” – czytał Wyndle, rozsnuwając pędy na papierze. – „Ogłaszam, że ja, Pierwszy Aqasix Yanagawn Pierwszy, cesarz wszystkich Makabaków, nakazuję okazywać młodej kobiecie znanej jako Zwinka wszelką pomoc i szacunek. Będziecie jej posłuszni jak mnie samemu, a wszelkie koszty, jakie mogą być wynikiem jej... odwiedzin w waszym mieście, dopiszcie do cesarskiego rachunku. Dalej następuje opis kobiety i dwa pytania, na które tylko ona może odpowiedzieć, jako dowód jej tożsamości. Ale wiedźcie, że jeśli dozna jakiegokolwiek krzywdy lub przeszkody, poznacie cesarski gniew”.

– Dzięki, Gawx. – Zwinka spojrzała na skrybów i strażników. – To znaczy, że musicie robić, co wam powiem!

– A... czego chcesz? – spytała gruba skryba.

– To zależy. Co zamierzałaś dziś zjeść na obiad?



Trzy godziny później Zwinka siedziała pośrodku biurka grubej skryby, jadła placuszki, a na głowie miała czapkę chudego skryby.

Gromadka mniej ważnych skrybów przeszukiwała raporty leżące przed nią na ziemi, rozrzucone dookoła sterty książek wyglądały jak połamane skorupy krabów po wielkiej uczcie. Gruba skryba stała przy biurku, odczytując dla Zwinki słowa Gawxa zapisywane przez łączotrzcinę. Kobieta w końcu odsłoniła twarz i okazało się, że jest ładna i o wiele młodsza, niż Zwinka pierwotnie zakładała.

– „Martwię się, Zwinko” – czytała. – „Wszyscy się tu martwią. Przyszły wieści z zachodu. W Steenie i Almie widzieli tę nową burzę. Jest tak, jak powiedział wódz Alethich. Burza z czerwonymi błyskawicami nadchodząca z niewłaściwej strony”.

Kobieta podniosła wzrok nad Zwinkę.

– On ma rację, yyy...

– Powiedz to – poleciła Zwinka.

– Wasza placuszkowość.

– Łatwo się wymawia, co?

– Jego cesarska wspaniałość ma rację, jeśli chodzi o nadejście dziwnej nowej burzy. Mamy niezależnie potwierdzenie tego faktu od naszych informatorów w Shinovarze i Iri. Ogromna burza z czerwonymi błyskawicami nadchodząca z zachodu.

– A potwory? Istoty z czerwonymi oczami w ciemności?

– Panuje chaos – odparła skryba. Na imię miała Ghenna. – Nie udało nam się uzyskać jednoznacznych odpowiedzi. Mieliśmy pewne podejrzenia, po doniesieniach ze wschodniego wybrzeża, w które burza uderzyła, zanim przeniosła się nad ocean. A teraz, kiedy okrążyła planetę i uderzyła na zachodzie... Cóż, książę podobno zamierza ogłosić stan wyjątkowy dla całego kraju.

Zwinka spojrzała na Wyndle'a, który zwinął się na biurku obok niej.

– Pustkowcy – powiedział słabo. – To się naprawdę dzieje. Słodka cnoto... Spustoszenia powróciły...

Ghenna wróciła do czytania wiadomości od Gawxa.

– „To będzie katastrofa, Zwinko. Nikt nie jest gotów na burzę, która nadchodzi z niewłaściwej strony. A Alethyjczycy są niemal równie dużym problemem. Skąd oni tyle o niej wiedzą? Może to ich wódz jakimś sposobem ją przywołał?”.

Ghenna opuściła papier.

Zwinka żuła placuszek. Był z tych bardziej zbitych, wypełniony masą, która była zbyt lepka i słona. Ten obok obsypano małymi chrupiącymi nasionami. Nie były tak dobre jak dwa pozostałe rodzaje,

które jadła w ciągu ostatnich kilku godzin.

– Kiedy ona uderzy? – spytała.

– Burza? Trudno ocenić, ale wedle większości doniesień jest wolniejsza niż arcyburza. Może dotrzeć do Aziru i Tashikku w ciągu trzech, może czterech godzin.

– Napisz Gawxowi te słowa. – Zwinka przełknęła kęs. – „Mają tu dobre jedzenie. Dużo różnych rodzajów placuszków. Jeden ma w środku cukier”.

Skryba się zawahała.

– Napisz to. Albo każę ci się do mnie zwracać jeszcze głupszymi tytułami.

Ghenna wypełniła z westchnieniem polecenie.

– „Zwinko” – przeczytała, kiedy łączotrzcina wypisała kolejną linijkę słów Gawxa. Bez wątpienia otaczało go z piętnaścioro wezyrów i potomków, którzy mówili mu, co ma powiedzieć, a później pisali, kiedy wyraził zgodę. – „To nie czas na próżną rozmowę o jedzeniu”.

– A właśnie że tak – odpowiedziała Zwinka. – Musimy pamiętać. Może i nadchodzi burza, ale ludzie i tak muszą jeść. Jutro świat się skończy, ale pojutrze ludzie zapytają, co jest na śniadanie. To twoje zadanie.

– „A co z historiami o czymś gorszym?” – odpisał. – „Alethyjczycy ostrzegają nas przed parshmenami, a ja robię, co mogę z tak niewielkim wyprzedzeniem. Ale co z Pustkowcami, którzy podobno kryją się w burzach?”.

Zwinka podniosła wzrok na salę pełną skrybów.

– Pracuję nad tym.

Kiedy Ghenna pisała, Zwinka wstała i wytarła dłonie o swoje wymyślne szaty.

– Ej, mądrzy ludzie. Co znaleźliście?

Skrybowie podnieśli na nią wzrok.

– Panienko – odezwał się jeden – nie mamy pojęcia, czego szukamy.

– Dziwnych rzeczy!

– Jakiego rodzaju „dziwnych rzeczy”? – spytał skryba w żółtej szacie, chudy gość, który bez czapki osłaniającej łysinę wyglądał głupawo. – W tym mieście codziennie dzieją się dziwne rzeczy! Chcesz raport o mężczyźnie, który twierdzi, że urodziło mu się dwugłowe prosię? A co z tym, który twierdzi, że zobaczył sylwetkę Yaezira w porostach na ścianie? Albo kobieta, która miała przecucie, że jej siostra się przewróci, i ona się przewróciła?

– Nie. To zwyczajne dziwne rzeczy.

– A jakie w takim razie są niezwykłe? – spytał z wyraźną irytacją w głosie.

Zwinka zaczęła świecić. Przywołała swoją wspaniałość, tak dużo, że zaczęła emanować z jej skóry, jakby była głodową kulą.

Nasiona na wierzchu niezjedzonego placuszka wykiełkowały i wypuściły długie, wijące się pędy, które owinęły się wokół siebie i wypuściły listki.

– Coś takiego. – Zwinka spojrzała w bok. Cudownie. Zniszczyła placuszek.

Skrybowie patrzyli na nią oszołomieni, więc zaklaskała, odsyłając ich do pracy. Wyndle westchnął, a ona wiedziała, co musiał myśleć. Trzy godziny i jak na razie nic znaczącego. Miał rację – tak, w tym mieście zapisywali wszystko. Na tym polegał problem. Wszystko zapisywali.

– Przyszła nowa wiadomość od cesarza – powiedziała Ghenna. – No, wasza placuszek... Na burze, to

brzmi głupio.

Zwinka uśmiechnęła się szeroko i spojrzała na papier. Słowa wypisano eleganckim, zamaszystym charakterem pisma. Pewnie Grube Wargi.

– „Zwinko” – przeczytała Ghenna. – „Zamierzasz wrócić? Tęsknimy za tobą”.

– Nawet Grube Wargi?

– „Wezyr Noura też za tobą tęskni. Zwinko, to jest teraz twój dom. Nie musisz już mieszkać na ulicach”.

– I co mam tam robić, jeśli wrócę?

– „Cokolwiek zechcesz” – odpisał Gawx. – „Obiecuję”.

I na tym polegał problem.

– Jeszcze nie wiem, co zamierzam zrobić. – Czuła się dziwnie osamotniona, mimo że przebywała w sali pełnej ludzi. – Zobaczymy.

Ghenna spojrzała na nią z ukosa. Najwyraźniej sądziła, że cesarz Aziru powinien dostać wszystko, czego zapragnął – a małe dziewczynki z Reshi nie powinny mu się sprzeciwiać.

Drzwi uchyliły się i do środka zajrzała kapitan straży. Zwinka zeskoczyła z biurka, podbiegła do niej i podskoczyła, żeby zobaczyć, co kobieta trzyma w ręku. Raport. Cudownie. Więcej słów.

– Czego się dowiedziałaś? – spytała z przejęciem.

– Miałaś rację. Jeden z moich towarzyszy w straży tej dzielnicy obserwuje sierociniec Światło Tashiego. Kobieta, która go prowadzi...

– Pniak – wtrąciła Zwinka. – Jest naprawdę wredna. Zjada kości dzieci na przekąskę. Kiedyś wygrała pojedynek spojrzeń z obrazem.

– ...jest przedmiotem śledztwa. Zajmuje się praniem pieniędzy, choć szczegóły są niejasne. Widywano, jak wymienia kule na takie o mniejszej wartości, co by doprowadziło ją do bankructwa, gdyby nie miała innego źródła dochodu. Wedle raportu przyjmuje pieniądze od kryminalistów jako darowizny, a później bierze swoją działkę i w tajemnicy przekazuje je innym grupom, utrudniając śledzenie kul. Jest tego więcej. Tak czy inaczej, dzieci są tylko przykrywką, która ma odwracać uwagę od jej praktyk.

– Mówiłam ci. – Zwinka złapała papier. – Powinniście ją aresztować i wydać jej wszystkie pieniądze na zupę. Dacie mi połowę za to, że powiedziałam wam, gdzie macie szukać, a ja nikomu nie powiem.

Strażniczka uniosła brew.

– Jeśli chcesz, możemy nawet zapisać, że to zrobiliśmy – dodała Zwinka. – Będzie bardziej oficjalnie.

– Zignoruję sugestie przekupstwa, wymuszenia, wyłudzenia i sprzeniewierzenia państwowych funduszy. Co się tyczy sierocińca, nie podlega on moim kompetencjom, ale zapewniam cię, że moi towarzysze wkrótce zajmą się tym... Pniakiem.

– Może być. – Zwinka wróciła na biurko ponad legionem skrybów. – Co znaleźliście? Kogoś świecącego, jakby był burzową łaskawą siłą dobra, albo coś jeszcze dziwniejszego?

– To zbyt wielki projekt, by bez ostrzeżenia zrzucić go na nasze barki! – jęknęła gruba skryba. – Panienko, na tego rodzaju badania mamy zwykle całe miesiące. Daj nam trzy tygodnie, a przygotujemy szczegółowy raport!

– Nie mamy trzech tygodni, tylko trzy godziny.

Co nie miało większego znaczenia. Przez następne parę godzin próbowała namawiania, grożenia, tańca, przekupstwa oraz – w całkowitej desperacji – zachowania absolutnej ciszy, by pozwolić im czytać. W miarę jak mijał czas, nie znajdowali niczego, a jednocześnie znajdowali wszystko. W raportach straży było mnóstwo niejasnych dziwactw – historie o mężczyźnie, który przeżył upadek ze zbyt dużej wysokości, skarga na dziwne hałasy za oknem kobiety, dziwne zachowanie sprenów przed domem innej kobiety, o ile każdego ranka nie wystawiła im miseczki z posłodzoną wodą. Jednak żadna nie miała więcej niż jednego świadka i w każdym przypadku straż nie znalazła niczego rzeczywiście dziwnego poza pogłoskami.

Za każdym razem, kiedy pojawiała się jakieś dziwactwo, Zwinka miała ochotę wybiec przez drzwi, precyzyjnie się przez okno i pobiec za wskazaną osobą. Za każdym razem Wyndle sugerował cierpliwość. Gdyby wszystkie raporty okazały się prawdą, to zasadniczo każdy mieszkaniec miasta byłby Mocowiązłą. A gdyby pobiegła za jednym z setek raportów, które wynikały ze zwyczajnych przesądów? Poświęciłaby wiele godzin i niczego nie odnalazła.

I tak się właśnie czuła. Była zirytowana, niecierpliwa i skończyły jej się placuszki.

– Przykro mi, panienko – powiedział Wyndle, kiedy odrzucili raport o Vedence, która twierdziła, że jej noworodek został „pobłogosławiony przez samego Tashiego skórą jaśniejszą niż jego ojca, by czuł się swobodniej w kontaktach z cudzoziemcami”.

– Wątpię, by któryś z nich był znakiem w większym stopniu niż wszystkie poprzednie. Zaczynam dochodzić do wniosku, że powinniśmy po prostu wybrać jeden i liczyć na szczęście.

Zwinka ostatnio nienawidziła szczęścia. Miała problem z przekonaniem samej siebie, że nie osiągnęła pechowego wieku, więc zrezygnowała ze szczęścia. Nawet wymieniła przynoszącą szczęście kulę na kawałek sera ze świńskiego mleka.

Im dłużej o tym myślała, tym bardziej szczęście wydawało jej się przeciwieństwem wspaniałości.

Jedno było tym, co robiła, drugie czymś, co się przytrafiało niezależnie od tego, co robiła.

Oczywiście to nie znaczyło, że szczęście nie istnieje. Albo się w nie wierzyło, albo wierzyło się w to, co zawsze powtarzali ci vorinścy kapłani – że biedni ludzie zostali wybrani, by klepać biedę, bo byli zbyt głupi, by poprosić Wszechmocnego o urodzenie się w rodzinie ze stertą kul.

– To co robimy? – spytała.

– Pewnie wybieramy jeden z tych raportów. Którykolwiek. Może za wyjątkiem tego z dzieckiem. Przypuszczam, że matka mogła nie mówić szczerze.

– Tak myślisz?

Zwinka popatrzyła na rozłożone przed nią papiery – papiery, których nie umiała odczytać, a każdy opisywał jakieś niejasne dziwactwo. Na burze. Jeśli wybierze właściwie, może uratować czyjeś życie i znaleźć kogoś innego, kto umiał robić to, co ona.

Jeśli wybierze niewłaściwie, Ciemność albo jego słudzy stracą niewinnego. Po cichu, bez świadków, i nikt nie będzie pamiętał.

Ciemność. Nagle poczuła, że go nienawidzi. Z gorączkową wściekłością, która zaskoczyła nawet ją samą. Wątpiła, by wcześniej kogokolwiek nienawidziła. Ale on... te zimne oczy, które odrzucały wszelkie uczucia. Nienawidziła go tym bardziej, że robił wszystko, co robił, bez choćby odrobiny wyrzutów sumienia.

– Panienko? – spytał Wyndle. – Co wybierasz?

– Nie umiem wybrać – odparła szeptem. – Nie wiem jak.

– Po prostu weź jeden.

– Nie mogę. Ja nie dokonuję wyborów, Wyndle.

– Nonsens! Robisz to codziennie.

– Nie. Ja tylko...

Szła, gdzie poniosły ją wiatry. Decyzja była zobowiązaniem. Stwierdzeniem, że uważało się to działanie za właściwe.

Drzwi do ich sali otworzyły się gwałtownie. Stojący w nich strażnik, którego Zwinka nie rozpoznawała, pocił się i dyszał.

– Książę wydał dekret o stanie wyjątkowym piątego stopnia, do natychmiastowego ogłoszenia w całym kraju. Burza wiejąca z niewłaściwego kierunku, jej uderzenie spodziewane w ciągu dwóch godzin.

– Wszyscy mają zejść z ulic i udać się do burzowych bunkrów, a parshmeni mają zostać uwięzieni lub wygnani na burzę. Chce, żeby ulice Yeddaw i innych miast w tunelach zostały ewakuowane, a urzędnicy państwowi mają się zgłosić do wyznaczonych bunkrów w celu przeliczenia zebranych, przygotowania raportów i zapanowania nad zamieszaniem oraz konfliktami związanymi z ewakuacją. Skrót tych rozkazów znajduje się w każdym punkcie zbiorczym, a kopie są właśnie rozprowadzane.

Skrybowie podnieśli wzrok znad pracy, a później natychmiast zaczęli pakować księgi i rejestry.

– Chwileczkę! – odezwała się Zwinka, kiedy goniec ruszył dalej. – Co robicie?

– Twoje polecenia właśnie zostały uchylone, dziecko – odparła Ghenna. – Twoje badania muszą zaczekać.

– Jak długo?!

– Aż książę postanowi obniżyć stopień zagrożenia.

Kobieta szybko zdjęła łączotrzcinę z pólki i zapakowała je do wyściełanej skrzynki.

– Ale cesarz! – Zwinka chwyciła wiadomość od Gawxa i pomachała nią. – Kazał mi pomóc!

– Z przyjemnością pomożemy ci dotrzeć do burzowego bunkra – stwierdziła kapitan straży.

– Potrzebuję pomocy z tym problemem! On polecił wam, byście byli mi posłuszni!

– Oczywiście słuchamy cesarza – odparła Ghenna. – Słuchamy go bardzo uważnie.

Co nie oznaczało posłuszeństwa. Wezyrowie jej to wyjaśnili. Azir mógł utrzymywać, że jest cesarstwem, a większość pobliskich krajów mu ustępowała. Podobnie jak ustępuje się dziecku, które twierdzi, że jest kapitanem drużyny w czasie gry w pierścienie. Ale w chwili kiedy jego żądania stawały się zbyt ekstrawaganckie, odkrywało, że stoi samotnie i przemawia do pustej uliczki.

Skrybowie byli zadziwiająco skuteczni. Wkrótce wyprowadzili Zwinę na korytarz, obciążyli ją garścią raportów, których nie umiała przeczytać, i rozdzielili się, by pójść do swoich obowiązków. Zostawili ją z jedną młodszą podskrybą niewiele starszą od Zwinki – jej zadaniem było odprowadzenie podopiecznej do burzowego bunkra.

Zwinka zgubiła dziewczynę na pierwszym skrzyżowaniu, zniknęła w bocznym przejściu w chwili, kiedy podskryba zaczęła wyjaśniać sytuację staremu uczonemu o zaczerwienionych oczach ubranemu w brązową szatę shiqua. Zdjęła ładne azirskie ubranie i zostawiła je w kącie, zostając w spodniach, koszuli i pozbawionej guzików wierzchniej koszuli. Następnie zagłębiła się w mniej uczęszczaną część budynku. Skrybowie zbierali się w szerszych korytarzach i wrzeszczeli na siebie. Zwinka nie

spodziewała się takiego zgiełku po bandzie wysuszonych starych kobiet i mężczyzn z atramentem zamiast krwi.

W środku było ciemno i Zwinka pożałowała, że wymieniła swoją szczęśliwą kulę. Korytarze różniły się wzorami azirskich dywanów i poza tym nie miały żadnych cech szczególnych. Na ścianach wisały lampy, ale jedynie w co piątej kule były napełnione. Wszystkim brakowało Burzowego Światła. Zwinka przez dobrą minutę wisała na jednej z lamp, próbując ją otworzyć, ale zamknięcie trzymało mocno.

Ruszyła dalej korytarzem, mijając kolejne pomieszczenia, każde wypełnione papierami, choć półek było mniej, niż się spodziewała. To miejsce nie przypominało biblioteki. Na ścianach było pełno szuflad zapełnionych papierami.

Im dłużej szła, tym większa panowała wokół niej cisza, aż zaczęła odnosić wrażenie, że idzie przez mauzoleum – dla drzew. Zmiała papiery w dłoni i wcisnęła je do kieszeni, którą już niemal całkowicie wypełniły.

– Panienko? – odezwał się Wyndle z podłogi. – Nie mamy dużo czasu.

– Myślę.

Co było kłamstwem. Zwinka próbowała uniknąć myślenia.

– Przykro mi, że plan się powiódł.

Wzruszyła ramionami.

– Ty i tak nie chciałeś tu być. Chciałeś zająć się ogrodnictwem.

– Tak, zaplanowałem naprawdę śliczną galerię butów. Ale pewnie... pewnie nie możemy siedzieć i przygotowywać ogrodów, kiedy świat się kończy, prawda? Zresztą, gdybym trafił do tej miłej damy z Iri, nie byłoby mnie tutaj. A ten Świetlisty, którego próbujesz ocalić, byłby już martwy.

– Pewnie i tak jest już martwy.

– Ale nadal... nadal warto spróbować, prawda?

Głupi radosny Pustkowiec. Spojrzała na niego i wyciągnęła zwinięte papiery.

– One są bezużyteczne. Musimy zacząć z nowym planem.

– A mamy znacznie mniej czasu. Nadchodzi zachód słońca, a razem z nim burza. Co robimy?

Zwinka upuściła papiery.

– Ktoś musi wiedzieć, dokąd się udać. Tamta kobieta, która rozmawiała z Ciemnością, jego uczennica, powiedziała, że prowadzi śledztwo. Wydawała się pewna siebie.

– Hm. Nie przypuszczasz, że jej śledztwo wiązało się z... gromadką skrybów przeszukujących dokumenty?

Zwinka przechyliła głowę.

– To by było rozsądne podejście. W końcu nawet my wpadliśmy na ten pomysł.

Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko i pobiegła w stronę, z której przybyła.



15

– Tak – odpowiedziała gruba skryba po przejrzeniu książki. Wydawała się wytrącona z równowagi.

– Grupa Bidlela, sala dwa-trzy-dwa. Opisana przez ciebie kobieta zatrudniła ich przed dwoma tygodniami do nieujawnionego projektu. Bardzo poważnie traktujemy tajemnice naszych klientów. – Westchnęła i zamknęła książkę. – O ile w grę nie wchodzi cesarski rozkaz.

– Dzięki. – Zwinka uściśnęła kobietę. – Dzięki dzięki dzięki dzięki.

– Chciałabym wiedzieć, co to wszystko znaczy. Na burze... można by się spodziewać, że chociaż mnie będą mówić wszystko, ale w połowie przypadków odnoszę wrażenie, że nawet królów dezorientuje to, czym rzuca w nich świat. – Pokręciła głową i spojrzała na Zwinkę, która wciąż ją obejmowała. – Udaję się teraz na swoje wyznaczone stanowisko. Powinnaś poszukać schronienia.

– Tak jasne dowidzenia.

Zwinka puściła ją i wybiegła z sali pełnej rejestrów. Pobiegnęła przez korytarz, w przeciwną stronę niż schody prowadzące do burzowego schronu Indycjum.

Ghenna wystawiła głowę na korytarz.

– Bidlel już się na pewno ewakuował! Drzwi będą zamknięte! – Zawahała się. – Nie zniszcz niczego!

– Pustkowcu, możesz znaleźć tę liczbę, którą ona podała?

– Tak.

– Dobrze, bo ja nie mam tylu palców.

Pośpieszyli przez ogromne Indycjum, które już wydawało się puste. Minęło zaledwie pół godziny od wydania dekretu – Wyndle pilnował upływu czasu – a wszyscy już wychodzili. Przed nadejściem burzy ludzie zamykali drzwi i udawali się do bezpiecznych miejsc. Tym, którzy mieli normalne domy, wystarczał ich dom, ale dla biedaków oznaczało to burzowe bunkry.

Biedni parshmeni. W mieście nie było ich aż tak wielu jak w Azimirze, ale na rozkaz księcia gromadzono ich i wypędzano. Porzucano na pastwę burzy, co Zwinka uważała za bardzo niesprawiedliwe.

Nikt jednak nie słuchał jej zastrzeżeń. A Wyndle sugerował... cóż, że mogą zmienić się w Pustkowców. A on przecież to wiedział.

I tak wydawało jej się to niesprawiedliwe. Ona sama nie porzuciłaby go podczas burzy. Nawet jeśli twierdził, że pewnie by mu nie zaszkodziła.

Podążyła za śladami Wyndla, kiedy poprowadził ją dwa piętra w górę, a później zaczął odliczać rzędy. Podłoga na tym poziomie była wykonana z pomalowanego drewna i Zwinka czuła się dziwnie, kiedy po niej chodziła. Drewniane podłogi. Czy one się pod nią nie załamią? Zawsze wydawało jej się,

że drewniane budynki są nietrwałe, dlatego na wszelki wypadek stąpała lekko. To...

Zmarszczyła czoło, przykucnęła i rozejrzała się na boki. Co to?

– Dwa-dwa-jeden... – powiedział Wyndle. – Dwa-dwa-dwa...

– Pustkowcu! – syknęła Zwinka. – Cicho.

Zakręcił i wspiał się po ścianie obok niej. Zwinka przycisnęła plecy do ściany, po czym skoczyła za róg do sąsiedniego korytarza i znowu przycisnęła plecy do ściany.

Rozległy się ciężkie kroki na dywanie.

– Nie mogę uwierzyć, że nazywasz to tropem – powiedziała kobieta. Zwinka rozpoznała uczennicę Ciemności. – Nie byłeś w straży?

– W Yezerze jest inaczej – warknął mężczyzna. Drugi uczeń. – Tutaj wszyscy wyrażają się w sposób bardzo zawoalowany. Powinni po prostu mówić, co mają na myśli.

– Spodziewałeś się, że uliczny informator z Tashikku będzie mówił zupełnie jasno?

– Pewnie. To w końcu jego praca.

Dwójka przeszła obok i na szczęście nie spojrzała w boczny korytarz w stronę Zwinki. Na burzę, te mundury – buty z wysokimi cholewkami, sztywne kurty na wschodnią modłę i rękawice z szerokimi mankietami – robiły wrażenie. Wyglądali jak generałowie na polu bitwy.

Zwinkę kusilo, by ruszyć za nimi i zobaczyć, dokąd się udali. Zmusiła się, żeby zaczekać.

I rzeczywiście, po kilku sekundach korytarzem przeszła kolejna postać, znacznie ciszej. Skrytobójca w poszarpanych szatach, ze zwieszoną głową i tym wielkim mieczem – musiał być rodzajem Ostrza Odprysku – opartym na ramieniu.

– Nie wiem, mieczu-nimi – powiedział cicho. – Już nie ufam swojemu umysłowi. – Przerwał i zatrzymał się, jakby czegoś słuchał. – To mnie wcale nie pociesza, mieczu-nimi. Wcale a wcale...

Podążył za tamtą dwójką, zostawiając za sobą słaby świetlisty powidok. Był teraz niemal niedostrzegalny, mniej widoczny, niż kiedy poruszał się w kwaterze Ciemności.

– Och, panienko. – Wyndle zwinął się obok niej. – Prawie umarłem ze strachu! To, jak zatrzymał się w korytarzu, byłem pewien, że jakimś sposobem mnie zobaczył!

Przynajmniej w przejściach panował mrok. Zwinka niepewnie wyslizgnęła się na korytarz i podążyła za grupką. Zatrzymali się przed właściwymi drzwiami i jedno wyciągnęło klucz. Zwinka spodziewała się, że splądrują to miejsce, ale oczywiście nie musieli tego robić – mieli prawo.

Właściwie ona też. Jakie to dziwne.

Dwoje uczniów Ciemności weszło do sali. Skrytobójca w Bieli pozostał na korytarzu. Usiadł na podłodze naprzeciwko drzwi, trzymając swoje dziwne Ostrze Odprysku na kolanach. Kiedy się poruszał, zostawiał świetlisty powidok.

Zwinka znów ukryła się w bocznym korytarzu i przycisnęła plecy do ściany. Gdzieś daleko w głębi Wielkiego Indyka rozlegały się krzyki, wezwania do zachowania porządku.

– Muszę się dostać do środka – powiedziała. – Jakoś.

Wyndle skulił się na ziemi, mocno zaciskając pędy wokół siebie.

Zwinka pokręciła głową.

– Ale to oznacza przejście obok samego głodowego skrytobójcy. Niech to burza.

– Ja to zrobię – szepnął Wyndle.

– Może – Zwinka właściwie nie zwracała na niego uwagi – mogłabym wywołać jakieś zamieszanie?

Wysłać go w pogoń za nim? Ale to by ostrzegło tę dwójkę w środku.

– Ja to zrobię – powtórzył Wyndle.

Zwinka przechyliła głowę, w końcu zarejestrowała, co powiedział. Spojrzała na niego z góry.

– Odwrócisz uwagę?

– Nie. – Pędy Wyndle'a owijały się wokół siebie, tworząc ciasne węzły. – Ja to zrobię, panienko.

Mogę się wślizgnąć do środka. Ja... nie sądzę, by ich spreny mogły mnie zobaczyć.

– Ale nie wiesz?

– Nie.

– To się wydaje niebezpieczne.

Jego pędy ocierały się z trzaskiem o siebie.

– Tak myślisz?

– Absolutnie. – Zwinka wyjrzała za róg. – Coś jest nie tak z tym gościem w bieli. Czy ciebie da się zabić, Pustkowcu?

– Zniszczyć. Tak. Jest inaczej niż z człowiekiem, ale... widziałem spreny, które... – Zapiszczał cicho.

– Może to rzeczywiście zbyt niebezpieczne dla mnie.

– Może.

Wyndle znieruchomiał zwinięty w ciasny kłęb.

– Ale i tak idę – szepnął.

Pokiwała głową.

– Po prostu słuchaj, zapamiętaj, co mówi ta dwójka w środku, i wracaj jak najszybciej. Jeśli coś się stanie, krzycz jak najgłośniej.

– Jasne. Słuchać i krzyczeć. Umiem słuchać i krzyczeć. Jestem w tym dobry.

Wydał z siebie odgłos przypominający głęboki oddech, mimo że nie musiał oddychać. Później wystrzelił na korytarz – pnące porośnięte kryształami, które rosło w miejscu złączenia ściany z podłogą. Malutkie zielone pędy wyrastały z jego boków, pokrywając dywan.

Skrytobójca nie podniósł wzroku. Wyndle dotarł do drzwi sali, w której przebywało dwoje uczniów Niebiańskich. Zwinka nie słyszała ani słowa wypowiedzanego w środku.

Na burze, nienawidziła czekania. Ukształtowała swoje życie wokół braku konieczności czekania na cokolwiek i kogokolwiek. Robiła, co chciała i kiedy chciała. Tak było najlepiej, prawda? Wszyscy powinni móc robić to, co chcą.

Oczywiście, gdyby tak było, kto by uprawiał jedzenie? Gdyby świat był pełen ludzi takich jak Zwinka, czy nie przerwaliby zasiewów w polowie, żeby łapać lurgi? Nikt by nie strzegł ulic ani nie siedział na spotkaniach. Nikt by się nie nauczył zapisywać rzeczy i zarządzać królestwami. Ludzie wyjadaliby jedzenie innych, aż by się skończyło, a wtedy wszyscy padliby martwi.

Wiedziałaś o tym, odezwała się część jej osoby, która stanęła wyprostowana w jej wnętrzu i wyzywającym gestem oparła dłonie na biodrach. Wiedziałaś, jak naprawdę działa świat, a mimo to poszłaś i powiedziałaś, że nie chcesz już dorastać. Bycie dzieckiem było usprawiedliwieniem. Wiarygodnym uzasadnieniem.

Czekała zirytowana tym, że nic nie może zrobić. Co oni tam mówili? Czy zauważyli Wyndle'a? Czy go torturowali? Grozili, że... wytną jego ogród albo coś?

Słuchaj, usłyszała szept w głębi duszy.

Ale oczywiście niczego nie słyszała.

Chciała wpaść do środka, zrobić głupią minę, a później zmusić ich, żeby gonili ją przez cały głodowy budynek. To by było lepsze niż siedzenie tutaj z własnymi myślami, zamartwianie się, a jednocześnie potępienie samej siebie.

Kiedy człowiek był ciągle zajęty, nie miał czasu na myślenie. Na przykład o tym, że większość ludzi nie uciekała, kiedy miała taki kaprys. Albo że jej matka była taka ciepła i życzliwa, gotowa zatroszczyć się o każdego. Niewiarygodne, że ktokolwiek na Rosharze mógł być tak dobry dla ludzi jak ona.

Nie powinna umrzeć. A przynajmniej powinna mieć kogoś choć w połowie tak cudownego, jak ona, by się o nią troszczył, kiedy powoli gasła. Kogoś innego niż Zwinka, która była samolubna, głupia.

I samotna.

Napięła się i przygotowała, by wypaść za róg. Wtedy jednak Wyndle w końcu wystrzelił na korytarz. Z gorączkową prędkością rósł wzdłuż podłogi, a w końcu dołączył do niej – pozostawiając ślad kurzu przy ścianie, gdy rozpadały się jego porzucone pędy.

Po chwili z sali wyszło dwoje uczniów Ciemności, a Zwinka wraz z Wyndle'em wycofała się do bocznego korytarza. Skuliła się w cieniach przy podłodze, by nie rzucać się w oczy na tle odległego światła. Mężczyzna i kobieta w mundurach po chwili przeszli obok, żadne nawet nie spojrzęło w korytarzyk. Zwinka rozluźniła się i musnęła palcami pędy Wyndle'a.

I wtedy pojawił się skrytobójca. Zatrzymał się i spojrzęł prosto w jej stronę, opierając dłoń o rękojeść miecza.

Zwince zaparło dech w piersi. Nie stawaj się wspaniała. Nie stawaj się wspaniała! Gdyby użyła swojej mocy w tych cieniach, zaczęłaby świecić, a on by ją zauważył.

Mogła jedynie kulić się w cieniach, gdy skrytobójca mrużył oczy – o dziwnym kształcie, jakby były za duże albo coś. Sięgnęł do sakiewki u pasa, po czym rzucił w korytarz coś małego i świecącego. Kula.

Zwinka spanikowała, niepewna, czy powinna uciekać, stać się wspaniała czy pozostać bez ruchu. Wokół niej pojawiły się strachospreny oświetlone blaskiem kuli, która potoczyła się w jej stronę. Kiedy napotkała spojrzenie skrytobójcy, wiedziała, że ją zobaczył.

Odrobinę wysunął miecz z pochwy. Z ostrza wypłynęła strużka czarnego dymu, opadła w stronę podłogi i zebrała się u stóp mężczyzny. Zwinka dostała nagle gwałtownego ataku potwornych mdłości.

Skrytobójca przyglądał jej się uważnie, po czym z trzaskiem schował miecz z powrotem do pochwy. I, co zadziwiające, odszedł, podążył za pozostałą dwójką, a za nim unosił się słaby powidok. Nie odezwał się ani słowem, a jego kroki na dywanie były niemal bezgłośnie – jak lekki wietrzyk w porównaniu z tupaniem pozostałych dwojga, które wciąż dobiegało z pewnej odległości.

Po chwili cała trójka weszła na schody i zniknęła.

– Na burze! – Zwinka padła plecami na dywan. – Burzowa Matko Świata i Ojcie Burz! Prawie umarłam ze strachu.

– Wiem! Czy słyszałaś, jak nie piszczę?

– Nie.

– Byłem zbyt przerażony, żeby wydać z siebie dźwięk!

Zwinka usiadła i otarła pot z czoła.

– A niech to. W porządku, no... to było coś. O czym rozmawiali?

– Och! – powiedział Wyndle, jakby zupełnie zapomniał o swojej misji. – Panienko! Oni

przeprowadzili całą analizę! Tygodnie badań, by zidentyfikować dziwne rzeczy w mieście.

– Cudownie. I do jakich wniosków doszli?

– Nie wiem.

Zwinka znów osunęła się na ziemię.

– Mówili o mnóstwie rzeczy, których nie rozumiałem. Ale, panienko, oni wiedzą, kim jest ta osoba!

Właśnie kierują się w tamtą stronę. Żeby przeprowadzić egzekucję. – Trącił ją pędem. – Czyli... może pójdziemy za nimi?

– Tak, jasne. Pewnie możemy to zrobić. Nie powinno być zbyt trudne, prawda?



16

Okazało się bardzo trudne.

Nie mogła się za bardzo zbliżyć, bo korytarze zrobiły się dziwnie puste. Do tego wszędzie było mnóstwo rozgałęziających się dróg, z bocznymi korytarzykami i salkami. Jeśli dodać do tego jeszcze to, że na ścianach nie było zbyt wielu kul, śledzenie tej trójki okazało się naprawdę dużą sztuką.

Ale poradziła sobie. Przeszła za nimi przez cały głodowy budynek, aż dotarli do drzwi prowadzących do miasta. Zwince udało się wyślizgnąć przez okno w pobliżu drzwi i spadła między jakieś rośliny obok zewnętrznych schodów. Kulila się tam, kiedy trójka ludzi, których śledziła, znalazła się na podeście wznoszącym się nad miastem.

Na burze, jak dobrze było znów oddychać świeżym powietrzem, choć chmury zasłaniały zachodzące słońce. Całe miasto wydawało się teraz chłodne. Zacienione.

I było puste.

Wcześniej ludzie tłoczyli się na schodach i rampach prowadzących do Wielkiego Incydentu. Teraz pozostali na nich tylko pojedynczy maruderzy, a i oni znikali pośpiesznie, wbiegali do środka w poszukiwaniu schronienia.

Skrytobójca spojrzał w stronę zachodu.

– Nadchodzi burza.

– Tym bardziej powinniśmy się pośpieszyć – stwierdziła kobieta.

Wyjęła kulę z kieszeni, uniosła ją przed sobą i wciągnęła światło. Wpłynęło w nią i zaczęła świecić wspaniałością.

I uniosła się w powietrze.

Uniosła się w głodowe powietrze!

Oni mogą latać? – pomyślała Zwinka. Dlaczego, na Potępienie, ja nie mogę latać?

Jej towarzysz uniół się obok niej.

– Idziesz, skrytobójco?

Kobieta spojrzała z góry na podest i mężczyznę w bieli.

– Już tańczyłem w tej burzy – szepnął. – W dniu, kiedy umarłem. Nie.

– W takim tempie nigdy nie dostaniesz się do zakonu.

Mężczyzna zachował milczenie. Dwoje latających ludzi popatrzyło po sobie, mężczyzna wzruszył ramionami. Wznieśli się wyżej i wystrzelili ponad miastem, unikając konieczności kroczenia przez tunele.

Na burzę, mogli latać.

– To na ciebie polują, prawda? – spytał skrytobójca.

Zwinka skrzywiła się, po czym wstała i spojrzała ponad krawędzią podestu na skrytobójcę.

Mężczyzna odwrócił się i popatrzył na nią.

– Jestem nikim – powiedziała.

– On zabija takich jak ty.

– A ty nie?

– Ja zabijam królów.

– Co jest o wiele lepsze.

Zmrużył oczy i przykucnął. Ukryty w pochwie miecz trzymał na ramionach i oparł na nim dłonie.

– Nie. Wcale nie. Kiedy tylko widzę cię, słyszę ich krzyki, ich żądania. Dręczą mnie, sięgają do mojego umysłu, pragną odebrać mi zdrowy rozum. Obawiam się, że już zwyciężyli, że mężczyzna, z którym rozmawiasz, już nie umie odróżnić, co jest głosem szalonego majaczenia, a co nie.

– Jaaasne. Ale mnie nie zaatakowałeś.

– Nie. Miecz cię lubi.

– Cudownie. Ja też lubię miecz. – Spojrzała w niebo. – Hm... wiesz, dokąd oni się udali?

– Raport opisywał mężczyznę, który według doniesień kilkunastu osób zniknął. Wchodził w uliczkę, która okazywała się pusta, kiedy ktoś inny podążył za nim. Ludzie twierdzili, że jego twarz zmieniała się w twarz kogoś innego. Moi towarzysze wierzą, że jest kimś, kogo nazywa się Tkaczem Światła, więc należy go powstrzymać.

– Czy to legalne?

– Nin dostał od księcia nakaz sądowy zakazujący używania Wiązania Mocy w całym kraju, poza osobami upoważnionymi. – Wpatrzył się w Zwinkę. – Jak mi się wydaje, po doświadczeniach z tobą Herold uznał, że należy zwrócić się od razu do samej góry, zamiast bawić się z władzami lokalnymi.

Zwinka spojrzała na miejsce, w którym zniknęła pozostała dwójka. Niebo ciemniało coraz bardziej, złowrogi znak.

– On się myli, prawda? Ten, o którym mówisz, że jest Heroldem. Mówi, że Pustkowcy nie wrócili, ale oni wrócili.

– Nowa burza to potwierdza. Ale... kimże jestem, żeby tak mówić? Jestem szalony. Z drugiej strony sądzę, że Herold też. Zgadza się, że umysłem ludzi nie można ufać. Że potrzebujemy czegoś większego, czym możemy się kierować, co będzie naszym przewodnikiem. Ale nie mój kamień... Jakim dobrem jest dążenie do większego prawa, kiedy prawo może być kaprysem człowieka głupiego lub bezwzględnego?

– Jaaasne. Yyy, możesz być zwariowany, jeśli tylko chcesz. Nie przeszkadza mi to. Lubię zwariowanych ludzi. To naprawdę zabawne, kiedy liżą ściany, jedzą kamienie i inne takie. Ale nim zaczniesz tańczyć, może mógłbyś mi powiedzieć, dokąd udała się tamta dwójka?

– Nie przegonisz ich.

– W takim razie nic się nie stanie, jeśli mi powiesz, prawda?

Skrytobójca uśmiechnął się, choć to uczucie nie sięgnęło jego oczu.

– Mężczyzna, który umie zniknąć, rzekomy Tkacz Światła, to stary filozof dobrze znany w dzielnicy imigrantów. Przez większość czasu siedzi w małym amfiteatrze i rozmawia z każdym, kto chce go słuchać. To w pobliżu...

– ...Sierocińca Światło Tashiego. Na burzę. Powinam się domyślić. On jest prawie tak dziwny jak ty.

– Będziesz z nimi walczyć, mała Świetlista? – spytał skrytobójca. – Ty, samotna, przeciwko dwóm czeladnikom Niebiańskim? I Heroldowi czekającemu za kulisami?

Spojrzała na Wyndle'a.

– Nie wiem. Ale i tak muszę iść, prawda?



Zwinka przywołała wspaniałość. Sięgnęła w głąb mocy, przyzywając siłę, prędkość i Śliskość. Uczniom Ciemności nie przeszkadzało, że ktoś zobaczy ich lot, więc Zwinka uznała, że jej też nie przeszkadzają świadkowie.

Odskoczyła od skrytobójcy, sprawiła, że jej stopy stały się Śliskie, i wylądowała na pochylni biegnącej wzdłuż schodów okrążających budynek. Zamierzała popędzić w stronę miasta, ześlizgując się obok stopni.

Oczywiście wszystko trwało jakąś sekundę, zanim nogi jej się rozjechały i uderzyła krocem o kamienie. Wzdrygnęła się z bólu, na więcej nie miała czasu, bo zaczęła koziółkować i spadła z wysokich schodów.

Po chwili wylądowała z chrzęstem na samym dole zwinięta w kupkę nieszczęścia. Wspaniałość sprawiła, że nie stała jej się duża krzywda, więc zignorowała zmartwione okrzyki Wyndle'a, który pełził po ścianie w jej stronę. Przekręciła się i podniosła na czworaki, po czym ruszyła biegiem w stronę drogi, która miała zaprowadzić ją do sierocińca.

Musiała sobie z tym poradzić! Normalny bieg był zbyt wolny. Jej wrogowie dosłownie lecieli.

Oczyma duszy widziała, jak to powinno wyglądać. Całe miasto opadało w dół od centralnego wzniesienia z Wielkim Interesem. Powinna zacząć się ślizgać na Śliskich stopach i popędzić niemal zupełnie pustą ulicą, a po drodze odpychać się rękami od ścian i budynków, cały czas zwiększając prędkość.

Powinna być jak strzała w locie, wycelowana i niepowstrzymana.

Widziała to – ale nie umiała zrealizować. Znow zaczęła się ślizgać, ale nogi jej się rozjechały. Tym razem poleciały do tyłu, a ona padła twarzą na kamień. Zobaczyła rozbłysk bieli. Kiedy podniosła wzrok, pusta ulica falowała, ale wspaniałość wkrótce ją uzdrowiła.

Ciemna ulica była jedną z głównych dróg, ale wydawała się opustoszała. Ludzie wciągnęli do środka markizy i wózki, pozostawiając śmieci. Ściany ją przytłaczały. Wszyscy wiedzieli, że w czasie burzy należało się trzymać z dala od kanionów, żeby nie dać się porwać wezbranej wodzie. A oni wybudowali całe głodowe miasto, rażąco naruszając tę zasadę.

Z tyłu rozległo się dudnienie. Przed nadejściem burzy biednego szalonego staruszka czekały odwiedziny dwóch przekonanych o własnej prawości zabójców. Chciała to powstrzymać. Musiała to powstrzymać. Nie wiedziała dlaczego.

Dobrze, Zwinko. Uspokój się. Możesz być wspaniała. Zawsze byłaś wspaniała, a teraz masz tę dodatkową wspaniałość. Ruszaj. Uda ci się.

Z warknięciem zerwała się do biegu, a później ustawiła bokiem i zaczęła ślizgać. Mogła i zamierzała...

Tym razem na skrzyżowaniu otarła się o róg muru i wylądowała rozciągnięta na ziemi, z nogami wzniesionymi do nieba. Z frustracją uderzyła głową o ziemię.

– Panienko? – Wyndle zwinął się obok niej. – Och, nie podoba mi się dźwięk tej burzy.

Wstała – czuła się zawstydzona i bynajmniej nie wspaniała – i postanowiła zwyczajnie przebiec resztę drogi. Moce pozwalały jej biec bardzo szybko i się nie męczyć, ale czuła, że to nie wystarczy.

Wydawało się, że minęły całe wieki, nim stanęła przed sierocińcem otoczona wyczerpaniosprenami. Wspaniałość skończyła jej się tuż przed dotarciem na miejsce, a w brzuchu jej burczało. Amfiteatr oczywiście był pusty. Po lewej miała wykuty w skale sierociniec, a przed sobą ławki niewielkiego amfiteatru. Za nim ciemna uliczka, drewniane szopy i budynki zasłaniające widok.

Niebo pociemniało, choć nie wiedziała, czy z nadejściem zmierzchu, czy burzy.

W głębi uliczki Zwinka usłyszała niski, chrapliwy okrzyk bólu. Przeszedł ją dreszcz.

Wyndle miał rację. Skrytobójca miał rację. Co ona wyprawiała? Nie mogła pokonać dwóch wyszkolonych i wspaniałych żołnierzy. Wyczerpana osunęła się na ziemię pośrodku amfiteatru.

– Wchodzimy? – spytał Wyndle.

– Nie mam mocy – szepnęła Zwinka. – Zużyłam ją, biegnąc tutaj.

Czy tamta uliczka zawsze wydawała się taka... głęboka? Z cieniami bud, okrywających je tkanin i wystających kawałków drewna wyglądała jak rozciągnięta barykada, przez którą prowadziły jedynie wąziutkie przejścia. Wydawała się zupełnie innym miejscem niż reszta świata. Była ciemną i ukrytą krainą, która mogła istnieć jedynie w cieniach.

Zwinka wyprostowała się niepewnie i ruszyła w stronę uliczki.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyknął ktoś.

Zwinka odwróciła się i zobaczyła Pniak stojącą w drzwiach sierocińca.

– Miałaś pójść do jednego z bunkrów! Głupi dzieciak. – Kobieta podeszła bliżej, chwyciła Zwinke za ramię i pociągnęła do sierocińca. – Nie myśl, że zajmę się tobą tylko dlatego, że tu jesteś. Nie ma tu miejsca dla takich jak ty. I nie udawaj, że jesteś chora albo zmęczona. Wszyscy zawsze udają, żeby dostać to, co mamy.

Mimo tych słów wprowadziła Zwinke do sierocińca, zamknęła za nią duże drewniane drzwi i opuściła zasuwę.

– Ciesz się, że wyjrzałam, żeby zobaczyć, kto krzyczy. – Przyjrzała się Zwince i westchnęła głośno. – Pewnie będziesz chciała dostać coś do jedzenia. Został mi jeszcze jeden posiłek. Zastanawiam się, czy nie oddać go innym dzieciom. Naprawdę, po takim dowcipie. Stać na zewnątrz i krzyczeć? Powinnaś pójść do jednego z bunkrów. Jeśli myślisz, że udawanie opuszczonej zaskarbi ci moją litość, bardzo się mylisz.

Odeszła, mamrocząc pod nosem. Pomieszczenie tuż za drzwiami było duże i wypełniały je dzieci siedzące na matach. Oświetlała je pojedyncza rubinowa kula. Dzieci wydawały się przerażone, niektóre tuliły się do siebie. Jeden chłopiec zasłonił uszy i zajęczał, kiedy na zewnątrz rozległ się grzmot.

Zwinka opadła na wolną matę. Czuła się dziwnie, nie na miejscu. Dobiegła aż tutaj, emanując mocą, gotowa stawić czoło potworom, które latały po niebie. Ale tutaj... tutaj była jedynie kolejnym

osieroconym ulicznikiem.

Zamknęła oczy i słuchała dzieci.

– Boję się. Czy ta burza długo potrwa?

– Dlaczego wszyscy musieli wejść do środka?

– Tęsknię za mamusią.

– A co ze staruszkami w uliczce? Nic im nie będzie?

Ich niepewność odbijała się echem w Zwince. Była tutaj. Po śmierci matki była tutaj. Była tu dziesiątki razy, w miastach w całej krainie. Miejscach dla zapomnianych dzieci.

Złożyła przysięgę, że będzie pamiętać ludzi takich jak oni. Nie zamierzała jej składać, to się po prostu wydarzyło. Podobnie jak wszystko inne w jej życiu właściwie wydarzyło się samo.

– Chcę panowania – szepnęła.

– Panienko?

– Wcześniej powiedziałeś mi, że nie wierzysz, że przybyłam tutaj z powodów, które wymieniłam.

Spytałeś mnie, czego chcę.

– Pamiętam.

– Chcę panowania. – Otworzyła oczy. – Nie jak król czy coś w tym rodzaju. Chciałabym tylko móc odrobinę nad nim zapanować. Moim życiem. Nie chcę być popychana, przez ludzi, los czy cokolwiek. Ja tylko... chcę, żebym to ja wybierała.

– Niewiele wiem o tym, jak działa wasz świat, panienko. – Wyndle zwinął się na ścianie i stworzył twarz, która zawisała obok niej. – Ale to się wydaje rozsądnym pragnieniem.

– Posłuchaj, jak mówią te dzieci. Słyszysz je?

– Boją się burzy.

– I nagłego wezwania, by się ukryć. I samotności. Są takie niepewne...

Z drugiego pomieszczenia dobiegał głos Pniak, rozmawiającej cicho z jednym ze starszych pomocników.

– Nie wiem. To nie dzień arcyburzy. Wystawię kule na górze, na wszelki wypadek. Chciałabym, żeby ktoś nam powiedział, co się dzieje.

– Nie rozumiem, panienko. Co mogę zyskać na takiej obserwacji?

– Cicho, Pustkowcu.

Wciąż słuchała. Słyszała. Nagle otworzyła oczy, zmarszczyła czoło i wstała. Przeszła na drugą stronę sali.

Chłopiec z blizną na twarzy rozmawiał z innym chłopcem. Podniósł wzrok na Zwinę.

– Cześć – powiedział. – Znam cię. Widziałeś moją mamę, prawda? Czy mówiła, kiedy po mnie wróci?

Jak on miał na imię?

– Mik?

– Tak. Posłuchaj, nie pasuję tu, prawda? Nie pamiętam zbyt dobrze ostatnich kilku tygodni, ale... to znaczy nie jestem sierotą. Wciąż mam mamę.

To był on, chłopiec porzucony poprzedniego wieczoru. Wtedy się śliniłeś, pomyślała Zwinka. A nawet w porze obiadu gadałeś jak idiota. Na burze. Co ja ci zrobiłam? Nie mogła uzdrawiać ludzi, którzy mieli pomieszane w głowie, a w każdym razie tak myślała. Czym on się różnił? Czy to dlatego,

że on się taki nie urodził, tylko został ranny w głowę?

Nie pamiętała, by go uzdrowiła. Na burze... Powiedziała, że chce panować, ale nie wiedziała nawet, jak używać tego, co miała. Jej bieg do tego miejsca to udowodnił.

Pniak weszła do środka z dużym talerzem i zaczęła rozdawać dzieciom placuszki. Zwince dała dwa. Pogroziła jej palcem.

– To ostatni.

– Dzięki – mruknęła Zwinka, kiedy Pniak ruszyła dalej.

Placuszki były zimne i ze słodkim nadzieniem. Jej ulubione. Może Pniak nie była aż tak zła.

Jest złodziejem i łotrem, przypomniała sobie Zwinka, jedząc i odzyskując wspaniałość. Pierze kule i wykorzystuje sierociniec jako przykrywkę. Ale może nawet złodziej i łotr mógł zrobić przy okazji coś dobrego.

– Jestem taki zdezorientowany – powiedział Wyndle. – Panienko, co myślisz?

Spojrzała w stronę grubych drzwi prowadzących na zewnątrz. Staruszek był już pewnie martwy. Nikogo to nie będzie obchodzić, nikt nie zauważy. Jeden stary mężczyzna znaleziony martwy po burzy.

Ale Zwinka... Zwinka będzie go pamiętać.

– Chodź – powiedziała.

Podeszła do drzwi. Kiedy Pniak odwróciła się do niej plecami, żeby złajać jedno z dzieci, Zwinka podniosła zasuwę i wyslizgnęła się na zewnątrz.



Głodne niebo dudniło na górze ciemne i rozzłoszczone. Zwinka знаła to uczucie. Zbyt wiele czasu między posiłkami i poszukiwania czegokolwiek do zjedzenia, niezależnie od ceny.

Burza jeszcze do nich nie dotarła, ale odległe błyskawice wskazywały, że ta nowa nawałnica nie ma ściany. Jej nadejście nie było nagłym, majestatycznym wydarzeniem, ale raczej powolnym skradaniem. Czaiła się jak zbir w bocznej uliczce, z wyciągniętym nożem, czekając na nadejście ofiary.

Zwinka wyszła na uliczkę obok sierocińca, po czym wślizgnęła się w głąb, przechodząc między budami, które wydawały się zbyt liche, by wytrzymać arcyburzę. Nawet jeśli miasto zostało wybudowane tak, by do minimum zmniejszyć siłę wiatru, tu było mnóstwo śmiecia. Szczególnie mocne kichnięcie mogłoby pozbawić połowę mieszkańców uliczki dachu nad głową.

Oni też to sobie uświadamiali, gdyż większość udała się do burzowych bunkrów. Zwinka od czasu do czasu zauważała twarz wyglądającą podejrzliwie spomiędzy szmat zasłaniających okna, obok nich z ziemi wyrastały niecierpliwospreny jak czerwone wstęgi. Ci ludzie byli zbyt uparci, a może zbyt szaleni, by się przejmować. Nie mogła mieć do nich pretensji. Rząd wydaje nagłe, przypadkowe rozkazy i spodziewa się, że wszyscy rzucą się je wypełniać? Ona zwykle ignorowała takie rzeczy.

Tyle tylko, że powinni przecież widzieć niebo, słyszeć grzmot. Okolicę rozświetliła czerwona błyskawica. Dziś ci ludzie powinni posłuchać.

Zagłębiła się nieco bardziej w uliczkę i znalazła w miejscu pełnym niejasnych cieni. Chmury nad głową – i fakt, że wszyscy zabrali swoje kule – sprawiały, że mrok był niemal nieprzenikniony. Panowała cisza, jedyne odgłosy pochodziły z nieba. Na burzę, czy staruszek naprawdę tu był? Może ukrył się bezpiecznie w bunkrze. Tamten krzyk wcześniej mógł nie mieć żadnego związku, prawda?

Nie, pomyślała. Miał go. Poczula, że znów przechodzi ją dreszcz. Cóż, nawet jeśli stary mężczyzna tu był, jak miała znaleźć jego ciało?

– Panienko – szepnął Wyndle. – Och, panienko, nie podoba mi się to miejsce. Coś tu jest nie tak.

Wszystko było nie tak, i to od czasu, gdy Ciemność zaczął na nią polować. Zwinka ruszyła dalej, mijając cienie, które pewnie były praniem rozwieszonym na sznurku między budami. W mroku wyglądały jak powykęcane, połamane ciała. Kolejna błyskawica nadchodzącej burzy nie pomogła – czerwony blask sprawił, że ściany i budy wyglądały jak zalane krwią.

Jak długa była ta uliczka? Zwinka poczuła ulgę, kiedy w końcu potknęła się o coś na ziemi. Kiedy sięgnęła w dół, poczuła okrytą materiałem rękę. Ciało.

Będę cię pamiętać, pomyślała Zwinka, nachyliła się i zmrużyła oczy, próbując wyodrębnić sylwetkę staruszka.

– Panienko... – jęknął Wyndle.

Poczuła, jak owija się wokół jej nogi i zaciska, jak dziecko mocno trzymające matkę.

Co to było? Nadstawiła uszu, gdy ciszę uliczki zakłóciły trzaski i drapania. Otaczały ją. I wtedy Zwinka zorientowała się, że ciała, które macała, nie otulała shiqua. Tkanina na ramieniu była zbyt sztywna, zbyt gruba.

Matko, pomyślała Zwinka z przerażeniem. Co się dzieje?

Błyskawica pozwoliła jej spojrzeć na trupa. Oczy kobiety wpatrywały się ślepo w niebo. Czarno-biały mundur, któremu błyskawica nadała szkarłatny odcień, pokrywała jakaś jedwabista substancja.

Zwinka sapnęła i odskoczyła, wpadając na coś z tyłu – kolejnego trupa. Obróciła się gwałtownie, a wtedy te trzeszczące odgłosy przybrały na sile, jakby podekscytowane. Kolejna błyskawica była dość jasna, by Zwinka mogła zobaczyć ciało przyciśnięte do ściany uliczki, umocowane do boku budy, z przechyloną głową. Znała go, tak samo jak kobietę na ziemi.

Dwoje sługusów Ciemności, pomyślała. Są martwi.

– Kiedyś, kiedy podróżowałem przez kraj, którego ty nigdy nie odwiedzisz, wpadłem na ciekawy pomysł.

Zwinka znieruchomiała. To był głos starego mężczyzny.

– Jest grupa ludzi, która wierzy, że każdego dnia, kiedy śpią, umierają. Wierzą, że świadomość nie jest trwała... że jeśli zostaje przerwana, w chwili przebudzenia ciała rodzi się nowa dusza.

Burze, burze, BURZE, pomyślała Zwinka, obracając się na pięcie. Wydawało jej się, że ściany się poruszają, przesuwają, ślizgają, jakby pokrywała je oliwa. Próbowwała cofnąć się od trupów, ale... nie wiedziała już, gdzie były. Czy przyszła z tamtej strony, czy ta droga prowadziła dalej w głąb uliczki?

– Z tą filozofią z pewnością wiążą się pewne problemy, przynajmniej dla obserwatora z zewnątrz. A co z pamięcią i ciągłością kultury, rodziny, społeczeństwa? Cóż, ominthowie uczą, że wszystko to rzeczy, które dziedziczy się po poprzedniej duszy zamieszkującej twoje ciało. Pewne struktury mózgu zawierają wspomnienia, by pomóc ci jak najlepiej przeżyć jedyny dzień twojego życia.

– Czym jesteś? – szepnęła Zwinka, rozglądając się gorączkowo dookoła i próbując zorientować się w ciemnościach.

– Najbardziej w tych ludziach interesuje mnie to, że w ogóle wciąż istnieją. Można by założyć, że gdyby każdy człowiek szczerze wierzył, iż ma tylko jeden dzień do przeżycia, doprowadziłoby to do chaosu. Zawsze się zastanawiałem, jak o was świadczy fakt, że ci ludzie z tak dramatycznymi wierzeniami prowadzą życie, które zasadniczo nie różni się od życia wszystkich pozostałych.

Tam, pomyślała Zwinka, zauważając go w cieniach. Sylwetka mężczyzny, choć kiedy oświetliła go błyskawica, dziewczynka zorientowała się, że jest niekompletny. Brakowało mu kawałków ciała. Jego prawy bark kończył się kikutem i, na burzę, mężczyzna był nagi, a w brzuchu i udach miał dziwne otwory. I tylko jedno oko. Nie widziała jednak żadnej krwi, a dzięki kolejnym błyskawicom zauważyła coś, co wspinało się po jego nogach. Kremliki.

To był ten odgłos. Ściany pokrywały tysiące tysięcy kremlików, każdy wielkości palca. Malutkie chitynowe stworki poruszały się z trzaskiem i stąd ten koszmarny dźwięk.

– Problem z tą filozofią polega na tym, że trudno jej zaprzeczyć. Skąd wiesz, że jesteś tą samą osobą, co wczoraj? Nigdy byś nie wiedziała, czy twoje ciało zamieszkała nowa dusza, jeśli tylko miałyby te same wspomnienia. Ale też... jeśli zachowuje się tak samo i myśli, że jest tobą, czy ma to jakiegokolwiek

znaczenie? Jak to jest być tobą, mała Świetlista?

W blasku kolejnych coraz częstszych błyskawic patrzyła, jak jeden z kremlików wspina się na jego twarz – na grzbiecie miał bulwiasty wyrostek. Stwór wczołgał się w oczodół i wtedy Zwinka zorientowała się, że narodziło się oko. Stada innych kremlików zaczęły wypełnić otwory i tworzyć brakującą rękę. Każdy miał na grzbiecie fragment czegoś, co przypominało skórę. Wystawiał go na zewnątrz, a odnóżami łączył się z pozostałymi we wnętrzu ciała.

– Dla mnie to jedynie jałowa teoria, bo w przeciwieństwie do ciebie nie śpię. A przynajmniej nie śpimy wszyscy naraz.

– Czym jesteś?

– Kolejnym uciekinierem.

Zwinka się cofnęła. Nie przejmowała się już, czy wraca, skąd przyszła – o ile tylko mogła oddalić się od tego stwora.

– Nie musisz się mnie bać – powiedział starzec. – Twoja wojna jest moją wojną i tak było od tysiącleci. Starożytni Świetliści nazywali mnie przyjacielem i sojusznikiem, zanim wszystko się popsuło. Cóż to były za cudowne dni, przed Ostatnim Spustoszeniem. Dni... honoru. Dawno przeminęły.

– Zabiłeś tych dwóch ludzi! – syknęła.

– W samoobronie. – Zaśmiał się. – Pewnie to kłamstwo. Nie byli zdolni mnie zabić, więc nie mogę utrzymać, że zrobiłem to w samoobronie, tak samo jak nie mógłby zrobić tego żołnierz, który zamordował dziecko. Ale poprosili, w krótkich słowach, o pojedynek... a ja spełniłem ich prośbę.

Ruszył w jej stronę. W blasku błyskawicy Zwinka zobaczyła, jak porusza palcami swojej nowo utworzonej dłoni, a kciuk – samotny kremlik z cienkimi odnóżami – sadowi się na swoim miejscu i wiąże z pozostałymi.

– Ale ty nie przyszedłeś tu walczyć, prawda? Obserwujemy pozostałych. Skrytobójca. Chirurg. Kłamczyni. Arcyksiążę. Ale nie ciebie. Inni cię ignorują... a ja odważę się przypuszczać, że to błąd.

Wyjął kulę, zalewając okolicę widmowym blaskiem, i uśmiechnął się do niej. Widziała linie przecinające jego skórę w miejscu, w którym kremliki łączyły się ze sobą, ale ślady te niemal ginęły pośród zmarszczek starego ciała.

To jednak była tylko podobizna starca. Falsyfikat. Pod tą skórą nie było krwi ani mięśni, lecz setki kremlików, łączące się ze sobą, by stworzyć udawaną postać człowieka.

Wiele innych wciąż biegło po ścianach teraz oświetlanych przez kulę. Zwinka zorientowała się, że jakimś sposobem okrążyła ciało zabitego mężczyzny i cofa się w ślepą uliczkę między dwoma budami. Podniosła wzrok. Wspięcie się na nie nie powinno sprawić jej kłopotu, skoro miała światło.

– Jeśli uciekniesz – zauważył stwór – on zabije tego, którego próbowałaś ocalić.

– Jestem pewna, że tobie nic się nie stanie.

Potwór się roześmiał.

– Tych dwoje głupców się pomyliło. To nie na mnie poluje Nale, on wie, że powinien trzymać się z dala ode mnie i moich rodaków. Nie, jest ktoś jeszcze. On podąża za tą osobą i tej nocy wypełni zadanie. Nale, szaleniec, Herold Sprawiedliwości, nie pozostawia niedokończonych zadań.

Zwinka zawahała się z rękami na krawędzi dachu budy, gotowa podciągnąć się i zacząć wspinaczkę. Kremliki na ścianie – nigdy nie widziała tak wielu jednocześnie – rozbiegły się na boki, robiąc jej

przejsście.

Wiedział, że powinien pozwolić jej uciec, gdyby tego chciała. Sprytny potwór.

W pobliżu, zalany chłodnym blaskiem, który w porównaniu z wcześniejszym mrokiem wydawał się Zwince jasny jak ognisko, stwór rozłożył czarną szatę shiqua. Zaczął owijać ją wokół prawego ramienia.

– Podoba mi się to miejsce – wyjaśnił. – Gdzie indziej miałbym powód zakrywać całe ciało? Spędziłem tysiąclecia, hodując swoją hordę, a i tak nie pasują do siebie idealnie. Przypuszczam, że obecnie umiem udawać człowieka równie dobrze, jak Siahowie, ale gdyby ktoś przyjrzał się uważnie, zauważyłby, że coś jest nie tak. To dość frustrujące.

– Co wiesz o Ciemności i jego planach? I Świetlistych, i Pustkowcach, i o wszystkim?

– Dość wyczerpująca lista. I muszę wyznać, że nie mnie powinnaś pytać. Moje rodzeństwo bardziej interesuje się Świetlistymi. Jeśli kiedykolwiek spotkasz innego z Bezsennych, powiedz im, że rozmawiałaś z Arclo. To ci z pewnością zaskarbi ich sympatię.

– To nie była odpowiedź, a w każdym razie nie taka, jakiej pragnęłam.

– Nie jestem tu po to, by odpowiadać na twoje pytania, człowieku. Jestem tu, bo mnie to interesuje, a ty wzbudzasz moją ciekawość. Kiedy zyskuje się nieśmiertelność, trzeba znaleźć jakiś cel poza walką o przetrwanie, jak zawsze powtarza stary Axies.

– Wydaje mi się, że znalazłeś cel w postaci długiego gadania. A przy tym nikomu nie pomagasz.

Wspięła się na szczyt budy, ale nie weszła wyżej. Wyndle wspinał się po ścianie obok niej, a kremliki uciekały przed nim. Wyczuwały go?

– Pomagam z czymś o wiele większym niż twój mały osobisty problem. Tworzę filozofię tak głęboką, by objąć całe epoki. Widzisz, dziecko, ja mogę sobie wyhodować to, czego potrzebuję. Mój umysł się zapełnia? Mogę wyhodować nową hordę wyspecjalizowaną w gromadzeniu wspomnień. Muszę wyczuć, co się dzieje w mieście? Rozwiązują to hordy z dodatkowymi oczami albo czułkami, które czują smak i słyszą. Z czasem mogę uczynić ze swojego ciała niemal wszystko, czego potrzebuję. Ale wy... wy utknęliście w jednym cielem. I jak sobie z tym radzicie? Zacząłem przypuszczać, że ludzie w mieście są częścią większego organizmu, którego nie widzą... jak te hordy, które tworzą mnie i moich rodaków.

– To wspaniałe. Ale wcześniej powiedziałaś, że Ciemność poluje na kogoś innego? Myślisz, że nadal nie zabił swojej ofiary w mieście?

– Och, jestem pewien, że tego nie zrobił. Właśnie na nią poluje. Już wie, że jego sługom się nie powiodło.

Burza dudniła nad jej głową, blisko. Zwinęło kusiło, żeby odejść, znaleźć schronienie. Ale...

– Powiedz mi. Kto to jest?

Stwór się uśmiechnął.

– Tajemnica. A my jesteśmy w Tashikku, czyż nie? Wymienimy się? Odpowiesz uczciwie na moje pytania, a ja dam ci wskazówkę.

– Dlaczego ja? Dlaczego nie męczysz swoimi pytaniami kogoś innego? W innym czasie?

– Ależ ty jesteś bardzo interesująca.

Owinał tkaniną pas, jedną nogę, później wrócił do góry i w taki sam sposób okrył drugą nogę. Kremliki krążyły wokół niego. Kilka wspięło się na twarz, jego oczy wypełzły na zewnątrz, a zastąpiły je inne – i w ten sposób z ciemnookiego stał się jasnookim.

Ubierając się, nie przerywał mówienia.

– Ty, Zwinko, jesteś inna niż wszyscy. Jeśli każde miasto jest istotą, to ty jesteś wyjątkowym narządem. Podróżujesz z miejsca na miejsce, niosąc ze sobą zmianę, przeobrażenie. Wy, Świetliści Rycerze... muszę wiedzieć, jak postrzegacie samych siebie. To będzie ważny element mojej filozofii.

Jestem wyjątkowa, pomyślała. Jestem wspaniała.

To dlaczego nie wiem, co robić?

Z ukrycia wypełził jej tajemny strach. Stwór wciąż mówił te dziwne rzeczy – o miastach, ludziach i ich miejscach. Wychwalał ją, ale Zwinka krzywiła się na każdą rzuconą od niechcienia uwagę o jej wyjątkowości. Burza prawie nadeszła, a Ciemność miał tej nocy kogoś zamordować. Ona mogła się jedynie kulić w obecności dwóch trupów i potwora stworzonego z małych wijących się elementów.

Posłuchaj, Zwinko. Czy ty słuchasz? Ludzie, oni już nie słuchają.

– Tak, ale jak miasto twoich narodzin wiedziało, że ma cię stworzyć? – mówił stwór. – Ja mogę wyhodować indywidualne elementy w zgodzie ze swoimi życzeniami. Co wyhodowało ciebie? I dlaczego to miasto było zdolne przywołać cię właśnie teraz?

Znów to pytanie. „Dlaczego tu jesteś?”

– A jeśli nie jestem wyjątkowa – szepnęła. – Czy to też w porządku?

Stwór przerwał i popatrzył na nią. Wyndle na ścianie zajęczał.

– A co, jeśli przez cały czas kłamałam. Jeśli nie jestem tak do końca wspaniała. A jeśli nie wiem, co robić?

– Jestem pewien, że pokieruje tobą instynkt.

„Jestem zagubiona, jak żołnierz na polu bitwy, który nie pamięta już swojego sztandaru”, powiedziała kapitan straży.

Słuchanie. Słuchała, prawda?

„W połowie przypadków odnoszę wrażenie, że nawet królów dezorientuje świat”. Głos skryby Ghenny.

Nikt już nie słuchał.

„Chciałabym, żeby ktoś nam powiedział, co się dzieje”. Głos Pniak.

– A jeśli się jednak mylisz? – szepnęła. – Jeśli „instynkt” nami nie kieruje? Jeśli wszyscy są przerażeni i nikt nie zna odpowiedzi?

Był to wniosek, który budził w niej zbyt wielką grozę, by się nad nim zastanawiać. Przerzązał ją.

Ale czy musiał? Spojrzała na mur, na Wyndle'a otoczonego przez trzaskające odnóżami kremliki. Jej własny mały Pustkowiec.

Słuchaj.

Zwinka poklepała go z wahaniem. Musiała po prostu... po prostu to zaakceptować, prawda?

Po chwili poczuła ulgę dorównującą przerażeniu. Była w ciemnościach, ale może jednak jej się uda.

Podniosła się.

– Opuściłam Azir, bo się bałam. Przybyłam do Tashikku, bo tak poniosły mnie moje głodowe nogi. Ale dziś wieczorem... dziś wieczorem postanowiłam przybyć tutaj.

– Co to za bzdury? – spytał Arclo. – Jak to pomaga mojej filozofii?

Przechyliła głowę, kiedy uderzyła w nią świadomość, jak nagły przyływ mocy. Hm. Tylko to sobie wyobraźcie, pomyślała.

– Ja... nie uzdrowiłam tego chłopca – szepnęła.

– Co?

– Pniak wymienia kule na takie o mniejszej wartości, pewnie bure na napelnione. Pierze pieniądze, bo potrzebuje Burzowego Światła, pewnie karmi się nim, choć nie wie, co robi! – Zwinka spojrzała z góry na Arclo i uśmiechnęła się szeroko. – Nie rozumiesz? Opiekuje się dziećmi, które urodziły się chore, pozwala im zostać. To dlatego, że jej moce nie wiedzą, jak je uzdrowić. Ale pozostali zdrowieją. Dzieje się tak bardzo często i ona zaczęła wierzyć, że dzieciaki udają chorobę, żeby dostać jedzenie. Pniak... jest Świetlistą.

Bezsenny stwór spojrział jej w oczy i westchnął.

– Porozmawiamy kiedy indziej. Podobnie jak Nale, nie zostawiam niedokończonych spraw.

Rzucił swoją kulę w głąb uliczki, a ona zabręczała o kamień i potoczyła się w stronę sierocińca. Oświetlała drogę Zwince, która zeskoczyła i ruszyła biegiem.



19

Błyskawica ją gonila. Wiatr wyl w tunelach miasta, wiatrospreny przelatowały obok niej, jakby uciekały przed nadejściem tej dziwnej burzy. Wiatr uderzał Zwinke w plecy, unosząc wokół niej kawałki papieru i odpadki. Dotarła do niewielkiego amfiteatru na końcu uliczki i odważyła się spojrzeć za siebie.

Zatrzymała się osłupiała.

Burza piętrzyła się na niebie – majestatyczny i straszliwy czarny front burzowy wypełniony czerwonymi błyskawicami. Był olbrzymi, dominujący nad całym niebem, przerażający mignięciami wewnętrznego blasku.

Zaczęły w nią uderzać krople deszczu i choć nie było ściany burzy, wichur był gwałtowny.

Wyndle rósł w kręgu wokół niej.

– Panienko? Panienko, och, to bardzo źle.

Cofnęła się urzeczona kłębiącą się masą czerni i czerwieni. Błyskawice padały nad tunelami, a grzmot uderzył w nią z taką siłą, że czuła się, jakby została odrzucona do tyłu.

– Panienko!

– Do środka.

Zwinka ruszyła w stronę drzwi sierocińca. Było tak ciemno, że ledwie widziała ścianę. Ale kiedy dotarła na miejsce, natychmiast zauważyła, że coś jest nie tak. Drzwi były otwarte.

Z pewnością zamknęli je po jej wyjściu? Wślizgnęła się do środka. Pomieszczenie z tyłu wypełniała nieprzenikniona ciemność, ale kiedy pomacała drzwi, wyczuła, że zasuw została rozcięta. Pewnie z zewnątrz i bronią, która gładko przecinała drewno. Ostrzem Odprysku.

Zwinka drżącymi rękami wymacała odcięty kawałek zasuw na podłodze i z trudem umieściła go na miejscu, zamykając drzwi. Odwróciła się i nasłuchiwała. Słyszała jęki dzieci, stłumione łkanie.

– Panienko – szepnął Wyndle. – Nie możesz z nim walczyć.

Wiem.

– Są Słowa, które musisz wypowiedzieć.

Nie pomogą.

Tej nocy Słowa były najprostsze.

Trudno było nie przyjąć strachu, który wypełniał dzieci. Zwinka poczuła, że drży, i zatrzymała się w okolicach środka sali. Nie mogła się skradać, potykając się o dzieci, jeśli miała powstrzymać Ciemność.

Gdzieś daleko w wielopiętrowym sierocińcu słyszała stukanie. Stanowcze kroki na drewnianej

podłodze pierwszego piętra.

Zwinka sięgnęła po wspaniałość i zaczęła emanować blaskiem. Światło wznosiło się z jej skóry jak para z gorącej blachy. Nie było bardzo jasne, ale w tym całkowicie czarnym pomieszczeniu wystarczyło, by pokazać jej dzieci, które wcześniej słyszała. Ucichły, wpatrując się w nią z podziwem.

– Ciemność! – zawołała Zwinka. – Ten, którego zwą Nin albo Nale! Nakku, Sędzio! Jestem tutaj.

Kroki na górze ucichły. Zwinka przeszła przez salę, wkroczyła do kolejnego pomieszczenia i spojrzała na schody.

– To ja! – krzyknęła. – Ta, którą próbowałeś zabić w Azirze... i ci się nie udało.

Drzwi od strony amfiteatru zagrzechotały, kiedy potrząsnął nimi wiatr, jakby ktoś z zewnątrz usiłował dostać się do środka. Znów rozległy się kroki i u szczytu schodów pojawił się Ciemność. W jednej dłoni trzymał ametystową kulę, a w drugiej błyszczące Ostrze Odprysku. Fioletowy blask oświetlał jego twarz od dołu, podkreślając linię brody i policzków, ale ukrywając oczy w cieniu. Wydawały się puste, jak oczodoły stwora, którego Zwinka spotkała na zewnątrz.

– Zaskakuje mnie, że zdecydowałaś się przyjąć wyrok. Sądziłem, że pozostaniesz w miejscu, które uważasz za bezpieczne.

– Ano! – odkrzyknęła. – Wiesz, w dniu, w którym Wszechmocny rozdawał ludziom mózgi? Wysłałam wtedy po podpłomyki...

– Przyszłaś tu w czasie arcyburzy. Jesteś uwięziona ze mną w środku, a ja znam twoje zbrodnie w tym mieście.

– Ale zdążyłam wrócić do czasu, kiedy Wszechmocny rozdawał urodę. Co zatrzymało ciebie?

Obelga nie miała żadnego efektu, choć była jedną z jej ulubionych. Ciemność wyglądał, jakby płynął – niczym dym, kiedy schodził po schodach, jego kroki stawały się coraz cichsze, a mundur falował na niewidzialnym wietrze. Na burzę, wyglądał tak oficjalnie w tym stroju z długimi mankietami i gładką kurtą. Jak uosobienie prawa.

Zwinka uciekła w prawo, z dala od dzieci, w głąb najniższej kondygnacji sierocińca. Z tamtej strony poczuła woń przypraw i pozwoliła, by nos doprowadził ją do ciemnej kuchni.

– Na ścianę – poleciała Wyndle’owi, który rósł obok wejścia.

Zdjęła bulwę z blatu, złapała się Wyndle’a i zaczęła wspinać. Zgasiała wspaniałość i trzymając się wąskich pędów, dotarła do miejsca, w którym ściana stykała się z sufitem.

Poniżej Ciemność wszedł do środka, spojrzał w prawo, a później w lewo. Nie patrzył w górę, więc kiedy zrobił krok do przodu, Zwinka opadła za nim.

Mężczyzna natychmiast się obrócił i zamachnął się trzymanym w jednej ręce Ostrzem Odprysku. Przecięło ścianę przy wejściu i przeleciało na szerokość palca od Zwinki, która rzuciła się do tyłu.

W chwili gdy upadła na podłogę, rozpała wspaniałość. Na śliskich plecach prześlizgnęła się do tyłu, jak najdalej od niego, aż uderzyła w ścianę tuż przy schodach. Rozplątała kończyny i na czworakach zaczęła się wspinać po stopniach.

Ciemność ruszył za nią.

– Jesteś obelgą dla zakonu, do którego się przyznajesz.

– Pewnie tak. Na burzę, przez większość czasu jestem obelgą dla samej siebie.

– Oczywiście, że tak. – Ciemność dotarł do podnóża schodów. – To zdanie nie ma znaczenia.

Pokazała mu język. Absolutnie racjonalny i rozsądny sposób walki z półbóstwem. Jemu to

najwyraźniej nie przeszkadzało, co nie zdziwiło Zwinki. Zamiast serca miał bryłę wosku z uszu. Cóż za tragedia.

Po jej lewej piętro sierocińca wypełniały mniejsze izby. Po prawej miała kolejne schody prowadzące wyżej. Zwinka rzuciła się w lewo, dławiąc się surowym korzennikiem, i zaczęła szukać Pniak. Czy Ciemność ją dopadł? W kilku pomieszczeniach były posłania dla dzieci. Czyli Pniak nie kazała im spać w tej jednej dużej sali – pewnie zebrały się tam z powodu burzy.

– Panienko! Czy masz plan?!

– Ja mogę stworzyć Burzowe Światło.

Zwinka sapnęła i wciągnęła trochę wspaniałości, sprawdzając jednocześnie salę po drugiej stronie korytarza.

– Tak. Zbijające z tropu, ale prawdziwe.

– A on nie. Kule są rzadkie, bo nikt nie spodziewał się burzy w połowie Płacz. Czyli...

– Ach... może uda się nam go zmęczyć!

– Wydaje mi się, że to najlepsze rozwiązanie. Ale możliwe, że będę musiała wrócić na dół i zdobyć więcej jedzenia.

Gdzie była Pniak? Żadnych śladów, żeby ukrywała się na tym piętrze, ale też żadnych śladów jej trupa.

Zwinka znów wyskoczyła na korytarz. Ciemność zajmował drugi koniec, w pobliżu schodów. Szedł powoli w jej stronę, Ostrze Odprysku trzymał w dziwnym odwróconym uchwycie, z niebezpiecznym sztychem zwróconym do tyłu.

Przygasiała wspaniałość i przestała emanować blaskiem. Musiała wyczerpać mężczyznę, a do tego może przekonać, że jej samej brakuje już energii.

– Przykro mi, że muszę to zrobić – powiedział. – Kiedyś przywitałbym cię jako siostrę.

– Nie. Tak naprawdę wcale nie jest ci przykro. Czy ty w ogóle jesteś zdolny poczuć coś takiego jak smutek?

Zatrzymał się w korytarzu, wciąż ścisnął w dłoni kulę, która dawała mu światło. Sprawiał wrażenie, że zastanawia się nad jej pytaniem.

Czas ruszać dalej. Nie mogła dać się przyprzeć do muru, co czasem oznaczało rzucenie się na gościa z głodowym Ostrzem Odprysku. Kiedy rzuciła się w jego stronę, przyjął postawę szermierczą i zrobił krok do przodu, by zadać cios.

Zwinka odepchnęła się w bok, pokryła Śliskością, uchyliła przed jego ciosem i prześlizgnęła po ziemi po lewej. Minęła go, ale czuła, że poszło jej zbyt łatwo. Ciemność uważnie odprowadzał ją wzrokiem. Spodziewał się, że jej nie trafi, była tego pewna.

Odwrócił się i znów ruszył w jej stronę, szybko zrobił krok do przodu, by uniemożliwić jej zejście na parter. Dzięki temu znalazła się blisko schodów prowadzących na górę. Ciemność chyba chciał, by udała się w tamtą stronę, więc Zwinka oparła się pokusie i ruszyła dalej korytarzem. Niestety, na tym końcu było tylko jedno pomieszczenie, nad kuchnią. Otworzyła drzwi kopnięciem i zajrzała do środka. Sypialnia Pniak, z toaletką i posłaniem na podłodze. Po samej kobiecie ani śladu.

Ciemność wciąż szedł w jej stronę.

– Masz rację. Wydaje się, że w końcu pozbyłem się ostatnich śladów poczucia winy, które kiedyś wywoływało we mnie wykonywanie moich obowiązków. Honor mnie przeppełnił, zmienił.

Spodziewałem się tego od dawna.

– Cudownie. Czyli teraz jesteś... jakimś pozbawionym uczuć sprenem?

– Ej – wtrącił Wyndle – to obelżywe.

– Nie. – Ciemność nie mógł usłyszeć Wyndle'a. – Jestem jedynie człowiekiem, udoskonalonym. –

Machnął w jej stronę swoją kulą. – Ludzie potrzebują światła, dziecko. Samotni jesteśmy w ciemnościach, nasze ruchy są przypadkowe, oparte na subiektywnych i zmiennych umysłach. Ale światło jest czyste i nie zmienia się pod wpływem naszych codziennych kaprysów. Poczucie winy z powodu precyzyjnego kierowania się kodeksem to zmarnowane uczucie.

– A inne uczucia nie są według ciebie marnotrawstwem?

– Jest wiele użytecznych uczuć.

– Które ty absolutnie masz, przez cały czas.

– Oczywiście, że tak... – Urwał i znów najwyraźniej rozważał jej słowa. Przechylił głowę.

Zwinka skoczyła do przodu i stała się Śliska. Pilnował drogi prowadzącej w dół, ale i tak musiała prześlizgnąć się obok niego i wrócić na parter. Złapać coś do jedzenia i zmusić go do biegania w górę i w dół, aż wyczerpie mu się moc. Spodziewała się, że on zamachnie się mieczem, i kiedy to zrobił, odepchnęła się w bok – jej całe ciało było Śliskie, poza dłonią, którą sterowała.

Ciemność upuścił kulę i poruszył się z zaskakującą szybkością, wybuchając blaskiem Burzowego Światła. Upuścił Ostrze Odprysku, które zniknęło, i wyrwał nóż z za pasa. Kiedy Zwinka go mijala, opuścił je gwałtownie i przyszpilił jej ubranie.

Na burzę! Jej wspaniałość wyleczyłaby normalną ranę. Gdyby spróbował ją złapać, byłaby za Śliska i wyslizgnęłaby się. Ale jego nóż wbił się w drewno i złapał ją za połą wierzchniej koszuli, zatrzymując ją gwałtownie. Ponieważ była tak Śliska, jedynie jakby się odbiła i wróciła do niego.

Wyciągnął rękę w bok i znów przywołał Ostrze, kiedy Zwinka gorączkowo próbowała się uwolnić. Nóż wbił się głęboko, a on przytrzymał go jedną ręką. Na burze, był silny! Zwinka ugryzła go w ramię, ale bezskutecznie. Usiłując oswobodzić się z koszuli, uczyniła Śliską siebie, ale nie materiał.

W jego dłoni pojawiło się Ostrze Odprysku, uniósł je. Zwinka szarpnęła się, na wpół oślepiona przez koszulę, którą miała częściowo na głowie. Ale czuła, jak to Ostrze opada w jej stronę...

Rozległ się trzask i Ciemność chrząknął.

Zwinka wyjrzała i zobaczyła Pniak stojącą na schodach prowadzących na górę. Kobieta trzymała w ręku długi kawał drewna. Ciemność potrząsnął głową, zamroczony, a wtedy Pniak uderzyła go ponownie.

– Zostaw moje dzieci w spokoju, ty potworze – warknęła.

Ociekała wodą. Zniosła kule na górę budynku, żeby je naładować. Oczywiście, że tam właśnie była. Wspominała o tym wcześniej.

Uniosła kawał drewna nad głowę. Ciemność westchnął i machnął Ostrzem, przecinając jej broń na pół. Wyciągnął sztylet z ziemi i uwolnił Zwinke. Tak!

I wtedy ją kopnął, a jej własna Śliskość sprawiła, że poleciała w głąb korytarza.

– Nie!

Zwinka zdjęła z siebie Śliskość, przetoczyła się i zatrzymała. Kręciło jej się w głowie, kiedy patrzyła, jak Ciemność odwraca się do Pniak, ściąga ją ze schodów i rzuca na ziemię. Staruszka z trzaskiem uderzyła o drewno i padła nieruchomo, bezwładnie.

I wtedy ją dźgnął – nie Ostrzem, ale nożem. Dlaczego? Dlaczego jej nie dobił?

Odwrócił się do Zwinki. Blask kuli, którą wcześniej upuścił, rzucał na niego cienie. W tej chwili przypominał potwora bardziej niż Bezsenna istota, którą Zwinka widziała w uliczce.

– Nadal żyje – powiedział do Zwinki. – Ale krwawi i jest nieprzytomna. – Kopnięciem odrzucił kulę na bok. – Ma moce od niedawna i nie umie jeszcze w takim stanie czerpać Burzowego Światła. Ciebie będę musiał przebić i upewnić się, że jesteś naprawdę martwa. Ale ta tutaj może się po prostu wykrwawić. To już się dzieje.

Mogę ją uzdrowić, pomyślała zdesperowana Zwinka.

Wiedział to. Próbował ją złapać na przynętę.

Już nie miała czasu pozbawiać go Burzowego Światła. Unosząc Ostrze Odprysku w stronę Zwinki, był teraz jedynie sylwetką. Ciemnością. Prawdziwą Ciemnością.

– Nie wiem, co robić – powiedziała.

– Wypowiedz Słowa – odezwał się Wyndle.

– Wypowiedziałam je, w sercu.

Jak one mogły pomóc?

Niewiele ludzi słuchało czegoś poza własnymi myślami. Ale jak mogło jej pomóc słuchanie w tym miejscu? Słyszała jedynie odgłos burzy na zewnątrz, błyskawice wprawiały kamień w drzenie.

Grzmot.

Nowa burza.

Nie mogę go pokonać.

Muszę go zmienić.

Słuchaj.

Zwinka ruszyła w stronę mężczyzny, przywołując resztki wspaniałości. Ciemność zrobił krok do przodu, w jednej ręce trzymał nóż, a w drugiej Ostrze Odprysku. Podeszła do niego, a on znów stanął na straży prowadzących na dół schodów. Najwyraźniej spodziewał się, że albo pójdzie w tamtą stronę, albo zatrzyma się przy nieprzytomnej Pniak i spróbuje ją uzdrowić.

Zwinka zrobiła coś innego. Prześlizgnęła się obok nich i wspięła po schodach, po których przed chwilą zeszła Pniak.

Ciemność zaklął i zamachnął się w jej stronę, ale nie trafił. Dotarła na drugie piętro, a on ruszył za nią.

– Zostawiasz ją na śmierć – ostrzegł i pobiegł za Zwinką, która znalazła mniejsze schody prowadzące jeszcze wyżej.

Miała nadzieję, że dotrze nimi na dach. Musiała zmusić mężczyznę, żeby podążył za nią.

Drogę blokowała jej kłapa w suficie, ale otworzyła ją. Wyszła na samo Potępienie.

Straszliwe wiatry i te koszmarnie czerwone błyskawice. Przerazająca burza z ostrym deszczem. „Dach” był tak naprawdę równiną nad miastem, a Zwinka nie widziała nawet klatki na kule. Deszcz był zbyt oślepiający, wicher zbyt straszliwy. Odeszła od kłapy i natychmiast musiała się skulić, złapać kamieni. Wyndle pisał, ale tworzył dla niej uchwyty, trzymał ją mocno.

Ciemność wyszedł na burzę przez otwór w skale. Zobaczył ją, zrobił krok do przodu i uniósł Ostrze Odprysku jak topór.

Zamachnął się.

Zwinka krzyknęła. Puściła pędy Wyndle'a i uniosła dłonie nad głowę.

Wyndle wydał z siebie długie, ciche westchnienie, rozpląnął się i przeobraził w kawałek srebrzystego metalu.

Zablokowała opadające Ostrze Ciemności własną bronią. Nie mieczem. Zwinka wiedziała o mieczach tyle co nic. Jej broń była srebrzystą laską. Świeciła w ciemnościach i zablokowała cios Ciemności, choć atak sprawił, że zadrżały jej ręce.

„Auć”, rozległ się głos Wyndle'a w jej głowie.

Deszcz uderzał wokół nich, a szkarłatne błyskawice przecinały niebo za Ciemnością, pozostawiając w oczach Zwinki ostre powidoki.

– Myślisz, że możesz ze mną walczyć, dziecko? – warknął, przyciskając Ostrze do jej laski. – Mną, który przeżyłem nieśmiertelne życia? Mną, który zabijał półbogów i przeżył Spustoszenia? Jestem Heroldem Sprawiedliwości.

– Będę słuchać – krzyknęła Zwinka – tych, którzy są ignorowani!

– Co takiego?

– Słyszałam, co powiedziałaś, Ciemności! Próbowalesz zapobiec Spustoszeniu. Obejrzyj się za siebie! Zaprzecz temu, co widzisz!

Błyskawice przecinały powietrze, w mieście rozległo się wycie. Po drugiej stronie pół rubinowy blask ukazał skuloną gromadkę. Żalospną grupkę. Biedni parshmeni, którzy zostali wygnani.

Czerwona błyskawica jakby się przy nich zatrzymała.

Ich oczy świeciły.

– Nie. – Po słowach Nale'a burza się na krótką chwilę wycofała. – To... izolowany przypadek. Parshmeni, którzy... którzy przeżyli ze swoimi formami...

– Zawiodłeś! – krzyknęła Zwinka. – Nadeszło.

Nale spojrzał na front burzowy, dudniący mocą, wypełniony czerwonym blaskiem.

W tej właśnie chwili wydawało się, że coś wyłoniło się z wnętrza mężczyzny.

Byłaby głupia, gdyby myślała, że w tych okolicznościach – deszcz, wiatry, czerwone błyskawice – mogła zobaczyć zmianę w jego oczach. Ale przysięgała, że tak właśnie było.

Skupiał się, jak człowiek budzący się z oszołomienia. Miecz wysunął się z jego palców i rozpląnął we mgle.

Mężczyzna opadł na kolana.

– Na burze. Jezrienie... Isharze... To prawda. Zawiodłem.

Pochylił głowę i zaczął płakać.

Zwinka opuściła laskę. Dyszała ciężko, czuła się lepka i obolała od deszczu.

– Zawiodłem przed wieloma tygodniami. Już wtedy wiedziałem. O Boże. Boże Wszechmocny. Powróciło!

– Przykro mi.

Podniósł wzrok na Zwinkę, na jego oświetlonej błyskawicami twarzy łzy mieszały się z deszczem.

– Powiedziałaś to szczerze. – Pomacał twarz. – Nie zawsze taki byłem. Jest ze mną coraz gorzej, prawda?

– Nie wiem.

Zwinka pod wpływem impulsu zrobiła coś, czego nigdy by się nie spodziewała.

Objęła Ciemność.

Tulił się do niej, ten potwór, ta bezwzględna istota, która kiedyś była Heroldem. Tulił się do niej i płakał w burzy. Później, przy akompaniamencie grzmotu, odepchnął się od niej. Miotany wiatrem potknął się na śliskiej skale i zaczął emanować blaskiem.

Wystrzelił w ciemne niebo i zniknął. Zwinka podniosła się z trudem i pobięła na dół, by uzdrowić Pniak.



20

– Czyli nie musisz być mieczem?

Zwinka siedziała na toalecie Pniak, bo kobieta nie miała porządnego biurka, które dziewczyna mogłaby zająć.

– Miecz jest tradycyjny.

– Ale nie musisz nim być.

– Oczywiście, że nie. – Wyndle wydawał się oburzony. – Muszę być metalowy. Istnieje... związek między naszą skupioną mocą a metalem. Słyszałem jednak historie o sprenach stojących się łukami. Nie wiem, jak robili cięciwę. Może Świetliści nosili własne cięciwy?

Zwinka pokiwała głową, ale ledwie go słuchała. Kogo obchodziły łuki, miecze i inne takie? To otwierało mnóstwo innych interesujących możliwości.

– Zastanawiam się jednak, jak bym wyglądał jako miecz.

– Wczoraj przez cały dzień narzekałeś, że mogłabym kogoś tobą uderzyć!

– Nie chcę być mieczem, którym ktoś mógłby się zamachnąć, to oczywiste. Ale w Ostrzach Odprysku jest coś dostojnego, czym można się chwalić. Sądzę, że byłbym świetny. Bardzo godny.

Ktoś zapukał do drzwi na dole. Zwinka nadstawiła uszu. Niestety nie brzmiało to jak skryba. Słyszała, jak Pniak rozmawia z kimś, kto mówił bardzo cicho. Chwilę później drzwi się zamknęły i Pniak weszła po schodach do izby. W ręku niosła talerz placuszków.

Zwince zaburczało w brzuchu. Stała na toalecie.

– To są twoje placuszki, prawda?

Pniak, pomarszczona jak zawsze, zatrzymała się gwałtownie.

– A jakie to ma znaczenie?

– Ogromne. One nie są dla dzieciaków. Zamierzałaś zjeść je sama, tak?

– Tuzin placuszków.

– Tak.

– Jasne. – Pniak przewróciła oczami. – Udawajmy, że zamierzałam zjeść je wszystkie sama.

Postawiła talerz na toalecie obok Zwinki, która zaczęła się opychać plackami.

Pniak założyła kościste ręce na piersi i obejrzała się przez ramię.

– Kto to był na dole? – spytała Zwinka.

– Matka. Zawstydzona przyszła nalegać, żebym oddała jej dziecko.

– Poważnie mówisz? – zapytała z pełnymi ustami Zwinka. – Matka Mika naprawdę po niego wróciła?

– Oczywiście wiedziała, że syn tylko udawał chorobę. To była część oszustwa, żeby... – Umilkła.

Hm, pomyślała Zwinka. Matka nie mogła wiedzieć, że Mik został uzdrowiony – wszystko wydarzyło się poprzedniego dnia, a po burzy w mieście panował chaos. Na szczęście nie było aż tak źle – kierunek wiatru w Yeddawie nie miał większego znaczenia.

Była jednak głodna informacji o reszcie cesarstwa. Wydawało się, że wszystko znów się popsuło, choć tym razem w nowy sposób.

Ale ucieszyła ją dobra wiadomość. Mama Mika jednak wróciła. Pewnie z rzadka tak się zdarzało.

– Uzdrowiałam dzieci? – Pniak pomacała szatę shiqua, którą przebił nóż Ciemności. Choć ją uprała, krew nadal plamiła tkaninę. – Jesteś pewna?

– Ano. Powinno się wokół ciebie kręcić coś dziwnego. Nie ja. Coś dziwniejszego. Jak pęd?

– Spren. Nie jak pęd. Jak światło odbijające się od lustra i padające na ścianę...

Zwinka spojrzała na Wyndle'a, który trzymał się pobliskiej ściany. Pokiwał głową z pnączy.

– Jasne, może być. Gratulacje. Jesteś głodowym Świetlistym Rycerzem. Ucztujesz na kulach i uzdrawiasz dzieciaki. Pewnie to jakaś rekompensata za to, że traktujesz je jak stare pranie, co?

Pniak patrzyła na Zwinkę, która nadal jadła placuszki.

– Sądziłabym, że Świetliści Rycerze będą bardziej majestatyczni.

Zwinka skrzywiła się, po czym wyciągnęła rękę w bok i przywołała Wyndle'a w kształcie wielkiego, świecącego, srebrzystego widelca. Widelca Odprysku.

Wbiła go w placuszki, a on niestety przebił i jedzenie, i talerz, a do tego zrobił otwory w toalecie. Mimo to Zwince udało się zdjąć placuszek. Odgryzła spory kęs.

– Majestatyczny jak gonady samego Potępienia – ogłosiła i pomachała Wyndle'em przed nosem Pniak. – Mówię to w sposób wyszukany, żeby mój widelec nie narzekał, że jestem prymitywna.

Pniak najwyraźniej nie umiała na to odpowiedzieć, jedynie z otwartymi ustami gapiała się na Zwinkę. Przed staniem z głupią miną uratowało ją walenie do drzwi. Jeden z pomocników je otworzył, ale kobieta pośpieszyła na dół, kiedy tylko usłyszała, kto przyszedł.

Zwinka odesłała Wyndle'a. Jedzenie palcami było o wiele łatwiejsze niż widelcem, nawet bardzo ładnym. On znów przybrał kształt pędu i zwinął się na ścianie.

Wkrótce do środka weszła Ghenna – gruba skryba z Wielkiego Indeksu. Patrząc, jak Pniak właściwie gnie się wpół przed skrybą, Zwinka uznała, że być może Ghenna była ważniejsza, niż założyła. Ale nie miała magicznego widelca.

– Zazwyczaj – powiedziała skryba – nie odwiedzam takich... domostw, jak to. Ludzie przeważnie przychodzą do mnie.

– Domyślam się – odparła Zwinka. – Widać, że dużo nie chodzisz.

Na te słowa skryba prychnęła i położyła teczkę na biurku.

– Jego Cesarska Wysokość był zły na nas, że przerwaliśmy kontakt. Ale jest pełen zrozumienia, co oczywiście, biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia.

Zwinka przeżuła placuszek.

– Jak sobie radzi cesarstwo?

– Przetrwało. Ale panuje chaos. Najbardziej ucierpiały mniejsze wioski. Na szczęście, choć burza trwała dłużej niż arcyburza, wiatry nie były tak silne. Najgorsze były błyskawice, które poraziły wielu pechowych podróżnych.

Rozpakowała swoje narzędzia – podkładkę do łączotrzcin, papier i pióro.

– Jego Cesarska Wysokość bardzo się ucieszył, że się ze mną skontaktowałaś, i już wysłał mi wiadomość z pytaniem o twoje zdrowie.

– Powiedz mu, że nie zjadłam dość placuszków. I mam tę dziwną brodawkę na palcu u nogi, która ciągle odrasta, kiedy ją wycinam... pewnie dlatego, że uzdrawiam się swoją wspaniałością, co jest głodowo niewygodne.

Skryba popatrzyła na nią, po czym westchnęła i przeczytała wiadomość od Gawxa. Cesarstwo przetrwa, ale będzie potrzebowało dużo czasu, by dojść do siebie – szczególnie jeśli ta burza będzie wracać. Pozostała jeszcze kwestia parshmenów, która mogła okazać się jeszcze większym zagrożeniem. Wołał nie dzielić się tajemnicami państwowymi przez łączotrzcinę. Głównie chciał wiedzieć, czy z nią wszystko w porządku.

Właściwie tak. Skryba zaczęła przekazywać słowa Zwinki, a Gawx z pewnością się domyśli, że nic jej nie jest.

– Poza tym – dodała – znalazłam kolejną Świetlistą, tyle tylko, że ona jest bardzo stara i wygląda trochę jak niedożywiony krab bez skorupy.

Spojrzała na Pniak i wzruszyła przepaszając ramionami. Ale ona na pewno wiedziała. Musiała mieć lustro.

– Jest całkiem miła i opiekuje się dziećmi, więc powinniśmy ją zwerbować albo coś. Jeśli będziemy walczyć przeciw Pustkowcom, może spojrzeć na nich naprawdę paskudnie. Załamiam się i przyznaję, że zjedli wszystkie ciasteczka, a winę zrzucili na Huisi, dziewczynkę, która nie umie mówić.

Ale Huisi chrapała. Zasłużyła sobie.

Skryba przewróciła oczami, po czym zapisała jej słowa. Zwinka pokiwała głową i zjadła ostatni placuszek, ten bardzo ciężki, niemal mączysty.

– W porządku – ogłosiła, wstając. – To już dziewięć. Gdzie jest ostatni? Jestem gotowa.

– Ostatni? – spytała Pniak.

– Dziesięć typów placuszków. Dlatego przybyłam do tego głodowego miasta. Zjadłam dziewięć. Gdzie jest ostatni?

– Dziesiąty jest poświęcony Tashiemu – odezwała się z roztargnieniem skryba, nie przerywając pisania. – To bardziej myśl niż realna rzecz. Pieczemy dziewięć, a ostatni poświęcamy Jego pamięci.

– Chwileczkę. Czyli jest tylko dziewięć?

– Tak.

– Wszyscy mnie okłamaliście?

– Nie do końca...

– Potępienie! Wyndle, dokąd udał się ten Niebiański? Musi o tym usłyszeć. – Pogroziła palcem skrybie, a później staruszce. – Opuścił ci to całe pranie pieniędzy jedynie dlatego, że go poprosiłam. Ale kiedy usłyszy, że kłamałaś o placuszkach, mogą go nie powstrzymać.

Obie patrzyły na nią takim wzrokiem, jakby były niewinne. Zwinka potrząsnęła głową i zeskoczyła z toaletki.

– Przepraszam. Muszę udać się w miejsce, gdzie Świetliści mogą się odświeżyć. To elegancki sposób...

– Na dole i po lewej – przerwała jej Pniak. – W tym samym miejscu, co dziś rano.

Zwinka zbiegła po schodach. Mrugnęła do jednej z sierot siedzących na głównej sali, po czym wyslizgnęła się przez frontowe drzwi, a Wyndle rósł na ziemi obok niej. Odetchnęła głęboko powietrzem wciąż wilgotnym po Wiecznej Burzy. Wszędzie wokół leżały odpadki, połamane deski i gałęzie, kawałki tkaniny zaczepione o liczne stopnie wystające nad ulicą.

Miasto przetrwało, a ludzie już zabrali się za sprzątanie. Całe życie spędzili w cieniu arcyburz. Przystosowali się i nadal będą się przystosowywać.

Zwinka uśmiechnęła się i ruszyła ulicą.

– Czyli odchodzimy? – spytał Wyndle.

– Tak.

– Tak po prostu. Bez pożegnań.

– Bez.

– I tak już ma być, prawda? Zawędrujemy do miasta, ale nim zdążymy zapuścić korzenie, znów wyruszymy w drogę.

– Pewnie. Choć tym razem pomyślałam, że możemy zawędrować z powrotem do Azimiru i pałacu.

Wyndle był tak oszołomiony, że pozwolił, by go minęła. Później pośpiesznie dołączył do niej podeksytowany jak szczenię ostrogara.

– Naprawdę? Och, panienko. Naprawdę?

– Pomyślałam, że nikt nie wie, co robi w życiu. Czyli Gawx i zakurzeni wezyrowie mnie potrzebują.

– Postukała się w głowę. – Bo ja już znam odpowiedź.

– Znasz odpowiedź na co?

– Zupełnie nic – odparła z przekonaniem Zwinka.

Ale będę słuchać tych, którzy są ignorowani, pomyślała. Nawet ludzi takich jak Ciemność, których wolałabym nigdy nie słyszeć. Może to pomoże.

Ruszyli krętą drogą przez miasto, a później po rampie. Po drodze minęli kapitan straży, która pełniła służbę i musiała zajmować się jeszcze większą liczbą uciekinierów udających się do miasta, bo stracili domy. Zobaczyła Zwinkę i ze zdziwienia prawie wyskoczyła z butów.

Zwinka uśmiechnęła się i wyciągnęła z kieszeni placuszek. Tę kobietę z jej powodu odwiedził Ciemność. To oznaczało, że Zwinka miała wobec niej dług. Rzuciła strażnicze placuszek – który zdążył zmienić się w kulkę – po czym sięgnęła po Burzowe Światło, jakie miała dzięki wcześniejszemu posiłkowi, i zaczęła uzdrawiać rany uciekinierów.

Kapitan straży przyglądała się w milczeniu, trzymając placuszek, jak Zwinka idzie wzdłuż szeregu i dmucha na wszystkich Burzowym Światłem, jakby próbowała udowodnić, że wcale nie śmierdzi jej z ust.

To była głodowo ciężka praca. Ale po to były placuszki, żeby dzieciaki czuły się lepiej. Kiedy skończyła i zabrakło jej Burzowego Światła, pomachała ze zmęczeniem ręką i wyszła na równinę pod miastem.

– To było bardzo łaskawe z twojej strony – stwierdził Wyndle.

Zwinka wzruszyła ramionami. Wydawało się, że niewiele zmieniła – w końcu to tylko paru ludzi. Ale oni wszyscy należeli do tych, o których większość zapomniała i których ignorowano.

– Lepszy rycerz niż ja mógłby zostać. Uzdrowić wszystkich.

– Wielki projekt. Być może zbyt wielki.

– A jednocześnie zbyt mały.

Zwinka wepchnęła ręce do kieszeni i przez jakiś czas po prostu szła. Nie umiała tego do końca wyjaśnić, ale wiedziała, że nadchodzi coś większego. A ona musiała dotrzeć do Aziru.

Wyndle odchrząknął. Zwinka przygotowała się na kolejne narzekania, na przykład na głupotę tego, że przeszli całą tę drogę z Azimiru tylko po to, by dwa dni później wracać.

On jednak spytał tylko:

– Byłem bardzo dostojnym widelcem, nie sądzisz?

Zwinka spojrzała na niego, uśmiechnęła się szeroko i przechyliła głowę.

– Wiesz, Wyndle. To dziwne, ale... zaczynam myśleć, że może jednak wcale nie jesteś Pustkowcem.

POSTSCRIPTUM

Zwinka to jedna z moich ulubionych postaci z Archiwum Burzowego Światła, mimo że do tej pory nie miała wielu okazji się zaprezentować. Przygotowuję ją do większej roli w przyszłych częściach serii, co oznacza jednak pewne wyzwania. Nim Zwinka zostanie jedną z głównych postaci Burzowego Światła, zdąży złożyć kilka przysiąg – a uznałem, że byłoby niewłaściwe, gdybym nie pokazał kontekstu ich złożenia.

Podczas pracy nad trzecim tomem zauważyłem również drobny problem ze spójnością. Kiedy zobaczymy go po raz kolejny, Herold Nale będzie już pogodzony z faktem, że jego trwająca wiele stuleci praca (obserwowanie i pilnowanie, by Świetliści nie powrócili) nie ma już sensu. To poważna zmiana w jego osobowości i celach jako jednostki – i uznałem, że powinienem pokazać, jak dochodzi do tego wniosku.

Tancerka Krawędzi była sposobem na rozwiązanie obu tych problemów – i jednocześnie mogłem pokazać Zwinke.

Bardzo lubię pisać o Zwince, bo ta postać pozwala mi ukryć ważne wydarzenia i rozwój postaci pośród dziwacznych albo głupio brzmiących wyrażen. Na przykład w interludium „Słów Światłości” mówi (w żartach), że od trzech lat ma dziesięć lat, a później okazuje się, że ona naprawdę uważa, iż w wieku dziesięciu lat przestała rosnąć. (I nie bez powodu.) O większości postaci nie da się tak pisać.

Wykorzystałem je również jako okazję, by przedstawić Tashikków, którzy (ponieważ nie ma ich wśród głównych bohaterów) najprawdopodobniej nie zostaną dokładnie zaprezentowani w głównej serii.

Pierwotnie ta mikropowieść miała liczyć 18 000 słów. Ostatecznie ma ich około 40 000. Cóż. Tak się czasem dzieje. (Szczególnie jeśli jest się mną).